

Barbara Wood

Oznaki życia

(Vital Signs)

Przełożyła Teresa Sośnida

*Jest to niezwykła książka
dedykowana dwóm niezwykłym osobom:
Kate Medinie – mojej redaktorce,
i Harveyowi Klingerowi – mojemu agentowi.*

Najgłębsze wyrazy wdzięczności
kieruję do trzech dam,
które tak chętnie podzieliły się ze mną
swymi doświadczeniami.
Są to: dr Barbara KadellWootton,
dr Marjorie Fine i dr Janet Salomonson.

Pragnę także podziękować dr. Normanowi Rubaumowi
za odpowiadanie na pytania zadawane w panice
oraz cierpliwe czytanie rękopisu,
a dr Mauriel H. Svec za pomoc
przy pokonywaniu najwyższych przeszkód.

Za Kenię specjalne *asante sana*
dla Allena Gicheru z Nairobi.

A do Tima i Rainie Samuelsów
kieruję wyrazy wdzięczności
za gościnność podczas mojego pobytu w ich domu
w River Lodge w Samburu w Kenii.

Część I

1968-1969

Rozdział 1

Przypominali linoskokczków, gdy gęsiego wchodzili do auli, a potem z wielką ostrożnością przeciskali się pomiędzy rzędami siedzeń, jak gdyby w dole czyhało na nich niebezpieczeństwo. Pięć kobiet i osiemdziesięciu pięciu mężczyzn nerwowo uśmiechając się do siebie, nieśmiało mamrotało pod nosem grzecznościowe formułki powitalne. Dla wielu był to jeden z najbardziej zatrważających poranków w życiu – moment, do którego przygotowywali się od lat. w końcu nadszedł. Większość z nich wciąż nie mogła w to uwierzyć.

Kobiety nie znały się przedtem. Spotkały się dzisiaj po raz pierwszy – na inauguracji roku akademickiego w murach akademii medycznej. Pomimo to zajęły miejsca obok siebie na końcu najwyższego rzędu, podświadomie jednocząc się przeciwko druzgocącej większości studentów płci męskiej. Przed rozpoczęciem ceremonii otwarcia, podczas której miały zostać wstępnie zapoznane z programem studiów, prowadziły ze sobą ciche rozmowy, stawiając pierwsze niepewne kroki na drodze do zawarcia bliższej znajomości.

Studenci pierwszego roku medycyny byli prymusami w swoich liceach. Zostali wybrani spośród trzech tysięcy kandydatów ubiegających się o przyjęcie do elitarniej uczelni położonej w skałach Palos Verdes nad Pacyfikiem. Z wyjątkiem jednego Murzyna, dwóch Meksykanów i pięciu kobiet, które siedziały na skraju górnego rzędu, świeżo upieczeni studenci Akademii Medycznej w Castillo w 1968 roku swoim wyglądem przywodzili na myśl produkty z tej samej linii montażowej: byli młodzi, biali i pochodzili ze średniej oraz z wyższej sfery. Na sali panowała ciężka atmosfera. W powietrzu niemal wyczuwało się lęk dziewięćdziesięciu przyszłych adeptów sztuki medycznej.

Wzdłuż rzędów szeleściły papiery, gdy wszyscy przeglądali zadrukowane arkusze, które otrzymali przy wejściu. Była tam historia szkoły w Castillo, niegdyś rozległej hacjendy starych kalifornijskich hidalgów, oraz list powitalny, który zapoznawał ich z wydziałami, personelem i kodeksem uczelni. Mężczyzn obowiązywały krawat i marynarka, krótkie włosy i zakaz noszenia brody, a kobiety spódnice do kolan oraz zakaz noszenia sandałów i spodni.

Wreszcie lampy przygasły. W blasku reflektorów była już tylko widoczna pusta katedra. Gdy dziewięćdziesięcioosobowe audytorium uciszyło się, skupiając uwagę na podium, z cienia wyłoniła się postać i zajęła miejsce w kręgu światła. Wszyscy rozpoznali dziekana Hoskinsa, którego fotografię mieli przed sobą w wykazie członków personelu administracyjnego.

Stał przez chwilę, wspierając się dłońmi o pulpit i powoli ogarniał spojrzeniem coraz to wyższe rzędy. Zatrzymywał wzrok na poszczególnych rozpalonych twarzach, jak gdyby chciał każdą z nich zapamiętać. I kiedy już wydawało się, że nigdy nie przemówi, a chwila oczekiwania przeciągała się i wzdłuż rzędów zerwał się szmer, dziekan Hoskins pochylił się nad mikrofonem.

– Przysięgam... – powiedział powoli przyciszonym głosem, a każda sylaba odbiła się echem pod wysokim sklepieniem auli – ... na Apollina lekarza... i Asklepiosa... i Hygieę... i Panakeię... –

zrobił głęboki wdech i dramatycznie podniósł głos – ... i na wszystkich bogów oraz boginie jako świadków, że według najlepszych możliwości i osądu... będę tę przysięgę i to zobowiązanie wypełniać.

Dziewięćdziesięciu słuchaczy wpatrywało się w dziekana z przejęciem. Przemawiał uroczyście, a intonacja i modulacja głosu oraz umiejętnie dobrane słowa świadczyły o prawdziwym kunszcie oratorskim. Hoskins przyciągał uwagę i pobudzał wyobraźnię. Żaden z siedzących na widowni studentów nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dziekan zwraca się wyłącznie do niego.

– Ślubuję szanować nauczyciela w tej sztuce tak jak własnych rodziców... i uznać go za partnera na całe życie. – Przerwał na chwilę, zamknął oczy, a potem dla lepszego zaakcentowania słów przeciągał każde zdanie. – Moje polecenia będę wydawał na użytek i korzyść chorych... według najlepszych możliwości i osądu... będę ich strzec przed wszystkim, co mogłoby im zaszkodzić i skrzywdzić...

Był czarodziejem. Atmosfera w auli stała się wprost naelektryzowana entuzjazmem zdeterminowanych dziewięćdziesięciu przyszłych lekarzy, których zaledwie przed chwilą dręczyła niepewność, obawy i czarne myśli. Dziekan Hoskins rozproszył wszystkie ich niepokoje słowami świętej przysięgi.

– Zachowam w czystości i świętości zarówno moje życie, jak i moją sztukę... Do jakiegokolwiek domu wejść, chcę wejść dla pożytku i dla dobra chorych, chcę trzymać się z dala od krzywdy, którą mógłbym wyrządzić i wszelkiej szkody, zwłaszcza od czynów namiętności wobec kobiet i mężczyzn, wolnych i niewolnych...

Już ich miał. Całkowicie ich sobie zawojował. Przeprowadzając progi uczelni, byli niczym nie uformowana glina, a po czterech latach obróbki mieli opuścić ją twardzi jak damasceńska stal. Dziekan Hoskins roztoczył przed nimi wizję przyszłości i przekonał, że do nich należy jutro.

– To, co zobaczę i usłyszę w czasie leczenia... – znowu zrobił pauzę, a po chwili jego głos stał się jeszcze mocniejszy i donośniej szy – ... zachowam dla siebie, ponieważ milczenie jest moim obowiązkiem. Jeśli przysięgi dochożam i jej nie złamię, to niech mnie w życiu i w sztuce lekarskiej spotka powodzenie, sława i uznanie wszystkich ludzi, aż do najodleglejszych czasów!

Drżeli. Wstrzymali oddechy. Mówił prawdę. Byli wybrańcami losu i do nich należała przyszłość.

Dziekan Hoskins wyprostował się i odsunął od mikrofonu.

– Panowie i panie, witajcie w progach Akademii Medycznej Castillo! – zagrzmiały tubalnie jego słowa.

Rozdział 2

Oondra Mallone bez problemu sama poradziłaby sobie z bagażem. Uznała jednak, że zaoferowana przez nowego sąsiada pomoc jest miłym pretekstem do zawarcia znajomości. Młody człowiek podszedł do niej w chwili, gdy wyładowywała rzeczy ze swojego wiśniowego mustanga na parkingu przed akademikiem i nalegał, że zanieś jej na miejsce wszystkie cztery torby. Nazywał się Shawn, podobnie jak Sondra był studentem pierwszego roku i błędnie sądził, że jest zbyt delikatna, by dała sobie radę z tym wszystkim.

Większość mężczyzn mylnie ją oceniała. Sondra miała złudny wygląd. Nikt by nie przypuszczał, że w jej szczupłych ramionach kryje się tężyzna fizyczna, jakiej nabrała dzięki uprawianiu pływania przez wiele lat w słonecznej Arizonie. Prawdę mówiąc Sondra Mallone była jednym wielkim plikiem szachrajstw. Ze swoją ciemną egzotyczną urodą nie wyglądała na córkę Mallonów. A to dlatego, że wcale nią nie była.

W dniu, w którym natknęła się na papiery adopcyjne, a miała wtedy dwanaście lat, lepiej rozumiała siebie. Nagle pojęła znaczenie pewnych okrytych dotąd tajemnicą szarych obszarów w głębi niej samej, na przykład owego nieuchwytnego wrażenia, że czegoś jej brakuje; wrażenia, które by można porównać do złudzenia bólu w amputowanej kończynie.

Dokumenty potwierdziły fakt, że jest niekompletna i musi odnaleźć w świecie swoją brakującą część.

Gdy wchodzili po schodach na drugie piętro Tesoro Hall, Shawnowi nie zamykały się usta. Nie mógł oderwać wzroku od Sondry. Nikt go nie uprzedził, że będzie mieszkał w akademiku razem z dziewczynami. Tam skąd pochodził, byłoby to nie do pomyślenia. A teraz nie tylko odkrył tę miłą niespodziankę, ale i stwierdził z zachwytem, że jedną z lokatorek jest piękna młoda kobieta, o jakiej tylko można zamarzyć!

Sondra prawie się nie odzywała, ale za to uśmiech nie schodził jej z twarzy, żłobiąc głębokie dołki w policzkach. Shawn zapytał ją, skąd pochodzi, i nie mógł uwierzyć, że dziewczyna o tak oliwkowej cerze i z oczami w kształcie migdałów przyjechała zaledwie z Phoenix. Sondra uznała Shawna za sympatycznego młodego człowieka, z którym mogłaby się zaprzyjaźnić, ale nic ponadto. Nie zamierzała dopuścić do tego, żeby ich znajomość wykroczyła poza granice koleżeństwa.

„Czy prowadzi pani aktywne życie seksualne?” – zapytał ją jeden z egzaminatorów ubiegłej jesieni, podczas indywidualnych rozmów z kandydatami ubiegającymi się o przyjęcie na studia. Ich wynik miał ostatecznie przesądzić o decyzji komisji. Sondra wiedziała, że nikt by nie zadał takiego pytania mężczyźnie. Tylko kobieta, jeśli nie była wystarczająco ostrożna, mogła znaleźć się w kłopotliwym położeniu. Na przykład zająć w ciążę i rzucić studia, a tym samym narazić szkołę na stratę pieniędzy i czasu.

„Nie” – odpowiedziała wtedy zgodnie z prawdą.

Ale kiedy zapytali, czy stosuje środki antykoncepcyjne, przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Nie używała niczego, co by zapobiegało zajściu w ciążę. Nie miała takiej potrzeby. Ale ponieważ chcieli być pewni, że jest kobietą, która panuje nad swoją macicą, a tym samym nad własnym życiem, odpowiedziała „tak”, co w gruncie rzeczy pokrywało się z prawdą. Celibat jest przecież najlepszym gwarantem niepłodności.

– Co sądzisz o dzisiejszej mowie powitalnej? – zapytał Shawn, gdy dotarli na drugie piętro.

Sięgnęła do pikowanej torby firmy „Chanel” po klucz do pokoju. Już wczoraj powinna wprowadzić się do akademika, ale z powodu niespodziewanego przyjęcia, jakie wydali na jej cześć przyjaciele, wyjechała do Los Angeles później, niż to sobie zaplanowała. Dotarła tu dopiero rano, tuż przed uroczystością inauguracji.

– Zdziwiłam się trochę, że na uczelni obowiązują regulaminowe stroje – stwierdziła, otwierając drzwi. Cofnęła się, wpuszczając do środka Shawna z bagażami. – Nie musiałam się tym przejmować od czasów liceum.

Shawn postawił trzy duże torby na podłodze, a jedną mniejszą, z kosmetykami, na łóżku. Wszystkie były z białej skóry i na każdej widniały złote inicjały Sondry.

Wyminęła go i podeszła do okna za biurkiem. Widok był dokładnie taki, jakiego oczekiwała. Nie opodal, pomiędzy palmami i sosnami Monterrey, migotał wąski, błękitny pasek oceanu.

Sondra Mallone mieszkała przez dwadzieścia dwa lata w suchej, półpustynnej Arizonie i dlatego postanowiła ubiegać się o przyjęcie na uczelnię medyczną, która znajdowałaby się w pobliżu wody; nad wijącą się jak okiem sięgnąć rzeką albo nad brzegiem oceanu, który wciąż przypominałby jej o tym, że po drugiej stronie leży inny, nieznaną ląd, zamieszkaną przez ludzi o odmiennych zwyczajach i innym sposobie życia. Ląd, który, jak daleko sięgała pamięcią, nęcił ją i wzywał. Wiedziała, że pewnego dnia, gdy tylko skończy studia i będzie miała dyplom w garści, pojedzie tam; wyruszy w daleki świat...

„Dlaczego chce pani zostać lekarzem?” – dopytywali się członkowie komisji egzaminacyjnej ubiegłej jesieni.

Spodziewała się tego pytania. Opiekun roku z uniwersytetu w Arizonie przygotował ją na tę rozmowę i zasugerował, jaka odpowiedź znalazłaby aprobatę u egzaminatorów. „Nie mów im tylko, że chcesz pomagać ludziom” – radził jej. „Nie lubią tego słuchać. Po pierwsze, takie stwierdzenie brzmi fałszywie. Po drugie, jest mało oryginalne. A po trzecie, oni doskonale wiedzą, że zaledwie garstka idzie na studia medyczne z czysto altruistycznych powodów. Cenią sobie uczciwe wypowiedzi, prosto z głowy albo z kieszonkowego podręcznika. Powiedz im, że zawód ten zagwarantuje ci pracę albo że interesują cię badania naukowe nad zwalczaniem chorób. Wymyśl cokolwiek, tylko im nie mów, że chcesz pomagać ludziom”.

„Ponieważ chcę pomagać ludziom” – odparła cicho Sondra stanowczym tonem i szczęściu egzaminatorów nie miało wątpliwości, że naprawdę ma taki zamiar. Siłę Sondry można było dostrzec w jej oczach. Były ogromne i lekko skośne nad wysokimi kośćmi policzkowymi. Przypominały dwie krople bursztynu. Patrzyły śmiałym, zdecydowanym wzrokiem i zdawały się

nigdy nie mrugać.

Na decyzję Sondry wpłynęły jeszcze inne, głębsze powody, ale uznała, że w tym momencie nie ma potrzeby ich roztrząsać. Jej pragnienie niesienia pomocy ludziom, którym zawdzięczała życie, nie było przedmiotem zainteresowania tych sześciu. Wystarczyło, że ona je czuła, że dodawało jej siłę i pozwalało zachować niezachwianą wiarę w siebie oraz w słuszność wyboru życiowej drogi. Nie wiedziała, kim byli jej rodzice ani dlaczego ją oddali. Ale śniada cera, opadające na plecy jedwabiste, proste, czarne włosy, długie ręce i nogi oraz mocne ramiona w sposób dobitny świadczyły o tym, skąd musiał pochodzić jeden z jej przodków. W chwili gdy znalazła dokumenty adopcyjne i poznała prawdę o sobie, gdy dowiedziała się, że nie jest córką zamożnego biznesmena z Phoenix, ale dzieckiem nieznannej tragedii, usłyszała wezwanie z daleka. „Nie chcę pracować w żadnej elitarniej klinice” – oświadczyła ojcu i matce. „Pojadę tam, gdzie będę naprawdę potrzebna. Jestem im to winna”.

– Masz samochód, szczęściara z ciebie – dobiegł ją z tyłu głos Shawna.

Odwróciła się i uśmiechnęła do niego. Stał oparty o framugę drzwi, trzymał ręce w kieszeniach.

– Słyszałem o tym, że Los Angeles bardzo się w ostatnim czasie rozprzestrzeniło. Ale na coś takiego nie byłem przygotowany. Przyjechałem cztery dni temu i wciąż nie potrafię pojąć, w jaki sposób ludzie radzą sobie tutaj z komunikacją!

– W każdej chwili możesz skorzystać z mojego samochodu – zaproponowała Sondra z uśmiechem.

Shawn spojrział na nią zdumiony.

– Dzięki.

Ruth Shapiro w białych spodniach firmy „Levi's” i w czarnym golfie biegła wybrukowaną ścieżką do budynku administracji. Pierwszy dzień na uczelni był zbyt krótki na załatwienie wszystkich spraw. Obawiała się, że zastanie długą kolejkę przed kasą.

Z powodu przysadzistej budowy i nadmiernej tuszy musiała dobrze wyciągać nogi, żeby się nie spóźnić. Znowu się spieszyła, znowu starała się dogonić umykający czas. Przywiodło jej to na myśl inny wyścig, w którym uczestniczyła przed laty.

Była wtedy dziesięcioletnią puciołowatą dziewczynką o ciemnych włosach, która dysząc pokonywała błotnisty tor otaczający szkołę podstawową w Seattle. Jej niezdarne ciało płonęło żądzą wygrania. Robiła to dla taty. Musiała zdobyć nagrodę i zanieść mu ją do domu jako ofiarę i dowód, że się mylił nie wierząc, że stać ją na jakikolwiek sukces. Tak więc dziesięcioletnie serce wyskakiwało jej z piersi, gdy kłocowate nogi niosły ją przez kolejne okrążenia przy dopingu nielicznych widzów przybyłych pomimo mżawki. Linia mety była coraz bliżej. I w końcu Ruth przekroczyła ją, nie jako pierwsza ani druga, ale jako trzecia. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, ponieważ za trzecie miejsce też była przewidziana nagroda – piękne pudełko z drogimi akwarelami. Ruth trzymała je kurczowo pod płaszczem przeciwdeszczowym przez całą drogę powrotną do domu, a potem, gdy ojciec wrócił ze szpitala, skromnie położyła mu je na

kolanach. I po raz pierwszy ojciec był z niej naprawdę dumny.

Zdobycie podziwu i uznania człowieka, który przez dziesięć lat żywił do niej urazę za to, że jest dziewczynką, stanowiło nie lada osiągnięcie. Doktor Mike Shapiro postawił pudełko z farbami na obramowaniu kominka, obok rodzinnych fotografii i trofeów jej trzech braci, a następnego dnia nie omieszkął pochwalić się nagrodą przed gośćmi: „Dacie wiarę? Nasza mała tłuściutka Ruth zdobyła to, zajmując trzecie miejsce w wyścigu!”

Przez sześć przyprawiających o zawrót głowy dni Ruth pławiła się w podziwieniu swojego ojca, wierząc, że od tej chwili wszystko ułoży się jak najlepiej i że nigdy nie będzie już krytyki ani rozczarowanych spojrzeń. Ale siódmego dnia przy obiedzie Mike Shapiro przypadkowo ją zagadnął: „A wracając do wyścigów, Ruthie, ile dzieci startowało w zawodach?”

To był straszny dzień. Radość pękła niczym bańka mydlana. Nikt nigdy nie słyszał, żeby ojciec śmiał się tak głośno jak w chwili, gdy mu Ruth wyjawiała prawdę. „Troje!” – powtarzał bez końca ubawiony. Historia została dołączona do arsenału rodzinnych anegdot, wielokrotnie była powtarzana w ciągu następnych lat i pomimo upływu czasu wciąż tak samo śmieszyła doktora Shapiro.

– Ojej! – krzyknęła Ruth, podskakując na jednej nodze i wywracając się w trawę. Do sandała wpadł kamyk i boleśnie ukuł ją w piętę.

Gdy przyjechał wczoraj na lotnisko, Ruth przeżyła wielki wstrząs. Sądziła, że będą tylko obie z matką, pocałują się, obejmą i pożegnają na długi rok. Tymczasem ojciec zrobił jej niespodziankę, zjawiając się osobiście i pozwalając jej wierzyć przez kilka pełnych napięcia chwil, że może nastąpi długo oczekiwane pojednanie. Ale jeszcze raz okazało się to tylko złudzeniem. Ojciec nadał jej bagaż, odprowadził ją do wyjścia do samolotu i zatrzymał się, żeby uścisnąć jej rękę. „Nie wytrzymasz tam dłużej jak do Bożego Narodzenia, Ruthie. Wkrótce przekonasz się, że miałem rację” – powiedział.

Do gwiazdki pozostały zaledwie cztery miesiące. Okres piętnastu tygodni, który miał udowodnić, czy spełni się okrutna przepowiednia doktora Shapiro.

„Akademia medyczna, dobre sobie!” – zawołał w ubiegłym roku. „Ty się wybierasz na medycynę? Jesteś wielką marzycielką, Ruthie. Oceń realnie własne możliwości. Ludziom, którzy.. mierzą zbyt wysoko, grozi bolesny upadek, a ty wyjątkowo źle znosisz niepowodzenia. Nigdy nie potrafiłaś przegrywać. Sądzisz, że akademia medyczna to fraszka? Ale pewnie mnie – nie posłuchasz, bo co ja mogę wiedzieć? Jestem tylko lekarzem. Jedź i spróbuj. Wiedz jednak, że się porywasz z motyką na słońce”.

To nie było uczciwe stawianie sprawy. Ruth nie słyszała, żeby kiedykolwiek mówił w ten sposób do Joshuy albo do Maxa. Nigdy ich nie zniechęcał. Rozbudzał ambicje nawet w małej Judith, najmłodszej z rodzeństwa. Dlaczego akurat ją, Ruth, tak traktował? Dlaczego nie potrafił jej pokochać?

Zanim zdążyła się podnieść i zgarnąć z trawy wszystkie rupiecie, które wypadły jej ze skórzanego worka na ramię, zegar na wieży wybił południe. Ruth zakłęta pod nosem. Między

dwunastą a drugą kasa była zamknięta.

Mickey Long otworzyła oszklone drzwi i wyszła z Manzanitas Hall. Otoczyło ją balsamiczne powietrze września. Przystanąła, rozejrzała się wokół, a potem ponownie przestudiowała mapę, chcąc zorientować się w planie szkoły.

Manzanitas Hall był piątym gmachem, jaki przeszukała od chwili opuszczenia auli dzisiaj rano, ale jak dotąd jej wysiłki okazały się bezowocne. Teren uczelni nie był zbyt rozległy i do zwiedzenia pozostało jej już niewiele budynków. Byłaby bardzo niezadowolona, gdyby narastające podejrzenie okazało się trafne. Ruszyła wybrukowaną alejką w kierunku Encinitas Hall, niskiej budowli w stylu hiszpańskim, gdzie organizowano wszelkie imprezy towarzyskie i gdzie studenci mogli odpoczywać po zajęciach. Zaczęła ją ogarniać panika.

Pośpiesznie przeszła obok zegarowej wieży. Miasteczko akademickie Castillo wydało się jej dziwne i zgoła inne od wszystkich, które знаła. Gdzie podziały się stoły do gry w karty i plakaty zachęcające do pracy w organizacjach typu SNCC czy CORE? Dlaczego nigdzie nie było ulotek ani agitatorów? Co się stało z Wietnamem, Black Power i z Wolnością Słowa? Mickey nie mogła się pozbyć wrażenia, że przekroczyła bramę czasu, cofając się w przeszłość – w senne lata pięćdziesiąte, kiedy to słuchacze akademicki w pełni zasługiwali na miano studentów, a do profesorów zwracano się per sir. Otoczenie uczelni było bardzo piękne: schludne, eleganckie i kolorowe, ze starannie utrzymanymi kwietnikami, szmaragdowozielonymi trawnikami, wybrukowanymi uliczkami, fontannami wyłożonymi hiszpańską terakotą, hacjendami z białego stiuku, mauretańskimi łukami i dachami pokrytymi czerwoną dachówką. Stara, bogata szkoła, w której królowała dawna atmosfera i gdzie dbano o zachowanie konserwatywnych tradycji.

Tym, co najbardziej niepokoiło Mickey, była panująca wszędzie cisza.

Akademia w sposób diametralny różniła się od Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara, który Mickey właśnie ukończyła. Jak mogła się ukryć w tak ospałym miejscu jak to? Gdzie miała znaleźć dla siebie schronienie, jeśli nie było ludzkiej ciżby, motocyklistów ani wylegających się w trawie par? Co się stało z gitarzystami, żebrakami i z przesiadującymi pod drzewami grupami studentów? Jak miała wtopić się w tłum, skoro go nie było? Czowała się zdruzgotana. Gdy ubiegała się o przyjęcie do Castillo, nawet nie przeczuwała, że będzie tu panował taki porządek, spokój i dyscyplina. Stanie się widoczna! Ludzie zwrócą na nią uwagę!

Czy postąpiła słusznie podejmując studia w Castillo?

W końcu znalazła to, czego szukała. Damską toaletę. Dopadła do umywalki, jak błądzący po pustyni rzuca się w stronę oazy.

Dla Mickey Long kilka pierwszych dni w nowym miejscu zawsze było torturą. Zanim nowi koledzy nie przyzwyczaili się do jej twarzy, musiała znosić zdziwione spojrzenia, niekłamana ciekawość, błysk współczucia w oczach, a w końcu zażenowanie, gdy nieudolnie próbowali ukryć, że cokolwiek zauważyli. Z tego powodu Mickey Long pragnęła stać się niewidoczna.

Nosiła długie sukienki w „nie rzucających się w oczy” szarościach i brązach – w barwach ścian. A za swój najpewniejszy azyl zawsze uważała tłum. Uniosła zasłonę z jedwabistych blond włosów, które spływały na jedną stronę twarzy, odkręciła butelkę z pudrem w płynie i spełniła rytuał. A gdy uporała się z zadaniem i zaczesła włosy z powrotem na policzek, pociągnęła lekko usta szminką firmy „Revlon”. Lubiła się malować. Żałowała, że nie może tak jak inne dziewczyny chodzić w ostrym i odważnym makijażu, który przyciąga wzrok. Zwracanie uwagi na własną twarz było ostatnią rzeczą, na jakiej jej zależało.

Opuściła Encinitas Hall i ponownie sprawdziła plan miasteczka. To niemożliwe, żeby na terenie całej uczelni była tylko jedna damska toaleta! Postanowiła odszukać je wszystkie i nanieść na mapę. Dlatego zrezygnowała z obiadu w akademickiej stołówce i skierowała się w stronę oceanu, gdzie na stromych skałach Palos Verdes wznosił się gmach Rodriguez Hall.

Sondra wciąż stała w otwartych drzwiach swojego pokoju i śmiała się z Shawnem, gdy zobaczyła na korytarzu jedną z nowych studentek. Dziewczyna miała na sobie sukienkę w mysim kolorze i przyciskała do piersi jak tarczę dużą słomkową torebkę. Część twarzy, która prześwitywała pomiędzy pasmami jasnoblond włosów, płonęła purpurowym rumieńcem.

– Cześć – przywitała ją Sondra, a gdy studentka podeszła bliżej, zauważyła, że rumieniec jest dziwnie jednostronny. – Nazywam się Sondra Mallone – wyciągnęła do niej rękę.

– Mickey Long – przedstawiła się dziewczyna, niepewnie podając dłoń, którą Sondra mocno uścisnęła.

– A to jest Shawn, sąsiad z piętra.

Shawn przez chwilę przyglądał się uważnie Mickey, a potem odwrócił głowę lekko zmieszany.

Sondra wdzięcznym ruchem odrzuciła z ramion włosy.

– Przypuszczam, że wprowadziłam się do akademika jako ostatnia. Shawn był tak miły i pomógł mi wnieść bagaże – powiedziała.

Mickey stała zakłopotana, co chwila podnosząc rękę do policzka, żeby się upewnić, czy znamię jest zakryte. Zapadło niezręczne milczenie. Ciszę wypełniały tylko przytłumione dźwięki, które dobiegały zza zamkniętych drzwi na korytarzu.

– Myślę, że najwyższa pora przygotować się na proszoną herbatę, nie sądzisz, Mickey? – zapytała Sondra.

Mickey skinęła głową i odwróciła się z ulgą, zmierzając do swojego pokoju.

– Biedny dzieciak – mruknął Shawn, gdy tylko zniknęła za drzwiami. – Myślałem, że takie rzeczy są w dzisiejszych czasach uleczone.

Sondra nie słuchała Shawna, gdy zaczął rozwodzić się na temat szkoły oraz różnych krążących o Castillo plotek. Myślała o Mickey Long, która wydała się jej zagadkowa. Zdaniem Sondry była zbyt nieśmiała, by myśleć o zawodzie lekarza. I jak mogła znosić te włosy na

twarzy?

Położyła szczupłą dłoń na ramieniu Shawna.

– Za chwilę mam spotkanie przy herbacie. Żona dziekana Hoskinsa zaprosiła wszystkie studentki pierwszego roku. Muszę się przedtem przebrać.

Spojrzał na nią z miną, jak gdyby chciał powiedzieć: „Dla mnie wyglądasz wspaniale. Wcale nie musisz się przebierać”. Wyprostował się w drzwiach i wyjął rękę z kieszeni.

– Czy wybierasz się na zabawę, którą organizują po kolacji w sali jadalnej?

Sondra roześmiała się i przecząco pokręciła głową.

– Przez całą noc jechałam z Phoenix. Zamierzam się dzisiaj położyć spać przed ósmą!

Stał dalej w miejscu, jak gdyby nie miał ochoty wychodzić. Przez moment nie spuszczał z niej wzroku. Wymowa jego błękitnych oczu była Sondrze dobrze znana.

– Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, mieszkam w pokoju 203.

Patrzyła za nim, gdy szedł korytarzem. Był miłym, bezpośrednim, młodym człowiekiem. Jego nieznaczny akcent zdradzał, że Shawn pochodzi z gór. Sondra zatrzymała wzrok na drzwiach do pokoju Mickey. Po krótkim namyśle podeszła do nich i zapukała.

Uchyliły się, a w wąskiej szparze pojawiła się para wystraszonych oczu.

– To ja – powiedziała Sondra lekkim tonem. – Wpadłam, żeby zapytać, w co się zamierzasz ubrać na herbatę do pani Hoskins. Może mi poradzisz, co powinnam na tę okazję włożyć?

Mickey otworzyła szerzej drzwi i spojrzała ze zdziwieniem na Sondrę.

– Chyba żartujesz. Przecież możesz iść w tym, co masz na sobie.

Sondra obrzuciła krytycznym wzrokiem własne ubranie. Wciąż była w minisukience bez rękawów z woalu w delikatne białe grochy, którą włożyła na uroczystość inauguracji, oraz w eleganckich białych pantoflach. Styl obowiązujący ostatnio w modzie służył niewielu kobietom, ale Sondra, dzięki swym długim nogom i mocnej opaleniznie, prezentowała się wprost zachwycająco.

– Nie mam nic szykownego – wyznała Mickey, nerwowo podnosząc rękę do włosów.

Sondra wiedziała, co Mickey usiłuje zrobić. Próbowała ukryć znamię pod grubym pokładem wstępnego pudru i z tego samego powodu szczytywała jedwabiste włosy o barwie kukurydzy na jeden policzek, niczym Veronika Lakę. Ale to nie przynosiło zamierzonego efektu. Zabiegi Mickey, żeby zasłonić olbrzymią plamę w kolorze wina, tylko bardziej zwracały na nią uwagę. Mickey miała wspaniałe i delikatne jak u dziecka jasnoblonde włosy oraz zielone oczy i zdaniem Sondry powinna ubierać się w różne odcienie błękitu zamiast w bure sukienki o niemodnej linii, tak jak ta, którą miała na sobie.

– Przejrzyjmy twoją garderobę – zaproponowała Sondra. Cały dobytek Mickey mieścił się w jednej starej i bardzo sfatygowanej walizce. Obok skromnych sukienek z metkami firmy „Sears” i „J. C. Penney” leżał w niej stos schludnie wyprasowanych bluzek i swetrów w beżowo-brązowych odcieniach. Wszystko było sprane, wypłowiałe i niemodne.

– Możesz pożyczyć coś ode mnie – wpadła nagle na pomysł Sondra.

– Nie sędzę...

– Ależ oczywiście, chodź. – Wyciągnęła dziewczynę za rękę z jej pokoju, zaprowadziła do siebie i błyskawicznym ruchem dźwignęła na łóżko jedną ze swych wielkich toreb.

Mickey szeroko otworzyła oczy na widok prawdziwego rogu obfitości bluzek i spódnic, jedwabiów, bawełny i dzianin we wszystkich możliwych barwach i wzorach. Sondra beztrzesko wyciągnęła wszystkie ubrania i zaczęła w nich szperać. Podnosiła coraz to inne części garderoby, przykładała do Mickey i badała efekt krytycznym okiem.

– Naprawdę wolałabym, żebyś tego nie robiła – protestowała Mickey.

Sondra wydobyła ze stosu długi do kolan sweter firmy „Mary Quant” w czarno-niebieską szachownicę, z białymi rękawami i podsunęła go Mickey pod brodę.

– Nie będzie pasował – broniła się dziewczyna. – Te rzeczy są na mnie za małe. Jestem od ciebie wyższa.

Sondra zastanowiła się, skinęła głową i rzuciła sweter z powrotem na łóżko.

– No cóż, nie szata zdoła człowieka, nieprawdaż? Jestem zepsuta, jeśli chodzi o ubrania. Zdaję sobie z tego sprawę. To obrzydliwe mieć tyle szmat, nie sądzisz? – Próbowwała wepchnąć wszystko z powrotem do torby, ale bez skutku. W końcu dała za wygraną i pokręciła bezradnie głową. – Czasami mój dobytek wprawia mnie w zakłopotanie. – Umilkła i spoważniała. – Zawsze miałam wszystko, czego tylko zapragnęłam – przyznała cicho. – Nigdy nie potrafiłam się obejść bez...

Z korytarza dobiegł wybuch męskiego śmiechu. Obie spojrzały w kierunku otwartych drzwi.

– Nie wiedziałam, że akademik będzie koedukacyjny – wyznała strapiona Mickey.

– A ja nie przypuszczałam, że pokoje będą aż tak małe. Gdzie, u licha, mam podziąć te wszystkie rzeczy? – I Sondra opisała wielką, wielopoziomową rodzinną rezydencję w Phoenix, własną olbrzymią sypialnię z łazienką oraz garderobę o rozmiarach pomieszczenia, w którym obecnie przebywały. Po raz pierwszy wyjechała na tak długo z domu. Gdy studiowała na uniwersytecie, mieszkała z rodzicami. Nigdy nie utrzymywała ożywionych stosunków towarzyskich ani nie czuła potrzeby posiadania własnego mieszkania, w którym mogłaby się spotykać z przyjaciółmi albo przyjmować mężczyzn. Sondrze przyświecał w życiu jeden cel i właśnie z jego powodu znalazła się tutaj, w Castillo. Wszystko inne schodziło na dalszy plan, w tym randki i wieczory z przyjaciółmi.

Nagle obie usłyszały łoskot, który rozległ się na korytarzu poza zasięgiem ich wzroku. Wyrzwały z pokoju i zobaczyły dziewczynę w białych spodniach i w czarnym golfie, która pochylała się nad stosem rozrzuconych na podłodze książek.

– Od urodzenia jestem niezdara i pewnie taka już umrę – oświadczyła ze śmiechem, zaczesując dłońmi krótkie, ciemne włosy.

Sondra i Mickey schyliły się i pomogły jej pozbierać książki. A potem przedstawiły się sobie i wymieniły żartobliwe uwagi na temat pierwszego dnia na uczelni.

– Czuję się jak małe dziecko – stwierdziła Ruth Shapiro, gdy w końcu otworzyła drzwi i

weszły w trójkę do jej pokoju. – Dochodzę do wniosku, że całe moje życie jest cyklicznym procesem rozpoczynania szkoły: regularnie co cztery lata, jak w zegarku!

– Zapewnili nas, że na tym już będzie koniec – roześmiała się Sondra. Zauważyła, że Ruth, podobnie jak ona i Mickey, nie zdążyła się tu jeszcze zadomowić. Długa płócienna torba wciąż była zamknięta na błyskawiczny zamek, a na pustym biurku stała jedynie otwarta plastikowa kosmetyczka z przyborami toaletowymi.

Ruth rzuciła torebkę na ziemię i ponownie zanurzyła dłonie w krótkich włosach. Na wydatnym biuście nosiła zawieszony duży medalion z astrologicznym znakiem Wagi, który przy poruszeniu ciała zamigotał, odbijając wpadające oknem promienie zachodzącego słońca.

– Czuję się tak, jak gdybym przez całe życie miała być studentką!

– Wypożyczyłaś już podręczniki? – zdziwiła się Sondra, odczytując tytuły na grzbietach książek, gdy Ruth kładła je na stole. – Kiedy zdążyłaś to zrobić?

– Nigdy nie marnuję czasu. Mam zamiar zacząć je zgłębiać już dzisiaj wieczorem. Usiądźcie. Chciałabym, żebyśmy się bliżej poznały. – Zrzuciła z nóg sandały i zaczęła masować stopę w miejscu, gdzie ją ukłuł kamień. – Muszę sobie kupić jakieś pantofle, jeśli chcę wyglądać regulaminowo. Zatelefonuję też do mamy, żeby przysłała mi kilka spódnic!

Sondra przycupnęła na brzegu łóżka.

– A ja będę zmuszona podłużyć wszystkie sukienki.

– Obie jesteście z Kalifornii? – zapytała Ruth, sięgając po torebkę.

– Przyjechałam z Phoenix – odparła Sondra.

Obie spojrzały na Mickey, która wciąż stała niezdecydowanie.

– Pochodzę z miejscowości położonej niedaleko stąd, z Valley – odezwała się w końcu jak podejrzany o morderstwo, który postanawia wyznać całą prawdę.

– Słyszałam o Valley – Sondra usiłowała pomóc Mickey w najwyraźniej trudnym dla niej procesie zawierania nowych przyjaźni.

– Zostawiłaś tam kogoś? – dopytywała się Ruth, otwarcie przyglądając się policzkowi Mickey. Nie podjęła najmniejszego wysiłku, żeby robić to w sposób bardziej dyskretny.

– Kogo masz na myśli?

– Chłopaka.

Dobre sobie. Mężczyźni nie zabijali się, walcząc o względy kobiet takich jak ona. Ale Mickey nie czuła się z tego powodu zawiedziona. Już dawno pogodziła się ze swoim losem.

– Nie. Mam tylko matkę.

– Gdzie mieszka? – zapytała Sondra.

– W Chatsworth. Przebywa w prywatnej klinice na przedmieściach Valley. – Mickey spojrzała na purpurowo-lawendowe pnącza okalające okno w pokoju Ruth. – Mój ojciec umarł, gdy byłam małym dzieckiem. Nawet go nie znałam. – Skłamała. Ojciec uciekł z inną kobietą i zostawił matkę z roczną Mickey.

– Rozumiem, co czujesz – powiedziała Sondra. – Ja nie znałam obojga moich prawdziwych

rodziców. Zostałam adoptowana.

– Kiedy cię zobaczyłam dzisiaj rano w auli, pomyślałam, że pochodzisz z Polinezji. Teraz wydaje mi się jednak, że reprezentujesz typ urody śródziemnomorskiej – stwierdziła Ruth, wyjmując z torebki pudełko papierosów.

Sondra roześmiała się i obciągnęła sukienkę na udach.

– Zdziwiłabyś się słysząc, jakie domysły snują ludzie na temat mojego pochodzenia! Jedna osoba twierdziła nawet, że jestem Hinduską. Z okolic Bombaju.

– Nie wiesz, kim byli twoi rodzice?

– Nie, ale domyślałam się, jak wyglądali. W liceum spotkałam bardzo podobną do siebie dziewczynę. Ludzie czasami brali nas za siostry. Ale nie byłyśmy spokrewnione. Pochodziła z Chicago. Jej matka była czarna, a ojciec biały.

– Ach, rozumiem.

– Wszystko w porządku. Zaakceptowałam tę prawdę o sobie. Gdy dorastałam, moja matka przeżywała ciężkie chwile. Oczywiście mówię o matce, która mnie wychowała. Zostałam adoptowana jako niemowlę i wszystko wskazywało na to, że w przyszłości będę podobna do ojca, który ma ciemne włosy. Ale mój wygląd zaczął się zmieniać. W miarę upływu lat w coraz mniejszym stopniu przypominałam rodziców, co bardzo martwiło matkę. Była członkinią różnych klubów i obracała się w najwyższych sferach. Wiem, że przez pewien czas przysparzałam jej wielu trosk. Szczególnie wtedy, gdy ojciec postanowił zająć się polityką. Ale potem, na szczęście dla mnie, weszły w życie Prawa Obywatelskie i nagle pomoc niesiona Murzynom zaczęła być nie tylko tolerowana, ale stała się wręcz modna. A matka mogła w końcu dać sobie spokój z opowiadaniem mi historii o swoich dalekich włoskich przodkach.

Ruth i Mickey patrzyły zdumione na Sondrę. Nie mogły pojąć, jak to możliwe, by jej wygląd miał związek z jakąkolwiek formą prześladowania. Dla Ruth, która wiecznie musiała walczyć z nadwagą, i dla Mickey, która z powodu twarzy natknęła się w życiu na wiele zamkniętych drzwi, egzotyczna uroda Sondry i jej naturalny wdzięk mogły być jedynie przedmiotem zazdrości, a nie powodem do usprawiedliwiania się.

– Jesteś jedynaczką? – zapytała Ruth. Sondra poważnie skinęła głową.

– Moja mama nie chciała mieć więcej dzieci, chociaż ja marzyłam o braciach i siostrach.

Ruth zapaliła papierosa i pomachała dłonią, odpędzając dym z twarzy.

– Ja mam trzech braci i siostrę. I zawsze marzyłam o tym, żeby być jedynaczką.

– Pewnie to miło, gdy się ma rodzeństwo – zauważyła Mickey łagodnym tonem. Usiadła w końcu na podłodze i oparta się plecami o drzwi szafy.

Ruth utkwiała wzrok w rozżarzonej końcówce papierosa, a spojrzenie jej brązowych jak czekolada oczu stało się twarde. Miło jest mieć braci i siostry pod warunkiem, że dla żadnego dziecka nie brakuje ojcowskiej miłości.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Wszystkie obejrzały się i zobaczyły młodą kobietę. Stała w wejściu z butelką Sangrii i z czterema kieliszkami.

– Cześć. Jestem doktor Selma Stone, studentka czwartego roku – przedstawiła się. – Możecie uważać mnie za komitet powitalny szkoły Castillo. – Niewątpliwie pochodziła ze Wschodniego Wybrzeża. Miała na sobie tweedową spódnicę, jedwabną bluzkę oraz sznur pereł. Jej wygląd pasował do atmosfery otoczenia i nasuwał myśli o minionej, bardziej konserwatywnej epoce. Przsunęła sobie krzesło stojące przy biurku Ruth, usiadła na nim i założyła nogę na nogę.

– Dlaczego przedstawiasz się jako doktor Stone, skoro jesteś dopiero na czwartym roku? – zapytała Ruth, biorąc kieliszek czerwonego wina.

Selma roześmiała się.

– Na trzecim roku, gdy zaczniecie praktykę w szpitalu St. Catherine's, który znajduje się po drugiej stronie autostrady, będziecie musiały przedstawiać się pacjentom jako lekarki.

Taka polityka, zdaniem naszych przełożonych, ma zaoszczędzić chorym niepotrzebnych obaw. Przedstawiam się w ten sposób już od roku. Nic więc dziwnego, że mi to weszło w nawyk. Ale prawdziwym lekarzem będę dopiero za dziewięć miesięcy.

Ruth zapatrzyła się w rubinową powierzchnię wina, myśląc o nieuczciwym traktowaniu pacjentów i o bezprawnym przywileju używania lekarskiego tytułu.

– Zgłosiłam się na ochotnika, żeby osobiście was powitać na naszej uczelni, zanim pójdziecie na proszoną popołudniową herbatę. Od czasu gdy dopuszczono do egzaminów kobiety, ten zwyczaj należy tutaj do tradycji. Trzy lata temu, kiedy rozpoczynałam studia jako jedyna dziewczyna na roku, byłam przerażona! Z prawdziwą wdzięcznością przyjąłm wizytę studentki z najstarszego rocznika, która przyszła ze mną porozmawiać.

Sondra przez długą chwilę nie spuszczała swoich bursztynowych oczu z Selmy Stone. Jakie to uczucie, gdy się jest jedyną kobietą wśród dziewięćdziesięciu mężczyzn?

– Będziecie miały wątpliwości. Mają je wszyscy – uprzedziła Selma. Przesunęła wzrok po trzech twarzach, oceniając każdą z osobna. Brunetce o krótkich włosach nie wróżyła kłopotów w Castillo; w jej oczach malowała się nieustępliwość i wola wytrwania. W przypadku drugiej dziewczyny, prawdziwej piękności, wszystko zależało od tego, w jakim stopniu panuje nad sobą. Egzotyczna uroda mogła przysporzyć jej wielu kłopotów z mężczyznami albo stać się źródłem wielkich korzyści. Natomiast trzecia z nich, blondynka ukrywająca się za zasłoną z włosów, miała niepokojąco wylęknioty wzrok. Selma nie była pewna, czy ta ostatnia będzie w stanie stawić czoło zadaniu.

Tymczasem dziewczyna odezwała się niespodziewanie:

– Chciałabym cię o coś zapytać. Gdzie się mieszczą wszystkie damskie toalety?

– Nietrudno je zliczyć, ponieważ w całej szkole jest tylko jedna. W Encinitas Hall.

– Tylko jedna? Dlaczego?

– To logiczne. Liczba kobiet na roku w Castillo nigdy dotychczas nie przekroczyła ośmiu procent ogólnej liczby studentów. W latach czterdziestych, gdy dopuszczono kobiety do ubiegania się o przyjęcie na studia, na roku mogły być najwyżej tylko dwie studentki. A ponieważ do dzisiaj pracuje tu wyłącznie męski personel, nie było potrzeby demolowania

każdego budynku w celu zwiększenia liczby urządzeń sanitarnych.

– Jak wobec tego... – zaczęła Mickey.

– Nauczysz się obchodzić bez porannej kawy i herbaty oraz zaczniesz się zabezpieczać przed nadejściem okresu. Nie będzie czasu na to, żeby wymykać się z zajęć i biegać na drugą stronę miasteczka akademickiego do Encinitas Hall.

Mickey poczuła znajomą suchość w gardle. Przebywać tak daleko od łazienki!

– Jak traktowane są tutaj studentki? – zapytała Sondra.

– Wiadomo, że przed laty panowało wielkie oburzenie, gdy zezwolono kobietom ubiegać się o dyplom Castillo. Obawiano się, że przyczynimy się do spadku jego rangi. Wciąż jeszcze możecie spotkać się z wrogim nastawieniem niektórych starszych wykładowców. Znajdą się tacy, którzy będą was bez przerwy kontrolować. Jest też wśród nich kilku, którzy mają zwyczaj wywierania presji na studentki po to, żeby je załamać. Ale nigdy nie pozwólcie sobie na łzy. Jeśli się rozpłaczecie, potwierdzicie ich opinię o słabości kobiecej psychiki.

Ruth Shapiro podniosła kieliszek do ust. Wzdrygnęła się na tę ponurą przepowiednię Kasandry. Nic i nikt nie będzie w stanie powstrzymać jej przed dotarciem do linii mety.

– Dacie sobie radę – pośpiesznie zapewniła Selma Stone. – W każdej sytuacji starajcie się tylko zachowywać w sposób profesjonalny. I pamiętajcie o tym, że Castillo nie jest otwartą i liberalną uczelnią w rodzaju tych, z których zapewne przybyłyście. To surowa szkoła, z całym konserwatyżmem cechującym klub męski. A my jesteśmy uważane w niej za intruzów.

– A studenci? – zapytała Sondra. – Co oni o nas sądzą?

– Większość traktuje nas jako równe sobie, ale zawsze mogą trafić się i tacy, którzy poczują się przez was zagrożeni. Na każdym kroku będą próbowali podstawić wam nogę, żebyście nie zapomniały, kto tutaj rządzi. Będą starali się was rozgryźć. Ale jeśli zachowacie w stosunku do nich właściwy dystans i skoncentrujecie się na głównym celu, jaki was tu przywiódł, to nie będziecie miały żadnych problemów.

Długi stół był nakryty adamaszkowym obrusem, a przy każdym talerzyku stała wizytówka ozdobiona małym bukietem kwiatów. Po popołudniowej herbacie, gdy piły białe wino przy ogromnym kamiennym kominku w kącie przestronnego salonu, miały okazję się zapoznać z dalszymi szczegółami regulaminu obowiązującego w Castillo. Pani Hoskins, żona dziekana, okazała się sympatyczną kobietą. Nosiła białe rękawiczki, zwracała się do nich per „dziewczęta” i zapewniała, że będą chlubą dla swoich przyszłych mężów.

Wracały w trójkę do akademika już po zapadnięciu zmierzchu. Milczały, wsłuchując się w huk przybrzeżnych fal na plaży u podnóża skał Castillo. Po lewej stronie, na tle palm i fiołkowego nieba, wznosiły się groźnie, niczym złowieszcze zwiastuny wydarzeń najbliższych czterech lat, ciemne mury Mariposa, Manzanitas i Rodriguez Hall. Ale po prawej stronie autostrady Pacific Coast błyszczał jak latarnia morska u kresu mrocznej przyszłości złoty monolit, szpital St. Catherine's, w którym miały odbywać praktykę. Pełne obaw ostrożnie stąpały po stuletnim bruku.

Przy wejściu do Tesoro Hall zalał je blask światła, muzyka rockowa i męski śmiech.

– Jak, u licha, mamy się w tych warunkach uczyć? – zachnęła się Ruth. – Mam pewien pomysł. Co sądzicie o tym akademiku?

– Co masz na myśli? – zapytała Sondra.

– Za pobyt w nim płacimy wygórowane kwoty. I tylko posłuchajcie, jaki panuje tutaj hałas. A może by tak w trójkę wynająć mieszkanie?

– Mieszkanie?

– Poza terenem uczelni. Widziałam w okolicy ogłoszenia.

Założę się, że podzielona na trzy kwota wynajmu będzie nieporównywalnie niższa od kosztów tutejszego zakwaterowania. Tym bardziej że naprawdę nie ma tu warunków do nauki. – Ruth spojrzała krzywym okiem w kierunku dobiegających dźwięków muzyki i śmiechu. – Każą nam też płacić za sprzątanie i pralnię. A nie wątpię, że same potrafimy utrzymać mieszkanie w czystości i wyprać swoje rzeczy. Kolejna kwestia dotyczy jedzenia. Co sądzicie o dzisiejszym obiedzie?

Próbowały przypomnieć sobie menu, ale zdołały jedynie ustalić, że potrawa miała brązową barwę.

– Umiem dobrze gotować – stwierdziła Ruth. – Poza tym nie jadłam trzech posiłków dziennie, a muszę płacić za wszystkie bez względu na to, czy z nich korzystam. Pomyślcie tylko, ile w ten sposób zaoszczędzimy pieniędzy. – Umilkła na moment. – Ale najważniejszy jest spokój. Żadni faceci nie będą biegać po korytarzu za naszymi drzwiami.

Mickey zaświeciły się oczy. Będą tylko same, z dala od płci męskiej.

– Podoba mi się ten pomysł – powiedziała.

Sondra pomyślała o ciasnym pokoju w akademiku i o usłużnych młodych mężczyznach takich jak Shawn – miłych i życzliwych, ale natrętnych.

– Człabym się o wiele lepiej w bardziej przestronnym miejscu. Ale pod warunkiem, że nie znajdowałyby się zbyt daleko od oceanu.

Postanowiły, że Ruth się rozejrzy. Nauka zaczynała się dopiero za dwa dni, w czwartek, co dawało im czas na znalezienie mieszkania, przeprowadzkę i wyklócenie się z biurokratycznym kasjerem o zwrot opłaty za akademik. Przypieczętowały porozumienie uściskami dłoni.

Rozdział 3

Wrzesień jest najbardziej upalnym miesiącem lata w południowej Kalifornii. Gdy ponownie spotkały się w trójkę w środę po południu, panowała bezlitosna spiekota i nawet podmuch znad oceanu nie przynosił upragnionej ulgi. Odjechały Avenida Oriente mustangiem Sondry.

Kilka minut później wspinały się po schodach dwupiętrowego bloku czynszowego. Ruth wyciągnęła z torebki zwiniętą zapisaną karteczkę i wręczyła ją Sondrze.

– Oto liczby. Właścicielka domagała się zadatku za sprzątanie, ale przekonałam ją, że poradzimy sobie z tym same. Czynsz wynosi sto piętnaście dolarów miesięcznie. Opłaty za prąd i wodę nie powinny przekroczyć dziesięciu dolarów. Na żywność musimy przeznaczyć kwotę stu pięćdziesięciu dolarów. Tak więc koszty utrzymania jednej osoby wyniosą mniej niż sto dolarów miesięcznie. Zamiast wydawać osiemset dolarów na pobyt w akademiku, każda z nas zaoszczędzi w semestrze około trzystu dolarów.

Ruth wyłowiła klucz z kieszeni spodni, otworzyła wejściowe drzwi i zawołała:

– A oto i nasze mieszkanie!

Było niewielkie, ale za to ładnie umeblowane i na całej powierzchni wyłożone dywanową wykładziną. Pomimo gołych ścian w kremowym odcieniu i pustych stołów oraz półek wszystkie trzy od pierwszej chwili wiedziały, jak ich nowy dom będzie wkrótce wyglądać. Sondra wyobraziła sobie poduszki i plakaty. Ruth w myślach porozstawiała wokół kwiaty i ozdobiła ściany obrazami. Mickey Long natomiast delektowała się odosobnieniem tego miejsca, które było wyodrębnioną ze świata enklawą.

– No i co o tym sądzicie? – zapytała Ruth.

– Bardzo mi się podoba – zapewniła Sondra. – Przywiozłam z Phoenix kilka pięknych plakatów. Dzięki nim będziemy mogły napawać wzrok widokiem zamków, rzek i zachodów słońca. A ciemnopomarańczowe poduszki ożywią kanapę. – Stała na środku salonu i rozejrzała się wokół z uśmiechem. – Może by się też przydał jakiś orientalny dywan – dodała.

– No, no! – zawołała Ruth. – Nie stać mnie na takie rzeczy. Sama płacę za swoje utrzymanie w czasie studiów. Muszę się liczyć z każdym groszem.

– Och, nie ma sprawy – uspokoiła ją Sondra. – Mam pieniądze. Będę waszym architektem wewnątrz.

Ruth przez chwilę przyglądała się Mickey, która ostrożnie i lękliwie skradała się w stronę korytarza, jak gdyby obawiała się czyhających duchów.

– A co ty o tym myślisz, Mickey? – zapytała, biorąc się pod boki.

Mickey przeszedł dreszcz podniecenia. Mieszkanie bardzo jej odpowiadało. Mogły je z gustem urządzić i stworzyć w nim przytulną atmosferę. I było takie niekrepujące! A poza tym dawało jej pewność, że zdoła teraz związać koniec z końcem. Ze stypendium, studenckiej pożyczki oraz z pieniędzy zarobionych podczas letnich wakacji musiała się nie tylko utrzymać,

ale i pokryć koszty kliniki, z której jej matka była taka zadowolona.

– Pokoje rozdzielimy ciągnąc losy – zaproponowała Ruth i skierowała się do kuchni po pudełko zapalek. Ale Mickey zatrzymała ją, oświadczając, że chętnie zajmie sypialnię bez okien. Szyby i lustra były zmorą jej życia.

Nie bacząc na panujący skwar, pojechały do akademika i załadowały swoje rzeczy do mustanga. Gdy wracały do wynajętego mieszkania, ogniste słońce świeciło im prosto w oczy. W domu Sondra pootwierała wszystkie okna, wpuszczając do środka cudownie rześki i słony powiew oceanicznej bryzy. Ruth wyjęła w tym czasie to, co kupiła rano w supermarkecie: garnek do gotowania wody i potraw, rozpuszczalną kawę, ser, krakersy, papier toaletowy oraz pudełko ze świecami, które rozpakowała i zaniosiła po jednej do każdego pokoju.

– Właścicielka zapewniła mnie, że jutro włączą nam prąd. W ten weekend musimy się rozejrzeć za wyposażeniem kuchni i łazienki.

Sondra nie traciła czasu. Zajął się urządzaniem swojego pokoju, pomimo że czerwonożłote słońce zanurzyło się już w Pacyfiku, a do wnętrza zaczęły wkradać się długie cienie nocy. Tuż nad łóżkiem powiesiła plakat Janice Nakamury z kotami dżungli. Chciała mieć go przed oczami codziennie rano po przebudzeniu. Na biurku pod oknem starannie ułożyła oprawione w skórę przybory do pisania, które były nagrodą za dyplom, a obok nich postawiła zdjęcie rodziców zrobione w Wielkim Kanionie. W szafie po prawej stronie powiesiła sukienki, rezerwując lewą na spódnice i bluzki, a buty ustawiła, niczym żołnierzy w szyku bojowym, równym rzędem na podłodze. Potem wygładziła pościel, pożyczoną chwilowo od właścicielki, gdyż nie kupiła jeszcze własnej, spulchniła poduszki i cofnęła się, żeby ocenić efekty swoich zabiegów.

„Pierwszy krok” – pomyślała z ogromną satysfakcją. „Pierwszy krok w ostatnim etapie podróży...”

Zanim dołączyła do Ruth i Mickey, przystanąła na chwilę, żeby wyjrzeć przez okno. Choć została uprzedzona przez Ruth, że nie zobaczy oceanu, to wiedziała przecież, że jest tuż obok. Za palmami i dachami domów. Jej ocean. Wyczuwała jego rytm, wdychała jego niespokojny powiew. A gdy przymknęła oczy i uważnie się wsłuchiwała, wychwytywała szum przybrzeżnych fal, który tak wiele jej obiecywał. Wielki i daleki świat przywołując ją do siebie przyrzekał pomyślne zakończenie poszukiwań. Nigdy nie wątpiła w to, że pewnego dnia odpowie na jego wezwanie. Spoczywał na niej obowiązek naprawienia krzywd. Miała do spłacenia dług z racji więzów krwi. Pragnęła określić swoją tożsamość i znaleźć w życiu własne miejsce. Bez względu na to jak odległa czekała ją droga, musiała wrócić do czarnej rasy – do swoich dalekich przodków. Sondra Mallone czuła, że stoi nad brzegiem wielkiego i wabiącego ją oceanu. Ogarnęło ją podniecenie podobne do tego, jakie odczuwała we wtorek rano, gdy dziekan Hoskins cytował słowa przysięgi Hipokratesa.

W kuchni Ruth rozsmarowywała przy świetle świecy ser na krakersach, zaś Mickey od dłuższej chwili przebywała w łazience.

Ruth dziwiła się, że nie trzęsą się jej ręce. Wewnątrz była rozdygotana. Postawiła w końcu na

swoim. Zrobiła pierwszy ogromny krok. „Wbrew przepowiedniom ojca nie przegram” – pomyślała. „Mam zamiar dopiąć swego i skończyć studia jako pierwsza na roku”.

Jej ojciec, znany i wzięty internista w stanie Waszyngton, był bardzo rozczarowany dwadzieścia trzy lata temu, gdy na przekór jego życzeniom i planom żona urodziła mu córkę. Wszystko zostało jej jednak wybaczone, gdy pośpiesznie powiła jedenaście miesięcy później Joshuę. W następnej kolejności przyszedł na świat Max i David. Najmłodsze dziecko, ostatnie i dlatego najbardziej upragnione, było płci żeńskiej. Mike Shapiro miał ogromną słabość do małej Judith i traktował ją niczym księżniczkę. Jak gdyby pierwsza córka w ogóle nie istniała. Dla tej ostatniej zachował całe swoje uczucie, które z tytułu pierwszeństwa należało się Ruth.

Z drugiej strony Ruth nie mogła brać mu tego za złe. Była otyłym, niezdarnym i denerwującym dzieckiem z rodzaju tych, które zawsze przewracają kubki z mlekiem i chodzą z okruchami ciasta na brodzie. Teraz, jako dorosła, konkurowała ze swoimi braćmi. Joshua studiował w West Point i jego zdjęcie dominowało na obramowaniu kominka. Max przygotowywał się do studiów medycznych w Northwestern. Zamierzał pójść w ślady ojca i w przyszłości przejąć po nim praktykę. David natomiast zapowiadał się na świetnego prawnika.

„Nie dasz rady, Ruthie” – oświadczył ojciec, gdy wypełniła podanie o przyjęcie na medycynę. „Dlaczego nie chcesz zaakceptować siebie takiej, jaką jesteś? Znajdź sobie jakiegoś miłego chłopaka, wyjdź za niego za mąż i urodź mu dzieci”. Problem z Ruth polegał jednak na tym, że nigdy nie rezygnowała. Chociaż w okresie dzieciństwa i wieku dojrzewania utrzymywała się na niewybaczalnym poziomie przeciętności, to nigdy nie zbaczała z raz wytyczonej drogi. Nie zaliczała się do dzieci utalentowanych. I nie z jej winy nikt więcej nie uczestniczył w jedynym wyścigu, w którym zdobyła miejsce na podium. Nagroda i tak jej przypadła. Ale ów nieszczęsny wyścig sprzed lat też miał swoje plusy. Dał Ruth okazję poznać, czym jest podziw ojca. A gdy raz zakosztowała jego smaku, łaknęła go jeszcze bardziej.

„Tym razem nie będę trzecia” – pomyślała, rozkładając krakersy na tekturowej tacce. „Przybędę na metę jako pierwsza. Pierwsza z dziewięćdziesięciu”.

Mickey długo nie wychodziła z łazienki. Nie wcierała w policzek pudru w płynie ani nie zaczesywała na jedną stronę włosów, ale siedziała ze wzrokiem utkwionym we własne odbicie. Patrzyła na twarz, która narażała ją na drwiny.

Gdy się urodziła, znamię było niewielkie jak ukłucie szpilki. Matka zwykła określać je mianem „pocałunku wróżki”. Z czasem zaczęło się jednak powoli rozrastać, aż plama w kolorze wina rozprzestrzeniła się od ucha aż po nozdrza, od żuchwy po linię włosów. Niektóre dzieci w szkole podstawowej były bardzo okrutne. „Hej, Mickey, masz dżem na buzi” – wołały. Albo twierdziły, że jej skóra jest trująca i nie można się do Mickey zbliżać. Niekiedy podpuszczały się nawzajem, żeby podbiec i dotknąć jej twarzy. Stanley Furmanski utrzymywał, że według jego ojca malinowe plamy stają się coraz większe, aż w końcu wybuchają, a z głowy wylewa się mózg. Wychowawcy upominali uczniów, żeby nie dokuczali nieszczęśliwym ludziom. W takich wypadkach Mickey miała ochotę umrzeć. Biegła z płaczem do domu, żeby w ramionach matki

ukoić swój ból.

W pierwszych latach liceum nie było lepiej. Dziewczęta próbowały się z nią zaprzyjaźnić tylko po to, żeby zadawać jej niedyskretne pytania na temat znamienia. Nauczyciele, pomimo najlepszych intencji, upokarzali ją swoją dobrocią, a chłopcy robili pomiędzy sobą zakłady, który z nich na randce pocałuje ją w policzek. Przez te wszystkie lata matka chodziła z nią do coraz to nowych lekarzy. Większość z nich była zdania, że plama jest zbyt ukrwiona, i odsyłali dziewczynę z kwitkiem. Inni eksperymentowali z ciekłym wodorem lub suchym lodem albo podejmowali próby z użyciem skalpela i jeszcze bardziej zeszpecili jej twarz.

Aż w końcu to nie twarz stała się miejscem jej najpoważniejszych okaleczeń. Mickey w przyspieszonym tempie ukończyła liceum, realizując w trzy lata czteroletni program i w wieku dwudziestu lat rozpoczęła naukę w Castillo jako najmłodsza studentka. Wkraczała w nowy etap życia z poczuciem niższości oraz z niezachwianą pewnością, że jej jedynym powołaniem jest praca.

W pierwszej chwili wydało się jej dziwne, że żaden z sześciu egzaminatorów, którzy przeprowadzali z nią rozmowę ubiegłej jesieni, nie był ciekaw, dlaczego wybrała ten zawód. Sądziła, że wszystkich o to pytają. Potem zrozumiała. Wystarczyło im jedno spojrzenie. Pracowali w tym fachu i nie byli głupcami. Każdy z nich na pewno się domyślał, ile gabinetów lekarskich odwiedziła w ciągu osiemnastu lat, począwszy od drugiego roku życia, gdy malinowa plama była wielkości dwudziestopięciocentowej monety. Każdy musiał zdawać sobie sprawę, ile zimnych dłoni dotykało jej twarzy, ile głów kiwało nad nią z powagą oraz iloma niepowodzeniami zakończyły się zabiegi z użyciem igły i skalpela. A także, ile razy usłyszała werdykt: „beznadziejny przypadek”. Jej postanowienie niesienia pomocy ludziom stawało się oczywiste dla każdego, kto tylko na nią rzucił okiem. Przecież musiała znaleźć sposób na wyplewienie upokarzającego schorzenia, nawet jeśli byłoby za późno, by mogła pomóc samej sobie.

Pukanie do drzwi wyrwało ją z rozmyślań. Otworzyła i zobaczyła uśmiechniętą twarz Sondry, oświetloną blaskiem świecy, którą koleżanka trzymała w dłoniach.

– Przepraszam, że tak długo tu siedzę – próbowała się usprawiedliwić. – Nie będę okupować łazienki przez cały czas, obiecuję.

– Nic się nie stało. Przyszłam cię tylko zawiadomić, że bankiet gotowy.

Ruth podała krakersy z serem, ustawiła plastikowe kubki i rozlała w nie coca-colę.

– Powinam uważać z tym napojem – stwierdziła, gdy współlokatorki usiadły przy stole w kręgu migającego światła. – Muszę się pilnować z wagą. Ilekroć zostałam przyłapana na picciu coca-coli albo na jedzeniu cukierków, gdy byłam mała, ojciec potraçał mi z kieszonkowego po pięć centów. A gdy chodziłam do siódmej klasy, zaproponował mi dziesięć dolarów za zrzućenie pięciu kilogramów nadwagi.

– W sobotę pojedziemy na zakupy – zaproponowała Sondra, z apetytem chrupiąc krakersa. – I zaopatrzymy się w dietetyczną żywność. Co sądzicie o tygodniowych dyżurach gotowania?

Obie spojrzały pytająco na Mickey, niepewne, czy wyrazi zgodę, ale ona milczała.

– Wiesz co, Mickey – odezwała się Ruth, strzepując okruchy z podkoszulka – jeśli chcesz zostać lekarzem, to nie możesz unikać kontaktu z ludźmi. Jak wyobrażasz sobie sposób porozumiewania się z pacjentami?

Mickey lekko zakasłała i spuściła głowę.

– Pragnę poświęcić się badaniom naukowym.

Ruth nagle pojęła. Osobowość i wygląd nie miały znaczenia w laboratorium. Liczył się tylko umysł i oddanie pracy.

– A jaką ty wybrałaś specjalizację, Ruth? – zapytała Sondra.

– Chcę zajmować się chorobami wewnętrznymi oraz tym wszystkim, co wchodzi w zakres obowiązków lekarza domowego. Myślę o prywatnej praktyce i o własnym gabinecie w Seattle. A ty?

– Wybieram się w świat – odparła Sondra. – Przez całe życie nie opuszczało mnie uczucie, którego nie potrafię zdefiniować. Jak daleko sięgam pamięcią, zawsze pragnęłam się przekonać, co znajduje się po drugiej stronie wzgórza. – W bursztynowych oczach odbił się blask płomienia, a jedwabiste czarne włosy zsunęły się z ramion na piersi. – Nie znam powodu, dla którego moja prawdziwa matka mnie oddała. Nie wiem, czy umarła przy porodzie, czy też nie była w stanie mnie utrzymać. Czasami prześladują mnie tego typu myśli. Urodziłam się w 1946 roku. Związek ludzi odmiennych ras wzbudzał wtedy powszechną dezaprobatę. Ciekawa jestem, jak to się stało. Czy moja matka spotkała ojca, zakochała się w nim, a potem została wykluczona z rodziny? Zostali ze sobą razem, czy ojciec ją porzucił? Które z nich było czarne? Zamierzam wyjechać po stażu do Afryki, żeby lepiej zrozumieć drugą część mnie samej.

Za zasłoniętymi oknami wzmógł się wiatr. Silnie dmuchał, brzęcząc szybami, jak gdyby usiłował wedrzeć się do środka. Ta żywa, wilgotna i słona bryza niosła ze sobą znad wzburzonego oceanu pocałunek Posejdona. Sprzyjała rozmyślaniom, zagłębianiu się w siebie, refleksjom nad minionymi wydarzeniami i spojrzeniu w przyszłość. Ruth, Mickey i Sondra, nie znające się jeszcze dwa dni temu, obrały kurs w nieznaną, wyruszając razem w podniecający i trochę przerażający rejs. Następne cztery lata miały je ukształtować na panie życia i śmierci. A zatem było się nad czym zastanowić.

Ruth odchrząknęła i podniosła w górę kubek.

– Wypijmy za nas. Za zdrowie trzech przyszłych lekarek.

Rozdział 4

Na kamiennym sklepieniu nad podwójnymi drzwiami w Mariposa Hall były wyryte słowa: MORTUI VIVOS DOCENT. Świeżo upieczeni studenci wielokrotnie przechodzili pod tym napisem podczas ostatnich sześciu tygodni, ale dopiero dzisiaj, w pierwszym dniu zajęć z anatomii, w pełni pojęli jego znaczenie: „Umarli uczą żyjących”.

Ruth zajęła to samo miejsce co zwykle, w najwyższym rzędzie auli. Ponieważ przyszła nieco wcześniej, wyciągnęła z płóciennej torby podręcznik, „Fizjologię człowieka” Guytona, i otworzyła go na rozdziale zatytułowanym: „Genetyczna kontrola funkcji komórek”. Od samego początku, od dnia gdy dziekan Hoskins wygłosił swoją inspirującą mowę i cytował słowa przysięgi, Ruth zabrała się poważnie do nauki. Pracowała przez te sześć tygodni bez wytchnienia, skwapliwie wykorzystując na wkuwanie wiedzy każdą wolną chwilę. Owego październikowego poranka, gdy koledzy z roku stopniowo zapełniali salę, zajmując miejsca i kładąc na kolanach narzędzia do sekcji, Ruth Shapiro próbowała zapamiętać kody RNA dla dwudziestu prostych aminokwasów występujących w cząsteczce białka.

– Cześć.

Ruth podniosła głowę. Obok niej usiadła rudowłosa dziewczyna. Podobnie jak Ruth dopiero zaczynała studia, nazywała się Adrienne i była żoną studenta czwartego roku.

– Strasznie się denerwuję – wyznała. – I chociaż mąż starał się przygotować mnie na tę sekcję, nadal napawa mnie przerażeniem. Nigdy nawet nie widziałam nieboszczyka.

– Wszystko będzie dobrze – uspokoiła ją Ruth ze zwykłym sobie pragmatyzmem. – Nie ma wyjścia, trzeba przez to przejść.

– Muszę cię ostrzec. – Adrienne pochyliła się w stronę Ruth. – Mąż mnie uprzedził, że jeden z asystentów od anatomii jest szczególnie zawzięty na kobiety i nie znosi, gdy są w jego w grupie. Jeśli któraś z nas zostanie przydzielona do Moreno, to z pewnością odczuje skutki jego antypatii.

– W jaki sposób?

– Co roku robi to samo. Po wykładzie studenci przechodzą do prosektorium i zwykle okazuje się, że na jednym ze stołów brakuje zwłok. Zawsze jest to stanowisko, do którego została przydzielona kobieta. Moreno odstawia komedię, że niby to wybiera na chybił trafił studenta, który zjedzie do podziemia i przywiezie ciało. Ale nieodmiennie wybór pada na studentkę.

Ruth patrzyła na Adrienne z powątpiewaniem.

– Wprost nie mogę w to uwierzyć...

– Ale to prawda. Na pierwszych ćwiczeniach mojego męża została wysłana do podziemi dziewczyna, która stamtąd nie wróciła.

– Co się z nią stało?

– Gdy zobaczyła basen, w którym trzymają zwłoki, załamała się i pobiegła z płaczem do

akademika.

– Przerwała studia?

– Ależ nie. Jest obecnie na czwartym roku. Poznałaś ją. To Selma Stone.

Ruth odwróciła się od koleżanki, oswajając się z nowymi informacjami. „Niech tylko Moreno spróbuje tej sztuczki ze mną” – mruknęła do siebie. Po chwili dostrzegła krążącą pomiędzy rzędami kartkę, na której studenci coś zapisywali.

– Co to jest? – zapytała.

– Rodzaj listy obecności.

– Sądziłam, że nie praktykuje się tego na wykładach.

– Nie chodzi o obecność, ale o przydzielenie stanowisk do sekcji.

Gdy lista dotarła do ich rzędu, Ruth przyglądała się jej zdumiona. Obok studenckich podpisów figurowały cyfry. Na górze widniała instrukcja, według której należało podać swoje nazwisko i wzrost. Ruth podpisała się i dodała obok: 163 cm.

Kartka została przekazana Adrienne, a potem Mickey, która w ostatniej chwili wpadła do auli i zajęła jedyne wolne miejsce w rzędzie. Niewiele brakowało, a spóźniłaby się, ponieważ odwiedziła toaletę damską w Encinitas Hall. Prędko podała swoje nazwisko oraz wzrost: 178 cm. Ostatnią osobą, która otrzymała kartkę, była Sondra. Rozmawiała właśnie z siedzącym obok młodym człowiekiem. Wpisała się na listę, nie zwracając na nią większej uwagi i w roztargnieniu zamiast wzrostu napisała swoją wagę: 50 kg.

Na podium wszedł doktor Morphy. Wydobył rozkładany wskaźnik i bez zbędnych wstępów rozpoczął wykład z anatomii. Po godzinie pośpiesznych objaśnień, uzupełnionych analizą wykresów i szybką powtórką podstawowych pojęć, takich jak „wewnętrzny” oraz „tylny”, odesłał studentów do prosektorium.

Gdy prowadzono ich długim, zimnym korytarzem do szafy z fartuchami, wszyscy byli dziwnie milczący i wylęknięci. Kobiety, oprócz Mickey, miały kłopot ze znalezieniem ochronnej odzieży o odpowiednich rozmiarach. Prędko zrezygnowały z poszukiwań. Zawinęły rękawy i schowały do przepaścistych kieszeni notatniki oraz narzędzia do przeprowadzenia sekcji.

Asystent trzymając w ręku kartkę, która przedtem krążyła po auli, głośno wykrzykiwał nazwiska oraz numery stołów. Studenci stopniowo zajmując przydzielone stanowiska, zrozumieli celowość wypełniania tajemniczej listy. Stoły do sekcji były ustawione na różnych poziomach i studentów pogrupowano według wzrostu. W rezultacie Mickey trafiła do grupy trzech mężczyzn, a Sondra i Ruth miały pracować w towarzystwie dwóch innych studentek.

Na nieszczęście stanowisko kobiet podlegało panu Moreno.

Był niskim mężczyzną. Gdy wkroczył do prosektorium z nadętą miną, wszyscy poruszyli się niespokojnie przy stołach, na których leżały przykryte zwłoki.

– W czternastym wieku – zaczął dramatycznym tonem – studenci z Salerno obowiązkowo uczestniczyli we mszy za zbawienie duszy nieboszczyka. W Castillo nie stawiamy aż tak krańcowych żądań. Domagamy się jednak, żeby zwłoki traktowane były z należnym im

szacunkiem. Nie dopuścimy do tego, żeby miało tu miejsce niewłaściwe obchodzenie się z ciałami zmarłych. Darujcie sobie wślizgiwanie się w środku nocy do prosektorium, żeby wypełnić zwłoki cukierkami. Nie życzę sobie parówek w pochwach ani brakujących członków. Uczę anatomii od dwudziestu lat i to wszystko już widziałem. Nie ma takiego kawału, który mógłby mnie zaskoczyć. Żaden z nich nie będzie nowy, oryginalny ani zabawny. Jakakolwiek profanacja zwłok, panowie, powtarzam: jakakolwiek profanacja zakończy się natychmiastowym wyrzuceniem ze szkoły!

Moreno opuścił wskaźnik i spojrzał wyniośle na ożywione strachem twarze, doskonale wiedząc, że studenckie figle i tak się będą zdarzać.

– A teraz do rzeczy – kontynuował już mniej donośnym głosem. – Przy każdych zwłokach znajdziecie dołączoną kartkę. Dowiedziecie się z niej, jaka była przyczyna śmierci. W większości są to ciała biednych i samotnych ludzi, których nie miał kto pochować. Pragnę uspokoić wasze sumienia, panowie, szkoła na koniec kursu wyprawi doczesnym szczątkom tych biedaków przyzwoity pogrzeb.

Moreno zaczął krążyć pomiędzy stołami, na których pod zielonymi prześcieradłami wyraźnie rysowały się dziwaczne kształty.

– Przy każdym stanowisku znajdziecie program sekcji i rękawice.

– Zatrzymał się przy ostatnim stole i zmarszczył brwi. Na sali panowała martwa cisza, głównie dlatego, że studenci wstrzymywali oddechy z powodu intensywnych i przyprawiających o mdłości wyziewów formaliny.

– A to co? – zdziwił się Moreno. – Tutaj brakuje zwłok. Ktoś z was będzie musiał zejść po nie na dół.

Odwrócił się i podszedł do ławki, na której leżała kartka z nazwiskami. Uniósł brwi w górę i demonstracyjnie zaczął przeglądać listę.

– Spójrzmy, kto został przydzielony do stanowiska dwunastego. Wybieram na chybił trafił. Mallone, która to z pań?

Sondra podniosła rękę w górę.

– Zjedzie pani windą po zwłoki na sam dół do sutereny. Niech pani powie pracownikowi prosektorium, że wydał nam o jedno ciało za mało, a potem proszę je przywieźć na górę.

Winda skrzypiała, a podziemny korytarz wypełniały nie nadające się do wdychania zapachy. Gołe żarówki nad głową dawały nikłe światło i ze wszystkich stron wylaniały się groźne cienie. Sondra przy każdym kroku czuła, jak dudni jej serce. Minęła szereg zamkniętych drzwi bez wywieszek, a gdy zaczęła już zastanawiać się, czy nie zbłądziła, jeden z cieni naprawdę się poruszył i zastąpił jej drogę. Sondra z trudem opanowała się, żeby nie krzyknąć.

– Witam – odezwał się mężczyzna w drelichowych spodniach i w kraciastej koszuli. – Czekałem na panią.

Sondra z przerażenia przełknęła ślinę.

– Czekał pan na mnie?

– Pierwszy dzień w prosektorium, nie myłę się, prawda? W grupie pana Moreno, mam rację? Proszę za mną, panienko. – I kuśtykając, wprowadził Sondrę do dużego pomieszczenia, które przypominało cysternę i było przesiąknięte oparami formaliny. Oczy Sondry natychmiast wypełniły się łzami. – Wybiorę dla panienki coś ładnego – zapewnił ją, sięgając po długi bosak. – Ładne nie jest takie straszne.

I nagle przez zamglone od łez oczy zobaczyła duży, wpuszczony w betonowe podłoże basen. Mógłby znajdować się w gimnazjum albo w ośrodku sportowym, gdyby nie był wypełniony zamiast wodą płynem konserwującym i gdyby na jego powierzchni nie unosiły się brunatne, zmumifikowane ciała. Obserwowała mężczyznę. Zarzucił hak, przyholował zwłoki do brzegu i zaczął wciągać je w górę.

Zabandażowana twarz była zupełnie niewidoczna, a ręce zostały związane na piersi jak do modlitwy. Sondra zauważyła, że jest to ciało młodej kobiety.

– Wyświadczam panience przysługę, dając tak ładne zwłoki. Nieczęsto trafiają do nas nieboszczycy w równie młodym wieku. Ta kobieta to Jane Doe. Szpital okręgowy zawarł umowę z naszą uczelnią, dzięki czemu nie tylko nie ponosi kosztów pogrzebu, ale jeszcze dostaje pieniądze od szkoły. – Przełożył ciało na składane nosze. – Moreno powtarza ten numer co roku. Ma podły charakter. Wszystkie zwłoki na górze są stare i odrażające. Nie da się na nich wiele nauczyć. Ale ponieważ Moreno złośliwie się wobec panienki zachował, wybrałem to, co mamy tutaj najlepszego. Podciągnął nosze w górę i zablokował koła. – Będą zazdrościć waszemu zespołowi... Hola, hola! – Błyskawicznym ruchem złapał Sondrę za ramię. – Nie zamierza pani chyba zemdleć?

– Nie. – Sondra otarła dłonią wilgotne czoło.

– Zaniosę ciało do windy, a pani może wejść po schodach.

– Mówi pan... mówi pan, że robi co roku ten sam kawał? – szepnęła Sondra.

– Tylko studentkom. Nie podoba mu się, że na jego uczelni studiują kobiety. Dlatego się nad nimi znęca.

– Rozumiem. – Miała ochotę głęboko zaczerpnąć powietrza, ale nie mogła. Była bliska omdlenia. – Poradzę sobie sama, dziękuję.

– Ależ panienko, chętnie zawiozę panience ciało na górę.

– Nie, dam sobie radę. Czy mam wrócić tą samą drogą, którą przyszedłam? Mógłby pan to... to znaczy ją przykryć? Dziękuję.

Podczas gdy winda jechała na trzecie piętro, Sondra stała oparta o ścianę, żeby utrzymać się na nogach. Huczało jej w uszach. Dwukrotnie miała wrażenie, że zemdleje, ale walczyła ze słabością, a złość dodawała jej sił. Kiedy drzwi z szumem otworzyły się, zobaczyła dwadzieścia wpatrzonych w siebie twarzy. W prosektorium panowała grobowa cisza.

Moreno zbliżył się do niej i obrzucił ją bezbarwnym spojrzeniem.

– Jestem szczerze zdumiony, że zdołała pani sprostać zadaniu, Mallone, zważywszy, że nie potrafi pani odróżnić nawet wagi od wzrostu.

Umarła z powodu krwotoku na skutek samouszkodzenia macicy. Miała nie więcej niż siedemnaście lat, nikt nie zidentyfikował zwłok ani nie zażądał ich wydania.

Jane Doe.

Sondra niewiele skorzystała z popołudniowych zajęć w prosektorium. Jej bursztynowe oczy szklily się, a w głowie kipiało od natłoku myśli.. „Nie zidentyfikowana i nie poszukiwana... „

Gdy po południu wracała do domu, powietrze było ciężkie. Ale ona nie zwracała uwagi na zbierające się nad oceanem szare, burzowe chmury. „Siedemnastoletnia dziewczyna, po której ciało nikt się nie zgłosił...”

Jaka była jej historia? Dlaczego to zrobiła? Jakie okoliczności pchnęły ją do tak drastycznego kroku?

– Musicie zachować obojętny stosunek do zwłok – radził im Moreno. – Niektórzy studenci emocjonalnie podchodzą do sekcji i przywiązują się uczuciowo do swoich nieboszczyków. Właśnie z tego powodu zakrywamy im twarze. Pracujecie na ciele. Nie zapominajcie o tym.

Ale Sondra nie potrafiła zastosować się do zaleceń asystenta. Po powrocie do domu zastała przy kuchennym stole przygnębioną Mickey. Jedna strona jej twarzy była kredowo biała, a druga rozpalona do czerwoności. Ruth w milczeniu otwierała puszkę z papryką, gdyż to jej przypadł dzisiaj w udziale obowiązek przyrządzenia kolacji.

– Co za dzień! – prychnęła Sondra, rzucając na ziemię torebkę. – Mogłam się wszystkiego spodziewać, ale na to, co mnie dzisiaj spotkało, zupełnie nie byłam przygotowana!

– Głupi osioł z tego Moreno – mruknęła Ruth.

Sondra obrzuciła wzrokiem produkty rozłożone na kuchennym blacie – paprykę w puszcze i kromki białego chleba.

– Mam świetny pomysł! Chodźmy gdzieś dzisiaj na kolację!

Mickey podniosła wzrok. W jej oczach pojawił się błysk, ale zaraz ustąpił miejsca obawie.

– Do Gilhooleya? – zapytała.

Już raz była w tej lokalnej spelunce, do której studenci przychodzili napić się piwa, posłuchać muzyki z grającej szafy oraz dać upust swoim frustracjom. W tym hałaśliwym i zatłoczonym miejscu Mickey czuła się jeszcze bardziej skrepowana niż zwykle. Ale dzisiaj pomysł wyjścia z domu i pewnej odmiany w codziennym schemacie wydał się jej niespodziewanie pociągający.

– Sama nie wiem – powiedziała wolno Ruth. Musiała wkuć na pamięć tablicę z substancjami osmotycznymi i przeczytać na przyszły poniedziałek pięćdziesiąt stron Farnswortha.

– Zapraszam was – zawołała Sondra, chwytając za torebkę. – Chodźcie, najwyższy czas, żeby się trochę rozerwać!

Rozdział 5

Już przy autostradzie Pacific Coast, naprzeciwko szpitala St. Catherine's, znajdowało się małe centrum handlowe. Oferowano tam wszelkie usługi, z jakich brać studencka mogła mieć ochotę skorzystać. Było kino „Magiczna Latarnia”, gdzie wyświetlano filmy z napisami, komis z używaną odzieżą, pralniczy automat czynny przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, mała księgarnia, sklep z ubraniami dla personelu medycznego i knajpka „U Gilhooleya”.

Gdy stanęły w wejściu, na swetrach połyskiwały im jak klejnoty pierwsze krople deszczu. Były zadowolone, że zdecydowały się tutaj przyjść. Głośna muzyka nie pozwalała na zbędne rozmyślenia. Przy stolikach tłoczyły się grupy kobiet i mężczyzn. Zewsząd dobiegał śmiech i ożywione rozmowy. Było tu ciepło, jasno i ruchliwie. I nagle Ruth zauważyła Steve'a.

– Cześć! – zawołała uszczęśliwiona i rozpromieniona. Poznała Steve'a Schonfelda na wieczorku tanecznym w Encinitas Hall dwa tygodnie temu i w zeszłą sobotę wybrała się z nim do kina na „Tam, gdzie rosną poziomki”. Był wysokim i przystojnym studentem czwartego roku.

– Woła nas, żebyśmy się do nich dosiadły – zauważyła Ruth.

– Och, nie! – zaprotestowała Mickey, wbijając wzrok w podłogę i odwracając twarz od trzech siedzących razem ze Steve'em mężczyzn. Mieli na sobie białe szpitalne kitle, co świadczyło o tym, że na dzisiaj wypadł im dyżur.

– Mickey ma rację – przyznała Sondra. – Rozejrzyjmy się za jakimś stolikiem i zaprosimy go do nas.

Ale znalezienie miejsca u Gilhooleya nie było zadaniem łatwym. Ruth wypatrzyła jednak wolny stolik i dotarła do niego, przepychając się pomiędzy klientami przy barze. Postawiła torebkę na blacie i odsunęła na bok brudne naczynia. Zanim Sondra z Mickey zdążyły usiąść, Steve Schonfeld już przy nich był.

– Hej, Ruth, co się stało, że oderwałaś się od książek? – Uśmiechał się szeroko.

Ten żart zaczął stawać się już tradycją. W ciągu dwóch tygodni znajomości Ruth czterokrotnie odrzucała zaproszenie Steve'a, za każdym razem tłumacząc się nauką. A nawet podczas dwóch godzin spędzonych w „Magicznej Latarni”, gdy próbowali zrozumieć film Bergmana, towarzyszyły im powielone arkusze z wykazem enzymów, na które Ruth w każdej wolnej chwili rzucała okiem.

Steve został przedstawiony Sondrze i Mickey i zajął miejsce obok nich przy stoliku.

– Dyżuruję pod telefonem – wyjaśnił. – Nie mogę obiecać, że długo będę was zaszczycał swoją obecnością. – Założył ręce i oparł się łokciami o stół. – Co to za okazja? Czyjeś urodziny?

– Pierwszy dzień w prosektorium. – Ruth skrzywiła się.

– Ach, to wyjaśnia ten tłok. U Gilhooleya nigdy nie ma aż takiego ruchu w środy. Zastanawiałem się nawet, co się dzisiaj stało. Przypominam sobie mojego pierwszego nieboszczyka. Tygodniami nie mogłem otrząsnąć się z przygnębienia!

Ruth poczuła ukłucie zazdrości. Steve oraz jego koledzy z czwartego roku nosili słuchawki w kieszeniach, w klapy kitlów mieli powpinane tabliczki z nazwiskami i pracowali na oddziałach. Tak wyglądało teraz nowoczesne nauczanie – dwa lata zdobywania teoretycznej wiedzy i praca z wykładowcami, którzy w większości byli doktorami filozofii, a nie medycyny, i dopiero na trzecim roku pierwszy kontakt z pacjentem. A Ruth wprost paliła się, żeby jak najszybciej rozpocząć praktykę medyczną i robić to samo, co ojciec.

Jeden z kolegów Steve'a przeszedł pośpiesznie obok ich stolika.

– Wzywają mnie. Muszę ponownie podłączyć dwie kroplówki – wyjaśnił z pochmurną miną.

Steve pokręcił głową i roześmiał się.

– Zdarza mu się to już po raz siódmy w tym tygodniu. Wkrótce zrozumie, jak należy sobie radzić z tym problemem. Ja bardzo szybko na to wpadłem.

– O czym ty mówisz? – zdziwiła się Sondra, rozglądając się za kelnerką.

– Szpital St. Catherine's jest kliniką. Dlatego spychają na nas całą niewdzięczną robotę, żebyśmy mieli możliwość nabrania wprawy. Podłączanie kroplówek należy do tego typu zadań. Pielęgniarki na oddziałach nie kontrolują poziomu płynu w butlach, które stale się kończą. Żeby podać pacjentowi następną, trzeba zaczynać całą procedurę od początku. W ubiegłym roku na wiosnę, kiedy to zostałem aż cztery razy obudzony tej samej nocy do podłączenia kroplówki, wpadłem na pewien pomysł. Pokazałem pacjentowi butelkę nad łóżkiem. „Widzi pan ten płyn i rurki?” – zapytałem go. „Otóż musi pan pilnować, żeby nie spłynął do końca. W przeciwnym razie do żyły dostanie się powietrze i umrze pan”.

– Nie! – zawołała Sondra.

– Ta metoda okazała się niezawodna. Gdy tylko poziom płynu jest niski, pacjent dzwoni po pielęgniarkę, która umieszcza na stojaku nową butelkę. Od tamtej pory, to jest od sześciu miesięcy, ani razu nie musiałem ponownie podłączać kroplówek.

– Ale chory czuwa przez całą noc – zauważyła Sondra.

– To lepsze, niż gdybym ja miał się nie wysypiać. – Steve dostrzegł na jej twarzy znajomy wyraz dezaprobaty. Wszyscy początkujący studenci mieli idealistyczne wyobrażenie o zawodzie lekarza. Pochylił się w jej stronę. – Gdy zaczniesz dyżurować, to zrozumiesz, że każda minuta snu w naszym fachu jest na wagę złota. Jeśli spędzisz całą noc na nogach, podłączając na nowo kroplówki, nazajutrz nie będzie z ciebie żadnego pożytku na oddziale, gdzie trzeba odwalić kawał prawdziwej roboty.

Sondra spojrzała na niego z powątpiewaniem. Nie sądziła, żeby mogła upaść aż tak nisko, gdy będzie na czwartym roku.

– Kelnerki najwyraźniej nie zwracają na nas uwagi – stwierdziła Ruth, usiłując którąś przywołać.

– Nie nadążają z robotą. Pan Gilhooley nie spodziewał się tu dzisiaj takiego tłoku i w związku z tym nie zatrudnił całego personelu. Chociaż prowadząc tę knajpkę przez dwadzieścia lat, powinien zanotować sobie datę pierwszego dnia ćwiczeń w prosektorium i przygotować się

na wzmożoną frekwencję gości.

– Okropnie chce mi się pić – oświadczyła Ruth.

– Z przyjemnością przyniosę paniom coś z baru. Na co macie ochotę?

– Poproszę o wodę mineralną – powiedziała Ruth.

– A ja chętnie napiję się białego wina – dodała Sondra. Odwróciły się w stronę Mickey, która siedziała zamyślona i patrzyła tępym wzrokiem przed siebie.

Nie zdążyły wyrwać jej z zadumy, gdy do stolika podszedł drugi kolega Steve'a.

– Tym razem wzywają nas obu. Przywieźli rannych z wypadku. Chodźmy!

– Panie wybaczą – przeprosił Steve, zrywając się z miejsca i wsuwając krzesło pod stół. – Może innym razem? Przyjdiesz w sobotę na dyskotekę do „Halloween”, Ruth?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się. – Do zobaczenia! Spocony i czerwony na twarzy chłopak, który pomagał w kuchni, pospiesznie zebrał brudne talerze i przetarł wilgotną ścierką blat stołu. Ale w zasięgu wzroku nadal nie było nikogo z obsługi.

– Przyniosę coś do picia. A wy wypatrujcie kelnerki – zaproponowała Sondra, wstając. – Na co masz ochotę, Mickey, na coca-cola?

– Słucham? A tak, poproszę.

Przy barze jakiś młodzian opowiadał grupie przyjaciół szpitalne anegdoty, którym się przysłuchiwał wsparty łokciami o ladę sam pan Gilhooley. Był silnym, rudowłosym mężczyzną o grzmiącym śmiechu. Sondra podeszła bliżej i rozejrzała się dookoła. W drugim, mniej zatłoczonym końcu baru inny młody człowiek, ubrany w dzinsy i podkoszulek Oxfordu, szperał w słojach z oliwkami i z cebulkami do koktajli.

Sondra obejrzała się na przyjaciółki. Były zajęte przeglądaniem jadłospisu, który w końcu do nich dotarł.

– Przepraszam... – zwróciła się do mężczyzny po drugiej stronie baru.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się, ale nie przerwał przeszukiwania słoików.

Sondra odchrząknęła.

– Czy mógłby mnie pan obsłużyć? – zapytała głośniej. Problem z knajpkami, jak ta, wynikał z braku konkurencji.

Jeśli komuś nie odpowiadała obsługa lub kuchnia, to i tak nie miał dokąd pójść.

Mężczyzna ponownie podniósł wzrok, mrugnął do Sondry i wyprostował się.

– Oczywiście, co mogę podać?

– Poproszę o butelkę coca-coli oraz wody mineralnej i o kieliszek białego wina.

– Czy mogę zobaczyć pani dowód?

Sondra spojrzała na niego zdumiona. Jeszcze nigdy w barze nie kazano się jej legitymować.

– Skończyłam już dwadzieścia jeden lat.

– Przykro mi. Takie są przepisy.

Wzruszyła ramionami, postawiła torebkę pomiędzy dwiema mokrymi plamami na blacie baru i zaczęła szukać portfela. W końcu znalazła dokument tożsamości i gwałtownym ruchem

podsunęła go pod nos młodemu człowiekowi.

Uważnie mu się przyglądał, przenosząc wzrok z małego zdjęcia na twarz Sondry. Marudził z tym dłużej, niż to było konieczne.

– Nie jest sfalszowany – oświadczyła Sondra.

– Naprawdę ma pani tylko sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu?

Sondra ze zdumienia coraz szerzej otwierała oczy. Mężczyzna miał miłą powierzchowność, nie był zbyt wysoki, a gdy się uśmiechał, w policzkach robiły mu się dołki.

– Dowód został wydany w Arizonie. Jest nieważny w Kalifornii.

– Co takiego?

– Dobrze, już dobrze – powiedział ze śmiechem. – Ten jedyny raz zrobię dla pani wyjątek. A to dlatego, że nie potrafię odmówić ładnej buzi. Coca-cola, woda mineralna i chablis.

Obserwowała go. Wyciągnął butelki, napełnił kieliszek i szklanki, a potem przesunął je w jej stronę.

– Dolar pięćdziesiąt.

Wyjęła z portmonetki banknot jednodolarowy oraz trzy monety dwudziestopięciocentowe. Podała mu pieniądze.

– Reszty nie trzeba.

– Dziękuję. – Podrzucił w górę dwudziestopięciocentowy napiwek, a potem schował go do kieszeni.

Sondra wiedziała, że sama nie poradzi sobie równocześnie ze szklankami i z kieliszkiem. Zastanawiała się właśnie, czy zrobić dwa kursy do stolika, czy też lepiej przywołać którąś z koleżanek, gdy do miejsca, w którym stała, zbliżył się pan Gilhooley. Wycierał ręce w ręcznik.

– Szuka pan czegoś, doktorze? – usłyszała jego słowa.

– Plasterków cytryny. Gdzie mogę je znaleźć, Gil?

Gilhooley odchrząknął, wyjął małą pustą miseczkę, mruknął coś pod nosem na temat nieobowiązkowości niektórych osób i skierował się w stronę drzwi, które zapewne prowadziły do kuchni.

Sondra ze szklankami w dłoni stała jak wrośnięta w ziemię. Mężczyzna uśmiechnął się do niej z zakłopotaniem.

– Proszę mi wybaczyć ten żart.

– Nie jest pan barmanem?

– Nie, nie jestem.

– A ja dałam panu napiwek!

– Przyda się, proszę mi wierzyć. Nie wie pani, co się mówi o lekarzach, którzy dopiero robią jakąś specjalizację? Że nie cuchną groszem.

– Jest pan lekarzem?

– Rick Parsons. – Wyciągnął rękę ponad barem. – A pani nazywa się Sondra Mallone i ma metr sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

Kiedy pan Gilhooley wrócił z miseczką wypełnioną plasterkami cytryny i postawił ją na barze, Rick Parsons nie zareagował, jak gdyby to, czego szukał, nagle przestało go interesować.

– Jest pani pielęgniarką? – zwrócił się do Sondry.

– Nie. Rozpoczęłam właśnie studia medyczne. Pochylił się nad barem, coraz bardziej zaintrygowany.

– Żartuje pani.

Ruth siedząc przy stoliku obserwowała Sondrę. Jej współlokatorka prowadziła przyjacielską pogawędkę z jakimś przystojnym nieznajomym. Mężczyzna najwyraźniej był zainteresowany Sondrą, która zachowywała się z taką swobodą, jakby znała go od lat. Gdy Ruth zobaczyła ją po raz pierwszy, wróżyła jej wielkie powodzenie u płci męskiej. Spodziewała się, że Sondra ciągle będzie umawiać się na randki. Jednakże wspólne życie pod jednym dachem przez sześć tygodni nie potwierdziło jej przypuszczeń. Sondra cieszyła się wielkim powodzeniem, to prawda, i zawsze skupiała na sobie wzrok mężczyzn. Ale nie miała najmniejszego zamiaru posuwać się dalej. Umiała trzymać ich na dystans i nie angażowała się w żadne związki. Ruth podziwiała ją za tę umiejętność. Prawdziwą sztuką było podobać się mężczyznom i równocześnie umieć odtrącać ich bez żalu. Jak ona to potrafiła robić? A co ważniejsze, dlaczego tak postępowała? Ruth z powrotem skierowała uwagę na jadłospis. Doszła do wniosku, że być może odpowiedź jest prosta. Zwracanie na siebie uwagi było w wypadku Sondry zbyt łatwe, brakowało w tym elementu wyzwania.

Po chwili Ruth odłożyła na bok kartę i zwróciła się do Mickey:

– Dobrze się czujesz?

– Tak, dziękuję. Ale nie mogę przestać myśleć o sekcji.

– Podobnie jak ja. Gdy byłam dzieckiem, ojciec zawsze opowiadał nam różne historie z okresu studiów. Niektóre były naprawdę straszne. – Ułożyła starannie na serwetce obok siebie nóż, widelec i łyżkę. – Mój ojciec skończył studia jako najlepszy spośród stu studentów na roku.

Mickey nieznacznie skinęła głową, ale wciąż była zamyślona i nie kwapiła się, żeby podtrzymać rozmowę. Ruth znowu zajęła się obserwowaniem gości.

Niektóre twarze wydawały się jej znajome. Większość młodych mężczyzn studiowała medycynę. Zostawili w akademiku regulaminowe stroje. Byli w dzinsach, podkoszulkach, wojskowych mundurach albo w modnych, rozszerzanych u dołu spodniach. Niewielu z nich towarzyszyły kobiety. A te, które były, miały na sobie pielęgniarskie uniformy. Obecność studentów medycyny przyciągnęła też jak zwykle dziewczęta z pobliskiego El Segundo oraz z Santa Monica. Przybyły, licząc na darmowy posiłek i na zawarcie znajomości z którymś z przyszłych lekarzy. Panowało wielkie ożywienie. Zewsząd dobiegał śmiech. Jednak Ruth, siedząc na uboczu, miała sposobność dokładnego przyjrzenia się ludzkiej cizbie. Wesołość była na ogół tylko powierzchowna, a pod jej powłoką krył się paniczny strach, który opanował pierwszy rocznik studentów Castillo.

Migotliwy blask świec na każdym stole oświetlał nerwowe twarze, rozbiegane oczy i

wylęknione spojrzenia. Pośpiesznie przetykane piwo, papieros przypalany od papierosa, zbyt piskliwy śmiech i urywane słowa – na każdym kroku dały się zauważyć czytelne jak na afiszu ogłoszeniowym znaki: w akademii medycznej szerzyło się przerażenie.

Ruth była z nim obeznana, tak jak z własnym niespokojnym biciem serca. Bez względu na to, jak dużo by się uczyła – przeglądając pytania egzaminacyjne podczas krótkich przerw, czytając fachową literaturę, robiąc wykresy i pilnie słuchając każdego słowa wykładu – czuła, że i tak będzie pracować za mało. Podczas gdy jej współlokatorki znajdowały wolne chwile na inne zajęcia (Mickey odwiedzała matkę w prywatnej klinice podczas weekendów, a Sondra spędzała w samotności długie godziny na plaży), Ruth uważała, że jej nie stać na tak wielki luksus. Koleżanki nie miały jednak aż tak wielkiej motywacji do nauki jak ona. Mickey co prawda oświadczyła kiedyś, że chciałaby skończyć studia jako jedna z trzech najlepszych studentek na roku, ale cóż to był za cel? Po co w ogóle startować w gonitwie, jeśli brakuje woli absolutnego zwycięstwa?

Konkurencja była oszałamiająca. Każdy z osiemdziesięciu siedmiu studentów pierwszego roku (trzech już zrezygnowało) zaliczał się do śmietanki intelektualnej w swoim liceum, był najlepszym z najlepszych i uczestniczył w wyścigu z podobną determinacją jak Ruth. Przecież w grę wchodził honor rodziny i dług zaciągnięty wobec rodziców, którzy niejednokrotnie sprzedali polisę ubezpieczeniową na życie, żeby móc wysłać syna na studia. W niektórych wypadkach w grę wchodziła tradycja i synowie mieli pójść w ślady ojców. W innych – członkowie kilku pokoleń czekali z nadzieją na pierwszego lekarza wśród krewnych.

Dziekan Hoskins po swoim wzniosłym przemówieniu z cytatami słów przysięgi sprowadził ich z powrotem na ziemię: „Pracujcie wytrwale, a dopniecie celu. Nie uda się to tym, którzy sądzą, że się jakoś prześlizgną. Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby powiodło się wszystkim, ale reguły tutejszej szkoły są bardzo surowe dla przeciętnego studenta. I nie każdy z obecnych tu dzisiaj otrzyma dyplom”. Zgromadzeni w auli zaczęli wtedy spoglądać na siebie ukradkiem, jak gdyby spodziewali się, że na czołach kolegów zobaczą pentagram, znak skazanych na niepowodzenie, który by im podpowiedział, kto ma zostać i podjąć walkę, a kto zawczasu powinien się z godnością wycofać. Ale Ruth Shapiro nic nie mogło zniechęcić. Wprost przeciwnie, tym mocniej utwierdzała się w postanowieniu, im bardziej złowróżbna była; przepowiednia.

Nagle uświadomiła sobie, że siedzi z założonymi rękami i marnuje czas. Gwałtownie wyprostowała się, sięgnęła do torebki i wyjęła zwinięty w rulon plik arkuszy z pytaniami egzaminacyjnymi. Ściągnęła gumową opaskę, założyła ją sobie na przegub dłoni i przeczytała pierwsze polecenie: „Określ specyficzne własności limfocytów B”.

„Dlaczego Afryka?” – dopytywał się przy barze Rick Parsons. Sondra obserwowała w dużym lustrze za jego plecami swoje współlokatorki. Mickey zachowywała się tak, jak gdyby była w transie, a Ruth przerzucała kartki z pytaniami. Sondra czuła, że powinna do nich wrócić. W napojach zaczął się już rozpuszczać lód.

– Nie miałby pan ochoty przyłączyć się do nas, doktorze Parsons?

– Na imię mam Rick. Oczywiście, z największą przyjemnością usiądę z wami. Wezmę tylko marynarkę.

Obserwowała go, gdy przepychał się w tłumie do stolika w kącie sali, przy którym siedziało w kłębach dymu towarzystwo składające się z trzech mężczyzn i jednej kobiety. Wszyscy byli w szpitalnych fartuchach. Rick coś im wyjaśnił. Spojrzeli w jej stronę, a potem skinęli głowami i pomachali mu na pożegnanie. Gdy wrócił z zarzuconą na ramię zamiszową marynarką, Sondra nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Rick wygląda bardzo seksownie.

– To szokujące odkrycie, prawda? – zapytał kilka minut później, gdy zanieśli napoje do stolika i Sondra dokonała prezentacji. – Jedna godzina nauki na uczelni medycznej odpowiada kosztom całego tygodnia studiów uniwersyteckich. Studentom medycyny niełatwo żyć z tą świadomością!

Ruth uśmiechnęła się uprzejmie i spojrzała na następną kartkę: „Opisz zewnątrzpochodny mechanizm rozpoczynający krzepnięcie”. I gdy Rick Parsons wspominał własne obawy sprzed wielu lat, z początkowego okresu studiów, Ruth powtarzała w myślach: „Wyzwolenie czynnika tkankowego i fosfolipidów...”

– Wszyscy chłopcy – mówił dalej Rick, robiąc zamaszysty gest, aż zamigotał złoty Rolex na przegubie jego dłoni – ukończyli szkoły z najlepszymi wynikami. Przybyli tutaj pewni wiary we własne siły, zadowoleni z siebie i zarozumiali. A tu nagle trach! Brutalne przebudzenie.

Sondra roześmiała się.

– Już w drugim tygodniu nauki poczułam się jak biała królowa z „Alicji w krainie czarów”, która musiała biec, żeby nie zostawać w tyle!

– To prawda – przyznał Rick, przyglądając się ślęczącej nad kartkami Ruth. – Na pewno już wiesz, że żadnego opuszczonego wykładu nie da się nadrobić. Każda godzina nieobecności na uczelni medycznej jest stracona bezpowrotnie.

Ruth sięgnęła po następny zestaw: „Opisz wewnątrzpochodny mechanizm rozpoczynający krzepnięcie”. Przymknęła oczy i powtórzyła w myślach: „Aktywacja czynnika XII i uwolnienie z płytek krwi czynnych w procesie krzepnięcia fosfolipidów... „

– Czy twoja przyjaciółka jest zawsze taka pracowita? – zwrócił się Rick do Sondry. – Od czasu do czasu trzeba się trochę zrelaksować.

– Ruth nigdy nie daje za wygraną. To superwoman. Parsons spojrzał przelotnie na Mickey. Uznał, że ma ładne zielone oczy. Mogłaby tylko bardziej je odsłonić, zaczesując do tyłu włosy. Mickey niespokojnie poruszyła się na krześle, czując na sobie jego taksujący wzrok. A jednak pomysł z przyjściem tutaj wcale nie okazał się taki dobry. Kontakt z ludźmi był zbyt bliski. Źle się czuła w towarzystwie. Chciała, żeby wszyscy zostawili ją w spokoju, samą z własnymi myślami i troskami. Sekcja zwłok poruszyła Mickey do głębi i dotknęła jej czulego, wrażliwego miejsca. I teraz targał nią przejmujący ból.

Na przydzielonym jej stole w prosektorium leżały zwłoki kobiety tuż po sześćdziesiątce. Nie było zewnętrznych objawów, które by wyjaśniały przyczynę zgonu. Kobieta zmarła wskutek

powikłań związanych z zapaleniem płuc – w tym przypadku ognisko infekcji pneumokokowej znajdowało się we wsierdzu. Choroba, która zaczęła się jako zwykle zakażenie górnych dróg oddechowych, zakończyła się śmiercią.

A matka Mickey zachorowała właśnie na zapalenie płuc.

Pani Long została przeniesiona do prywatnej kliniki w ubiegłym roku, kiedy to na skutek upadku musiała przejść operację stawu biodrowego. Złamanie się zrosło, mogła poruszać się o lasce i była jedną z bardziej aktywnych i ruchliwych pacjentek zakładu. Aż tu niespodziewanie cztery tygodnie temu przykuło ją do łóżka groźne zapalenie płuc. Jej wątłe ciało zeszczuplało o dalsze osiem kilogramów. Gdy Mickey w ubiegłą sobotę pojechała do kliniki, żeby odwiedzić matkę oraz zawieźć jej czekoladki i ilustrowane czasopisma, przeżyła wstrząs, widząc jak jest wymizerowana i słaba. Przecież jeszcze tak niedawno tryskała życiem.

Rachunek za pobyt w klinice był teraz znacznie wyższy. Stan matki wymagał troskliwszej opieki pielęgniarskiej i regularnych wizyt lekarskich, podawania leków i tlenu, oraz częstych badań laboratoryjnych. A ponieważ nie miała dodatkowej polisy ubezpieczeniowej, która by pokryła koszty leczenia wykraczające poza ubezpieczenie „Medicare”, Mickey jako najbliższa krewna musiała znaleźć sposób na opłacenie rachunków. W przeciwnym razie pani Long groziło przeniesienie do lecznicy publicznej, gdzie byłaby pozbawiona towarzystwa swoich przyjaciół i możliwości spacerowania po słonecznych ogrodach kliniki, którą zdążyła bardzo polubić. Mickey postanowiła, że do tego nie dopuści. Musiała zdobyć pieniądze drogą wyrzeczeń. Nie mogła burzyć szczęścia matki. Przecież pani Long przez tyle lat ciężko harowała, żeby utrzymać je obie. Często pracowała nawet na dwie zmiany, żeby pokryć koszty wizyt lekarskich w związku z zeszpeconą twarzą córki. Jak Mickey miałaby sumienie teraz ją opuścić?

Praca nie wchodziła w rachubę. Uczelnia zabraniała studentom zarobkowania w czasie trwania roku akademickiego. Poza tym i tak nie byłoby na nią czasu. Mickey co prawda nie oddawała się nauce z takim fanatyzmem jak Ruth, ale pomimo to spędzała nad książkami ponad trzydzieści godzin tygodniowo. W jaki sposób mogła zdobyć dodatkowe pieniądze?

– Wybrałem neurochirurgię – odpowiedział Rick Parsons na pytanie Sondry. – W tym roku robię specjalizację.

– Dlaczego zdecydowałaś się właśnie na tę dziedzinę? – zapytała, sięgając po wino.

Ruth podniosła wzrok znad „antyskrzepowego działania włókniaka”, żeby przez chwilę poobserwować osoby po drugiej stronie stołu. Rick Parsons okazywał żywe zainteresowanie Sondrą, podczas gdy ona traktowała go ze zwykłą sobie chłodną obojętnością. Ruth pomyślała o Stevie Schonfeldzie. Odczuwała przyjemność przebywając w towarzystwie tego ekscytującego mężczyzny. Po filmie Ingmara Bergmana pocałował ją długo i namiętnie. Ruth zaczynała się nawet martwić, jak znajdzie w swoim napiętym planie czas na romans. Ale postanowiła, że coś wymyśli. W przeciwieństwie do Sondry miała wielką ochotę na to, żeby jakiś mężczyzna zawrócił jej w głowie.

– Nie wyjaśniłaś mi jeszcze, dlaczego właśnie Afryka – zauważył Rick Parsons, powoli

mieszając napój. Siedział przy stole bokiem, opierając się jednym łokciem o blat, a drugą rękę trzymał na poręczy krzesła. Kolana jego i Sondry stykały się ze sobą.

Prowadzili ożywioną rozmowę. Tylko na moment przerwali wymianę zdań, żeby zamówić hamburgery i wino. Sondra opowiadała mu o swoich nadziejach związanych z Afryką, a on odsłaniał przed nią tajemniczy świat operacyjnej sali.

– Naprawdę jeszcze nigdy nie widziałaś operacji? – zapytał. – Gwarantuję, że gdy raz zasmakujesz w chirurgii, zapomnisz o Afryce. Wpadł mi właśnie do głowy pewien pomysł. Jutro rano będę operował. Zrób sobie wagary i przyjdź popatrzeć. Czwarte piętro. Zapytaj o pannę Timmons. Ona cię wpuści.

Gdy Mickey notowała cyfry na serwetce, szacując oszczędności z ograniczenia posiłków i pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży krwi, a Ruth dotarła do pytania o rolę witaminy D w regulacji zawartości wapnia w plazmie, Sondra Mallone zgodziła się na spotkanie z Rickiem Parsonsem na bloku operacyjnym szpitala St. Catherine's.

Rozdział 6

Nie pojmuję – powiedziała siostra, kręcąc głową. – Te ubrania na wszystkich wyglądają niechlujnie, a na pani leżą, jak gdyby pochodziły od samego Rudiego Gernreicha. To wprost nieprzyzwoite.

W fartuchu Sondry brakowało dwóch zatrzasek i panna Timmons zastąpiła je szerokim przylepcem. Znalezienie na bloku operacyjnym stroju w idealnym stanie granoczyło z cudem. Prawie każda z pielęgniarek chodziła w pocerowanym uniformie. A ponieważ pracownicy pralni szpitalnej zapełniali półki szafy w przebieralni na chybił trafił, siostry rzadko znajdowały odpowiedni dla siebie rozmiar odzieży ochronnej. Sondra przypadkiem trafiła na fartuch całkiem nieźle dopasowany, którego zielony kolor nie był jeszcze sprany i miał ładny żywy odcień; nawet kieszenie nie były powypychane. Okropna papierowa czapka nie tylko dobrze się na niej prezentowała, ale podkreślała jej atrakcyjną śniadą cerę, wysokie kości policzkowe i migdałowy kształt oczu.

Panna Timmons ponownie się roześmiała.

– Proszę mieć się na baczności przed wilkami – mruknęła.

Sondra poczuła się dziwnie, wchodząc po raz pierwszy na blok. Wiedziała, że ten moment musi kiedyś nastąpić. Nie spodziewała się jednak, że będzie to aż tak prędko. Wszyscy zaczęli zajęcia w szpitalu dopiero na początku trzeciego roku studiów. A ona już teraz, zaledwie po sześciu tygodniach na akademii i tuż po ukończeniu uniwersytetu w Arizonie, bez przygotowania i bez doświadczenia w dziedzinie medycyny oraz w organizacji szpitalnego życia wkraczała na teren owego tajemniczego sanktuarium.

To dziwne miejsce – wyłożone glazurą, chłodne, akustyczne, z błyszczącymi chromem urządzeniami oraz aparaturą ze szkła i przezroczystego plastyku – przywodziło na myśl łazienkę. Oświetlenie było intensywniejsze od słonecznego światła: białe, zimne i niemiłe dla oka. W tym odizolowanym, hermetycznym otoczeniu brakowało okien, które przypominałyby o porze dnia, o pogodzie i o reszcie świata. Blok operacyjny był labiryntem małych, wyłożonych zielonymi płytkami pomieszczeń, z których dobiegał odgłos prowadzonych rozmów, szum płynącej wody i dźwięczenie butelek. Przestrzeń wypełniał zapach mydła i płynów dezynfekcyjnych. Otworami wentylacyjnymi wpadało wilgotne powietrze, które na gołej skórze wywoływało uczucie chłodu. I panował tu tak okropny chaos, że człowiek z zewnątrz mógł się przestraszyć, a nawet przerazić.

Panna Timmons odciągnęła Sondrę z głównego przejścia. Wyjęła z pudełka papierową maskę w kwiaty firmy „Johnson & Johnson” i pokazała, jak ją należy zawiązać.

– Proszę wsadzić nos, o tutaj. Ludzie, którzy noszą okulary, mają problemy z parowaniem szkieł.

Po założeniu maski Sondra pojęła, dlaczego większość pielęgniarek na bloku ostro maluje sobie oczy. Były jedyną widoczną częścią twarzy!

– A teraz musimy omówić kilka podstawowych zasad – oświadczyła panna Timmons. W ten

szalony poranek, gdy hałas i bieganina na oddziale chirurgicznym były wprost nie do zniesienia, przełożona pielęgniarek na życzenie doktora Parsonsa zajmowała się przygotowywaniem do zawodu świeżo upieczonej studentki medycyny. – Proszę niczego nie dotykać i nigdzie nie odchodzić. Musi pani stać w wyznaczonym miejscu na sali jak wrośnięta w ziemię. Gdyby jednak chciała pani wyjść, proszę zwrócić się o pozwolenie do siostry, która nie uczestniczy bezpośrednio w operacji i jest jedyną niesterylną osobą na sali. Będzie panował tu niemały tłok, jak zawsze w przypadku operacji mózgu.

– Czy mam się umyć?

– Umyć! Broń Boże! Nie będzie pani wolno podejść do stołu bliżej jak na dwa i pół metra! Przykro mi, ale nie wpuszczamy niewtajemniczonych w rejon sterylnego pola. Dlatego też nie będą pani potrzebne rękawice ani fartuch.

Po tych słowach przełożona pielęgniarek pośpiesznie się oddaliła. Sondra została w umywalni. Widziała wózek, na którym przywieziono pacjenta i który po chwili odjechał pusty. Z jednego pomieszczenia do drugiego przetaczano czerwone maszyny anestezyjologiczne. Cicho szumiały urządzenia klimatyzacyjne, które chłodziły powietrze. Dobiegały ją wykrzykiwane głośno polecenia. Ktoś przebiegł obok z wyrazem paniki na twarzy, dwaj mężczyźni w chirurgicznych uniformach stali z założonymi rękami oparci o ścianę, a pielęgniarki trzepocząc połamami zielonych fartuchów śpieszyły się dokądś, niosąc na tacach parujące narzędzia.

Do umywalki, przy której stała, podszedł mężczyzna w operacyjnym stroju. Na twarzy miał maskę, a włosy zakrywał mu czepek. Wydobyl ze schowka gąbkę do szorowania i polewając wodą ręce, zmierzył Sondrę taksującym wzrokiem.

– Dzień dobry – przywitał ją z roześmianym spojrzeniem. – Jest pani naszym nowym pracownikiem?

– Nie. Zostałam tu tylko zaproszona. Ze zdziwienia uniósł brwi w górę.

– Studiuję medycynę – wyjaśniła, spostrzegając, jak zainteresowanie gaśnie w jego oczach.

Usunęła się z drogi, gdy dwaj następni mężczyźni w zielonych uniformach i maskach ruszyli w stronę umywalk. Sięgnęli po gąbki i trzymając ręce w strumieniach wody, splukiwali je aż do łokci. Rozmawiali o ciśnieniu tętniczym krwi. Nagle jeden z nich zauważył Sondrę.

– Halo! A gdzież się pani dotąd ukrywała? – zapytał, odchylając się do tyłu.

Sondra roześmiała się cicho.

Drugi z chirurgów odwrócił głowę w jej stronę i przez chwilę uważnie się jej przyglądał.

– Niech pani nie bierze tego za złe mojemu narwanemu przyjacielowi. Zapewne jest pani jedną z nowych pielęgniarek?

Zanim Sondra zdążyła odpowiedzieć, wtrącił się lekarz, który zagadnął ją jako pierwszy.

– Proszę go nie słuchać. Ma uszkodzony mózg. Nawąchał się eteru.

Drugi z mężczyzn wrzucił gąbkę do pojemnika i zbliżył się do Sondry.

– Szkoda życia na całą tę gadaninę – stwierdził z figlarnym uśmiechem. – Proszę mi podać swój numer telefonu i powiedzieć, o której kończy pani pracę.

W tym momencie podeszła do nich pielęgniarka.

– Doktorze Billings, telefonowali właśnie z laboratorium. Twierdzą, że nie mają krwi dla pańskiego pacjenta.

– Co takiego?! – Chirurg sięgnął po papierowy ręcznik i wypadł z umywalni. Siostra wybiegła tuż za nim.

Lekarz, który został, nie przerwał szorowania rąk i co chwila spoglądał na Sondrę.

– Dlaczego nie biega pani po bloku, tak jak inni, niczym kurczak z podeźniętym gardłem? Czy dzisiaj wprowadzają panią w nowe obowiązki? – zapytał po chwili.

– Ja tutaj nie pracuję. Jestem tylko gościem.

– Aha! – Namydlił drugą rękę. – To wszystko wyjaśnia. Siostra Timmons nie dopuściłaby do tego, żeby któraś z pielęgniarek stała beczynną. Kogo przyszła pani podziwiać?

– Doktora Parsonsa.

– Tak, racja. Widziałem plan zabiegów. Trepanacja czaszki. Czy kiedyś widziała już pani operację mózgu?

– Nie.

– Stawiam obiad, jeśli przetrzyma pani zabieg do końca. Podoba się pani mój pomysł?

Sondra dostrzegła jego ładne piwne oczy okolone gęstymi, czarnymi rzęsami. Ale tylko tyle mogła zobaczyć. Podobnie jak wszyscy miał schowane włosy i zasłoniętą twarz. Nie była nawet w stanie ocenić jego postury ani wieku z powodu luźnego, workowatego zielonego stroju.

– Nie sędzę – odparła z uśmiechem.

– Nie sądzi pani, że przetrzyma trepanację?

– Ależ nie. Wiem, że z tym nie będzie problemu.

Wrzucił gąbkę do wiadra i starannie zaczął splukiwać ręce od palców w dół, pilnując, żeby woda spływała po łokciach.

– Niech pani zapomni o przypadku Parsonsa – poradził, odchodząc od umywalki z rękami w górze. Ja zajmuję się czymś naprawdę interesującym. Czy widziała pani kiedyś zabieg usuwania halluksów?

Sondra uśmiechnęła się, ale odetchnęła z ulgą na widok Ricka, który właśnie pokazał się w wejściu.

– Sanford, ty stary rozpustniku – zawołał Parsons, poklepując kolegę po plecach. – Nikt nie dorówna ci w bajerowaniu dam!

– Kim ona jest, Rick? Twoją osobistą pielęgniarką?

– Sondro, pozwól, że przedstawię ci Sanforda Jonesa, ortopedę. A to jest Sondra Mallone. Studentka medycyny.

Jones zamrugał oczami, nieco zaróżowił się na czole i pośpiesznie odszedł. A Rick założył ręce i oparł się o umywalkę.

– Niektórzy chłopcy pozwalają sobie na zbyt wiele w stosunku do pielęgniarek i nie widzą w tym nic złego. Ale od lekarek trzymają się z daleka. – Umilkł na chwilę. – Jak widzę,

zdecydowałaś się przyjść?

– Niewiele rzeczy mogło mnie powstrzymać od pójścia na dzisiejsze zajęcia z fizjologii. Tym bardziej że w przyszłym tygodniu mam egzaminy połówkowe. Ale twoja propozycja była dla mnie zbyt kusząca, żebym mogła z niej zrezygnować.

– A z kim macie fizjologię? Z Artem Rhinelandere? O ile pamiętam, to powinnaś zwrócić szczególną uwagę na DNA oraz na funkcję jądra. Jeśli dobrze się tego nauczysz, masz egzamin w kieszeni. – Sięgnął po maskę i zaczął zawiązywać wokół szyi dolne troki. Sondra nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Rick Parsons świetnie wygląda w luźnej zielonej „pizamie”. A gdy zasłonił część twarzy, Sondra po raz pierwszy zauważyła, ile powabu kryje się w jego szarych oczach. Ale Rick zaraz ściągnął maskę, która zawisła mu na piersi.

– Panna Timmons bardzo przestrzega, żeby wszyscy na bloku zakrywali twarze. Według mnie jednak, w wyjątkowych sytuacjach powinna być dopuszczona możliwość odstępiania od tej zasady.

Z kieszeni bluzy wyjął rękawice chirurgiczne, kilkakrotnie naciągnął je w obie strony, a potem ku zaskoczeniu Sondry przyłożył sobie jedną do ust i zaczął ją nadmuchiwać.

– A teraz pozwól, że ci opowiem o tym przypadku – rzekł w przerwie pomiędzy dmuchnięciami. – Objawy choroby u naszego pacjenta narastały powoli: najpierw nastąpiło lewostronne porażenie, potem stopniowa utrata koordynacji ruchowej, oczopląs polegający na stałym mimowolnym ruchu gałki ocznej, bóle głowy i wymioty z powodu zwiększonego ciśnienia wewnątrzczaszkowego oraz przechylenie głowy na jedną stronę. Prześwietlenie wykazało rozejście się szwów czaszki. Badanie komór wskazało na wodogłowie, a angiogram świadczy o istnieniu nieunaczynionej masy w jednej z półkul mózgu. Diagnoza: torbielowaty guz mózgu.

Gdy rękawica była już całkowicie nadmuchana i wyglądała jak melon z grzebieniem koguta, Rick zawiązał ją na dole na supeł, wyjął z kieszeni flamaster i namalował na niej twarz kłowna.

– Zamierzamy otworzyć choremu czaszkę i przekonać się, co to za masa. Czy nadal jesteś całkiem pewna, że chcesz to oglądać?

– Tak.

– To dobrze. Wobec tego ściągnij maskę. Chcę cię przedstawić naszemu pacjentowi.

Sondra przeżyła wstrząs. Tuż za drzwiami umywalni na wózku o wiele za długim jak na jego drobne ciało leżał mały chłopiec. Miał nie więcej jak sześć, siedem lat. Wyglądał mizernie i patrzył zaspanym wzrokiem. A duży chirurgiczny czepek zakrywał mu dopiero co ogoloną skórę głowy.

– Cześć, Tommy. – Rick podszedł do noszy i położył rękę na ramieniu chłopca. – Jestem lekarzem. Nazywam się Parsons, pamiętasz mnie?

Dwoje błękitnych oczu patrzyło na niego uważnie przez długą chwilę.

– Tak, pamiętam – powiedziało powoli dziecko. Rick odwrócił się do Sondry.

– Powolna reakcja jest spowodowana zwiększonym ciśnieniem wewnątrzczaszkowym. Poza

tym chłopiec widzi podwójny i zamazany obraz – wyjaśnił szeptem.

– Tommy, przyniosłem ci prezent – ponownie zagadnął chłopca, a potem wydobyl z za pleców kłownarękawicę. I chociaż reakcja nastąpiła z opóźnieniem, to w końcu twarz dziecka się rozpromieniła.

Sondra czując w oczach palące łzy, odwróciła się do chłopca tyłem.

– Chodźmy – powiedział Rick, delikatnie biorąc ją za ramię. – Będę cię musiał na chwilę zostawić samą. Załóż maskę, w przeciwnym razie panna Timmons wyrzuci nas stąd oboje. Odślaniam twarz tylko wtedy, gdy rozmawiam z dziećmi. Chcę, żeby mnie zobaczyły. Gdy mnie rozpoznają, nie będą się bały.

– Rick, jakie są jego...

– Szanse? – Parsons wprowadził Sondrę na salę operacyjną i znalazł dla niej miejsce w kącie, z dala od urządzeń i sterylnych stołów. – Będziemy mogli je ocenić dopiero wtedy, gdy dostaniemy się do środka. Jeśli to guz złośliwy, perspektywy są kiepskie. Jeżeli natomiast okaże się, że mamy do czynienia z torbielą, rokowanie jest dobre. Nie zaszkodzi, jeśli odmówisz w intencji chłopca kilka zdrowasiek.

Dopiero patrząc wstecz, po wielu latach, Sondra mogła w pełni zrozumieć sens rozgrywających się tu wydarzeń. Uderzył ją nadmierny tłok, zbyt duża ilość urządzeń, nienaturalny zgiełk, długie przewody, miarowo napełniające się i opróżniające butle, zimne światło, narzędzia, które błyszcząły od czystości, w chwili gdy je podawano, i były rdzawe od krwi, gdy odkładano je na bok, wydawane oschle polecenia, wykrzykiwane wskaźniki objawów życiowych organizmu, a także wiele innych odczytywanych na głos wyliczeń oraz pomiarów. I długie przerwy, podczas których Rick ze swoim asystentem pracowali w fiołkowo-różowym, wilgotnym krajobrazie wzgórz i dolin mózgu Tommy'ego.

Zrobili środkowe nacięcie. Tommy siedział odwrócony do nich tyłem, z pochyloną głową. Pracowali w okolicach podstawy czaszki, docierając przez pierwszy krąg szyjny do otworu wielkiego. Obaj chirurdzy nosili na czołach lampki jak górnicy. Gdy kleista, żółtawa ciecz została odessana, Rick zwrócił się do siostry:

– Proszę zatelefonować na patologię. Możemy już im przekazać wycinek. – Następna informacja była skierowana do wszystkich obecnych na sali: do dwóch pielęgniarek, do anestezjologa i do Sondry. – Nowotwór w siedemdziesięciu procentach jest torbielowaty. Pobierzemy teraz wycinek ze ściany torbieli.

Gdy doktor Williams, patolog, zabrał próbkę pobranego materiału do laboratorium, żeby obejrzeć ją pod mikroskopem, członkowie zespołu operacyjnego przerwali pracę i czekali. Rick wsparł się dłonią o stół i przeniósł ciężar ciała na jedną nogę, a jego asystent przysiadł na stołku. Instrumentariuszka zawinęła ręce w sterylną chustę i wycofała się, żeby usiąść. Rick odwrócił się i skinął na Sondrę. Maskę pod oczami przemokła mu od potu, a fartuch był z przodu splamiony krwią.

– Możesz podejść trochę bliżej. A teraz się pochyl. Chciałbym, żebyś to zobaczyła.

I za pomocą narzędzia chirurgicznego Rick delikatnie wskazał Sondrze bladożółty mózdzek chłopca. Specjalne haki odciągały na boki delikatną tkankę.

– Torbiel umiejscowiła się w jednej z półkul mózdzku, a nie w pniu mózgu. Zauważ, jak wewnętrzne części mózdzku zagłębiają się pod dotykiem. Zwróć uwagę na poszerzony akwedukt. Jedna czwarta komory jest zatkana, co spowodowało wodogłowie. Umieściłem w niej cewnik dla obniżenia ciśnienia, a następnie nakłułem torbiel, żeby wypuścić płyn. Podejrzewam, że mamy tutaj do czynienia z nowotworem, który jest powszechny wśród chorób mózgu u dzieci. Jeśli się nie mylę i potrafimy usunąć cały guzek, rokowanie dla Tommy'ego jest bardzo pomyślne.

Kilka minut potem wrócił na salę doktor Williams i oddał pobraną tkankę pielęgniarce. Umieściła ją w słoiku z formaliną.

– Wygląda na to, że jest to gwiazdziak młodzieńczy, Rick. Ściana torbieli zawiera z całą pewnością komórki glejowe.

Zespół ponownie przystąpił do pracy. Chirurdzy przez następną godzinę delikatnie i z wielką ostrożnością wycinali guzek ze ściany torbieli, starając się usunąć go w całości, żeby zapobiec nawrotowi schorzenia. A potem Rick odsunął się od stołu. Siostra otarła mu pot z czoła.

– Teraz przystąpię do zamknięcia czaszki – wyjaśnił Sondrze. – Najpierw przeprowadzę pod skórą cewnik do zbiornika wielkiego, żeby poprawić przepływ płynu rdzeniowo-mózgowego... – Odwrócił się do pielęgniarki. – Dużo płukania, proszę. Dwubiegunowe kleszcze.

Tempo pracy uległo wyraźnemu zwolnieniu, wszyscy rozluźnili się, a anestezjolog wyłączył radio. Rozległy się słowa piosenki: „Jeśli wybierasz się do San Francisco, nie zapomnij wpiąć we włosy kwiatu... „

W końcu czaszka została zamknięta metalowymi szwami, skóra zeszyta, a głowa Tommy'ego wielokrotnie owinięta olbrzymim białym bandażem. Chłopcem zajęły się teraz pielęgniarki. A gdy umyły go i przewiozły na salę pooperacyjną, lekarze zdjęli z siebie jednorazowe fartuchy. Ku zaskoczeniu Sondry ich chirurgiczne uniformy były mokre od potu.

Rick wziął szpitalną kartę chłopca, mruknął coś o potrzebie poinformowania rodziców i skierował się w stronę wyjścia. Przy drzwiach odwrócił się i ściągnął maskę.

– Jeśli dasz mi jeszcze dwadzieścia minut, to cię zaproszę na kawę – powiedział do Sondry.

Sondra nie mogła zrozumieć własnego dziwnego stanu psychicznego. Siedziała przy jaskrawo-pomarańczowym stoliku w szpitalnej kafejce o krzykliwych barwach, powoli piła kawę i rozglądała się wokół. O tej porze było tu prawie pusto. Wśród nielicznych gości przeważały pielęgniarki z drugiej zmiany – słodkie szcziebotki chichoczące w kącie sali. Sondra była zadowolona, że nie ma tłoku. Dokuczał jej rozdzierający ból głowy.

Przyglądała się Rickowi. Wciąż miał na sobie zielony strój chirurga. Pomachał do niej, rozmawiając przez telefon. Nie była pewna, czy to tylko złudzenie, ale wydawało się jej, że jest

niezadowolony. Z miejsca, w którym siedziała, nie potrafiła dokładnie odczytać wyrazu jego twarzy. Zdażyli podejść z kawą do stolika, gdy został odwołany do telefonu.

Wbiła wzrok w filiżankę. Nie mogła pojąć owego zastanawiającego uczucia, które nie dawało jej spokoju.

Operacja trwała pięć godzin i gdy szli do windy, Rick powiedział Sondrze, że rokowanie dla Tommy'ego jest bardzo pomyślne.

– Dzieci mają nadzwyczajne siły żywotne.

– Czy może nastąpić nawrót choroby? – zapytała.

– Nie sędzę. Mam nadzieję, że udało się nam wyciąć cały guzek, który produkował płyn. Ciśnienie wróciło do normy i za kilka tygodni powinna nastąpić u chłopca poprawa koordynacji ruchowej.

– Czy będzie poddany naświetlaniom?

– Nie ma takiej potrzeby w wypadku gwiazdkiaka młodzieńczego. Tommy jest wielkim szczęściarzem.

To prawda. Tommy'emu dopisało szczęście. Był trudnym przypadkiem; potwornie ryzykownym. Ale operacja zakończyła się pomyślnie. Dlaczego więc Sondrze nie dawało spokoju to... szczególne uczucie?

Patrząc na ścienny zegar, nagle zdała sobie sprawę, że przez palce przecieka jej cenny czas. Półtorej godziny temu zakończyły się ćwiczenia z anatomii. Ruth i Mickey na pewno wrócili już do domu; Mickey zajęła się przygotowywaniem obiadu, a Ruth usiadła nad książkami. „Powinnam robić to samo” – skarciła się w myślach Sondra. W przyszłym tygodniu egzaminy połówkowe!”

Ponownie spojrzała w stronę Ricka Parsonsa. Niewątpliwie był bardzo interesującym mężczyzną. Pociągał ją. Czy to miało coś wspólnego z nie dającym się określić uczuciem, które dręczyło ją i napawało niepokojem? Może to była obawa przed uczuciowym związkiem, który na samym początku mógł skomplikować jej życie? Studia medyczne nie zostawiały wiele wolnego czasu, wymagały pełnej mobilizacji każdej komórki mózgowej, żądały wytrwałości oraz całkowitego oddania się nauce. Sondra pomyślała o Joannę, jednej z czterech koleżanek na roku, która poznała chłopaka w pierwszym tygodniu nauki, zakochała się, rzuciła studia, wyszła za mąż i zamieszkała w Maine. Ale odwrotnym przykładem mogła być Ruth. Sondra wiedziała, że jej współlokatorka miała już kilku chłopców – stałego w liceum oraz „kilku przygodnych”, jak sama zwykła się o nich wyrażać, na uniwersytecie. A teraz spotykała się ze Steve'em Schonfeldem, studentem czwartego roku, na którego natknęły się wczoraj u Gilhooleya. I chociaż Ruth była ze Steve'em dopiero na dwóch randkach, to nie ukrywała, że ma ochotę pójść z nim do łóżka. Należała do osób o cudownej zdolności unikania komplikacji, jakie nieodmiennie towarzyszą nowym miłosnym oczarowaniom.

Sondra zazdrościła Ruth umiejętności zachowywania rezerwy w sprawach sercowych. Wiedziała, że sama tego nie potrafi. Albo kochała głęboko, albo nie kochała wcale. Obca jej była

wygodna uczuciowa równowaga. W przeciwieństwie do Ruth nie umiałaby bez emocjonalnego zaangażowania się utrzymywać fizycznych stosunków z mężczyzną. Z tego właśnie powodu nie miała dotychczas chłopaka, jej randki nigdy nie kończyły się w łóżku i zawsze przedkładała przyjaciół nad kochanków. Pragnęła być osobą całkowicie i bezwarunkowo wolną, by móc skoncentrować się na realizacji życiowego celu. Nie widziała nic nienormalnego w tym, że jest dziewczyną w wieku dwudziestu dwóch lat. (Chociaż kilka jej przyjaciółek z Phoenix miało w tej kwestii odmienną opinię). Uważała, że gdy zdobędzie uznanie jako lekarz, będzie miała jeszcze dosyć czasu na to, żeby znaleźć odpowiedniego mężczyznę i pójść za głosem serca.

Dlaczego więc siedząc teraz w chłodnej kafejce szpitala St. Catherine's i czekając na mężczyznę, który w tym roku kończył specjalizację z neurochirurgii, czuła się dziwnie nieswojo, jak gdyby coś było nie tak?

– Wybacz mi – przeprosił Rick, z westchnieniem sadowiając się na krześle. – Mój makler miał do mnie pilną sprawę!

Sondra próbowała go rozweselić. Ból głowy zaczął mijać, ale uczucie słabości, które towarzyszyło jej od momentu, gdy opuściła salę operacyjną, trwało nadal.

Rick nie odzywał się, mieszając kawę. Najwyraźniej przebywał myślami gdzieś daleko. W końcu podniósł wzrok na Sondrę.

– Znokautowała cię, prawda? Sondra zamrugła powiekami.

– Przepraszam, ale nie wiem, o czym mówisz.

– Neurochirurgia. Powaliła cię z nóg. Widzę to po twojej minie.

Sondra przez moment badawczo przyglądała się jego twarzy i nagle zaczęła pojmować – prawdę o sobie, która się jej wymykała, a którą on, zupełnie obcy człowiek, potrafił ująć w kilku słowach.

„Neurochirurgia powaliła cię z nóg”. Oczywiście. To było to. Niepokój, który nękał ją od chwili, gdy z powrotem włożyła swoje własne ubranie. I nie miał nic wspólnego z miłością, z Rickiem Parsonsem ani z bojaźnią przed sercowymi związkami. Przyczyna leżała głębiej. Był nią odziedziczony po przodkach rodzaj pierwotnego lęku, strach, tkwiące w niej niedowierzanie; głęboki nurt, który przepływał przez jej duszę i którego istnienie dotychczas tylko przeczuwała. Dopiero teraz, pod wpływem słów Ricka, wezbrane wody wystąpiły z brzegów i niespodziewanie po raz pierwszy pojęła, o co w tym wszystkim chodzi.

– Mnie też to się kiedyś przydarzyło – wyznał cicho Rick. – Nie studiowałem jeszcze wtedy medycyny. Chodziłem do liceum. Pewnego dnia ojciec, który jest chirurgiem, namówił mnie, żebym poszedł popatrzeć na operację. To był zwykły zabieg usunięcia pęcherzyka żółciowego, ale pomimo to przeżyłem ogromny wstrząs. I zobaczyłem przed sobą jasno wytyczoną drogę.

Sondra poczuła dziwną lekkość, ból głowy ustąpił i miała ochotę zawołać jak szalona: „Tak, to jest to!” Ale założyła tylko ręce i pochyliła się nad stolikiem.

– Czy wiesz – wyznała z powagą – że do tej pory uważałam siebie za najgorliwszą studentkę medycyny na świecie? Naprawdę sądziłam, że słyszę głos powołania. I w pewnym sensie

słyszałam go. Ale był niczym w porównaniu do tego, co czuję obecnie. – Rozłożyła szeroko ręce. – Tak jak powiedziałeś, to, co zobaczyłam, powaliło mnie na ziemię.

– Pierwszy pobyt na sali operacyjnej może odnieść dwojaki skutek: albo całkowicie człowieka zniechęca, co się często zdarza, możesz mi wierzyć, albo wprawia go w stan uniesienia i człowiek od pierwszej chwili całkowicie oddaje się lekarskiemu powołaniu. Dlatego zaprosiłem cię, żebyś przyszła i przekonała się sama. Nic nikogo lepiej nie naprowadza na właściwą drogę jak bezpośrednie doświadczenie.

Sondra mocno zacisnęła ręce na blacie stołu. Rick miał rację. Stało się dokładnie tak, jak mówił. Pierwsza operacja pozwoliła jej lepiej zrozumieć pojęcia życia i śmierci. Oto mały chłopiec, który wydawał się już skazany i nikt nie miał wielkiej nadziei na jego wyleczenie, został przywrócony do życia i oddany rodzinie... Temu dzisiaj rano służył zielono-chromowy chaos, bieganina, krzyki i pozorny brak poszanowania godności człowieka – wszystko kipiało i wrzało dla jednego tylko celu: dla ratowania ludzkiego istnienia!

– Dopiero tam można zobaczyć tę walkę – mówił dalej Rick, czytając jej myśli. – Na chirurgii. Oczywiście i w pogotowiu rozgrywa się wiele dramatycznych wydarzeń, i na położnictwie. Dla mnie jednak chirurgia jest tym miejscem, gdzie toczy się prawdziwa walka o życie. Naprawiamy i odsyłamy do domu ciała, które były chore, połamane czy brzydkie. To wzniosły cel, Sondro. Sądzę, że i ty powinnaś się z nim zmierzyć.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Rick miał na pewno rację nazywając po imieniu uczucie, które prześladowało ją od chwili wyjścia z chirurgii. I słusznie twierdził, że obserwowanie na własne oczy walki na śmierć i życie jest zatrważające. Pomylił się jednak, sądząc, że właśnie ta dziedzina medycyny jest powołaniem Sondry. Dzisiejsze doświadczenia na sali operacyjnej nie zaszczepiły w niej ambicji zostania chirurgiem, ale spotęgowały marzenia o wykorzystaniu zdobytych umiejętności tam, gdzie będą najbardziej potrzebne. Tommy był szczęściarzem. Miał szpital St. Catherine's i doktora Parsonsa. Ale dokąd miały się udać miliony cierpiących, gdy nie było nowoczesnych ośrodków medycznych ani wyszkolonych lekarzy? Co mieli ze sobą począć tacy ludzie jak jej prawdziwy ojciec i matka; biedacy w rozpaczliwym położeniu, którzy stracili już wszelką nadzieję?

Od lat Sondra słyszała głos powołania, ale teraz jego natężenie można było porównać do dźwięku trąby jerychońskiej. Przepelniał ją uczuciem, którego dotychczas nie знаła i o którym miała zaledwie mgliste pojęcie. Dzień spędzony z Rickiem Parsonsem pozwolił zrozumieć, gdzie jest jej miejsce w świecie i utwierdził o słuszności obranej drogi.

Obecnie mogła być jej pewna.

Rozdział 7

Dzisiejsza zabawa była ostatnią rzeczą, na jaką Mickey miała ochotę.

– Trochę rozrywki dobrze ci zrobi – stwierdziła Sondra, patrząc jak Mickey nakłada na policzek świeży pokład pudru w płynie.

– Żyjesz jak mniszka, Mickey. Ja i Ruth jesteśmy twoimi jedynymi koleżankami.

– Wasza przyjaźń całkowicie mi wystarcza.

– Dobrze wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

Tak, Mickey doskonale wiedziała, o co Sondrze chodzi. Przyjaciółka myślała o utrzymaniu kontaktów towarzyskich i o wymianie poglądów z innymi ludźmi. Dziewczynie z egzotyczną urodą i o tak otwartej naturze jak Sondra przychodziło to bez trudu. Podobnie zresztą jak pewnej siebie i mocno stąpającej po ziemi Ruth, która miała łatwość nawiązywania przyjaźni i spotykała się ze Steve'em Schonfeldem. Ale jej obie współlokatorki nie miały najmniejszego pojęcia, co to znaczy iść przez życie z piętnem na twarzy. Mickey paraliżowała myśl o zabawie sylwestrowej, na którą wszyscy się wybierali, o nieuchronnej bliskości innych osób i o zaciekawionych spojrzeniach.

Sondra nie ustępowała jednak, a Mickey była jej dłużniczką.

Cztery tygodnie temu, tuż po egzaminach połówkowych, Mickey zemdlła w kuchni. W domu była tylko Sondra, gdyż Ruth wyszła na randkę ze Steve'em. Pomimo że chwilowa niedyspozycja nie była groźna, przeraziła je obie. A gdy Sondra poznała jej przyczyny i dowiedziała się, że Mickey sprzedaje w szpitalu krew i rezygnuje z posiłków, żeby zaoszczędzić pieniądze, oburzyła się. Chciała wiedzieć, z jakiego powodu Mickey ma tak złe mniemanie o swoich przyjaciółkach, że nie zdecydowała się zwrócić do nich o pomoc. Przecież Sondrę stać było na to, żeby odciążyć ją finansowo i ułatwić pokrycie kosztów pobytu matki w klinice. A gdy Ruth dowiedziała się o wszystkim, też się zobowiązała wziąć na siebie większą niż dotychczas część wydatków.

Dzięki wspaniałomyślnemu gestowi koleżanek Mickey od razu poczuła się lepiej. Przestała sprzedawać krew, zaczęła odpowiednio się odżywiać i zanosila matce do kliniki jej ulubione kwiaty. Ale wydarzenie to przyczyniło się do czegoś więcej. Pozwoliło wydobyć się Mickey z dna rozpacz. Uzmysłowiło jej, że po raz pierwszy w życiu oprócz matki i siebie samej może na kogoś liczyć. I że zyskała sobie prawdziwą przyjaźń.

Dlatego teraz, kiedy Sondrze tak bardzo zależało, żeby poszła na zabawę sylwestrową, Mickey nie chciała sprawić jej zawodu.

– Ruth też się wybiera? – Przynęła twarz do lustra, by się upewnić, czy plama nie jest widoczna.

Sondra wzięła się pod boki i pokręciła głową. Udały się jej obie współlokatorki, szkoda gadać! Jedna pełna obaw przed życiem, a druga zaślubiona książkom. Co robi Ruth Shapiro w sylwestrowy wieczór? Uczy się! I to przedmiotów, które będzie miała dopiero w przyszłym roku!

– Namawiam ją przez cały dzień. Ale w końcu złamię jej opór, zobaczysz! – Sondra bardzo chciała, żeby obie przyjaciółki trochę się rozerwały.

Sama nie mogła się wprost doczekać zabawy, ponieważ wiedziała, że Rick Parsons też się na nią wybiera. Od czasu operacji spotkali się tylko dwukrotnie. Za pierwszym razem Rick zaprosił ją na kolację do włoskiej restauracji. Było to tego samego dnia, kiedy przeprowadził zabieg na mózgu Tommy'ego. Podczas posiłku drażyli temat, który ich na początku do siebie zbliżył. Rick był zdecydowany odwieść Sondrę od zamiaru wyjazdu do Afryki i pragnął zainteresować ją neurochirurgią. Nie wygrał tej rundy i spróbował ponownie kilka tygodni później, podczas przypadkowego spotkania w szpitalnej stołówce na obiedzie, z którego został odwołany do jakiegoś nagłego przypadku. Rick Parsons miał interesującą osobowość i trudno było się oprzeć jego argumentom. Sondra zaczęła się nawet zastanawiać nad celowością wyjazdu do Afryki, skoro tu rzeczywiście było, o czym starał się ją przekonać, tak wiele do zrobienia.

Jego urok wykraczał poza sferę zawodową. Po raz pierwszy w życiu Sondra spotkała mężczyznę, w którym mogłaby się bez trudu zakochać. I szykując się na zabawę, zastanawiała się, czy dzisiaj wieczorem pozwoli sobie na to, by pójść za głosem serca.

Ruth siedziała w swoim pokoju na łóżku, opierając się plecami o ścianę, i przysłuchiwała się odgłosom sylwestrowych przygotowań. Była w rozterce i sama nie wiedziała, czy ma ochotę uczestniczyć w tej zabawie. Uczenie się przedmiotów wykraczających poza program pierwszego roku mogło wydawać się Sondrze śmieszne, ale Ruth nie widziała w tym nic zabawnego. Uzyskała wysokie noty na egzaminach połówkowych kilka tygodni temu między innymi właśnie w ten sposób: ucząc się, gdy inni zajmowali się głupstwami. Była dwunasta na roku. Zajęła dwunaste miejsce wśród grona osiemdziesięciu czterech studentów, podczas gdy jej współlokatorki uplasowały się na dziewiętnastej i dwudziestej szóstej pozycji. Pierwsza trzydziestka je zadowalała. Ale nie Ruth. I podczas gdy inni u Gilhooleya topili smutki albo radowali się osiągniętych wyników, Ruth znowu ślęczała nad książkami.

Zamierzała nawet zatelefonować do domu z dobrymi nowinami, ale odrzuciła ten pomysł w trakcie wykręcania numeru. Domyślała się, co usłyszy: „Co takiego? Dwunaste miejsce? A ilu jest studentów na roku, Ruthie, dwunastu?” Wiedziała, że ta lokata Mike'a Shapiro nie zadowoli. Na nim robiła wrażenie dopiero absolutna perfekcja i doskonałość. Uosabiali ją bracia Ruth: Joshua w West Point i Max w Northwestern. Konkurowanie z nimi było trudne, ale Ruth nie miała wątpliwości, że potrafi sprostać i temu zadaniu.

Sondra zapukała do pokoju przyjaciółki i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka.

– Daj spokój, Ruth. „SWRL” zacznie się dopiero za miesiąc!

„SWRL”, w ten sposób Sondra nazywała kurs. W rzeczywistości nazwa eksperymentalnego programu zainicjowanego w Castillo brzmiała: „Studenci w roli lekarzy”. Przeważająca większość uczelni medycznych w kraju wypuszczała studentów na szerokie wody medycyny i pozwalała im stawiać pierwsze niepewne kroki na terenach szpitali dopiero na trzecim roku studiów, po dwóch latach nauki. Dla tych, którzy stwierdzali, że nie odpowiada im szpitalna

atmosfera, na wycofanie się było zwykle już za późno. Dlatego administracja Castillo postanowiła potraktować studentów pierwszego roku jako króliki doświadczalne i wysłać ich na sześciotygodniowy program orientacyjny do szpitala St. Catherine's. Wyposażeni w białe kitle i słuchawki mieli brać udział w obchodach z lekarzami i spotykać prawdziwych pacjentów. I chociaż ich obecność miała ograniczać się do roli obserwatorów, to program stwarzał szansę wyeliminowania już w początkowym etapie tych, którym ta praca się nie podobała.

I Ruth właśnie przygotowywała się do tego programu. Miała własne słuchawki i wertowała używany „Podręcznik badania fizykalnego”. Uwagę skupiała na takich objawach życiowych, jak ciepłota ciała, puls i oddychanie, ponieważ stanowiły podstawę, na której opierała się cała struktura współczesnej medycyny.

– Ruth Shapiro! Nie rusz się z miejsca, dopóki się nie ubierzesz! – ostrzegła Sondra.

Ruth przyjrzała się swojej współlokatorce. Sondra była tak podekscytowana, że jej rozpalona skóra przywodziła na myśl statuetkę z brązu. Nic dziwnego! W takim mężczyźnie jak Rick Parsons nietrudno się było zakochać. W przeciwieństwie do Steve'a Schonfelda, który pokazał swoje prawdziwe oblicze...

– Steve pewnie będzie na ciebie czekał.

Ruth nie opowiedziała przyjaciółkom o przykrym spięciu, jakie miała ze Steve'em. Woląca zagrzebać cały incydent głęboko w pamięci i udawać przed samą sobą, że Steve'a w jej życiu nigdy nie było. Jak mógł okazać się aż tak małostkowy i niewyrozumiały?

Zamyślona, wciąż nie ruszała się z miejsca. Ale po chwili doszła do wniosku, że zarówno w miasteczku akademickim, jak i w ich mieszkaniu będzie za głośno na naukę. Odłożyła książkę.

– W porządku. Wygrałaś. Idę z wami.

Na wszelki wypadek włożyła swój najlepszy wyjściowy strój: opięte na biodrach granatowe wełniane spodnie z rozszerzonymi u dołu nogawkami i białą bluzkę z koronkami przy szyi i mankietach. Chciała pokazać Steve'owi Schonfeldowi, gdyby się na niego natknęła, że ich zerwanie nie ma dla niej żadnego znaczenia. Mickey zdecydowała się na burą sukienkę i obszerny sweter w barwie płatków owsianych. Sondra wybrała zwykłą, obcisłą sukienkę z golfem w jaskrawym odcieniu żółci i związała swoje czarne włosy wstążką w identycznym kolorze. Efekt, w jej przypadku, był sensacyjny.

Postanowiły pójść pieszo i wkrótce dołączyły do innych studentów, którzy ciągnęli do głośnej muzyki dobiegającej z Encinitas Hall jak ćmy do światła.

Nigdy przedtem nie widziały tu takich tłumów. W olbrzymim, wyłożonym kamiennymi płytami kominku płonął ogień. Na ścianach, w lichtarzach z kutego żelaza migotały płomienie świec, a stoły uginały się od jedzenia i picia. Przyszedł tu kto tylko żywy i można było odnieść wrażenie, że wszyscy mówią naraz. Ponad gwarem unosiły się rytmiczne dźwięki muzyki z nowego musicalu „Hair”. Trzy przyjaciółki zatrzymały się na samym brzegu niejednolitego, falującego morza ludzi. Byli tam studenci medycyny w garniturach i w krawatach, dziewczyny w opiętych na biodrach minispódniczkach, profesorowie w trzyczęściowych garniturach i żony

profesorów w eleganckich kapeluszach. W powietrzu unosił się dziwny, drażniący zapach. Błyskały kolorowe światła, a gdy w stereofonicznych głośnikach ucichły dźwięki „Ery Wodnika”, wśród zgłębku dały się słyszeć pojedyncze słowa: transplantacja, słodzik, Onassis, Wietnam.

Ruth miała ochotę obrócić się na pięcie i pójść z powrotem do domu.

– Zamówię piwo – oświadczyła, decydując się jednak ruszyć w tłum. Za jej plecami Mickey rozglądała się za łazienką, a Sondra wypatrywała Ricka Parsonsa.

W drodze do baru, gdzie pośpiesznie serwowano napoje i drinki, Ruth natknęła się na Adrienne, mężatkę z pierwszego roku, która niosła dwa kufle i rozglądała się wokół siebie.

– Nie widziałas gdzieś mojego męża? – zwróciła się do Ruth. – Dzisiaj ma dyżur pod telefonem. Mam nadzieję, że go jeszcze nie wezwali. Nie miałabym ochoty zostać z tym sama! – Jej śmiech zabrzmiał nieszczerze.

– Czy już wie, dokąd skierują go na staż? – zapytała Ruth.

– Jeszcze nie. Ale jesteśmy pewni, że będzie to szpital St. Catherine’s albo klinika w Los Angeles.

– Gdzie zamieszkacie, jeśli go wyślą do Los Angeles? To chyba za daleko, by mógł dojeżdżać?

– Pewnie jeszcze nie wiesz, że jestem w ciąży! Padłam ofiarą ośmioprocentowej nieskuteczności błony Provena. Cieszymy się z tego powodu, naprawdę. To znaczy z naszego pierwszego dziecka.

– A w jaki sposób zamierzasz pogodzić macierzyństwo z nauką?

– No cóż, postanowiłam przerwać studia. Dziecko urodzi się latem. Nie stać nas na opiekunkę, dlatego nie będę mogła studiować w przyszłym roku. Ale gdy Jim rozpocznie staż, będziemy mogli sobie pozwolić na wynajęcie niańki. Jim też będzie mógł poświęcić więcej czasu dziecku. I wtedy wrócę do Castillo.

Ruth nie spuszczała z Adrienne wzroku.

– Dziekan Hoskins już wyraził na to zgodę. Wrócę. I skończę studia. Jednak w tej chwili najważniejsza jest kariera Jima. Jeśli zrezygnuje w tym roku ze stażu i zostanie w domu, żeby opiekować się dzieckiem, podobna okazja może mu się już nie powtórzyć. Dlatego uzgodniliśmy, że najpierw on unormuje swoją sytuację zawodową, a potem przyjdzie kolej na mnie.

– Rozumiem. Powodzenia, Adrienne. Będzie nam ciebie brakowało.

I Ruth zaczęła się przeciskać w stronę baru. Nie mogła przestać myśleć o tym, że zostały już tylko w trójkę...

Wcale tego nie chciała. Miała nadzieję, że wieczór upłynie jej bez spotkania ze Steve’em. Ale natknęła się na niego, gdy obrócił się w jej stronę, trzymając w dłoniach dwie lampki wina.

– Cześć, Ruth – przywitał ją, nieznacznie się rumieniąc.

– Cześć, Steve – odpowiedziała łagodnie. – Co u ciebie? Miał rozbiegany wzrok.

– Dziękuję, wszystko w porządku. A u ciebie?

– U mnie też – odparła cicho. – Czy wiesz już coś na temat stażu?

Znowu rozejrzał się na boki.

– Jak dotąd nie miałem żadnej wiadomości. Chciałbym, żeby skierowali mnie do Bostonu. –
Roześmiał się trochę zdenerwowany.

– Mam nadzieję, że cię tam wyślą.

– Dzięki...

Ruth przyszło do głowy, że ma teraz doskonałą sposobność, żeby wygarnąć mu wszystko, co o nim myśli. Jak na studenta medycyny nie okazał się zbyt wyrozumiały, gdy podekscytowana chciała sprawdzić wyniki egzaminów. Stało się to bezpośrednią przyczyną ich rozejścia – zostawiła go samego i pobiegła do Encinitas Hall, gdzie właśnie wywieszono listę klasyfikacyjną.

Wydarzenie miało miejsce trzy tygodnie temu. Ruth dokładnie przypominała sobie ten mglisty wieczór. W powietrzu wyczuwało się smak soli, a z mrocznej dali dobiegał smutny sygnał syreny przeciwmgłowej. Dowiedziała się właśnie, że podano wyniki. Biegła przez miasteczko akademickie, żeby poznać swoje noty, gdy wpadła na Steve'a. Chciał z nią porozmawiać i starał się ją zatrzymać. Do diabła, przecież mu wyjaśniła, dokąd się spieszy. Dlaczego jej nie rozumiał? Przecież, na miłość boską, od trzech i pół roku też studiował medycynę i lepiej niż kto inny powinien znać uczucie niepewności w chwili, gdy zostaje wywieszona lista. Powiedziała mu tylko, że zobaczą się później, i nie zatrzymując się, popędziła do Encinitas Hall.

Ale gdy zatelefonowała do niego za kilka dni, przywitał ją chłodno i oświadczył, że jego zdaniem nie powinni się już dłużej spotykać. Domagała się wyjaśnień. Nie rozumiała, co się stało. Powiedział w końcu: „Nie jestem w stanie konkurować z książkami, Ruth. Jesteś zbyt ambitną dziewczyną jak dla mnie. Potrzebujesz chłopaka, który by ci pozwolił się lekceważyć”.

Dostrzegła teraz w jego wzroku to samo, co usłyszała wtedy w jego głosie: smutek, zakłopotanie, a nawet lekką urazę. Może powinna podjąć ten temat i tutaj, przy wszystkich, wygarnąć mu, że ma bardzo krótką pamięć. Może powinna zapytać, ile kobiet zlekceważył, wspinając się w klasyfikacji na wysokie piąte miejsce na roku? I jakim prawem twierdzi, że jej nie stać na chłopaka z powodu zbyt wygórowanych ambicji?

Ale się nie odezwała. Nie miało sensu trwonienie energii, skoro on, student czwartego roku medycyny, nie potrafił zrozumieć jej stanu emocjonalnego w tamtym momencie. Nie był wart zachodu. Dlaczego każdy mężczyzna w jej życiu sądził, że powinna ograniczyć swoje aspiracje?

– No cóż – powiedział, wycofując się. – Muszę już iść. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia...

Sondra zauważyła Ricka Parsonsa. Stał nie opodal kominka.

– Podejźmy tam, Mickey – zaproponowała.

– Nie, idź sama, a ja rozejrzę się za jakimś wolnym krzesłem. Chciałabym usiąść.

Mickey skierowała się w stronę miejsca na uboczu pomiędzy doniczkowymi palmami, a Sondra zaczęła się przedzierać przez tłum do Ricka. Stał w towarzystwie kilku osób. Świetnie prezentował się w tweedowej marynarce, brązowych spodniach i w golfie. Gdy ją zobaczył, pojaśniała mu twarz. Pomachał jej, żeby do nich podeszła.

– Cieszę się, że jesteś. Mam dla ciebie wielką nowinę. Sondra postanowiła z miejsca, że nie będzie się zastanawiać ani chwili dłużej i tym razem zakocha się bez pamięci.

– Ciekawa jestem, jaką?

– Czy pamiętasz Tommy’ego? Z gwiazdziakiem mózgu? Jak mogłaby o nim zapomnieć.

– Oczywiście.

– Wyzdrowiał niemal w stu procentach! Sondra czuła, jak jej uśmiech wypełnia całą salę.

– Na pewno jeszcze wszystkich nie znasz – zwrócił się do niej, wskazując na swoich znajomych.

Nazwiska wydały się jej całkiem obce, chociaż poprzedzał je naukowy tytuł. Zdawała sobie sprawę z tego, że sporo czasu jeszcze upłynie, zanim zdoła poznać cały medyczny personel Castillo.

– Miło mi – powtarzała, uśmiechając się do przedstawianych jej osób. Miała wrażenie, że nigdy nie była równie szczęśliwa i wesoła.

– A to jest Patrycja, moja żona – powiedział w końcu Rick. Sondra mrugając powiekami patrzyła na kobietę stojącą obok Ricka. Była bardzo ładna. Miała na sobie klasycznie skrojone ubranie, miło się uśmiechała, a gdy się odezwała, w jej głosie zabrzmiał ciepły tembr.

– Cieszę się, że mogę panią poznać. Rick opowiadał mi o tym, jak próbował panią zwerbować na neurochirurgię. Nie zamierza pani skapitulować?

Sondra nie mogła wymówić słowa. Stała z szeroko otwartymi oczami. Żona? Czy wspominał kiedyś o żonie? Prędko odtworzyła w pamięci wszystkie rozmowy z Rickiem i uświadomiła sobie, że choć potrafił stworzyć atmosferę zażyłości, to właściwie nic jej o sobie nie powiedział.

– Nie – odparła ze śmiechem i miała nadzieję, że zabrzmiał przekonująco. – Nie pozwolę Rickowi wpłynąć na zmianę mojej decyzji. Już dawno temu postanowiłam wyjechać do Afryki.

– Można by sądzić – odezwał się barytonem starszy dżentelmen o płowych włosach – że Rick pobiera prowizję za wprowadzenie nowej osoby na oddział neurochirurgiczny. Dzięki jego przyjacielskim namowom obecnie pracuje tam już trzech stażystów!

– Nieszczęścia lubią chodzić parami. Może do tego sprowadza się cała sprawa – odezwał się ktoś inny i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Sondra myślała tylko o tym, żeby się zaszyć w jakimś spokojnym miejscu. Jak to możliwe, by kobieta tak ostrożna i przezorna jak ona, mogła popełnić taką wielką pomyłkę? „To nie Rick wprowadził mnie w błąd” – pomyślała. „Dałam się nabrać własnej imaginacji!”

– Nie masz nic do picia, Sondro. Pozwól, że cię zaproszę do baru – zaproponował Rick.

– Nie, dziękuję – powiedziała szybko, wycofując się. – Poradzę sobie sama. Przyszłam tutaj

z przyjaciółkami. Do zobaczenia później.

Gdy spojrział na nią zdziwiony, Sondra poczuła, że płonie jej twarz. Rick Parsons nie miał o niczym najmniejszego pojęcia!

– Miło mi było państwa poznać. Cieszę się, że Tommy czuje się dobrze – powiedziała tylko, a potem odwróciła się na pięcie i zniknęła w tłumie.

Z piwem w jednej ręce i paluszkami z selera w drugiej Ruth okrążyła salę szerokim łukiem, zwiedzając jej krańce i obserwując falujące rozlewisko ciżby ludzkiej. Zauważyła wielu studentów ze swojego roku, kilku wykładowców, parę osób ze starszych roczników i stałych bywalców knajpki „U Gilhooleya”, którzy pracowali w szpitalu St. Catherine’s. Wszyscy robili na niej wrażenie bez trosk, lekkomyślnych i szczęśliwych, jak gdyby w innych gmachach: Mariposa, Manzanitas i Balboa nie toczyła się ciężka i zagorzała walka. Ruth zatrzymała się za jedną z doniczkowych palm pod portretem Juanity Hernandez – hidalgi o srogim spojrzeniu, w hiszpańskiej sukni i mantyli – zjadła do końca paluszek i wyrzucała sobie, że nie wzięła ze sobą notatek z wykładów.

Nie opodal grupka osób z wyteżoną uwagą przysłuchiwała się wypowiedziom nieznanego mężczyzny. Ciągnął wywód na temat jakiejś medycznej teorii. Mówił za głośno, zwracając się do nielicznych słuchaczy i przesadnie gestykulował.

– Przepraszam... – dobiegł Ruth z tyłu cichy głos. – Czy to wyspa dla psychicznie zdrowych?

Odwróciła się. Natknęła się na parę ciemno-piwnych oczu o łagodnym i ciepłym spojrzeniu, a pod nimi dostrzegła nieśmiały uśmiech.

– Proszę się przyłączyć – zaproponowała i usunęła się z drogi, podchodząc bliżej do palmy. – Można by sądzić, że ten przytułek dla obłąkanych prowadzą sami jego pacjenci – dodała.

Nieznamy na pierwszy rzut oka nie odznaczał się imponującym wyglądem. Był zaledwie kilka centymetrów wyższy od Ruth. Ale gdy lepiej mu się przyjrzała, uznała, że ma miłe, ujmujące rysy, lubi się uśmiechać, a w jego oczach kryje się bezgraniczna cierpliwość.

– Czuję się tutaj zagubiony – stwierdził i cicho się roześmiał. – Nie mam nic wspólnego z medycyną i wygląda na to, że w tym całym tłumie jestem jakimś dziwolągiem.

Krzykacz, który próbował zdominować gwar sali i olśnić wszystkich swoim geniuszem, ponownie przyciągnął uwagę Ruth. Odwróciła się w jego stronę i zmarszczyła brwi.

– Nie wszyscy jesteśmy tacy – oświadczyła swojemu towarzyszowi. – Ten jegomość zalicza się do niechlubnych wyjątków. Niech pan tylko posłucha, jak się napuszył. A jaki jest nadęty! To prawdziwy cud, że nie wzbil się jeszcze pod sufit!

Nieznamy lekko się zaczerwienił.

– Obawiam się, że właśnie z jego powodu tutaj jestem – wyjaśnił i raz jeszcze nerwowo się zaśmiał.

– Czyżby to, nie daj Boże, był pański przyjaciel?

– Gorzej. To mój brat. Norman Roth. A ja nazywam się Arnie Roth – przedstawił się i wyciągnął rękę do Ruth.

Ruth przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie słowa.

– Zapadająca się ziemia pod Ruth Shapiro będzie następnym dźwiękiem, jaki pan usłyszy – jęknęła. – Ogromnie pana przepraszam.

Uśmiechał się szczerze i otwarcie. Wciąż czekał z wyciągniętą ręką.

– Nic się nie stało. Norm ma szalenie wysokie mniemanie o sobie. I dobrze o tym wie. Ale przyzwoity z niego chłopak. Czy pani również czuje się zagubiona w tej ciżbie?

Ruth zaprzeczyła ruchem głowy i roześmiała się.

– Niestety, ja też należę do tego uprzykrzonego Bogu tłumy.

– Jest pani pielęgniarką?

– Nie. Studentką pierwszego roku. Dlaczego nie zainteresował się pan medycyną tak jak brat?

– Och nie. Wystarczy już, że Norman spełnił rodzinne aspiracje w tym względzie. Nie zniósłbym szpitalnej atmosfery ani przebywania pomiędzy chorymi ludźmi.

– A czym się pan zajmuje?

– Jestem księgowym. Dyplomowanym. Pracuję w czystym i miłym biurze w Encino, z dala od krwi i od śmierci.

– Medycyna to nie tylko krew i śmierć, panie Roth. Jest jeszcze odwrotna strona medalu – życie.

Skinął głową bez przekonania. A potem jego duże, piwne oczy, wilgotne i sentymentalne jak u sarny, zatrzymały się przez dłuższą chwilę na Ruth.

– A więc uczy się pani medycyny. Czy to naprawdę aż tak surowe studia, jak słyszałem?

– Są sto razy gorsze niż wszystko, co panu o nich mówiono.

– Rozumiem. Mnóstwo pracy. Czy może sobie pani pozwolić na życie towarzyskie?

Ruth przyjrzała się uważnie jego słodkiemu uśmiechowi. „Nie będziesz miał ochoty na romans ze mną. z braku czasu nie stać mnie teraz na chłopaka” – pomyślała niechętnie.

– Niestety, zaliczam się do tych studentów, którzy rzadko wychodzą zaczerpnąć świeżego powietrza. Widzi pan, postanowiłam być najlepsza i ukończyć studia jako pierwsza na roku. Dlatego niewiele pozostaje mi czasu na inne sprawy.

– To godne podziwu. Spojrzała na niego zdumiona.

– Naprawdę tak pan uważa?

– Żywię ogromny szacunek dla ludzi, którzy wiedzą czego chcą i dążą do celu, nie bacząc na poświęcenia.

– Kilku moich przyjaciół ma zgoła odmienny pogląd na tę sprawę.

– W takim razie nie są pani prawdziwymi przyjaciółmi. Powoli skinęła głową. Odprężyła się. Niespodziewanie poczuła wdzięczność dla Sondry za to, że ją tutaj wyciągnęła.

– Może spróbujemy przedrzeć się do bufetu? – zaproponował Arnie Roth. I odsunął się, przepuszczając ją przodem.

Posłała mu jeden ze swoich najpiękniejszych i najbardziej zachęcających uśmiechów. „A niech cię wszyscy diabli, Schonfeld...” – pomyślała.

Mickey obserwowała zabawę ze swojego ukrycia w kącie. Zazdrościła Ruth, która śmiejąc się i odrzucając do tyłu krótkie włosy, podawała talerz z zakąskami również uśmiechniętemu nieznanemu. Jakie to szczęście móc zachowywać się z taką swobodą i czuć się tak bezpiecznie!

Zaczęła rozglądać się za Sondrą, gdy spostrzegła w drzwiach mężczyznę.

Patrzył na nią.

Mocniej zabiło jej serce. Instynktownie zaczęła szukać drogi ucieczki. Spojrzała ponownie w stronę nieznanego. Wszedł do środka w towarzystwie innych ludzi, ale wzrok miał nadal w niej utkwiony.

Zaczęła poddawać się panice. Oderwała się od ściany, rozejrzała na boki, a potem jeszcze raz prędko rzuciła okiem w stronę mężczyzny. Wielkie nieba! Zbliżał się do niej!

Prześlizgnęła się pod ścianą, dała nura za olbrzymią palmę i ku niewypowiedzianej uldze znalazła drzwi, które prowadziły do toalet. Do miejsca schronienia. W popłochu rzuciła się do wyjścia, biegiem pokonała krótki korytarz i dopadła do damskiej toalety.

Gdy znalazła się w środku, stwierdziła z zadowoleniem, że jest sama. Podeszła do umywalki, żeby zbadać swój wygląd. Dlaczego ów nieznanomy tak się jej przyglądał? Założyła za ucho zwisające luźno kosmyki, wyjęła z torebki słoik z pudrem w płynie i zaczęła nakładać na twarz nową warstwę. Potem starannie zaczesła włosy do przodu – tak, by wyglądało, że naturalnie opadają blisko nosa – i usatysfakcjonowana wyszła na korytarz.

Nieznanomy na nią czekał.

– Dobry wieczór – przywitał ją z uśmiechem. – Zauważyłem, że pani wyszła. Nazywam się Chris Novack.

Mickey spojrzała w dół na wyciągniętą rękę, ale nie uściśnęła jej. Mały korytarz wydał się jej nagle ciasny i przerażający, a zamknięte drzwi, zza których dobiegały przytłumione odgłosy zabawy, znajdowały się bardzo daleko.

– Czy studiuje pani w Castillo?

Nie odwróciła do niego całej twarzy, ale ustawiła się tak, jak to miała w zwyczaju, by mógł widzieć tylko jej lewy profil. Przyglądała mu się przez moment i jeszcze bardziej zbity z tropu stwierdziła, że jest bardzo przystojny. Był wysokim, szczupłym mężczyzną po czterdziestce.

– Chyba mówi pani po angielsku? – zapytał z szerokim uśmiechem.

– Tak...

– Zauważyłem, że stoi pani samotnie. Pomyślałem, że może miałaby pani ochotę, żeby w ten ostatni wieczór 1968 roku ktoś dotrzymał pani towarzystwa. Czy mogę przynieść coś do zjedzenia albo do wypicia?

– Nie – odpowiedziała prędko. – Dziękuję.

– Jestem od niedawna w Los Angeles i nie mam tutaj wielu znajomych. – Umilkł znacząco. – Jest pani studentką, pielęgniarzką czy... ?

– Jestem studentką.

– Na którym roku pani studiuje?

Mickey patrzyła na pasek torebki, który nerwowo wyginała w palcach.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział w końcu. – Nie miałem zamiaru być natarczywy. Ale naprawdę bardzo chciałem panią poznać i pomyślałem, że najlepiej zrobię, jeśli po prostu podejść i przedstawię się.

Podniosła wzrok i zobaczyła na jego twarzy wyraz szczerzej skruchy.

– To ja się głupio zachowuję – odezwała się niepewnym głosem. – Ale nie jestem przyzwyczajona do tego, żeby ktoś próbował zawrzeć ze mną znajomość w tak bezpośredni sposób.

– Wprost trudno w to uwierzyć. Jest pani taką piękną kobietą.

Mickey umknęła wzrokiem w bok.

– A więc czy mogę coś przynieść dla pani?

– Poproszę o coca-colę. Przed chwilą właśnie próbowałam dopchać się do baru, ale bez powodzenia.

Zaśmiał się cicho.

– Tutaj panują prawa buszu. Jak pani na imię? Ruszyli korytarzem w stronę wejścia na salę. – Mickey.

– Mickey! Oryginalnie. Czy to jakiś skrót?

– Nie. Tak się po prostu nazywam.

– Co cię skłoniło, żeby pójść na medycynę, Mickey?

Gdy podeszli do drzwi, Chris Novack sięgnął do gałki, równocześnie biorąc Mickey za łokieć.

– Wybrałam te studia z powodu mojego ojca – odparła, modląc się w duchu, żeby nie przeszedł na drugą stronę. – Mój ojciec zmarł na nieuleczalną chorobę, gdy byłam mała. – Ciągnęła wyjaśnienia, które były stekiem wierutnych kłamstw. Gdyby wyznała prawdę, że na jej decyzję poświęcenia się badaniom medycznym wpłynęły niezliczone wizyty w gabinetach lekarskich, zwróciłaby tym jego uwagę na swoją twarz. – Obie z matką siedziałyśmy przy nim godzinami. Przypuszczam, że właśnie wtedy dojrzał we mnie pomysł, żeby zajmować się ratowaniem ludzkiego życia.

– Czy zdecydowałaś się już na jakąś specjalizację?

– Chciałabym prowadzić badania naukowe. Odpowiada mi atmosfera laboratorium.

Wmieszali się w tłum, usiłując przedostać się do baru. Chris Novack mocniej ścisnął Mickey za łokieć i poprowadził ją blisko przy sobie. Gdy w końcu dotarli do celu i otrzymali dwie śliskie butelki, przystojny towarzysz Mickey rozejrzał się z niezadowoleniem po sali.

– Strasznie tutaj ciasno. Może wyjdziemy na zewnątrz? Zaczęli przedzierać się w stronę drzwi. Chris niósł w górze nad głową butelki z coca-colą. W końcu poczuli na twarzach dotyk koronkowej mgły i zbawienny podmuch nocnego zimowego powietrza.

Na dziedzińcu było znacznie przestronniej niż wewnątrz budynku. Udało się im nawet znaleźć mokrą ławkę.

– Pewnie jeszcze niejedną raz zmienisz plany – zawyrokował Chris Novack i pociągnął z butelki solidny łyk coca-coli. – Na trzecim roku, gdy rozpoczniesz zajęcia w szpitalu, będziesz pracować na coraz to innych oddziałach. A każda specjalizacja wyda ci się atrakcyjniejsza od poprzedniej. Na oddziale dziecięcym stwierdzisz, że chcesz zostać pediatrą, na położnictwie będziesz widziała się już tylko w roli ginekologa. To normalne.

Gdy mówił, Mickey obserwowała jego profil, prawy profil, ponieważ zwlekała z zajęciem miejsca, by mieć Chrisa po swojej lewej stronie. W ciągu lat ćwiczeń opanowała tę umiejętność do perfekcji. Siedzieli pod tysiącletnim kalifornijskim białym dębem. Dobiegały ich dźwięki muzyki, wybuchy śmiechu i gwar rozmów. Chris Novack pociągnął kolejny łyk coca-coli i odezwał się, ważąc słowa:

– Czy możemy porozmawiać o twojej twarzy?

Mickey poczuła, że butelka wyslizguje się jej z dłoni. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Napój obryzgał jej stopy.

– O mój Boże! Bardzo przepraszam! – Chris zerwał się z miejsca.

Mickey stanęła na niepewnych nogach.

– Nie sądziłam, że... – Podniosła drżące palce do policzka.

– Bardzo przepraszam – powtórzył raz jeszcze, a kiedy Mickey odwróciła się, próbując uciec, położył prędko rękę na jej ramieniu. – Zaczekaj i wysłuchaj mnie, bardzo cię proszę. Wiem, że trudno ci o tym rozmawiać, ale...

– Muszę już iść – wyrzuciła z siebie zdławionym głosem. Gdy chciała odejść i Chris Novack mocniej przytrzymał ją za ramię, w mglistym powietrzu nocy rozległy się dzwony z zegarowej wieży. Tłum powitał rok 1969 pokrzykiwaniami, wiwatami i rykiem trąbek, a Chris Novack odwrócił Mickey twarzą do siebie.

– Jestem lekarzem, Mickey – powiedział głośno. – Chirurgiem. Oto dlaczego chciałem z tobą porozmawiać. Sądzę, że potrafię przywrócić twojej twarzy normalny wygląd.

Rozdział 8

Ruth dopiero od godziny przebywała na bloku porodowym, a już zaczęła liczyć minuty dzielące ją od chwili, kiedy będzie mogła stąd odejść. Nienawidziła tego miejsca.

Był luty. Drugi tydzień realizowano program „Studenci w roli lekarzy”. Kurs rozpoczął się w bardzo dobrej atmosferze. Wszyscy z podnieceniem zwiedzali oddziały, zapoznawali się ze strukturą szpitala i hierarchią stanowisk personelu. Entuzjastycznie odnieśli się do zajęć z użyciem słuchawek, aparatu do mierzenia ciśnienia krwi, oftalmoskopu i młotka do badania prawidłowości odruchów. Każdy otrzymał własny zestaw do badania. Ćwiczyli jeden na drugim, ucząc się odczytywania skurczowego i rozkurczowego ciśnienia krwi, wychwytywania szmerów zastawki serca i oceny objawów życiowych organizmu. Potem studentów pierwszego roku podzielono na grupy i skierowano na oddziały. Zaplanowano, że będą przebywać po cztery dni na każdym. Praktyczny i pisemny egzamin po sześciu tygodniach kursu miał wykazać celowość wprowadzenia programu „SWRL” na stałe do praktyki akademickiej.

Poprzedniego dnia grupa Ruth została oprowadzona po ginekologii. Podczas obchodu doktor Mandell zebrał studentów przy łóżku miłej kobiety, leżącej w kącie sali, która nie miała nic przeciwko temu, że zadawano jej kłopotliwe pytania w obecności dwunastu obcych ludzi.

I nawet w chwili gdy lekarz zaciągnął wokół łóżka zasłonę, oświadczając, że zademonstruje badanie ginekologiczne, chorej nadal nie opuszczał figlarny nastrój. Położyła się płasko na plecach, chętna do współpracy.

– W pewnym sensie będzie to mistyfikacja – uprzedził ich lekarz. – Ta kobieta jest prostytutką, którą szpital wynajmuje przedpołudniami, żeby odgrywała rolę pacjentki. Tylko tak można należycie pokazać prawidłowy sposób wykonania tego badania. Prawdziwe pacjentki są zbyt zestresowane, napinają mięśnie i niczego nie sposób się nauczyć.

Ruth podobał się dzień spędzony na ginekologii. Była zdania, że wiele skorzystała. Dzisiaj natomiast przyszła kolej na blok porodowy.

Na porodówce mogło przebywać równocześnie tylko dwóch studentów. Obowiązywał system rotacyjny. Każda para przychodziła na trzy dni, podczas gdy pozostałych członków grupy odsyłano na inne oddziały. Rano doktor Mandell wprowadził Ruth i Marka Wheelera na blok, wskazał im miejsce, gdzie się mogą przebrać, i spotkał się z nimi ponownie w dyżurce pielęgniarek.

Po krótkich wyjaśnieniach srogiej pani Caputo, przełożonej pielęgniarek na położnictwie, która przypomniała im, że mają wszystkim schodzić z drogi i nie zadawać żadnych zbędnych pytań, zostali oprowadzeni po bloku. W tej części oddziału znajdowały się dwie sale przedporodowe, cztery sale porodowe, dwie sale operacyjne i jedna pooperacyjna. Wszystkie pomalowane na zimne kolory pomieszczenia były sterylne i przygnębiająco bezosobowe. I panował tu nieznośny hałas!

Nikt nie zwracał uwagi na doktora Mandella ani na jego podopiecznych. Dzisiejszy dzień na

oddziale zaliczał się do bardziej ruchliwych. Na jednej z sal odbywał się skomplikowany poród. Gdy Ruth zajrzała do środka przez małe okno w drzwiach, zobaczyła na stole kopiec pod zielonymi prześcieradłami, przy którym uwijało się trzech mężczyzn i dwie kobiety. W pomieszczeniu obok siostra pospieszywie przygotowywała narzędzia i instrumenty do cesarskiego cięcia. Przystanęli na moment w wejściu na salę pooperacyjną, gdzie nad bladą i śpiącą kobietą czuwała ubrana na zielono pielęgniarka. Zwiedzanie bloku zakończyli przed jedną z sal przedporodowych.

Ku zdziwieniu Ruth ta część oddziału położniczego była dokładnym odpowiednikiem bloku operacyjnego na chirurgii, który miała okazję poznać w ubiegłym tygodniu. Nigdy nie myślała o narodzinach jako o zabiegu chirurgicznym. Nie spodziewała się również tak niezwykłego zgiełku. Zza grubych drzwi dobiegały krzyki rodzącej matki i polecenia położnej: „Przyj!” oraz „Nie przyjm!” Kilka kardiologicznych monitorów emitowało równocześnie sygnały, tworząc niemiły dla ucha dysonans. Brzęczały i syczały parujące autoklawy. Gdzieś w pobliżu dzwonił telefon, którego nikt nie odbierał. A z sali operacyjnej dochodziły głosy dwóch spierających się mężczyzn. I wreszcie, jak dramatyczny wykrzyk na końcu zdania, rozległ się rozdzierający krzyk, który poderwał na równe nogi dwoje wystraszonych „studentów w roli lekarzy”.

– Idźcie za hałasem, a bez problemu traficie na porodówkę – zażartował doktor Mandell.

Ruth weszła razem z lekarzem na salę, a Mark Wheeler, który się zbytnio nie spieszył, został w tyle. Jego pobladła twarz zlewała się w kolorze z rozjaśnionymi od słońca Malibu blond włosami. W pokoju zajęte było tylko jedno z czterech łóżek. Gdy podeszli bliżej do rodzącej kobiety, Ruth przeżyła wstrząs.

Pacjentka sama była niemal dzieckiem!

– Rzućmy okiem na jej kartę.

Karta była żółta, a to oznaczało, że nikt nie pokryje kosztów pobytu dziewczyny w szpitalu i że wszyscy mogą na niej praktykować: studenci, stażyści oraz lekarze specjalizujący się w dziedzinie położnictwa. Ruth wiedziała, że historie zdrowia prywatnych pacjentek, takich, które płaciły, miały własnych lekarzy i były nietykalne, w szpitalu St. Catherine's wypisywano na różowych formularzach.

Uśmiechnęła się do rodzącej, ale nie spotkała się z żadną reakcją z jej strony. Dziewczyna miała drobną buzię, w której dominowały ogromne piwne oczy. Blond włosy pozlepiały się w wilgotne strąki, usta były szare, a obcisła szpitalna koszula miejscami mokra od potu. Rodząca obrzuciła obcych czujnym spojrzeniem, ale jej wzrok pozbawiony był ciekawości. Jako osoba nieubezpieczona przywykła już do wizyt ludzi w białych kitlach, w zielonych chirurgicznych fartuchach i w uniformach techników, z których tylko nieliczni zadali sobie trud, żeby się jej przedstawić.

Ruth usiłowała skupić uwagę na karcie.

– Rozwarcie szyjki macicy na pięć palców – stwierdził doktor Mandell. – Dopiero przy dziesięciu będzie pełne. Lenore jest zaledwie na półmetku. – Zamknął kartę i powiesił ją z

powrotem na oparciu w nogach łóżka. – Na razie nic tu po nas. Chodźmy obejrzyć cesarskie cięcie.

Wychodząc, Ruth obejrzała się i napotkała wzrok dwojga wielkich, umęczonych oczu.

Gdy się znaleźli na korytarzu, z sali, którą opuścili, dobiegł ich kolejny krzyk.

– Uciekliśmy w samą porę – zauważył z uśmiechem doktor Mandell i podszedł do pani Caputo, która właśnie udzielała reprimendy zaczerwienionej na twarzy pielęgniarce. Ruth widziała, jak za plecami przełożonej niezadowolona siostra kręci głową i robi miny. Po chwili lekarz do nich wrócił.

– Przykro mi, ale tym razem wpuszczą państwa tylko pojedynczo. Proszę za mną, panie Wheeler. Pan wejdzie jako pierwszy.

Ruth śledziła ich wzrokiem, gdy znikali w pustej na razie sali, a potem dobiegł ją kobiecy głos:

– No cóż, zgoda. Tylko żeby nie zemdłał.

Ruth postanowiła ponownie zajrzeć przez małe okienko na salę obok.

Z miejsca, w którym stała, widać było tylko przestrzeń pomiędzy ramionami lekarzy. Poród trwał nadal i z jakiejś przyczyny nie przebiegał prawidłowo.

Dostrzegła czubek małej główki, który na moment pokazał się i zaraz zniknął, jak gdyby dziecko nie było jeszcze gotowe, żeby przyjść na świat. Z każdym ruchem główki leżąca kobieta przeraźliwie krzyczała.

– Na miłość boską, zwiększcie jej dawkę epiduralu! – Ruth usłyszała głos lekarza.

Odniosła wrażenie, że rodząca kobieta zaprotestowała, jednak po chwili umilkła. Nastąpiło zatrzymanie akcji porodowej.

– Przyj! – wrzasnął położnik, którego zgarbione plecy były pokryte smugami potu. – No, dalej, przyj!

Kobieta podjęła bezskuteczny wysiłek.

Anestezjolog ograniczył jej zdolność panowania nad funkcjonowaniem mięśni.

W końcu lekarz wziął kleszcze, wy dobył dziecko i oddał je w sterylne ręce swojego asystenta.

Ruth odsunęła się od drzwi i zapatrzyła się przed siebie w zimną, wyłożoną zieloną glazurą ścianę.

Nagle przed jej oczami przemknęła niczym zielona plama pielęgniarka. Pospiesznie otworzyła szafkę, chwyciła zielony tobolek i biegiem wróciła na salę. Gdy na moment uchyliły się drzwi, Ruth zalała falą odgłosów: sygnały monitora kardiologicznego, kwilenie dziecka, metaliczny dźwięk respiratora, syczenie wentylatora wyciągowego i słowa: „A cóż to ma być, u licha!”

Odwróciła się i ruszyła wolno wzdłuż ściany w przeciwnym kierunku. „Muszę jakoś przez to przebrnąć” – pomyślała. Nagle drzwi o podwójnych skrzydłach na końcu korytarza stanęły otworem, a do środka wpadło dwóch mężczyzn w białych kitlach. Wieźli na wózku pacjentkę. W

jednej chwili zaroilo się od ludzi w zieleni, którzy zaraz przegonili sanitariuszy. Uwijali się jak w ukropie, wykonując głośno wykrzykiwane polecenia. Ktoś zerwał koc z kobiety w zaawansowanej ciąży, a ktoś inny narzekając na brak informacji w karcie, przeklinał zespól z izby przyjęć.

– Pospieszcie się, na miłość boską, bo będziemy odbierać dziecko na korytarzu! – Jak na rozkaz wszyscy zgodnie wwieźli pacjentkę na salę.

Gdy drzwi otworzyły się na oścież, Ruth w przelocie dostrzegła popielatą twarz Marka Wheelera, który opierał się o ścianę. Nigdzie nie było widać natomiast doktora Mandella.

Pewnie dołączył do grupy studentów, która zapoznawała się z oddziałem patologii ciąży. Była tam Mickey z Sondrą i Ruth rozpaczliwie pragnęła jak najprędzej znaleźć się razem z nimi.

Donośny krzyk skierował jej uwagę na otwarte drzwi do pierwszej sali przedporodowej. Zbliżyła się do nich i zajrzała do środka. Nieszczęsna dziewczyna, która miała nie więcej jak czternaście, piętnaście lat, wbiła w Ruth swoje ogromne przerażone oczy.

– Niech pani mi pomoże – poprosiła błagalnie.

Ruth podeszła do łóżka i spojrzała na młodszą o jakieś pięć lat od siebie Lenore. Widok kobiety w zaawansowanej ciąży nie był jej obcy, ale nigdy dotąd nie uczestniczyła w porodzie. Matka stawała się coraz grubsza z każdym kolejnym dzieckiem, a kiedy nadchodziła pora, szła spokojnie do szpitala i po tygodniu wracała do domu z czystym i różowiutkim niemowlęciem.

To, co się tutaj rozgrywało, było dla Ruth czymś zupełnie nowym. Lenore leżała wspierając się na wilgotnej poduszce. Wychudłe dłonie trzymała na swoim wydatnym brzuchu. Nogi miała okryte kocem. Spod lichej szpitalnej koszuli wystawało kilka kabli, które przewodziły impulsy z brzucha do stojącego obok łóżka monitora. Świstał złowieszczo i wyrzucał z siebie pasek milimetrowego papieru z wykresem. Jedna z drobnych rąk dziewczyny była przyklejona plastrem do sztywnej podkładki, a z przegubu jej dłoni odchodziła rurka połączona z zawieszoną nad łóżkiem butelką. Przedramię dziewczyny było owinięte rękawem aparatu do mierzenia ciśnienia. A na nocnej szafce leżały dwa rodzaje słuchawek, pudełko ze sterylnymi rękawicami, chirurgiczna latarka, nerka na wypadek torsji i termometr.

Ruth rozejrzała się po sali. Niewątpliwie ci, którzy projektowali wystrój wnętrza, pragnęli stworzyć pogodny nastrój, o czym świadczyły jasnożółte tapety w stokrotki, wzorzyste zasłony w cytryny i ananasy wokół łóżek, a także plakat z dziećmi goniącymi motyle, który był przyklejony do drzwi szerokim przyklepcem. Ale mimo wszystko panowała tu szpitalna atmosfera: oślepiające, jaskrawe światło, łóżka z błyszczącego chromu, wykrochmalone prześcieradła i wypolerowane linoleum.

„Nigdy nie będę rodzić moich dzieci w takim miejscu” – zaskoczyła Ruth niespodziewana myśl.

Ponownie spojrzała na Lenore i dostrzegła w jej twarzy nieme błaganie. Zrozumiała, że dziewczyna chciałaby się dowiedzieć, z kim ma do czynienia, ale nie śmie o to zapytać. „Zawsze przedstawiajcie się jako lekarze” – przypomniła sobie słowa doktora Mandella. „Zdobędziecie

w ten sposób zaufanie pacjenta”.

– Dzień dobry. Jestem doktor Shapiro.

Z twarzy dziewczyny zniknęło napięcie, a pojawił się wyraz niewypowiedzianej ulgi. Ruth poczuła ukłucie winy. „Proszę, nie licz na mnie. Nie mam najmniejszego pojęcia, jak przebiega twój poród” – powiedziała do niej w myśli.

– Strasznie się boję, pani doktor – szepnęła dziewczyna.

– Wiem – stwierdziła Ruth. – To zrozumiałe. Pewnie to twoje pierwsze dziecko? – „Co za głupie pytanie!” – skarciła się natychmiast.

– Tak. – Lenore spojrzała w dół na swoje brzemię, które zakrywała dłońmi. Ruth wydawało się, że dziewczyna chce dodać coś jeszcze, ale nie wie, jak to powiedzieć.

– Nie masz nikogo bliskiego? – zapytała łagodnie. Lenore podniosła głowę.

– Tak, jestem zupełnie sama! Gdy mój chłopak dowiedział się o ciąży, to się natychmiast stąd wyniósł. Pewnie zdążył już dotrzeć do San Francisco. Mieszkaliśmy razem z grupą młodych ludzi, ale ja i Frank byliśmy od dawna parą. Nie sypiałam z innymi. Kiedy odszedł, grupa się rozpadła.

– A gdzie teraz mieszkasz?

– Gdzie się da.

– Masz rodzinę?

– Tak, na Wschodnim Wybrzeżu. W ubiegłym roku przejechałam przez cały kraj autostopem. Ale od czasu gdy spotkałam Franka, postanowiłam prowadzić ustabilizowany tryb życia. Niestety on okazał się typem włóczęgi.

– Współczuję ci – mruknęła Ruth. – No cóż, teraz przynajmniej będziesz miała dziecko.

– Tak...

Przerwały rozmowę, słysząc męskie głosy. Ruth obejrzała się i zobaczyła, że na salę weszło dwóch mężczyzn w zielonych strojach. Jednym z nich był lekarz, który przed chwilą odebrał kleszczowy poród. Miał koszulę poplamioną krwią.

– Zdradzę ci tajemnicę. Zawsze podaję moim dziewczętom scopolaminę – wyznał, podchodząc do łóżka Lenore. – Mogą sobie bredzić, odchodzić od zmysłów i szaleć w czasie porodu, ale potem niczego nie pamiętają. Błogosławię mnie za to. Żadnego bólu. Żadnych przykrych wspomnień. No dobrze. Kogo tutaj mamy? Niepełnoletnią pierworódkę. Rozwarcie szyjki macicy na pięć palców. Pacjentka została skierowana z izby przyjęć. W takich przypadkach jak ten zawsze należy sprawdzić badania wenerologiczne – pouczył swojego kolegę.

Ruth odsunęła się, robiąc im dostęp do łóżka. Położnik w milczeniu przeczytał do końca kartę zdrowia, a potem wręczył ją asystentowi. Rzucił okiem na zapis monitora z wykresem tętna płodu, wyciągnął z pudełka parę rękawic i wsunął w nie dłonie.

Gdy ściągnął prześcieradło na dół, Lenore instynktownie zsunęła razem uda.

– Trochę za późno na to, żeby zaciskać nogi, nie sądzisz? No, kochanie. Nie będziemy

przecież czekać cały dzień!

Obaj przeprowadzili badanie, nie przerywając rozmowy.

– Rozwarcie na osiem palców, główka jeszcze dosyć wysoko – zawyrokowali na koniec. – Chodźmy, zdążymy się jeszcze napić kawy.

Gdy wyprostowali się i zaczęli ściągać rękawice, Lenore zdobyła się na odwagę.

– Główka obniżyła się. Czuję to – powiedziała piskliwym głosem.

– Nie, kochanie. Jeszcze musisz chwilę poczekać.

– Czy dostanę coś na uśmierzanie bólu? Położnik pogłaskał ją po ręce.

– Niestety, to niemożliwe, moja droga. Środki przeciwbólowe mogłyby zwolnić, a nawet zatrzymać akcję porodową. Nie zachowuj się jak dziecko. Wszystko przebiega zupełnie normalnie.

Odchodzili już, gdy do pokoju wpadła pani Caputo.

– Doktorze Turner, telefonowali z karetki. Na Coast Highway zdarzył się wypadek. Jedną z poszkodowanych jest ciężarna kobieta, która zaczęła rodzić. Istnieje zagrożenie płodu. Wiozą ją do nas.

– O Boże! Chodź Jack, pomożesz mi. Proszę zatelefonować do mojego gabinetu, pani Caputo, i odwołać rezerwację w „Scandii”.

Gdy wyszli, Ruth z powrotem zbliżyła się do rodzącej; w samą porę, żeby zobaczyć dwie olbrzymie łzy spływające po jej policzkach. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, twarz dziewczyny wykrzywił grymas. Z jękiem wygięła szyję w łuk, krzyknęła i po chwili bez tchu opadła na łóżko.

– Okropny ból – płakała. – Zabije mnie. Na pewno umrę!

– Nie umrzesz – uspokajała Ruth, biorąc ją za rękę. – Słyszałaś, co powiedzieli lekarze. Tak przebiega normalny poród.

– Pomylili się co do główki dziecka. Wcale nie jest wysoko. Czuję, jak się obniża.

Ruth przyjrzała się jej wnikliwie.

– Jesteś pewna? – zapytała i natychmiast pożałowała swoich słów. W myśl uniwersalnej filozofii medycznej lekarz zawsze wszystko wie lepiej i nigdy nie sugeruje się uwagami pacjenta.

Lenore nie miała jednak czasu, żeby odpowiedzieć. Jej twarz ponownie wykrzywiła się w spazmie bólu, aż nabrzmiały żyły na szyi i skroniach. Wydała z siebie przejmujący jęk i ciężko dysząc, opadła na posłanie.

Ruth spojrzała na nią zaniepokojona. Skurcze następowały po sobie zbyt prędko.

– O Boże! – zawołała Lenore płaczliwym głosem. – Ja krwawię!

– To niemożliwe – powiedziała Ruth najspokojniej, jak tylko potrafiła. Obejrzała się przez ramię. Gdzie się, u licha, wszyscy podziali? Z gniewem ściągnęła prześcieradło. Pomiedzy nogami dziewczyny dostrzegła świeży, przezroczysty płyn.

– Wszystko w porządku – wyjaśniła ze spokojem, od którego była daleka. – To tylko odeszły wody płodowe.

– Znowu się zbliża! – Lenore spięła się w kolejnym skurczu i tak mocno ścisnęła Ruth za rękę, że ta omal nie krzyknęła razem z nią.

– Niech mi pani pomoże, pani doktor! Nadchodzi następny! Och, Boże! Tak strasznie się boję!

Ruth oderwała palce Lenore od swojej dłoni.

– Pójdę kogoś poszukać. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Ale nie było. Na korytarzu panował chaos. Ofiara wypadku samochodowego została przewieziona na salę porodową i pracowało przy niej sześciu ludzi. Ktoś rozcinał i zdejmował zakrwawione ubranie, ktoś inny próbował przytrzymać jej maskę tlenową przy twarzy, jeden z asystentów podjechał z aparaturą do masażu serca, podczas gdy jeszcze ktoś inny nakładał żel na przyssawki defibrylatora. Wszyscy, oprócz zajętych przy cesarskim cięciu na sali obok, walczyli o życie kobiety i dziecka. W ekipie znaleźli się nawet dwaj lekarze z innego oddziału. Ruth stała jak sparaliżowana, obserwując panujące tu pandemonium.

Nagle dostrzegła panią Caputo. Podbiegła do niej.

– Dziewczyna na sali przedporodowej zaczęła...

Ale przełożona pielęgniarek wyminęła Ruth, niosąc w ramionach pakiet opatrunków chirurgicznych.

– Niech mi pani zejdzie z drogi! – rzuciła szorstko. – Kobieta z wypadku to pacjentka doktora Turnera, który teraz jest przy niej zajęty. Proszę się nie wtrącać, bo panią stąd wyrzucę!

Ruth pospiesznie wróciła do Lenore, nie zdając sobie nawet sprawy, że myśli teraz o niej jak o własnej pacjentce. Gdy weszła na salę, zastała ją w kolejnym skurczu. Monitor rejestrujący puls dziecka terkotał nierównym rytmem, kroplówka brzęczała na stojaku, brzuch Lenore unosił się i falował, a koc spadł z łóżka i leżał na podłodze.

„O Boże!” – pomyślała przerażona Ruth. Z przejęcia zaschło jej w ustach. Poród wchodził w ostatnią fazę. Lenore chwyciła kurczowo Ruth za przegub dłoni.

– Niech mi pani pomoże – wydusiła z siebie chrapliwym głosem. – Błagam, pani doktor.

Ruth usiłowała wyrwać się z uścisku. Oszałała ze strachu rzuciła okiem w stronę drzwi. Wiedziała, że jeśli zacznie wołać o pomoc, Lenore wpadnie w panikę. Musiała zachować spokój – zdobyć się przynajmniej na tyle.

Lenore napięła się w kolejnym skurczu, a Ruth w jednej chwili pojęła nagą prawdę, że nie będzie jej mogła zostawić samej.

„Wielki Boże, wielki Boże...” – powtarzała w duchu, szamocząc się z boczną poręczą łóżka. „Gdzie się znajduje przycisk dzwonka? Dlaczego nie ma przełącznika, z którego można by skorzystać w razie nagłego wypadku? I dlaczego nikt nawet tu nie zajrzy?”

Jej najgorsze obawy potwierdziły się przy następnym skurczu. W rozwartym kroczu mignął jej przez moment czubek główki dziecka.

Roztrzęsiona włożyła rękawice, tak jak zrobił to przed chwilą doktor Turner, i pewnie stanęła pomiędzy rozszerzonymi nogami Lenore. Podczas kolejnego bólu wyciągnęła ręce, gotowa

odebrać śliską piłkę według zaleceń w fachowej literaturze. Ale dziecko nie miało zamiaru postępować zgodnie z podręcznikami. Główka się cofnęła, a Lenore odprężyła się na moment.

„Teraz po kogoś pobiegnę... „

Ale główka znowu zaczęła się przeciskać i tym razem Ruth ze zgrozą dostrzegła, że jest owinięta jakąś pętlą.

Oblała się zimnym potem. Przez chwilę myślała, że zemdleje. Tylko pępowina mogła być ową nieprzewidzianą komplikacją.

– Nie przyj podczas następnego skurczu – zwróciła się do Lenore. – Zaczekaj!

– Nie potrafię tego powstrzymać! Muszę przeć!

– Nie, nie wolno ci!

A gdy po raz kolejny pojawiła się główka płodu, przerażenie Ruth sięgnęło zenitu. Sinawy sznur ugrzązł w otworze i pod wpływem naporu stał się biały. Wyobraźnia Ruth zaczęła pracować. Każdy ucisk na pępowinę odcinał dziecku dopływ krwi matki, a tym samym tlenu. Gdyby taka sytuacja utrzymywała się nadal, dziecko mogłoby zginąć jeszcze przed urodzeniem.

Ruth zaczęła płakać, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Przez łyzy widziała tylko swoje ręce, które działały instynktownie i zupełnie niezależnie od niej, nie kierując się rozumem ani wzrokiem. Wsunęła je do pochwy. Palce odnalazły delikatną, krągłą główkę, wyczuły pulsujący powróż i podczas skurczu przytrzymały dziecko, zapobiegając zaciskaniu się pępowiny. Jednak gdy skurcz minął, Ruth stwierdziła, że pętla z powrotem owinęła się wokół główki i wiedziała, że przy kolejnym parciu znowu zablokuje wyjście.

Bez namysłu rozłożyła łóżko poziomo i jak szalona rzuciła się do korby, żeby podnieść jego koniec w górę. Lenore łagodnie przechyliła się głową w dół. Ruth zostawiła ją w tej pozycji, zajęła z powrotem miejsce w nogach łóżka i czekała w napięciu na dalszy przebieg akcji. Pętla nie zaciskała się już tak mocno jak przedtem, ale wciąż krępowała ruchy dziecka. Ruth przy każdym skurczu przytrzymywała główkę.

Mogłaby przysiąc, że minęły godziny, a może nawet dni, gdy zapłakana Lenore leżała przechylona głową na dół, a ona z rękami w jej wnętrzu chroniła dziecko przed uciskiem pępowiny. Zaczęła wołać o pomoc. W końcu, nie wiedziała za którym razem, ktoś ją usłyszał. Na salę wpadła położna.

– Jezu Chryste! – zawołała. A gdy włożyła rękawice i zajęła się rodzącą, Ruth się załamała i otwarcie zaczęła szlochać. Poczowała, że ktoś mocno objął ją ramieniem i odprowadził do krzesła w kącie sali. Usłyszała czyjeś pośpieszne kroki i odgłosy wywożonego z pokoju łóżka. A potem zaległa cisza.

Kilka minut później pielęgniarka przyniosła Ruth filiżankę kawy. Uśmiechała się pomagając jej zdjąć splamione krwią rękawice. Po chwili na salę wszedł obcy mężczyzna w zielonym uniformie. Ubranie było mokre od potu, ale bez śladów krwi. Obrzucił Ruth pytającym spojrzeniem i przedstawił się jej jako doktor Scott.

– Obawiam się, że jeszcze nie miałem okazji pani poznać – stwierdził, przysuwając sobie

krzesło i szukając wzrokiem wizytówki na piersi Ruth. – Czy pani jest pielęgniarką?

Z trudem przełknęła ślinę. Powoli odzyskiwała panowanie nad sobą, ale wciąż była roztrzęsiona.

– Nie, jestem studentką medycyny.

– Na którym roku pani studiuje? Na trzecim czy czwartym?

– Na pierwszym.

Jego brwi uniosły się w górę niemal po kraniec chirurgicznego czepka.

– Jest pani studentką pierwszego roku medycyny?! A co pani tutaj robi?

Wyjaśniła mu ideę programu „SWRL” i wytłumaczyła, że . właśnie jest to jej pierwszy dzień zapoznawania się z blokiem porodowym.

– Zatem mogła pani od razu zakosztować prawdziwej medycyny – stwierdził, uśmiechając się ciepło. – Szczęściara z pani. Gdy ja byłem studentem, nie przekroczyłem progu szpitala do trzeciego roku. A gdy to się w końcu stało, przeżyłem wstrząs, proszę mi wierzyć. Zemdlałem, widząc po raz pierwszy nakłucie kanału kręgowego! To rozsądny pomysł, żeby dać studentom przedsmak zawodu lekarza. W ten sposób ci, którzy nie mają wielkiego serca do tej profesji, mogą jeszcze zrezygnować. Na trzecim roku jest już na to o wiele za późno.

Umilkł i przez chwilę wnikliwie się jej przyglądał.

– Czy to wydarzenie zrazi panią do medycyny?

– Nie.

Uśmiechnął się jeszcze promiennie.

– Gdzie zdobyła pani doświadczenie w zakresie położnictwa? Może pracowała pani jako pomoc pielęgniarska? – A gdy zaprzeczyła głową, dodał: – Nie do wiary! Naprawdę jest pani dzisiaj po raz pierwszy na bloku porodowym?

– Nie widziałam nawet kocącej się kotki.

Złożył ręce i odchylił się do tyłu. Miał dziwny wyraz twarzy, którego Ruth nie potrafiła rozszyfrować. Dopiero gdy się odezwał, ton głosu wszystko jej wyjaśnił.

– To zadziwiające, że wiedziała pani dokładnie, co należy robić. Nie wpadła pani w panikę ani nie uciekła, tylko została przy rodzącej.

– Wybuchnęłam przy niej płaczem. Wzruszył ramionami.

– Wszystkim nam się to zdarza od czasu do czasu. W pani przypadku miało to miejsce w niecodziennych okolicznościach. – Zastanawiał się nad czymś przez chwilę. – Zamierza pani specjalizować się w położnictwie?

– Nie. Chcę zostać lekarzem ogólnym.

– Powinna się pani jeszcze zastanowić nad wyborem specjalizacji. Pani miejsce jest tutaj.

Ruth wybałuszyła na niego oczy. Rozejrzała się dookoła. Obrzuciła wzrokiem banalne tapety, cytryny i ananasy na zasłonach oraz puste miejsce po łóżku Lenore. „Tutaj?” – zdziwiła się.

– Czy z Lenore wszystko w porządku?

– Tak, czuje się dobrze. Urodziła zdrowego chłopca. Chciałaby go pani zobaczyć?

– Bardzo chętnie.

Gdy wstała, doktor Scott też podniósł się z miejsca, położył jej rękę na ramieniu i wyprowadził z sali przedporodowej.

Rozdział 9

Czy będzie bolało?

– Tylko ukłucie do miejscowego znieczulenia i trochę potem, gdy xylocaina przestanie działać.

Gdy doktor Chris Novack układał potrzebne instrumenty na tacy, Mickey odwróciła głowę. Nie chciała na to patrzeć. Utkwiła wzrok w oknie, z którego roztaczał się widok na spieniony i przewalający się w strugach lutowego deszczu Pacyfik.

– Boisz się, Mickey?

– Tak.

– Zrobić ci zastrzyk uspokajający?

– Nie, dziękuję.

– Rozmawiała z nim, umykając spojrzeniem w inną stronę, żeby nie widzieć, co robią jego ręce z przerażającymi instrumentami na tacy. Miała wilgotne dłonie. Wciąż wycierała je w wymiętą chustkę.

Od siedmiu dni, to jest od czasu gdy wyraziła zgodę na zabieg, próbowała przygotować się na tę chwilę. Ale zarówno jego uspokajające słowa, jak i własne rozsądne argumenty rozplynęły się w deszczu. W końcu był to tylko eksperyment, który nie dawał gwarancji powodzenia.

Po oświadczeniu doktora Novacka na zabawie sylwestrowej w Encinitas Hall, kiedy to wziął ją za rękę i powiedział: „Sądzę, że potrafię przywrócić twojej twarzy normalny wygląd”, Mickey nie uciekła. Usiadła z powrotem na ławce i wysłuchiwała jego wyjaśnień:

– Szpital St. Catherine’s przyznał mi stypendium na badania. Jestem chirurgiem plastycznym i przeprowadzam eksperymenty w zakresie różnych metod usuwania naczynek. Dlatego przyglądałem ci się tak natargiwie. Szukałem pacjenta, którego przypadek mógłbym opisać w literaturze fachowej. Za pomocą nowej metody wykonałem dotychczas zaledwie kilka zabiegów. Wszystkie zakończyły się powodzeniem, ale plamy nie były zbyt rozległe. Do pracy naukowej jest mi potrzebny bardziej imponujący przypadek. I oto zjawiałaś się ty!

Mickey nie odezwała się ani słowem. Nie bała się Chrisa Novacka ani bólu, ale rozczarowania. Zaczęła wypytywać go bez końca, czy wynik jest pewny, ale niezmiennie odpowiadał, że nie może jej dać żadnej gwarancji.

– Plama jest wyjątkowo duża. Obejmuje aż połowę twarzy. Nie przypominam sobie, żebym kiedyś widział znamię o podobnych rozmiarach. Skóra na policzku jest bardzo delikatna, a zabieg precyzyjny. Najpierw przeprowadzę test w niewidocznym miejscu na pośladku, żeby zbadać, czy na twoim ciele uzyskam odpowiednią reakcję.

– Co mam robić?

– Nic. Przychodź tylko co trzecią sobotą do mojego gabinetu. Będzie to trwało z godzinę, nie

dłużej. Poza tym musisz pozwolić mi się sfotografować przed i po zabiegu oraz podpisać zgodę, że wykorzystam twoje nazwisko i zdjęcia w pracy naukowej.

– A co będzie, jeśli zabieg przyniesie niepożądane skutki?

– Jeśli obawiasz się, że znamię może wyglądać gorzej niż w tej chwili, to zapewniam cię, że nie ma takiego niebezpieczeństwa.

A kiedy Mickey przełknęła ślinę i ze ściśniętym gardłem przystała na to niepewne przedsięwzięcie, doktor Novack dodał:

– I jeszcze jedno. Żadnego makijażu w czasie trwania eksperymentu. Nie możemy pozwolić sobie na ryzyko infekcji.

Te słowa zastopowały Mickey. Lekarz planował jednorazowo usuwać tylko skrawek naczyniaka, a to oznaczało, że pokaźna część plamy pozostanie widoczna. Pokazywanie się z nią bez pudru w kremie było dla Mickey równoznaczne z chodzeniem nago po miasteczku akademickim. Wiedziała, że nie potrafi tego zrobić. I powiedziała mu o tym.

Jednakże nie wzięła pod uwagę determinacji swoich współlokatorek – dwuosobowego zespołu wodzirejów. Przypuściły atak, naciskały, przymilały się i groziły; nie dawały jej ani chwili spokoju. „Zbyt wiele razy przeżyłam rozczarowanie” – płakała. „Nikt jeszcze z tego powodu nie umarł” – odpowiadały niemal chórem. Swoim optymizmem i entuzjazmem stopniowo łamały jej opór. „To nie wasza twarz! Co możecie o tym wiedzieć!” – próbowała się jeszcze bronić Mickey. W końcu Sondra zrobiła śmiały i rozstrzygający ruch. Gdy Mickey spała, opróżniła wszystkie butelki z pudrem w płynie, wylewając ich zawartość do kanalizacji.

I oto obie, z książkami na kolanach, siedziały teraz w holu i czekały na Mickey, gdy odbywała pierwszą sesję z doktorem Novackiem.

– Próbowano już wszystkiego – wyjaśniał właśnie Mickey. Siedziała jak sparaliżowana na krześle przypominającym fotel dentystyczny. – Od lat lekarze stosowali wszystkie możliwe środki w celu usunięcia naczyniaków, ale osiągalni mierne rezultaty. Blizna koło twojego ucha powstała w wyniku próby przeszczepu skóry. Nie martw się, Mickey. I z tym sobie poradzę.

Nie musiał opowiadać jej o stosowanych w praktyce metodach – o wypalaniu, zamrażaniu i wycinaniu, ponieważ dobrze je wszystkie знаła i w większości nie tylko okazały się mało skuteczne, ale także były wprost niewiarygodnie bolesne.

– Szczęściara z ciebie, Mickey. W twoim przypadku mamy do czynienia z naczyniakiem włosowatym. Gdyby to była odmiana naczyniaka jamistego, musiałabyś najpierw zostać poddana operacji neurochirurgicznej w celu odcięcia głównego naczynia krwionośnego.

Musnął palcami jej włosy. Wzdrygnęła się. Gdy zrobił to po raz pierwszy i odsunął je z policzka, żeby móc się lepiej przyjrzeć znamieniu, Mickey myślała, że umrze z zażenowania. Wiew powietrza po tej stronie twarzy, badawcze spojrzenie i dotyk palców – czuła się tak, jak gdyby zagłębiał się w najbardziej intymne i strzeżone rejony jej ciała. Wiedziała, że nigdy się z

tym nie oswoi.

– Zaczęń możliwie jak najbliżej ucha, Mickey. Dzięki temu nic nie będzie widać w wypadku niepowodzenia. – Jego głos brzmiał łagodnie i uspokajająco.

Włosy dziewczyny były spięte z tyłu i zawinięte w chirurgiczną chustę. Mickey, zgodnie z poleceniem, rano dokładnie przemyła policzek phisohexem. A teraz położyła głowę na oparciu i odwróciła się w stronę ściany. Doktor Novack założył jej pod brodę jeszcze jedną chustę i ponownie przemył prawą stronę twarzy tym samym preparatem. Potem usłyszała, że odłożył na bok tampon i wziął do ręki jakiś przedmiot.

– Tylko kilka delikatnych ukłuć, Mickey. To xylocaina. Poczula przeszywający ból, a potem odniosła wrażenie, że prawa strona twarzy unosi się w górę i szybuje prosto do rąk doktora Novacka.

– Postaram się jak najdokładniej dobrać pigment, Mickey. Masz piękną skórę. Byłaby przedmiotem zazdrości innych kobiet, gdyby ją zobaczyły. Ale skąd mogą o niej wiedzieć, skoro odsłaniasz tylko czubek nosa.

Czuła, jak jego palce masują jej policzek.

– A teraz zaczęń nakładać pigment.

Rozległ się dźwięk – okropny trzask przełącznika i warkot motoru. Mickey słysząc go miała ochotę czmychnąć w popłochu. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie instrument w dłoni lekarza. Przypominał długopis zakończony cienkimi nitkami – igłami do tatuażu – których wibracja miała przywrócić skórze pigment.

Gdy godzinę później wyszła z gabinetu, wciąż jeszcze była roztrzęsiona i bardzo blada, ale uśmiechała się promiennie. Ruth i Sondra na jej widok zerwały się z miejsc. Chris Novack wyprowadził Mickey na korytarz, obejmując ją ramieniem.

– Nie zdejmuj opatrunku możliwie jak najdłużej. Gdyby się działo coś niepokojącego, natychmiast do mnie zadzwoń. Przyjdź w środę po południu na kontrolne badanie. I nie zapominaj o spinaniu włosów w czasie trwania kuracji. Powodzenia.

Sondra podbiegła do Mickey i chwyciła ją w objęcia, podczas gdy Ruth cofnęła się o krok do tyłu i trzymając się pod boki, zmierzyła wzrokiem bandaż oraz skrawek widocznej spod niego purpurowej skóry.

– Jezu Chryste! Mickey Long, wyglądasz jak narzeczona Frankensteina – stwierdziła, szczerząc zęby.

Nadszedł maj i już tylko dni dzieliły je od egzaminów.

W miarę zbliżania się terminu sesji letniej życie towarzyskie w miasteczku akademickim Castillo zaczęło coraz szybciej tracić na intensywności. Młodzi ludzie w popłochu rzucili się do książek i pilnie zgłębiali wiedzę. Egzaminy po pierwszym roku były punktem przełomowym, decydującym o medycznej karierze niejednego studenta. Każdy wiedział, że w razie

niepowodzenia zostanie wyrzucony z uczelni. Panowało powszechne przeświadczenie, że gdy się już zaliczy pierwszy rok medycyny, reszta będzie fraszką. Coraz rzadziej organizowano potańcówki, aż w końcu zrezygnowano z nich zupełnie. Gmach Encinitas Hall zaczął świecić pustkami. Tylko w sobotnie popołudnia i wieczory można było czasami natknąć się tam na studentów starszych roczników w białych kitlach, którzy przychodzili, żeby odpocząć w przerwach pomiędzy wezwaniami do szpitala. Kontakty towarzyskie uległy zawieszeniu, plaże opustoszały, telefony przestały dzwonić, nie odebrane listy zalegały w skrzynkach pocztowych, przez całą noc w akademikach paliły się światła, a nienaturalnie spokojne miasteczko wypełniła atmosfera niepewności i wyczekiwania.

Trzy przyjaciółki całkowicie pochłonięte nauką myślały tylko o nadciągających egzaminach. A panujące w ich mikrokosmosie napięcie było nawet większe niż gdzie indziej.

Ruth stała przed szansą przesunięcia się w klasyfikacji o jedno miejsce wyżej. Wciąż pięła się w górę: z dwunastego miejsca w listopadzie, na dziewiąte w styczniu i ósme podczas ostatnich egzaminów połówkowych. Zamierzała walczyć dalej. Ambicja nie pozwalała jej zadowolić się ósmą lokatą.

Na Sondrę czekało upalne lato, prawdopodobnie jedno z ostatnich, jakie miała spędzić razem z rodzicami.

A Mickey myślała o zbliżającej się ostatniej wizycie u doktora Novacka.

Nikt nie prześladował jej spojrzeniem. Co prawda na początku zdarzało się, że ktoś odwrócił się za nią na sali wykładowej albo na dziedzińcu, ale było to podyktowane zwykłą ciekawością. Sądzono, że Mickey jest ofiarą wypadku. Wkrótce jednak nie zwracano na nią najmniejszej uwagi. Znowu otoczyła ją atmosfera obojętności, do jakiej przywykła i w jakiej dobrze się czuła. Z niewypowiedzianym podnieceniem czekała na każdą kolejną sesję z doktorem Novackiem. Na spotkania z nim zwykle przychodziła przed czasem. Ale nadal unikała lustra. Codzienne mycie się, czesanie czy szorowanie zębów wykonywała jak osoba niewidoma. Obawiała się własnego odbicia. Ociągała się z odsłonięciem twarzy, gdyż chciała jak najbardziej odwlec moment rozczarowania. Ruth z Sondrą patrząc na nią nie dostrzegały żadnej dramatycznej metamorfozy: widoczną spod bandażu skórę pokrywały czarno-niebieskie sińce, a twarz przyjaciółki była spuchnięta i zakryta przez opatrunki.

Na tydzień przed ostatnią wizytą doktor Novack zapytał Mickey, czy mógłby przedstawić jej przypadek na dorocznym seminarium chirurgów plastycznych.

Zdejmował jej cieniutkie nylonowe szwy z policzka w pobliżu ucha, skąd usunął dawną bliznę. Dzisiaj miało już nie być tatuowania. Zabieg ten zakończyli w ubiegłą sobotę.

– Zgodzisz się, Mickey? Seminarium odbędzie się za dwa tygodnie, na tydzień przed zakończeniem roku akademickiego. Jest to doroczna impreza, na której są prezentowane najnowsze publikacje. Będzie w niej uczestniczyć około sześćdziesięciu chirurgów-plastyków z całego świata. Jak sądzisz, zdołasz jakoś przez to przebrnąć?

Siedziała w tej samej pozycji co zwykle: z głową odwróconą do ściany i z dłońmi na

kolanach.

– Co będę musiała robić?

– Nic wielkiego. Przedstawię moje przeżycia i wygłoszę krótki odczyt. A potem poproszę cię, żebyś podeszła bliżej. Będę chciał cię im pokazać.

– Nie dam rady – szepnęła.

Ostatni szew został zdjęty. Lekarz zwinął opatrunek i wyrzucił go do kosza. Okręcił się na krześle obrotowym i zwrócił się twarzą do Mickey.

– Uważam, że powinnaś to zrobić – powiedział łagodnie. – Nie.

– Oczywiście nie mam zamiaru cię zmuszać. Myślę jednak, że byłoby cudownie, gdybyś się zgodziła. O mojej nowej technice usłyszysz wielu lekarzy. Ale dopiero gdy na ciebie spojrzą, uwierzą, że jest skuteczna. I wrócą do swoich rodzinnych miast, żeby pomagać innym zeszpeconym ludziom – takim jak ty do niedawna.

Spojrzała na niego wylęknionym wzrokiem.

– Do niedawna?!

– Nie widziałaś jeszcze swojej twarzy, prawda? Spójrz. – Wziął do ręki lusterko i przystawił je Mickey pod nos. Odruchowo zamknęła oczy. – Nie bój się i popatrz. Ośmielę się powiedzieć, że odnieśliśmy wspaniały sukces.

Otworzyła oczy. Patrzyła zdumiona. Prawy policzek przedstawiał okropny widok: różowe linie blizn, zaczerwienienia i opuchlizna...

Ale malinowa plama zniknęła.

– Wszystko zagoi się po pewnym czasie – zapewnił doktor Novack, dotykając palcami różnych miejsc na jej twarzy. – Za sześć tygodni, jeśli zgodnie z moimi zaleceniami zachowasz ostrożność i będziesz unikać słońca, nikt się nie domyśli, że na twoim prawym policzku coś przedtem było.

Jeszcze przez chwilę przyglądała się swojemu odbiciu, a potem odwróciła się do Chrisa Novacka.

– Niech będzie – powiedziała, uśmiechając się drżąco. – Zgadzam się.

– Idzie – zawołała Sondra wynurzając się zza firanki.

Ruth pędem ruszyła do kuchni, Sondra dołączyła do niej i obie wstrzymując oddech przycisnęły się w ciemnościach. Na odgłos klucza w zamku z trudem się opanowały, żeby nie zachichotać. Drzwi otworzyły się, a w fioletowym zmierzchu czerwca zarysowała się sylwetka Mickey.

– Hej! Jest ktoś w domu? – zawołała w ciemną przestrzeń. Pewnie wyszły... – mruknęła pod nosem.

Nagle Sondra zapaliła światło.

– Niespodzianka! – wrzasnęła Ruth.

Mickey omal nie podskoczyła do sufitu. Torebka wysunęła się jej z rąk.

– Co to ma znaczyć, u licha... – wysapała.

– Niespodzianka, niespodzianka! – śpiewały jej współlokatorki, podbiegając i chwytając ją za przeguby dłoni. – Chodź, mamy uroczystość.

– Co wy wyprawiacie? – protestowała, gdy ciągnęły ją do sypialni. – Czyżby już wywiesili listę z wynikami?

– Jeszcze nie. Chodź!

Wepchnęły Mickey do jej pokoju, a same zatrzymały się w drzwiach. Stały w milczeniu. Uśmiechały się figlarnie, gdy przyjaciółka stała nieruchomo z otwartymi ze zdumienia ustami.

– Co to ma być? – wyszeptała w końcu.

– To uroczystość twojego publicznego debiutu, Mickey Long. – Ruth ponownie lekko szturchnęła ją w plecy. – Masz odtąd nowe Ja.

Mickey powoli podeszła do rzeczy rozłożonych na łóżku, jak gdyby w obawie, że mogą ją ugryźć. Była tam piękna sukienka bez rękawów, z niebieskiego jak niebo latem jedwabiu, sztywne pantofle w tym samym odcieniu błękitu, małe puzderko z parą złotych kolczyków, paleta z pastelami do makijażu o pełnej gamie kolorów, przezroczysta kosmetyczka z lokówkami i z suszarką, szalik z nazwiskiem projektanta oraz boski zwój niebieskości, zieleni i akwamaryny elegancko udrapowany na oparciu w nogach łóżka z doczepioną małą kartką: „Zwiążuj sobie mną włosy”.

– Nie rozumiem...

– To ode mnie i od Ruth. Nasz prezent dla ciebie z okazji jutrzejszego wystąpienia.

– Nie, nie mogę tego przyjąć...

– Posłuchaj, Mickey Long – powiedziała Ruth, trzymając się pod boki. – Zrobiliśmy to nie tyle ze względu na ciebie, ile z powodu własnego egoizmu. Jak twoim zdaniem byśmy się czuły obie z Sondrą, gdyby nasza przyjaciółka poszła jutro na wytworną kolację z chirurgami i stanęła przed nimi wyglądając jak wytarzana w błocie kura? Musimy dbać o swoje dobre imię!

Mickey zaczęła płakać. Po chwili przyłączyła się do niej Sondra. Ruth pokręciła głową i sięgnęła po leżącą na toalecie szczotkę.

– A pierwszą rzeczą, jaką zrobimy – oświadczyła, biorąc do ręki pasmo prostych blond włosów Mickey – będzie zmiana twojej fryzury!

Chris Novack obiecał, że przyjedzie po nią o siódmej. Kolacja była wydawana w największej sali konferencyjnej szpitala St. Catherine's. Mickey mogła pójść pieszo, ale lekarz nalegał, że pojedą razem jego samochodem. Sondra otworzyła drzwi i wpuściła go do mieszkania, a Ruth pomachała mu na powitanie z kuchni.

– Musiałyśmy strasznie długo ją przekonywać, żeby poszła.

Jest teraz w swoim pokoju. Nie może się zdecydować, co ma na siebie włożyć.

Roześmiał się i pokiwał głową. Był pewien, że niebawem Mickey oswoi się ze swoim nowym wyglądem i zaakceptuje go. Widywał to już wiele razy. Niektóre osoby potrzebowały

jednak na to więcej czasu.

– Dobry wieczór, doktorze.

Odwrócił się. Z twarzy zniknął mu uśmiech.

– Mickey?

Weszła niepewnie do salonu, jak gdyby po raz pierwszy miała buty na nogach. Pochyliła głowę pod ciężarem włosów mocno związanych na karku w węzeł. Zbliżyła się, podniosła wzrok i posłała mu nieśmiały uśmiech. Dostrzegł delikatnie umalowane usta, cień różu na policzkach i dotyk zielonej pasteli na powiekach. Ale to nie makijaż był przyczyną metamorfozy. W Mickey Long zaszła inna, głębsza zmiana, jak gdyby transformacji uległa cała jej struktura kostna, ciało zostało uformowane na nowo i została przeobrażona dusza.

Doktor Novack nie był w stanie wymówić słowa.

– Miłej zabawy – życzyła im Ruth. – Będziemy czekać na ciebie, Mickey – mruknęła, odwracając się tyłem.

Wybrały się na ostatni spacer po plaży. Walizki były już spakowane, bilety na samolot wykupione. Sondra i Ruth wyjeżdżały. Mickey zostawała. Dzięki pracy podczas wakacji, którą miała podjąć jako pomoc pielęgniarska w szpitalu St. Catherine's, mogła zatrzymać dla nich mieszkanie.

Zakopały w gorącym piasku gołe stopy, zaczerpnęły w płuca słonego morskiego powietrza i wystawiły twarze do wiatru. Smagał je po policzkach i mierzwił włosy. Dzień idealnie sprzyjał spacerom po plaży. Na niebie o intensywnym odcieniu błękitu przesuwały się białe obłoki, a ponad hukiem fal dał się słyszeć krzyk mew. Wszystkie trzy miały wrażenie, że właśnie przekroczyły próg i stanęły na granicy nieznanego. Przepęłniało je głębokie uczucie spełnienia.

Ruth jechała do Seattle jako szósta studentka na roku, a na jej powrót jesienią czekał Arnie Roth. Sondra, w ramach programu Ministerstwa Zdrowia, została przyjęta jako ochotniczka do pracy w indiańskim rezerwacie. Mickey natomiast oswajała się ze swoją nową twarzą, którą osłaniał teraz olbrzymi kapelusz przeciwsłoneczny.

Wiele miały za sobą i wiele przed sobą.

A wrzesień wydawał się w tamtej chwili bardzo odległy.

Część II

1971-1972

Rozdział 10

– Biegając korytarzem, Mickey wpadła na młodego mężczyznę z kamerą.

Tyle spraw zaprzętało jej umysł: pozwolenie na staż na Hawajach, dylemat czy wziąć udział w seminarium chirurgicznym w tym tygodniu, dziecko na szóstce, które połknęło otwartą agrafkę. Zderzyła się z młodym człowiekiem, ponieważ spojrzała na zegarek. Dopiero od dwóch godzin była na dyżurze, a już tyle uzbierało się roboty.

Gdy przed chwilą przechodziła obok dyżurki pielęgniarek, dobiegł ją zapach świeżej kawy i mile podrażnił nozdrza. Pracę na izbie przyjęć skończyła po północy. Nie było sensu wracać do domu. Przespała się więc w jednym z gabinetów. Wstała o świcie, poszła na chirurgię i w łazience dla pielęgniarek wzięła prysznic. I zaraz pędem wróciła na dół, na izbę przyjęć, żeby rozpocząć pracę na kolejnej wyczerpującej, osiemnastogodzinnej zmianie. Usiłowała przypomnieć sobie, kiedy ostatnim razem miała coś w ustach – pospiesznie przełknięte ciastko z ananasek w kafejce szpitalnej wczoraj w południe. W momencie gdy nieomal nie zwała z nóg młodego człowieka, zastanawiała się, kiedy będzie miała czas coś przekąsić.

– Och! – zawołała zdyszana i wystraszona. – Bardzo pana przepraszam!

Zatoczył się do tyłu, balansując dużą kamerą na ramieniu.

– To wyłącznie moja wina – oświadczył, odzyskując równowagę. – Nie patrzyłem, dokąd idę.

– Nic się panu nie stało?

Roześmiał się.

– Będę żył. To ryzyko zawodowe.

Spojrzała na młodego mężczyznę, który stał za plecami nieznajomego i podtrzymywał wiszącą na jego ramieniu dużą czarną skrzynkę.

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Nie, dziękujemy. Proszę sobie nie przeszkadzać.

Mickey spieszyła się, żeby zbadać następnego pacjenta. Była ósma rano, zapowiadał się ładny październikowy poranek i jak dotąd na izbie przyjęć szpitala St. Catherine's panował względny spokój. Wiedziała jednak, że już wkrótce zrobi się tam tłoczno.

– Jesteście reporterami?

Mężczyzna z kamerą spojrział na nią zdziwiony.

– Och, nie wie pani, kim jesteśmy? Bardzo przepraszam. Zapewniono nas, że wszyscy zostali poinformowani. – Wyciągnął rękę. – Jonathan Archer. A to jest Sam, mój asystent.

Zakłopotana Mickey mocno potrząsnęła jego dłonią i skinęła głową w kierunku asystenta, który miał chłopięcy uśmiech.

– Nadal nie rozumiem, kim jesteście i co tutaj robicie – wyznała.

– Nazywam się Jonathan Archer – przedstawił się ponownie, jak gdyby samo nazwisko miało jej wszystko wyjaśnić. – Kręcimy film.

– Co takiego?

– Naprawdę sądziłem, że wszyscy o tym wiedzą. – Obrzucił wzrokiem jej biały kitel, słuchawki i kartę zdrowia pod pachą. – Czy pani tutaj pracuje?

– W pewnym sensie. – Mickey z przyzwyczajenia miała ochotę odwrócić się na pięcie i pędem pobiec dalej. Rok praktyki w szpitalu nauczył ją, jak trwać w nieustannym ruchu i robić przy tym trzy rzeczy naraz. Praca zmianowa nie pozostawiała studentom czwartego roku czasu na to, by mogli wypić w biegu filiżankę kawy, a cóż dopiero mówić o pogawędkach z nieznajomymi. Jednak ciekawość okazała się silniejsza. – Co to za film?

Jonathan Archer uśmiechnął się szerzej.

– Dokumentalny. Będziemy przez kilka tygodni filmować autentyczne wydarzenia na terenie całego szpitalu. Czyste *cinemaverite*.

Mickey przyglądała mu się z nieukrywanym zainteresowaniem. Jonathan Archer miał złudny wygląd. Patrząc na niego można by sądzić, że jest robotnikiem, który przyszedł coś naprawić na izbie przyjęć. Niebieskie dżinsy były czyste, ale bardzo połatane, spłowiały podkoszulek z napisem: „Żyję w niepewnym świecie” nadmiernie opinał szerokie bary i muskularną klatkę piersiową, a kasztanowe włosy sięgały ramion. Co się zaś tyczy wieku, to Mickey przypuszczała, że filmowiec jest tuż przed trzydziestką.

Odwzajemnił jej spojrzenie, taksując ją swoimi błękitnymi oczami. Zdumiał się, gdy stwierdził, że taka piękność ukryła się przed światem w szpitalu. Miała klasyczną urodę. Wyglądała jak primabalerina ze swoją długą szyją, surowo związanymi z tyłu platynowymi włosami, mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi i prostym nosem.

– Przez kogo miałem przyjemność zostać powalony na ziemię?

– Doktor Long.

– Och, jest pani lekarzem.

– Niezupełnie. Tak naprawdę to jestem studentką czwartego roku medycyny. Polecono nam przedstawiać się w ten sposób pacjentom i obawiam się, że weszło mi to w nawyk. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Czy przypadkiem nie zepsułam jakichś zdjęć?

– Jeszcze nie zaczęliśmy filmować. Na razie robimy zwiad, sprawdzamy oświetlenie, kąt padania światła – zajmujemy się technicznymi szczegółami.

– Jest pan kamerzystą?

– Jestem producentem, reżyserem, kamerzystą, sekretarką planu i chłopcem na posyłki.

Roześmiała się.

– Zawsze myślałam, że do produkcji filmów niezbędne są wielkie reflektory, składane krzesła i pięćdziesiąt osób na planie.

. Zawtórował jej śmiechem, a Mickey przyglądając się jego przystojnej, opalanej twarzy, dostrzegła drobne zmarszczki w kącikach pięknych błękitnych oczu.

– To zależy od rodzaju filmu. Nie zamierzamy kręcić „Ben Hura”. W kinie faktu nie ma potrzeby zatrudniania licznego zespołu. Tworzymy go obaj z Samem, szpital jest planem

zdjęciowym, a wy aktorami.

– Co będzie tematem?

– Szpitalne życie samo ułoży scenariusz.

Jakie to dziwne. Jeszcze trzy minuty temu Mickey szalenie się spieszyła i w głowie kłębiły się jej tysiące myśli, a teraz rozmawiała z zupełnie obcym mężczyzną, i to na zupełnie nieoczekiwany temat kręcenia filmów.

– Czy mogę zaprosić panią na kawę?

Mickey wolałaby, żeby nie zadawał tego pytania, ponieważ na nic innego nie miała w tym momencie większej ochoty. Bolesna rzeczywistość kazała jej jednak odrzucić zaproszenie. Wiedziała, że z chwilą gdy zostanie zbadany ostatni pacjent, znów w gabinecie zarozi się od ludzi. Trzeba będzie pozszywać rany, założyć opatrunki, podłączyć kroplówki, pobrać płyn rdzeniowo-mózgowy, zająć się rozhisteryzowanymi matkami, sprostać wymogom zirytowanych lekarzy – lista nie miała końca. A przy tym wszystkim będzie musiała wygospodarować trochę czasu na pospieszny obiad, prawdopodobnie zrezygnować z kolacji, wrócić pędem do domu, żeby się przebrać i przy odrobinie szczęścia przez moment zdrzemnąć się na jakimś wolnym łóżku.

– Przykro mi, ale nie mam czasu. Udanych zdjęć! – dodała i ruszyła w swoją stronę.

– Mam nadzieję, że znowu na siebie kiedyś wpadniemy, doktor Long.

Przystanąła, jak gdyby chciała coś powiedzieć. Rozmyśliła się jednak i odeszła szybkim krokiem.

Zderzyła się z nim po raz drugi, gdy zbyt pospiesznie wyszła zza zakrętu. Roześmieli się oboje z zadziwiającego zrzędzenia losu, które znowu w ten sam sposób zetknęło ich ze sobą. Jonathan Archer zaprosił ją na lunch i ponownie odrzuciła jego zaproszenie. Trzeci raz wpadła na niego, co prawda tym razem już nie dosłownie, kiedy szła do archiwum, żeby odszukać zaginioną kartę; Jonathan z Samem filmowali wtedy skrzydło oddziału psychiatrycznego. Zdażyli zamienić ze sobą zaledwie kilka słów, gdyż Mickey chyłkiem wycofała się, przepaszając i rezygnując zarówno z kawy, jak i z pączków. Za czwartym razem była tak pochłonięta myślami o czekającej ją za osiem miesięcy – o ile szpital Great Victoria zaakceptuje jej kandydaturę – przeprowadzce na Hawaje, że Jonathan Archer musiał chwycić ją za ramię, żeby zwrócić na niego uwagę. Tym razem znajdowali się we właściwym miejscu i w odpowiednim czasie: w samo południe w szpitalnej stołówce. Znowu poprosił ją, żeby zjadła z nim lunch, ale Mickey miała robotę do skończenia i musiała uciekać. Jonathanowi Archerowi przemknęła przez głowę myśl, że Mickey go unika. Ona w tym momencie zastanawiała się dokładnie nad tym samym.

Denerwowała się. Myjąc się w pomieszczeniu przylegającym do sali operacyjnej, Mickey usiłowała przypomnieć sobie wszystko, czego nauczyła się w poprzednim semestrze podczas praktyki na chirurgii. Najpierw dokładnie splukała ręce, a potem zaczęła szorować jedną z nich, licząc pociągnięcia szczotki – dwadzieścia zamaszystych ruchów przeznaczonych na paznokcie,

dziesięć na palce i dłoń, sześć wokół nadgarstka i sześć powyżej niego. Spłukiwanie zaczęła od palców, podnosząc je w górę i pilnując, żeby woda spływała aż do łokcia. Następnie przełożyła szczotkę do drugiej ręki, dodała mydła i powtórzyła całą procedurę.

Krzywiła się z bólu, gdyż tak jak wszyscy początkujący za mocno przyciskała szczotkę. Z czasem miała opanować technikę prawidłowego jej użycia i umiejętność usuwania bakterii bez uszkodzenia skóry, tak jak się nauczyła unikania kontaktu ze zlewem w trakcie mycia i zawsze pamiętała o uprzednim włożeniu maski. Zastanawiała się, dlaczego na filmach chirurdzy zawsze myją się bez masek? Gdyby tylko odważyli się na coś takiego w prawdziwym szpitalu! Natychmiast by zostali bez pracy! Spojrzała na zegar ścienny. Prawidłowe szorowanie powinno zająć dokładnie dziesięć minut. Starła się zrobić wszystko poprawnie, gdyż dzisiaj miała asystować przy operacji samemu doktorowi Hillowi, szefowi chirurgii, o którym krążyły plotki, że pożera studentów medycyny na śniadanie.

Teraz czekało ją trudne zadanie. Najpierw musiała przejść przez hol i drzwi, które były zamknięte, a potem wysuszyć się i w taki sposób włożyć sterylny fartuch oraz rękawice, żeby się nie skazić. W ubiegłym semestrze jedna z siostr (gdyż to pielęgniarki, a nie chirurdzy zapoznawali studentów z obrządkiem mycia) była usatysfakcjonowana dopiero wtedy, gdy Mickey za trzecim razem wróciła z umywalni. Przypominając sobie o tym teraz, weszła tyłem na salę, plecami popychając drzwi. Dłonie trzymała uniesione na wysokości twarzy. Piekły ją i były zziębnięte. Odetchnęła z ulgą na widok trzymającej ręcznik pielęgniarki. Pod czujnym spojrzeniem innej siostry wytarła najpierw jedną dłoń, a potem drugą, uważając przy tym, żeby nie dotknąć ręcznikiem szpitalnego uniformu. A kiedy już osuszyła obie ręce do łokci, chwyciła ręcznik w dwa palce i wrzuciła go do kosza na brudną bieliznę. Wślizgnęła się w fartuch, który podała jej siostra, i gdy inne pielęgniarki zawiązywały go z tyłu, przystąpiła do niełatwego zadania włożenia rękawic. Denerwowała się, żeby ich nie rozerwać.

Operacja jeszcze się nie zaczęła, a Mickey już była spocona.

– Będzie pani asystować Hillowi? – dobiegło ją burknięcie anestezjologa.

Mickey nie widziała go. Na stole spał przygotowany do zabiegu pacjent, a siostra kończyła rozkładać sterylne serwety. Anestezjolog siedział ukryty za zieloną przegrodą.

– Tak – odpowiedziała Mickey.

– W takim razie życzę szczęścia!

Był szóstą osobą, która jej dzisiaj życzyła szczęścia. To niemożliwe, żeby doktor Hill był aż tak groźny!

„Zwykle zachowuje się przy stole operacyjnym jak rozjuszony niedźwiedź” – uprzedzała Mickey panna Timmons, przełożona pielęgniarek na bloku. „Uważa się niemal za Boga. Lubi patrzeć, jak zdeprymowani studenci wycofują się chyłkiem. I musi pani uważać. Ma zwyczaj trzepania po palcach”. Mickey słyszała już o tym od kilku kolegów z roku, którzy odbyli obowiązkową praktykę na chirurgii. Gdy ktoś popełnił jakiś błąd, Hill walił go narzędziem po ręce.

– W porządku, zabieramy się do roboty! – zagrział głos z otwartych na oścież drzwi. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w zielonym stroju podstawił ociekające dłonie pielęgniarki i prędko wytarł je w ręcznik. A gdy siostry związywały mu szczelnie z tyłu fartuch, lodowatym wzrokiem zmierzył z góry na dół swoją asystentkę.

– Czy to pani jest studentką czwartego roku, która dzisiaj będzie mi pomagać przy operacji?

– Tak, panie doktorze.

– Jak się pani nazywa?

– Doktor Long.

– Na razie nie jest jeszcze pani doktorem. Czy uczestniczyła już pani kiedyś w operacji, panno Long?

– Nie, panie doktorze. Ale czytałam o tym w ostatnim...

– Proszę stanąć po tamtej stronie – polecił jej, pokonując odległość od stołu trzema susami.

Mickey zrobiła, jak kazał, z trudem przełykając ślinę. Zajęła miejsce naprzeciwko doktora Hilla i ostrożnie położyła ręce na zielonych serwetach. Czowała ciepło ciała leżącego pod nimi pacjenta oraz delikatne unoszenie się i opadanie piersi przy wspomaganym aparaturą oddychaniu.

– Gdyby zrobiło się pani słabo podczas zabiegu, to proszę odejść od stołu. Wszystko gotowe, drogie panie? – Dwie pielęgniarki skinęły głowami. – A ty, kochasiu, tam z tyłu, jeszcze nie zasnęłaś?

– Jestem gotów – padła zwięzła odpowiedź zza zielonego parawanu.

Doktor Hill stanął pewnie na rozstawionych nogach przy stole, pochylił się nad wąskim paskiem nie zakrytego brzucha i zmierzył Mickey przeciągłym, badawczym spojrzeniem.

– Zawsze zaczynamy od skalpela – zwrócił się do niej. – Mam nadzieję, że słyszała pani o czymś takim, panno Long? Prosząc o podanie skalpela, nie może pani wyciągnąć ręki na płask, tak jak po inne narzędzie, gdyż grozi to utratą palca. Musi pani trzymać dłoń w tej samej pozycji, jak w chwili użycia ostrza. O tak. – Doktor Hill wyrzucił rękę ponad operacyjnym polem, wyginając nadgarstek i przyłożył kciuk do pozostałych palców, a w lukę pomiędzy nimi instrumentariuszka wsunęła rękojeść skalpela.

– Sytuacja jest idealna wtedy, jeśli nie musi pani o nic prosić i gdy wystarczą same gesty – tłumaczył dalej. – Współpracując z doświadczoną i czujną instrumentariuszka, zwykle nie trzeba nawet niczego sygnalizować. Trzyma ona w pogotowiu odpowiednie narzędzie, jeszcze zanim jest potrzebne. A teraz zrobimy cięcie, panno Long. Przez cały czas proszę mieć przygotowany tampon. To należy do obowiązków asystenta. A pani mi asystuje. Jasne?

– Tak, doktorze. – Mickey sięgnęła do stolika operacyjnego i niechętnie wyciągnęła trzy hemostaty, a razem z nimi nici chirurgiczne.

Doktor Hill spokojnie odłożył na bok skalpel i podniósł na nią swoje zimne, szare oczy.

– To jest absolutnie niedozwolone, panno Long. Czy widzi pani tampony, które przygotowała dla nas instrumentariuszka? Ona jest tutaj właśnie po to, panno Long, żeby nam pomagać. My pracujemy w obszarze rany, a ona przy stoliku operacyjnym. Proszę samej nigdy niczego stamtąd

nie brać.

Czerwona na twarzy Mickey próbowała wysupłać z gazy zakrzywioną igłę z nicią, ale zaplątała ją jeszcze bardziej. Doktor się nie odzywał. Wpił w nią przeszywające i lodowate spojrzenie. W końcu instrumentariuszka wybawiła Mickey z opresji.

– Ja to zrobię – powiedziała łagodnym głosem, przechylając się w jej stronę.

– Przepraszam – wymamrotała Mickey i sięgnęła po jeden z przygotowanych tamponów.

Doktor Hill podniósł skalpel i na nowo podjął temat.

– Ciało ludzkie krwawi, kiedy jest przecięte. Żeby chirurg mógł pracować, krew musi zostać zebrana. Bóg zesłał panią na ziemię w tym celu, żeby osuszała pani dla mnie pole operacyjne, panno Long. Jeśli tylko przyłapię panią bez gazika w ręce, dojdę do wniosku, że nie ma pani pojęcia, po co znalazła się na sali operacyjnej i natychmiast poproszę panią o jej opuszczenie.

Pewnie pociągnął skalpelem, przecinając równocześnie skórę i tkankę tłuszczową. Mickey natychmiast wepchnęła tampon do rany. Kiedy nasiąkł krwią, wyciągnęła go i umieściła na jego miejscu następny. Doktor Hill nic się nie odzywał. Stał nieruchomo. Mickey zaczęło dudnić w głowie, gdy zbierała krew gazikiem, wyrzucała go, chwyciła świeży i zaraz go usuwała, gdy tylko osuszyła krwawiące miejsce. Miała właśnie wcisnąć kolejny sterylny tampon do rany, ale doktor powiedział sucho:

– Czy zamierza pani kontynuować tę czynność, dopóki pacjent nie wykrwawi się na śmierć? Niech pani wytrze krew i, do licha, zejdzie mi z drogi, żebym mógł kauteryzować.

Wziął do ręki instrument przypominający długopis, zakończony igłą na jednym końcu i elektrycznym przewodem na drugim. Przykładając ostrze kauteryzatora do krwawiących miejsc, znaczył wzdłuż rany pasek przypalonych punktów. Mickey szybko pojęła, o co chodzi. Widząc, dokąd lekarz zmierza, wyprzedzała jego ruchy, wycierając krew tak prędko, żeby mógł dostrzec miejsce, z którego wypływa. Wkrótce tampony stały się zadziwiająco czyste, a rana różowa i sucha.

– Od tej pory, panno Long, będzie trzymała pani przez cały czas w pogotowiu hemostat. Jeśli tylko przetnę jakieś większe naczynie krwionośne, natychmiast je pani zaciśnie. Proszę wyciągnąć rękę na płask, o w ten sposób.

Wykonała polecenie i automatycznie, jak żelazo do magnezu, narzędzie przyłgnęło do jej dłoni. Wsuwając palce w uchwyty, Mickey odruchowo przytrzymała je drugą ręką, po której doktor Hill natychmiast mocno trzepnął. Zaskoczona Mickey gwałtownie podniosła wzrok.

– Niech pani nigdy nie używa obu rąk naraz, panno Long. W chirurgii nie wykonuje się zbytecznych ruchów. Gdy pani wyciągnie dłoń, siostra poda narzędzie w takiej pozycji, w jakiej ma zostać użyte. Proszę zrobić to jeszcze raz, bez nieudolnych gestów i tylko jedną ręką.

Przełykając złość, Mickey odłożyła na bok hemostat i ponownie wyciągnęła dłoń. Znowu siostra podała jej instrument i raz jeszcze lewa ręka odruchowo uniosła się w górę. Tym razem doktor Hill użył pierwszego hemostatu, żeby wymierzyć cios i boleśnie trzepnął ją po palcach.

– Jeszcze raz.

Wściekła Mickey wytrzymała jego wzrok. Odrzuciła narzędzie i wyciągnęła rękę na płask. Poczula pewnie umieszczony w dłoni następny hemostat. Zaczęła się z nim mocować, żeby bez pomocy drugiej ręki wsunąć palce w uchwyty. Wypadł jej z dłoni, wylądował na sterylnych chustach, z których się zsunął, i głośno zabrzączał na podłodze.

– Jeszcze raz – powtórzył Hill, patrząc jej prosto w oczy zimnym i twardym wzrokiem.

Kolejny hemostat też upadł na podłogę, Mickey ponownie została zdzielona po knykciach, ale za szóstym razem zdołała niezdarnie wbić palce w uchwyty.

– Brawo – powiedział lekarz piskliwym głosem. – Trzyma go pani w niewłaściwy sposób.

Najchętniej rzuciłaby narzędziem prosto w tę jego zadowoloną z siebie twarz. Miała ochotę go spytać, czy się urodził z umiejętnością posługiwania się instrumentami chirurgicznymi. Z ochotą powiedziała mu też, gdzie sobie może wsadzić te swoje cholerne hemostaty. Ale zamiast tego wyciągnęła rękę, a gdy otrzymała narzędzie, prędko wsunęła w uchwyty kciuk oraz trzeci palec, a potem skierowała je czubkiem w dół.

Po kilku dalszych minutach osuszania rany i przyżegania doktor Hill odłożył na bok kauteryzator.

– Zaleta cięcia McBurneya polega na tym, panno Long, że nie trzeba przecinać mięśni, lecz można je tylko rozdzielić. Zanurzył w ciele kciuk oraz palce wskazujące obu rąk, uniósł w górę łokcie i rozciągnął ranę. – A teraz proszę mi powiedzieć, panno Long, jakie są kliniczne objawy ostrego zapalenia wyrostka robaczkowego.

Zastanowiła się przez moment.

– Najpierw chory odczuwa łagodny ból w rejonie nadbrzusza, któremu towarzyszą nudności i utrata apetytu. Po kilku godzinach ból lokalizuje się po prawej stronie podbrzusza. W tej okolicy stwierdza się też wzmożone napięcie mięśniowe. Zwykle pojawia się gorączka. Można zaobserwować podwyższoną liczbę leukocytów oraz przyspieszony opad krwi...

– Nie ma czasu na określenie opadu krwi w przypadku ostrego zapalenia wyrostka i dlatego badanie to jest w diagnostyce mało przydatne. Zawsze należy to robić bardzo ostrożnie – wyjaśnił, zanurzając palce w jamie brzusznej i szukając wyrostka – gdyż łatwo może dojść do perforacji. W takim wypadku najpierw należy oddzielić podstawę od kątnicy. Proszę podać kleszczyki Babcocka, siostró.

Gdy tylko różowawa tkanka, przypominająca wyglądem robaka, została usunięta i wrzucona do pojemnika, doktor Hill zagłobił podwiązany kikut wyrostka w kątnicy szwem kapciuchowym.

– Można zrobić to na wiele sposobów – zwrócił się do Mickey, uporawszy się z zadaniem. – Czy może mi pani powiedzieć, panno Long, dlaczego wybrałem tę, a nie inną metodę?

– Przypuszczam, doktorze, iż w wypadku powstania ropnia w miejscu zagłobionego kikuta takie zamknięcie daje większą szansę na to, że przebije się on do wewnątrz kątnicy, a jego zawartość nie wyleje się do jamy otrzewnowej.

– Bardzo dobrze, panno Long – powiedział powoli. – Jest pani znacznie bystrzejsza niż większość studentów. Będziemy zamykać, Chuck – zwrócił się do anestezjologa.

Nad parawanem pojawiła się głowa w zielonym czepku.

– Oznaki życiowe są stabilne, Jim.

– Szew – zwrócił się Hill do instrumentariuszki, wyciągając rękę. – I nożyczki dla panny Long. Musiałbym czekać całą wieczność, zanimby się domyśliła, że trzeba o nie poprosić.

Anestezjolog wyjął słuchawki z uszu i obserwując, jak Hill zamyka brzuszłą powłokę, zapytał:

– Co sądzisz o tym filmowcu, Jim? Przewróci szpital do góry nogami!

– Nic mnie to nie obchodzi, dopóki trzyma się ode mnie z daleka.

– Widzieliście jego ostatni film? – zapytała siostra z kąta sali. – Płakałam na nim rzewnymi łzami.

– O czym jest ten film? – z zainteresowaniem zapytała instrumentariuszka, podając następne nici.

– Nie słyszałaś? Zrobił się wokół niego straszliwy szum. Krążą nawet pogłoski, że Ministerstwo Sprawiedliwości próbowało wstrzymać w kraju jego projekcję.

– Widziałem go – burknął Chuck. – Uważam, że to stek komunistycznych nonsensów.

– Co to za film? – dopytywała się instrumentariuszka.

– To wymowny i piękny dokument wojenny zatytułowany „Wietnam!”. Powiadają, że twórca filmu kręcił go w ogniu walki, żeby opowiedzieć historię widzianą oczami amerykańskiego żołnierza. Śniły mi się potem koszmary. Uważam, że to wstrząsający obraz.

– Do diabła, panno Long – warknął Hill. – Zostawia pani zbyt długie końce. Siostrzyczko, proszę poobcinać nici. – Wyrwał Mickey nożyczki z ręki i rzucił je na operacyjny stolik.

– W „Timesie” – mówiła dalej instrumentariuszka – nazwano Jonathana Archera wielką osobowością kina pomimo jego młodego wieku i niewielkiego doświadczenia w produkcji filmów.

Mickey stała nieruchomo, trzymając ręce na chirurgicznych serwetach. Obserwowała rytmiczny ruch palców doktora Hilla zszywających ranę, zakłócany co jakiś czas przez pielęgniarkę. Czuła, że zaschło jej w gardle. Z trudem przełknęła ślinę. Próbowała uspokoić oddech. Nie ma mowy, żeby to się jej miało przydarzyć po raz drugi. Już nigdy więcej do tego nie dopuści...

Rozdział 11

Było chłodne czwartkowe popołudnie. Szary ocean huczał, tłukąc wzburzonymi falami o piasek. Na izbie przyjęć panował względny spokój.

Mickey przez godzinę patrzyła, jak jeden ze specjalistów laryngologów wyciąga monetę z gardła dziecka. Gdy po zabiegu mył ręce przy umywalce, do pokoju wszedł miły i towarzyski doktor Harold.

– Pamiętam – powiedział, opierając się o ścianę – jak miałem tutaj kiedyś dyżur w nocy i karetką przywieziono dzieciaka z monetą w gardle. Zatelefonowano po doktora Peeblesa, laryngologa, i wyjaśniono mu, o co chodzi. Oświadczył, że dla jednego centa nie ma zamiaru przerywać sobie kolacji. „To dziesięciocentówka” – wyjaśnił internista. „Wobec tego natychmiast przyjeżdżam” – pospiesznie zapewnił laryngolog.

Mickey uśmiechnęła się uprzejmie. Słyszała tę historię już wiele razy, a każda wersja dotyczyła innej osoby i innej monety.

– Panna Long? – Do pokoju zajrzała pielęgniarka. Podeszła do Mickey i wręczyła jej kartę zdrowia. – Mamy pacjenta na trójce z ostrymi bólami brzucha.

– Dziękuję, Judy. – Mickey otworzyła kartę i przebiegła ją wzrokiem, nie przerywając smarowania kremem rąk. Pan L. B. Mayer, wiek sześćdziesiąt lat, nudności, bóle po lewej stronie podbrzusza. BRAK UBEZPIECZENIA.

Studenci czwartego roku nie stawiali końcowych diagnoz, nie wypisywali recept, nie przyjmowali pacjentów do szpitala, lecz jedynie ćwiczyli wydawanie orzeczeń lekarskich. Mickey wiedziała, że po niej pacjenta zbada jeszcze stażysta, a następnie specjalizujący się lekarz. Wszyscy będą pytać o to samo, przeprowadzą identyczne badania i zanotują podobne informacje. Aż w końcu wkroczy na scenę specjalista i podejmie ostateczną decyzję. Chociaż Mickey była pierwszym i najmniej znaczącym ogniwem w procesie stawiania diagnozy, starała się tak zajmować każdym chorym, jak gdyby ponosiła za niego całkowitą odpowiedzialność. W rezultacie wszystkie jej badania były przeprowadzane bardzo sumiennie.

Niewiele dowiedziała się z karty. Sama będzie musiała wypełnić pięć pustych stron. Zwykle potrzebowała na to około godziny. Zapukała do drzwi sali z numerem trzecim i weszła do środka z profesjonalnym uśmiechem na twarzy.

– Dzień dobry, panie Mayer. Jestem doktor Long i zamierzam...

– Raczej dobry wieczór, pani doktor – odezwał się Jonathan Archer wyskakując zza stołu z szelmowskim uśmiechem na twarzy.

– Co to ma...

Pospiesznie zamknął za nią drzwi, przekręcił klucz w zamku i wyrwał jej kartę z rąk.

– Proszę usiąść, pani doktor. Niech pani spojrzy, co przyniosłem. – Sięgnął po koszyk stojący koło umywalki i uniósł kraciastą serwetę.

– Rogaliki z serem śmietankowym. – Wyciągnął termos. – I jamajska kawa.

– Panie Archer...

– Żadnych protestów, pani doktor. Nawet pani nie wie, ile zadałem sobie trudu, żeby to zdobyć.

– Co pan wyprawia?

Strzepnął obrus w kratę, rozłożył go na wyściełanym bibułą stole do badań i zaczął odkręcać termos.

– Nie zamierza pani usiąść?

– Chciałabym, żeby pan mi wytłumaczył...

Odwrócił się gwałtownie i poważnie spojrzał jej w twarz.

– W końcu zrozumiałem, że tylko jako pacjent mam szansę się z panią spotkać – powiedział cicho.

– Tylko że pan nie jest pacjentem, panie Archer.

– Ale mogę nim być.

Wytrzymała spojrzenie niezwykle błękitnych oczu i dostrzegła drobne zmarszczki w ich kącikach.

– Och, nie może pan.

– Proszę mnie zbadać.

Poczuła się głupio, ale równocześnie zachowanie Jonathana Archera schlebiało jej próżności.

– Mam dużo pracy – rzekła bez przekonania.

– Chciałbym, żebyśmy spędzili razem trochę czasu. Pragnę panią lepiej poznać. Poprosiłem siostrę, żeby przysłała panią do mnie, gdy będzie pani wolna. Nie ma dzisiaj w szpitalu wielkiego ruchu. Spokojnie możemy coś zjeść i porozmawiać...

– Tutaj?

– Dlaczegoż by nie? Gdy zajdzie potrzeba, pielęgniarka wie, gdzie ma pani szukać. Co pani na to?

Prześlizgnęła się wzrokiem po zawartości koszyka. Zapach kawy kusił. Ponownie dostrzegła jego zniewalający uśmiech.

– Po prostu nie mogę. To nie byłoby w porządku.

– Dobrze. Sama pani tego chciała. – Ruszył w stronę drzwi.

– Co pan zamierza?

– Potrafię niezłe grać, doktor Long. Zaraz zacznę się zwijać po podłodze i krzyczeć z bólu.

– Nie zrobi pan tego.

– I powiem, że nie zgodziła się pani mnie zbadać. A potem będę się głośno skarżyć...

Mickey wybuchnęła śmiechem. Oparła się o umywalkę i położyła dłonie na policzkach.

– ... a na koniec przedstawię wszystko w moim filmie i stanie się pani powodem takiego skandalu, że...

– Zgoda.

– ... będzie pani miała wiele szczęścia, jeśli pozwolą pani praktykować w Toad Suck w

Arkansas.

– Powiedziałam, że się zgadzam.

– Zgadza się pani?

– Zostanę. – Prędko podniosła rękę. – Ale tylko na kilka minut i to dlatego, że umieram z głodu.

– Naprawdę lubi to pani? – zapytał pięć minut później, wykonując zamaszty gest i wskazując na małą, czystą salę, wiszący na ścianie aparat do mierzenia ciśnienia, moczące się w różowym roztworze drobne narzędzia oraz starannie poukładane pudełka z nićmi i opatrunkami.

– Tak, lubię to.

Zaproponował jej dolewkę kawy i zamyślił się, opróżniając do końca swoją filiżankę. Ani przez chwilę nie spuszczał z niej swoich błękitnych oczu.

– A gdzie się podział Sam? – zapytała.

– Jest w laboratorium i przegląda pierwsze zdjęcia.

– Pierwsze zdjęcia?

– Film, który do tej pory zdążyliśmy tutaj nakręcić.

– Z przykrością muszę się przyznać, że w ogóle nie znam pańskiej twórczości. Kino nie bardzo mnie pociąga.

Roześmiał się.

– Zrobiłem dopiero dwa filmy, z których jeden trafił na półkę. Nie spodziewałem się, że „Wietnam!” osiągnie tak ogromny sukces. Zamierzałem jedynie otworzyć społeczeństwu oczy. Kto by przypuszczał, że niewielkie odsłonięcie prawdy może być aż tak bolesne?

– Gdzie uzyskał pan dyplom z reżyserii?

Jonathan poczęstował się następnym rogalikiem i suto posmarował go śmietankowym serem.

– Nie studiowałem reżyserii. W 1968 roku skończyłem prawo. Na Uniwersytecie Stanford.

– Kręci pan filmy w wolnym czasie?

– Poświęcam temu zajęciu cały czas. Zdecydowałem się pójść na prawo tylko po to, żeby sprawić przyjemność ojcu. Wyobrażał sobie, że zostanę wspólnikiem w jego firmie w Beverly Hills. Ale wykonywanie zawodu prawnika nigdy nie było moją ambicją. Zawsze pociągało mnie kino. Często uciekałem z wykładów i przesiadywałem w ciemnościach kinowych sal. Zdobyłem jednak dyplom i zdałem adwokackie egzaminy, tak jak sobie tego życzył ojciec. Mówiąc krótko, wywiązałem się z umowy. A potem powiesiłem mój trzyczęściowy garnitur w szafie i kupiłem sobie profesjonalną kamerę. – Odgryzł kęs rogalika. Przeżuwając, zamyślił się na chwilę, a potem upił łyk kawy. – Od tamtego czasu ojciec się do mnie nie odzywa – wyznał. Mickey zastygła z filiżanką przy ustach.

– Bardzo mi przykro z tego powodu – powiedziała cicho.

– Jeszcze do mnie przyjdzie, jestem tego pewien. Mój starszy brat też postąpił wbrew jego woli i zajął się ubezpieczeniami morskimi. Ale gdy tylko urodziło mu się dziecko, pierwszy wnuk mojego ojca, staruszek puścił wszystko w niepamięć.

Mickey zatrzepotała rękami nad brzegiem filiżanki.

– Czy zamierza pan zastosować tę samą metodę, żeby powrócić do łask ojca?

– W nie mniejszym stopniu uszczęśliwi go mój pierwszy milion – odparł Jonathan, uśmiechając się szeroko i modląc w duchu, żeby przeklęty telefon wewnętrzny nie dzwonił jak najdłużej.

Przez przypadek Mickey miała tę samą nadzieję i zdziwiło ją to. Od czasu rozstania z Chrisem Novackiem latem 1969 roku, ponad dwa lata temu, bezgranicznie oddała się studiom medycznym. W jej życiu nie było miejsca na jakiegokolwiek inne zajęcia.

– W jakiej dziedzinie medycyny zamierzasz się specjalizować?

– W chirurgii plastycznej.

– Dlaczego?

Opowiedziała mu o znamieniu oraz o Chrisie Novacku. Mówiła pewnym głosem, chociaż jeszcze dwa i pół roku temu wolałaby raczej umrzeć, niż poruszyć ten temat. Spostrzegła, że Jonathan Archer zmarszczył brwi i badawczo przygląda się jej twarzy.

– Po której było stronie?

– Zgadnij.

Wstał i podszedł do stolika, na którym siedziała huśtając nogami. Wziął ją delikatnie za brodę i obrócił jej twarz w obie strony. Spojrzał na nią najpierw okiem kamerzysty, a potem męczyzny.

– Nie wierzę – oświadczył w końcu.

– Ale to prawda. Znamię wciąż tam jest. Doktor Novack nie usunął go, lecz tylko zakrył. Nadal muszę bardzo uważać na słońce, a kiedy się czerwień, mam rumieniec tylko na jednym policzku.

– Zademonstruj mi to.

– Nie potrafię rumienić się na zawołanie!

Przysunął się do niej jeszcze bliżej, tak że dotykali się nogami i wciąż trzymając ją za brodę, powiedział:

– Chciałbym się z tobą kochać, tutaj, na tym stole. Wstrzymała oddech. Wiedziała, że się rumieni.

– Cha! cha! cha! – Cofnął się o krok. – Miałś rację. Zaczerwieniła się tylko lewa strona twarzy.

Patrzyła za nim, gdy z powrotem usadowił się na krześle i sięgnął po kolejny rogalik.

– A więc chcesz zostać chirurgiem plastycznym i uwolnić świat od brzydoty?

– Ludzie nie mają wpływu na to, jacy się rodzą i co otrzymują od natury. Jesteś przystojny i dlatego...

– Tak sądzisz?

– Chciałam powiedzieć, że skoro...

– Znowu ma pani zarumienioną połowę twarzy, doktor Long.

Mickey odstawiła na bok filizankę i wstała.

– Ja nie potraktowałam tak lekko historii twojego życia. W okamgnieniu był na nogach.

– Wybacz mi! Przekomarzałem się tylko, ale nie chciałem sprawić ci przykrości. – Chwyił ją za ramię. – Naprawdę bardzo cię przepraszam. Nie odchodź.

Mickey podniosła na niego wzrok.

– Nigdy nie byłam brzydka, Jonathanie. Niewiele jest ludzi rzeczywiście szpetnych. Ale tak o sobie myślałam. Znamię wyglądało jak zarumieniona od słońca skóra. Ja jednak miałam niezbitą pewność, że wyglądam groteskowo i zachowywałam się, jak gdyby faktycznie tak było. Kiedy doktor Novack usunął plamę, stałam się inną kobietą. W ciągu jednej nocy z dawnej Mickey wyłoniła się nowa, prawdziwa Mickey Long. Nic nie uległo takiej zmianie, jak moje własne wyobrażenie o sobie. I właśnie temu chcę poświęcić moje życie. Pragnę pomagać ludziom z fizycznymi deformacjami, żeby mieli lepsze mniemanie o własnym wyglądzie i stali się przez to szczęśliwsi.

Patrzył na nią jak zahipnotyzowany, oczarowany tembrem jej głosu i wyrazem twarzy. Nagle zrobiło mu się ogromnie głupio z powodu swojego niedawnego nonszalanckiego zachowania.

– Jesteś niezwykła – powiedział.

Patrzyli sobie w oczy, a potem uścisk jego ręki na jej ramieniu stał się mocniejszy. Mickey poczuła do Jonathana silny pociąg fizyczny, jakiego doświadczyła tylko raz w ramionach Chrisa Novacka dwa lata temu.

– Poznałeś historię mojego życia – rzekł cicho. – A teraz opowiedz mi o sobie.

– Niewiele jest do opowiadania.

– Masz rodzinę?

– Nie mam nikogo. Ojciec zostawił nas, gdy byłam mała. A matka zmarła dwa lata temu.

– A więc jesteś sama na świecie.

– Tak...

Kiedy dźwięk dzwonka zakłócił tę chwilę wyznań, żadne z nich się nie poruszyło.

– Przepraszam, Mickey. Mam dla ciebie punkcję lędźwiowo-krzyżową – dobiegł ich głos dyżurnej pielęgniarki, ale nawet wtedy nie oderwali od siebie wzroku.

W końcu Jonathan drgnął, a Mickey odchrząknęła i spojrzała na zegarek.

– Już idę, Judy, dzięki. Odwróciła się do niego w drzwiach.

– Dziękuję za przekąskę. To był bardzo miły gest.

– Co powiesz na kolację w sobotę wieczorem? Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Mam dyżur.

– Czy zdarzają się takie chwile, że przebywasz poza szpitalem?

– Tak, gdy dyżuruję pod telefonem.

– A gdzie spędzasz resztę czasu?

– W łóżku.

Jonathan westchnął. Gdyby chodziło o inną kobietę, rzuciłby jakąś błyskotliwą uwagę typu:

„Wobec tego tam się spotkajmy”. Ale nie mógł pozwolić sobie na to wobec Mickey Long. Miał niezachwianą pewność, że jest kimś zupełnie wyjątkowym.

– Pracuję przez wiele godzin, Jonathanie. Na trzydzieści sześć godzin dyżuru mam tylko osiemnaście godzin przerwy. A w tym czasie muszę chodzić na wykłady i przeczytać mnóstwo fachowej literatury.

– Nasza znajomość nie ma więc wielkich perspektyw...

– Na to wygląda.

– Nie możesz wygospodarować odrobiny czasu?

Zanim otworzyła drzwi, po raz ostatni spojrzała w jego stronę.

– Postaram się coś wymyślić.

Rozdział 12

Ruth znowu uczestniczyła w wyścigu, w nowym wyścigu. Tylko że tym razem nagrodą nie było pudełko z akwarelami ani wysoka lokata na liście najlepszych studentów.

Chodziło o dziecko.

Przez okno wpadały promienie październikowego słońca, a Ruth siedziała w fotelu klubowym z wytłaczanego weluru w zacisznym kącie Encinitas Hall. Trzymała na kolanach kalendarz, notatnik i ołówek. Była w trakcie obliczania cykli księżycy i dat, gdy jej uwagę rozproszyły kobiece głosy. Podniosła wzrok. Miała przed sobą grupę studentek pierwszego roku, które skupiły się wokół kominka. Przez chwilę zastanawiała się, skąd się tu wziął ten narybek medyczek.

Około trzydziestu młodych kobiet z długimi, prostymi, założonymi za uszy włosami rozsiadło się po turecku na podłodze. Wszystkie miały na sobie dzinsy, męskie koszule albo podkoszulki z napisami typu: „Kobieta bez mężczyzny jest jak ryba bez roweru”. Sprawiały wrażenie, że znają się od lat, a nie zaledwie od dwóch miesięcy. Cztery czarnoskóre oraz dwie Meksykanki swobodnie rozmawiały z dziewczętami pochodzenia anglosaskiego. Jeszcze kilka lat temu byłoby to nie do pomyślenia. Cztery tygodnie temu, w dniu inauguracji całkowicie wytrąciły Ruth z równowagi. Zgłosiła się na ochotnika, żeby wygłosić mowę powitalną i przybyła na spotkanie z nimi uzbrojona w te same rady, jakich Selma Stone udzieliła jej trzy lata temu. Ale stwierdziła ze zdumieniem, że jej słowa nie mają sensu. One już wszystko wiedziały! Jak to się mogło stać?

Którędy przebiegały na terenie kraju i gdzie krzyżowały się ze sobą tajemnicze kanały kobiecej łączności? W jaki sposób trzydziści nieznajomych dziewcząt, które przybyły z trzydziestu różnych miejscowości, zdołało się tak prędko ze sobą poznać, dojść do porozumienia i stworzyć siostrzany związek oraz wspólny front?

Po tygodniu uzyskały zgodę na zmianę regulaminowego stroju. Moreno odegrał swój numer z nieboszczykiem i został zobowiązany do publicznych przeprosin przed całym rokiem. Doktor Morphy niepostrzeżenie wyeliminował takie słowa ze swoich wykładów jak „kochanie” czy „dupieńko”. A na dodatek stary magazyn w Mariposa Hall był przerabiany na toaletę damską.

Jak do tego doszło? Dlaczego tym trzydziestu udało się dokonać tego, czego nie zdołały wywalczyć ich poprzedniczki? Czy była to sprawa ich liczebności? Stanowiąc jedną trzecią studentów na roku niewątpliwie tworzyły siłę, z którą należało się liczyć. A może to była kwestia zmiany, jaka dokonała się w nich samych? Może stały się pewniejsze siebie oraz swojego miejsca w świecie i reprezentowały nowe, odważniejsze pokolenie kobiet?

Ruth pokręciła głową, pogratulowała im w myślach i wróciła do swojego projektu.

Ustalenie daty porodu było delikatną sprawą. Musiała wybrać właściwy termin i określić go na tyle dokładnie, na ile tylko natura pozwalała to zrobić nauce. Wiedziała, że jeśli będzie ubiegać się o staż w zaawansowanej ciąży, szpital odrzuci jej kandydaturę i przyjmie kogoś

innego. Z drugiej strony, zbyt długie odwlekanie momentu zapłodnienia spowodowałoby, że większą część stażu musiałaby odbyć w stanie odmiennym, co również nie odpowiadało jej planom. Jednakże znając personel szpitala, w którym pracowała przez trzy ubiegłe lata podczas wakacji w Seattle, gdzie zamierzała zacząć w lipcu podyplomową praktykę, łudziła się, że otrzyma zgodę na jej podjęcie, jeśli termin porodu nie będzie zbyt odległy, ale nie na tyle bliski, żeby jej przydatność do pracy budziła wątpliwości.

Ruth uznała siódmy miesiąc ciąży za najstosowniejszą porę na rozpoczęcie stażu. W ten sposób odpadał jej problem porannych nudności i innych niedyspozycji związanych z początkowym okresem brzemiennego stanu. A niezbyt pokaźne jeszcze rozmiary brzucha nie mogły utrudniać wykonywania pracy. Ustaliła, że do końca września wszystko będzie miała już za sobą. Nie wątpiła w to, że dyrekcja szpitala udzieli jej tygodniowego albo dwutygodniowego urlopu, gdyż w tak późnym terminie nie zechce już przyjmować na jej miejsce nikogo nowego.

A zatem.

Wzięła pióro oraz kartkę papieru do ręki i od nowa ułożyła równanie. Gdy do daty rozpoczęcia ostatniej miesiączki doda się siedem dni i odejmie od tego trzy miesiące, uzyska się termin porodu. Cykle owulacyjne w jej przypadku występowały nadzwyczaj regularnie; miała pod tym względem szczęście. Dlatego patrząc w kalendarz mogła od razu zaznaczyć przyszłe dni okresów. Obliczyła, że 5 listopada rozpocznie się następna miesiączka. Gdy dodała siedem dni i odjęła trzy miesiące, termin porodu wypadł w połowie sierpnia.

Za wcześnie.

Następny cykl miał rozpocząć się drugiego grudnia. Wynik równania tym razem wskazywał na 9 września.

Ruth uśmiechnęła się i odłożyła pióro. Idealnie. Właściwa pora na urodzenie dziecka. Musiała tylko odbyć stosunek płciowy w okresie jajeczkowania grudniowego cyklu, to jest między dwunastym a szesnastym dniem tego miesiąca.

Teraz była jej już tylko potrzebna współpraca Arnie'ego.

Ruth spotykała się z Arnie'm Rothem prawie od trzech lat, to jest od momentu, gdy się poznali w ów pamiętny sylwestrowy wieczór 1969 roku. Ale przez cały okres znajomości tylko dwukrotnie poważnie poruszyli temat małżeństwa. Za każdym razem Arnie występował z propozycją i za każdym razem Ruth ją odrzucała. Arnie nie mógł odmówić jej słuszności. Gdzie mieliby zamieszkać? Pracował w Encino, a ona studiowała w Palos Verdes. Nie było sensu się pobierać, skoro i tak nie mogli widywać się częściej niż dotychczas. Zaplanowali termin ślubu na czerwiec, tuż po rozdaniu dyplomów. W ten sposób pozostawały im cztery tygodnie na uregulowanie wszystkich spraw: rozwiązanie dotychczasowej spółki Arnie'ego, przeprowadzkę i urządzenie się w Seattle, gdzie od pierwszego lipca Ruth rozpoczynała staż. Myśląc teraz o tym wszystkim Ruth obawiała się, że Arnie może uznać za bezsensowną decyzję zawierania związku małżeńskiego już w październiku. „Czekaliśmy trzy lata, Ruth” – powie. „Możemy zaczekać jeszcze sześć miesięcy. Nie chcę żyć z dala od żony w czasie pierwszych miesięcy małżeństwa”.

Musiała coś wymyślić i przekonać Arnie'ego, żeby przystał na jej plany i zgodził się na rychły ślub, pomimo rozłąki do końca roku akademickiego.

Ruth żywiła głębokie uczucie do Arnie'ego Rotha. Jego łagodny głos i delikatny sposób bycia były w jej życiu jedynym ukojeniem. Na Arnie'm można było polegać. Stwarzał poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa. Pomagał jej zachować równowagę w chwilach napięcia, a szczególnie wtedy, gdy zbliżał się termin sesji albo gdy czekała na ogłoszenie wyników egzaminów. Arnie w trudnych momentach był zawsze przy niej. Zapytała go pewnego deszczowego wieczoru, jak wytrzymuje wszystkie jej szaleństwa, wzloty i upadki oraz fakt, że przedkłada naukę nad ich związek. Odparł jej spokojnie i logicznie, że do niczego się nie dochodzi bez pracy: „Pierwszej pozycji na roku nie zdobywa się bez potu, wyrzeczeń i poświęcenia. Przyjdzie czas, Ruth, gdy będziemy mieli to wszystko za sobą i zasłużysz sobie na wygodne, spokojne życie. Nie mam nic przeciwko temu, żeby teraz zainwestować w przyszłość”.

Podzielał jej cudowne marzenia: dyplom Ruth, dom w Seattle, trzy lata specjalizacji, a potem własna prywatna praktyka położnicza, i w końcu, gdy będą zabezpieczeni finansowo, powiększona rodzina. Arnie miał rację. Dla takiej przyszłości warto było ponieść ofiary.

Tylko że teraz wszystkie plany uległy zmianie.

Gdy Ruth przyjechała w czerwcu do Seattle, żeby spędzić lato z rodziną, przywiozła ze sobą nagrodę za czwarte miejsce wśród grona siedemdziesięciu dziewięciu osób na roku. Była zadowolona. W końcu ojciec będzie musiał przyznać, że osiągnęła cel. Udowodniła mu, że pomimo wszystko zasługuje na jego uznanie. I ku jej radości ojciec się rzeczywiście poddał: „Postawiłaś na swoim, Ruthie, jestem zaskoczony. Uznałbym za cud sam fakt uzyskania przez ciebie dyplomu. A co dopiero mówić o czwartym miejscu na roku. Naprawdę zaimponowałaś mi”. Ruth miała ochotę pęknąć z dumy. Nawet Joshua nie ukończył West Point na tak wysokiej pozycji.

„Jednakże...”

Siedząc teraz i patrząc przez okno Encinitas Hall na szaro-białą pożyłkowaną korę jesionu i czerwonozłote liście wirujące w tumanach kurzu po uliczkach, przypomniała sobie dalsze słowa ojca. We wspomnieniach na nowo ożyła jego posmutniała nagle twarz i poważny głos: „Jaką cenę zapłaciłaś za to, Ruthie? Czy wszystkie wyrzeczenia były tego warte? Zanim skończysz studia i odbędziesz praktykę, będziesz miała na karku trzydziestkę. To późny wiek na zakładanie rodziny. Poświęciłaś swoją kobiecość, żeby zostać lekarzem. Nigdy nie będziesz w pełni kobietą. Wybrałaś dla siebie życie wbrew naturze, Ruthie”.

Ruth wyjechała z Seattle wcześniej, niż planowała, i wróciła do Kalifornii na dwa tygodnie przed rozpoczęciem zajęć. Zatrzymała się u Arnie'ego, żeby splukać z siebie rozgoryczenie i żal w strumieniach jego łagodnej miłości i niewyczerpanej siły. Teraz rany z okresu lata zostały już opatrzone i zasklepione, a Ruth na chłodno kalkulowała, jak udowodnić ojcu, że się myli.

Po drugiej stronie sali otworzyły się skrzydła dużych podwójnych drzwi i stanęła w nich Sondra. Pomachała Ruth, podeszła do automatu, żeby kupić baton, i przysiadła się do

przyjaciółki.

– Jak leci? – zapytała, spoglądając w stronę zgromadzonej przy kominku grupy dyskusyjnej. W jaki sposób te dziewczyny, na Boga, znajdowały wolny czas? A jeśli już, to dlaczego nie siedziały nad piwem u Gilhooleya i nie obgryzały z nerwów paznokci?

– Obliczyłam – powiedziała Ruth, pokazując jej swoje zapiski.

Sondra rzuciła okiem na kartkę i skinęła głową. Uważała, że przyjaciółka popełnia błąd, zamierzając tak wcześnie założyć rodzinę. Wiedziała jednak, że Ruth już podjęła decyzję, i zaniechała jakichkolwiek prób perswazji.

– Idę na hamburgera do Gilhooleya. Nie wybrałabyś się tam razem ze mną?

– Nie mogę. Muszę jeszcze wieczorem przejrzeć dwanaście kart zdrowia i zebrać w bibliotece potrzebne materiały.

Większość ludzi czułaby się usatysfakcjonowana z powodu czwartego miejsca na roku, a nawet zachwycona. W każdym razie Sondrę zadowalało dwunaste miejsce, a Mickey piętnaste. Tymczasem Ruth nie dawała za wygraną. Wciąż się zaharowywała. Dla przysporzenia sobie większych zasług podjęła się nawet opracowania specjalnego projektu. Sondra nie rozumiała, jak Arnie to wszystko toleruje. Podziwiała go za to, że potrafi wytrwać przy Ruth, że nie nalega na spotkania, ale cierpliwie czeka na telefon od niej i na propozycję randki. Zastanawiała się, w jaki sposób Ruth zamierza nakłonić go do tak rychłego ślubu i poczęcia dziecka.

– Spróbuj namówić Mickey – podsunęła myśl Ruth, patrząc na zegarek. – Sądzę, że dzisiaj wieczorem jest wolna.

– To nic nie wiesz? Mickey umówiła się na randkę z Jonathanem Archerem.

Ruth odwróciła wzrok i zaczęła zbierać swoje rzeczy. Nie przepadała za młodym filmowcem, ale się pilnowała, żeby zachować to odczucie wyłącznie dla siebie. Jonathan Archer wyrzucił szpital do góry nogami. A jakież to kino faktu? Uchylenie kurtyny i podglądanie życia w dużym centrum medycznym nie mogło oddać jego prawdziwej atmosfery, toczącej się tu codziennie bezpardonowej walki ani rozgrywających się dramatów. Wszystkie pielęgniarki paradowały teraz w błyszczących od czystości nowych uniformach oraz w balowych fryzurach i makijażach. Zawsze były uśmiechnięte i efektowne, zawsze wypoczęte, pogodne i oddane pracy. A mężczyźni?

Nagle zginęły gdzieś wyświechtane białe marynarki, ślady zmęczenia na twarzach i niedbale zwisające z ust papierosy, znikąd nie dobiegały sprośne rozmowy. Szpital stał się jedną wielką kolonią świeżo domytych doktorów Kildare'ów. Takie to *cine'mave'ritel*. Za każdym węglem w szpitalu St. Catherine's człowiek natykał się na Jonathana Archera z tą jego potworną kamerą na ramieniu. Filmowiec zastępował drogę, a jego asystent unosił w górę wolframowo-halogenowe lampy i podtykał pod nos mikrofon w chwili, gdy rozmawiało się z szefem szpitalnej stołówki na temat konserw z wołowiny.

Ruth nie przyznała się Mickey i Sondrze, ale robiła co tylko mogła, żeby trzymać Jonathana Archera jak najdalej od porodówki.

– Od tygodnia codziennie telefonował – powiedziała Sondra, gdy obie z Ruth zmierzały w stronę podwójnych drzwi. – Dzisiaj Mickey ma pierwszy wolny wieczór. Zaprosił ją na ten swój film antywojenny „Wietnam!”, który zdobył w tym roku nagrodę na Festiwalu Filmowym w Cannes. Mickey twierdzi, że krążą pogłoski o przyznaniu mu nominacji do Oscara.

Pomimo antypatii do Jonathana Archera Ruth życzyła Mickey, żeby się jej z nim powiodło. Mieli odbyć pierwszą randkę, trudno przecież brać pod uwagę zakończone fiaskiem spotkanie na izbie przyjęć.

– Dzisiaj sama zostaniesz na gospodarstwie – oświadczyła Sondra, gdy wyszły z gmachu, wystawiając się na przenikliwe poddmuchy październikowej wichury. – Idę na wykład do Hernandez Hall. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej na temat medycyny tropikalnej.

– Zostawię zapalone światło – zawołała za nią Ruth. „Szczęśliwa ta Sondra” – pomyślała.

Miała starannie zaplanowaną przyszłość, a cele jednoznacznie zdefiniowane, bez przeszkód i uczuciowych komplikacji. Nie musiała nikogo brać pod uwagę. W ciągu ostatnich trzech lat stroniła od towarzyskiego życia i unikała związków z mężczyznami, trzymając się obranego już wiele lat temu kursu. Ubiegłego lata wielebny Ingels, pastor kościoła jej rodziców w Phoenix, zapytał ją, czy nie miałyby ochoty pojechać do katolickiej misji w Kenii. Sondra zaakceptowała tę propozycję. Po uzyskaniu dyplomu w czerwcu i rocznym stażu w Arizonie miała polecieć do Afryki, żeby pędzić tam życie pełne przygód, odkryć i osobistej satysfakcji, o czym obie jej współlokatorki były święcie przekonane.

Otulając się szczelniej swetrem, Ruth zmierzała w stronę biblioteki, gdzie miała spędzić kilka godzin. Potrzebowała czasu do przemyśleń. Najpierw musiała się zastanowić, jak przeprowadzić sprawę z Arnie’em i z dzieckiem. A potem zamierzała zagłębić się w projekt, który miał przesunąć ją w rocznej klasyfikacji o jedną lokatę wyżej.

Od czerwca dzieliło ją osiem miesięcy, a Ruth postanowiła ukończyć studia jako pierwsza studentka na roku.

Mickey przywitała go w drzwiach z wyrazem skruchy na twarzy.

– Przepraszam cię, Jonathanie. Próbowałam skontaktować się z tobą. Okazało się, że nie mogę wyjść dzisiaj wieczorem. Nieprzewidziana komplikacja.

Stał w wejściu, a na jego długie włosy padał z sieni blask światła.

– Co się stało?

– Mam dyżur pod telefonem.

– Tak nagle? Nic o tym nie wspominałaś, gdy rozmawialiśmy po południu. Zostałaś wyznaczona czy zgodziłaś się na ochotnika?

Umknęła w bok przed jego badawczym wzrokiem.

– No cóż, poproszono mnie o to...

– A ty nie powiedziałaś: „nie”. Czy mogę przynajmniej wejść i razem z tobą zaczekać na

wezwanie?

– Szczerze mówiąc, powinnam być w szpitalu. Gdyby zdarzył się jakiś wypadek...

– Do szpitala nie jest daleko. Poza tym w każdej chwili mogę cię tam podwieźć.

Zawahała się przez moment, ale cofnęła się z przejścia.

– Zgoda. Tylko że jest sobota wieczór, pora najbardziej pracowita dla lekarzy.

Wszedł do środka, zdjął gruby sweter z warkoczami, z rodzaju tych, jakie noszą rybacy.

Wyglądał dzisiaj surowo, a obrazu dopełniały niebieskie dżinsy i buty na grubej słoninie.

– Dlaczego się zgodziłaś? Płacą ci za to? Mickey zamknęła drzwi i weszła do kuchni.

– Nie chodzi o pieniądze.

– O co w takim razie? Otworzyła lodówkę.

– Na co masz ochotę: piwo, wino czy fresca? – zawołała.

– Poproszę o piwo. Dlaczego wzięłaś dyżur? Przecież nie musiałaś?

Wróciła, podała mu piwo bez szklanki i otworzyła puszkę z frescą.

– Dla wprawy. Chcę zostać chirurgiem plastycznym i dlatego muszę naprawdę dobrze nauczyć się zeszywania ran.

Przeszli do salonu. Ciepłe oświetlenie stwarzało w ten chłodny październikowy wieczór przytulny nastrój. Usiadła na kanapie, a Jonathan zajął miejsce naprzeciwko niej w fotelu.

– W pogotowiu do największej wprawy mają szanse dojść lekarze, którzy specjalizują się w chirurgii plastycznej – tłumaczyła, podwijając pod siebie nogi – potem stażyści, a dopiero na końcu studenci. Ale wieczorami, kiedy wszyscy mają pełne ręce roboty i wciąż przybywają z wypadków nowi poszkodowani, nam też pozwalają zeszywać rany. Poza tym ubiegam się o przyjęcie na staż do jednego z najlepszych szpitali specjalistycznych, gdzie będzie ostra konkurencja. Pragnę otrzymać z uczelni jak najlepsze rekomendacje.

Jonathan spróbował piwa, a potem przechylił się do tyłu i rozejrzał po pokoju.

– Sympatyczne mieszkanie.

– Urządzałyśmy je miesiącami. Wspólnie. Gdy wprowadzałyśmy się trzy lata temu, zastałyśmy gołe ściany.

– My?

– Moje współlokatorki i ja.

Opowiedziała, jak spotkały się w trójkę i zostały przyjaciółkami. Wkrótce całkiem się rozluźniła i swobodnie mówiła o sobie i o swoim życiu w Castillo. Jonathan słuchał z zainteresowaniem. Uważnie się jej przyglądał. Przyłapał się na tym, że się zastanawia, jak tu wyłączyć telefon, żeby ją móc przy sobie zatrzymać.

– Wybacz – powiedziała wreszcie. – Strasznie się rozgadałam.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką spotkałem w życiu. Potraktuj to dosłownie. Mówię o twojej aparycji. Masz wielką urodę. Wczoraj obejrzałem pierwsze zdjęcia z tobą, te z ubiegłej środy, kiedy filmowaliśmy izbę przyjęć. Jesteś nieprawdopodobnie fotogeniczna i wprost stworzona do filmu, Mickey. Nawet Sam był zaskoczony. Uważam, że wybrałaś niewłaściwy

zawód.

Przez chwilę patrzyła się na niego zdziwiona, a potem wybuchnęła śmiechem.

– Czy powtarzasz to wszystkim dziewczętom, z którymi umawiasz się na randki?

Ale on mówił poważnie i ona o tym wiedziała.

– Każdy reżyser marzy o znalezieniu naturalnej piękności. Ale w twoim przypadku to nie tylko sprawa wyglądu. – Odstawił na bok piwo, pochylił się do przodu i opierając łokcie na kolanach, złożył razem dłonie. – Twoja postawa, sposób, w jaki trzymasz głowę – masz w sobie wiele wdzięku, Mickey.

Milcząc obracała w dłoniach puszkę z lemoniadą. Ciszę zakłócał jedynie odległy szum przybrzeżnych fal.

– Zwykli porównywać mnie z wytarzaną w błocie kurą – mruknęła pod nosem.

Wstał i zajął miejsce obok niej na kanapie. Poczowała emanującą z niego energię; coś, co kryło się w jego oczach, ciele i głosie.

– Pozwól mi zrobić film o sobie, Mickey.

– Nie.

– Dlaczego? To wspaniała historia, a ludzie będą zachwyceni, mogą na ciebie patrzeć.

– Nie, Jonathanie. Nie zamierzam zostać gwiazdą filmową ani stać się osobą publiczną. Pragnę być lekarzem; zwykłym i nieskomplikowanym człowiekiem. Nie próbuj mnie zmieniać.

Sięgnął po jej dłoń.

– Za żadne skarby nie chciałbym cię zmienić, Mickey. – I pocałował ją.

Zdumiała się, jakie to było łatwe. Ilekroć całowała się przedtem, mroziła ją świadomość znamienia na twarzy i bliskość mężczyzny. Zastanawiała się wtedy, czy wydaje mu się atrakcyjna i czy nie zrazi go wstrętne zwyrodnienie? Nigdy dotąd nie doświadczyła uczucia całkowitego oddania się całowaniu.

Zdarzyło się to teraz, z Jonathanem.

Przygarnął ją do siebie. Jego pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Poczowała przyspieszone uderzenia tętna: jakie obowiązywały reguły?

I wtedy zadzwonił telefon.

Jonathan odsunął się, a Mickey skoczyła na równe nogi. Rozmowa była krótka:

– Judy? Rany twarzy? Chyba żartujesz! Zaraz tam będę!

Jonathan obserwował ją, jak zniknęła w sypialni, a za moment wyszła w swetrze, z torebką i ze starannie złożonym fartuchem pod pachą.

– Przykro mi, Jonathanie – powiedziała łagodnie – ale naprawdę muszę już iść.

Rozdział 13

Radio było nastawione na lokalną rozgłośnię. „Zapada zmierzch, a ja siedzę i obserwuję bawiące się dzieci...” śpiewał Mick Jagger.

Ruth spojrzała przez szybę. Po prawej stronie rozciągał się okazały widok: rozsypane na czarnym aksamicie rubiny, szmaragdy i diamenty – noc nad San Fernando Valley rozjaśniona blaskiem bożonarodzeniowych świateł. Ale Ruth tego wszystkiego nie dostrzegła. Miała przed sobą odbicie młodej, niebrzydkiej kobiety, o ciemnych, krótko ostrzyżonych na pazia włosach i o piwnych, pogrążonych w zadumie oczach. Wiedziała, że jeszcze tego wieczoru musi porozmawiać z Arnie’em, ale znalezienie odpowiedniego momentu wcale nie było łatwe.

Poczuła na dłoni ciepły uścisk jego palców. Podniósł jej rękę do ust i pocałował. Odwróciła się do niego i uśmiechnęła się.

– Nie możesz się mną nacieszyć?

Pokonywał niebezpieczne zakręty Mulholland Drive, trzymając kierownicę jedną dłonią.

– Wciąż mam na ciebie ochotę – wyznał, gryząc ją w palec.

– Lepiej mi go nie odgryzaj. Będzie mi jutro potrzebny. Wypuścił jej rękę.

– Chętnie z niego zrezygnuję, droga panno, pod warunkiem, że oszczędzisz mi szczegółów, do czego ci się przyda.

Ruth wciąż nie mogła podjąć tematu. Arnie nie przesadzał, mówiąc tamtej nocy kiedy się poznali, że nie znosi rozmów na tematy medyczne.

– Czy możemy się zatrzymać, Arnie? Spojrzał na nią zdumiony.

– Teraz? A co chcesz robić? Poprzytulać się?

– Chcę porozmawiać.

Rzucił okiem na oświetloną tarczę zegara umieszczonego na desce rozdzielczej.

– Rodzina na nas czeka, Ruth. Matka będzie zła, jeśli się spóźnimy.

Ruth westchnęła na myśl o rodzinie Arnie’ego: pan Roth – spokojny i niepozorny człowiek, księgowy z zawodu tak jak syn; dwaj bracia Arnie’ego – jeden epidemiolog, a drugi pośrednik w handlu nieruchomościami; trzy siostry – wszystkie zamężne i mające łącznie ośmioro potomstwa; kuzyni z Northridge oraz ciotka z wujkiem – staruszkowie prowadzący aktywne życie w domu starców. I dominująca nad nimi wszystkimi potężna pani Maxine Roth – kobieta ogromnego serca, które dorównywało rozmiarami jej obfitemu biustowi. Prawdę mówiąc, rodzina Arnie’ego niewiele różniła się od jej własnej rodziny w Seattle.

Ruth nieczęsto dawała za wygraną i zwykle do niej należało ostatnie słowo, ale dzisiaj się nie sprzeciwiała.

– Dobrze, Arnie. Możemy porozmawiać później.

Stół jak zwykle uginał się od potraw, jak gdyby miał przy nim zasiać pułk wojska, a pani

Roth pilnowała, by wszyscy mieli pełne talerze. „Nie smakuje wam moja kuchnia?” – wciąż się dopytywała. Dzieciaki biegały i dokazywały, a wszyscy dorośli jednocześnie zabierali głos. Ale Ruth uwielbiała panującą tu atmosferę. Czowała się u Rothów jak u siebie w domu.

Gdy w końcu usatysfakcjonowana pani Roth pozwoliła biesiadnikom wstać od stołu, Ruth wzięła Arnie’ego pod rękę i spojrzała na niego znacząco. Dom rodziny Rothów był położony na wzgórzu Encino, z którego roztaczał się widok na San Fernando Valley. Gdy w sali telewizyjnej w suterenie zaświeciły się dwa odbiorniki telewizyjne, a piski dzieciaków zmieszały się z gwarem rozmów, Ruth i Arnie wyszli z domu w błogosławiony spokój chłodnej, zimowej nocy.

Basen był podświetlony. Tafla wody migotała zielenią, a małe lampki rzucały światło na ścieżkę, umożliwiając poruszanie się w ciemności.

– Arnie – odezwała się po chwili milczenia Ruth – pobierzmy się.

– Oczywiście. – Ścisnął ją za rękę. – Przecież zamierzamy wziąć ślub w czerwcu, zapomniałaś?

– Nie chcę z tym zwlekać. Pobierzmy się jak najprędzej. Roześmiał się cicho.

– Ty szalona, impulsywna kobieto!

– Mówię poważnie, Arnie, nie mogę czekać. Przystanął i odwrócił się do niej twarzą.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Nie użyła takich słów, jak to sobie zaplanowała, ani przygotowanych wcześniej argumentów, które miała mu spokojnie przedstawić. Dała się ponieść emocjom. Wyrzuciła wszystko z siebie, mówiąc monosylabami i zamazyście gestykulując. Poinformowała go o potrzebie jak najszybszego urodzenia dziecka, zanim nie przeszkodzi jej w tym staż i specjalizacja, o wyścigu z biologicznym zegarem i o zbliżającej się trzydziestce. Wyznała, że sprawa dziecka ma dla niej ogromne znaczenie i nie daje jej spokoju. Zdumiony Arnie wysłuchał tego wszystkiego w milczeniu. Nowe i niespodziewane plany Ruth zbiły go z tropu. Tym bardziej że przez trzy lata godził się na zwłokę z założeniem rodziny. A gdy dotarł do niego sens nieskładnie wypowiedzianych zdań; biologiczne fakty i precyzyjnie ustalone daty, których zawiła istotę Ruth próbowała mu wyjaśnić, dostrzegł coś, czego nie było w jej słowach – rozpaczliwe pragnienie w oczach, błagalny ton w jej głosie i ukrytą nutę ogarniającej ją paniki.

„Skąd się to nagle u niej wzięło?” – zastanawiał się. Jej słowa niczego mu nie wyjaśniły. Arnie nie po raz pierwszy od – || niósł wrażenie, że wcale nie zna Ruth Shapiro. Przeczynał, że w głębi jej duszy istnieją ukryte przed nim korytarze i zatajone prądy. Kilkakrotnie w czasie ich trzyletniej znajomości uderzyła go myśl, że Ruth jest dla niego nieodgadniona tajemnicą.

– Gdzie zamieszkamy, jeśli się teraz pobierzemy? – powiedział wolno. – Przecież mieszkam zbyt daleko od ciebie, a nie sądzę, żeby się nam udało znaleźć jakieś wolne lokum w pobliżu twojej uczelni.

Ruth wbiła wzrok w wilgotną trawę. Chwila wymagała od niej wiele taktu. Cóż bowiem miałyby do powiedzenia, gdyby nie chciał się zgodzić i nalegał na zwłokę? Wiedziała, że wkrótce musi urodzić dziecko, jeśli chce udowodnić, że wcale nie zapłaciła wygórowanej ceny

podejmując studia. Pośpiech był istotny, jeśli zamierzała pokazać wszystkim, że może mieć to, co chce. Tylko czy dla potrzeby posiadania natychmiast dziecka warto było narażać związek z Arnie'm?

– Każde z nas będzie mieszkać tam, gdzie dotychczas – powiedziała łagodnym tonem. – Oczywiście tylko przez sześć miesięcy.

Zamrugnął powiekami, niezdecydowany.

– Jesteś pewna, że szpital przyjmie cię na staż, jeśli będziesz w ciąży?

– Musimy to tak zaplanować, żeby termin porodu wypadł na wrzesień. Będę chodziła w ciąży tylko przez dwa, najdalej trzy miesiące w czasie praktyki podyplomowej.

– Jak pogodzimy to z moją nową pracą i z twoim stażem?

– Jestem pewna, że moja matka nam pomoże, dopóki nie ułożymy swoich spraw. Możemy też wziąć studentkę, która zaopiekuje się dzieckiem. – Ruth chwyciła go za rękę. – Wiem, że damy sobie radę. To jest dla mnie szalenie ważne, Arnie!

Przez chwilę stał ze zmarszczonym czołem. Był rozdarty. Z jednej strony przemawiał do niego zdrowy rozsądek, a z drugiej błagalny wyraz twarzy Ruth. W końcu zmiękło mu serce.

– Skoro to dla ciebie tak wiele znaczy... – powiedział, wzruszając ramionami.

– Och, dziękuję ci, Arnie! Wszystko będzie dobrze, zobaczysz!

Rozdział 14

Szczęśliwego Nowego Roku, Mickey.

– Sylwester był już trzy tygodnie temu, głuptasie.

– Ale wciąż mamy nowy rok.

– A poza tym jest dopiero ósma wieczór. Życzenia, noworoczne powinno się składać o północy.

Jonathan odsunął się od niej z żartobliwym wyrazem dezaprobaty na twarzy.

– Nie sądziłem, że jesteś aż tak konwencjonalna. Szampanem Dom Perignon czcili w mieszkaniu Jonathana zakończenie zdjęć do jego najnowszego filmu „Centrum medyczne!”. Na dywanie pomiędzy nimi leżały pozostałości po kolacji w stylu „piknik”, która nadeszła z firmy „Jurgensen” w owiniętym celofanem koszu. Z adapteru dobiegały zaraźliwe dźwięki przeboju Joan Baez „Cichy wyścig”.

Mickey pochyliła głowę i przyglądała się złotym bąbelkom w kieliszku. Ten wieczór miał być bardzo uroczysty. Przecież od tak wielu dni próbowali się ze sobą spotkać. A tymczasem odczuwała dziwne zobojętnienie, gdy znalazła się w świetle Jonathana i dzieliła z nim jego tryumf.

Mocna, kwadratowa dłoń zamknęła się wokół jej brody i Mickey usłyszała głos, który ją zawsze podniecał:

– O co chodzi, Mickey?

Umknęła oczami przed jego wzrokiem.

– Dlaczego o to pytasz?

– Byłaś milcząca przez cały wieczór, zupełnie jak gdybyś przebywała myślami gdzie indziej. Gdzie jesteś, Mickey Long?

Milczała, szukając odpowiednich słów. Jak miała mu wytłumaczyć, że wraz z nadejściem nowego roku ogarnął ją bezmierny smutek? W chwili gdy usłyszała odległe bicie dzwonów z wieży zegarowej, a chirurg podniósł wzrok znad pola operacyjnego i życzył całemu zespołowi pomyślnego 1972 roku, poczuła lodowaty uścisk w sercu. Od tamtej pory nie opuszczało jej wrażenie wewnętrznego chłodu, nawet gdy się kochali. Jak mu miała o tym powiedzieć?

Wszystko było nie tak. Wyczekiwany rok, do którego przygotowywała się przez całe życie i w związku z którym ponosiła wszystkie wyrzeczenia, nadszedł i napawał ją lękiem. Potrzebowała więcej czasu, żeby nazwać swoje uczucia do Jonathana i znaleźć dla niego miejsce w swoim życiu. Trzy tygodnie temu ich miłość nie była problemem, ponieważ mieli przed sobą wspólny rok. Teraz jednak Mickey nie opuszczała myśl o zbliżającym się punkcie zwrotnym. Od zakończenia jednego etapu i rozpoczęcia nowego dzieliło ją już tylko sześć miesięcy. A wbrew własnym życzeniom Mickey nie widziała Jonathana w swojej wizji przyszłości.

– Jutro wyjeżdżam na Hawaje – wymamrotała w końcu. Przez ciężkie zasłony, szczelnie zasunięte przed arktycznym powietrzem styczniowej nocy, dochodziły dźwięki wzmożonego

ruchu ulicznego na Westwood Boulevard. Ludzie spieszyli się do kin i do restauracji, gdzie czekały na nich zarezerwowane stoliki. Szukając wolnych miejsc na parkingu, krążyli wokół Uniwersytetu Kalifornijskiego. Nawet w tym momencie zawieszenia życie toczyło się dalej.

– W związku ze stażem? – zapytał w końcu Jonathan. Podniosła głowę.

– Otrzymałam w zeszłym tygodniu telegram. Chcą ze mną porozmawiać. Nie będzie mnie przez dwa dni.

Zasnurował usta, spuścił wzrok i odstawił na bok kieliszek.

– A więc zamierzasz wyjechać?

– Przecież wiesz, że tak, Jonathanie. Nie zmieniłam planów. Już dawno próbowałam ci wytłumaczyć, co dla mnie znaczy praktyka w klinice Great Yictoria. To najlepszy na świecie szpital specjalistyczny. Przez trzy lata o niczym innym nie marzyłam, tylko o tym, żeby się tam dostać. Po to tak ciężko pracowałam, brałam wszystkie możliwe dyżury na izbie przyjęć oraz na chirurgii i zabiegałam o jak najlepsze referencje ze szpitala St. Catherine's...

Jonathan zerwał się na równe nogi. Nie musiała mu przypominać o dyżurach. Zbyt często dawały się im we znaki. Z ich powodu w ostatniej chwili odwoływała randki, wezwania telefoniczne wyciągały ich z restauracji, a pager Mickey zadzwierał nawet kiedyś, gdy byli razem w łóżku.

– Great Victoria nie jest jedynym szpitalem na świecie, Mickey. Równie dobrze możesz odbyć staż w klinice Uniwersytetu Kalifornijskiego albo w szpitalu St. Catherine's.

– Tak, to prawda, mogę. Ale nie chcę. Szpital Great Victoria jest najlepszy. Poza tym to jedno z niewielu miejsc, gdzie traktują staż jako pierwszy rok specjalizacji. W innych klinikach po zakończeniu stażu musiałabym się na nowo ubiegać o przyjęcie na praktykę. I mogłabym się nie dostać tam, gdzie bym sobie życzyła. Staż w szpitalu Great Victoria jest równoznaczny z rozpoczęciem specjalizacji.

– Jeszcze nie wiesz, czy cię tam przyjmą.

– To jedno z najbardziej obleganych miejsc przez absolwentów medycyny. Będę ubiegać się o nie razem z setkami innych kandydatów. I właśnie dlatego chwyciłam każdą robotę, jaka mi tylko wpadła w ręce na oddziale chirurgii plastycznej szpitala St. Catherine's – postanowiłam być najlepsza. A gdy pojadę na rozmowę kwalifikacyjną, zrobię co w mojej mocy, żeby przekonać o tym komisję.

– A jeśli się nie dostaniesz, to gdzie pójdziesz?

– Dostanę się, Jonathanie.

– Mickey, jeśli ci się nie uda...

– Wtedy mogę równie dobrze zostać w szpitalu St. Catherine's. Ale ja zdobędę tam miejsce, Jonathanie!

Dotknął jej twarzy.

– A więc w lipcu wyjedziesz na rok na Hawaje?

– Na sześć lat. Zapomniałeś o pięciu latach specjalizacji.

Odkręcił się, uderzając pięścią o dłoń.

– Nie mogę żyć bez ciebie przez sześć lat, Mickey.

– Wobec tego pojedź tam razem ze mną.

Gwałtownie odwrócił się w jej stronę. Na jego twarzy malował się wyraz zdumienia.

– To niemożliwe. Wiesz, co zamierzam tutaj zbudować. Nie spodziewasz się chyba, że nagle zrezygnuję z wszystkich moich planów!

– Właśnie tego domagasz się ode mnie.

Zrobił głęboki wdech, starając się opanować uczucie zawodu. To nie była ich pierwsza rozmowa na ten temat. Odbyli podobną dwa tygodnie temu, gdy razem z Ruth i Arnie'm pojechali do Urzędu Stanu Cywilnego. Świecka ceremonia, którą przeprowadzono sprawnie i szybko, wycisnęła łzy z oczu Sondry Mallone, a Jonathanowi i Mickey uzmysłowiła bolesną prawdę, którą każde z nich próbowało jak najdalej od siebie odsuwać.

„Zamierzam nadal mieszkać z wami” – poinformowała Ruth swoje współlokatorki podczas skromnego weselnego obiadu, który spożywali w piątkę w małej restauracji w pobliżu ratusza. „Ostatnie sześć miesięcy będzie miało dla mnie przełomowe znaczenie. Nie mogę codziennie dojeżdżać z Tarzana”.

„Kiedy wybierasz się na stałe do Seattle?” – Jonathan zwrócił się wtedy do spokojnego jak zwykle Arnie'ego. „Natychmiast, gdy tylko pozalątwiam tutaj do końca wszystkie sprawy” – usłyszał w odpowiedzi. „Sprzedałem udziały w firmie wspólnikowi, który już sobie znalazł nowego partnera. A teraz jak najprędzej muszę rozejrzeć się za jakąś pracą w Seattle. Ruth dojedzie do mnie w czerwcu”. Jonathan i Mickey wymienili spojrzenia. Zdawali sobie sprawę, na jakie poświęcenie zdobyła się para ich przyjaciół.

Czując narastającą bezsilność, Jonathan gwałtownie poderwał się z miejsca. Przywykł do tego, że zawsze stawiał na swoim i sam decydował o przebiegu akcji.

– Przejedźmy się, Mickey – zaproponował nagle, podchodząc do szafy i biorąc wiatrówkę. – Ogarnęło mnie uczucie klaustrofobii.

Ku jej zdziwieniu zamiast jechać w stronę oceanu i uczelni, Jonathan skierował swoje porsche na drogę szybkiego ruchu San Diego. Początkowo zmierzał na północ, ale po chwili skręcił na zachód. Przemierzali w milczeniu autostradę Ventura. i Każde z nich szukało w myślach nowych argumentów i przygotowywało skuteczniejszy sposób perswazji. Gdy Jonathan minął Woodland Hills i zmierzał w stronę mniej popularnej części San Fernando Valley, Mickey stawała się coraz bardziej zaintrygowana.

Okrażył obrzeża Valley Circle i skierował się na zachód, w stronę wzgórz, oddalając się od świateł i ruchu. Wkrótce skończyła się asfaltowa nawierzchnia i jechali w obłokach kurzu po starej, wyboistej drodze. Valley prędko zostało w tyle i ogarnęła ich ciemność. W końcu w światłach reflektorów pojawiły się ogniwa zardzewiałego łańcucha i spróchniała tabliczka z napisem: WSTĘP WZBRONIONY. Jonathan zatrzymał samochód i wyłączył silnik.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Mickey.

Odwrócił się do niej, wyciągnął rękę i dotknął jej włosów.

– Nie chciałem ci jeszcze tego pokazywać. Zamierzałem zorganizować wielkie otwarcie. Ale sądzę, że powinnaś to zobaczyć już teraz. Chodź.

Żwir chrzęścił im pod butami, gdy prowadził ją za rękę, podążając za białym kręgiem światła latarki. Powietrze było chłodne, a wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Przystanął przed łańcuchem na bramie, z którego zwisała rozmokła od deszczu wywieszka: PRYWATNA POSESJA i na moment wypuścił rękę Mickey.

– Co robisz? – szepnęła.

– Zobaczysz. – Wydobył klucz i chwilę później brama stanęła otworem. Jonathan ruszył przed siebie, znowu trzymając Mickey za rękę.

Na początku wydawało się, że wchodzi w nicość, w wielką próżnię pomiędzy ziemią a niebem. Ale gdy snop światła latarki Jonathana omiótł tu i ówdzie skrawki przestrzeni, Mickey zaczęła nagle coś dostrzegać: budynki, potężne bloki magazynów, fasady domów z powybijanymi szybami i ze złuszczoną farbą, fragmenty chodników oraz przechylony drogowy znak – niesamowite wymarłe miasto.

– Gdzie jesteśmy? – ponowiła pytanie zaniepokojona. Przeszedł ją dreszcz. Wcale się jej tutaj nie podobało.

– To stare studio Morganów. Zostało zamknięte w latach trzydziestych i porzucone na pastwę losu.

– Studio filmowe?

Zanurzali się głębiej w ciemność, mijając dziwne zarysy, potykając się o nie zidentyfikowane rumowiska i płosząc niewidzialne drobne stworzenia, które z tupotem umykały przed ich krokami.

– Stary Alexander Morgan dał się poznać jako tyran i szaleniec – powiedział Jonathan przyciszonym głosem, jak gdyby się obawiał, że zbudzi śpiące demony. – Robił jednak wspaniałe nieme filmy. Był geniuszem. Ale pod koniec jego życia wprowadzono dźwięk. Zaczął kręcić inne filmy, dziwaczne i wydumane. I biuro Hayesa wykopało go z interesu.

Mickey wpiła się wzrokiem w czarną czeluść nocy, usiłując dostrzec wszystko to, co widział Jonathan, i wyczuć w mroku skazane na zagładę duchy wielkiej filmowej przeszłości.

– Po co mnie tutaj przywiozłeś?

Zatrzymał się i odwrócił do niej twarzą. W skąpym świetle gwiazd zauważyła jego pełne napięcia spojrzenie.

– Przywiozłem cię tutaj po to, Mickey, ponieważ zamierzam pobudzić to miejsce z powrotem do życia.

– Ale... przecież zostały tu już tylko ruiny.

– To prawda, że studio znajduje się w opłakanym stanie, ale wiele rzeczy da się jeszcze uratować. Poza tym nie chodzi o budynki, ale o ziemię. Posiadłość ma idealne położenie. Właśnie piękno kalifornijskiego krajobrazu przyciągnęło tu pierwszych filmowców. I słońce,

które świeci intensywnie przez cały rok. W dzień przekonasz się sama, że to miejsce doskonale nadaje się do produkcji filmów. – Odwrócił się do niej tyłem, kierując snop światła na upiorne fasady. – Gdybyś tylko mogła zobaczyć to moimi oczami. – Westchnął. – Nie zamierzam do końca życia kręcić amatorskich filmów, Mickey. Chcę robić rzeczy wielkie. Pragnę dawać ludziom coś, co jest warte obejrzenia. I mam nadzieję, że mi w tym pomożesz. Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałaś, że twoim zdaniem do tworzenia filmów potrzebna jest ogromna liczba świateł, składane krzesła i tłum na planie. Pamiętasz? Wróc tu za sześć miesięcy, a to wszystko znajdziesz.

Tak jak wiele razy przedtem poczuła, że jego energia wypełnia otaczającą ją przestrzeń i roznieca w niej iskrę wyobraźni. Przez moment zobaczyła to samo, co on. Ale zaraz obraz uleciał. Nagle pojęła, po co ją tutaj przywiózł.

Chciał ją zarazić swoimi marzeniami, żeby się wyrzekła swoich.

– Wyjdź za mnie, Mickey – powiedział cicho. Nie patrzył na nią ani jej nie dotykał. – Zostań tutaj i pomóż mi to odbudować.

– Nie mogę – szepnęła.

– Nie możesz?! Czy nie chcesz?

– Chcę, Jonathanie. Wiesz o tym. Pragnę spędzić z tobą resztę mojego życia. Gdybyś tylko wiedział, jak często o tym myślę i jak wyraźnie widzę obraz nas dwojga z naszymi dziećmi, gdy dzielimy...

Mocno chwycił ją za ramiona. Przysunął twarz blisko jej twarzy.

– Mam podobne wizje, Mickey.

– Czy mają szansę kiedykolwiek się urzeczywistnić?

– Wszystko zależy od nas. Jeśli nie wyjedziesz z Los Angeles, wcielimy nasze” marzenia w życie. Błagam cię, zostań ze mną, Mickey!

Poczuła łzy w oczach. Nagle ciszę nocy zakłócił nowy, dziwny dźwięk.

– Co to może być? – zdziwił się Jonathan.

– Mój pager – odparła Mickey, sięgając do torebki. Wypuścił ją z objęć.

– Włączył się przez przypadek?

– Nie.

Jonathan zaniemówił, a chwilę później dał upust swojej wściekłości. Wyrwał jej sygnalizator z ręki.

– Nie możesz mi poświęcić nawet jednego wieczoru?! – krzyknął. – Przecież zaplanowaliśmy, że spędzimy go tylko we dwoje! Czy dlatego nie piłaś szampana, że musiałaś być trzeźwa?! Świątowaliśmy zakończenie zdjęć i kochaliśmy się, a ty przez cały czas wiedziałaś, że w każdej minucie mogą cię wezwać do szpitala...

I zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, wziął zamach i pager pofrunął w powietrze. Lecąc, nadawał sygnały jak małe UFO. Jonathan brutalnie przygarnął Mickey do siebie.

– Czy do tego stopnia jesteś pochłonięta swoimi sprawami, że nie możesz poświęcić mi

nawet jednej wolnej chwili? – Potrząsnął nią. – Powiedz mi, o czym myślisz w momencie, kiedy się ze mną kochasz! O chirurgii? O pacjencie z sali C? – Ze złością odepchnął ją od siebie.

Chwyliła go za przegub dłoni.

– Nie rozumiesz tego, Jonathanie? Moje marzenia są dla mnie równie ważne, jak twoje dla ciebie! I wymagają takiego samego oddania! Dyżurowanie pod telefonem należy do moich obowiązków, podobnie jak wszystko to, co związane jest z produkcją filmów, należy do twoich. Nie mogę się wyrzec własnych pragnień! Przestałabym być sobą!

Zamilkła na chwilę.

– Kocham cię, Jonathanie – powiedziała łagodniejszym tonem. – Ale to się nam nie uda. Nie widzisz tego? Jesteśmy zbyt podobni do siebie, a na dodatek żyjemy w dwóch różnych światach i mamy odrębne dążenia. Żeby zostać razem, jedno z nas musiałoby z nich zrezygnować. Cena byłaby zbyt wysoka. Dlatego pojedę na Hawaje, a ty zbudujesz swoje studio. I nie nalegam, żebyś zaniechał planów. Nie chciałabym żyć z człowiekiem pozbawionym własnej osobowości. A czy ty chciałbyś spędzić życie z kimś, kto byłby tylko w połowie sobą?

Przytulił ją do siebie, zanurzając twarz w jej włosach. Zaczęła płakać.

Był oślepiająco słoneczny kwietniowy dzień. W ciągu nocy pojawiły się fiołkowo-szkarłatne listki pnączy, tropikalne drzewa okryły się purpurowym kwieciem, a na tle szmaragdowych trawników i białych gmachów Castillo College odcinały się wyraźnie żółte i herbaciane róże oraz płomienne kwiaty opuncji.

Na samym szczycie stromej skały stała Mickey. Jej wysoka i szczupła sylwetka lekko pochylała się pod naporem wiatru. Tysiące mil morskich stąd leżały Hawaje. Wyobrażała je sobie: hotele, szerokie piaszczyste plaże, zielone laguny, a w samym ich sercu szpital Great Victoria, do którego tak rozpaczliwie pragnęła się dostać.

Czy zdobędzie się na to, żeby opuścić Jonathana?

Codziennie telefonował, prosząc o spotkanie, ale Mickey się bała. Rozdrapywane rany nie mogły się zagoić. Byłoby dla nich o wiele lepiej, gdyby się rozstali w sposób zdecydowany, ale Jonathan nawet nie chciał o tym słyszeć. Wiedziała, dlaczego. Łudził się, że Great Victoria odrzuci jej kandydaturę. Wtedy by tu została. I mogliby myśleć o wspólnej przyszłości.

Zaczęła nawet podejrzewać, że w głębi duszy ma nadzieję na to samo, co i on.

Spojrzała na zegarek. Musiała już wracać. Dzisiaj wypadał termin ogłoszenia decyzji o przyjęciach na staże. Podczas uroczystej ceremonii w Hernandez Hall dziekan Hoskins miał osobiście wręczyć kopertę z odpowiedzią każdemu z siedemdziesięciu czterech absolwentów.

Zajęła miejsce pomiędzy Sondrą a Ruth. Żadna z nich nie była tak podekscytowana jak reszta grupy. Dzięki przepracowanym przez trzy lata wakacjom na izbie porodowej szpitala w Seattle Ruth miała już tam zagwarantowane miejsce. A Sondrą rozesłała wnioski o przyjęcie na praktykę podyplomową do wszystkich szpitali w Arizonie i w Nowym Meksyku. Pragnęła spędzić jeszcze

trochę czasu z rodzicami przed wyjazdem do Afryki, gdzie będzie realizować swoje marzenia.

Mickey nie mogła usiedzieć na miejscu. Wiedziała, że o przyjęcie do szpitala Great Victoria ubiegali się również trzej studenci z jej roku, a wszyscy byli trudnymi konkurentami. Nagle pomyślała o wielkich uczelniach medycznych w kraju – o Harvardzie, Berkeley i o Uniwersytecie Kalifornijskim, których absolwenci też mogli mieć ochotę na specjalizowanie się w chirurgii plastycznej na Hawajach. Gdy zaczęto wręczać koperty, a wokół Mickey wybuchwały okrzyki radości i zawodu, spostrzegła, że jeden z jej rywali obrócił się i objął swojego sąsiada. Na moment zamarło jej serce.

„Teraz mogę zostać z Jonathanem!” – pomyślała.

Drżącymi dłońmi otworzyła własną kopertę. Decyzja była dla niej wstrząsem.

Większość studentów została na przyjęciu w sali balowej, ale Mickey, Ruth i Sondra postanowiły wrócić do domu. Gdy tylko weszły do mieszkania, zadzwonił telefon.

To był Jonathan.

– Mickey! Dostałem nominację do Oscara! – zawołał podekscytowany. – Wyobrażasz to sobie? Właśnie otrzymałem telegram! W kategorii filmów dokumentalnych! Kumple wydają dzisiaj wieczorem przyjęcie na moją cześć. Chciałbym, żebyś była tam razem ze mną. Przyjadę po ciebie. Uczcijmy to razem, Mickey.

– Przyjęli mnie do szpitala Great Victoria, Jonathanie. Zamilkł, ale tylko na moment.

– W chwili otrzymywania Oscara chciałbym cię mieć u swojego boku. Pobierzmy się...

– To niemożliwe, Jonathanie. Tym razem umilkł na dłużej.

– Zgoda, Mickey – odezwał się w końcu. – Wszystko zależy od ciebie. Przyjdę dzisiaj wieczorem o ósmej pod wieżę zegarową w miasteczku akademickim. Będę czekał na ciebie przez dziesięć minut. Decyzję pozostawiam w twoich rękach. Jeśli chcesz za mnie wyjść i spędzić ze mną resztę życia, jeśli mnie kochasz, to nie pozwolisz, żebym czekał na próżno.

– Nie przyjdę, Jonathanie.

– Przyjdiesz. Wiem, że nie zawiedziesz mnie w takim momencie. Zatem do ósmej przy wieży zegarowej.

Wróciła z powrotem nad ocean, przygnana potrzebą widoku wiecznego piasku i nieustannie toczącej się fali, jak gdyby tu mogła znaleźć odpowiedź na własne wątpliwości. Siedziała w towarzystwie rozbieganych brodców, które kopały w piasku ostrymi jak igły dziobami. W tej części plaży nie było widać śladów cywilizacji. Tylko wysoko w górze, pomiędzy sosnami i drzewami manzanita prześwitywał gmach szkoły medycznej. Mickey czuła się tak, jak gdyby znajdowała się w miejscu niezbrukanym, do którego nie mają dostępu ponure myśli – jak gdyby przebywała w czystym, dziewiczym skrawku przestrzeni, z którego mogła obserwować ocean i który mógł jej przynieść ukojenie.

Podciągnęła kolana w górę i oparła się o nie czołem. Przebyła już daleką drogę. Ale jeszcze wiele miała przed sobą. Jej życie było pełne paradoksów: musiała zrezygnować z tego, co najbardziej kochała, żeby mieć to, czego najbardziej pragnie – porzucić jedno marzenie, by

pozostać wierną drugiemu.

Wiedziała już, jaką podejmie decyzję. Chris Novack usuwając z twarzy dał jej w życiu drugą szansę. Mickey postanowiła wtedy, że spłaci zaciągnięty dług. Nie dało się go zmierzyć bogactwem ani słowami, gdyż był długiem serca. Zobowiązywał do gorliwego naśladownictwa Chrisa, do kontynuacji jego pracy i przekazywania daru nadziei innym pokrzywdzonym przez los ludziom. Nakładał obowiązek dążenia do doskonałości. Nie wystarczyło samo pragnienie wykonywania zawodu lekarza.

Mickey wiedziała, że straci Jonathana, że będzie go opłakiwać i nigdy nie przestanie go kochać. Ale nie miała już wątpliwości, jak powinna postąpić.

To był prawdopodobnie najgorszy wieczór w jej życiu. Musiała stoczyć niemal fizyczną walkę z siłą, która ciągnęła ją jak magnes. Gdy wskazówki zegara stanęły na ósmej, jej udreka sięgnęła zenitu.

Wyobrażała sobie Jonathana, jak samotnie siedzi pod zegarową wieżą...

„Biegnij do niego. Nie odrzucaj prawdziwej miłości”.

„Jedź na Hawaje. Sięgnij po przyszłość, o której marzyłaś”.

Nad miasteczkiem akademickim i nad oceanem rozległ się dźwięk dzwonów obwieszczających godzinę ósmą, a fale zaniósł ich brzmienie aż do piaszczystych wysp. Mickey wstrzymała oddech i utkwiała wzrok w wejściowych drzwiach, jak gdyby zaraz miał stanąć w nich Jonathan, podbiec do niej i chwycić ją w ramiona.

Przez długą chwilę siedziała nieruchomo, wypatrując go, ale nie przychodził.

Rozdział 15

Ceremonia była piękna. Czerwcowy dzień zaprezentował się w całej swojej krasie, jak gdyby chciał uhonorować siedemdziesięciu czterech nowych lekarzy najdelikatniejszą symfonią barw kielichów kwiatowych, czystym błękitem nieba, lekkim powiewem wiatru znad oceanu i widokiem błakającej się po plaży mewy. Nie było ani za gorąco, ani za chłodno; w sam raz na sukienki z krótkimi rękawami oraz na krawaty – bez obawy, że ich noszenie stanie się katorgą. Program uroczystości nie znużył uczestników. Znalazło się w nim miejsce na stosowną dozę powagi i akademickiego humoru.

Po zakończeniu części oficjalnej absolwenci, ubrani w togi Castillo College, w purpurowe czapki i w atłasowe błękitno-białe lekarskie etole, spacerowali po trawnikach albo gawędzili z przyjaciółmi i z krewnymi na dziedzińcu.

Ruth stała w samym centrum grupy prowadzącej ożywioną rozmowę. Bliżsi i dalsi krewni z dwóch rodzin przybyli tu, żeby oddać hołd swojej absolwentce. Kolejno podchodzili do niej i delikatnie kładli ręce na jej wydatnym brzuchu. Dwie matki i dwaj ojcowie objęli się na powitanie – mieli tu okazję spotkać się po raz pierwszy. Pozostali członkowie rodów Shapiro i Roth stawiali niepewne kroki na drodze do zbliżenia się obu rodzin. Nawet ojciec Ruth sprawiał wrażenie całkiem zadowolonego i gratulował sobie córki, która ukończyła studia z najlepszymi wynikami na roku.

– Wyprowadziłaś nas wszystkich w pole, Ruthie – przekomarzał się, ostentacyjnie ją obejmując. – Zdobyłaś pierwszą lokatę. No, no. Mam nadzieję, że rozpoczniesz wreszcie ustabilizowane życie. Nie powinnaś myśleć o praktyce medycznej teraz, kiedy założyłaś rodzinę. Twoje miejsce jest w domu. Kto wie, może nie wszystko pójdzie na marne i kiedyś będziesz miała okazję wykorzystać swoją wiedzę.

Kilkoro absolwentów samotnie świętowało uroczystość wręczenia dyplomów. Mickey zaliczała się do ich grona. Spacerowała wśród tłumu i uśmiechała się, otrzymując pochwały i uściski dłoni od wykładowców oraz od pracowników administracji. Od czasu do czasu pozowała do zdjęć z kolegami z roku. Z jednej strony zazdrościła im uwagi bliskich, z drugiej natomiast była zadowolona, że nikt jej nie towarzyszy. „Muszę oswoić się z myślą, że odtąd już zawsze będę sama”. Wiedziała, że Sondra nie zrezygnuje z poszukiwań odpowiedniego mężczyzny, dopóki go nie znajdzie, a rodzina założona przez Ruth i Arnie’ego będzie się dalej pomyślnie rozwijać. Sama miała niezachwianą pewność, że droga jej życia jest samotna. I wierzyła, że uświadamiając sobie ten fakt, potrafi się z nim pogodzić.

Przechadzając się po trawniku, myślała o mężczyźnie, którego porzuciła.

Przypomniała sobie ostatnią rozmowę z Jonathanem tego wieczoru, gdy zatelefonował i prosił ją, żeby przyszła pod zegarową wieżę, a ona go zawiodła. Widziała go po raz ostatni w telewizji, gdy odbierał Oscara za najlepszy film dokumentalny roku. Jak wspaniale się prezentował! Kipiał entuzjazmem i wydał się jej niezwykle prężny. Nie była mu już potrzebna.

Musiała, tak jak i on, wyzwolić się z pęt. A jednak wiedziała, że nie potrafi wymazać Jonathana z pamięci ani wyrzucić go z serca. Był przecież jej pierwszym mężczyzną.

Ruszyła w stronę przyjaciółek, które stały w otoczeniu swoich rodzin. Elektryzowała ją myśl o przyszłości. Wyczekiwała jej ze zniecierpliwieniem. „Dokąd zmierzamy? Co życie chowa dla nas w zanadrzu?” Dobrze wiedziała, że ubiegłe cztery lata pozwoliły im zaledwie poznać przedsmak wielkiej przygody. Pomimo radości z nowych perspektyw Mickey ogarnęło uczucie smutku. Niebawem ich trójka musiała się przecież rozstać.

Gdy przedstawiano ją krewnym Ruth, spostrzegła, że Arnie jest dziwnie milczący. Wiedziała, że to z powodu dyplomu. Figurowało w nim panieńskie nazwisko przyjaciółki, zamiast nazwiska Roth, i Arnie czuł się urażony.

Mickey miała też okazję poznać szykownie ubranych i opalonych rodziców Sondry, którzy przybyli z Arizony.

– Brakuje mi słów, żeby wyrazić, jak jestem z was dumny, dziewczęta – zwrócił się do Mickey pan Mallone. – Sondra mówiła nam, że wyjeżdża pani na Hawaje. A nasze dziecko wybrało Afrykę, by tam wypełniać swoje powołanie.

Gdy umilkł zgiełk, Mickey, Sondra i Ruth powoli skierowały się w stronę domu. Były przekonane, że po raz ostatni idą razem wybrukowaną uliczką akademickiego miasta.

Część III

1973-1974

Rozdział 16

Jedna walizka była wypełniona medykamentami, które pracownicy szpitala zebrali dla misji, a druga, mniejsza, zawierała ubrania i kilka drobiazgów, które zdecydowała się ze sobą zabrać. Sondra nie spuszczała oka z czarnych tragarzy, którzy ciągnęli wózki i w wydzielonym miejscu rzucali bagaże. Na lotnisku panował chaos. Jacyś turyści niepokoili się, że ich walizki nie doleciały do Kenii, spoceni mężczyźni w służbowych garniturach próbowali za wszelką cenę uzyskać dalsze połączenie, zirytowane matki starały się poskromić rozbrykane dzieci, a przez tłum pasażerów przepychała się angielska drużyna golfistów, żeby odzyskać swoje torby golfowe oznaczone monogramami. Po wielu godzinach lotu zawodnicy mieli znużone twarze, podkrążone oczy i byli skorzy do kłótni. Sondra, młoda kobieta w niebieskich dżinsach, kowbojskich butach i spłówałym podkoszulku z napisem „Uniwersytet w Arizonie”, trzymała się z dala od tłumu.

Spojrzała na zegarek. W Phoenix była teraz ósma wieczór. Puste wózki towarowe toczyły się z klekotem po korytarzach, a doktor MacReady terroryzował nową grupę stażystów. Zaskoczył Sondrę, proponując jej, żeby została. Zawsze myślała, że doktor MacReady, ten chodzący blok granitu, nie lubi jej. Tym bardziej zdumiała ją jego słowa: „Jest pani dobrym lekarzem, panno Mallone. Tacy ludzie jak pani są nam potrzebni. Niech pani nie wyjeżdża do Afryki, ale zostanie tutaj i rozpocznie praktykę specjalizacyjną”. Sondrze schlebiała ta opinia. Była zadowolona, że sprostowała trudnym wymogom MacReady’ego.

Ale miała już zobowiązania wobec pastora Ingelsa i jego misji, ale nade wszystko w stosunku do Afryki, ziemi swoich przodków.

Misja Uhuru była usytuowana w krainie ciernistych krzewów, mniej więcej w połowie drogi między Nairobi a Mombasą. Zaliczała się do najstarszych misji w Kenii i obsługiwała bardzo rozległy obszar. Opiekowała się głównie plemionami Masajów i Taita. Gdy Sondra uprzedziła wielebnego Ingelsa, że jest niewierząca i nie będzie się mogła modlić, uspokoił ją: „Duchownych nam nie brakuje, Sondro. Lista ochotników z kościoła ewangelickiego jest długa. Natomiast rozpaczliwie poszukujemy lekarzy, szczególnie takich jak ty, którzy znają się na medycynie ogólnej. Szpital misyjny bardzo cię potrzebuje. Będiesz leczyła tubylców i pomagała wpoić im podstawowe zasady higieny. Czekają cię także wyjazdy do buszu, żeby nieść pomoc ludziom, którzy nie mogą dotrzeć do naszej placówki. Wierz mi, Sondro, w ten sposób też będziesz miała okazję wypełniać chrześcijańskie powołanie”.

W miarę jak ludzie przechodzili przez okienka odprawy celnej i paszportowej, tłum zaczął się przerzedzać. Sondrę uprzedzono, że ktoś z misji po nią wyjedzie. Zdążyła odebrać bagaże, ale jak dotąd nikt do niej nie podchodził. Zaczęła się już niepokoić, gdy spostrzegła zmierzającego w jej stronę mężczyznę.

– Doktor Mallone? – zapytał oschle.

– Tak – odparła i pozwoliła mu wziąć obie swoje walizki.

– Nazywam się Derry Farrar i też jestem lekarzem – przedstawił się zwięźle. A potem

gwałtownie się odwrócił i z powrotem wmieszał się w tłum. – Proszę za mną – dodał bez uśmiechu, nie patrząc w jej stronę. – Sytuacja ulegnie poprawie, gdy otworzą nowe lotnisko.

Po załatwieniu formalności paszportowych wyszli z budynku w chłodny i pogodny kenijski poranek. Skierowali się w stronę furgonetki marki Volkswagen, która ku zdziwieniu Sondry była pomalowana w olbrzymie biało-czarne pasy. Farrar nie odzywał się, manewrując pojazdem pomiędzy samochodami na zatłoczonej drodze wylotowej z lotniska. Jego grobowe milczenie wpływało deprymująco na Sondrę, ale nie przychodziły jej na myśl żadne słowa, które by przerwały ciszę.

Derry Farrar był przystojnym mężczyzną. Ubrany w spodnie khaki oraz w tego samego koloru koszulę z podwiniętymi rękawami, ze swoją ogorzałą cerą przywodził na myśl legendarnego białego myśliwego sprzed lat. Chodził trzymając się prosto, miał szerokie ramiona i sylwetkę młodego mężczyzny. Sondra jednak szacowała jego wiek na co najmniej pięćdziesiąt lat. Uderzyła ją dwoistość w jego wyglądzie. Nosił fryzurę w stylu angielskiego ziemianina – ciemne włosy przyprószone siwizną na skroniach były oddzielone po jednej stronie równym przedziałkiem i starannie zaczesane do tyłu. Wysławiał się również w sposób dystyngowany. A jednak tak szerokiego i opalonego torsu, który był widoczny z powodu nie dopiętego górnego guzika koszuli, trudno by szukać na Fleet Street.

Ale najbardziej zaintrygowała Sondrę jego twarz: otwarta, a równocześnie bardzo skryta. Gęste i wygięte w regularne łuki czarne brwi nadawały mu wygląd człowieka, który zbyt często wpada w furie, a kobaltowo-niebieskie oczy były srogie i niezgłębione. Jego męska uroda budziła w niej sprzeczne uczucia. Sondra uznała, że przystojna twarz Derry'ego jest w równym stopniu atrakcyjna, jak odpychająca.

Furgonetka jechała dwupasmową szosą przebiegającą przez piękną zieloną równinę. Kaskady tropikalnych pnączy o olśniewających barwach przypominały Sondrze o Castillo College. Na poboczu dostrzegła coś, co wydało się jej wielkim tobołem patyków na dwóch nogach. Dopiero po chwili stwierdziła, że to kobieta uginająca się pod ciężarem. Obładowana jak osioł poruszała się z mazołem i ledwo nadażała za wysokim, dumnym mężczyzną, który nie niósł niczego.

Sondra z trudem opanowywała podniecenie. Nie mogła uwierzyć, że w końcu tu jest, po tylu latach wytężonej pracy, marzeń i determinacji.

A kiedy zobaczyła na poboczu żyrafę skubiącą koronę akacji, zawołała:

– Mój Boże, niech pan tylko tam spojrzy!

– Jesteśmy w Narodowym Parku Nairobi – wyjaśnił Derry.

– Czy w pobliżu siedziby misji też będziemy spotykać zwierzęta, doktorze Farrar?

– Derry. Wszyscy zwracamy się do siebie po imieniu. Tak, tam też żyją zwierzęta. Zażyłaś tabletki przeciwmalaryczne?

– Oczywiście.

– To dobrze. Odnotowaliśmy ostatnio kilka przypadków zachorowań. Zażywaj je przez cały

czas pobytu tutaj.

– Taki mam zamiar – oświadczyła pogodnie. – Przywiozłam ze sobą roczny zapas.

Doktor Farrar oderwał na moment wzrok od zatłoczonej szosy i spojrzął na Son drę tak, jak gdyby chciał powiedzieć: „Nie wytrzymasz tutaj roku”. Prędko odwróciła głowę i z powrotem zajęła się podziwianiem widoków.

Wjechali na rondo. Skręcili w trakt oznaczony drogowskazem LOTNISKO WILSON, a po chwili znaleźli się przed kolejnym terminalem. Był mniej zatłoczony od poprzedniego, ale Sondra zmarszczyła brwi.

– Sądziłam, że do siedziby misji można dojechać drogą lądową – zwróciła się do Derry’ego, w chwili gdy wysiadał z samochodu.

– To ponad trzysta kilometrów stąd. Stracilibyśmy na dojazd cały dzień.

Zatrzymali się na chwilę w holu portu lotniczego, gdzie Derry kupił wydawaną w Nairobi gazetę „Standard”, i wyszli na płytę lotniska. Sondra spojrzała z nadzieją w kierunku dużych samolotów Wschodnioafrykańskich Linii Lotniczych. Ale nie było jej dane lecieć tak komfortową maszyną. Zdała sobie z tego sprawę, gdy Derry poprowadził ją w stronę poobijanej i miejscami skorodowanej, jednosilnikowej cessny.

Wskoczył na skrzydło, otworzył drzwi i wyciągnął rękę, żeby jej pomóc wdrapać się na górę.

– O Boże! – Roześmiała się z przymusem. – Sądysz, że to się zdoła wzbić w powietrze?

– Mam nadzieję, że nie boisz się latać? Ten samolot jest własnością misji. Dzięki niemu będziesz mogła dotrzeć do najbardziej oddalonych miejsc w Kenii.

Gdy usadowiła się w jednym z małych foteli, doktor Farrar zeskoczył na ziemię.

– Wracam za minutę – obiecał.

Minuta przeciągnęła się do kwadransa, w czasie którego Derry zrobił dokładny przegląd maszyny, a na koniec precedził benzynę do baku.

Potem podszedł do samolotu od strony, po której siedziała Sondra, żeby sprawdzić podwozie, i spojrzął w górę. Znowu dostrzegła w jego wzroku coś dziwnego; coś, co sugerowało, że z jakiegoś powodu Derry wcale nie jest zachwycony jej widokiem.

Nie zamierzała się jednak tym przejmować. Postanowiła nie dopuścić do tego, żeby ponury nastrój jakiegoś faceta popsuł jej tę szczególną chwilę – tak długo wyczekiwany moment przyjazdu do Afryki.

Odruchowo sięgnęła do torebki. Zaczęła w niej szperać. Były tam tabletki przeciw chorobie lokomocyjnej, drosy, paszport i inne dokumenty. W końcu wyciągnęła kopertę ze znaczkiem pocztowym z Honolulu. Ostatni list Mickey napisała w pośpiechu. Rozpoczęła właśnie drugi rok praktyki w szpitalu Great Victoria i sprawom osobistym mogła poświęcić niewiele cennego czasu. Sondra na pamiątkę wsunęła do koperty dwa zdjęcia: jedno z ponownie brzemienną Ruth, która siedzi na kanapie i trzyma w objęciach jedenastomiesięczną Rachełę, oraz polaroid zrobiony na plaży Waikiki o zachodzie słońca, przedstawiający Mickey w chwili gdy, zaskoczona, ogląda się na kogoś przez ramię. Sondra uśmiechnęła się do twarzy koleżanek na

fotografiach. „Ruth, Mickey, jestem na miejscu. W końcu postawiłam na swoim”.

Wkrótce Derry wdrapał się na siedzenie pilota i zabezpieczył drzwi. Zanim uruchomił silnik, zwrócił się do Sondry.

– Chcesz się pomodlić?

– Słucham?

– Pytam, czy chcesz się pomodlić przed startem?

Mrugnęła do niego figlarnie.

– To prawda, że się trochę denerwuję przed lotem, ale nie musisz sobie z tego powodu stroić ze mnie żartów.

Przez ułamek sekundy zmieniła mu się i wygładziła twarz, czarne brwi uniosły się w górę, a usta złagodniały i przybrały wyraz niemal zbliżony do uśmiechu.

– Przepraszam, ale wcale nie zamierzałem się z ciebie wyśmiewać. Pracownicy misji zawsze modlą się przed podróżą, nawet jeśli wyprawiają się w nią pieszo.

– Och, nie wiedziałam... – tłumaczyła się zakłopotana. – Nie, dziękuję... nie będę się modlić. – I zmieszana odwróciła głowę.

Wzbili się ponad koldrę falistych zielonych wzgórz, upstrzonych plamkami czerwonej ziemi. Sondra nie mogła nasycić oczu widokiem. Siedziała przechylona do przodu w swoim fotelu i próbowała wchłonąć wzrokiem całą panoramę. Po pewnym czasie zieleń zaczęła ustępować miejsca brązowym trawom pocętkowanym miniaturowymi drzewami.

– Spójrz tam – zawołał Derry, przekrzykując ryk silnika. – Szczęściara z ciebie. Zwykle jest zakryta chmurami, niewiele ludzi ma szansę ją zobaczyć.

Sondra spojrzała przed siebie na wyrastającą z równin górę pokrytą na wierzchołku śniegiem.

– Kilimandżaro? – zapytała, urzeczona widokiem.

– W języku suahili mówią o niej *kilima*, co znaczy „małe wzgórze” i nazywają ją Njaro.

Sondra wpatrywała się w niemym zachwycie w dioramiczny krajobraz Afryki, przechodzący z fiołkowych wzgórz w czerwone, brunatno-żółte i jasnożółte kobierce, nakrapiane spłaszczonymi u wierzchołków koronami drzew i plamkami wędrujących stad zwierząt. Widok dawał jej wgląd w przeszłość. Był odbitką zamierzchłych czasów młodego jeszcze świata. A w pobliżu Tanzanii wznosił się, pewny swej dominacji na kontynencie afrykańskim, wiecznie ośnieżony szczyt Kilimandżaro.

Obraz zniewolił Sondrę. Nie była w stanie wymówić słowa. Ogarnęło ją niesamowite uczucie lekkości i uniesienia. Doświadczyła go tylko raz w życiu, prawie pięć lat temu, gdy Rick Parsons odsłonił mózdzek małemu chłopcu i usunął nowotwór – przyczynę choroby. Odkrycie miejsca i celu w życiu oraz poczucie niezachwianej pewności, że wie, dokąd zmierza i dlaczego, było porównywalne z doznaniem mistycznym. Podobnie poczuła się i teraz.

Derry złożył samolot do skrzytu, kierując się na wschód, a przed oczami Sondry rozpostarł się dramatyczny widok na surową, czerwoną pustynię w dole, na nagi pradawny krajobraz, który wyglądem przypominał południowozachodnie rejony Ameryki. Przekrzykując huk silnika

cessny, Derry wyjaśnił, że przelatują nad Parkiem Narodowym Tsavo, jednym z największych rezerwatów zwierząt na świecie, który ciągnął się kilometrami i zdawał się nie mieć końca. Nagle Sondrze wydało się, że coś dostrzegła.

– Co to jest? – krzyknęła, wskazując prosto na dół.

Derry zlustrował teren przez lornetkę, po czym podał ją Sondrze.

– To słoń – wyjaśnił. – Jeszcze żyje.

Na moment zatrzymała wzrok na zwierzęciu, ale zaraz odsunęła szkła od oczu.

– Umiera – krzyknął Derry. – Dlatego leży na boku. Kłusownicy go trafili. Dranie czekają na zwierzęta, gdy przychodzą do wodopoju, a potem strzelają do nich jak do kaczek. Używają zatrutych strzał i śledzą słonia, gdy błąka się chory i zdychający. Trwa to całymi dniami. W końcu gdy biedak jest martwy, podchodzą, odrąbują mu kły i zostawiają całą resztę na pastwę losu.

– Czy nic się nie da w tej sprawie zrobić?

– Co na przykład? Park obejmuje powierzchnię dwudziestu tysięcy kilometrów kwadratowych dzikiego terenu, a ochrania go zaledwie garstka policjantów. Tymczasem świat jest chciwy na kość słoniową, na rogi nosorożców i skóry lampartów. Dopóki ludzie są gotowi płacić duże pieniądze za te towary, tak długo biedne zwierzęta nie mają najmniejszych szans. Oczywiście złożę meldunek, gdy dojedziemy do siedziby misji, ale to się na niewiele zda. Kłusownicy są gdzieś tam na dole i już wiedzą, że zauważyliśmy słonia. Do czasu gdy strażnik parku tu dotrze, uciekną. Ale przedtem odpiłują kły, jeszcze zanim biedne zwierzę zdechnie.

Po chwili samolot zaczął się zniżać.

– Lepiej przypnij się pasami! Musimy szybko podejść do lądowania! – uprzedził Derry Sondrę.

Nie zdążyła usłuchać jego rady, gdy cessna zaczęła pikować.

– Cholerne hieny! – wrzasnął Derry. – Zawsze ich pełno na płycie lotniska.

Samolot nadal wykonywał lot nurkowy, aż wreszcie zaczął podskakiwać na zakurzonym lądowisku. Sondra odczuwała silne zawroty głowy.

– Przyzwyczaisz się do tego – pocieszył ją Derry, pomagając jej zeskoczyć ze skrzydła.

Zajął się wypakowywaniem z samolotu walizek, pakietu korespondencji i jakichś toreb, a Sondra rozglądała się wokół i oswajała z nowym otoczeniem.

Z tyłu za nią rozpościerała się rozległa równina porośnięta pożółkłą trawą, powyginanymi drzewami i ciernistymi kępami krzewów, a pomiędzy roślinami prześwitywały skrawki czerwonej ziemi. Jednak przed sobą miała inny widok: zielone, pofałdowane pagórki ciągnące się aż do podnóża niebotycznych, pokrytych mgłą skał. Niedaleko od pasa startowego dostrzegła enklawę uporządkowanych drzew, krzewów i skupisko budynków – siedzibę misji. Pobliskie doliny i wzgórza pokrywała mozaika gruntów uprawnych, pocętkowana małymi okrągłymi chałupami.

Sondra wyczuła 2a plecami obecność Derry'ego.

– To zastanawiające, że nikt nie wyszedł cię powitać – zauważył.

Odwróciła się. Na jego twarzy malował się wyraz zdziwienia. Nagle od strony drzew i kwiatów dobiegł ich czyjś krzyk. Derry rzucił wszystko i puścił się biegiem w tamtym kierunku. Zdumiona Sondra popędziła za nim.

Przez drewnianą bramę, nad którą widniał wyrzeźbiony napis: MISJA UHURU, wpadli na podwórze. Zebrał się tam tłum Afrykanów w jaskrawych wzorzystych strojach. Sondra dostrzegła też kilku białych w ubraniach khaki. Odniosła wrażenie, że albo są rozgniewani, albo przerażeni. Po chwili tłum rozdzielił się i wypadł z niego Afrykanin w koszuli khaki, w szortach i w kapeluszu. Na piersi miał przypiętą plakietkę urzędnika państwowego. Przez chwilę biegł zygakiem bez celu. Dwóch mężczyzn próbowało go dogonić. Nagle odbił gwałtownie w lewo, rzucając się prosto w kierunku Sondry. Zagroziła mu drogę. Zderzył się z nią i powalił na ziemię.

– Zatrzymaj go! – usłyszała czyjś krzyk.

Obok niej przebiegł Derry, a po chwili inny biały mężczyzna w jasnej koszuli, niebieskich dżinsach i z zawieszonymi na szyi słuchawkami.

Gdy podniosła się, żeby otrzepać ubranie z kurzu, usłyszała krzyki. Jeszcze dwóch mężczyzn przyłączyło się do pogoni. Ścigany biegł jak szalony, umykając przed wyciągniętymi w jego stronę rękami. A potem ni stąd, ni zowąd, bez wyraźnego powodu, runął na ziemię, jak gdyby trafiła go kula. Leżał, zwijając się w konwulsjach.

Derry i mężczyzna w niebieskich dżinsach natychmiast byli przy nim. Sondra podbiegła do nich, podczas gdy reszta tłumu trzymała się z daleka, gapiąc się i pomrukując.

– Nie mam pojęcia, co się stało – powiedział biały mężczyzna z wyraźnym szkockim akcentem, potrząsając blond czupryną. – Zamierzałem go zbadać, ale zanim zdążyłem go dotknąć, czmychnął z izby chorych.

Derry, klęcząc, spojrzał na czarną, wykrzywioną z bólu twarz. Mężczyzna przewrócił oczami. Było widać tylko białka. Na ustach pojawiła mu się piana i krew. Sondra przykucnęła i przyłożyła dwa palce do tętnicy szyjnej chorego.

– Atak apopleksji – stwierdziła. Podniosła głowę i spojrzała na mężczyznę naprzeciwko siebie. Zmarszczył brwi. Wyraźnie zbity z tropu utkwiał wzrok w czarnej twarzy. – Co się stało? – zapytała.

– Nie wiem. Nie zdążyłem go jeszcze zbadać. Nie dowiedziałem się nawet, dlaczego przyszedł do izby chorych.

– Ale ja wiem – oświadczył Derry, wstając i otrzepując ręce. – Znam tego człowieka. Jest urzędnikiem w Wydziale Robót Publicznych w Voi.

Sondra ponownie spojrzała na nieprzytomnego mężczyznę. Atak mijał.

– Taka reakcja musiała zostać wywołana narkotykami – mruknęła, myśląc na głos. – Nigdy nie słyszałam o chorobie, która miałaby podobny początkowy przebieg. – Podniosła po kolei obie powieki, a gdy stwierdziła, że źrenice wyglądają normalnie, nie różnią się wielkością i reagują na

światło, zdumiała się jeszcze bardziej. Musiała wykluczyć zaburzenia, z którymi dotychczas się zetknęła, ponieważ wszystkie pociągały za sobą uszkodzenie koordynacji ruchowej. Z drugiej strony jednak, zatrucie alkoholowe albo pewien rodzaj środków halucynogennych...

Szkot, który klęczał naprzeciwko Sondry, zatrzymał przez chwilę na niej wzrok, jak gdyby dopiero teraz ją dostrzegł.

– Zostawimy go na obserwacji. Niewiele możemy dla niego zrobić, dopóki nie poznamy przyczyny choroby. – I oglądając się przez ramię, skinął na dwóch kręcących się w pobliżu Afrykanów. – *Kwenda, tafadhali.*

Ale mężczyźni nie zareagowali na jego polecenie.

– Będziemy musieli zanieść go sami – oświadczył Derry, schylając się i biorąc chorego za kostki. – Nawet go nie tkną.

– Dlaczego? – Sondra zerwała się na równe nogi.

– Ponieważ się boją.

Szła obok, gdy dwaj lekarze nieśli nieprzytomnego do izby chorych.

– Pewnie to pani jest doktor Mallone – odezwał się Szkot, mocując się z bezwładnym ciałem.

– Z niecierpliwością czekaliśmy na pani przyjazd. Nazywam się Alec MacDonald. Witamy w Afryce.

Gdy mężczyzna został położony do łóżka, MacDonald przeprowadził rutynowe badanie neurologiczne, przy którym Sondra mu asystowała. Ale dla obojga przyczyna choroby nadal pozostawała tajemnicą. Symptomy nie odpowiadały żadnemu znanemu im przypadkowi. Pomimo że źrenice mężczyzny były normalnej wielkości i reagowały na światło, to okazał się niewrażliwy nawet na najbardziej bolesne bodźce. Postanowili natychmiast podłączyć kroplówkę i wysłali siostrę po cewnik, żeby zbadać funkcjonowanie nerek. Ponownie zmierzili choremu ciśnienie krwi i stwierdzili, że jest poniżej siedemdziesięciu.

– Znajduje się we wstrząsie – zauważyła Sondra. – Lepiej od razu zaaplikujmy mu dopaminę dla podtrzymania ciśnienia. Powinniśmy też zrobić analizę krwi i zacząć stosować terapię przeciwtoksyczną...

Okrzyk „Ha!” sprawił, że oboje podnieśli wzrok. Derry, który przed momentem wszedł do sali, stał z założonymi rękami przy łóżku pacjenta.

– Dopamina! Terapia przeciwtoksyczną! Dobre sobie! Wydaje ci się, że jesteśmy w stołecznym szpitalu North London?

– Co miałeś na myśli, Derry, mówiąc, że wiesz, dlaczego ten mężczyzna stawiał się na izbie przyjęć? – zapytał MacDonald.

– Znam go i domyślam się, co złego mogło go spotkać. Sondra zacisnęła palce na zawieszonych na szyi słuchawkach.

– Co mu się mogło stać? – zapytała.

– Została rzucona na niego kłątwa.

– Kłątwa?!

Derry zamrugał swoimi kobaltowo-niebieskimi oczami, a potem zupełnie ignorując Sondrę, zwrócił się do McDonalda:

– Ten mężczyzna ukradł kozy jakiemuś człowiekowi. A ponieważ nie chciał ich zwrócić, poszkodowany nakłonił tutejszego czarownika, żeby rzucił na niego klątwę. – Spojrzał na śpiącego. – Nic nie możemy dla niego zrobić.

– To pewnie dlatego przyszedł na izbę przyjęć – zaczął pojmować Alec MacDonald. – Sądził, że medycyna białego człowieka ocali go, ale w ostatniej minucie wpadł w panikę i uciekł.

– Czyli to wszystko leży jedynie w sferze psychologii? – zapytała Sondra.

– Nie, doktor Mallone – odparł Derry, zmierzając do wyjścia. – Klątwa plemienia Taita jest czymś jak najbardziej realnym.

Patrzyła za nim. Była zirytowana i sfrustrowana. Odwróciła się w stronę doktora McDonalda, który stał przy łóżku i przyglądał się jej z nie ukrywanym zainteresowaniem.

– Musimy coś zrobić – oświadczyła. Alec wzruszył ramionami.

– Derry powiedział prawdę. Czytałem o podobnych przypadkach. Biedny chłop jest poza zasięgiem naszej pomocy. – Uśmiechnął się do niej ciepło i przyjaźnie. – Przypuszczam, że ma pani ochotę na filiżankę herbaty.

Roześmiała się z ulgą.

– To najlepsze słowa, jakie dzisiaj usłyszałam.

– Odszukam tylko pielęgniarkę, która gdzieś zniknęła, i zaraz zaproszę panią do naszej wytwornej jadalni. – Zdjął z wieszaka przy drzwiach kapelusz słomkowy i zanim wyszedł w żar południa, przykrył nim swoją jasną czuprynę. – Chłopcy z gór szkockich, tacy jak ja, nie są stworzeni do życia w strefie równikowej! – Otworzył harmonijkowe drzwi i przepuścił ją przodem. – Z pani karnacją nie musi się pani obawiać tropikalnego słońca. – Zachichotał. – Za tydzień będzie pani brązowa jak czekolada.

Na podwórzu panowało ożywienie. Wszyscy wrócili do swoich obowiązków, od których zostali oderwani z powodu incydentu z szaleńcem. Sondra dostrzegła wokół siebie przyjazne, w większości uśmiechnięte twarze. Niektóre z nich przyglądały się jej ze szczerym zaciekawieniem. Dwaj mechanicy, z rękami zanurzonymi głęboko w silniku land roveru, pozdrowili ją w języku suahili.

– Mówią, że witają doktor Mallone w misji. Powinna się pani jak najszybciej nauczyć ich mowy. To *lingua franca* we wschodniej Afryce.

– Widzę, że pan już sobie całkiem nieźle radzi.

– Ależ skąd! Jestem tutaj zaledwie od miesiąca. Nauczyłem się tylko kilku słów, które wpadły mi w ucho. Wkrótce przekona się pani, jak bardzo potrzebna jest znajomość pewnych podstawowych zwrotów. A jeśli do tego zapamięta pani, żeby mówić Kenia zamiast *Keenya*, to pokochają panią jeszcze bardziej.

– Na czym polega różnica?

– Od czasu uzyskania niepodległości określenie *Keenya* obraża ich poczucie dumy

narodowej. W ten sposób kolonizatorzy brytyjscy wymawiali nazwę tego państwa. W języku suahili brzmi ona Kenia.

Podeszli do dużego, brązowego budynku z drzewa i falistej blachy. Na porośniętej winoroślą werandzie, osłoniętej przed słońcem kwitnącymi drzewami mango, stały odrapane stoły i krzesła.

– A oto i nasza jadalnia połączona z salą wypoczynkową. Obawiam się, że tutejsze warunki odbiegają od luksusowych.

Gdy oczy Sondry przywykły do mroku wnętrza, dostrzegła prosty pokój: ściany z poodłupywanych płyt gipsowych, sufit, który równocześnie był spodem dachu, niejednolite krzesła oraz kanapę obok pomalowanego na czarno kominka. Po drugiej stronie stało kilka długich stołów z ławami.

– Kongregacja ze stanu Iowa ufundowała nam odbiornik telewizyjny – powiedział doktor MacDonald, prowadząc Sondrę do jednego ze stołów. – Ale niewiele z niego korzystamy. Odbieramy tylko jeden program, który na domiar złego zaczyna się dopiero wieczorem. Podają głównie wiadomości z Kenii. Niewiele dociera tu informacji ze świata. Proszę, niech pani usiądzie. Njangu!

Sondra zajęła miejsce na ławie, a Alec MacDonald usadowił się naprzeciwko niej. Zdjął z głowy postrzępiony kapelusz i rzucił go na ziemię.

– Doktor Mallone! Nawet pani nie wie, jak miło tu panią widzieć!

– To samo mogę powiedzieć o panu – rzekła szczerze Sondra. Nie uroda, jasna karnacja i regularne rysy doktora MacDonalda wydały się jej najbardziej ujmujące, ale jego ciepłe i przyjazne zachowanie, tak inne od sposobu bycia ponurego i apodyktycznego Derry'ego Farrara.

– Nikt nas nie uprzedził, że przyjedzie młoda i piękna kobieta – powiedział MacDonald. – Wszyscy spodziewaliśmy się mężczyzny. Przepraszam na chwilę... – Poderwał się z miejsca. – Njangu! Prosimy o herbatę!

Drzwi za jego plecami zakrywała zasłona z afrykańskiego batiku. Zjawił się w nich mężczyzna z tacą. Był wielki, miał bardzo ciemną skórę i patrzył srogim, nieprzyjaznym wzrokiem; jego wieku Sondra nie potrafiła określić. Miał na sobie zakurzone spodnie i spłowiała koszulę w kratę, a na głowie myckę z żołądka owcy, ale o tym Sondra dowiedziała się później. Podobnie jak i o tym, że Njangu należy do ludu Kikuju, największego plemienia w Kenii. Wielebny Sanders, kierownik Misji Uhuru, już lata temu nawrócił go na wiarę chrześcijańską, ale wszyscy wiedzieli, że Njangu w tajemnicy nadal oddaje cześć staremu Ngai, bogu Kikujów, który zamieszkuje szczyt Kenia, najwyższą górę w Kenii.

Njangu bezceremonialnie postawił tacę na stole i odwrócił się, żeby odejść.

– Njangu – zwrócił się do niego Alec MacDonald – poznaj naszą nową lekarzkę.

Czarnoskóry mężczyzna przystanął.

– *Iri kanwa itiri nda* – mruknął i zniknął za zasłoniętymi kotarą drzwiami.

– Co on powiedział? – zapytała Sondra doktora MacDonalda, gdy rozlewał herbatę do filiżanek.

– Proszę nie mieć za złe Njangu, że czasami bywa szorstki. Jego imię przetłumaczone z języka ludu Kikuju znaczy „brutalny i niebezpieczny”. Sądzę, że chciał nam o tym przypomnieć.

– Ale co powiedział?

– Gdy jedzenie jest w ustach, to jeszcze nie znaczy, że trafi do żołądka – dobiegł ich głos z tyłu. Oboje wzdrygnęli się, zaskoczeni. Sondra obejrzała się. W ich stronę zmierzał doktor Derry Farrar. – To odpowiednik znanego porzekadła: „Nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz”.

Sondra zmarszczyła lekko brwi i odwróciła się do MacDonalda.

– Nie znam języka Kikujów – usprawiedliwił się, wzruszając ramionami.

– Njangu chciał powiedzieć, że fakt twojej obecności jeszcze nie oznacza, iż będziesz nam tutaj potrzebna – wyjaśnił Derry i zniknął za tą samą kotarą, co Kikuj.

– Nie może pani brać sobie tego do serca – tłumaczył Alec, stawiając przed Sondrą filiżankę herbaty. – Ludzie tutaj są bardzo często narażeni na rozczarowania. Nic dziwnego, że tracą ducha.

– Co jest powodem ich zawodu?

– Przybywa do nas wielu takich, którzy mają dobre chęci, ale z jakiegoś powodu nie wytrzymują długo.

– Chce pan powiedzieć, że rezygnują?

– Poddają się. – Derry ponownie pokazał się w drzwiach z butelką piwa Tusker w ręce. – Przyjeżdżają z głowami pełnymi wizji i obnoszą się ze swoimi szlachetnymi intencjami jak z chorągwiami, a po miesiącu pakują manatki i mamrocą coś o pogrzebie cioci Zosi. – Gdy mówił, w jego niebieskich oczach malowało się wyzwanie.

Sondra odniosła dziwne wrażenie, że w tym momencie Derry Farrar zakłada się ze sobą w myślach, jak długo wytrwa tu nowa lekarka. Zuchwale wytrzymała jego spojrzenie.

– Ja nie mam cioci Zosi, doktorze Farrar.

Gdy wyszedł, Sondra odgryzła kęs herbatnika, a doktor MacDonald próbował usprawiedliwić zachowanie kolegi.

– Niech pani się nie gniewa na Derry’ego. To naprawdę porządny człowiek, choć może trochę cyniczny. I jak dotąd nie pojął, że należy całkowicie zaufać Bogu. Ale w pewnym sensie go rozumiem. Widział tak wielu chętnych do pracy w misji. Zapoznawał ich z obowiązkami i pomagał im przystosować się do nowego środowiska, a oni załamywali się pod wpływem nagłej nostalgii, szoku kulturowego albo straconych złudzeń. I wyjeżdżali. Szczególnie kobiety. I przede wszystkim ci, którzy zjawili się tu z misją ewangelizacji. Zawsze przybywali pełni zapału i szczerzej wiary, że tubylcy dla uzyskania zbawienia będą tłumnie gnać się do nich. Tymczasem rzeczywistość często odbiegała od wyobrażeń.

Przez kilka minut pili herbatę w milczeniu. Sondra zaczęła odczuwać znużenie. Opuściła Phoenix dwadzieścia cztery godziny temu i od tamtej pory była nieustannie na nogach. Zdrzemnęła się tylko przez moment w samolocie i w przerwie między połączeniami na lotnisku. A teraz znalazła się w dziwnym i nieznanym kraju, pośród bardziej i mniej przyjaznych ludzi,

oddychała nowym powietrzem, a zza ściany z cedrowego drzewa dobiegały ją obce dźwięki. I na dodatek był poranek, a jej organizm nie chciał tego faktu zaakceptować.

– Zamierzam zostać tu przez cały rok – powiedziała cicho.

– I oczywiście zostanie pani z pomocą Boga.

– A jak długi pobyt w Afryce pan zaplanował, doktorze MacDonald?

– Przyjechałem tutaj na rok, tak jak pani. Proszę zwracać się do mnie po imieniu. Jestem przekonany, że zostaniemy przyjaciółmi.

– Czy mieszka tutaj ktoś jeszcze na stałe oprócz pastora i jego żony?

– Kilkoro ludzi z personelu, dla których misja jest domem, podobnie jak dla Derry'ego.

Sondra przełamała herbatnik na połowę i położyła oba kawałki na talerzu.

– Czy zawsze jest taki szorstki? Sprawia wrażenie, jak gdyby ani na chwilę nie opuszczał go zły humor. To dość dziwne zachowanie jak na chrześcijańskiego misjonarza.

– Derry nie jest misjonarzem, w każdym razie nie w takim sensie, jak myślisz. Jest ateistą i nie robi z tego tajemnicy. – Alec MacDonald pokręcił głową. – Wiem, że wielebny Sanders od lat próbuje ocalić jego duszę. Ale niezbadane są wyroki boskie. Derry przybył tu lata temu, gdy poślubił jedną z pielęgniarek. Pastor dostrzegł w tym znak opatrności i uznał, że sam Bóg sprowadził tego grzesznika na drogę do zbawienia. Derry to porządny człowiek. I cholernie dobry chirurg.

Umilkli oboje, wsłuchując się w odgłosy toczącego się życia po drugiej stronie moskitiery. Sondra zauważyła, że Alec MacDonald ma ładne, gładkie i szczupłe dłonie, które muszą być miłe i delikatne w dotyku. W przeciwieństwie do opalonych, twardych rąk Derry'ego Farrara, które prawdopodobnie były tak samo nieczułe i szorstkie, jak on sam.

– Na pewno jesteś straszliwie zmęczona. Upłynie kilka dni, zanim przyzwyczaisz się do zmiany czasu.

Dostrzegła jego nieśmiały uśmiech i pomimo znużenia, jakie faktycznie odczuwała, miała ochotę dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

– To prawda. Nadal żyję według czasu w Phoenix.

– A więc to stamtąd pochodzisz?

Nie była na tyle zmęczona, żeby nie wyczuć w jego tonie zainteresowania. Nagle zrobiło się jej żal, że to nie Alec MacDonald wyjechał po nią na lotnisko.

– Byłeś już kiedyś w Phoenix, Alec?

– Nie, nigdy. Wstyd się przyznać, ale całe życie spędziłem nad Morzem Irlandzkim i nigdzie nie wyjeżdżałem.

Sondrę zachwycił jego akcent i sposób wymawiania głoski „r”.

– Mieszkasz w Szkocji? – zapytała.

– Tak. Znasz Orkady? MacDonaldownie zamieszkują te wyspy od pokoleń. I właśnie tam jest moje dziedzictwo. A ty? – zapytał. – Nie wyglądasz na Irlandkę.

– Na Irlandkę? – zdziwiła się. – Och, rozumiem. Mallone nie jest moim prawdziwym

nazwiskiem. To znaczy... – Podniosła filiżankę do ust i zaraz odstawiała ją na spodek. Dlaczego nagle poczuła się nieswojo? Przecież nie zdarzało się to nigdy przedtem. – Zostałam adoptowana jako małe dziecko przez Mallonów.

– Przepraszam. Nie chciałem być niedelikatny.

– Nic nie szkodzi. – „Poza tym, że ty znasz swoje korzenie, a ja jestem człowiekiem znikąd”, dodała w myśli. – Okazało się, że mój życiowy status ma swoje dobre strony. Mogę na przykład przebywać tam, gdzie chcę.

Wnikliwie się jej przyglądał, zatrzymując wzrok na każdym szczególe jej twarzy, a gdy się odezwał, w jego głosie zabrzmiała nuta zażyłości:

– Zatem nie wiesz, kim byli twoi prawdziwi rodzice? Sondra przecząco pokręciła głową.

Wytrzymali wzajemne spojrzenie przez dziesięć uderzeń serca. Na podwórzu zatrąbił land rover, zabeczkała owca i rozległo się nawoływanie któregoś z Afrykanów, zanim Alec MacDonald ocknął się jako pierwszy.

– Jesteś strudzona jak pies, a ja trzymam cię i zabawiam rozmową. Na pewno marzysz o tym, żeby już pójść do siebie i trochę odpocząć. Pastor miał zamiar osobiście cię powitać, ale w ostatniej chwili musiał pojechać do Voi. W związku z tym ja wzięłam na siebie rolę komitetu powitalnego.

Oboje wstali z miejsc. Sondrze zeszywniały wszystkie stawy.

– Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł ją lepiej wypełnić.

– Zaprowadzę cię do twojego domu. Będziesz miała okazję poznać wszystkich dzisiaj wieczorem na kolacji – powiedział z uśmiechem Alec.

– Misja Uhuru jest usytuowana przy trasie VoiMoshi – wyjaśniał jej po drodze. – Ten długi szlak komunikacyjny ciągnie się aż do jeziora Tanganika w Tanzanii. Niedawno został przy nim wybudowany nowy hotel Hiltona dla uczestników safari. Droga bierze początek w Voi, niezbyt dużym mieście, gdzie zwykle robimy zakupy. Oczywiście wtedy, kiedy jest czym za nie zapłacić. Wokół ciągną się wzgórza Taita, zamieszkiwane przez ludność z plemienia o tej samej nazwie. To właśnie członków tego afrykańskiego szczepu najczęściej widzimy w naszej misji. Opiekujemy się również Masajami, z którymi będziesz miała okazję się spotkać podczas objazdów.

– Kiedy to nastąpi?

– Gdy Derry uzna, że jesteś do nich przygotowana. To on odpowiada za cały nasz personel medyczny.

Przeszli pod olbrzymim figowcem, który dominował na podwórzu. Stały pod nim miski z jedzeniem i małe drewniane rzeźby.

– Co to jest? – zapytała Sondra.

– Afrykanie w większości są przesądni. Oddają cześć drzewu figowemu. Uważają, że jest święte. Njangu i inni, którzy tutaj pracują, wierzą, że mieszka w nim potężny duch, i składają mu ofiary. A w tamtym budynku mieści się szkoła...

Tak jak wszystkie domy misji szkoła została zbudowana z kłoców drzewa cedrowego i przykrywał ją dach z falistej blachy. Przez otwarte okna dobiegał chór dziecięcych głosów, śpiewających: „Stary MacDonald *ana shamba*, ija, ija, o...”

– Myślę, że śpiewają o mnie. Jestem tego pewien! – powiedział Alec ze śmiechem. – W szkole pracują dwie nauczycielki. Jedna przyjechała z Kentu i uczy arytmetyki oraz geografii, a druga to pani Sanders, żona pastora, która uczy etyki chrześcijańskiej. Młodszym dzieciom opowiada o stworzeniu świata, chodzi z nimi na spacer i pokazuje wszystkie cudowne rzeczy, które są dziełem Boga. Nastolatkom mówi o upadku człowieka. Moralność tutejszych ludzi jest odmienna od naszej. Najważniejszym zadaniem misji jest uświadomienie tubylcom ich relacji z Bogiem i przekonanie ich, żeby uznali go za swojego zbawiciela.

Minęli ogród warzywny, skupisko drzew owocowych, cztery słupy przykryte słomianym dachem, czyli warsztat samochodowy, wykonany z drzewa cedrowego dom wielebnego pastora i doszli do małego kościoła. Nad drzwiami świątyni widniał napis: *Kwa maana jinsi hii Mungo aliupenda alimwengu, bata akamtoa mwanawe pekee, Iii kila mtu amwaminiye asipotee, bali awe na uzima wa milele.*

Sondra spojrzała zdziwiona na swojego towarzysza.

– „Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny” – przetłumaczył Alec.

Powietrze stawało się ciężkie. Podmuch wiatru przyniósł ze sobą dziwną woń – kurzu, zwierząt, dymu i gnijących owoców – ostry, pierwotny, odurzający i przykry zarazem zapach. Sondra odetchnęła z ulgą, gdy poczuła delikatny dotyk na ramieniu.

– Zamieszkaś tutaj – powiedział Alec, wskazując na jedną z chałup.

Stała w rzędzie obok innych niskich zabudowań z grubo ciosanych kłoców drzewa i tak jak wszystkie była pokryta falistą blachą. Alec pchnął drzwi bez zamków.

– Pij tylko wodę z dzbanka – poradził, wprowadzając ją do pogrążonego w mroku wnętrza. – Njangu codziennie ją chloruje. A gdy będziesz chciała skorzystać z przybudówki, weź ze sobą kij i mocno nim postukaj, zanim wejdziesz do środka. Nietoperze spłoszą się i uciekną.

Umeblowanie stanowiło metalowe łóżko zaścielone szpitalną bielizną, chybotliwy stolik z naftową lampą i z dzbankiem na wodę, sznurek rozciągnięty w kącie pomiędzy dwoma gwoździami oraz kilka drucianych wieszaków. Walizki Sondry stały na samym środku wybetonowanej podłogi.

Pomimo panującej ciemności Sondrę uderzył zaduch i ogarnęło ją uczucie klaustrofobii. Alec uśmiechnął się przepaszająco, jak gdyby czuł się winny za ubóstwo tego miejsca.

– Dziękuję Bogu, że ciebie tu zesłał, Sondro Mallone. – Wyciągnął do niej rękę.

Odwzajemniła jego mocny i szczery uścisk. Przytrzymała jej dłoń trochę dłużej, niż to było konieczne.

– Śpij dobrze – powiedział po chwili, wycofując się do wyjścia.

Rozdział 17

Pomimo wielkiego wyczerpania spała krótko.

Obudził ją hałas za zasłoniętym oknem – przyspieszone obroty silnika, dziecięce piski i krzyki oraz niskie męskie głosy. Leżała przez chwilę nieruchomo na łóżku, kompletnie ubrana, i zastanawiała się, dlaczego lot Lufthansy 747 przebiega nagle tak gładko. Po chwili przypomniała sobie, gdzie jest. Wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież. Wychodziły na skąpane w miedzianym blasku popołudnia podwórze, które o tej porze tętniło życiem.

– *Jambo!* – powitał ją Alec MacDonald. Stał na werandzie izby przyjęć, gdzie czekało w cieniu na swoją kolej z tuzin Afrykanów. Sondra dostrzegła również doktora Farrara, który pochylał się nad dzieckiem i przez otoskop zaglądał mu do ucha.

Pomachała Alecowi i wycofała się do środka. Zamknęła drzwi i przez chwilę zastanawiała się nad rozmieszczeniem sprzętów. Pod stołem znalazła wiadro z czystą wodą i wyszczerbioną porcelanową miednicę. Energicznie umyła ręce i twarz, a potem zmieniła strój podróży na zwiewną, bawełnianą sukienkę na ramiączkach. Odświeżona wkroczyła na podwoje.

Alec wyszedł jej naprzeciw, wsuwając zwinięte słuchawki do tylnej kieszeni dżinsów.

– Jak się czujesz?

– Mogłabym przespać następne sto godzin! – Rzuciła okiem na Derry'ego, który klęczał, bandażując stopę jakiejś kobiecie. – Nie trzeba w czymś pomóc?

Alec obejrzał się przez ramię i przecząco pokręcił głową.

– Już kończymy na dzisiaj. Nie martw się, będziesz miała pełne ręce roboty. Chodź, poznasz pozostałych członków rodziny.

Wszyscy zebrali się w świetlicy, żeby odpocząć i porozmawiać. Sondra została przedstawiona osobom, które mieszkały na terenie misji: kobietom z plemienia Kikujów – nieśmiałym młodym pielęgniarkom przeszkolonym w Mombasie, jeszcze jednemu białemu lekarzowi, który podobnie jak ona i Alec przebywał tu czasowo, oraz kilku duchownym z amerykańskich i angielskich kongregacji. Ożywione rozmowy niemal zagłuszały popołudniowe wiadomości nadawane przez radiostację Głos Kenii. Sala tętniła życiem i wydała się Sondrze zupełnie innym miejscem niż rano. Wszyscy przyjęli ją życzliwie. Nawet biali, którzy przyjechali tu tylko na pewien czas, witali ją słowami „*Jambo*” i „*Salaam*”.

Dosiedli się do grupy przy jednym ze stołów. Sondra natychmiast została zasypana lawiną pytań dotyczących wiadomości ze świata, gdyż lokalna radiostacja nie poświęcała temu wielkiej uwagi.

Z kuchni wyszedł Njangu, zmierzył Sondrę zimnym wzrokiem i postawił przed nią filiżankę wątpliwej czystości.

– Sądzę, że on mnie nie lubi – powiedziała cicho, odbierając od Aleca czajniczek z herbatą.

– Njangu wszystkich traktuje podobnie. Jedynym człowiekiem, którego naprawdę lubi, jest jak na ironię Derry. Kiedyś byli przecież wrogami.

– Wrogami? – zdumiała się Sondra.

– Njangu uchodził za jednego z najgroźniejszych rebeliantów MauMau, a Derry reprezentował siły policyjne, które z nim walczyły.

Sondra знаła historię Kenii. Wiedziała, że religijno-polityczny ruch MauMau doprowadził w latach pięćdziesiątych do zbrojnego powstania, które zostało krwawo stłumione przez władze brytyjskie.

Nagle do pokoju wszedł tęgi starszy mężczyzna i klasnął w dłonie, żeby zwrócić uwagę zebranych.

– Dobre wieści! – oznajmił, machając kopertą. – Pan zesłał nam sto dolarów! – Jego słowa wywołały powszechny aplauz.

– Chwała Bogu – mruknął Alec MacDonald.

Ku zdziwieniu Sondry wszyscy z hałasem ruszyli do wyjścia.

– Nadeszła poczta – wyjaśnił jej Alec.

Zażywny starszy pan podszedł do Sondry i podał jej rękę.

– Tak się cieszę, moja droga, że mogę cię poznać. Bóg wysłuchał naszych modlitw, zsyłając cię tutaj. Przepraszam, że nie czekałem osobiście na twój przyjazd, ale pojawił się pewien problem w związku z naszym kontem kredytowym w Voi. – Wielebny Sanders zdjął słomkowy kapelusz i otarł łysinę chustką. Był ubrany na biało, począwszy od tenisówek i spodni, a skończywszy na zapiętej pod samą szyję koszuli bez kołnierzyka; biel jego stroju wyglądała jednak niezbyt świeżo. – Na dzisiejszej wieczornej mszy odmówimy specjalne dziękczynne modły, moja droga. Czy zdążyłaś już wszystkich poznać?

– Tak, doktor MacDonald serdecznie się mną zajął.

– To dobrze. No cóż, musisz mi wybaczyć. Prowadząc misję, trzeba interesować się tak wieloma sprawami. Derry będzie się tobą opiekował. *Kwa heri, kwa heri.*

Gdy pastor wyszedł, Sondra została w świetlicy sama z MacDonaldem. Przez chwilę bawiła się łyżeczką.

– Nie przyłączysz się do pędzącego po odbiór listów tłumu? – zapytała.

Lekko się zaczerwienił, jak gdyby odgadła jego myśli.

– Korespondencja może poczekać. Nie chciałem zostawiać cię zupełnie samej.

– Przypuszczam, że nadejście poczty jest tutaj wielkim wydarzeniem.

– Tak, tym bardziej że terminu nigdy nie sposób przewidzieć. A człowiek wypatruje odpowiedzi od ludzi, do których sam napisał.

– Rozumiem. – Sondra pomyślała o przyszłych listach od Ruth i Mickey jak o małych przyjaznych wyspach na obcych morzach.

– Ludzie często do ciebie piszą, Alec?

– Tak, mam wielu przyjaciół i rodzinę w Kirkwall.

– Czy twoja żona też tam mieszka?

– Nie miałem czasu się ożenić. – Uśmiechnął się skromnie. – Zaledwie zdążyłem rozpocząć

praktykę po stażu. A zaraz potem poszedłem za głosem powołania.

– Powołania?

– Do pracy w chrześcijańskiej misji w Afryce.

– Och, tak.

– A ty? Nie wiem, czy moje przypuszczenia są słuszne, ale odniosłem wrażenie, że nie jesteś związana z żadną kongregacją. Nie mylę się, prawda?

– Nie, nie mylisz się.

Położył ręce płasko obok siebie na stole, jak gdyby uporał się z najważniejszym zadaniem na dzisiaj.

– Będę musiał pójść do moich pacjentów. Chciałabyś zobaczyć izbę chorych?

Sondra chętnie przystała na propozycję. Poranny epizod z dotkniętym atakiem apopleksji urzędnikiem Wydziału Robót Publicznych pozostawił w jej pamięci chaotyczny obraz. Nie zdążyła dokładnie przyjrzeć się miejscu, w którym miała spędzić cały przyszły rok.

Wchodząc po stopniach na górę za MacDonaldem, przyłapała się na tym, że rozgląda się za doktorem Farrarem. Zirytowała się, gdy zdała sobie z tego sprawę.

Niewielki szpital przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Fakt, że Derry Farrar, ten „cholernie dobry chirurg”, jak go określił Alec, mógł dopuścić do tak poważnych zaniedbań w utrzymaniu porządku i czystości, wydał się Sondrze przerażający. Gdzież ten człowiek, na Boga, uczył się medycyny? Lekarstwa były przechowywane w sposób przypadkowy, z narzędziami chirurgicznymi obchodzono się niedbale, a w kartach chorych, jeśli w ogóle zdecydowano się je założyć, Sondra dostrzegła poważne uchybienia. Wygląd sali operacyjnej, tak jak i całego zatłoczonego oddziału z dwudziestoma łózkami, na których w wielu wypadkach leżało po dwoje chorych, urągał podstawowym zasadom higieny.

– Wiem, o czym myślisz – powiedział Alec, gdy przyglądali się, jak sanitariusz bez entuzjazmu zmywa krew z przestarzałego stołu operacyjnego. – Ten widok przeszedł twoje najśmielsze wyobrażenia. Doskonale cię rozumiem. Moja reakcja była dokładnie taka sama, gdy przybyłem tu cztery tygodnie temu.

– Wszystkie nici są przeterminowane – zauważyła Sondra, myśląc o wrzawie, jaką by wywołało w Phoenix użycie starych szwów.

– Wiem. Ale nie mamy innych. Muszą nam wystarczyć. Wzięła do ręki opakowanie z niebieskimi nićmi firmy „Ethilon”, poplamione dużym, czerwonym odciskiem kciuka. Musiały pamiętać jeszcze czasy wojny. W Phoenix natychmiast trafiłyby do kosza.

– Chcesz powiedzieć, że korzystacie tylko z czegoś takiego?

– Tak. I cieszę się, że w ogóle to mamy.

– O Boże! A te narzędzia! – przysunęła do siebie metalową puszkę i zaczęła przerzucać wykrzywione kochery i wyłamane szczypce.

– Wprost trudno mi uwierzyć, że przechowujecie te wszystkie instrumenty do naprawy.

Alec roześmiał się i zaprzeczył ruchem głowy.

– Do naprawy? Żarty sobie stroisz, dziewczyno. My się nimi posługujemy!

Sondrze zaparło dech. Z przerażeniem wpatrywała się w metalową kasetkę, jak gdyby narzędzia przemieniły się nagle w węże.

– Ależ to okropne!

– Co takiego? – dobiegł z tyłu głos. Derry wyszedł z umywalni i wycierał rjce.

– Obawiam się, że Sondra przeżywa właśnie lekki wstrząs – wyjaśnił Alec.

Derry wrzucił ręcznik do wiklinowego kosza, stanął tuż przed Sondra i patrząc na nią z góry, zaczął podwijać rękawy.

– A czego się pani spodziewała, pani doktor? Myślała pani, że zastanie tu szpital podobny do amerykańskiego, z którego pani właśnie przyjechała?

Sondra poczuła wzbierającą złość.

– Nie, doktorze Farrar. Nie mogę tylko zrozumieć, jak pan może coś takiego akceptować!

Po jej słowach zapadła kłopotliwa cisza. Oczy Derry’ego zamglily się ze wzburzenia. Alec przestępował z nogi na nogę, a Sondra zastanawiała się, czy słycać, jak dudni jej serce. W końcu Derry obrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł z sali.

Alec cicho gwizdnął.

– Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby dwoje ludzi tak bardzo nie zgadzało się ze sobą od samego początku – stwierdził.

– Nie zrobiłam nic takiego, co by usprawiedliwiało jego grubiańskie zachowanie w stosunku do mnie.

– W pewnym sensie rozumiem jego punkt widzenia. To izba chorych Derry’ego. Prowadził ją przez lata. Jest jego oczkiem w głowie. Nie lubi, gdy przychodzą obcy i krytykują przedmiot jego dumy.

Sondra zmarszczyła brwi. Obrzuciła wzrokiem ladę ze starymi narzędziami i nićmi, poóółkłe opakowania opatrunków, antyczny stół operacyjny i przypomniała sobie słowa wielebnego Ingelsa z Phoenix: „Misja Uhuru utrzymuje się wyłącznie z datków. Wyda ci się biedna i będzie bardzo odbiegać wyglądem od medycznego otoczenia, do jakiego przywykłaś”.

Sondra musiała się przyznać przed samą sobą, że być może zbyt pochopnie skrytykowała izbę chorych, tym bardziej że przebywała w jej ścianach zaledwie od kilku minut. Ale to jeszcze nie tłumaczyło niemal wrogiego zachowania Derry’ego wobec niej. Powiedziała o tym Alecowi.

– Misja rozpaczliwie potrzebuje do pomocy każdej pary rąk – wyjaśnił jej – ale czasami nieporadne wysiłki mogą wyrządzić więcej szkody niż pożytku.

– Tak właśnie myśli o mnie, że będę dla niego zawadą?

– Uważa, jak sądzę, że jesteś zbyt niedoświadczona i o wiele za młoda, żeby pracować w tak surowych warunkach. Będzie musiał cię wiele nauczyć, zanim się nadasz do samodzielnej pracy i przejmiesz od nas część obowiązków. A poza tym jest przekonany, że zanim do tego dojdzie, wycofasz się. Muszę przyznać – Alec zniżył głos – że ja o tym samym pomyślałem, widząc cię po raz pierwszy: „Jak taka delikatna dziewczyna poradzi sobie tutaj?”

Podniosła wzrok. Napotkała jego łagodne spojrzenie i pełen otuchy uśmiech. Poczula, że nagle jej złość się ulatnia. Alec MacDonald miał rację. Derry Farrar potrzebował starszych, bardziej doświadczonych medyków, którym nieobce były kiepskie warunki; lekarzy polowych o surowym usposobieniu, którzy potrafiliby działać samodzielnie. Może Derry obawiał się, że nigdy nie będzie miał z niej pożytku? No cóż, pierwsze wrażenie często bywa błędne. Derry Farrar ani się obejrzy, jak zrozumie swoją pomyłkę. Sondra nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

O zachodzie słońca w małym kościele została odprawiona msza. O ile Sondra potrafiła się zorientować, uczestniczyli w niej wszyscy z wyjątkiem Derry'ego i pielęgniarki, która została w izbie chorych, żeby czuwać nad pacjentami. Długo modlono się w podziękowaniu za przybycie doktor Mallone, a Alec MacDonald był tym, który najgłośniejsz odśpiewał hymn na zakończenie.

Kolacja składała się z pieczonego kozła, z miejscowej potrawy z duszonej fasoli o nazwie *posho* oraz ze świeżych truskawek. Alec siedział obok Sondry i powiedział jej, że truskawki rosną w Kenii przez cały rok, ale za to nigdy nie uświadczą tu jabłka. Rozmowa przy stole toczyła się wokół jednego tematu: braku ulubionych artykułów spożywczych. Wielebny Sanders zapytał Sondrę z nadzieją w głosie, czy nie przywiozła ze sobą chińskich przypraw, i był bardzo przygnębiony, gdy usłyszał negatywną odpowiedź.

W jadalni biali siedzieli przy jednym stole, a czarni przy drugim. Podział ten wydał się Sondrze zdumiewający. Zapytała Aleca, czy w misji panują takie zasady.

– Ależ skąd! Każdy może usiąść, gdzie chce. Wszyscy wolą jednak zajmować miejsca wśród swoich.

Na samym końcu stołu Sondra zauważyła Derry'ego Farrara. Spożywał posiłek w milczeniu. Z ciekawością wypatrywała jego żony.

– Proszę powiedzieć nam, pani doktor – zagadnął Sondrę wielebny Lambert, misjonarz z Ohio, który siedział naprzeciwko niej – co nowego w związku z aferą Watergate?

Po kolacji zostało w świetlicy kilka osób, które chciały wysłuchać radia Sił Zbrojnych, napisać listy albo przeczytać gazetę „Standard”, przywiezioną rano przez Derry'ego. Jedna z grup prowadziła dyskusję na temat Nowego Testamentu. Alec i Sondra wyszli się przejść. Otoczył ich afrykański zmierzch.

– Na początku trudno jest przywyknąć do tutejszego otoczenia – powiedział Alec w typowy dla siebie, łagodny sposób. – Ja sam nie zdążyłem się jeszcze całkiem przystosować do nowych warunków.

– Co zamierzasz robić potem, gdy rok w Afryce dobiegnie końca?

– Wrócę do Szkocji i podejmę praktykę. Nasze małe wyspy nie są co prawda bardzo zaludnione, ale będę miał dostatecznie dużo pacjentów, żeby zapewnić przyzwoity byt mojej rodzinie, jeśli się ożenię. Przypuszczam, że po tutejszych doświadczeniach życie w Szkocji wyda

mi się bardzo spokojne, za spokojne, ale tam jest mój dom i moje rodzinne korzenie. – Wsadził ręce do kieszeni dzinsów. – Będę miał satysfakcję, że pracując tutaj, wypełniłem chrześcijański obowiązek.

Sondra dostrzegła odcinający się na tle fioletowego nieba prosty krzyż z drzewa jakarandy, który wieńczył surowy budynek kościoła. Religia nigdy do Sondry nie przemawiała ani nie dostarczała jej głębokich wzruszeń, pomimo że rodzice byli bardzo pobożnymi ludźmi.

– Czy z takim samym zaangażowaniem oddajesz się modlitwom jak medycynie, Alec?

– Nie jestem duchownym. Ale pozwalam wierzyć tym, którym pomagam, że to Bóg leczy ich rany, a nie ja. Na tym polega rola misji. Mamy tym ludziom przybliżyć Boga. A to wcale nie jest łatwe. Potrzeba długiego czasu, żeby przyprowadzić człowieka do Chrystusa. Zdarzają się jednak niespodziewane sukcesy. Nie dalej jak w ostatnim tygodniu jeden z Masajów został poszarpany przez lwa i trafił do naszego szpitala. Gdy zrobiliśmy z Derrym co było w naszej mocy, wszyscy otoczyli łóżko chorego i modlili się przez całą dobę. Bóg wysłuchał ich prośb i dokonał cudu, uzdrawiając tego człowieka, który następnego wieczoru uznał w Jezusie Chrystusie swojego zbawiciela. Ale nie z wszystkimi sprawa jest równie prosta. Weźmy starego Njangu, naszego kucharza. Uznał Boga dziesięć lat temu, gdy wielebny Sanders odwiedził go w więzieniu. A widziałaś, co ma na szyi? Oprócz krzyża, który dostał od misji, nosi sznurek z pogańskim talizmanem. Wierzy, że uchroni go przed śpiączką. Kikujowie to najbardziej zabobonni ludzie pod słońcem.

Alec przystanął pod kwitnącym drzewem jakarandy i odwrócił się twarzą do Sondry.

– Co sądzisz o tym wszystkim?

– Chciałabym prędko jak najwięcej się nauczyć.

– W Derrym będziesz miała najlepszego nauczyciela. Ja też niewiele wiedziałem na temat tropikalnej medycyny, gdy przyjechałem tu cztery tygodnie temu. A od tamtej pory byłem już z nim dwukrotnie na objazdach, podczas których rozbijaliśmy obozy w dzikiej głuszy i zakładaliśmy prowizoryczną klinikę przy krzaku cierniowca. Derry cudownie potrafi postępować z tubylcami.

– Jak to się stało, że tak dobrze zna ten kraj?

– Urodził się tutaj, niedaleko od Nairobi. Słyszałem, że jego ojciec był jednym z białych osadników i miał własną plantację czy coś w tym rodzaju. Wysyłanie synów na studia do Anglii leżało w zwyczaju tutejszych kolonistów. Derry zdobył tam medyczne wykształcenie. Podczas jego pobytu w Europie wybuchła wojna. Zaciągnął się do RAF-u. Nie wiem, czy słyszałaś, że jest bohaterem wojennym. Opowiadali mi, że walczył w bitwie o Anglię i był wysyłany na szczególnie niebezpieczne akcje powietrzne, za które został odznaczony Krzyżem Wiktorii. Według wielebnego Sandersa Derry powrócił do Kenii w 1953 roku, w chwili wybuchu powstania Mau-Mau, i jako ochotnik zgłosił się do walki z rebeliantami.

Alec odwrócił się i ruszył dalej przed siebie, a Sondra dotrzymywała mu kroku.

– To fascynująca historia. Terroryci ukrywali się w lesie Aberdare. Wyczyniali straszliwe

rzeczy, mordując i torturując zarówno własnych ludzi, jak i białych farmerów. Wieść głosi, że Derry, chociaż cieszył się względami afrykańskiego samozwańczego rządu, przeciwstawił się taktyce MauMau. Dlatego gdy policja szukała ochotnika, który by się zdecydował przelecieć nad lasem, żeby namierzyć obóz terrorystów, Derry wystąpił naprzód. Powiadają, że rebelianci zestrzelili samolot, a jego wzięli do niewoli. Torturowali go... to dlatego utyka. Ale zdobył ich szacunek i w końcu został negocjatorem w rozmowach pomiędzy terrorystami z Mau-Mau a Brytyjczykami. Był jednym z nielicznych, których rebelianci wypuścili na wolność ze swojego tajnego obozu. Tam właśnie poznał Njangu.

– W jaki sposób trafił do misji?

– Gdy poznał swoją żonę, Jane. Pracowała jako pielęgniarka. Nie mogła stąd wyjechać, więc Derry zdecydował się zamieszkać tutaj. To było, jak sądzę, jakieś dwanaście lat temu, tuż przed uzyskaniem przez Kenię niepodległości.

Gdy Alec skończył opowiadać, w zapadającej afrykańskiej nocy głucho zabrzmiała pustka, wypełniona tylko dziwnymi, trudnymi do zidentyfikowania dźwiękami. Sondra przysłuchiwała się przez moment odgłosom poza ogrodzeniem, krzykowi ptaka oraz zakradającej się ponad krzewami, drzewami i zielonymi trawami ciszy, która zostawiała za sobą na ziemi taki bezruch, że Sondrę obleciał strach.

– Która z pielęgniarek jest jego żoną? – zapytała cicho.

– Słucham? Ach, chodzi ci o żonę Derry’ego. Umarła kilka lat temu przy porodzie. Tutaj w misji. Przypuszczam, że Derry został tu z powodu izby chorych, którą sam wybudował.

Zatrzymali się gwałtownie. Derry Farrar zastąpił im drogę. Trzymał ręce na biodrach i miał gniewne spojrzenie.

– Cholernie niebezpiecznie tak chodzić po nocy – powiedział.

– Dlaczego? – zapytała Sondra. Wskazała na jej gołe ramiona.

– Z powodu komarów. Roznosiciele malarii już tną o tej porze. I radziłbym zmienić te beużyteczne sandały na zakryte pantofle. Chodząc w takim obuwiu, nabawisz się gorączki kleszczowej. – Zwrócił się do Aleca: – Zbadałem właśnie naszego człowieka z Wydziału Robót Publicznych. Jego stan nie uległ zmianie. Jeśli zgłosi się po niego rodzina, może go zabrać.

– Nie wolno ci tego zrobić! – krzyknęła Sondra.

– Są nam potrzebne wolne łóżka, pani doktor. A nasza medycyna jest dla niego beużyteczna. Życzę wam obojgu dobrej nocy.

Gdy zatrzymali się przed stopniami drewnianej chaty, Sondra tak uradowała się na jej widok, jak gdyby mieszkała w rezydencji. Miała ochotę przespać całą wieczność.

Alec stanął blisko niej.

– Derry miał rację, mówiąc o komarach. Stają się natarczywe po zachodzie słońca. Powiniennem być cię o tym uprzedzić.

Podawała mu rękę.

– Dziękuję ci bardzo, Alec, że pomogłeś mi przetrwać pierwszy dzień w misji.

Wziął jej rękę w obie dłonie.

– Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, mieszkam obok. Szykowałam się do snu w świetle naftowej lampy. Była zbyt zmęczona, żeby zastanawiać się nad nowymi warunkami. Wiedziała, że będzie miała na to dostatecznie dużo czasu jutro i podczas następnych trzystu sześćdziesięciu czterech dni. Teraz chciała jedynie zasnąć kamiennym snem.

Zgasiała płomień lampy i już miała wskoczyć pod przykrycie, gdy zawadziła głową o węzeł zawieszony nad łóżkiem siatki, z której Alec radził jej korzystać. Po chwili bezskutecznego mocowania się z moskitierą Sondra zaczęła grzebać w walizce w poszukiwaniu szlafroka.

Na zewnątrz panowała ciemność. Tylko w kilku oknach paliły się światła. Noc wypełniała cisza. Sondra ściskając pod szyją poły zarzuconego na plecy szlafroka, prędko przemknęła na palcach do sąsiedniego domu i cicho zapukała do drzwi. Sączące się spod zasłon światło świadczyło o tym, że Alec się jeszcze nie położył.

Kiedy drzwi się otworzyły, Sondra ze zdziwienia aż zamrugła powiekami. Pomyliła się! Była straszliwie zmieszana. Z obnażonym torsem stał przed nią Derry Farrar.

– Ja... – zaczęła. Czuliła, że pali ją twarz. Miała ochotę zapaść się pod ziemię. – Chodzi o moskitierę. Nie umiem sobie z nią poradzić...

Przyglądał się jej przez chwilę.

– Posługiwanie się nią jest trudne na początku. Trzeba czasu, żeby nabrać wprawy.

Gdy wyminął ją w przejściu, pobieżnie obrzuciła wzrokiem wnętrze jego mieszkania. Podobnie jak i u niej panowały tu spartańskie warunki. Nic nie świadczyło o tym, że Derry mieszka w tym domu od tylu lat. Wyjątek stanowił klubowy fotel przykryty kocem i odłożona na siedzenie grzbietem do góry książka.

Sondra niepewnie przestępowała z nogi na nogę w drzwiach własnego domu, obserwując jak Derry rozwiązuje i spuszcza na dół siatkę. Zademontrował jej, jak należy rozsupłać węzeł, ale niewiele z tego zapamiętała. Nie mogła oderwać wzroku od jego umięśnionego torsu oraz od muskularnych ramion i rąk.

– Cały dowcip polega na tym, żeby odpowiednio zaczepić siatkę w trzech rogach, a następnie wskoczyć do łóżka i dopiero wtedy to samo zrobić z rogiem czwartym. Musisz mieć absolutną pewność, że nie zostawiłaś szpary, przez którą mógłby przedostać się komar. Tym razem zrobię to za ciebie.

Wyprostował się i spojrzał na nią wyczekująco.

– No chodź – powiedział łagodnie. – Nie będę stał tutaj przez całą noc.

Sondra pospiesznie zrzuciła z ramion szlafrok, starannie go złożyła i schowała do walizki. Derry, odsunął się na bok, gdy wchodziła do łóżka, a potem bardzo sprawnie założył moskitierę. Leżała na plecach, obserwując zamykający się wokół niej namiot z gazy. Starła się nie patrzeć na Derry'ego. Poczuliła delikatne kołysanie się materaca, gdy sprawdzał zamocowanie w każdym rogu. Prędko uporał się z zadaniem, podszedł do drzwi i zatrzymał się z ręką na gałce. W ciemnościach nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy, ale gdy usłyszała jego głos, była pewna, że

się uśmiecha.

– Lepiej to sobie poćwicz. Nie będę mógł codziennie utulać cię do snu. Dobranoc, pani doktor.

Sondra położyła się w sztywnej pościeli, która intensywnie pachniała szpitalnymi środkami dezynfekcyjnymi. Miała nadzieję, że prędko ogarnie ją senność. Ale sen nie nadchodził. Zaczęła zastanawiać się, czy kiedyś znowu będzie potrafiła normalnie zasypiać. Problemy zaczęły się na stażu, podczas którego nie spędziła spokojnie ani jednej nocy i nigdy nie udawało jej się rozprostować kości na osiem błogosławionych godzin. Ciągłe wyrwywał ją ze snu telefon albo pager. Bez przerwy dręczyły ją nocne koszmary. Staż zakończył się już dwa miesiące temu, ale pomimo ośmiotygodniowego odpoczynku w rodzinnym domu przed wyjazdem do Kenii nadal miała kłopoty ze spaniem.

Staż. Akademia medyczna nie przygotowywała w należyтым stopniu do tej pierwszej samodzielnej praktyki. Uczelnia nie odzwierciedlała obrazu „rzeczywistości”, ponieważ w szpitalu St. Catherine’s nad pracą studentów trzeciego i czwartego roku czuwali lekarze. Zawsze był ktoś wyżej, kto podejmował ostateczną decyzję. Szkoła przekazywała książkową wiedzę, a medycyna wydawała się czymś łatwym i przyjemnym. Nikt nie przeczuwał stresów i niepokojów związanych z wykonywaniem tego zawodu. A potem naiwny, świeżo upieczony lekarz był narażony na wszystkie możliwe wstrząsy: od rozczarowania po czarną depresję, od przerażenia po uniesienie. Był surowcem poddawany bezlitosnej obróbce, która miała z niego zrobić efektywną, sprawną i zdolną do podejmowania decyzji maszynę medyczną. Gdy pierwszego lipca ubiegłego roku Sondra stawiała się do pracy na wskazanym oddziale, zastała tam znużonego mężczyznę w wyświechtanym kitlu. „Jest pani nową stażystką?” – upewnił się, wpychając jej do rąk plik kart zdrowia. „Trzydziestu pięciu pacjentów. Proszę zrobić jak najszybciej obchód, ponieważ na przyjęcie czekają nowi chorzy”. I wyszedł. Zaskoczona Sondra patrzyła za nim, nie mogąc uwierzyć, że zostawił ją samą. A dokładnie rok później, dwa miesiące temu, gdy na oddział wszedł sprężystym krokiem młody pogodny mężczyzna, Sondra zachowała się podobnie. „Jest pan nowym stażystą?” – zapytała, przekazując mu karty. I dodała: „Na salach mamy trzydziestu siedmiu pacjentów, a dalszych pięciu czeka na przyjęcie w poczekalni. Życzę powodzenia”.

Zamknęła oczy, wsłuchując się w afrykańską ciszę za ścianami domu.

To był dziwny rok, którego nie sposób opisać komuś, kto nigdy go nie przeżył. Dwanaście miesięcy w ciągłym napięciu – bez chwili wytchnienia, bez przyjaciół, bez odpoczynku przy książce, w kinie lub przy telewizji, bez dnia spędzonego poza murami szpitala, bez utrzymywania normalnych kontaktów towarzyskich. Czas zdobywania wiedzy praktycznej, gdy nauczycielem był strach, a narzędziami panika i niepokój. Medycyna nie tolerowała błędów. Zadanie za pierwszym podejściem należało wykonać dobrze. W przeciwnym razie pozostawała już tylko sekcja zwłok. Sondra nie podejrzewała własnych rąk o tak wielką sprawność. Nauczyła się robić punkcje mostka, biopsje wątroby i nacięcia chirurgiczne. Podjęła wiele trudnych decyzji, gdy nie

było czasu do namysłu ani nikogo, kto by mógł służyć radą. Dużo niepowodzeń, dużo sukcesów. Czy było warto?

Sondra poczuła, jak napięcie stopniowo mija. Powoli morzył ją sen. Puściła wodze fantazji i myśli poszybowały w ciszę nocy. Gdzieś z oddali dobiegł ją głos doktora MacReady'ego: „Chwała Bogu, że zauważyła pani błąd, Mallone. Ta przeklęta pielęgniarka zamierzała podać naszej pacjentce z nadciśnieniem środek na podwyższenie ciśnienia!” Sondra uśmiechnęła się sennie. A zaraz doleciał ją inny głos: „Dziękuję pani doktor za ocalenie mojej córeczki”.

Znajdowała się w półśnie. Wciąż się uśmiechała. Tak, warto było poświęcić każdą chwilę, żeby się tu znaleźć. W miejscu, do którego ciągnęło ją od lat. Była gotowa nieść pomoc. Jako lekarka ogólna miała tak wiele do zaoferowania. Warto było dla jutra i dla następnych trzystu sześćdziesięciu czterech dni poświęcić dwanaście trudnych miesięcy.

Gdy w końcu ogarnął ją sen, śniła, że jest z powrotem w szpitalu w Phoenix. Właśnie przywieziono panią Minelli z zagadkową wysypką i Sondra zleciła wykonanie badania krwi. Nagle zjawił się doktor Derry Farrar w koszuli i w spodniach khaki. Trzymał ręce na biodrach i miał zachmurzoną minę. „Wydaje ci się, że jesteśmy w stołecznym szpitalu North London?” – zapytał.

Sondra cicho zaśmiała się przez sen.

Rozdział 18

Sądzi pan, że krew jest trochę za ciemna, doktorze?

Mason odrzucił kłem i wyciągnął rękę, w którą instrumentariuszka wetknęła szczypce.

Mickey Long podniosła na chirurga wzrok znad stołu operacyjnego.

– Nie uważa pan, że powinniśmy coś z tym zrobić, doktorze Mason?

– Podaj jej więcej tlenu – warknął chirurg do anestezjologa.

Mickey wymieniła spojrzenia z lekarzem siedzącym za ekranem.

– Tampon, na miłość boską! – rzucił oschle Mason. – Proszę uważać!

Mickey spostrzegła powiększającą się plamę potu na chirurgicznym czepku Masona i zaniepokojone spojrzenie znad wilgotnej maski. Jego blada jak ściana twarz i drżenie rąk świadczyły o tym, że znowu jest na kacu.

– Doktorze Mason – powiedziała cicho i spokojnie. – Ciśnienie pacjentki spada. Powinniśmy to skontrolować.

– To ja operuję, doktor Long – ryknął. – Niech się pani nie wtrąca i na miłość boską oczyści mi operacyjne pole! Kto, do diabła, uczył panią posługiwania się tamponem!

Mickey powstrzymała złość i zwróciła się do anestezjologa:

– Jak jej ciśnienie, Gordon?

Mason podrzucił głową. Jego pociemniałe oczy miały błyskawice.

– Za kogo, u diabła, się pani uważa? Ma mi pani tylko asystować. Z salową lepiej by mi się pracowało!

– Doktorze Mason. Myślę, że pacjentka...

Chirurg rzucił narzędzie i groźnie pochylił się w stronę Mickey. Użył tonu, który zwykle wzbudzał przerażenie w jego asystentach.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki pani pracuje, ani pani stosunek do mnie. Gdyby to ode mnie zależało, zakazałbym pani wstępu na salę operacyjną.

– Cholera jasna! – wrzasnął anestezjolog. – Zatrzymała się akcja serca!

Sześć par oczu utkwilo na moment wzrok w monitorze kardiologicznym. I zaraz zrobiło się zamieszanie.

– O Jezu! – szepnął Mason, usiłując nieporadnie przedrzeć się przez chirurgiczne chusty.

Mickey uprzedziła go i chwytając nożyczki, nacięła papierowe prześcieradło, złapała mocno za dwa końce i rozdzierając je aż do szyi pacjentki, odsłoniła nagą pierś z przyczepionymi elektrodami. Działała instynktownie, mechanicznie odtwarzając w myślach kolejne czynności: zewnętrzny masaż serca, ugniatanie klatki piersiowej, zastrzyki z epinephriną i bicarbem, podniesienie łopatek w górę. Każde jej polecenie o mikrosekundę wyprzedzało decyzję Masona.

– Jezu Chryste, Mickey! – wrzasnął Gregg, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. – Co się, u diabła, z

tobą dzieje?

Zmusiła się, żeby usiąść, i spuściła nogi z kanapy.

– Proszę cię, nie krzycz na mnie, Gregg. Umieram ze zmęczenia.

Zatrzymał się na środku salonu. Miał zaczerwienioną twarz aż po same koniuszki jasnoblonde włosów.

– Dziwię się, że jeszcze żyjesz. Mason jest żądny twojej krwi!

– Strasznie mi przykro – powiedziała cicho. – Ale ten człowiek jest niekompetentny. Zrobiłam tylko to, co musiałam.

– To, co musiałaś! Dobre sobie! Tak nazywasz wtargnięcie do lekarskiej szatni i oskarżenie Masona w obecności dwunastu innych chirurgów o poważne zaniedbanie?!

– Postąpiłam tak, ponieważ mi zarzucił, że mu przeszkadzałam działać. Ten człowiek miał czelność powiedzieć mi prosto w oczy, że to przeze mnie zatrzymała się akcja serca pacjentki!

– To jeszcze nie usprawiedliwia twojego wtargnięcia do męskiej przebieralni!

– On jest niekompetentny, Gregg!

– Na miłość boską, Mickey! Jesteś dopiero na drugim roku specjalizacji, a zachowujesz się tak, jak gdybyś była samym Christiaanem Barnardem! Dlaczego nie chcesz o tym pamiętać? Nie mogę bez przerwy wyciągać cię z tarapatów.

Mickey spojrzała na niego z wściekłością.

– Nigdy cię nie prosiłam o pomoc, Gregg. Sama potrafię prowadzić swoje wojny.

– Tak, a jeszcze lepiej je wszczynać – stwierdził, odwracając się do Mickey tyłem. Zdjął białą szpitalną marynarkę i idąc do kuchni, rzucił ją na zestaw stereo.

Usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi lodówki. Wyszła na balkon, skąd roztaczał się przepiękny widok na rozpalone do czerwoności hawajskie niebo o zachodzie słońca. Jaki sens miało wynajmowanie mieszkania nad Ala Wai, jeśli człowiek był zawsze zmęczony jak pies i nie miał siły, żeby się nim nacieszyć?

Gregg wrócił z kuchni. Otworzył puszkę z Primo i oparł swoje chude ciało o framugę drzwi. Spotkali się wzrokiem. Obojgu przechodziła złość. Nigdy nie umieli się długo na siebie gniewać.

– Powiem ci jedno, dziewczyno. Nie sposób się przy tobie nudzić.

Mickey uśmiechnęła się. Właśnie to lubiła w Greggu Watermanie. Nigdy nie pielęgnował w sobie urazy.

Wprowadziła się tu z Greggiem pół roku temu. Najpierw przez kilka miesięcy próbowali się ze sobą spotykać, ale zgranie harmonogramów okazało się zbyt trudne. Każde z nich pracowało ponad sto godzin tygodniowo. Rzadko się zdarzało, żeby mieli w tym samym czasie wolne. Gregg był na piątym roku specjalizacji, a Mickey na pierwszym. Przeprowadzka wydawała się idealnym rozwiązaniem: dosyć mijania się, dosyć nie odbieranych telefonów, dosyć kalkulowania, czyje wybrać łóżko. Wspólne mieszkanie stwarzało szansę, że ich ścieżki kiedyś się przetną w ciągu tygodnia i przy odrobinie szczęścia zjedzą wspólny posiłek, a może nawet będą się kochać, o ile przedtem nie zasną.

– Udało ci się przekonać cały szpital, że gdyby nie ty, to pacjentka na pewno by zmarła – powiedział, zmierzając przez gruby dywan w kierunku fotela.

– Nikogo o niczym nie przekonywałam, Gregg. Ludzie sami potrafią wyciągać wnioski. Mają oczy i uszy, szczególnie pielęgniarki, które były z nami na sali operacyjnej. Widziały, co się stało. Nieomal nie zabił pacjentki.

– Do diabła, Mickey. Takie rzeczy się zdarzają na chirurgii.

– To był rutynowy zabieg wycięcia macicy, Gregg. Mason zupełnie zignorował symptomy zagrożenia życia.

– Załamanie akcji mogło być spowodowane uczuleniem na narkozę albo przyczynami nie związanymi z operacją, których się nie dało przewidzieć. Czasami tak bywa. Mason nie ponosi za to winy.

– Oczywiście że nie z jego winy zatrzymała się akcja serca. Ale on był na to zupełnie nie przygotowany, Gregg.

Poderwała się z miejsca. Od szesnastu godzin była bez przerwy na nogach, a pomimo to zaczęła krążyć po pokoju, żeby pobudzić ciało do życia. Za pięć godzin rozpoczynała kolejny dyżur pod telefonem i powinna przedtem trochę się zdrzemnąć, ale była na to zbyt roztrzęsiona.

– Mickey... – zaczął Gregg i marszcząc brwi, utkwił wzrok w puszcze z piwem. – Mason domaga się przeprosin.

Mickey okręciła się wokół własnej osi.

– Nie ma mowy.

– Będziesz musiała to zrobić.

– Nie mam go za co przepraszać. Postąpiłam słusznie, Gregg.

– Problem polega na tym, Mickey, że Mason od dwudziestu lat pracuje jako chirurg w szpitalu Great Victoria, a ty go znieważyłaś. I nie ty dostałaś po nosie, ale on. To polityka, dziewczyno. Jeśli chcesz utrzymać się przy życiu, musisz przestrzegać reguł gry.

– On nie powinien nauczać, Gregg. Jest okropnym chirurgiem. Młodszym lekarzom pozwala jedynie trzymać haki i nigdy nie dopuszcza ich do operacji. Poza tym demonstruje bardzo złą technikę.

Gregg pociągnął kolejny łyk z puszki i utkwił wzrok w roztaczającym się z balkonu widoku, który przywodził na myśl plakat reklamowy z zarysami palm oraz hotelowych wież o zachodzie słońca. Waikiki leżało tuż za kanałem. Obserwując toczącą się wodę, Gregg próbował pozbierać myśli. Życie wydawało się takie proste do momentu, kiedy wkroczyła w nie Mickey Long! „Dlaczego to spotkało akurat mnie?” – zastanawiał się. A obserwując jej odbicie w szybie, dodał: „I dlaczego właśnie ona?”

Stała z boku na tle bambusów i paproci niczym posąg bogini z lodu. Była najpiękniejszą i najbardziej nieznośną kobietą, jaką spotkał w życiu. Czy nie rozumiała jego trudnej sytuacji? Kochanek i szef to dwa odpychające się bieguny.

Zacisnął palce na puszcze piwa. Do diabła! Mickey miała rację. Mason rzeczywiście był

niekompetentny! Gregg sam przeżywał kiedyś psychiczne tortury, będąc świadkiem kiepsko wykonywanej przez niego operacji. Postanowił jednak wtedy nabrać wody w usta, a teraz pełnił funkcję szefa i za kilka miesięcy miał rozpocząć własną praktykę chirurgiczną.

– Nie mogę tego zrobić, Gregg.

– Mickey... – zaczął pojednawczo, usiłując zachować spokój. – Złamałaś podstawową regułę obowiązującą lekarzy na praktyce specjalizacyjnej – sprzeciwiłaś się chirurgowi, któremu asystowałaś przy operacji. Na miłość boską, przypomnij sobie rozmowę kwalifikacyjną. Pierwsze pytanie, jakie ci zadali, brzmiało: „Czy będzie pani wykonywać polecenia?” I obiecałaś, że lojalnie się do nich zastosujesz. A teraz mówisz, że nie możesz albo że nie chcesz! – Gregg zgniół w dłoni z trzaskiem pustą puszkę. – A ponadto skarżąc się na Masona do szefa chirurgii, popełniłaś śmiertelny grzech, najgorszy, jakiego lekarz może się dopuścić.

– W tamtym momencie udało mi się dotrzeć tylko do ordynatora. A poza tym on też był obecny w szatni.

– Mickey! Doskonale znasz służbową hierarchię i przepisy regulaminu! Młodszy stażem lekarz nie może iść ze skargą bezpośrednio do ordynatora! Obowiązują określone szczeble władzy. Powinnaś była z tym przyjść do mnie. Osobiście bym się zajął tą sprawą. Z własnej winy znalazłaś się w bardzo kłopotliwej sytuacji. Musisz przeprosić Masona, Mickey.

– Nie.

– Mogą cię wyrzucić z praktyki.

Nie przestając krążyć po pokoju, objęła się ramionami.

– Nie zrobią tego, jeśli mnie poprzysz.

– Nie mogę, Mickey.

– Powiedz raczej, że nie chcesz.

– Niech ci będzie, nie chcę. Zostało mi do końca zaledwie osiem miesięcy i nie zamierzam teraz z wszystkiego zrezygnować.

Przez balkonowe drzwi wpadł do pokoju powiew wiatru, który przyniósł ze sobą zapach soli, gardenii i pieczonego mięsa. Mickey przeszedł dreszcz. Z dołu dobiegały dźwięki orkiestry. Nieczęsto się zdarzało, żeby Mickey była niezadowolona ze swojego życia, ale obecnie przeżywała jeden z takich momentów.

Dobrze wiedziała, dlaczego Mason nalega na przeprosiny. Od chwili ich pierwszego niefortunnego spotkania szukał okazji, żeby utrzczyć jej nosa. Mickey od miesiąca pracowała w szpitalu Great Victoria, gdy doktor Mason wpadł do pokoju pielęgniarek, w którym właśnie przebywała, i rzucił na ławkę puszkę z instrumentami. „Oplucz mi te narzędzia, skarbie” – powiedział i zniknął. Mickey wybiegła za nim na korytarz w niekompletnym stroju i oddała mu puszkę. „Pewnie życzył pan sobie, żeby zrobiła to któraś z pielęgniarek”. Zmieszany zmierzzył ją wzrokiem z góry na dół. „A kim pani jest?” – warknął. „Technikiem obsługującym rentgen?” Zdziwił się, gdy usłyszał jej odpowiedź, zmarszczył brwi, a policzki o wydatnych szczękach oblały się rumieńcem. Odwrócił się na pięcie i odszedł bez słowa. Wkrótce potem Mickey

dowiedziała się, że Mason nie lubi być przyłapany na błędzie ani postawiony w kłopotliwej sytuacji.

– Świat się nie zawali, jeśli powiesz: przepraszam. „Owszem, zawali się” – pomyślała.

Siedzieli w milczeniu, obserwując niebo, którego barwa z brzoskwiniowej, przez kasztanową, przechodziła w czerń.

– Ktoś musi powstrzymać tego człowieka – mruknęła w końcu Mickey.

– No cóż... – Gregg wstał, przeciągnął się, zmrużył oczy pod wpływem światła i z powrotem skierował się w stronę kuchni. – Tobie na pewno nie uda się tego zrobić.

Przez chwilę przysłuchiwała się odgłosom otwieranego kredensu, buczenia otwieracza do konserw i stawianego na fajercie garnka. A potem wyszła na balkon.

Był balsamiczny październikowy wieczór. W ciężkim, parnym powietrzu unosiły się uspokajające rytmy tropikalnych melodii. Umilkły już rozbrzmiewające w ciągu dnia młoty pneumatyczne i elektryczne piły, które towarzyszyły budowie kolejnego sięgającego nieba hotelu. Ich miejsce wypełnił miarowy puls bębnow oraz dobiegające z bliska dźwięki orkiestry. Sześć pięter poniżej, nad kanałem Ala Wai, na porośniętym trawą brzegu siedzieli w blasku wieczornych świateł poławiacze kielbi. Leniwie przyglądali się energicznemu, młodemu i brązowemu jak czekolada mężczyznom o płowych włosach, którzy zabezpieczali kadłuby czółen. Jak japońskie latarnie jarzyły się w oddali rozhuśtane na wodzie mieszkalne łodzie. Ten świat wydawał się Mickey tak odległy, jak gdyby oglądała go w kinie.

Podczas szesnastu miesięcy pobytu na Hawajach tylko raz opuściła mury szpitala Great Victoria i wyszła pospacerować po ulicy, przy której mieszkała, żeby zakosztować beztroskiego świata mrożonych drinków z rumem, mahi mahi i widokówek. Była wtedy na pierwszej randce z Greggiem. „Naprawdę nie znasz Waikiki?” – zapytał ubiegłej jesieni z takim zdumieniem, jak gdyby oświadczyła, że właśnie przyleciała z Marsa. Mieszkała wtedy w pokoju służbowym na terenie szpitala Great Victoria. „Przecież to tylko trzydziestosekundowy spacer na drugą stronę ulicy!”

Postanowił zająć się tym natychmiast i zaplanował wspólny wypad podczas jednej z tych rzadkich okazji, kiedy oboje mieli wolne po całodobowym dyżurze. Ponieważ Mickey panicznie bała się słońca, wyszli dopiero o zmierzchu. I właśnie wtedy Gregg zrobił jej przez zaskoczenie zdjęcie z polaroidu. Goniła go po ciepłym białym piasku obok hotelowych tarasów, z których płynęły dźwięki „Perłowych muszli”. Kolację zjedli w uroczym hotelu Halekulani, którego atmosfera przypominała czasy monarchiczne. Mickey miała wpięty we włosy szkarłatny kwiat hibiskusa. Na parkiecie Gregg podbił ją całkowicie. Prawdopodobnie wtedy doszła do wniosku, że miałyby ochotę się w nim zakochać. A może było to nieco później, podczas kąpieli przy blasku księżycy w oceanie. Woda miała dwadzieścia jeden stopni, była nieruchoma i wręcz sama unosiła Mickey, tak że prawie nie mogła dotknąć stopami piaszczystego dna. Idyllę dzielili z nimi inni nocni pływacy oraz turyści ślizgający się na trimaranach na przybrzeżnej fali, którzy szarpali struny dopiero co kupionych hawajskich gitar i wylewali do Pacyfiku drinki z

kokosowego mleka.

To była jedyna w swoim rodzaju, cenna chwila wykrojona z jej życia, którego treść stanowiła praca, nauka i pośpiech. Mickey zastanawiała się, czy kiedyś jeszcze pozwoli sobie na podobny luksus.

Objęła się ramionami. Spojrzała na tętniący życiem i oświetlony blaskiem neonów świat. Próbowała odsunąć od siebie dręczącą myśl, która wbrew jej woli tak często się nasuwała: „Gdyby tylko Jonathan był tutaj”.

Ostatni raz widziała go w telewizji dokładnie półtora roku temu, gdy odbierał Oscara. Było to wtedy, gdy zdecydowała się na samotną dalszą drogę i ślubowała sobie, że się nie zwiąże z żadnym mężczyzną. I przez jakiś czas udawało się jej wytrwać w tym postanowieniu. Podczas pierwszych gorączkowych tygodni stażu nie było wolnej chwili na zbędne rozmyślenia. Ale potem zaszło coś nieoczekiwanego.

Zdarzyło się to podczas trzymiesięcznej praktyki rotacyjnej na chirurgii, gdy asystowała doktorowi Greggowi Watermanowi przy operacji żyłaków. Ku jej zdumieniu oddał jej kłem i podczas kolejnych etapów zabiegu wziął na siebie rolę asystenta. Gdy trzeba było, pomagał, ale przede wszystkim pozwalał jej pracować samodzielnie. To wydarzenie przepełniło Mickey głębokim poczuciem spełnienia – wykonała swoją pierwszą „prawdziwą” operację – a równocześnie obudziło w niej uczucie, które jej zdaniem zostało uśpione na długi czas.

Spojrzała w roześmiane piwne oczy Gregga Watermana i poczuła znajome ciepło.

Nie był Jonathanem. Wiedziała, że żaden mężczyzna nigdy nim nie będzie. Pielęgnowała związane z nim wspomnienia. A oglądając dokumentalny obraz zatytułowany „Wietnam!” płakała, wiedząc, kto stał po drugiej stronie kamery. Ale była realistką. Dokonała wyboru i trzymając się raz wytyczonego kursu, nie poszła pod zegarową wieżę. Gdy zapowiedziano w telewizji jako szczególne wydarzenie trzygodzinną emisję filmu „Centrum Medyczne!”, Mickey postanowiła nie oglądać go. Należał do przeszłości. A dla niej liczyła się teraźniejszość i Gregg Waterman.

Mickey wierzyła, że z czasem pokocha go równie głęboko, jak Jonathana.

Na salę weszła pielęgniarka.

– Telefonują z izby przyjęć, Mickey. Mają chorą z ostrymi bólami brzucha. Sądzą, że może być niezbędna operacja.

– Dziękuję, Rito. Powiedz im, że zaraz wracam.

Usunęła ostatni szew, zastąpiła go plastrem, podniosła się znad łóżka i ściągnęła rękawice.

– Rana goi się bardzo dobrze, panie Thomas – zwróciła się do mężczyzny. – Sądzę, że już jutro będzie pan mógł wrócić do domu.

Pacjent, rześki stary marynarz o jasnobłękitnych oczach i ogorzałej twarzy, mrugnął do Mickey.

– Jeśli pani będzie nadal moim lekarzem, to wymyślę jakieś powikłania i chętnie zostanę!

Roześmiała się. Opuściła salę i podeszła do najbliższego aparatu telefonicznego.

- Sądzę, że to atak wyrostka – powiedział Erie, stażysta dyżurujący na izbie przyjęć.
- A poziom białych krwinek?
- Jest tylko nieznacznie podwyższony, ale chora ma ostre bóle.
- Dobrze, już idę.

Jako lekarz na drugim roku specjalizacji z chirurgii ogólnej Mickey miała obowiązek zabezpieczać sale przedoperacyjne i pooperacyjne w szpitalu Great Victoria, przyjmować i wypisywać pacjentów, przez cały dzień asystować przy operacjach i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę dyżurować pod telefonem. Oczywiście nie była w stanie sprostać tylu zadaniom naraz, ale program praktyki rotacyjnej na wszystkich oddziałach szpitala przekraczał ludzkie możliwości. Mickey nie oszczędzała się. Uwielbiała praktykę chirurgiczną, która stanowiła wielki postęp w porównaniu z nużącymi i pozbawionymi ludzkich cech dyżurami na stażu. Podobnie jak większość lekarzy wolała wymazać ten rok z pamięci. A teraz była na oddziale chirurgicznym i po raz pierwszy inni zdawali się na jej wiedzę.

Zbiegając na dół do izby przyjęć, chwyciła po drodze jabłko. Nie zdążyła zjeść śniadania, a przypuszczała, że przypadnie jej również obiad i kolacja w związku z rozpoczynającymi się za godzinę operacjami. Praca na chirurgii wymagała większej wytrzymałości niż na innych oddziałach. Nie dalej jak wczoraj Mickey została wyznaczona do resekcji żołądka jako druga asysta doktora Brocka i nic innego nie robiła, tylko trzymała haki. Stała przez pięć trudnych do zniesienia godzin z uchwytami Deavera w zdrętwiałych dłoniach. Stopy wrosły jej w zimną posadzkę, rozboleły ją nogi i czuła rwący ból w plecach. Ale nie śmiała się poruszyć. Brock zakładał skomplikowany szew w głębi brzucha i musiał mieć jak najlepszy dostęp do operacyjnego pola. Popuszczenie o centymetr któregoś z metalowych haków groziło popełnieniem groźnego błędu. Doktor Brock zakończył zabieg w chwili, gdy przeszywał ją ostry ból pomiędzy łopatkami i odczuwała nasilające się zawroty głowy. „W porządku, zamykamy” – powiedział, a Mickey musiała przytrzymać się stołu, żeby nie upaść. Wiedziała, że niektórzy lekarze nauczyli się drzemać w trakcie trzymania haków. Opierali się ciałem z jednej strony o róg stołu, a z drugiej o ekran anestezjologiczny i na kilka minut zamykali oczy. Cud polegał na tym, że ich palce ani na chwilę nie wypuszczały z uścisku instrumentów. Podobnie sypiają ptaki, trzymając « się szponami gałęzi. i „Jak możesz się tym zajmować?” – zapytał kiedyś Mickey *m* stażysta z Four South. „Ja nie potrafiłbym pracować jako chirurg”. Młodzi adepci sztuki medycznej zostali podzieleni na dwie I grupy: na lekarzy zabiegowych i tych, którzy mieli zajmować się leczeniem zachowawczym. Jedni dziwili się drugim. Interniści uważali, że chirurdzy są skorzy do nadużywania noża, a ci z kolei byli zdania, że pracę lekarzy ogólnych cechuje następująca prawidłowość: najpierw są obietnice i pigułki, potem modlitwy, a na końcu sekcja zwłok.

Mickey kochała chirurgię. Nie wyobrażała sobie, żeby mogła pracować gdzie indziej.

– Cześć, Sharla – powiedziała, wchodząc do izby przyjęć. – Gdzie jest moja chora?

Sharla wskazała głową na lewo.

– Leży na trójce. Okrutnie cierpi.

Na początku Mickey wydawało się dziwne, że siostry zwracają się do niej po imieniu, podobnie jak i do innych lekarek, chociaż nigdy nie pozwoliłyby sobie na to wobec mężczyzn.

Mickey zastanawiała się nawet, czy powodem ich zachowania jest lekceważenie, czy też zwykła zazdrość kobiet zajmujących niższe stanowisko w zawodowej hierarchii. Wkrótce jednak zrozumiała, że pielęgniarki dają w ten sposób wyraz swojej kobiecej solidarności i siostrzanym uczuciom w tym zdominowanym przez mężczyzn świecie.

Erie, stażysta, palił papierosa przed salą numer trzy.

– Zgaś to – poleciła Mickey, mijając go i kierując się w stronę drzwi. Nie przepadała za Erikiem Jonesem. Pracował w szpitalu zaledwie od czterech miesięcy, a już był straszliwie zarozumiały. Oświadczył kiedyś, że zamierza zajmować się medycyną dokładnie od dziewiątej do piątej i mieć wolne środy.

W szpitalu St. Catherine's opis choroby i badanie pacjenta zajmowały około dwóch godzin. Studentów medycyny uczono tam, że mają być przesadnie dokładni. Zaczynali zawsze od określenia „głównej dolegliwości” oraz od jej szczegółowej charakterystyki. Potem spisywali historię zdrowia pacjenta od momentu jego narodzin, przez choroby rodziców, rodzeństwa i przodków. Dalszy ustny wywiad miał dostarczyć informacji o funkcjonowaniu organizmu: o pracy serca, nerek, systemu nerwowego, itd. Dopiero na końcu pacjent był poddawany badaniu lekarskiemu. Podczas rocznego stażu Mickey musiała się nauczyć, tak jak wszyscy, przeprowadzać wywiad wstępny w ciągu kilku minut.

Ponieważ Erie opisał już historię choroby pacjentki i przeprowadził badanie wstępne, zadaniem Mickey było zapoznanie się z kartą zdrowia i wykonanie badania specjalistycznego.

Pani Mortimer została przywieziona do szpitala dwie godziny wcześniej przez męża – nieszczęśliwego, wątłego mężczyznę, który dreptał nerwowo po korytarzu przed izbą przyjęć i załamywał ręce. Pacjentka leżała na boku z kolanami podciągniętymi pod klatkę piersiową. Mickey przedstawiła się jej i badając ją, zaczęła zadawać pytania.

– Kiedy to się zaczęło, pani Mortimer?

– Kilka tygodni temu – wysapała kobieta. – Ból przychodził i mijał. Sądziłam, że to gazy. Ale ostatniej nocy złapał mnie naprawdę silny atak. O mało nie zemdlalam.

Mickey przystąpiła do osłuchiwania serca – puls był słaby i szybki. Zauważyła też, że chora przyciska dłoń w miejscu ponad prawą pachwiną.

– Czy w tym okresie zdarzały się wymioty?

– Tak... – Oddech kobiety stał się urywany. – Kilka tygodni temu.

Mickey spojrzała na kartę. Pani Mortimer miała typowe objawy ostrego zapalenia wyrostka. Ale równie dobrze mogły to być symptomy ciąży pozamacicznej. Odczytała dalsze informacje. Erie opisał badanie ginekologiczne, które nie wskazywało na ciążę. Pani Mortimer miała czterdzieści osiem lat.

– Czy pamięta pani termin ostatniej miesiączki? – Chora nieznacznie pokręciła głową.

– Mówiłam już panu doktorowi, który mnie przedtem badał, że nie pamiętam. Weszłam w fazę menopauzy. Od jakiegoś czasu miesiączkowałam bardzo nieregularnie. I odczuwałam fale gorąca. A potem okres zupełnie się zatrzymał. Ojej, jak to boli!

– Natychmiast się tym zajmę. – Przynajmniej Erie tym razem się nie pośpieszył z podawaniem pani Mortimer morfiny. Postąpił tak z pacjentem w ubiegłym tygodniu i zanim Mickey zdążyła go zbadać, objawy ustąpiły i nie można było postawić diagnozy.

– Pani Mortimer, ilekroć trafia do nas kobieta z bólami w tej okolicy brzucha, musimy brać pod uwagę ewentualność ciąży jajowodowej.

Kobieta zaczęła płakać.

– To niemożliwe. Mój mąż i ja... rozumie pani, od dawna... Mickey poprosiła siostrę, żeby została z panią Mortimer, a sama poszła zatelefonować i poprosiła o przywołanie Jaya Sorensena. Był lekarzem na czwartym roku praktyki specjalizacyjnej i do niego należało przeprowadzanie zabiegu. Mickey nie mogła jeszcze operować samodzielnie.

– Jay, sądzę, że czeka nas operacja. Jesteś wolny? – zapytała, gdy usłyszała głos kolegi.

Opisała stan zdrowia pani Mortimer i odpowiedziała na kilka pytań Jaya.

– Pacjentka nie pamięta, kiedy zatrzymał się jej okres. Twierdzi, że kilkakrotnie w ciągu ostatnich tygodni miała krwawienia. Mogły być spowodowane menopauzą. Od dłuższego czasu nie współżyje z mężem. Stwierdziliśmy niewielki wzrost temperatury i nieco podwyższony poziom leukocytów. Ale ból jest bardzo silny i kobieta znajduje się we wstrząsie.

– Przywieź ją na górę. Każę przygotować salę.

Oznaczenie grupy krwi, wykonanie próby krzyżowej i przygotowanie do zabiegu sali operacyjnej wymagało pewnego czasu. A ponieważ anestezjolog nie mógł się jeszcze zająć pacjentką, Mickey postanowiła zostać z panią Mortimer do momentu, kiedy wszystko będzie gotowe. Jak zwykle rano na bloku operacyjnym panowało zamieszanie i ruch. Pacjentka Mickey leżała na wózku i rozglądała się dookoła szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

– Doktor Brown zaraz panią uśpi – uspokajała Mickey, kładąc rękę na ramieniu pani Mortimer. W szpitalu Great Victoria, podobnie jak w St. Catherine's, obowiązywała zasada noszenia masek na bloku, ale chirurdzy w razie potrzeby odstępowali od reguły i gdy mieli do czynienia z dziećmi albo z przestraszonymi pacjentami nie zakrywali twarzy.

Pani Mortimer wyciągnęła spod koca rozpaloną rękę i chwyciła Mickey za nadgarstek.

– Pani doktor – wysapała – to wyrostek, prawda?

– Sądzimy, że tak. Niech się pani nie martwi, pani Mortimer. Będzie panią operował jeden z najlepszych chirurgów.

– Nie o to chodzi. – Uścisk stał się mocniejszy. Pani Mortimer patrzyła na Mickey olbrzymimi oczami. – Myślę o drugiej ewentualności, o której pani wcześniej wspomniała. O ciąży pozamacicznej. Jestem już chyba na to za stara?

Ton głosu pacjentki zaalarmował Mickey.

– Dlaczego ciąża pozamaciczna tak panią niepokoi? – zapytała łagodnie.

W wystraszonych oczach pojawiły się łzy.

– Boję się, pani doktor. Tak strasznie się boję.

Mickey szybko rozejrzała się dookoła, dostrzegła taboret na kółkach przy szafce ze szwami, przystawiła go do wózka i usiadła blisko chorej.

– Czego się pani boi, pani Mortimer? – zapytała cicho.

– To na pewno wyrostek, prawda?

– Chore wyrostki zdarzają się i u dorosłych – wyjaśniała Mickey, starannie dobierając słowa.

– Nieczęsto jednak spotykamy się z tą dolegliwością u kobiet w pani wieku.

– Ale czasami spotykacie się?!

– Czy istnieją jakieś przesłanki, że mimo wszystko może to być inna przypadłość?

Pani Mortimer zwilżyła językiem wyschnięte usta. Nerwowo skubała przykrycie.

– Niech pani nie mówi o tym nikomu, pani doktor. Tak strasznie mi wstyd.

– O co chodzi, pani Mortimer?

– O mojego męża. Jesteśmy małżeństwem od trzydziestu lat i kochamy się z całego serca.

Zawsze byłam mu wierna i oddana. – Odrzuciła do tyłu głowę i utkwiała wzrok w suficie. – Dwa miesiące temu pojechałam na tydzień do mojej siostry, do Kona. I spotkałam tamtego mężczyznę... – Ponownie uniosła głowę i spojrzała na Mickey wzrokiem, w którym kryła się panika. – Nic dla mnie nie znaczył. Nawet nie zapamiętałam jego imienia! Spotkałam go na przyjęciu i... Pani doktor, mój mąż jest cukrzykiem. Miał problemy z... prawidłowym funkcjonowaniem od kilku lat. Powiedziano nam, że nikt nie może nam w tej sprawie pomóc. Bardzo go kocham. Sama nie wiem, dlaczego to zrobiłam. – I załamana, rozplakała się nie na żarty.

Mickey poklepała ją po ramieniu.

– Niech się pani nie martwi, pani Mortimer. Na pewno nie jest pani w ciąży. Przecież doktor Jones jej nie stwierdził podczas badania ginekologicznego.

Pani Mortimer spojrzała na Mickey przez łzy.

– A co to za badanie? Mickey zeszytniała.

– Zanim przyszłam, zajmował się panią na izbie przyjęć młody lekarz – wyjaśniała opanowanym głosem. – Wykonał badanie ginekologiczne, nie pamięta pani?

– W jaki sposób miałyby je przeprowadzić, pani doktor? Przecież nie mogę się nawet wyprostować!

Mickey dostrzegła kątem oka sylwetkę w zielonym fartuchu. To był Jay Sorensen. Zbliżał się do nich, zawiązując maskę.

– Dzień dobry – przywitał się pogodnie. – Nazywam się Sorensen. Będzie pani tutaj pod moją opieką.

– Jay – powiedziała Mickey. – Czy mogłabym zamienić z tobą słowo? – I skinęła głową w stronę umywalni.

– Oczywiście – odparł i odszedł we wskazanym kierunku. Gdy zamierzała ruszyć za nim,

pani Mortimer ponownie chwyciła ją za nadgarstek.

– Jeśli to ciąża pozamaciczna, niech będzie karą dla mnie za to, co zrobiłam, a nie dla mojego męża. Prawda by go zabiła. Proszę mi obiecać, że o niczym mu pani nie powie.

Mickey spojrzała na rękę oplatającą przegub dłoni.

– Będę musiała przedstawić mu stan faktyczny, pani Mortimer.

– Błagam! Niech pani tego nie robi. To go wykończy. Proszę, niech mu pani nie mówi!

Rozdział 19

Historia mniej więcej przedstawia się następująco: Pewnego razu, wiele lat temu, bóg o imieniu Łono postanowił zostać farmerem i przybrał postać człowieka. Ale niechcący uderzył się kilofem w stopę i ciężko się zranił. Wtedy zjawił się Kane, Kane Stwórca, największy z hawajskich bogów, i pokazał Łono, jak ma wyleczyć ranę, robiąc okłady z liści *popolo*. A potem podzielił się z nim swoją wiedzą. Dzięki zapoznaniu się z leczniczymi właściwościami ziół oraz zdobyciu umiejętności opatrywania ran Lonouzdrowiciel stał się patronem przyszłych pokoleń lekarzy.

W miejscu, w którym Kane dokonał cudu, stała świątynia, gdzie z ciał ludzi ułomnych i chorych wypędzano powodujące niemoc złe duchy. Dom kultu był prosty, zbudowany z gałęzi *koa* oraz ze świętego drzewa *ohia*. Jednak z upływem czasu pamięć o bogach przybladła. Wyparły ją światowe prądy nowej ery. W miejscu poświęconym Lonouzdrowicielowi postawiono budynek na cześć nowego boga – medycyny białego człowieka. Początkowo był to mały szpital misyjny ufundowany w 1883 roku przez Brytyjczyków i nazwany pompatycznie szpitalem Great Victoria – Wielkiego Zwycięstwa.

W czasie gdy Mickey zaczęła w nim pracować, okazały pomnik na cześć bogów uzdrowicieli wznosił się z żyznego podłoża Oahu aż na dziesięć pięter. Został zbudowany z betonu i szkła, a jedyną pamiątką z przeszłości był misyjny słoneczny zegar wyryty w konarze olbrzymiego przydrożnego figowego drzewa. Mickey siedziała pod nim na marmurowej ławce, z dala od wybetonowanej ścieżki przebiegającej przez środek nienagannie utrzymanego trawnika. Pogoda była piękna, ale bardzo upalna. Trwał jeden z tych październikowych dni, kiedy przestają wiać pasaty, a lokalne wiatry znacznie podnoszą wilgotność gorącego powietrza.

Mickey cieszyła się nieoczekiwanymi trzydziestoma minutami przerwy pomiędzy operacjami. Usiadła w słońcu i pijąc jogurt, otworzyła list od Sondry, który nosiła przy sobie od trzech dni.

Cześć, Mickey.

Co u Ciebie? Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Ja niestety wciąż mam problemy z przystosowaniem się do nowego środowiska. Podczas ubiegłych sześciu tygodni musiałam zapomnieć o wielu rzeczach, jakich nauczyli mnie w Phoenix. Gdy byłam na stażu, wydawało mi się, że wszyscy nas niemiłosiernie eksploatują i że pracujemy bardzo ciężko. Nie mogłam się doczekać, żeby stamtąd uciec. Ale teraz, gdy patrzę wstecz, widzę, jakie tam wszystko było łatwe. W misji nie mamy rentgena, aparatury do EKG ani podręcznego sprzętu diagnostycznego. Nie ma tu techników laboratoryjnych, którzy by wykonywali dla nas badania. Sami musimy robić analizy i to za pomocą bardzo prymitywnych urządzeń. Wyposażenie naszego laboratorium można określić w najlepszym wypadku jako elementarne! Dysponujemy jednym mikroskopem i jedną wirówką. Osobiście wykonujemy rozmazy; barwimy preparaty i przeprowadzamy analizy

moczu. Sami musimy nawet znakować i krzyżować krew.

Wszystko jest tu rozpaczliwie przeterminowane i przestarzałe. Na uspokojenie podajemy czopki paraldehadowe, pomimo że zostały wycofane z użycia już wiele lat temu. Nigdy przedtem ich nawet nie widziałam. A tam, skąd przybyłam, nasza sala operacyjna zostałaby zamknięta z powodu nieprzestrzegania podstawowych wymogów higieny! Powoli odzwyczajam się od niektórych przyrządów. Muszę zapomnieć na przykład o istnieniu respiratora. Gdy zaleciłam pacjentowi jego użycie, doktor Farrar zapytał, czy mam zamiar wysłać chorego po aparat do Nairobi!

Bez przerwy klócimy się z Derrym. Nie chce zgodzić się na mój wyjazd do buszu, a od chwili przybycia tutaj, to jest od sześciu tygodni, ani razu nie dotknęłam skalpela. A teraz doszły jeszcze problemy z pielęgniarkami. Nie wiedzą, co mają począć z kobietą doktorem. Na ogół nie słuchają moich poleceń. Zwracają się do Aleca albo do Derry'ego z prośbą o ich potwierdzenie. Sytuację utrudnia fakt, że zostały wyszkolone według starego brytyjskiego systemu w Mombasie, który utrwał wyraźne rozgraniczenie klasowe pomiędzy lekarzami a pozostałym personelem szpitala. Na przykład, gdy lekarz wchodzi do pokoju, pielęgniarka ma obowiązek wstać i oddać mu swoje krzesło. Nieufnie odnoszą się do moich prób nawiązania przyjaźni.

Ale i tubylcy, którzy przychodzą się do nas leczyć, nie darzą mnie zaufaniem. Są przyzwyczajeni, że to biały mężczyzna jest uzdrowicielem, a biała kobieta potrafi co najwyżej dobrze zaparzyć herbatę.

Nadal nie wiem, co sądzić o Derrym. Jest spokojnym i zamkniętym w sobie człowiekiem. Nie podejmuje większych wysiłków, żeby czeokolwiek mnie nauczyć. W sprawach medycznych muszę polegać na Alecu MacDonaldzie.

Mickey wyciągnęła zdjęcie z koperty. Scena była jedyna w swoim rodzaju: pięć sztywno stojących postaci w cieniu figowca ze stąpającym dumnie dziwacznym ptakiem na pierwszym planie. Na odwrocie fotografii Sondra napisała:

Od lewej strony – wielebny Sanders, jego żona, ja, Alec MacDonald i Rebecca (siostra z Samburu). Ptak nazywa się Lulu. To czubaty żuraw, który potrafi krzyczeć: „Nonsens!” Zdjęcie zrobił Njangu. Derry odszedł, gdy go poprosiliśmy, żeby się do nas przyłączył.

Mickey wróciła do listu.

Modlimy się o deszcz. Ten rok należy podobno do wyjątkowo suchych i strasznie brakuje nam wody. Dzięki zwierzęta, głównie słonie, nosorożce i bawoły, podchodzą bardzo blisko do zabudowań. A nocami słyszymy polujące w okolicy lwy.

Obawiam się, że za dużo w tym liście utyskiwań. Nie miałam zamiaru się skarżyć. Generalnie jestem bardzo zadowolona i jak zawsze zdecydowana pomagać tutejszym ludziom. Muszę tylko

uzbroić się w cierpliwość, gdyż pełne przystosowanie się do tutejszych warunków potrwa nieco dłużej, niż przewidywałam. Czy masz jakieś wiadomości od Ruth? W ostatnim liście napisała mi, że tym razem spodziewają się bliźniaków! Zastanawiam się, jak ona daje sobie ze wszystkim radę? Na stażu miałam czasami trudności z utrzymaniem się na nogach. A przecież Ruth ma jeszcze na głowie dom, męża i dziecko!

Mickey upuściła list na kolana i utkwiała wzrok w grupie orientalnych pielęgniarek, które siedziały nie opodal na trawie i posilały się.

„Dom, mąż i dziecko” – pewnie nie poświęcałyby temu tematowi wielkiej uwagi, gdyby inni wciąż go nie poruszali. Niejednokrotnie słyszała od pacjentów: „Jest pani mężatką, pani doktor? Nie? Taka piękna dziewczyna jak pani? To prawda, że miło być lekarzem, ale do szczęścia przydałby się jeszcze mąż i dzieci”. Nawet niektóre siostry wyrażały podobną opinię: „Wiesz, Mickey, kiedyś myślałam o studiach medycznych, ale zawsze chciałam mieć rodzinę. A tu cztery lata na medycynie, i to dopiero po czterech latach nauki na uniwersytecie, a do tego rok stażu i praktyka specjalizacyjna, która trwa od roku do sześciu lat. To dobre dla, mężczyzny. Ma w domu żonę, która mu ugotuje i zajmie się wychowaniem dzieci. Ale kobieta nie jest w stanie temu podołać. Dlatego zadowoliliam się dwuletnią szkołą dla pielęgniarek. A teraz mamy z mężem własny dom i trójkę dzieci, których oboje bardzo pragnęliśmy”.

Ruth potrafiła to wszystko pogodzić. Ale za jaką cenę? Jej listy, pisane w czasie kradzionych chwil, zawsze były aż do przesady oszczędne w słowa. Ruth rzadko wspominała w nich o Arnie’m, za to wiele uwagi poświęcała córce Racheli. Czy w ich małżeństwie wszystko się dobrze układało? Mickey przypominała sobie wyraz twarzy Arnie’ego w chwili, gdy Ruth otrzymała dyplom na nazwisko Shapiro.

Złożyła i wsunęła do kieszeni list od Sondry. „Idziemy ścieżkami, które same sobie wytyczyliśmy”.

– Cześć, szukałem ciebie.

Spojrzała w górę, zasłaniając wzrok przed słońcem.

– Cześć, Gregg. Przecież wiesz, że mam dyżur pod telefonem. Mogłeś skorzystać z pagera.

– Spodziewałem się, że cię gdzieś tutaj znajdę. – Usiadł obok niej na ławce. – O czwartej robię biopsję sutka. Możliwe, że skończy się na amputacji piersi. Pomyślałem, że może chciałabyś mi w tym pomóc.

– Nawet nie pytaj! Z największą przyjemnością! Ale uważaj! Zarzucą ci, że mnie faworyzujesz. To będzie trzecia planowa operacja, do jakiej mnie dopuszczasz w tym tygodniu. Parker wciąż wścieka się z powodu tego pęcherza pooparzeniowego.

– A niech się wścieka. Robię to z czysto egoistycznych pobudek. Chcę, żeby moja przyszła partnerka była najlepszym chirurgiem w mieście! Oczywiście zaraz po mnie. – Gregg schylił się, zerwał źdźbło trawy i zwinął je w palcach. – Rozmawiałem kilka minut temu z Jayem Sorensenem. Opowiedział mi o dzisiejszym przypadku ostrych objawów brzusznych.

– Tak, wiem, o czym mówisz – rzekła Mickey, czując, że na nowo ogarnia ją gniew. Natychmiast po operacji zeszła do izby przyjęć i wygarnęła Ericowi Jonesowi, co o nim myśli.

– Być może Nakamura wyrzuci go z tego powodu. To nie pierwsza nieodpowiedzialność Erka, na jakiej został przyłapany. Ale powinnaś najpierw zrobić test ciążowy, Mickey. To rutynowe badanie przy wszystkich podejrzeniach pozamacicznej ciąży.

– Wiem. Zaufałam słowom pacjentki, że nie utrzymywała stosunków seksualnych, i uwierzyłam Ericowi, że przeprowadził badanie ginekologiczne. Nie przyszło mi nawet do głowy, że mógł zmyślić historię choroby, żeby zyskać kilka minut na papierosa i na kawę. Chciałam jak najprędzej zawieźć chorą na chirurgię. Ale to się już więcej nie powtórzy.

Gregg skinął głową. Podobało mu się u Mickey to, że zawsze słuchała uwag i nie obrażała się, co często zdarzało się innym lekarzom.

– Zawsze musisz przestrzegać dwóch zasad: po pierwsze, nigdy nie licz na to, że pacjent powie ci prawdę, a po drugie, nie polegaj na stażystach takich jak Erie Jones i nie zakładaj, że sumiennie wywiązują się ze swoich obowiązków.

– Wiesz, Gregg, pani Mortimer prosiła mnie, żebym nie wyjawiała mężowi prawdy, gdyby się okazało, że to ciąża pozamaciczna. Chciała, żebym go okłamała.

– W takim razie miałaś szczęście, że to był jednak wyrostek. A jak byś postąpiła w odwrotnej sytuacji?

– Sama nie wiem... – Odwróciła się do niego twarzą. – A co ty byś zrobił na moim miejscu? Przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem prędko umknął spojrzeniem w bok.

– Jest pewna sprawa, o której chciałbym z tobą porozmawiać, Mickey.

Wyczuła powagę w jego głosie.

– Co to za sprawa?

Zerwał jeszcze jedno źdźbło i zwinął je w trąbkę.

– Chodzi o Masona. Domaga się twoich przeprosin na piśmie.

Mickey nawet nie drgnęła.

– I co mu powiedziałeś?

– Obiecałem, że dzisiaj po południu na biurku Nakamury znajdzie się podpisane przez ciebie oświadczenie...

– Nie.

– ... w którym przyznasz, iż zachowałeś się niewłaściwie. Mickey kurczowo zacisnęła palce na kolanach.

– Nie podpiszę tego, Gregg. Jeśli chce, spotkam się z nim w gabinecie Nakamury albo stanę przed komisją rozjemczą, którą on sam wybierze. Mogę z nim nawet walczyć na pięści, ale nie przeproszę go!

– Będziesz musiała to zrobić, Mickey! Pomyśl o własnej przyszłości. I o konsekwencjach dla nas obojga, jeśli cię stąd wyrzucą.

– Dla kariery nie poświęcę mojej etyki, Gregg. To ja miałam rację, a on popełnił błąd.

Gregg rzucił wymiętoszone źdźbło na ziemię i zaczął bębnić palcami po kolanie. Wiedział, jak uparta potrafi być Mickey. Niejednokrotnie zdarzało mu się już uderzać głową o mur jej nieustępliwości. Przez chwilę ważył coś w myślach, a potem podrzucił głową i rozjaśnił się w uśmiechu, który zawsze łagodził wszelkie nieporozumienia.

– Wiem, że to zrobisz, Mickey – powiedział lekko. – Nie zawiedziesz mnie. Nie zawiedziesz nas. Pójdę już. Do zobaczenia o czwartej na bloku.

– W porządku, Koko. – Mrugnął do instrumentariuszki Polinezyjki. – Mam nadzieję, że przygotowałaś dzisiaj dla nas ostry skalpel.

Maska na twarzy kobiety naciągnęła się i lekko uniosła w górę, świadcząc o szerokim uśmiechu pod spodem. Wszystkie siostry chętnie asystowały przy operacji doktorowi Greggowi Watermanowi, który był zawsze pogodny, cierpliwy i sprawiedliwy. Lubiły też pracować z doktor Long, gdyż nie była nerwowa ani niezdarna, tak jak inni młodzi lekarze. Nigdy też nie starała się pokryć braku doświadczenia strofowaniem pielęgniarek.

– Poproszę o nóż, Koko – powiedziała cicho Mickey i wyciągnęła prawą dłoń. W lewej trzymała naprężoną skórę sutka.

Nacięcie miało około dwóch centymetrów długości. Mickey pracowała szybko i zręcznie. Znalazła guz i wycięła go tak, żeby jak najmniej uszkodzić otaczającą go tkankę. Gregg wycierał operacyjne pole oraz kauteryzował i tylko raz zmienił pozycję kleszczy Mickey. Jej pozostawił też zadanie zatelefonowania na patologię, a także wybór metody zeszywania skóry. Wiedział, że Mickey potrzebna jest jak największa praktyka dla doskonalenia umiejętności wykonywania szwów kosmetycznych. Pacjentka miała około pięćdziesiątki i cięcie blisko brodawki było prawie niewidoczne. Gdyby to Gregg operował ten przypadek, prędko by założył kilka jedwabnych szwów. Ale Mickey się nie śpieszyła. Pracowała w takim skupieniu, jakby zeszywała twarz filmowej gwiazdy, i używając nylonowej nici, zostawiała niemal niewidoczną, cienką jak włos bliznę.

Mieli czas. Czekali na werdykt patologa, który badał guzek.

– Art zaproponował nam swoją łódź na weekend, gdybyśmy mieli ochotę z niej skorzystać – powiedział Gregg, wycierając skórę, którą zszywała Mickey. – Obiecał, że zostawi w domu klucz do basenu portowego. – Art był ortopedą, który rok temu zrobił specjalizację. Mieszkał teraz w kondominium w Kona i zarabiał fantastyczne pieniądze na leczeniu kontuzji narciarzy wodnych, pletwonurków i amatorów wspinaczek po zboczach wulkanu.

Mickey nie odpowiedziała. Na ogół chirurdzy stawali się rozmowni w trakcie operacji, gdy pacjent leżał uśpiony na stole. Rozprawiali o wszystkim: od akcji i obligacji po wyniki w golfie oraz własne osiągnięcia w łóżku. Mickey wołała jednak milczenie.

Zawsze pracowała w skupieniu i tam, gdzie to tylko było możliwe, zamiast szczypców Kellys używała małych, delikatnych narzędzi. Jej długie i szczupłe palce ostrożnie obchodziły się z wrażliwą tkanką. Gregg obserwując ją, pęczniał z dumy. Szesnaście miesięcy temu przybyła do szpitala Great Victoria całkiem zielona i w tak krótkim czasie zdołała opanować każdą nowo

poznaną technikę. Chłoneła wiedzę jak gąbka. Nic nie uchodziło jej uwagi. Zawsze pragnęła jak najwięcej zobaczyć. W przeciwieństwie do innych jej zainteresowanie nigdy nie słabło i z radością wykorzystywała każdą okazję, żeby się czegoś nauczyć. Zapowiadała się na pierwszorzędnego chirurga. Pracując razem, mogli stworzyć świetny zespół.

W chwili gdy Mickey zakładała na ranę sterylny opatrunek, na salę wszedł doktor Yamamoto, powłócząc stopami w papierowych ochronnych butach. Tak jak wszyscy czasowo przebywający na bloku, miał na cywilnym ubraniu papierowy uniform. Włożył go, gdy zatelefonowano po niego z patologii, żeby zbadał pobraną próbkę tkanki. Niósł w dłoni tampon z gazy, a na nim wycinek guza sutka.

– Zrobione, Gregg – powiedział, zbliżając się do stołu na dozwoloną odległość. – Jest to rak zrazikowy.

– A więc tzw. rak minimalny.

– W jakim wieku jest pacjentka?

– Ma pięćdziesiąt sześć lat. Co byś zrobiła, Mickey? Zamyśliła się na chwilę. Za jej plecami doktor Yamamoto podał zamrożoną tkankę siostrze, która wrzuciła ją do słoja z formaliną. – Amputowałabym pierś – oświadczyła Mickey – i na wszelki wypadek zrobiłabym biopsję po drugiej stronie. Gregg skinął głową.

– A więc do roboty!

Przygotowania nie trwały długo. Obie siostry brały pod uwagę możliwość wycięcia gruczołu piersiowego. W czasie gdy wywoziły jeden zestaw instrumentów i odkrywały następny, lekarze wkładali czyste fartuchy oraz rękawice i na nowo zabezpieczali operacyjne pole. Po chwili zespół ponownie zebrał się przy stole. Serwety były świeże, narzędzia błyszcząły, a żółta od betadyny i wystająca ponad otworem w zewnętrznej chuście pierś delikatnie unosiła się w oddechu. Gregg spojrzął na stojącą naprzeciwko Mickey.

– Czy miałaby pani ochotę to zrobić, pani doktor?

– Jeśli mi pan pozwoli.

– Koko, proszę podać skalpel doktor Long.

Yvettes siostra, która nie uczestniczyła bezpośrednio w operacji, cicho jęknęła i wyciągnęła z kieszeni fartucha krzyżówkę. Gdy któryś ze specjalizujących się lekarzy wykonywał zabieg, nawet jeśli była to doktor Long, zawsze trwało to dwa albo trzy razy dłużej niż zwykle. Na tym polegała jedna z ujemnych stron pracy w klinice. Doktor Scadudo za ekranem anestezjologicznym wsunął kasetę do magnetofonu.

Mickey przytknęła skalpel odwrotną stroną do skóry i przesunęła trzonkiem wokół piersi, wzdłuż linii zamierzonego cięcia. Przez moment przyglądała się niewidocznej kresce, upewniając się co do anatomii, a potem odwróciła skalpel ostrzem w dół.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał Gregg.

Mickey podniosła wzrok.

– Poprzeczne cięcie na wysokości czwartego zębra.

– Dlaczego?

– Ponieważ w tym miejscu blizna nie będzie widoczna.

– Gdzie się tego nauczyłaś?

– W ubiegłym tygodniu asystowałam doktorowi Kellerowi. Pokazał mi, jak to się robi.

Usuniemy możliwie jak najwięcej tkanki...

– Pamiętam ten przypadek. Pacjentka miała trzydzieści pięć lat i dużo wcześniej powiedziała Kellerowi, że ma zamiar poddać się zabiegowi zrekonstruowania piersi. Nasza pacjentka jest po pięćdziesiątce, Mickey. Nie musimy zwracać sobie głowy kosmetyką.

– Zwykle cięcie pozostawi bliznę, której nie zakryje kostium kąpielowy. A jeśli pacjentka zdecyduje się kiedyś na rekonstrukcję piersi, zabieg z blizną po tradycyjnym cięciu będzie o wiele trudniejszy.

– W jej wieku? Silikonowa pierś? Bardzo wątpię! Zostańmy przy cięciu mieczykowatym, Mickey. Teraz masz nauczyć się chirurgii ogólnej. Zachowaj swoje artystyczne zapędy na praktykę z chirurgii plastycznej.

Spojrzała na niego zdziwiona, a potem wzduszyła ramionami i wykonała tradycyjne cięcie do zwykłej operacji usunięcia gruczołu piersiowego. „Jeszcze nadejdzie mój dzień” – zapewniała się w myślach. „Jeszcze nadejdzie...”

– Pójdę porozmawiać z mężem – powiedział Gregg, zdejmując wilgotny fartuch i rękawice. – Spotkamy się za pół godziny w kawiarni.

Mickey zajęta wypisywaniem zleceń w karcie pacjentki w roztargnieniu skinęła głową. Sekundę później oderwała wzrok od zapisków.

– Co takiego?

Ale Gregg opuścił już salę. Wybiegła za nim na korytarz.

– Dlaczego w kawiarni? Czekają na mnie pacjenci, Gregg. – Dostrzegła teraz w jego oczach to, czego przez trzy godziny nie zauważała, pochłonięta operacją.

– Musimy porozmawiać, Mickey.

– Nie ma o czym. – Spojrzała na zegar wiszący na wyłożonej zieloną glazurą ścianie. – Minęła siódma. Nakamura już wie, że nie otrzyma ode mnie listu.

Gregg rozejrzał się po korytarzu, na którym z wyjątkiem dwóch sprzątaczek nie było nikogo. Wziął pod ramię Mickey i odciągnął ją od drzwi. Nie chciał, żeby ich rozmowę usłyszały pielęgniarki, które przygotowywały pacjentkę do wywiezienia z sali operacyjnej. Podprowadził Mickey do niszy, gdzie przechowywano nici i klamry do zszywania skóry.

– Nakamura otrzymał list – powiedział cicho. Mickey ze zdumienia zamrugła oczami.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Sprawa zakończona. Możesz się odprężyć i o wszystkim zapomnieć.

– Nie rozumiem... – Ciałem Mickey wstrząsnął dreszcz. Zesztywniała. – Ty go napisałeś?! –

wyszeptała.

– Musiałem, Mickey. Wiedziałem, że nigdy się na to nie zdobędziesz.

– Och, Gregg! – Wyrwała mu się. Przebiegła trzy kroki i z powrotem odwróciła się w jego stronę. – To najpotworniejsza rzecz, jaką mogłeś mi zrobić!

– Jeszcze kiedyś mi za to podziękujesz. Zobaczysz. Spojrzysz na to z perspektywy czasu, gdy będziemy już mieli wspólną praktykę, i zrozumiesz, przed czym cię uchroniłem...

– Nie miałeś prawa!

Gregg rzucił okiem w stronę sprzątaczek, które przyglądały się im ukradkiem.

– Do diabła, Mickey! Martwiłem się. I to nie tylko o ciebie, ale o nas. Szkoda, że nie możesz tego zrozumieć. Jak sądzisz, do którego szpitala by cię przyjęli na praktykę specjalizacyjną, gdyby Nakamura cię stąd wyrzucił? Przestań myśleć tylko o sobie i tych swoich cholernych zasadach! – Podniósł rękę. – Nie wywyższaj się i nie rób ze mnie łajdaka. Sama napytałaś sobie biedy. Nie próbuj też przekonywać mnie ani całego świata, że ty jedna kierujesz się w życiu zasadami etyki!

Jego podniesiony głos odbił się po korytarzu głośnym echem. W drzwiach sali pooperacyjnej pojawiło się kilka zaciekawionych twarzy. Mickey usiłowała powstrzymać drżenie, ale im usilniej starała się opanować, tym bardziej się cała trzęsła. Minęła dobra chwila, zanim zdołała przemówić.

– Wiem, dlaczego tak bardzo zależało ci na tym, żebym przeprosiła Masona, Gregg – powiedziała bezbarwnym głosem, w którym kryło się rozgoryczenie. – Nie miało to nic wspólnego z troską o moją reputację, ale o twoją.

– O moją! – Gregg roześmiał się z przymusem, przestępując z nogi na nogę. – O czym ty, u diabła, mówisz?

– Bałeś się, co Nakamura pomyśli o szefie, który nie potrafi nakłonić lekarza na drugim roku specjalizacji, żeby przestrzegał jego poleceń. To nie o moją opinię ani karierę martwiłeś się, Gregg... ale o swoją.

Odwróciła się i odeszła pewnym krokiem, zostawiając oszołomionego Gregga, który patrzył w ślad za nią.

Mickey stała przy otwartym oknie w pokoju lekarskim. Przyglądała się pociemniałemu niebu o intensywnym odcieniu purpury, wdychała unoszącą się w słonym powietrzu woń kwiatów oraz pieczonego mięsa i przysłuchiwała się dobiegającym z otwartych okien na ulicy dźwiękom muzyki i śmiechu. Sceneria była przepiękna, wprost fantastyczna, ale Mickey jej nienawidziła.

Opierała się o framugę okna. Skrzyżowała ręce na piersi. Miała kredowobiałą twarz. W jej zielonych oczach płonąła złość, a z zaciśniętych ust zupełnie odpłynęła krew. Gregg nie miał prawa tego zrobić. Jego postępek był niewybaczalny. Zdradził ją i dalsze wspólne życie nie wchodziło w rachubę. Ani przyjaźń. Nawet ich stosunki służbowe musiały na tym ucierpieć, teraz gdy wkradły się w nie podejrziwość i brak zaufania.

Mickey poczuła się nagle bardzo zmęczona. Dokuczał jej pulsujący ból w nogach, a z głodu

burczało w brzuchu. Spojrzała na zegarek. Uświadomiła sobie, że z wyjątkiem półgodzinnej przerwy w południe, którą spędziła na ławce pijąc jogurt i czytając list od Sondry, prawie od dwudziestu czterech godzin była na nogach.

Wczoraj wieczorem musiała przerwać kolację z Greggiem i pójść na pediatrię, żeby założyć cewnik choremu na białaczkę dziecku. Natychmiast potem zatelefonowano z izby przyjęć i wezwano ją do pacjenta z poparzeniami. Wkrótce okazało się, że cewnik przecieka, więc z powrotem pobiegła na oddział pediatryczny. Na mocowaniu się z cewnikiem upłynęła jej prawie cała noc. Dwie pielęgniarki trzymały rozhisteryzowane dziecko, a Mickey toczyła boje z delikatnymi żyłami i krwią o barwie mleka. Tuż przed świtem pacjentowi z trzeciego piętra, który leżał na sali pooperacyjnej, zropiała rana i natychmiast trzeba go było przewieźć na chirurgię. Przed porannym obchodem Mickey zdołała tylko wziąć prysznic i wypić kawę, gdy wezwano ją na izbę przyjęć do pani Mortimer.

Upłynęła niemal doba od czasu, gdy siedziała przy kolacji z Greggiem i spierała się z nim na temat Masona; gorączkowe i absurdalne dwadzieścia cztery godziny, wobec których trzydzieści odmierzonych przez słoneczny zegar minut znaczyło tak niewiele, jak gdyby nie było ich wcale.

Odsunęła się od okna. Usiadła na kanapie i zanurzyła twarz w dłoniach.

Przebywała w pokoju lekarskim na trzecim piętrze, gdyż miała dyżur i nie mogła oddalać się od telefonu. Za chwilę musiała zbadać na oddziale obok trzydziestu dwóch pacjentów po operacji, założyć trzydzieści dwa opatrunki, usunąć szwy, zaordynować lekarstwa i wypisać karty zdrowia. Na wizytę pogodnie uśmiechniętej Mickey czekało trzydziestu dwóch zaniepokojonych i obolałych chorych.

Z gardła wyrwało się jej łkanie. Nie była w stanie tego zrobić. Nie mogła się teraz z nimi spotkać. Cicho płacząc z twarzą ukrytą w dłoniach, słyszała dobiegające zza zamkniętych drzwi odgłosy na korytarzu – szelest wózków, piszczenie gumowych podeszew na linoleum oraz gwar rozmów przechodzących obok ludzi. Poddała się już kiedyś stanowi apatii i znużeniu. Pozwoliła sobie na moment słabości i łzy. Ale wtedy nie chciała, żeby ktoś ją na tym przyłapał. A teraz było jej to zupełnie obojętne. Miała ochotę płakać długo i głośno, żeby wyrzucić z siebie cały żal, a potem przespać cały tydzień. Marzyła o tym, żeby opuścić mury szpitalnego więzienia i uciec od trzydziestu dwóch pacjentów, którzy liczyli na to, że opatrzy ich rany i doda im otuchy. I którym nigdy nie przyszło na myśl, że lekarz czasami też może potrzebować odrobiny ciepła i zrozumienia.

Nagle poczuła się urażona. Miała ludziom za złe ich choroby i to, że całkowicie byli od niej uzależnieni. Nienawidziła szpitala Great Victoria, tak jak nie cierpiała Gregga, Jaya Sorensena i Sharli z izby przyjęć. Jak oni mogli to znosić?! Jak mogli przychodzić tutaj dzień po dniu, żyć bez przerwy w sztucznym świetle, oddychać sztucznym powietrzem i niczym technicy w fabryce robotów naprawiać nie kończące się taśmy montażowe uszkodzonych ciał? Czy taka praca mogła dawać jakąś satysfakcję? A gdzie podziała się godność zawodu lekarza?

„Jeszcze pięć lat takiego życia!” – rozżaliła się. Cichy płacz przeszedł w szloch. Łkała już

teraz otwarcie. Jej spazmy prawdopodobnie były słyszalne na korytarzu, ale nadal się tym nie przejmowała. „Niech usłyszą! Niech się dowiedzą, że nie jestem maszyną!” Szesnastomiesięczny pobyt w szpitalu Great Victoria stłumił w niej naturalne odruchy i zrobił z niej takie właśnie zimne, wydajne i bezduszne mechaniczne urządzenie. Dwunastomiesięczny staż wybił jej z głowy bezużyteczny sentymentalizm, nauczył ją, że śmierć należy uważać za kliniczną fazę choroby i odzwyczaił od nawyku przywiązywania się do pacjenta, którego trzeba tylko postrzegać jako kolejny „przypadek”.

„Gdy zrobię specjalizację, będę miała trzydzieści jeden lat” – uświadomiła sobie nagle.

Na biurku zadzwonił telefon. Mickey spojrzała w jego stronę. Przez ułamek sekundy buntowała się i krzyczała w myślach: „Zostawcie mnie w spokoju!” Ale zaraz wyciągnęła z kieszeni chustkę, otarła łzy i podniosła słuchawkę.

– Czy rozmawiam z doktor Long? – usłyszała zaniepokojony głos. – Mówi Karen z pediatrii. Mamy nagły wypadek.

– Co się stało?

– Krwotok po usunięciu migdałków.

– Który ze stażystów ma dzisiaj dyżur?

– Toby Abrams. Kazał mi po panią zadzwonić. Natychmiast jest nam potrzebna pani pomoc.

Mickey odłożyła słuchawkę i odruchowo skierowała się do wyjścia. Szła, gdyż tak była zaprogramowana. Poruszała się w sposób, w jaki ją nauczono. Ale wewnątrz czuła tylko pustkę i chłód.

Na oddziale pediatrycznym panowało istne piekło. Na korytarzu personel szpitalny uspokajał rozhisteryzowaną kobietę, a na sali chorych dwie pielęgniarki i stażysta przytrzymywali dziecko. Łóżko, pościel i podłoga były zbroczone świeżą krwią. Mickey pośpiesznie podeszła do leżącej na boku dziewczynki.

– Co się stało? – zapytała.

Toby, stażysta, odwrócił w stronę Mickey pobladłą twarz. Miał przemoczony od krwi i potu kitel. Jedną ręką obejmował przegub dłoni dziecka, zabezpieczając igłą kroplówkę.

– To pacjentka Bernie’ego Blackbridge’a. Dzisiaj po południu przeszła zabieg usunięcia migdałków. Czuła się dobrze, aż tu nagle, jakąś godzinę temu, zaczęła wymiotować krwią i znalazła się we wstrząsie. Pobrałem krew do oznakowania grupy i do próby krzyżowej. Usiłowałem też uruchomić kroplówkę. Ale dziewczynka nie chciała leżeć nieruchomo, a jej żyły są takie drobne...

Mickey zbadała źrenice dziecka i zajrzała do gardła, pomagając sobie światłem latarki laryngologicznej.

– Nie mogliśmy jej w trójkę utrzymać – powiedział smutnym głosem stażysta. – A gdy udało mi się trafić w żyłę, dziewczynka ponownie zwymiotowała krwią. Zaczęliśmy jej przetaczać

krw, ale...

– Do diabła, Toby – przerwała mu Mickey, zrywając się z łóżka. – Dziecku trzeba założyć tylko kilka szwów, to wszystko. Telefonowałeś do doktora Blackbridge’a?

– Jego żona powiedziała, że nie dotarł jeszcze do domu, ale gdy tylko się zjawi, natychmiast wyśle go z powrotem do szpitala.

– Próbowaliście skontaktować się z doktorem Watermanem? – zwróciła się do pielęgniarek.

– Jest zajęty na bloku porodowym przy cesarskim cięciu.

– W takim razie odszukajcie Jaya Sorensena. Albo jakiegokolwiek lekarza z chirurgii. I natychmiast zawieźcie dziecko na blok operacyjny!

Zanim zdążyła się przebrać z poplamionego krwią szpitalnego uniformu i wziąć prysznic, zrobiła się północ. I chociaż to może wydawać się dziwne, ale nie odczuwała zmęczenia. Zatelefonowała na trzecie piętro. Obiecała, że zrobi obchód najszybciej, jak tylko to będzie możliwe, i wróciła na pediatrię, żeby sprawdzić stan zdrowia matki dziecka, której zaaplikowała środek uspokajający. Gdy przysłała na oddział, kobieta spała w gabinecie stażystów.

W pokoju lekarskim zastała świeżo zaparzoną kawę, sok pomarańczowy, pączki, owoce i wędlinę w lodówce. Wszystko przyniesiono przed chwilą z kuchni dla nocnej zmiany. Mickey nałapała sobie filiżankę obfitej w śmietankę kawy, usiadła wygodnie na krześle z winylu i metodycznie zaczęła wycierać jabłko o klapę swojej nieskazitelnie białej marynarki.

Dziwne. Odczuwała znużenie, ale nie takie jak przedtem, gdy już była gotowa się poddać. Ten rodzaj zmęczenia niemal dodawał jej sił. Mickey od wielu dni nie była w tak dobrym nastroju jak teraz.

W otwartych drzwiach pojawiła się zachmurzona twarz Toby’ego.

– Mogę wejść? – zapytał.

– Oczywiście. Chodź. W lodówce znajdziesz wspaniałe salami.

Ale Toby pokręcił głową i usiadł na brzegu kanapy. Miał minę winowajcy.

– Strasznie ci dziękuję, że uratowałaś tego dzieciaka, Mickey. W ten sposób i mnie ocaliłaś życie.

– W pracy lekarza wszystko się może zdarzyć, Toby.

Pokręcił głową. Toby Abrams przypominał wyglądem niedźwiedzia. Był zarośnięty. Miał wielkie ręce i dobroduszne usposobienie świętego Bernarda. Wszyscy lubili Toby’ego.

– Niemal nie zabiłem tego dziecka, Mickey. Popeliłem straszliwy błąd. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Dostrzegła smutny wyraz jego oczu i opuszczone ramiona. Odstawiła filiżankę, odłożyła jabłko i opierając się łokciami o kolana, pochyliła się do przodu.

– Toby – powiedziała cicho – dopiero cztery miesiące temu skończyłeś studia. Nikt nie oczekuje od ciebie, że od razu wszystko będziesz wiedział.

– Dziewczynce trzeba było założyć tylko kilka szwów. A ja się nie domyśliłem. Przez godzinę zachowywałem się jak głupiec, podczas gdy ona krwawiła do żołądka. Powinienem być od razu po ciebie zatelefonować.

– Właśnie w ten sposób uczymy się naszego zawodu, Toby. Teraz już będziesz wiedział, jak zachować się w podobnej sytuacji. Nigdy tego nie zapomnisz.

Spojrzał na nią pustym wzrokiem.

– A co będzie następnym razem? Gdy popełnię kolejny błąd? Jestem przerażony, Mickey. Ten dzieciak naprawdę mnie wystraszył.

W jego oczach czaił się lęk. Mickey widywała to często i nauczyła się nieomylnie rozpoznawać, zarówno w swoim wzroku, jak i w spojrzeniach innych ludzi. Nagle przypomniała sobie Jordana Plummera, stażystę, który przybył do szpitala Great Victoria w tym samym czasie, co ona: oddanego pracy, ambitnego, sumiennego i przepojonego idealistycznymi zasadami młodego człowieka. Jakiś rok temu Jordan Plummer w ramach praktyki rotacyjnej podjął pracę na oddziale internistycznym i przyjął do szpitala starszego pana, który miał poważne trudności z oddychaniem. Sądząc, że mężczyzna ma atak serca, zrobił mu zastrzyk z morfiny. Wkrótce potem pacjent zmarł. Sekcja zwłok wykazała, że człowiek ten miał ostry, powodujący duszności bronchit, a morfina całkowicie zatrzymała i tak już ograniczony odruch oddechowy. I chociaż jedyną poniesioną przez Jordana konsekwencją była ostra nagana ordynatora interny, gdyż w gruncie rzeczy chłopak był tylko niedoświadczonym stażystą i działał zgodnie z postawioną diagnozą, to nigdy nie zdołał przejść nad ową tragedią do porządku dziennego i sześć tygodni później popełnił samobójstwo.

A teraz w twarzy Toby'ego był cień Jordana Plummera.

– Toby – zwróciła się do młodego człowieka łagodnym tonem. – Jesteś dobrym lekarzem, prawdopodobnie najlepszym z naszych stażystów. Nie pozwól, żeby jedna niewłaściwa diagnoza miała zaważyć na całym twoim życiu. Posłuchaj – przesunęła się na krawędź krzesła i złożyła dłonie – w zeszłym roku ja też popełniłam kilka błędów, w tym jeden poważny, z powodu którego o mało się nie załamałam. Zdarzyło się to na tym oddziale. Chodziło o małego Richarda Greya. Nigdy nie zapomnę tego ślicznego szesnastomiesięcznego bobasa o wyglądzie cherubina. Został przywieziony do nas z trwającą od kilku dni ostrą biegunką. Był odwodniony i znajdował się w stanie śpiączki. Bardzo starannie zajęłam się tym przypadkiem. Dokładnie obliczyłam poziom elektrolitu, skrupulatnie odmierzyłam ilość wody i soli potrzebną do jego otrzymania, a potem podłączyłam kroplówkę. Na początku nastąpiła pewna poprawa w stanie zdrowia dziecka, dlatego kontynuowałam podawanie płynu. Ale następnego dnia chłopiec dostał konwulsji. Próbowałam wszystkiego – zaordynowałam glikonian wapniowy i stężony roztwór chlorku sodu, ale nic nie skutkowało. Wezwałam Jerry'ego Smitha, który w tamtym czasie był moim szefem. Rzucił tylko okiem na dziecko oraz na kartę zleceń i zwymyślał mnie za to, że spowodowałam niewydolność krążenia.

Okazało się, że podwoiłam objętość płynów w małym organizmie dziecka. Jerry odłączył

kroplówkę, zrobił chłopcu zastrzyk i po chwili stan małego Richarda Greya zaczął się polepszać. Ale do nieszczęścia niewiele brakowało, bardzo niewiele, Toby. I to tylko z powodu mojej niewiedzy.

Umilkła i przyglądała się twarzy stażysty. Zdawał się jej nie słuchać. A po chwili zaczął się nerwowo wiercić.

– Mam dość, Mickey! Nie nadaję się do tego zawodu. Lekarzowi potrzebny jest kręgosłup ze stali, mięśnie z galwanizowanej gumy i absolutny brak nerwów. Nie mówiąc już o braku serca. Rozplakałem się, gdy zabrałaś dziewczynkę na salę operacyjną. Przyszedłem tutaj, usiadłem i rozbeczałem się jak dzieciak.

Gdy pociągnął nosem i uderzył się dłonią w policzek, Mickey wstała, podeszła do niego, usiadła obok na kanapie i objęła ramieniem jego szerokie bary.

– Kiedy ostatnio spałeś, Toby?

– A jaki dzień dzisiaj mamy? Mickey roześmiała się cicho.

– Rozumiem. Nie sypiasz od marca, żyjesz tylko na andrutach i chcąc pomóc dziecku omal go dzisiaj nie zabiłeś. Uczciwie zasłużyłeś na to, żeby się trochę nad sobą poużalać.

Zaprzeczył stanowczym ruchem głowy.

– Nie chodzi tylko o dziecko, Mickey, ale o wszystko. – I olbrzymimi dłońmi wykonał szeroki gest, jak gdyby chciał zawrzeć w nim szpital, wiedzę medyczną i cały świat. – Czy wiesz, jak często widuję się z moją żoną? Co drugi weekend, jeśli dopisze mi szczęście. Ale wtedy jestem zbyt zmęczony, żeby cokolwiek robić. Przez cały czas tylko śpię. Takie życie jest wbrew naturze, Mickey. Trzydzieści godzin na nogach, i to w nieustannym napięciu, sporadyczne drzemki na szpitalnym łóżku i przetykane w biegu jedzenie, które nawinie się pod rękę. Nie mówiąc już o obowiązku panowania nad całym oddziałem pełnym pacjentów i o podejmowaniu słusznych decyzji. Nawet w snach biegnę dokądś korytarzem; budzę się wyczerpany i wymięty. Nie, Mickey – potrząsnął swoją dużą głową – nie dam rady.

Przyglądała mu się. Analizowała każdy rys jego zrezygnowanej twarzy, każde świadczące o przygnębieniu pochylenie ciała. Zrozumiała, że oto ma przed sobą nową wersję siebie samej sprzed chwili. „Po szpitalu krąży wirus. Niedawno zaatakował mnie, a teraz Toby’ego. Wkrótce zarazi kolejną ofiarę”.

Zaledwie trzy godziny temu Mickey siedziała w identycznej pozie i myślała o tym samym: „Nie wytrzymam już dłużej”. Ale na sali operacyjnej otrząsnęła się ze stanu depresji, z ponurego nastroju i z marazmu, a z chwilą założenia pojedynczego szwu znowu dostrzegła cel w życiu, który na moment umknął z pola widzenia – potrzebę oddania się pracy.

Wszystko minęło. Wystarczyło delikatne przypomnienie, prztyczek w nos wymierzony zdrowemu rozsądkowi i uczucie zniechęcenia zniknęło. Gdy Mickey kończyła zszywać, na salę operacyjną wszedł Bernie Blackbridge. „Dzięki Bogu, że się tym zajęłaś” – powiedział. „Niecześnie spada któryś z założonych przeze mnie szwów, ale to zawsze może się zdarzyć... „ Mickey uporała się z tym sama. Jay Sorensen operował w sali obok jakiś nagły przypadek, a na

oddziale nie można było znaleźć innego wolnego chirurga. Dlatego Mickey zdecydowała się zrobić to samodzielnie. A potem, na pediatrii, zapewniła matkę, że dziecko będzie zdrowe. Miała ochotę wspiąć się na dach i krzyknąć na całe Honolulu, że dziewczynka wyzdrowieje!

– Jak ty to wytrzymujesz, Mickey? – zapytał Toby, zaciskając pięści. – Jak możesz przychodzić tutaj dzień po dniu i pracować jak robot? To wszystko jest bezsensowne!

– Nie masz racji, Toby, i dobrze o tym wiesz. Wyobraź sobie wagę, atrybut Sprawiedliwości. Na jednej szali połóż wszystkie swoje sukcesy, a na drugiej niepowodzenia. Która z nich przechyli się na dół?

– To niefortunne porównanie, Mickey. Jeden tragiczny błąd przeważa sto powodzeń.

– Mylisz się. Ponieważ każdy sukces, jaki osiągasz w tym szpitalu, jest potencjalnym niepowodzeniem.

– Mówisz jak doktor Shimada.

– Mianowicie?

– Radzi, żeby nie liczyć pacjentów, których uratowaliśmy, ale tych, których udało się nam nie zabić. – Toby zaśmiał się krótko i oschle, ale zaraz się wyprostował. – Nie zniosę dalszych ośmiu miesięcy takiego życia, Mickey. Do lipca jest cholernie daleko.

– W porządku, wycofaj się. Ale jedno jest pewne, lipiec i tak nadejdzie za osiem miesięcy, bez względu na to czy wytrwasz tu, czy nie.

Cofnęła rękę, oparła się plecami o kanapę i usłyszała echo własnych wcześniejszych rozważań: „Gdy zrobię specjalizację, będę miała trzydzieści jeden lat”. W tej chwili jednak odpowiedziała sobie: „Ale jeśli teraz zrezygnuję, to wcale nie będę przez to za pięć lat młodsza”.

Drzwi się otworzyły i do pokoju zajrzała pielęgniarka.

– Doktor Abrams? Szukamy pana. Trzeba zrobić nakłucie lędźwiowe niemowlęciu.

Stażysta podniósł się z miejsca, starając się pobudzić swoje ogromne ciało do życia.

– To zwykłe zmęczenie – stwierdził, wyprostowując się. – Zawsze staję się nieznośny, ilekroć ominie mnie poobiednia drzemka.

– Jesteś dobrym lekarzem, Toby. Traktuj ten szpital jako poligon doświadczalny. A gdy przebrniesz przez ćwiczenia, świat medyczny zyska w twojej osobie prawdziwą podporę.

Uśmiechnął się do Mickey i wyszedł z pokoju, powłócząc nogami.

Wróciła do swojej kawy i pomyślała o Greggu. W dniu, w którym go spotkała, znajdowała się dokładnie w tym samym punkcie, co dzisiaj Toby. Czuła się niepotrzebna i nie na miejscu. Zastanawiała się, czy zdoła wytrwać w swoich postanowieniach. Sposób, w jaki Gregg wtedy spojrział na nią, przypomniawszy jej, że wciąż jest atrakcyjną i młodą kobietą. Rzuciła mu się w ramiona: po trosze z wdzięczności, po trosze dlatego, że wydał się jej interesujący. Niezbyt pewna podstawa, żeby myśleć o budowaniu życiowego związku. Jej kruchość potwierdziło dwanaście kolejnych miesięcy, w czasie których Mickey bezskutecznie próbowała się w Greggu zakochać.

Gdy rozległ się sygnał telefonu, Mickey z odrodzoną energią sięgnęła po słuchawkę. Miała

wolny nadchodzący weekend. Postanowiła wykorzystać cenny czas i wprowadzić się z powrotem do służbowego pokoju na terenie szpitala, a potem zastanowić się nad kupnem używanego samochodu. Mogłaby jeździć w wolnych chwilach na wycieczki i spenetrować Zatokę Waimea po drugiej stronie wyspy. Mogłaby zaprosić kiedyś na wspólną wyprawę Toby'ego z żoną i zorganizować piknik. Mogłaby oddychać pełnymi płucami i cieszyć się bezgraniczną przestrzenią...

– Mickey – dobiegł ze słuchawki głos pielęgniarki z izby przyjęć. – Przed chwilą przywieziono pana Johnsona, którego, wypisałaś ze szpitala dwa tygodnie temu i któremu Mason częściowo wyciął żołądek. Ma ostre bóle brzucha i znajduje się we wstrząsie...

Mickey chwyciła drugie jabłko i wybiegła z pokoju lekarskiego.

Rozdział 20

Nastał nowy słoneczny styczniowy dzień. Derry Farrar wyszedł ze swojej chaty i z typowym dla siebie cynizmem zmierzył wzrokiem panujący na podwórzu rozgardiasz. Przygotowania do wyprawy miały się już ku końcowi.

Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów „Crown Bird”, zapalił jednego, zaciągnął się dwa razy, a potem rzucił go na ziemię i rozdeptał butem. Spojrzał w stronę sąsiedniego domu. Drzwi były nadal zamknięte.

Zapalił następnego papierosa. Przestrzeń wokół jego głowy wypełniła się błękitnym dymem o gryzącym zapachu. Derry myślał o Sondrze Mallone.

Chciała jechać na safari. Właśnie udział Sondry w zaplanowanym objeździe stał się powodem ich wczorajszej kłótni. Bardzo nalegała, żeby ją ze sobą zabrał. Ale zdaniem Derry’ego było na to za wcześnie. Często dochodziło pomiędzy nimi do spięć w ciągu ostatnich czterech miesięcy, czyli od dnia jej przyjazdu, kiedy to urzędnik Wydziału Robót Publicznych dostał ataku szału, a Sondra Mallone miała czelność skrytykować Derry’ego za sposób, w jaki potraktował ten przypadek. Nieszczęsny człowiek zmarł nazajutrz, gdy rodzina zabrała go do domu, a Sondra wyraziła opinię, że trzeba mu było jakoś pomóc, chociaż nie umiała powiedzieć, na czym owa pomoc miałaby polegać.

Zdaniem Derry’ego problemy Sondry Mallone wynikały z jej nadgorliwości. Wydawało się jej, że zdoła ocalić świat. Derry podziwiał ją za ten entuzjazm i oddanie pracy, ale uważał, że jest marzycielką. Nie zgłębiła jeszcze mentalności tubylców i nie poznała sposobu ich życia. Uparcie bazowała na swoim nowoczesnym medycznym wykształceniu. Nie stać jej było na elastyczność. W ciągu jednego dnia chciała przeskoczyć wieki ewolucji afrykańskiego ludu.

Jednym z powodów częstych sprzeczek Derry’ego i Sondry była sprawa antyseptyki. Sondra lekceważyła zapewnienia Derry’ego, że tubylcy wytworzyli w sobie odporność na drobnoustroje chorobotwórcze. Godzinami sterylizowała narzędzia i tak usilnie próbowała wpoić Afrykanom zasady higieny, że na trzech pacjentów Derry’ego trafiał do niej tylko jeden. Inna poważna rozbieżność w ich poglądach dotyczyła sposobu karmienia w szpitalu misyjnym. Sondrę przeraziło odkrycie, że większość pacjentów jest dożywiana przez członków rodzin. Próbowała przekonać Derry’ego o potrzebie wprowadzenia reżimu w diecie chorych i podawania im pożywnych potraw przygotowanych w higienicznych warunkach misyjnej kuchni. Zabiegała też o ustalenie indywidualnego, „naukowo” opracowanego menu dla każdego pacjenta. Derry starał się ją przekonać, że w tym środowisku naukowe podejście do kwestii diety nie zda egzaminu. „Proces rekonwalescencji sprawniej przebiega, gdy chorzy przebywają w otoczeniu znajomych twarzy” – wyjaśniał. „Prędzej wracają do sił jedząc potrawy, do których przywykli i które zostały przyrządzone w znany im sposób”.

Następny problem dotyczył pielęgniarek. Co mogło stać się przyczyną kłopotów?

Brak chęci do współpracy ze strony sióstr był bardzo uciążliwy i znacznie opóźniał pracę.

Kwestionowały każde polecenie Sondry, za każdym razem zwracając się do Derry'ego albo do Aleca z prośbą o jego potwierdzenie. A potem i tak robiły po swojemu. To prawda, że współpraca z pielęgniarkami nie była łatwa. Zwykle wołały kierować się własnym zdaniem i nie zawsze odpowiadał im narzucony rytm zajęć. Ale generalnie miały respekt dla lekarzy, którzy czasowo przebywali w misji. Często przychodziły im nawet z pomocą, zapoznając ich z tradycjami poszczególnych plemion i pełniąc rolę rozjemców, gdy ci z powodu nieznamości jakiegoś zwyczaju popełniali błędy i tutejsi mieszkańcy czuli się urażeni. Sondrę zostawiły jednak własnemu losowi i Derry musiał nieustannie nad nią czuwać.

Jak mógł w takiej sytuacji brać pod uwagę możliwość wysłania jej do buszu?

Sondra Mallone pozostawała dla Derry'ego tajemnicą. Dlaczego tu przyjechała? Wszyscy lekarze przybywali na misję uzbrojeni w słuchawki i w Biblię. Ale Sondra nie należała do osób religijnych i jak zdążył zauważyć, nie przejawiała zbytnej skłonności do modłów. Była oddana nie tyle Jezusowi, ile Afryce. Intrygowało to Derry'ego i jednocześnie wzbudzało jego podziw. To prawda, że od czasu do czasu ścierali się ze sobą i nieraz wystawiała jego cierpliwość na próbę, ale nie mógł jej odmówić: Sondra Mallone rzeczywiście kochała Afrykę.

A dla Derry'ego miało to ogromne znaczenie.

Urodzony w Kenii, od pierwszych chwil życia oddychał intensywnym i czystym powietrzem Nairobi. Ssał mleko kobiety z plemienia Kikujów, która siadywała na werandzie domu Farrarów przy gospodarstwie hodowlanym koni i trzymając dwójkę dzieci w ramionach, podawała pierś zarówno własnemu synowi, jak i niemowlęciu pana, gdyż *memsabu* była zbyt słaba, by wykarmić własne dziecko. W czerwonym kenijskim pyle stawiał swoje pierwsze kroki. Równikowe słońce zabarwiło na brąz jego różową skórę. Pierwsze słowa wypowiedział w łamanej angielszczyźnie i w suahili, a pierwszym kolegą był czarny. Derry nic jeszcze nie wiedział w tamtym czasie o kolonialnych podziałach rasowych.

W silnych ramionach mamki wyplakał cały swój smutek na pogrzebie mamy, podczas gdy ponury i daleki ojciec stał na uboczu – nieznamy w białym garniturze, który nie chciał w obecności czarnych pokazać po sobie bólu. Potem, tęskniąc za miłością, do której jego rodzic nie był zdolny, Derry wymknął się do Riftu ze swoim najbliższym przyjacielem i towarzyszem zabaw. Razem tropili lwa, dzielili niewygody i pod gwiazdami innej, nieznannej Kenii jedli wspólnie upolowane mięso bawołu. I właśnie wtedy Derry poczuł się po raz pierwszy z tym miejscem związany.

Krótko cieszył się jednak smakiem dopiero co odkrytej tożsamości i ślepej miłości do tego ładu, bowiem gdy Reginald Farrar zwrócił na chłopca baczniejszą uwagę, prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu, stwierdził, że syn popełnia niewybaczalną społeczną zbrodnię. Postanowił przywrócić mu rozsądek i wytrzepał mu skórę. Zaraz też poczynił przygotowania, żeby chłopca wyrwać z niezdrowej atmosfery i zapobiec wysoce niestosownemu brataniu się z czarnymi. W przeddzień wyjazdu do Anglii Derry wybrał się po raz ostatni do Riftu z Kamante. Chciał tylko poobserwować zwierzęta. Stracił już młodzieńczy zapał do polowań. Głęboką męską satysfakcją

czepał z hołdu oddawanego zwierzętom. Uznawał ich wyższość i dlatego pozwalał, żeby odeszły swoją drogą.

Nienawidził Anglii. Nie widział w niej dla siebie miejsca. Za późno było już na to, żeby wpoić młodzieńcowi poczucie brytyjskiej przynależności. Jego ojciec powinien był pomyśleć o tym wiele lat wcześniej. Bohaterskie wyczyny Derry'ego w RAFie nie miały nic wspólnego z patriotycznymi uczuciami do ojczyzny ojca, jak wiele ludzi zwykło uważać. Były to raczej wysiłki człowieka, który chce się przyczynić do zakończenia cholernej, trzymającej go z dala od prawdziwego domu, wojny.

Zaraz po powrocie do Kenii Derry musiał pochować ojca. Zastał niespokojny i wewnętrznie rozdarty kraj, w którym nie było już miejsca dla synów znienawidzonych białych kolonialistów. Owego październikowego dnia w 1953 roku trzydziestoletni Derry przeżył wstrząs, uświadamiając sobie, że jest człowiekiem uwieczonym pomiędzy dwoma światami; do żadnego z nich nie przynależał i w żadnym nie był chciany. Zdał sobie sprawę, że Kenię zaczął zatruwać jad.

Jane wyrwała Derry'ego ze straszliwej otchłani na dwa krótkie lata. Dała mu poczucie przynależności i pomogła odnaleźć miejsce w porządku wszechświata. Ale potem także i ona go zostawiła, a Derry'emu raz jeszcze zawalił się świat.

– *Kwenda! Kwenda!*

Krzyki wyrwały Derry'ego z zadumy. Zobaczył, że Kamante, przyjaciel z czasów dzieciństwa, macha w stronę drugiego kierowcy, który przerwał pracę na papierosa.

Derry będąc w Anglii bardzo się dziwił, że czarnych powszechnie uważa się tam za niezaradnych i leniwych. Wiedział, że nie ma na świecie bardziej obowiązkowych i ciężiej pracujących ludzi niż Kikujowie. Być może byli odpowiedzialni za ruch MauMau, ale z drugiej strony wydali błyskotliwego Jomo Kenyattę, pomogli mu dojść do władzy, przywrócili Kenii suwerenność i z myślą o przyszłości scalili naród we wspólnym poczuciu narodowej dumy. „*Harambee!*” – wykrzykiwali motto Kenii. „Pociągnijmy to razem!”

Rówieśnik Derry'ego, pięćdziesięcioletni Kamante, miał czarne jak heban włosy bez śladu siwizny i był tak jak Derry w doskonałej kondycji fizycznej. Jego czarne umięśnione ramiona, które teraz pracowały w porannym słońcu stycznia, wyglądały tak samo jak wtedy, gdy wydobywały nieszczęśliwego i poniżonego Derry'ego z kolczastych sideł. Kamante zbliżył się do Abdiego, drugiego kierowcy – muzułmanina z ludu suahili, który pochodził z wybrzeża – rzucił mu kilka słów i mężczyzna z powrotem zabrał się do roboty.

– Możesz już sprawdzić. – Kamante skinął na Derry'ego.

Derry pomachał mu i przeszedł na drugą stronę ogrodzonego terenu.

Sondra ścieliła łóżko w swojej chacie. Słyszając głos Derry'ego za zasłoniętym oknem, znieruchomiała na moment i mocniej uderzyła poduszkę. Była zła. Powinna się teraz szykować do wyjazdu w tereny zamieszkałe przez Masajów. Niestety, Derry nie wyraził na to zgody.

Zresztą wyglądało na to, że w niewielu sprawach się ze sobą zgadzają. Nie zamierzała

niczego tu zmieniać. Chciała jedynie wprowadzić kilka ulepszeń, a to różnica. Ale Derry był uparty i całkowicie zamknięty na nowe pomysły. Sondra uważała, że jest nadmiernym pesymistą i zbyt często poddaje się bez walki. Myślał w sposób przestarzały, że to, czego nie da się wyleczyć, trzeba zostawić własnemu losowi.

Odwróciła się od łóżka i po raz ostatni spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

Miała teraz ciemniejszą karnację. Po czterech miesiącach spędzonych w tropikalnym słońcu jej skóra przybrała barwę czekolady, pięknie kontrastując z afrykańską sukienką, którą miała na sobie. Kupiła na targu kilka metrów materiału w jaskrawe wzory, dzinsy wraz z podkoszulkiem schowała głęboko do walizki, i zaczęła się ubierać tak jak tutejsze kobiety, a ciemne włosy związywała wysoko barwnym szalikiem. Efekt był nadzwyczajny. Wyglądała jak rodowita mieszkanka tego kraju.

Dobiegające przez okno głosy oderwały ją od lustra. Wielebny Sanders pytał Kamante, czy mają wystarczającą liczbę puszek masła, Derry krzychał coś w suahili, Alec MacDonald chciał wiedzieć, czy nie znajdzie się więcej lodu do szczepionek polio, a Rebecca wzywała jedną z pielęgniarek.

Sondra poczuła ulgę. Cieszyła się, że Rebecca jedzie na safari. Była przełożoną pielęgniarek. Pochodziła z plemienia Samburu i miała około czterdziestu lat. Już jako dziecko została nawrócona na wiarę chrześcijańską i doskonale mówiła po angielsku. Ale obecność tej kobiety zwykle kępowała Sondrę.

Gdyby na tym polu sprawy miały się lepiej, być może Sondra codziennie by się nie budziła z uczuciem, że płynie pod prąd. Kiedy to się zaczęło? Prawdopodobnie już pierwszego dnia, gdy pielęgniarki zaskoczyło odkrycie, że nowy lekarz jest kobietą. Tę niewielką przeszkodę można było jeszcze pokonać, gdyby Sondra nie popełniła błędu starając się z nimi zaprzyjaźnić. „Tutejsze siostry znają swoje miejsce” – wyjaśnił Alec. „Ale nie bardzo wiedzą, gdzie jest twoje”. Sondra dowiedziała się też, że lekarze nie mają zwyczaju bratania się ze średnim personelem, i że przebywając w pokoju pielęgniarek, naruszyła zawodową regułę. Była jednak pewna, że i te trudności dałoby się przewyciężyć, gdyby nie ów nieszczęsny incydent z cewnikiem.

Zdarzyło się to jakieś dwa tygodnie po jej przyjeździe. Pochylała się nad chorym, który niedawno przeżył operację wycięcia wyrostka. Podniosła wzrok i stwierdziła, że Rebecca jest bliska popełnienia straszliwego błędu. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Sterylna rurka stoczyła się z łóżka na zakurzoną podłogę, a Rebecca schyliła się po nią i zamierzała jej użyć. „Stój!” – zastopowała ją Sondra, zwracając tym uwagę wszystkich obecnych. A potem kazała pielęgniarce rozpakować nowy cewnik i wyjaśniła wszystkim, dlaczego siostra źle postąpiła. Rebecca obrzuciła Sondrę gwałtownym, gniewnym spojrzeniem, wypuściła z rąk kateter i wyszła z sali.

Od tamtej pory jej opór wobec Sondry przybrał bardziej zdecydowaną formę. Rebecca jako przełożona pielęgniarek nakłoniła pozostałe siostry, żeby postępowały tak samo jak ona.

Sondra nie dała się jednak zastraszyć. Zamierzała poradzić sobie z nimi w ten czy w inny sposób.

Otworzyła drzwi i wyszła w oślepiający blask porannego słońca. Przystanąła na moment, żeby oczy przywykły do ostrego światła. Trzy samochody terenowe marki Rover stały gotowe do drogi, a członkowie wyprawy: Alec, wielebny Thorn, Rebecca i dwaj kierowcy zebrali się, żeby odmówić przed odjazdem modlitwę, której przewodził wielebny Sanders. Sondra przyłączyła się do grupy. Stała z pochyloną głową obok Aleca i kątem oka obserwowała Derry'ego, który zmierzał w stronę izby przyjęć.

Nielatwy we współżyciu człowiek i nieznośne położenie, które ostatnio pogarszała jeszcze nowa i całkiem niepożądana komplikacja.

Zaczął się to pewnego deszczowego październikowego wieczoru, kiedy siedziała w świetlicy z Alekiem MacDonaldem. Pisała właśnie list do Ruth, gratulując jej narodzin bliźniaczek, gdy otworzyły się na oścież wejściowe drzwi i stanął w nich przemoczony do suchej nitki Derry. Narzekał na samochód, który ugrzązł w błocie gdzieś po drodze. Sondra nie słyszała jednak ani jednego słowa. Nie mogła oderwać od Derry'ego wzroku. Lekko skręcone na końcach i zmierzwiłone włosy opadały mu na czoło, przez przemoczoną od deszczu koszulę prześwitywała szeroka i muskularna klatka piersiowa, a gołe ręce pokrywała warstwa błota. Sondra zarejestrowała jego gwałtowne ruchy i głos, który z wściekłości stał się jeszcze głębszy. Ale tym, co ostatecznie przykuło jej uwagę, była burza uczuć malująca się w jego oczach.

Od tamtej pory zaczęła śnić o Derrym. Zjawiał się w erotycznych scenach. Wcale ich nie chciała. Pragnęła się z nich otrząsnąć. Niepokoiły ją. Absurdem byłoby sądzić, że czuje pociąg fizyczny do mężczyzny, który ją drażni.

Gdy wielebny Sanders udzielił na koniec błogosławieństwa, uczestnicy wyprawy pożegnali się i ruszyli w stronę samochodów. Alec zatrzymał się na moment i ucisnął serdecznie rękę Sondry.

– Powodzenia – powiedziała. – Zazdroszczę ci.

– To tobie trzeba życzyć szczęścia. Zostawiam całą robotę na twojej głowie.

Sondra nie mogła się powstrzymać i odruchowo skierowała wzrok w stronę izby przyjęć, gdzie zgromadziła się już niewielka grupa oczekujących na przyjęcie pacjentów. Alec przechwycił bezwiedne spojrzenie jej bursztynowych oczu.

Kryło się w nich wyzwanie. Alec wiedział o konflikcie pomiędzy nią a Derrym, o niefortunnym zderzeniu dwojga niezwykle upartych ludzi, którzy pochodzili z dwóch różnych światów i za wszelką cenę chcieli postawić na swoim. Derry reprezentował przestarzałe metody leczenia. Wyjechał z Londynu dwadzieścia lat temu i nie nadążał za postępem wiedzy medycznej, ale po latach trudnych doświadczeń potrafił „czytać” pacjenta jak otwartą księgę. A pod względem szybkości i trafności stawianych diagnoz nie miał sobie równych. Sondra jako początkująca lekarka mogła się wykazać zaledwie trzyletnim stażem pracy z chorymi (z czego dwa lata przepracowała w klinice przy szkole medycznej), ale posiadała bogaty zasób

nowoczesnej wiedzy i była obeznana z najnowszymi technicznymi osiągnięciami w dziedzinie ratowania ludzkiego życia, o których Derry nie miał zielonego pojęcia. Razem mogli stworzyć znakomity zespół, gdyby tylko pozwoliła im na to ich nieprzejednana duma.

Dzisiaj po raz pierwszy Sondra zostawała sama z Derrym na izbie chorych i Alec łudził się, że będą się ze sobą zgadzać.

– Zastąpię cię jutro po południu – obiecał, wciąż nie wypuszczając z uścisku jej ręki.

Sondra przyjrzała się wnikliwie twarzy Aleca, jego miłemu uśmiechowi i delikatnym rysom. Dlaczego to nie on był tym mężczyzną, o którym śniła?

– Uważaj na siebie – powiedziała. – Niech cię Bóg prowadzi. Pomachała mu na pożegnanie, a gdy samochody zniknęły z pola widzenia, skierowała się do izby przyjęć. Zastała Derry'ego przy pracy. Robił punkcję kolana.

W misyjnym ambulatorium obowiązywał prosty system przyjęć. Chorzy ustawiali się na werandzie i czekali na swoją kolej. Gdy jeden pacjent wychodził, przyjmowany był następny. Przychodnia mieściła się w dużym, krytym strzechą pomieszczeniu, które przedzielala zawieszona na sznurku kotara. W każdej części znajdował się przestarzały stół do badania chorych, gablota z narzędziami, szafa z opatrunkami i lekarskami oraz mały stolik na kółkach. W centrum pokoju stała umywalka, z której korzystali pracujący po obu stronach lekarze. Pomimo wczesnej pory powietrze było już nagrzone. Wirowały zawieszony u sufitu wentylatory, a przez otwarte na oścież okna wpadały do środka muchy i osy.

Sondra rozpoznawała pacjentów, którzy przychodzili regularnie na cotygodniowe zabiegi albo po uzupełnieniu pigułek w fiolkach. Do tej pory zdążyli się już oswoić z *memsabu daktań*. Zajmowała się w dalszym ciągu głównie kobietami i dziećmi, podczas gdy mężczyźni chętniej ustawiali się w kolejce do Derry'ego. Po czterech miesiącach jej znajomość języka suahili była na tyle dobra, że mogła obywać się bez tłumacza.

Jako pierwsza przysłała kobieta z plemienia Taita z małym dzieckiem na rękach. Pokazywała, że coś jest nie w porządku w buzi niemowlęcia, ale Sondra nie stwierdziła żadnych nieprawidłowości. Gdy zamierzała oddać dziecko matce, kobieta zaczęła gwałtownie protestować, wskazując na własne usta.

– Prosi, żeby *memsabu* sprawdziła niemowlęciu zęby – wyjaśniła asystująca pielęgniarka.

Sondra otworzyła niemowlęciu usta i uważnie przyjrzała się pojedynczej perełce otoczonej krawędzią różowego dziąsła.

– Wszystko w porządku – orzekła, zaintrygowana.

– Pierwszy ząb powinien się wyróżnić dziecku na dole – oświadczyła pielęgniarka. – Jeśli ząb wychodzi z góry, to dla rodziny zły znak! Jest zwiastunem nadciągającego nieszczęścia. Kobieta prosi, żeby go pani wyrwała.

– Co takiego?! Wyrwać ząb?! Dlaczego miałabym to zrobić? Zza zasłony dobiegł głos Derry'ego:

– Ponieważ pierwszy rosnący z góry ząb jest uważany za zły omen. Tubylcy sądzą, że

usuwając go, zmył bogów.

– Proszę jej powiedzieć, że bardzo mi przykro, ale nie mogę tego zrobić.

Po wielkich protestach kobieta odebrała dziecko, usadowiła się na krześle pod ścianą i nie spuszczała oka z lekarki, a gdy Sondra była w trakcie badania następnej pacjentki, dała nura pod zasłonę. Sondra usłyszała potok prędko wyrzucanych słów w języku suahili, za którym nie mogła nadążyć. Niemowlę zaczęło płakać, a głos kobiety stał się piskliwy. Potem odezwał się Derry i zapanowała cisza.

Sondra skupiła uwagę na młodej kobiecie, którą badała. Nie mogła znaleźć śledziony, a osłuchując klatkę piersiową stwierdziła, że serce jest powiększone i wykryła w nim szmery. Młoda kobieta oświadczyła jednak, że problem z sercem jest mało istotny. Najbardziej dokuczały jej dolegliwości brzucha i nawracające wymioty, którym zwykle towarzyszył ból i puchnięcie stawów. Sondra nie potrafiła znaleźć przyczyny choroby. Poszczególne objawy mogły wskazywać na różne przypadłości, ale schorzenie, w którym występowały wszystkie symptomy naraz, pozostawało dla niej zagadką.

– Proszę pobrać krew – zwróciła się do siostry, która pomogła dziewczynie wstać. – I niech pani przygotuje dla niej łóżko na izbie chorych.

– To nie będzie potrzebne – odezwał się Derry, wychodząc zza kurtyny. Za jego plecami pośpiesznie opuszczała ambulatorium kobieta z dzieckiem z plemienia Taita.

– Dlaczego? Ta dziewczyna powinna zostać na obserwacji. Może trzeba ją będzie zoperować.

– Nie sądzę.

– Przecież nawet jej nie zbadałeś!

– Proszę pobrać z jej palca na szkiełko kilka kropli krwi – polecił pielęgniarce. – Chodź, coś ci pokażę – zwrócił się do Sondry. Małe laboratorium mieściło się z tyłu przychodni. Zajmowało niewiele większą przestrzeń niż garderoba. Po jednej stronie znajdował się stół do badań na całą długość ściany, a po drugiej umywalka i lodówka. Derry podszedł do stołu, wziął fiolkę z destylowaną wodą, wciągnął do strzykawki dziesięć mililitrów i wstrzyknął ją do próbówki. Następnie sięgnął po butelkę z pastylkami i wrzucił jedną do wody.

– Co to jest? – zapytała Sondra.

– Dwa gramy siarczanu sodu – wyjaśnił i podniósł do góry próbówkę, obserwując, jak tabletkę się rozpuszcza.

– Po co to robisz?

– Za chwilę zobaczysz.

Weszła pielęgniarka ze szklaną płytką. Używając kroplomierza Derry spuścił dwie krople z próbówki na szkło i przykrył je drugą płytką. Wytarł bibułą nadmiar płynu i delikatnie naciskając górne szkiełko, umieścił preparat pod mikroskopem.

– A teraz musimy poczekać piętnaście minut – oświadczył, patrząc na zegarek.

Wyszli z laboratorium.

– W jaki sposób udało ci się uspokoić kobietę z plemienia Taita? – zapytała Sondra, podchodząc do umywalki, żeby umyć ręce.

– Wyrwałem ząb. Podniosła wzrok.

– Co takiego?

Derry otworzył gablotę z narzędziami lekarskimi i wyjął oftalmoskop.

– Nie miałem wyjścia. Gdybym tego nie zrobił, kobieta wybiłaby go dziecku sama. Szczeka mogłaby ulec zakażeniu, a niemowlęciu groziłaby utrata życia.

Następna pacjentka nie nastęrczyła Sondrze większych problemów. Był to typowy przypadek oczyszczenia i zeszcicia rany głowy. Gdy Sondra skończyła zakładać opatrunek, Derry skinął na nią, żeby poszła z nim do laboratorium.

– Chodź, obejrzymy preparat.

Sondra usiadła na wysokim stołku i usiłując złapać światło, manipulowała lusterkiem mikroskopu. Derry założył ręce i oparł się niedbale o stół.

Przytknęła prawe oko do soczewki i wyregulowała ostrość.

– Och, rozumiem... – powiedziała po chwili.

– Nigdy przedtem tego nie widziałaś? – Nie.

– Dodałem do preparatu siarczanu sodu, żeby zapobiec jego wyschnięciu. W suchych plamach nie widać czerwonych krwinek w kształcie sierpu. Pacjentka ma anemię.

Sondra obejrzała się na Derry'ego.

– Jakie jest rokowanie?

– Jeśli w ogóle można mówić w tym przypadku o leczeniu, terapia jest objawowa i ma charakter doraźny. Czasami podanie prednizonu zmniejsza ból. Ale poza tym niewiele możemy pomóc. Na ten rodzaj anemii niestety nie ma lekarstwa. Stan chorej będzie się systematycznie pogarszał i w końcu umrze na gruźlicę, na zator płuc albo z powodu choroby zakrzepowej. Nie sądzę, żeby dożyła swoich dwudziestych urodzin.

W miarę upływu dnia na werandzie przybywało ludzi. Derry i Sondra przy asyście jednej pielęgniarki zakładali opatrunki, robili zastrzyki i wyjaśniali pacjentom, w jaki sposób mają zażywać lekarstwa (Sondra zauważyła, że niektórzy Afrykanie zamiast połykać pigułki, noszą je w małych woreczkach zawieszonych na szyi jako amulety). W południe na zewnątrz zebrał się tłum. Gdy Derry i Sondra zrobili sobie przerwę na herbatę i kanapki z ogórkiem, siostra z izby chorych poinformowała ich, że nie ma już wolnych łóżek.

Wciąż napływali nowi pacjenci: z zakażeniami, skaleczeniami i chorobami przewodu pokarmowego. Matka z plemienia Taita przyniosła małą dziewczynkę poważnie odwodnioną z powodu biegunki i wymiotów. Dolegliwości ustąpiły, ale dziewczynki nie udało się nakłonić do jedzenia. Karmienie na siłę również okazało się mało skuteczne. Sondra postanowiła natychmiast przyjąć dziecko do szpitala i zastosować terapię dożylną. Derry słysząc jej decyzję, wychylił się zza kurtyny i zaoponował:

– Nie mamy już wolnych łóżek, a zapas kroplówek jest zbyt mały, żeby marnować go w

sytuacji, kiedy problem może zostać rozwiązany natychmiast.

I zanim Sondra zdążyła zaprotestować, wysłał pielęgniarkę do kuchni po butelkę coca-coli i opakowanie ziemniaczanych chipsów.

– Dzieci bywają czasami uparte i nie mają ochoty na pożywne jedzenie – wyjaśnił, gdy czekali na powrót siostry. – Nawet wtedy, gdy są poważnie chore. Ale żadne dziecko nie odmówi poczęstunku.

Miał rację. Ledwie zdążył odkręcić nakrętkę butelki z ciepłą coca-colą i rozerwać torebkę z chrupkami, a już zachwycona dziewczynka łapczywie pochłaniała jedzenie i picie.

– Dzięki tej diecie – stwierdził – w organizmie dziecka natychmiast się wyrówna poziom cukru, soli i płynu. Proszę odesłać ją do domu.

Wczesnym popołudniem przyniesiono do ambulatorium dziewięciomiesięczne dziecko. Chłopiec miał wysoką gorączkę, ból uszu i zaczerwienione gardło. Zareagował krzykiem, gdy Sondra spróbowała zgiąć mu nogę w stawie kolanowym. Przyczyny gorączki nie dało się jednoznacznie określić. W diagnozie mogło okazać się pomocne badanie krwi.

– Muszę pobrać dziecku krew – zwróciła się Sondra do pielęgniarki. – Najlepiej z żyły szyjnej.

W tym momencie kuśtykając wyszedł o kulach pacjent Derry’ego, a on sam zjawił się obok Sondry.

– Ja to zrobię – oświadczył. – Siostró, proszę wyprowadzić stąd matkę dziecka.

Sondra spojrzała na niego zdumiona.

– Dam sobie radę, Derry. Wiele razy pobierałam w ten sposób krew, gdy byłam...

– Wiem. Ale jeśli popełnisz jeden błąd, będziesz miała przeciwko sobie cały rozjuszony szczerp. A ja umiem postępować z tutejszymi ludźmi.

– A ja potrafię pobrać krew z żyły szyjnej.

Ale on nie zwracał na nią uwagi. Gdy pielęgniarka zaczęła zawijać niemowlę jak mumię, mocno je krępując, żeby nie mogło się ruszać, Derry wyjmował odpowiednie narzędzia z roztworu sterylizującego.

Ułożyli dziecko na boku tak, że główka zwiślała mu z krawędzi stołu. Teraz już tylko trzeba je było nakłonić do awanturowania się. Rozszerzone żyły szyjne stawały się łatwiejszym celem. Przy zapadniętych naczyniach żylnych pobranie krwi nie byłoby możliwe. Dziecko musiało zostać boleśnie pobudzone do niezadowolenia i dlatego odesłano matkę z sali. Pielęgniarka dała prztyczka w delikatną główkę, Derry wprowadził igłę na pół centymetra w wybrzuszoną żyłę i bez kłopotu pobrał potrzebną ilość krwi. Gdy uporał się z zadaniem, wziął niemowlę z rąk pielęgniarki i dopóty tulił je w ramionach, dopóki się nie uspokoiło.

– Powiedz kobiecie, żeby jutro przyniosła dziecko – zwrócił się do Sondry, podchodząc do umywalki. – Do tego czasu będziemy już mieli pierwsze wyniki.

Derry interweniował jeszcze dwukrotnie, zmieniając polecenie Sondry w jednym przypadku i osobiście wykonując zabieg w drugim. Gdy zbliżała się pora na herbatę, Sondra czuła, że jej

irytacja sięga zenitu.

I wtedy przyniesiono dziecko o imieniu Ouko.

Był to siedmioletni ładny chłopiec. Miał długie kończyny, tak jak jego rodzice z plemienia Masajów, oraz ogromne poważne oczy, które bacznie obserwowały Sondrę. Ojciec Ouko ostrożnie położył chłopca na stole. Ten wysoki mężczyzna o szlachetnych rysach oraz połyskującej i czerwonej od ochry skórze podobnie jak większość Masajów zajmował się pasterstwem. Ouko siedział spokojnie, gdy lekarka słuchała relacji ojca o bólach głowy, które mu dokuczały od trzech dni. Pozwolił zmierzyć sobie temperaturę i zajrzeć do oczu. Ale gdy Sondra spróbowała zgiąć mu kark, zawył.

– Boli go szyja, policzki i oczy – wyjaśnił ojciec w suahili.

Sondra przez chwilę uważnie przyglądała się chłopcu, a potem zapytała, czy potrafi dotknąć brodą klatki piersiowej. Chłopiec podjął wysiłek, ale głowa ani nie drgnęła, a z oczu puściły się łzy.

– Nie może ruszać głową, *memsabu* – stwierdził ojciec. Sondra delikatnie wzięła głowę chłopca w dłonie i sama spróbowała ją pochylić. Chłopiec ponownie zawył.

Chciała mu zajrzeć do gardła, ale Ouko powiedział, że otwarcie ust byłoby zbyt bolesne. Uśmiechnęła się do niego uspokajająco, poklepała go po gołym ramieniu i zapewniła w języku suahili, że nie zamierza niczego robić wbrew jego woli.

– To mi wygląda na wczesne stadium zapalenia opon mózgowodzeniowych – rzekła do pielęgniarki po angielsku. – Proszę zawiadomić izbę chorych, że będzie nam potrzebne łóżko. Jeśli zajdzie konieczność, niech położą dwóch pacjentów na jednym. – Gdy Derry, wycierając ręce, wyłonił się zza zasłony, dodała: – Muszę natychmiast zrobić punkcję dolędźwiową.

Derry podszedł do Ouko, uśmiechnął się do niego i powiedział kilka słów. Potem zwrócił się do Sondry:

– To może być świnka. Zwróć uwagę na opuchliznę wokół ślinianek przyusznych. Lepiej wykluczmy polio. Jeśli to choroba Heinego-Medina, to w ciągu trzech, czterech dni chłopiec zostanie sparaliżowany. Na wszelki wypadek połóżmy go oddzielnie, gdyby okazało się, że mamy do czynienia z chorobą zakaźną.

I odszedł, żeby się zająć infekcją uszną wrzeszczącego niemowlęcia, a Sondra musiała zrobić punkcję tylko przy asyście siostry.

Zachowując się w sposób typowy dla swojej dumnej rasy, chłopiec z plemienia Masajów ze spokojem znosił ból wygiętych pleców. Wydawał z siebie tylko ciche, żalosne łkania. Miał szczęście, że Sondra była wprawna w wykonywaniu tego zabiegu. Tylko przez chwilę leżał na boku, przytrzymywany silnymi dłońmi pielęgniarki, podczas gdy Sondra delikatnie przesunęła palcem wzdłuż kręgosłupa, szukając odpowiedniej przerwy pomiędzy kręgami, a potem zgrabnie wbiła igłę.

Płyn okazał się czysty, co wykluczało możliwość krwawienia wewnątrzczaszkowego. A przeprowadzone w chwilę potem badanie pod mikroskopem nie wykazało obecności leukocytów.

Ponieważ Sondra i Derry nie mieli pojęcia, z jakim rodzajem choroby mają do czynienia, a wyniki szczegółowego badania krwi miały nadejść z Nairobi dopiero za dwa tygodnie, postanowili, że położą Ouko w końcu sali i oddzielą go od innych przenośnym parawanem.

Tymczasem słońce zaczęło się już chylić ku zachodowi i pracowity dzień w misji dobiegał końca. Zmęczona Sondra szła wolnym krokiem w stronę swojej chaty, żeby się umyć i przebrać do kolacji. Nie dawała jej spokoju myśl, że w sprawie Ouko oboje z Derrym przeoczyli coś ważnego.

Rozdział 21

Była w trakcie pisania listów do Ruth i Mickey, gdy rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Pielęgniarka z izby chorych przysłała ją zawiadomić, że stan małego Ouko się pogorszył.

Sondra narzuciła na siebie sweter i przebiegła przez pogrążone w ciszy podwórze, zmierzając w stronę szpitala. W przedsionku długiego, krytego strzechą budynku tylko przy stanowisku pielęgniarek paliła się lampa. W ciemności widać było długą salę z dwudziestoma łózkami, z dziesięcioma namiotami z gazy po każdej stronie oraz ze śpiącymi na poduszkach czarnymi głowami.

Sondra podniosła lampę. Zwinnie i cicho przeszła na drugi koniec sali, gdzie za dwoma rozkładanymi ekranami stało łóżko chłopca. W chwili gdy weszła za parawan, chłopiec się wzdrygnął.

Sondra odstawiła lampę i uknęła blisko chorego dziecka.

– Ouko – powiedziała łagodnym głosem.

Chłopiec podskoczył w górę. Niemal nie spadł z łóżka.

Przeglądała mu się z zatroskaną twarzą. A gdy pielęgniarka zaczęła coś mówić i ponowny skurcz szarpnął ciałem chłopca, zaskoczenie Sondry przerodziło się w przeszywającą chłodem trwogę. „To wcale nie polio ani nie zapalenie opon rdzeniowo-mózgowych!” Zastygła jej krew. „Dobry Boże... „

Dała znak siostrze, żeby możliwie jak najciszej za nią wyszła, a potem odwróciła się i na chwiejnych nogach zbliżyła się do pulpitu pielęgniarek.

– Jestem pewna, że to tężec – powiedziała półszepem, starając się opanować drzenie głosu. – Będziemy potrzebować sześćdziesiąt tysięcy jednostek antytoksyny. Czy mamy aż tyle?

– Tak, *memsabu* – odparła młoda pielęgniarka. Białka jej olbrzymich okrągłych oczu wyraźnie odcinały się od czarnej twarzy.

– Potrzebna nam będzie surowica końska w półtora tysięcznych jednostkach. Musimy podawać ją co pół godziny w dawkach po trzy tysiące jednostek. Zaczniemy od zaraz.

Gdy Ouko otrzymał pierwszy zastrzyk z surowicy końskiej w lewe udo, jego ciało gwałtownie podskoczyło w górę. Wydawało się, że spadnie z łóżka.

Sondrze wyszło w ustach. Nigdy przedtem nie miała do czynienia z przypadkiem zachorowania na tężec. Choroba ta należała do rzadkości w takim mieście jak Phoenix, gdzie rutynowo stosowano szczepionki i rozwinięta była propaganda w zakresie medycyny. Zdawała sobie sprawę, że antytoksyna, którą wstrzykuje Ouko, nie na wiele się zda – zneutralizuje tylko truciznę, która jeszcze nie zdążyła zaatakować systemu nerwowego dziecka. I to ją najbardziej przerażało.

Przysunęła krzesło do łóżka chłopca, żeby przy nim czuwać. Wiedziała, że wkrótce Ouko zaczną męczyć potworne, charakterystyczne dla tej choroby ataki: potężne skurcze mięśni, szczykościsk, bolesne napięcie całego ciała i wyginanie się kręgosłupa w pałąk. Największym

zagrożeniem był skurcz mięśni układu oddechowego. W trakcie ostrego ataku chłopiec mógł się udusić.

Obserwując przerażoną i błyszczącą od potu twarz dziecka, Sondra wiedziała, że czeka ją ciężka noc.

W chwilę później przyszedł Derry i zmierzył Ouko długim, pełnym namysłu spojrzeniem.

– Czy zlokalizowałaś ranę? – zapytał najciszej, jak tylko potrafił.

Sondra skinęła głową.

– Pod spodem na stopie. Już się zagoiła.

Derry podniósł strzykawkę leżącą na szafce nocnej przy łóżku, uważnie się jej przyjrzał i odłożył na miejsce.

– Czy miał już pierwszy atak?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Nie odrywała oczu od chłopca. Musieli być przygotowani na pierwszy skurcz, który niebawem miał nadejść.

Derry nadal stał nad nią i rozważał coś w myślach. Jego twarz była ukryta w mroku poza kręgiem światła lampy. Nie odezwał się więcej, ale Sondra wyczuwała jego napięcie i przenikliwy niepokój, nie mniejszy od jej własnego.

Nagle za parawanem, gdzieś w głębi pogrążonej w mroku sali, któryś z pacjentów krzyknął przez sen i ciałem chłopca targnął skurcz. Szczęki mu się zacisnęły, usta naciągnęły się w sardonicznym grymasie, plecy wygięły się nienaturalnie, usztywniły mu się ręce i nogi. Ouko dosłownie zawisł nad łóżkiem, dotykając materaca łokciami i piętami. Sondra patrzyła na niego z przerażeniem.

Skurcz minął tak nagle, jak się pojawił, i wyczerpany Ouko opadł na pościel. Sondra spojrzała szerokimi oczami na Derry'ego, który wskazał na zegarek, a potem dwukrotnie zamknął i otworzył dłonie z rozcapierzonymi palcami. Atak trwał dwadzieścia sekund. Dwadzieścia sekund paroksyzmu bólu. Dwadzieścia sekund uwięzienia w wykręcanym przez demony ciele. A Ouko był przez cały czas przytomny.

Ciszę afrykańskiej nocy przerwał krzyk polującego ptaka. W jednej chwili ciało Ouko ponownie się napreżyło i wygięło w łuk.

Sondra zdławiła szloch.

Derry wymknął się ukradkiem za jej plecami. Usłyszała jego kroki po drugiej stronie sali. Chwilę później wrócił ze strzykawką i natychmiast, gdy tylko chłopcu minął atak, zrobił mu w udo zastrzyk.

– Sekonal – szepnął do Sondry. – Chociaż nie sądzę, żeby wiele pomógł.

Jeszcze przez chwilę nie spuszczała wzroku z chłopca. Patrzył na nich wielkimi, nic nie rozumiejącymi oczami. Derry chwycił Sondrę za przegub dłoni i odciągnął ją od łóżka. Przy stanowisku pielęgniarek kazał siostrze pójść i posiedzieć przy dziecku.

– Proszę uważać, żeby nie narobić hałasu. Niech pani wystrzega się też nagłych ruchów. To wszystko wywołuje ataki.

Wyprowadził Sondrę w chłód nocy, gdzie nie musieli już rozmawiać szeptem.

– Czy da się coś zrobić? – zapytała, obejmując się ramionami.

– Niestety nie – odparł cicho, utkwivszy zachmurzone spojrzenie w jakimś punkcie ponad ramieniem Sondry. – Możemy tylko siedzieć i patrzeć. Nie ma szansy, żeby chłopiec to przeżył. Zabiją go skurcze.

– Ale przecież nie możemy zostawić go bez pomocy ani pozwolić, żeby tak straszliwie cierpiał.

Derry zmierzył Sondrę wzrokiem, w którym kryła się złość.

– Widziałem setki takich przypadków. Na tężec nie ma lekarstwa. Nie skutkuje demoral, seconal ani valium. To kwestia przetrzymania okresu, po upływie którego toksyna przestaje działać i zostaje wydalona z organizmu.

– A więc naszym zadaniem jest utrzymanie Ouko do tego czasu przy życiu.

Derry pokręcił głową.

– Oczekujesz rzeczy niemożliwych. Chłopiec przechodzi jeden z najostrzejszych rodzajów tężca, z jakimi się dotychczas zetknąłem. Wkrótce jeden ze skurczów albo złamie mu kręgosłup, albo unieruchomi mięśnie układu oddechowego i dzieciak się udusi.

– Możemy go sparaliżować – powiedziała prędko Sondra. Kurara spowoduje bezwład mięśni i zatrzyma skurcze.

– Razem z oddychaniem.

– Zrobimy mu otwór w tchawicy i go zaintubujemy.

– To się na nic nie zda. Chłopcu byłby potrzebny aparat wspomagający oddychanie, a my nie dysponujemy respiratorem.

– Możemy to robić ręcznie, zatrudnić pielęgniarce...

– To się nie uda.

– Dlaczego nie?

– Jeśli nawet podtrzymamy oddychanie, to w jaki sposób będziemy go odżywiać? Choroba może trwać nawet kilka tygodni. Przez tak długi okres nie utrzymamy go przy życiu na samych kroplówkach. Będziemy musieli pozwolić mu umrzeć, Sondro. To najlepsze, co możemy dla niego zrobić.

– Chyba nie mówisz poważnie? – Sondra zmierzyła Derry'ego lodowatym wzrokiem. – Nie możemy przestać o niego walczyć!

– Myślisz, że ja nie chciałbym go uratować? I nie próbowałem już tego z tuzinem jemu podobnych? Najpierw zastrzyki, potem tracheotomia, a na koniec nie pozostanie nam nic innego, jak stać i patrzeć, gdy powoli będzie umierał z głodu. Zanim śmierć wybawi go z cierpienia i powtarzających się ataków, będziemy świadkami potwornych i niewyobrażalnych wprost tortur.

Derry spojrzał na Sondrę. Atmosfera była napięta.

– Oszczędźmy mu niepotrzebnego heroizmu – powiedział cicho. – Pozwólmy mu odejść, gdy tylko przestanie oddychać.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Skazujesz chłopca na śmierć!

– To moja ostateczna decyzja. – Odwrócił się i odszedł.

Dotarł aż do samego płotu wytyczającego granice bezpieczeństwa misji. Za ogrodzeniem roztaczał się świat, który nie należał do ludzi i któremu obce były ich słabości. Dziki świat, skąd nawet teraz dobiegały odgłosy podkradających się aż pod same domostwa łap, a w ciemnościach migotały złote oczy. Derry zatrzymał się. Obejrzał się na długi, niski budynek z kwadratami łagodnie sączącego się światła, który sam zaprojektował, wybudował oraz przystosował do pracy i który był kwintesencją jego życia.

Nieczęsto zdarzało się ostatnimi czasy, żeby Derry myślał o Jane i o niemowlęciu śpiącym razem z nią w mogile. W ciągu lat nauczył się panować nad bólem i brać życie takim, jakie jest. Czasami jednak coś pobudzało wspomnienia. Wtedy powracała przeszłość, a razem z nią uczucie smutku. Dzisiaj reminiscencje wywołał widok małego i poważnego nad wiek Ouko. Jane była pierwszą i jedyną miłością Derry'ego. Dla niej przyjechał na misję i ze względu na pamięć o niej tutaj został. Rzadko zastanawiał się nad własnym życiem, nad sobą samym i nad swoją pracą. Ale teraz nie mógł odpędzić natarczywych myśli.

„Skazujesz tego chłopca na śmierć” – powiedziała Sondra. I miała rację. Ale robił to tylko dlatego, że nie mógł skazać go na życie. „Jesteśmy bezsilni. Pomimo całej naszej wiedzy nie możemy na wiele liczyć, jeśli się nad tym głębiej zastanowić”.

Noc była chłodna i zimny wiatr przenikał do kości, ale Derry nie dbał o to. Myślał o Sondrze. Byłoby dla niego o wiele lepiej, gdyby nigdy tutaj nie przyjeżdżała.

Dlaczego pozwolił, by mu tak zalażała za skórę? Dlaczego z jej zdaniem liczył się bardziej niż ze zdaniem innych? „Dlatego, że mi przypomina, jaki kiedyś byłem” – odpowiedział sobie. Dwadzieścia jeden lat temu powrócił do Kenii. Był młody i idealistycznie podchodził do życia. Miał wielkie plany i wizje. Popychał go do działania ten sam ślepy optymizm, który teraz kazał Sondrze Mallone wierzyć, że potrafi uzdrowić świat. Co się stało z młodzieńczym entuzjazmem? Kiedy wygasła jego słodka i elektryzująca moc, a na jej miejsce wkradło się znużenie i cynizm? To się nie mogło stać w jednej chwili ani godzinie, ale w trakcie powolnego procesu wytrawiania, przypominającego wżeranie się jednozębnego lwa w padlinę zebry. Wielki kiedyś idealizm Derry'ego stopniowo i niepostrzeżenie rozkruszył się, aż pozostała tylko poruszająca się i mówiąca pusta skorupa.

Spojrzał w stronę szpitala. W jednym z okien mignął za żaluzją cień. Pewnie to Sondra wróciła na palcach do łóżka Ouko. Derry przypomniał sobie podobne noce sprzed wielu lat, gdy czas upływał mu na równie bezużytecznym czuwaniu. Współczuł Sondrze. Czekał ją ciężki cios, a Derry był bezsilny, żeby ją przed nim uchronić.

Krzyk nocnego ptaka sprowadził go na ziemię. Sięgnął do kieszeni koszuli po papierosa i

zmusił się, żeby odsunąć od siebie myśli. Dostyc tego. Niczego nie osiągnie, rozczulając się nad sobą albo zamartwiając się o delikatną psychikę naiwnej kobiety. Jutro czeka go dzień pracy i najważniejszą rzeczą jest teraz sen.

A jednak zmierzając w stronę domu żałował, że nie potrafi oszczędzić Sondrze Mallone bólu.

Była gotowa. Na szafce nocnej Ouko wszystko leżało przygotowane: skalpel, szczypce i gaza, metalowa sonda dotchawiczna i worek do sztucznego nadymania płuc.

Pielęgniarka odmówiła pomocy. Znała polecenie Derry'ego, że mają oszczędzić chłopcu niepotrzebnego heroizmu. Nie ufała sądowi *memsabū*. Dlatego gdy głośnie chrapnięcie z sąsiedniego łóżka wywołało u Ouko kolejny skurcz, tym razem gwałtowniejszy i dłuższy od dotychczasowych, Sondra pracowała sama.

Usta chłopca stały się sine, a skóra przybrała niepokojąco purpurową barwę. „To już koniec. Ten atak go zabije” – pomyślała Sondra.

W jednej chwili wskoczyła kolanami na łóżko i ze wszystkich sił odchyliła głowę Ouko do tyłu. Roztrzęsionymi dłońmi wzięła ostrze i przecięła szyję poziomą linią na głębokość trzeciego tchawiczego pierścienia, rozcięła tchawicę i wsunęła do niej rurkę, którą przedmuchiwała powietrzem ze strzykawki. Gdy upewniła się, że jest dobrze osadzona i drożna, przymocowała do niej worek do sztucznego oddychania i kilkakrotnie go nacisnęła. Za każdym razem pierś Ouko uniosła się i opadła.

Ręce nadal trzęsły się jej straszliwie. Miała tak niewiele czasu. Szyja chłopca, podobnie jak i pościel wokół niego, była splamiona krwią. Ale Ouko oddychał, wspomagany wdmuchiwanym z worka powietrzem.

– Siostró! – zawołała Sondra, ryzykując wywołanie kolejnego skurczu. – Proszę mi pomóc!

Pielęgniarka zjawiała się natychmiast. Sondra podejrzewała, że czekała za parawanem.

– Proszę tu podejść i naciskać worek. Ja muszę zatamować krwawienie.

Kobieta ani drgnęła.

– Biorę za to na siebie całkowitą odpowiedzialność! Nie będzie pani miała żadnych kłopotów. Proszę mi pomóc!

Siostra cofnęła się o krok.

– Doktor Farrar powiedział, żeby tego nie robić.

Chłopca chwycił następny skurcz i Sondra o mało nie została zrzuciona z łóżka na ziemię. Gdy klatka piersiowa i biodra Ouko uniosły się nad materacem, a plecy wygięły się w łuk, Sondra usłyszała trzask zaczynających ustępować pod napięciem kości.

– Wielki Boże! – mruknęła Sondra, mrugając, żeby strzepnąć zalewający jej oczy pot. Zdołała jednak utrzymać przyczepiony do rurki worek.

– Siostró! Ssanie! Prędko! Chłopiec krwawi do tchawicy! Pielęgniarka stała jak skamieniała, nie mogąc podjąć decyzji. Oczy miała szeroko otwarte z przerażenia.

– Pomóż mi!

Nagle zjawił się Derry, odepchnął na bok pielęgniarkę i wbił igłę w sztywne biodro chłopca. Gdy kurara zaczęła działać, paraliżując napięte mięśnie, Derry chwycił gumowy cewnik z szafki nocnej, doczepił do jednego końca strzykawkę bez igły, spojrzął na Sondrę, skinął głową i w chwili gdy ściągnęła worek z rurki dotchawicznej, umieścił w niej cewnik i odciągnął tłok strzykawki. Zbiornik wypełnił się krwią. Derry opróżnił strzykawkę do miednicy i ponownie odessał krew, która tym razem była jaśniejsza. Mięśnie Ouko zwiotczały. Sondra działała prędko, żeby zatamować krew w miejscu nacięcia. Pracowali na cztery ręce, jak gdyby byli jedną osobą. Derry odssysał krew, przerywał na moment, żeby Sondra mogła kilkakrotnie napęlić powietrzem płuca, a potem znowu wracał do swojego zajęcia, podczas gdy ona kończyła czyścić ranę.

Po pewnym czasie, który wydawał się im wiecznością, zmienili prześcieradła pod nieprzytomnym chłopcem i umyli go, nie przerywając ani na moment podtrzymywania jego oddechu.

Gdy pielęgniarka wyniosła brudną bieliznę, usiedli naprzeciwko siebie po obu stronach łóżka. Mocna dłoń Derry'ego rytmicznie naciskała worek, a Sondra osłuchiwała pierś chłopca.

– Płuca są czyste – powiedziała w końcu, wyprostowując się i zdejmując słuchawki.

– Jak długo był bez tlenu?

– Nie wiem. Dwie minuty, a może trzy.

– W takim razie wszystko powinno być w porządku. – Derry musiał zmienić rękę. Ciągłe uciskanie worka powodowało drętwienie palców. – Wygląda na to, pani doktor, że wzięliśmy na siebie obowiązek podtrzymywania pracy płuc.

Sondra spojrzała na niego. Przystojna twarz Derry'ego była ukryta w mroku.

– Możemy skorzystać z pomocy rodziny – zaproponowała cichym głosem. – Jego bracia, siostry, kuzyni będą na zmianę naciskać worek.

Ciemnoniebieskie oczy Derry'ego pograżyły się w zadumie.

– Zatelefonuję do szpitala w Voi i zapytam, czy nie mają do odstąpienia jednego respiratora – powiedział. – Jeśli nie będą mogli nam pomóc, postaram się go zdobyć w Nairobi. A teraz podłączmy kroplówkę i spróbujmy nakarmić chłopca przez sondę nosową.

Sondra badawczo przyglądała się zmęczonej twarzy Derry'ego, pochyleniu jego barczystych pleców i rytmicznemu napinaniu się mięśni rąk.

– Nie gniewaj się na mnie za to, co powiedziałam wcześniej. O skazywaniu Ouko na śmierć. Byłam sfrustrowana.

– Wiem. Nie ma o czym mówić. Wszystkim nam się to zdarza.

Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy.

Rozdział 22

O wschodzie słońca Ouko był nadal nieprzytomny. Do żyły chłopca spływał z kroplówki roztwór soli i cukru, a jeden z zatrudnionych w misji mechaników siedział przy łóżku i pilnie naciskał wspomagający oddychanie worek.

Derry zastał Sondrę w świetlicy. Bezmyślnie mieszała herbatę w filiżance.

– Idź się trochę przespać – zaproponował, kładąc jej rękę na ramieniu.

Ocknęła się z zadumy i zapytała, czy poszczęściło mu się w szpitalu w Voi.

– Niestety nie mają tam żadnego zbędnego respiratora. Polecę do Nairobi, ale dopiero wieczorem, gdy wróci Alec. Na razie będziemy utrzymywać Ouko przy życiu podając mu tlen i posługując się workiem ambu. – Usiadł obok Sondry i rozłożył ręce płasko na stole. – Martwi mnie dalsze karmienie chłopca. Już przybył do nas niedożywiony. Nie wytrzyma długo na kroplówkach.

Sondra odczuwała niewyobrażalne wprost zmęczenie. Nigdy przedtem, nawet podczas stażu, nie była tak obolała. Miała wrażenie, że za chwilę rozpadnie się na kawałki. Umysł jej osłabł, podobnie jak ciało. „Co ja najlepszego zrobiłam?” – zastanawiała się. „Ouko nie przetrzyma trzech tygodni”.

Ale nie powiedziała tego na głos. Teraz i tak nie było już wyjścia. Dopuszczała się „wyczynu”, przed którym przestrzegali ją Derry, i nie mieli odwrotu.

– Zanim pójdę, spróbuję nakarmić go przez sondę.

Derry przyglądał się jej. Spod chustki w barwne wzory wymknęło się kilka czarnych nitok, a rękawy białego swetra, który zakrywał jej gołe ramiona, były starannie zawinięte i odsłaniały brązową skórę. Derry uświadomił sobie, że dostrzega w niej coś, czego nie widział przedtem.

Miała łagodny profil, wysokie czoło, lekko skośne oczy i wysokie kości policzkowe, ale równocześnie mały okrągły nos, pełne usta i mocną, choć niezbyt wydatną brodę, która łagodnie przechodziła w długą szyję. Była piękną kobietą. Derry zawsze o tym wiedział. Ale teraz zauważył coś jeszcze i zdziwił się, jak mógł być dotychczas aż tak ślepy. Nareszcie zrozumiał, dlaczego Sondra Mallone przyjechała do Afryki.

– Ja go nakarmię – powiedział cicho. – Idź i trochę odpocznij. Odwróciła się w jego stronę, uśmiechając się blado.

– Czy to polecenie?

– Oczywiście.

Ku ogólnemu zdziwieniu wszystko przebiegało dobrze. Żyły Ouko przystosowały się do kroplówki, rano zdołali podać mu posiłek przez sondę, a teraz, o zachodzie słońca, wciąż spał spokojnie i nie dokuczały mu skurcze. Ale to był dopiero pierwszy dzień. Mieli przed sobą jeszcze wiele następnych.

Na terenie misji panował względny spokój. Przed izbą chorych koczowali współplemieńcy Ouko – około dwudziestu Masajów siedziało po turecku na zakurzonej ziemi i śpiewało rytualne

pieśni. Wielebny Sanders szedł z grupą ludzi, żeby odprawić modły. Nagle powstało zamieszanie – to z całonocnej wyprawy wracały samochody. Derry wybiegł naprzeciw uczestnikom safari i prędko opowiedział Alecowi, co się wydarzyło. A potem zaprowadził go do izby chorych, gdzie Sondra wyjaśniała jednej z sióstr, w jaki sposób należy zajmować się Ouko. Natychmiast za plecami lekarzy zjawiała się Rebecca, przełożona pielęgniarek.

– Co dwie godziny musisz zmieniać pozycję, w jakiej leży – tłumaczyła Sondra, demonstrując, jak chłopiec ma być przewracany z boku na bok. – Trzeba mu masować plecy. To bardzo ważne. I przemywać oczy. – Wzięła do ręki małą butelkę z roztworem fizjologicznym. – Zapuszczaj mu po kilka kropli tego płynu.

Podniosła wzrok. Zauważyła Derry'ego i Aleca, którzy weszli na salę. Alec był cały zakurzony i miał potargane włosy.

Na widok Rebecki pielęgniarka odskoczyła do tyłu, jak dziecko przyłapanie na wyjadaniu cukierków.

– Ja się tym zajmę, *memsabu* – oświadczyła Rebecca chłodnym i zdecydowanym tonem.

– To bardzo istotne, żeby doglądać chłopca według ściśle ustalonych zasad. Jego stan jest krytyczny. – Sondra odwróciła się do niej i podała kartkę, na której zanotowała, jak powinna przebiegać opieka pielęgniarska nad Ouko.

Ale Rebecca nie patrzyła na zapiski. Jej oczy na pozbawionej wyrazu twarzy były utkwione w Sondrze.

– Proszę zostawić to mnie, *memsabu* – powiedziała jeszcze bardziej stanowczym tonem.

– Chodź – Derry zwrócił się do Sondry, biorąc ją za łokieć. – Rzucimy na niego okiem.

Sondra zawahała się przez moment, wymieniła spojrzenia z wrogo nastawioną pielęgniarką, a potem gwałtownie odwróciła się i ruszyła w kierunku Ouko.

Po kilku minutach Alec MacDonald ponuro pokręcił głową.

– Osobiście bym tego nie zrobił. Pozwoliłbym chłopcu umrzeć. Tak byłoby dla niego lepiej. Nie mam pojęcia, w jaki sposób zdołamy go utrzymać przy życiu.

– Podajemy mu tlen – poinformowała Sondra, wskazując na butlę u wezgowia łóżka.

Pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Wkrótce się odwodni. Jest mu potrzebne nawilżanie.

– Natychmiast polecę do Nairobi – rzekł Derry. – Czekałem tylko na twój powrót.

– Masz zamiar lecieć o tej porze? – zdziwiła się Sondra. – Przecież niebawem zrobi się ciemno!

Na ustach Derry'ego pojawił się przelotny uśmiech.

– Robiłem to już przedtem. Nie martw się o mnie. Zostawiam szpital pod twoją opieką, Alec. Sondra będzie miała tutaj pełne ręce roboty. – Umilkł, obserwując, jak duże dłonie jednego z członków rodziny Ouko sumiennie naciskają worek. Pierś chłopca unosiła się przy każdym wdmuchnięciu powietrza. Zmarszczył brwi. Dzieciak nie wyglądał dobrze. Zastanawiał się, czy zdąży wrócić na czas.

Alec został z Ouko. W tym czasie Sondra pośpiesznie zjadła kolację, wzięła prysznic i zmieniła odzież. Chłopiec wymagał obserwacji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Trzeba było nieustannie kontrolować jego oznaki życiowe. Rozczesując długie i wilgotne włosy, Sondra zastanawiała się, w jaki sposób podobnym przypadkiem zajęliby się lekarze w Phoenix: natychmiast by podłączyli serce do monitora, a potem wykonali arteriotomię i gazometrię.

A ona, Alec i Derry byli zdani tylko na własne oczy i uszy.

– Jaki jest jego stan? – zapytała cicho, wyłaniając się zza parawanu. Kąt, w którym leżał Ouko, był zaciemniony, a wokół łóżka leżał dywan, który tłumił odgłosy kroków. Chłopiec przebudził się chwilę wcześniej, ale jak dotąd nie nastąpił nawrót skurczów.

Alec podniósł się z krzesła, skinął w stronę Thorna, który teraz ścisnął worek, i razem z Sondra wyszedł za parawan.

– Nie wiem, co zrobimy – mruknął, gdy dotarli do drugiego końca sali. – Na samej kroplówce chłopiec nie przeżyje następnego dnia. Jest niedożywiony. Umrze z głodu.

– Jak dotąd udało się go tylko dwukrotnie nakarmić sondą. Alec zachmurzył się.

– Przydałyby się odpowiednie aparaty do kontrolowania krwi. Nie mamy pojęcia, co się dzieje. Nie sposób dłużej trzymać go na kurarce, gdyż grozi to obrzękiem płuc. Nie wolno nam też dopuścić do ponownego ataku, który mógłby spowodować odłączenie się kroplówki. – Pokręcił głową. – I nie możemy przewieźć go do innego szpitala. Jest na to zbyt słaby. Po prostu nie wiem, co robić, Sondro.

„Rozumiem” – pomyślała. „To ja utrzymałam go przy życiu, kiedy powinien był umrzeć. I teraz ja mam obowiązek dopilnować, żeby przetrzymał stan krytyczny”.

Gdy podeszli do stanowiska pielęgniarek, Rebecca podniosła wzrok znad gazety. Na widok Sondry jej oczy zaiskrzyły się – malowało się w nich wyzwanie i chłód.

– Posiedź chwilę przy Ouko, Rebecca. Wielebny Thorn został przy nim sam.

Rebecca umyślnie skierowała spojrzenie na Aleca i przyjęła wyczekującą pozę. Ze znużeniem skinął głową.

– Proszę, idź i posiedź przy nim – powiedział. Dopiero wtedy wykonała polecenie Sondry.

O północy chłopca chwycił skurcz. Odłączyła się kroplówka. Sondra pracowała aż do świtu, próbując uruchomić następną. Żeby tego dokonać, musiała uciec się do wenesekcji, robiąc nacięcie w okolicy kostki. Gdy weszło słońce i osiedle budziło się do życia, stan Ouko pogorszył się.

Alec zmusił Sondrę, żeby poszła odpocząć. Spała niespokojnie. Obudził ją huk powracającej cenny Derry'ego. Czuła się tak samo znużona jak przedtem. Zanim zdążyła się umyć i włożyć czyste ubranie, respirator został umocowany, a przezroczysta zielona rura doprowadzała wilgotny tlen do płuc Ouko. Ale oznaki życiowe chłopca ulegały ciąglemu pogorszeniu, nacięcie w kostce przeciekało, a organizm odrzucił podany przez sondę południowy posiłek. Tak jak

przepowiedział Derry, dziecku groziła powolna śmierć głodowa.

– Dołożyłaś wszelkich starań, Sondro – pocieszał ją Alec, siadając obok niej przy łóżku.

Całe osiedle spało, a Ouko był od siedmiu godzin podłączony do respiratora. Ale Sondry nikt nie mógł ruszyć z miejsca.

Utkwiła szeroko otwarte, bursztynowe oczy w twarzy dziecka. Wyglądał spokojnie, jak każdy zdrowy chłopiec leżący na boku i wsparty na poduszkach. Ale jego wygląd był złudny. Wewnątrz ciała toksyna tężca toczyła zwycięską bitwę.

– Nie poddam się, Alec – oświadczyła pozbawionym emocji głosem.

Sięgnął po jej dłoń.

– Zrobiłaś wszystko, co tylko było możliwe. Nie ma rady. Żadnej ludzkiej istoty nie da się utrzymać przy życiu zbyt długo na kroplówkach. Dzieciak traci codziennie kalorie. Dokarmianie przez sondę okazało się niewystarczające. Jesteśmy bezsilni.

Ale Sondra go nie słuchała. Patrzyła na wolno unoszącą się i opadającą pierś chłopca. Respirator spełniał swoje zadanie. A pielęgniarki dbały o wygodę Ouko i nie dopuszczały do powstawania odleżyn. Wystarczyło go tylko utrzymać przy życiu do chwili, gdy toksyna przestanie działać i zostanie wypłukana z organizmu. Ale żeby to się mogło udać, chłopiec musiał dostać środki odżywcze. Coś ponad to, co mogła mu zapewnić kroplówka i karmienie sondą.

Spojrzała na jego klatkę piersiową. Czerwonawo-brązowa skóra była opięta na wystających żebrach. Wyraźnie zarysowywały się kości obojczyka.

Obojczyk...

– Alec – powiedziała nagle, zwracając się do kolegi. – Czy słyszałeś kiedyś o metodzie hiperalimentacji?

Alec potarł brodę.

– Czytałem gdzieś o tym. Jest to eksperymentalna technika żywienia, wprowadzona z myślą o wcześniakach, prawda? I bardzo ryzykowna z tego, co zrozumiałem.

Sondrę ogarniało coraz większe podniecenie.

– Widziałeś ją kiedyś w praktyce? – Nie, ale...

– A ja tak. W Phoenix. Jeden z internistów i chirurg jako pierwsi przeprowadzili ten zabieg w szpitalu, w którym odbywałam staż. Na szczęście miałam okazję kilkakrotnie przyjrzeć się tej metodzie. – Sondra wyswobodziła rękę z uścisku Aleca i wstała. – Sądzę, że powinniśmy wypróbować ją na Ouko.

– Chyba nie mówisz poważnie?! – Alec zerwał się na równe nogi. – Załedwie ją widziałeś, a to jeszcze daleka droga do zastosowania jej w praktyce. W tych warunkach chcesz podjąć próbę wprowadzenia cewnika do serca dziecka?! Nie mamy na to nawet najmniejszych szans.

Ale Sondra zapaliła się do pomysłu.

– Zostań z nim, Alec. Pójdę porozmawiać z Derrym.

I zanim zdążył zaprotestować, wyszła. Usiadł z powrotem na krześle, podniósł bezwładną rękę Ouko i zbadał coraz słabszy puls dziecka.

Nagle pojawienie się Rebecki zatrzymało Sondrę w pół drogi. Pielęgniarka wyłoniła się z mroku. Wyszła zza świętego figowego drzewa, jak gdyby na nią czekała. Zmierzyła Sondrę twardym wzrokiem. Jej oczy nienaturalnie błyszczały w świetle księżyca.

– Niech mu pani pozwoli umrzeć, *memsabū* – powiedziała niskim głosem, w którym niemal była słyszalna groźba. – Bóg wzywa go do siebie. Proszę pozwolić mu odejść.

Sondra wytrzymała jej wzrok przez chwilę nie dłuższą jak uderzenie serca, a potem wyminęła ją i skierowała się w stronę domu Derry’ego.

Chociaż pora była późna, w oknie paliło się światło. Sondra zapukała do drzwi.

– Wpadł mi do głowy pewien pomysł – wyjaśniła na widok zdziwionej miny Derry’ego. – Może się udać. Przynajmniej daje jakąś szansę. Czy słyszałeś Itiedyś o metodzie hiperalimentacji?

Pomiędzy gęstymi brwiami pokazała się zmarszczka.

– A co to takiego?

– Sposób odżywiania wyłącznie metodą dożylną. Tylko że nie za pośrednictwem kroplówki, ale cewnika umieszczonego w żyłę górnej głównej.

Derry zmierzył Sondrę przeciągłym spojrzeniem. Nigdy o takiej metodzie nie słyszał, a pomysł umieszczenia cewnika w żyłę bezpośrednio zasilającej i dochodzącej do serca wydał mu się nedorzeczny. Nie uszło jednak jego uwagi nagłe ożywienie na twarzy Sondry ani energia, którą kobieta emanowała.

– Na czym to polega? – zapytał, wpychając koszulę do spodni.

– Wiesz, że powodem, dla którego nie możemy żywić Ouko tylko za pośrednictwem kroplówki, jest nieprzyswajanie przez małe obwodowe naczynia stężonego roztworu. A właśnie od możliwości podawania Ouko skondensowanego płynu zależy jego przetrwanie. Metoda wprowadzenia cewnika do dużego naczynia wykazała, że żyła główna górna pozwala na stały przepływ stężonego roztworu przez dowolnie długi okres. Zaczęto ją stosować kilka lat temu w celu ratowania życia noworodków z zaburzeniami trawienia. Ale w Phoenix wykorzystywaliśmy ją również w leczeniu dorosłych pacjentów, którzy przebyli wielokrotne operacje jelit i nie mogli przyjmować jedzenia za pośrednictwem układu pokarmowego. Dzięki hiperalimentacji będziemy mogli całymi tygodniami utrzymywać chłopca przy życiu!

Z twarzy Derry’ego nie zniknął sceptyczny wyraz.

– Czy mamy potrzebne urządzenia, żeby to zrobić?

– Nie wiem. Ale możemy improwizować.

– A co z roztworami?

– Będziemy musieli przygotowywać je sami. Sądzę, że apteka w Nairobi przyjdzie nam z pomocą.

- Czy wiesz, jak wprowadza się cewnik? Zawahała się.
- Widziałam, jak robili to inni.
- Jakie jest ryzyko? Rozłożyła ręce.
- Ogromne. Istnieją setki różnych zagrożeń. Ale jeśli nie spróbujemy, Ouko umrze.

Razem ruszyli w drogę powrotną do szpitala. Minęli grupę modlących się pod oknem Ouko misjonarzy z wielebnym Sandersem na czele i przeszli obok koczujących wokół ognisk Masajów, którzy gotowali jakieś potrawy i podawali sobie z rąk do rąk tykwę kwaśnego mleka wymieszanego z krowią krwią. W izbie chorych sytuacja nie przedstawiała się tak spokojnie, jak w chwili gdy Sondra ją opuszczała. Ouko po przebudzeniu chwycił kolejny skurcz. Roztwór z kroplówki zamiast spływać do żyły, sączył się obok nacięcia, a w płucach chłopca zaczął się gromadzić płyn. Alec i Rebecca co chwila odsysali płyn z płuc i zabandażowali nogę w okolicy podłączenia kroplówki. Zastrzyk z kurary na nowo pozbawił Ouko przytomności. Alec przeczesał dłonią włosy.

– Chłopiec dostał skurczu naczyń krwionośnych. Nie ma już żyły, do której moglibyśmy podłączyć kroplówkę.

Sondra uklękła przy chorym i zbadała mu płuca. Nie spodobało się jej to, co w nich usłyszała.

– Musimy spróbować metody hiperalimentacji – stwierdziła, podchodząc do Aleca i Derry’ego, którzy stanęli w nogach łóżka, żeby Rebecca mogła zmienić chłopcu pościel.

Derry spojrzał pytająco na kolegę, ale ten pokręcił głową.

– Słyszałem o tej metodzie, ale była przeprowadzana w idealnych warunkach. Jest eksperymentalna i wielce ryzykowna. Istnieje niebezpieczeństwo wystąpienia zaburzeń w przemianie metabolicznej, takich jak cukromocz, kwasica czy obrzęk płuc, nie mówiąc już o tym, że samo wprowadzenie cewnika może stać się powodem posocznicy, trombozy i zakłóceń rytmu serca.

Derry odwrócił się do Sondry i uniół brwi.

– Nie twierdzę, że jest całkowicie bezpieczna.

– A co powiesz o ryzyku samego zabiegu?

– Nakłuwając ścianę klatki piersiowej możemy spowodować zapadnięcie się płuca albo wprowadzić cewnik w przestrzeń opłucnej zamiast w żyłę i wlewać chłopcu litry roztworu do płuc. Inne zagrożenie polega na przypadkowym trafieniu w tętnicę. W takim przypadku dziecko umrze, zanim zdążymy się zorientować. Ale jeśli pozostaniemy bierni – wskazała na leżącego w białej pościeli i śpiącego bezbronne chłopca – godziny jego życia są policzone.

Derry zamyślił się. Na jego twarzy wyraźnie malowało się niezdecydowanie. Czy powinni narażać Ouko na ogromny ból i przedłużać jego cierpienie? Czy uczciwie postąpią wobec ludzi czekających na zewnątrz, dając im złudną nadzieję?

Jego wzrok spoczął na wielkich oczach Sondry. Patrzyły na niego błagalnie.

– Zgoda. Spróbujmy – powiedział cicho.

Rozdział 23

Lekarze z misji Uhuru nie dysponowali niezbędnymi urządzeniami, nie mieli odpowiedniego roztworu, sterylnych warunków ani osoby przeszkolonej w wykonywaniu zabiegu hiperalimentacji, ale uznali te wszystkie przeszkody za niewystarczające.

Wbrew radom Derry'ego Sondra nie poszła się przespać. Pracowała przez całą noc, usiłując przygotować jak najlepszy zestaw prowizorycznych narzędzi. I tak nie mogłaby zasnąć. Adrenalina działała pobudzająco na umysł. Sondra gorączkowo myślała nad sposobem działania.

Spośród narzędzi, jakie znajdowały się na izbie przyjęć, skompletowała elementarny zestaw. Najbardziej ją jednak niepokoił brak sterylnych warunków. Otwarcie żyły bezpośrednio dochodzącej do serca i utrzymywanie przez dłuższy czas dostępu do niej sprzyjało rozwinięciu się gwałtownego zakażenia. Zdawała sobie sprawę, że po wykonaniu zabiegu chirurgicznego, gdy cewnik znajdzie się w żyłę głównej górnej i zostanie przymocowany do niej szwami, będą musieli przez cały czas kontrolować jego położenie, pilnować, żeby nie ruszył się z miejsca, i utrzymywać go, tak jak i ranę, w czystości. Trzeba będzie obchodzić się z Ouko bardzo ostrożnie – wystrzegać się podczas zabiegów pielęgnacyjnych wszelkich gwałtownych ruchów. Ani na chwilę nie będą mogli spuścić chłopca z oka, żeby interweniować natychmiast w chwili wystąpienia pierwszych oznak infekcji.

Sondra wiedziała, że te wszystkie zadania spoczną na barkach pielęgniarzek.

Przypuszczała, że prędzej czy później konfrontacja z Rebeccą będzie nieunikniona. Teraz jednak, gdy cała misja spała, a Masajowie cicho nucili za oknem jakąś pieśń, przeglądała zapasy w izbie przyjęć i przygotowywała prowizoryczny zestaw narzędzi do przeprowadzenia zabiegu hiperalimentacji: cewnik 18 Silastic, igłę rozmiar szesnaście, gumowe rurki dożylnie, kleszcze, nożyczki, strzykawki, igły do zastrzyków podskórnych, hemostaty, skalpele, gazę i jedwabne nici. Trzykrotnie wygotowała wszystkie narzędzia w przestarzałym ambulatoryjnym autoklawie, starając się możliwie jak najlepiej je wysterylizować.

W czasie gdy Sondra przebywała w przychodni, Derry skontaktował się drogą radiową z izbą przyjęć w Nairobi. Sporządzenie roztworu do hiperalimentacji Ouko nie było sprawą prostą. Derry ustalił ze swoim rozmówcą, farmaceutą, dzienne zapotrzebowanie organizmu chłopca na witaminy, proteiny, elektrolit, cukier, sole i kalorie. Aptekarz obiecał, że sterylny roztwór będzie gotowy nazajutrz wieczorem. Derry miał polecieć po jego odbiór samolotem.

Trójka lekarzy rozpoczęła operację o świcie.

Postanowili nie ruszać chłopca z miejsca i przeprowadzić zabieg na łóżku.

Przynieśli dodatkowy parawan i zawiesili go czystymi prześcieradłami. Na szafce nocnej postawili jeszcze jedną lampę i skierowali światło w okolice prawego obojczyka Ouko. Alec usiadł z tyłu za głową chłopca i trzymając słuchawkę przytkniętą do piersi dziecka, rejestrował czynność jego serca i płuc. Derry i Sondra zajęli miejsca naprzeciwko siebie i przystąpili do pracy. Rebecca stanęła w nogach łóżka i w milczeniu bacznie przyglądała się operacji. Trudno

było cokolwiek odczytać z jej przymrużonych oczu nad chirurgiczną maską.

Sondra i Derry włożyli rękawice i przykryli Ouko sterylnymi chustami, pozostawiając odsłonięty i zamalowany na czerwono jodyną kilkucentymetrowy kwadrat ciała w okolicy szyi i obojczyka. Gdy przygotowania dobiegły końca, Sondra spojrzała najpierw na Aleca, który skinął głową, sygnalizując, że oznaki życiowe chłopca są stabilne, a potem na Derry'ego. W jego poważnych oczach nie dostrzegła wątpliwości.

– Muszę teraz znaleźć żyłę podobojczykową, przez którą wprowadzimy cewnik – oświadczyła, biorąc do ręki strzykawkę z długą igłą.

Wszyscy troje wpatrywali się w brązowo-czerwonawą skórę, która pod wpływem oddechu lekko unosiła się i opadała. Żyły na szyi Ouko były nabrzmiałe, gdyż łóżko w nogach zostało nieznacznie uniesione w górę, żeby naczynia krwionośne bardziej się wypełniły. Znalezienie odpowiedniej żyły stało się dzięki temu łatwiejsze. Nagle Sondra przeraziła się. Mogła trafić w tętnicę...

Opanowała drżenie rąk i dotknęła cienkich kości obojczyka. Znalazła wcięcie w mostku – małe wgłębienie na szczycie kości – i przytknęła igłę do skóry. Zawahała się. Zaszło jej w ustach i huczało w uszach. Obserwowała kilkakrotnie ten zabieg, ale teraz miała go wykonać samodzielnie...

Przebiła skórę.

– Derry – mruknęła.

Zareagował natychmiast, przymocowując do igły strzykawkę. Gdy Sondra powoli i ostrożnie wprowadzała igłę w głąb ciała, ręce Derry'ego poruszały się razem z jej dłońmi, przytrzymując szklany cylinder.

– Spróbuj teraz – poprosiła.

Odciągnął nieznacznie tłok, ale w zbiorniku strzykawki nic się nie pojawiło.

Wypatrywali gęstej i ciemnej krwi, która by świadczyła o tym, że igła znalazła się w żyłę. Chybili celu, skoro strzykawka wciąż była pusta. Gdyby wypełniła się powietrzem, toby oznaczało, że trafili w płuco, a jeśli by pokazała się w niej jasna, pulsująca krew...

Sondra przełknęła z trudem ślinę. Czując pod palcem wygięcie mostka, zanurzała igłę coraz głębiej.

Jej czoło zrosiło się potem. Tyle rzeczy mogło się zdarzyć! Istniało ryzyko, że trafi w tętnicę pachową albo w splot ramienny!

– Spróbuj teraz – wyszeptała. Derry odciągnął tłok. I nic.

Rebecca przyglądała się spod wprzymkniętych powiek zabiegom Sondry.

Alec wsłuchiwał się w pracę serca Ouko.

– Odciągnij – poprosiła Sondra. Strzykawka wciąż była pusta.

Sondra zaczęła się cała trząść. Z pewnością powinna już dotrzeć do żyły. Czyżby wbiła się za głęboko? Znajdowała się niebezpiecznie blisko wierzchołka płuca. „Czy powinnam wyciągnąć igłę i spróbować ponownie, wbijając ją pod innym kątem?” – pomyślała.

– Odciągnij. Nadal nic.

Ręce jej znieruchomiały. Nie była w stanie bardziej zagłębić igły. Ale nie mogła jej też wyciągnąć. „Coś jest nie tak! Nie powinnam była podejmować tej próby!”

– Nie potrafię – szepnęła tylko, a zaraz dłonie Derry’ego znalazły się na jej rękach i głębiej zanurzyły igłę. A kiedy odciągnęły tłok, w komorze strzykawki zaczął powoli podnosić się poziom cieczy o kasztanowej barwie.

Czworo zgromadzonych wokół łóżka ludzi odetchnęło z ulgą.

– W porządku – powiedziała Sondra, odetchnąwszy głęboko. – Jesteśmy w żyłę podobojczykowej. Teraz musimy wprowadzić przez igłę cewnik i umieścić go w żyłę głównej górnej.

Derry przytrzymał strzykawkę, a Sondra wzięła do ręki zwój silikonowej rurki, wyprostowała ją i przyłożyła do piersi Ouko. Czerwoną kreską zaznaczyła odległość do serca chłopca.

– W porządku, Derry, odłącz strzykawkę – poprosiła. Odrobina krwi wydostała się na zewnątrz. Sondra prędko wytarła ją gazą i zaczęła wsuwać cewnik.

Ręce jej drżały i czuła spływający pomiędzy łopatkami pot. Jeśli się przeliczyła, rurka mogła dojść do serca albo zawinąć się w górę i trafiając w rdzeń kręgowy zabić Ouko.

Mocne i pewne dłonie Derry’ego asystowały delikatnym i precyzyjnym rękom Sondry. Gdy cewnik zaczął przesuwac się coraz dalej, Alec pochylił się do przodu i z wyteżoną uwagą przysłuchiwał się pracy serca. Ze słuchawkami w uszach i ręką na piersi Ouko czuwał, żeby wychwycić pierwszy sygnał zaburzeń. Powoli rurka wsuwała się w głąb, wprowadzana wprawnymi dłońmi Sondry i Derry’ego. Gdy czerwona kreska znalazła się przy skórze, Sondra zatrzymała się.

– Powinniśmy już być na miejscu – stwierdziła. Wpatrywali się w czerwono-brązowy pasek ciała, jak gdyby łudzili się, że zdołają dostrzec znajdującą się w głębi żyłę. Wszyscy troje widzieli już oczami wyobraźni cewnik umieszczony w dużym naczyniu zasilającym prawy przedsionek serca.

Nawet czuwająca przy łóżku Rebecca pochyliła się do przodu, jak gdyby chciała przeniknąć wzrokiem na wskroś pierś chłopca. Po chwili wyprostowała się i zamrugała powiekami.

Sondra spojrzała na Aleca.

– Co z sercem?

– Wszystko w porządku. Nie stwierdzam arytmii. Zatrzymała oczy na Derrym. Był zamyślony.

– Czy nie powinniśmy już usunąć igły? – zapytała.

Przymocowali cewnik do skóry czarną jedwabną nicią, zakryli miejsce sterylną gazą i zalepili je plastrami. Sondra zdjęła rękawice i podłączyła do rurki przygotowaną butlę z pięcioprocentowym roztworem glukozy. Otworzyła przepływ i cztery pary zaniepokojonych oczu zaczęły śledzić sączące się krople.

Derry przeszedł na drugą stronę łóżka i wziął Sondrę za rękę.

– Idź i odpocznij. Będziemy czuwać przy Ouko na zmianę z Alekiem.

Zmęczenie trzech ostatnich dni dało o sobie znać i gdy tylko Sondra wyciągnęła się na łóżku, natychmiast zasnęła twardym snem.

Derry nie obudził jej w południe, tak jak o to prosiła, i gdy otworzyła oczy i zobaczyła otaczającą ją ciemność, przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Za oknem panował dziwny spokój.

I nagle przypomniała sobie: „Ouko!”

Sala była pogrążona w mroku. Wszyscy pacjenci spali. Jedna z pielęgniarek siedziała za pulpitem z Biblią otwartą na Apokalipsie. Przy łóżku chłopca Sondra zastała Derry’ego. Trzymał w górze lampę i obserwował butlę z roztworem.

– Co z nim? – zapytała, wychodząc zza parawanu. Derry odwrócił się, zaskoczony.

– Już nie śpisz? Jak na razie wszystko w porządku. – Wskazał na butlę. Sondra podeszła bliżej, żeby się jej lepiej przyjrzeć. – Przed chwilą przywiozłem ją z Nairobi. Jeśli nasze obliczenia okażą się właściwe i nie pojawią się nieprzewidziane kłopoty z cewnikiem, to przez długi czas będziemy mogli utrzymywać na tym chłopca przy życiu.

Sondra nie spuszczała wzroku z odwróconej do góry dnem kroplówki. Zaraz po zabiegu zaczęli podawać chłopcu pięcioprocentowy roztwór glukozy. Chcieli się upewnić, czy działa cewnik, i wzmocnić Ouko, zanim Derry nie poleci do Nairobi. Receptura roztworu nie była łatwa do ustalenia. Dopiero czas miał wykazać jej skuteczność. Określili dzienne zapotrzebowanie organizmu Ouko na dwa tysiące kalorii. Zwykły pięcioprocentowy roztwór glukozy mógł mu dostarczyć jedynie czterysta kalorii dziennie. Musieli sporządzić bardziej stężony pokarm. Każda przywieziona z Nairobi butla zawierała ponadto azot, potas, sole, witaminy, proteiny, aminokwasy, magnez i wapń – w ilościach odpowiednich do wagi, wieku i odżywczych potrzeb chłopca.

– Jutro będziemy wiedzieli, czy się nam udało – stwierdził Derry, odstawiając lampę na miejsce i odwracając się twarzą do Sondry. Stali blisko siebie w półmroku, otoczeni ciszą bezsennej nocy. – Na razie zaczniemy od podawania jednej butli dziennie. Jeśli organizm chłopca będzie tolerował płyn, zwiększymy dzienną dawkę, uzupełniając ją kroplówką. Co tydzień skontrolujemy poziom cukru we krwi, trzy razy w tygodniu elektrolity i co pewien czas zbadamy morfologię.

Umilkł i zmierzył Sondrę zagadkowym spojrzeniem. Otworzył usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale zaraz się rozmyślił. Odwrócił głowę i utkwiał wzrok w śpiącym dziecku.

– Rebecca dopilnuje, żeby pielęgniarki czuwały przy nim na zmianę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kazałem jej też słuchać twoich bezpośrednich poleceń.

Ouko stał się ośrodkiem zainteresowania całej misji. Nie zanedbywano innych pacjentów, ale zdrowie małego chłopca z plemienia Masajów szczególnie leżało wszystkim na sercu. Tym bardziej że szanse na jego wyleczenie były wciąż bardzo chwiejne.

Czwartego dnia po operacji skóra wokół cewnika zaogniła się i trzeba go było założyć na nowo. W czasie okresów odzyskiwania przytomności chłopca chwytaly tak gwałtowne skurcze, że za każdym razem dzieciak był bliski utraty życia. Dziesiątego dnia z płuc Ouko dobiegł alarmujący bulgot i chłopcu zaczęto podawać antybiotyk przeciw zapaleniu płuc. Lekarze na zmianę czuwali przy jego łóżku, kontrolując jego stan ogólny i przeprowadzając badania laboratoryjne. Pielęgniarki, zgodnie z dokładnymi zaleceniami Sondry, dbały o jego czystość oraz o wygodę i nie dopuszczały do powstawania odleżyn. Wielebny Sanders modlił się co rano przy chorym, a co wieczór w jego intencji odprawiał mszę.

Ouko straszliwie spadał na wadze. Postanowiono zwiększyć kaloryczność jego diety. Skład roztworu ponownie musiał zostać zmieniony, ponieważ analiza moczu wykazała obecność cukru. Gdy tylko organizm chłopca tolerował odżywianie przez sondę, podawano mu śmietanę i jajka. Cewnik umieszczony w cewce moczowej stał się przyczyną infekcji i trzeba go było wymienić. Zwiększono dawkę antybiotyków. Zapalenie płuc prędko się rozprzestrzeniało. Regularnie odsysano płyn przez otwór w tchawicy. Nieustannie robiono badania laboratoryjne. Nie było minuty, żeby ktoś nie siedział przy łóżku chłopca. I ani na chwilę nie milkły modły.

W końcu osiemnastego dnia, w dwa tygodnie i cztery dni od momentu kiedy został przyniesiony do szpitala, Ouko przez całą dobę był przytomny i ani razu nie chwycił go skurcz. Postanowiono odłączyć respirator.

A dziewiętnastego dnia usunięto cewnik do hiperalimentacji.

Sondra miała nazajutrz rano amputować owrzodzoną stopę starcowi z plemienia Taita. Kończyła przygotowania do operacji, sporządzając krzyżówkę krwi w zawiesinie soli, gdy do ambulatorium wszedł Alec.

– Nie miałabyś ochoty pójść przed kolacją na spacer? – zapytał.

Był piękny lutowy wieczór z malowniczym zachodem słońca. Różowy kolor nieba stopniowo przechodził w pomarańczowy, a nad linią horyzontu unosiła się liliowa mgiełka. Na terenie misji panowało ożywienie. Wszyscy spieszyli się, żeby wykorzystać ostatnie chwile dziennego światła.

Sondra darzyła sympatią Aleca MacDonalda; była w nim podtrzymująca na duchu niezawodność. Lubiała jego obecność, beztrojski uśmiech i zapach wody Old Spice wymieszany z wonią fajkowego tytoniu. Przechadzając się teraz po obrzeżach ogrodzonego terenu, machali ludzom, którzy zabierali dzieci do wiosek albo zaganiaли zwierzęta do zagród. Codzienna praca w misji dobiegała końca.

– Przed chwilą zjrzałem do starego *Mzee* Mosea – powiedział Alec, gdy przechodzili pod drzewem figowca. – Chwała Bogu przestał już kasłać krwią i niczego nie słychać w płucach.

Sondra skinęła głową, wsadzając ręce do kieszeni obszernego swetra. Do misyjnego szpitala wciąż przybywali coraz to nowi chorzy z najróżniejszymi dolegliwościami. Ale Sondra kochała swoją pracę.

Gdy znaleźli się pod sklepieniem z gałęzi tropikalnych drzew i barwnych pnączy, Alec poruszył temat pogody:

– Wkrótce nastanie pora deszczowa. Czujesz ten zapach pa – I lonej przez Masajów starej trawy?

Sondra pozdrawiała mijanych ludzi i ukłoniła się pani Whittaker, nauczycielce, która właśnie zamykała szkołę. Rozejrzała się za Derrym, ale nie było go w zasięgu wzroku. Upłynęło kilka minut, zanim zorientowała się, że Alec zreżymuje temat rozmowy.

– Czasami dają się nam we znaki surowe zimy. Pochodzisz z Arizony i moja wyspa, leżąca w północnej części globu, na pewno by ci się wydała zbyt surowa i nieco prymitywna. Ale jest wyjątkowo piękna. Sądzę, że z czasem zdołałabyś ją pokochać.

Przechodzili obok kościoła. Znad linii horyzontu błyskały ostatnie złote promienie zachodzącego słońca. Alec zatrzymał się nagle i odwrócił się twarzą do Sondry.

– Nie potrafiłem wymyślić lepszego sposobu na rozpoczęcie tej rozmowy, Sondro – powiedział impulsywnie. – Całymi dniami łamałem sobie nad tym głowę. Okazało się, że pogoda jest jedynym tematem, jaki zdołałem znaleźć.

Spojrzała na niego zdziwiona.

Położył jej ręce na ramionach i utkwiał wzrok w jej oczach.

– Proszę cię, żebyś za mnie wyszła – powiedział łagodnie. – Pragnę, żebyś pojechała ze mną do Szkocji i dzieliła ze mną dalsze życie.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Nagle pojęła, o czym Alec mówi. Oto oferował jej dzikie i piękne wyspy, liczący sobie kilka wieków dom przodków zamieszkały przez braci, siostry i kuzynów, oraz wygodne i bezpieczne życie. Proponował jej nazwisko i rodzinę. Rodzinę!

– Nie oczekuję natychmiastowej odpowiedzi, Sondro. Wiem, że moja propozycja jest dla ciebie olbrzymim zaskoczeniem. Nie zamierzam cię ponaglać. Zostało nam tutaj jeszcze siedem miesięcy. Na zastanowienie się masz mnóstwo czasu. Pragnę cię jedynie zapewnić, że bardzo cię kocham i chciałbym razem z tobą spędzić resztę życia.

To było jak sen. Gdy się pochylił i pocałował ją, nie protestowała. Ale gdy jego pocałunek stał się bardziej namiętny i Alec przygarnął ją bliżej do siebie, Sondra wiedziała, że miejsce w jej myślach i marzeniach zajmuje Derry. Postąpiłaby nieuczciwie wobec Aleca, pozwalając mu się całować i nie mówiąc mu prawdy.

Ciszę zmroku zakłócił głośny odgłos kroków. Odskoczyli od siebie. Zza kościoła wyłonił się Derry. Zatrzymał się na ich widok, przez moment stał niezdecydowany, a potem zwrócił się do

Sondry, jak gdyby niczego nie spostrzegł.

– Szukałem ciebie. Ktoś ma ochotę się z tobą spotkać.

Ruszyła za nim w stronę izby przyjęć. Alec próbował dotrzymać im kroku. Była zaintrygowana. Kto chciał się z nią widzieć?

Zrozumiała natychmiast, gdy tylko weszła na oddział. W odległym końcu sali stało łóżko, które przez dziewiętnaście dni było oddzielone od pozostałych parawanem. Siedział na nim mały chłopiec i karmiony przez Rebeccę, z apetytem pałaszował owsiankę z miodem.

Gdy lekarze podeszli bliżej, przestał jeść i patrzył na nich szeroko otwartymi oczami. Rebecca wytarła mu serwetką brodę. Chłopiec ze szczególnym zaciekawieniem przyglądał się stojącej w środku *memsab*, którą często widywał w swoich dziwnych snach.

– Dzień dobry, Ouko – przywitała go z łagodnym uśmiechem.

Chłopiec przełknął pokarm i nieśmiało się uśmiechnął. Wciąż był katastrofalnie chudy i nie miał nawet siły, żeby utrzymać łyżkę, ale bystre spojrzenie i uśmiech nieomylnie świadczyły o tym, że powraca do życia.

– Ouko – zwrócił się do niego Derry w dialekcie Masajów. – To jest *memsab*, która ci ocaliła życie.

Chłopiec coś wymamrotał, a jego twarz oblała się czerwono-brązowym rumieńcem.

– Ouko ci dziękuje – wyjaśnił Derry. – Mówi, że nigdy o tobie nie zapomni.

Sondra poczuła w oczach palące łzy.

Rebecca odstawiła miskę z owsianką, wstała i utkwiała wzrok w Sondrze.

– Czy *memsab* ma jakieś nowe polecenie dotyczące pielęgnacji Ouko?

Sondra spojrzała na pielęgniarkę. Rebecca spędziła przy łóżku chłopca więcej godzin niż którakolwiek z sióstr. To ona wykryła zapalenie płuc, przestrzegała codziennej kontroli cewnika i zwolniła jedną z pielęgniarek za nienależycie przeprowadzone badanie stanu ogólnego dziecka. Była dobrą i rzetelną kobietą, którą każdy lekarz chciałby mieć przy sobie w krytycznym momencie.

– Kieruj się własnym sądem, Rebecco – powiedziała Sondra.

Przez usta pielęgniarki przemknął cień uśmiechu.

– Dobrze, *memsab* – rzekła i z powrotem zajęła swoje miejsce.

Alec zatrzymał się przy łóżku *Mzee* Mosesa, żeby mu ponownie osłuchać płuca, a Sondra i Derry wyszli ze szpitala w zapadającą noc. Zerwał się wiatr. Przyniósł ze sobą aromat kwiatów, woń zwierząt i zapach palonej trawy. Derry spojrzał przed siebie na Wzgórza Taita, które przybrały purpurową barwę na tle pociemniałego nieba.

– Masz kilku nowych przyjaciół – zauważył. – Uczciwie sobie na to zasłużyłaś.

Sondra milczała. Nie mogła wydobyć z siebie słowa.

– Za kilka dni wybieram się na północ, do krainy Masajów – oznajmił. – Pojedziesz razem ze mną?

Rozdział 24

Czekała ich ponad sześćsetkilometrowa podróż z postojem w Nairobi, gdzie mieli uzupełnić zapasy. Sondra jechała w pierwszym land roverze z Derrym, w drugim zajmował miejsce wielebny Thorn i Kamante, a trzeci z pojazdów prowadził Abdi, kierowca z plemienia Suahili.

Trzy samochody podskakiwały na wyboistej i pełnej kurzu drodze, która prowadziła z misyjnego osiedla do szosy Voi Moshi, przecinając czerwoną i równinną pustynię, pocętkowaną zielonymi drzewami i ciernistymi krzewami o wysokości równej wzrostowi człowieka. Gdy dotarli do szlaku prowadzącego na północ do Mombasy, słońce już weszło wysoko i zaczął im doskwierać upał. Sondra rozglądała się po obszernych, rdzawych pustyniach Tsavo West i Tsavo East, gdzie tu i ówdzie wznosiła się skała pochodzenia wulkanicznego albo drzewo, które wyglądało tak, jak gdyby je ktoś posadził do góry nogami.

– To baobab – wyjaśnił Derry. – Afrykanie wierzą, że drzewo to rozgniewało kiedyś Boga. Ze złości wyrwał je i wsadził odwrotną stroną do gleby. Tubylcy uważają, że widoczne konary są w rzeczywistości korzeniami, a liście rosną pod ziemią. – Od mitu o baobabach Derry przeszedł do innych plemiennych wierzeń – legend i podań, które tłumaczyły prymitywnym afrykańskim ludom wiele tajemniczych zjawisk.

Zanim dojechali do Nairobi, Sondra zdołała się więcej dowiedzieć na temat Kenii i wierzeń żyjących w niej plemion niż podczas całego pięciomiesięcznego pobytu w Afryce.

W miłej atmosferze upłynął im obiad, który zjedli w restauracji „Pod ciernistym krzewem” mieszczącej się w hotelu „New Stanley”. A potem uzupełnili zapasy w Centrum Badań Immunologicznych Światowej Organizacji Zdrowia i wyjechali z miasta. Na drodze panował duży ruch. Gdy posuwali się za sznurem pojazdów po dwupasmowej asfaltowej szosie, Derry w dalszym ciągu był nadzwyczaj rozmowny. Opowiadał Sondrze coraz to nowe historie.

Zmiana w Derrym zaintrygowała Sondrę. Obserwując profil jego uśmiechniętej twarzy, zrozumiała, na czym polega różnica: Derry nigdy dotąd nie był aż tak ożywiony.

Droga, którą jechali, biegła pomiędzy farmami oraz plantacjami i miała nierówną nawierzchnię. Afrykanie nazywali ją „Zemstą Mussoliniego”, ponieważ została wybudowana przez włoskich jeńców wojennych i znajdowała się w katastrofalnym stanie. Po czterdziestu pięciu minutach jazdy z Nairobi dotarli do wzniesienia, na którym leżała osada zwana Kijabe. Po drugiej stronie wierzchołka roztaczał się malowniczy widok na Dolinę Great Rift.

– Tam w dole znajdowało się ranczo mojego ojca – oznajmił Derry, zwalniając i zjeżdżając na pobocze. – Tutaj dorastałem.

Wysiadł z samochodu, obszedł go, otworzył drzwi od strony Sondry i podał jej rękę.

– Musisz zobaczyć to miejsce.

Zaprowadził ją na krawędź zbocza. Poniżej, w rozpościerającej się u ich stóp dolinie, ciągnęły się złote łąny pszenicy otoczone kielichem fiołkowo-różowych wzgórz. Rozległy widok zapierał dech w piersi. Farmy i gospodarstwa hodowlane tworzyły szachownicę. A w powietrzu,

w chłodnych i spokojnych powiewach wiatru, szybowały drapieżne orły. Sondra patrzyła jak urzeczona.

– Ranczo znajdowało się tam, w dole – powiedział cicho Derry. – Farma została przebudowana. Sprzedałem ją wiele lat temu. W moim dawnym domu mieści się teraz szkoła *harambee*.

Sondra obejrzała się na Derry'ego. Spozrzęła, że chłonie wzrokiem cały krajobraz. Zauważyła, że wiatr zmierzwił mu włosy. Pewnie poruszył też jego duszę.

Była zakłopotana. Derry się całkiem przed nią odsłonił. Stał się niemal bezbronny. Ale jednocześnie znalazła odpowiedzi na wszystkie dręczące ją pytania. Ta kraina, dzika i bezkresna, o dolinach w kolorze pszenicy i zielonych górskich zboczach powiedziała jej wszystko o Derrym Farrarze. Był człowiekiem nieskomplikowanym, tak jak jego niecywilizowany świat. Żył zgodnie z jego rytmem, oddychał jego tchnieniem. Sondra niemal czuła, że stęskniona dusza Derry'ego ogarnia całe to otoczenie, tak jak powracający syn czule obejmuje członków dawno nie widzianej rodziny. Zazdrościła mu. Derry miał swoje miejsce w życiu, wiedział, kim jest i prawdopodobnie nawet, dlaczego.

U podnóża góry skręcili w długą wstążkę' autostrady, która przecinała zielone plantacje i farmy. Mijali kobiety w szatach w barwne wzory, które niosły niemowlęta na plecach. Widzieli tłumnie wysypujące się z klas dzieciaki w szkolnych fartuchach. Land rovery zrównały się ze zdezelowanymi ciężarówkami wyładowanymi trzcina cukrową oraz workami kawy, a potem wyprzedziły je w typowy dla Keniżyków sposób – na zakręcie, mijając „czarne punkty” przypominające o wypadkach, w których zginęli ludzie. Tereny zagospodarowane stopniowo zaczęły ustępować miejsca obszarom coraz mniej zamieszkanym. W końcu nie było już widać pól uprawnych, a ruch na drodze stał się mniejszy. Wjeżdżali w krajobraz równinny. I starszy.

Późnym popołudniem dotarli do Narok. Nad stacją benzynową Mobil, zatłoczoną z powodu dwudziestu furgonetek, które wiozły turystów na safari, dominowały drzewa akacji i pokaźne budowle z betonowych bloków pokryte falistą blachą. Trzy samochody zatrzymały się, żeby uzupełnić paliwo. Derry sprężystym krokiem podszedł do okienka. Po postoju w Kijabe jego zachowanie i fizyczna postawa uległy przeobrażeniu. Wymienił kilka żartobliwych uwag z siedzącym za ladą Hindusem, właścicielem stacji, a potem pozdrowił grupę starych Masajów, którzy się zebrali, żeby wspólnie wypić butelkę Harvey's Bristol Cream. Zbliżył się do samochodu, podając Sondrze puszkę zimnego piwa. „Derry wrócił do domu” – pomyślała.

W Narok kończyła się szosa o nawierzchni z tłuczni. Dalej ciągnęła się już tylko pokryta pyłem droga gruntowa. Gdy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi po drugiej stronie Masai Mara, droga zmieniła się w dwie koleiny wyłobione w wysokiej trawie przez opony przejeżdżających samochodów. Przed nimi roztaczał się widok na złote równiny Tanzanii skapane w miedziano-pomarańczowym blasku zachodzącego słońca. Nieliczne drzewa rzucały wydłużone cienie. Pod krzewem cierniowca drzemało stado sytych lwów. Zwierzęta uniosły leniwie nosy, gdy trzy pojazdy trzęsąc się na wybojach, przemknęły obok nich.

Aż po linię odległego horyzontu ciągnęła się równina porośnięta pozółkłą trawą i drzewami o płaszczyznach wierzchołkach. Sondra miała wrażenie, że się porusza w czasie, a nie w przestrzeni. Wydawało się jej, że od świata cywilizacji, który zostawiła za sobą, dzieli ją nie kilometry, lecz lata. Obok samochodów sunęła rodzina żyraf. Spłoszony słoń odskoczył od drzewa, które odzierał z kory. Na niebie kreśliły olbrzymie koła białe i szare jastrzębie. Nagle zanurkowały w dół, żeby pochwycić w szpony zdobycz.

Po godzinie męczącej jazdy po nierównym terenie dotarli do niewielkiego strumienia – dopływu rzeki Mara. Znaleźli kępę akacji, która miała służyć za klinikę na powietrzu, otoczyli ją pojazdami i przystąpili do rozbijania obozu.

A potem siedząc w bezpiecznym wnętrzu namiotu, rozkoszowali się kolacją z zębacza złowionego w strumieniu przez Kamante i podanego z młodymi ziemniakami w sosie z dodatkiem cząbr. Nikomu nie spieszyło się z pójściem spać.

– Jutro złączą przybywać pacjenci – oświadczył Derry. Zapalił papierosa, usiadł wygodnie na składanym płóciennym krześle i wyprostował swoje długie nogi. – Tę część kraju zamieszkują Masajowie. Dzięki własnej sieci komunikacyjnej mogą się bez trudu porozumiewać. Od rana będziemy mieli ręce pełne roboty.

Sondra trzymała w dłoniach blaszany kubek z kawą, zabieloną dużą ilością mleka z puszki, i przyglądała się Kamante, który dorzucał drewno do ogniska. Wielebny Thorn chrapał na swoim posłaniu pod siatką zawieszoną na gałęzi drzewa. Po przeciwnej stronie małego kręgu stał namiot, który miał im służyć za przychodnię w ciągu dnia, a nocą był przeznaczony na kwaterę dla Sondry. Derry’emu przypadł w udziale namiot z żywnością, a dwaj kierowcy nocowali pod drzewami. Sondra wsłuchiwała się w głęboką ciszę. Przywykła już do niej i zdążyła ją pokochać.

– Co to za dźwięk? – zapytała. Derry nadstawił ucha.

– To nawoływanie przewodnika miodu. Jest ładnym ptakiem, który kocha miód, ale zbyt delikatny dziób uniemożliwia mu samodzielne wydłubywanie wosku. Dlatego woła o pomoc. Czasami na jego wezwanie odpowiada miodożer rateł, a czasami człowiek. Jeśli pójdziesz za nim, zaprowadzi cię do ula. Zbierzesz tyle miodu i wosku, ile ci potrzeba, a resztę zostawisz dla niego.

– Wygodny system – Sondra uśmiechnęła się.

Derry głęboko zaciągnął się dymem, powoli go wydmuchnął, a potem zgasił papierosa na umocowanej do krzesła popielniczce.

– Kiedyś pewnie tak było, ale nie teraz. W obecnych czasach człowiek ma słodczyce, cukier, dżem oraz czekoladę. Miód nie jest mu tak niezbędny jak kiedyś. Przewodnik miodu może sobie na próżno zdzierać gardło. I tak nikt za nim nie pójdzie.

Sondrę ogarnął smutek z powodu daremnych nawoływań ptaka, z powodu ginącej Afryki, a razem z nią dziecięcych marzeń mężczyzny.

– Mam nadzieję, że spotkamy Ole Seronei – dobiegł ją cichy głos Derry’ego. – To powszechnie szanowany Masaj, o którym krąży wiele legend. Nie znajdziesz szlachetniejszego i

bardziej godnego wodza niż Ole Seronei. Przebywał w tej okolicy w ubiegłym roku, ale teraz jego *enkang* może być już daleko stąd.

Usłyszała skrzypienie płóciennego krzesła. Derry wstał, wyjrzał przez okno namiotu, a potem bardziej rozchylił zakrywające je poły i spojrzął w niebo.

– Zastanawiam się, gdzie one mogą być – mruknął.

– Co takiego?

– Slumsy niebios. – Roześmiał się. – Ponieważ nie ulega wątpliwości, że właśnie tam kiedyś trafię.

Wnikliwie mu się przyglądała, gdy obserwował niebo. Śledziła każdą linię, wygięcie i kształt sylwetki zarysowującej się na tle pogrążonego w mroku obozu. Wokół panowała cisza. Wszyscy pozostali uczestnicy wyprawy udali się już na spoczynek.

– Dzisiaj pojawiła się nowa gwiazda – powiedział łagodnie. Odwrócił się do Sondry. – Chcesz ją zobaczyć? Odstawiła kubek, podeszła i stanęła bardzo blisko Derry’ego, a potem skierowała wzrok na czarne niebo.

– Widzisz ją? – zapytał. – Małe światełko poruszające się nieco szybciej od innych.

– Tak – skłamała. Firmament usiany był piaskiem diamentów na czarnym aksamicie, srebrnym niebiańskim pyłem rozsypanym szczodłą ręką Boga. Derry pokazywał jej rzeczy, których nie widziała i nie chciała zobaczyć. Nie zamierzała doszukiwać się porządku w przypadkowej budowie wszechświata.

– A tam – powiedział cicho – widać Krzyż Południa. Świeci nad Tanzanią i wytycza granicę południowej półkuli. Możesz też zobaczyć stojącą na głowie Wielką Niedźwiedzicę. Spójrz, Sondro – położył jej rękę na plecach – tuż nad tobą świeci Centaur, a tamte dwie gwiazdy to Alfa i Beta.

– Gdzie jest nowa gwiazda, o której wspomniałeś?

– W tej chwili pomiędzy Plejadami. To jeden z satelitów telekomunikacyjnych. Gdy poznasz układ gwiazd na afrykańskim niebie tak dobrze jak ja, odszukasz go bez trudu.

Spojrzał na nią, a przez usta przemknął mu cień uśmiechu.

– Kochasz Afrykę, prawda? – Tak.

Zawahał się przez moment, a potem cofnął o krok.

– Lepiej pójdę się już położyć. Gdy tylko Masajowie dowiedzą się, że tu jesteśmy, będziemy mieli dużo roboty.

Poranne powietrze było ostre i chłodne. Orzeźwiało i dodawało ducha. Sondra zjadła śniadanie obfitsze niż zwykle. Wyspana i wypoczęta umyła się w świeżej wodzie przyniesionej ze strumienia.

Gdy kierowcy zajęli się zmywaniem naczyń i zaczęli przeobrażać obóz w klinikę, dostrzegła pierwszych Masajów, którzy materializowali się z czerwonej ziemi, jak gdyby właśnie zostali stworzeni przez Boga.

Wysocy, przystojni wojownicy o długich splecionych włosach i szczupłych, pomalowanych

na czerwono ciałach, które błyszczały w porannym słońcu, wspierali się na dzidach. Stali nieśmiało w odległości kilku metrów od obozu. Piękne, długonogie dziewczyny, odziane w peleryny ze skór wołów, miały odsłonięte ponętne piersi, a ich wygolone i pomalowane na czerwono głowy błyszczały jak posągi z sekwoi. Szyje, ręce i kostki dziewczyn ozdabiały niezliczone kolorowe paciorki. Starsze kobiety z dzieciakami zawieszonymi na plecach i na piersiach, szczebiotały jak ptaki, uśmiechając się, gestykulując i dzieląc najnowszymi wiadomościami. Starsi mężczyźni rozsiedli się po turecku na pokrytej pyłem ziemi i kopali w niej dziury potrzebne do gry, która pozwalała im zabić czas. Nagie dzieciaki miały ogolone głowy, tak jak wszyscy inni Masajowie poza wojownikami. Biegały w kurzu albo szukały schronienia w objęciach matek i przyglądały się *wazungu* wielkimi okrągłymi oczami. W ciągu godziny zebrał się tłum. Ludzie przybywali ze wszystkich stron, pokonując niekiedy nawet spore odległości. Wszyscy mówili, śmiali się, dotykali i całowali w typowy dla tego plemienia sposób. Szpital pod drzewem zorganizowany przez białego człowieka zawsze stwarzał im okazję do rozrywki i dawał pretekst, żeby się oderwać od codziennych zajęć.

Wielebny Thorn zajął miejsce pod drzewem i zaczął czytać z Biblii Księgę Rodzaju, ale nie spotkał się z zainteresowaniem zebranych. Wszyscy tubylcy zgodnie skierowali całą swoją uwagę na inny, o wiele ciekawszy obiekt.

Gdy Sondra odwróciła się od stołu, na którym porozkładała termometry, lekarstwa i strzykawki, stwierdziła, że wszystkie oczy są utkwione właśnie w niej.

Spojrzała na Derry'ego.

– O co chodzi?

– Wzbudzasz powszechną ciekawość.

Pomimo upału, owadów, barier językowych i plemiennych przesądów Derry i Sondra wykorzystywali najlepiej jak potrafili swoją wiedzę oraz umiejętności medyczne. Podczas gdy wielebny Thorn niestrudzenie głosił ewangelię, badali coraz to nowych Masajów, którzy przychodzili do nich z malarią, ze śpiączkowym zapaleniem mózgu i z pasożytami.

Po pierwszej godzinie pracy przy boku Derry'ego, w czasie której napotykała szczere uśmiechy Masajów i wsłuchiwała się w głęboką ciszę buszu, tak niepodobną do wrzenia ulu, jakim był teren misji – na Sondrę zstąpił spokój. Oderwała się na moment od chorych i zastygła w bezruchu ze strzykawką w jednej ręce oraz butelką z lekarstwem w drugiej. Uniosła twarz, wystawiając ją na podmuchy wiatru. Po lewej stronie, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, górował nad brązową trawą jak małe szare wzgórze słoń, leniwie odzierając drzewo z kory i trzepocząc olbrzymimi uszami. Po prawej stronie stała beczynnica, wspierając się na dzidach, para masajskich *moran*, młodych i przystojnych wojowników o wydatnych szczękach. Z zaciekawieniem przyglądali się Sondrze. Ktoś grał na drewnianej fujarce jakąś monotonną melodię. Sondra dostrzegła kwiaty: płomień ogromnych, szkarłatnych kielichów nandi o ciemnozielonych liściach, białe kwiecie zachodnioindyjskiego drzewa rozrzucone po trawie jak strzępy strąconych obłoków, a także inne kwitnące na żółto tropikalne drzewa.

Ciemnobrązowy krajobraz ożywiały również barwne ptaki: złotopióre szpaki, małe zięby z białym podbrzuszem i rubinowymi łepkami oraz jasnożółte brodacze siedzące na usypanym przez termyty pagórku o wysokości równej wzrostowi człowieka.

Sondra dostrzegła wśród pozółkłych traw zbliżającą się barwną i niezbyt liczną grupę ludzi, którą prowadził stary wódz Masajów. Mężczyzna niósł *rukuma* – krótką, czarną maczugę, będącą symbolem władzy. Tuż za nim podążało siedem wysokich i dorodnych młodych kobiet w upiętych na ramionach skórzanych pelerynach, które nie zakrywały ich pełnych i zmysłowych piersi. Dziewczyny ze śmiechem wmieszały się w tłum, wśród którego rozdzielały pocałunki. Tworzyły pełną życia, rozśpiewaną grupę. Derry wyjaśnił Sondrze, że to *olomal*, niezamężne dziewczyny, które poruszając się pomiędzy ludźmi, wprowadzały się w stan fizycznej i psychicznej ekstazy. Otrzymywały błogosławieństwa. Życzono im pomyślności, płodności i znalezienia miłości w życiu. Jedna z dziewcząt, wysoka i w pełni dojrzała młoda kobieta o przeciągłym i kuszącym spojrzeniu, najwyraźniej zagięła parol na Derry'ego. Przy zachęcających uśmiechach tłumu tańczyła i śpiewała wyłącznie dla niego.

Wódz coś powiedział i Derry się roześmiał. Sondra poprosiła Kamante, żeby jej wyjaśnił, o co chodzi.

– Wódz poinformował Derry'ego, że wpadł tej dziewczynie w oko. Zapytał, czy Derry ma na nią ochotę.

Sondra zobaczyła, że Derry z uśmiechem zaprzecza ruchem głowy. Grupa zaczęła się oddalać i po chwili zniknęła w wysokich trawach. Dobiały stamtąd tylko niesione z wiat>. n dźwięki pierwotnej pieśni.

Kolacja składała się z konserwowej wołowiny w sosie własnym i z sucharów. Nadeszła pora na krótki relaks przed położeniem się spać. Wszyscy uczestnicy safari przebywali w głównym namiocie. Kierowcy grali w karty, a wielbny Thorn zajmował Derry'ego rozmową na temat afrykańskiej polityki.

Sondra popijała małymi łykami kawę i przez siatkę w okienku obserwowała gwiazdy.

Przepełniało ją dziwne uczucie. Miała wrażenie, że dotarła do końca długiej drogi.

Pożegnała towarzystwo i skierowała się do swojego namiotu. Usiadła pomiędzy pakunkami z lekarstwami i bandażami. W świetle naftowej lampy zaczęła rozczesywać włosy. Słyszac zbliżające się kroki, pomyślała, że to pastor udaje się na spoczynek pod drzewem.

– Nie śpisz, Sondro? – dobiegł ją głos Derry'ego. Usiadł na jednej ze skrzynek i założył ręce.

– Właściwie to nie podziękowałem ci jeszcze za to, co zrobiłaś dla Ouko.

– Robiłam to samo, co inni.

– Znalazłaś sposób na uratowanie mu życia. A także na ocalenie innych chorych, jemu podobnych, którzy w przyszłości do nas trafią. Jednym z największych problemów, z jakimi boryka się nasza misja, jest skrajne niedożywienie. Dzięki hiperalimentacji możemy prowadzić

walkę z chorobą w wypadkach, kiedy bez tej metody nie mielibyśmy na to szans. – Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. – Niewłaściwie cię oceniłem, Sondro. Wybacz mi. Wiem, że nie byłem dla ciebie na początku miły.

Patrzyła na niego jak urzeczona. Nie mogła oderwać wzroku od jego ciemnobłękitnych oczu.

– Co zamierzasz robić potem, gdy twój roczny pobyt tutaj dobiegnie końca?

– Sama nie wiem. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

– Wyjdiesz za mąż za Aleca? – Nie.

– Dlaczego? Alec to porządny chłop i ma wiele do zaoferowania. A poza tym zupełnie oszalał na twoim punkcie.

– Wybacz, ale to nie twoja sprawa.

– Ależ jak najbardziej moja!

Sondra uśmiechnęła się blado.

– Czy dlatego, że jesteś szefem szpitala?

– Nie. Dlatego, że cię kocham.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Podniosła na niego wzrok.

– Zrozumiałem to tamtej nocy, gdy przyszedł do mnie z szalonym planem utrzymania Ouko przy życiu. Zresztą sam dokładnie nie wiem, kiedy. Może stało się to już pierwszego wieczoru, gdy nie mogłaś poradzić sobie z moskitierą i zapukałaś do moich drzwi, sądząc, że trafiłaś do domu Aleca. – Patrzył jej prosto w oczy. – Pewnie zamiast o tym mówić powinienem szukać innych sposobów, żeby zdobyć twoje względy. Boję się jednak, że wyjdę na cholernego głupca. – Umilkł. – A może już wyszedłem? – dodał ciszej.

– Derry – szepnęła tylko.

Wziął ją w ramiona i pocałował, delikatnie na początku, a potem bardziej pożądlawie. Całowali się coraz gwałtowniej i bardziej zapamiętale. Poczuli, jak silne ramiona Derry'ego przyciągają ją mocniej do siebie. Przyłgnęła do niego całym ciałem. Odkryła w jego miłości kres własnych poszukiwań. Czuli, że odtąd będzie się już tylko liczyć terażniejszość i Derry. Wiedziała, podobnie jak i on, że oboje przebyli długą i okrężną drogę, zanim dotarli do celu.

Część IV

1977-1978

Rozdział 25

Trzasnęła dłonią w gazetę, jak gdyby chciała zabić muchę.

– Posłuchaj tylko, Arnie: „Poród w domu jest równoznaczny ze znęcaniem się nad dziećmi”.

– Rzuciła dziennik na zastawiony naczyniami stół i utkwiała w mężu wzrok tak rozogniony, jak palące się w kuchennym piecu węgle. – Znęcanie się nad dziećmi! Co za kompletna bzdura!

Arnie nie przerywał karmienia dziesięciomiesięcznej Sarah. Gdyby to zrobił, dziecko natychmiast zaczęłoby się awanturować.

– O co chodzi, Ruthie? – zapytał, nabierając jednocześnie z miski ciepłej, mlecznej kaszy i podnosząc małą łyżkę do delikatnych jak pączek kwiatu ust dziecka. – Skąd się wziął ten artykuł?

– Wszystko z powodu tego zwariowanego procesu w Kalifornii. Pamiętasz? Akuszerka została oskarżona o morderstwo, ponieważ dziecko, którego poród odbierała w domu, umarło. Co za brednie! – Ruth ponownie trzepnęła dłonią w gazetę, aż zadźwięczał leżący pod nią talerz. – Zostało udowodnione, że dziecko by umarło, nawet gdyby przyszło na świat w najlepszych warunkach! Ale dziennikarze dorwali się do tej sprawy jak zgraja wygłodzonych psów do kości. A tragedia polega na tym, że ludzie im uwierzą.

– Mamo!

Ruth oderwała wzrok od listów do wydawcy i w jednej chwili z jej twarzy zniknęła złość.

– O co chodzi, kochanie?

W przejściu pomiędzy przestronną kuchnią o wyłożonych cegłą klinkierową ścianach a salonem stała pięcioletnia Rachel. Miała dokładnie pięć lat i dwa miesiące, o czym lubiła wszystkim przypominać.

– Postanowiłam, że dzisiaj w tym ubraniu pójdę do szkoły – oświadczyła tonem dorosłej osoby.

Ruth uśmiechnęła się. Rachel rozpoczynała właśnie zerówkę i z wielką powagą przystępowała do swoich nowych obowiązków.

– Ależ kochanie, włożyłaś sukienkę tyłem na przód. Rachel zdołała wcisnąć swoje małe, korpulentne ciało w jedną ze szkolnych sukienek bez rozpinania guzików. Plisy, które Ruth przyfastrygowała na piersi, zasłaniała teraz kaskada czarnych włosów.

– Mamo – Rachel położyła ręce na biodrach, tak jak zwykła to robić panna Salisbury – zamierzam nosić ją właśnie w ten sposób. Dzięki temu będę mogła się rozbierać sama, gdy wrócę ze szkoły. Nie będę zwracać głowy tobie ani Beth. Potrafię przecież rozpiąć guziki z przodu.

Ruth nie zdołała powstrzymać śmiechu.

– Wróc na górę i poproś Beth, żeby ubrała cię tak, jak należy. Rachel westchnęła jak osoba niezasłużenie doświadczona przez los.

– Dobrze, mamo – powiedziała i wyszła z naburmuszoną miną.

Arnie zawtórował śmiechem Ruth. Wyjął Sarah z wysokiego krzesła i posadził ją na

szmacianym dywaniku pod stołem. A potem spojrział w stronę okna nad zlewem w kuchni.

– Znosi się na deszcz, Ruthie. Ubierz się odpowiednio. Gdy Arnie zaczął zbierać ze stołu talerze ze skorupkami po jajkach, Ruth nachyliła się i położyła rękę na pokrytej mechem główce Sarah. Nie faworyzowała żadnej ze swoich czterech córek. Każda z nich miała niepowtarzalne i wzbudzające jej czułość cechy. Wszystkie dziewczynki kochała jednakowo. Rachel była odważna, choć również skłonna do agresji; Naomi miała bystry umysł, a jej bliźniacza siostra Miriam dociekliwą, żądną wiedzy naturę; maleńka Sarah zapowiadała się na myślicielkę. W przeciwieństwie do swoich trzech sióstr, które cieszyły wszelkie hałaśliwe zabawy wieku dziecięcego, dziesięciomiesięczna dziewczynka potrafiła spędzać długie chwile na rozmyślaniu, a jej niezgłębione oczy patrzyły z niemowlęcej buzi nad wiek poważnie.

„Ciekawe, jakie będzie następane?” – zastanawiała się Ruth, wstając i przykładając rękę do brzucha. „Zostanie artystą, politykiem czy dyktatorem mody? A może tym razem urodzi się chłopiec?” – pomyślała, patrząc na plecy Arnie’ego, który zmywał właśnie talerze. Łomot nad głową skierował uwagę Ruth na oświetlony sufit, ale zbyt szybko jej nie zaniepokoił. Hałas był nierozdzielnie związany z życiem rodziny. W stuletnich ścianach domu państwa Roth w ciągu pięciu ostatnich lat ani na moment nie zapanowała cisza.

Ruth kochała ich stary dom. Na początku Arnie sprzeciwiał się jego kupnu, twierdząc, że nie mogą sobie pozwolić na taki wydatek. Był wtedy rok 1972. Ruth pierwszy miesiąc pracowała na stażu i chodząc w ciąży z Rachel, przypominała wielki autobus. Koniecznie chciała mieć ten dom. I jak zwykle postawiła na swoim. Co nie znaczy, że Arnie w końcu nie poparł jej decyzji. Po pierwsze, zwykł we wszystkim ustępować Ruth, a po drugie, tak samo jak ona lubił tę starą wiktoriańską farmę położoną na południowym brzegu wyspy Bainbridge.

Wkrótce zapełnili dziewięć pokoi ciepłem, miłością i gębami, które trzeba było wyżywić. Tuż po urodzeniu Rachel Ruth ponownie zaszła w ciążę – z bliźniaczkami. W tym samym czasie oszczeniła się Brandy, suka rasy retriever. W ciągu następnych kilku lat znalazło schronienie w ich domu również kilka kotów. Wszystkie po kolei zjawiały się niezależnie od siebie w kuchennym wejściu i głośnym miauczeniem oznajmiały, że akceptują nową rodzinę. Mała, biała papuga kakadu, która lubiła siadywać na ramionach i szarpać dziobem za płatki uszu, przybyła do domu w tym samym czasie, co złote rybki; chomik był prezentem dla Rachel na jej piątą urodziny, a kłapouche króliki Ruth kupiła pod wpływem nagłego impulsu, gdy robiła zakupy w którąś z niedziel. Co zaś się tyczy Beth, piętnastoletniej uciekinierki, która teraz na górze pomagała się ubierać Rachel, to została przyprowadzona pewnego dnia przez Ruth i została u nich na stałe. Arnie często myślał o tym, że prędzej czy później wszystkie przybłędy z wyspy Bainbridge znajdą drogę do ich domu.

Podniósł wzrok znad zlewozmywaka i zmarszczył brwi na widok pociemniałego i groźnego nieba. Jeszcze wczoraj było jasne, błękitne i bezchmurne, ale jakaś niebiańska ręka przewróciła w ciągu nocy nad Półwyspem Olimpijskim naczynie z ołowiem, jak gdyby chciała ukarać nieznaną złoćców. Pokręcił głową. Co robił w tak zimnym i wilgotnym miejscu chłopak z

San Fernando Valley?

Miesiąc temu postanowili urządzić sobie pod koniec lata pierwsze prawdziwe wakacje. Teraz, kiedy Ruth zrobiła specjalizację, mogli sobie na to pozwolić. Wyjechali w pierwszy poniedziałek września w góry i przez cały czas lało jak z cebra!

Arnie zrezygnował z dalszego zmywania, zostawiając Beth resztę roboty. Wytarł ręce i rozwinął z powrotem rękawy koszuli. Odwrócił się, żeby spojrzeć na Ruth.

Boże! Jaka ona była piękna. Z każdą ciążą stawała się coraz ładniejsza. Napawał się jej widokiem, gdy z pochyloną głową siedziała zamyślona przy stole w łagodnym blasku żaru paleniska. Sarah, która przycupnęła przy nogach matki i badawczo dotykała jej gołych stóp, przypominała mu wyglądem żonę. Ruth przybrała ostatnio nieco na wadze, lecz Arnie uważał, że jej to służy. Zaokrąglone kształty żony były bardziej miękkie i pociągające.

Nieczęsto zdarzały się tak spokojne chwile jak ta. Zwykle Ruth prędko się ubierała i w pośpiechu wybiegała z domu; ani na moment nie ustawały wezwania telefoniczne od potrzebujących pomocy pacjentek. Arnie miał jednak nadzieję że teraz, kiedy Ruth otworzyła prywatny gabinet, życie rodziny Roth zacznie się toczyć w znacznie wolniejszym tempie.

Arnie obejrzał się na odgłos złowróbnego i znajomego dźwięku za plecami. Spojrzał w stronę kurka nad kuchennym zlewem. Znowu przeciekał. Arnie spróbował zebrać myśli. Czy zapłacili już ostatni rachunek hydraulikowi za przetkanie w łazience na górze sieci kanalizacyjnej, do której Rachel wrzuciła ścierkę? Pokręcił głową. Jak to było możliwe, że im więcej pieniędzy zarabiał, tym bardziej ich brakowało?

Do szmeru kapiącej wody dołączyły odgłosy spadających kropli deszczu. Nastąpiła pora listopadowej szarugi. Arnie przeklinając w myślach słońce, skierował wzrok w stronę okna. Jego niezadowolenie ustąpiło na widok małej dżungli, która pozwalała zapomnieć o deszczowej pogodzie. Na kuchennym parapecie zielenił się miniaturowy ogród żywych roślin. Każdy skrawek złamanej łądy i każde nasionko trafiało najpierw do jednego ze słoików Ruth, gdzie wypuszczało korzenie i koronkowe zielone włókna. Ostatnio przybyły wypełnione wodą cztery kubki po mleku z przekłutymi wykałaczkami pestkami avocado. Na każdym naczynku figurowała nalepka z imieniem dziecka. Codziennie rano Ruth brała po kolei na ręce dziewczynki, nawet małą Sarah, żeby mogły śledzić rozwój własnych nasion.

Arnie nagle uświadomił sobie, że od dłuższej chwili manipuluje przy prawym mankiecie koszuli. Podniósł do góry nadgarstek i stwierdził, że brakuje guzika, a z rękawa zwisa nitka. Zmarszczył brwi. Guzik oderwał się już kilka tygodni temu. A Arnie nie mógł się teraz przebrać, gdyż nie miał czystej koszuli. Stosy brudnej bielizny znowu piętrzyły się aż pod sam sufit.

– Sarah, kochanie, nie wolno wkładać ołówka do nosa.

Odwrócił się. Ruth podniosła dziecko i posadziła je w hamaku zwisającej pomiędzy kolanami koszuli nocnej. Objęła dłońmi małe dziecinne piąstki i przycisnęła je do swojego brzucha.

– Tam jest twój nowy brat albo siostra, Sarah. Przywitaj się. Na pewno cię usłyszy.

Sarah zaczęła gaworzyć, plamiąc śliną nocną koszulę matki. Arnie ponownie pokręcił głową. Jak Ruth sobie z tym wszystkim dawała radę? Na początku, w 1972 roku, nie przypuszczał, że wszystko będzie można ze sobą pogodzić – małżeństwo, nowy dom, rodzinę i medyczną karierę. Ruth często spędzała ponad sto godzin tygodniowo na nogach. Nawet Sarah zaczęła rodzić podczas jednego z obchodów. Nie przerwała go jednak. Co jakiś czas przystawała tylko i opierała się o ścianę, żeby przeczekać skurcze. A potem spokojnie poszła na salę porodową i informując pielęgniarkę o zbliżającym się porodzie, położyła się na łóżku obok jednej ze swoich pacjentek.

Gdy ktoś bierze na siebie zbyt wiele obowiązków i nawet nie ma czasu na to, żeby się podrapać w nos, zwykle ktoś inny musi na tym ucierpieć. Na początku Arnie'ego irytował wieczny bałagan panujący w domu, brak czystej koszuli rano przed wyjściem do pracy i ciągła nieobecność żony. Buntował się, gdy wracając po ciężkim dniu, musiał ugotować obiad i położyć dzieci spać. Wkrótce jednak zdążył do tego wszystkiego przywyknąć i przestał zastanawiać się nad tym, że na jego barkach spoczął nie tylko obowiązek utrzymania, ale i prowadzenia domu. Okres ostatnich pięciu lat był szalenie intensywny i mijał jak okamgnienie. Arnie dobrze zarabiał, pracując jako księgowy w swojej firmie, która mieściła się po drugiej stronie zatoki, w Seattle. Żeby przynieść do domu więcej pieniędzy, których zawsze było mało, brał też prace zleczone: opracowywał formularze podatkowe albo udzielał porad inwestycyjnych. Wierzył, że teraz, gdy Ruth zrobiła specjalizację i otworzyła własną praktykę w Winslow, w domowym budżecie przybędzie pieniędzy i nigdy nie zabraknie mu czystych koszul.

– Nie spóźnisz się, kochanie? – zapytała Ruth.

Arnie spojrział na zegar, niemal niewidoczny na zawieszonych dziecinnymi malowidłami ścianie. Znowu stanął. Był jednym z tych nowoczesnych nabytków, które lepiej pełnią funkcje ozdobne niż praktyczne – lustro w ramie z małym zegarem w rogu – bez wtyczek, bez przewodów, zasilanym często wyczerpującymi się bateriami. Otrzymali go w prezencie od siostry Ruth w styczniu, kiedy to pięć milionów bliższej i dalszej rodziny Shapiro zaszczyliło swoją obecnością dom Rothów, żeby uczcić piątą rocznicę ślubu Arnie'ego i Ruth.

Pięć lat. Pięć lat poświęceń i wyrzeczeń, żeby utrzymać liczną rodzinę. Ale opłacało się ponieść wysiłek. Gdy tylko Ruth ustali regularne godziny przyjęć, będzie mogła tak jak wszyscy przebywać wieczorami w domu i spędzać z nimi więcej czasu. Tak, Arnie myśląc o tym po raz tysięczny doszedł do wniosku, że było warto.

Ostatnio coraz częściej studiował własne odbicie w lustrze. Wnikliwie badał włosy na linii czoła. Zaczęły mu się przerzedzać. Był tego pewien. Codziennie rano znajdował o kilka włosów więcej na poduszce, a wieczorami na grzebieniu. Nad paskiem zaokrąglił mu się brzuch, a okulary stały się nieodzowne. No cóż, w ubiegłym miesiącu skończył czterdzieści lat.

Odszedł od zlewu i przemierzając kuchenną posadzkę, zbliżył się do ściany. Postukał palcem w zegar, ale nie zdołał pobudzić go do życia. W lustrze dostrzegł odbicie Ruth. Posadziła Sarah z powrotem na ziemi i głaskała się po brzuchu. Poprzysiągł sobie, że nie okaże zaniepokojenia, które odczuwał.

– Na pewno nie chcesz, żebym poszedł razem z tobą? – zdobył się na obojętny ton.

– Nie ma potrzeby, kochanie. Idź do pracy. Zadzwoń do ciebie, gdy już będzie po wszystkim.

„Gdy już będzie po wszystkim” – powtórzyła w myśli. Kiedy zostanie przeprowadzony test i dowiedzą się, czy powinna utrzymać tę ciążę.

Ruth zachowywała spokój od samego początku. W zeszłym miesiącu przeszła badanie, które wykonała doktor Mary Farnsworth. Ta nowa lekarka przejęła praktykę ginekologiczną po doktorze Pottsie, który odszedł na emeryturę.

– Mary chce, żebyś do niej przyszedł, Arnie. Musi pobrać twoją krew – oświadczyła Ruth wśród paplaniny dzieci, podczas obiadu z pieczonego jagnięcia.

– Po co?

Ruth wzruszyła ramionami, ale sposób, w jaki unikała jego wzroku, zdradzał jej niepokój.

– Stwierdziła obecność pewnego składnika w mojej krwi i dlatego na wszelki wypadek chce zbadać również twoją.

– O czym ty mówisz? Co to za składnik ?

Ruth miała zwyczaj wystrzegania się podczas posiłków wszelkich niemiłych tematów bez względu na to, czy dotyczyły wiadomości ze świata, czy były rodzinnymi sprzeczkami o to, kto ma opowiedzieć dzieciom bajki na dobranoc. Posiłki dla dobrego trawienia powinny upływać w pogodnej atmosferze. Na poważne rozmowy zawsze był czas. Ale tamtego popołudnia rodziła jedna z pacjentek i Ruth musiała w ciągu godziny wrócić do szpitala. Tym razem nie mogła odłożyć przykrej rozmowy na potem.

– Po prostu składnik, Arnie. Przecież nie interesują cię szczegóły medyczne.

– Na miłość boską, Ruthie...

– Mary wszystko ci potem wyjaśni, zgoda? – Skierowała na niego wzrok, który miał mówić: „Nie wzbudź zaniepokojenia dziewczynek”, a w którym kryła się prawda: „To ciężka sprawa. Nie utrudniaj mi jej jeszcze bardziej”.

Doktor Mary Farnsworth udzieliła Arnie’emu obiecanych wyjaśnień:

– W związku z pochodzeniem pańskiej żony przeprowadziłam test. Gen chorobowy, którego obecność u niej stwierdziłam, jest przekazywany potomstwu w jednym przypadku na dwieście. Jednak wśród Żydów, szczególnie tych z Europy Wschodniej, ryzyko zapadalności na tę dziedziczną chorobę jest znacznie większe. Ruth sama nie może przekazać genu dziecku. Jeżeli jednak pan również go posiada, istnieje dwudziestopięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że urodzi się państwu potomek z wadą TaySachsa. Dziecko, które nie będzie miało szansy żyć dłużej niż cztery lata.

– A co będzie, jeśli badanie i u mnie wykaze obecność owego genu?

– Zbadamy płód, żeby stwierdzić, czy odziedziczył wadę TaySachsa. Jeśli tak, trzeba będzie

przerwać ciążę.

W ubiegłym tygodniu otrzymali pozytywny wynik badania krwi Arnie'ego. Oboje z Ruth byli nosicielami tej choroby i fakt, że urodziły się im cztery zdrowe dziewczynki, Mary Farnsworth uznała za cud. I wcale nie ukrywała przed nimi swojej opinii.

Następnym krokiem miało być badanie prenatalne. Złuszczone komórki naskórka rozwijającego się w macicy dziecka pływają w otaczającej je owodni. Za pomocą strzykawki pobiera się próbkę płynu, z którego zakłada się hodowlę, i bada, żeby stwierdzić obecność enzymu o nazwie *hexosaminidase* (HEX A). Jego brak oznaczałby, że dziecko odziedziczyło chorobę.

I właśnie na dzisiaj zostało zaplanowane owo badanie prenatalne, na którego wynik musieli poczekać dwa tygodnie.

– Mogę wziąć wolne – zaproponował Arnie, targany sprzecznymi uczuciami. Nie był pewien, czy ma ochotę jechać razem z Ruth do szpitala. – Nie powinnaś być sama.

– Bzdura. – Ruth upewniła się, czy z tyłu nie siedzi Sarah, a potem odsunęła krzesło i wstała, rozsypując na podłodze grad okruchów z grzanek. – To nie potrwa długo. Prosto stamtąd pojedę do pracy.

Wbrew jednej z najbardziej surowo przestrzeganych przez siebie zasad Arnie zapytał ją, jak wygląda badanie prenatalne, i natychmiast tego pożałował. Najpierw lokalizują położenie dziecka („płodu”, jak nazwała je Ruth, przeobrażając się z matki w lekarkę), a potem wbijają do brzucha długą igłę. „Czy przeprowadzenie testu jest niebezpieczne?” – dopytywał się. Tak, badanie nie było pozbawione ryzyka. Ale stwierdziła, że powinni jak najszybciej dowiedzieć się, czy dziecko jest normalne.

– Pospiesz się, Arnie. Spóźnisz się na prom.

Gdy ciężko stapał po schodach, wchodząc na górę po aktówkę (i po agrafkę do mankietu), gdzieś w głębi niego ponownie dało znać o sobie dziwne i bolesne uczucie. Co to było? Ilekroć pojawiała się, zawsze próbował je zidentyfikować, ale jak dotąd bez rezultatu. Czasami miało posmak frustracji, kiedy indziej zniecierpliwienia, a dzisiaj rano odkrył w nim ślad urazy. Ale do kogo i o co?

Ruthie była lekarką. Przez cały czas wiedziała o istnieniu ryzyka przekazania dzieciom genu, który odziedziczyli po przodkach. Ale nigdy do tej pory nie poruszyła tego tematu ani nie zaproponowała, żeby się poddali badaniom.

W sypialni jak zwykle odruchowo poprawił pościel. Gdyby tego nie zrobił, łóżko przez cały dzień byłoby nie zaścielone.

Zdażył się już przekonać, że lekarze czasami też chowają głowy w piasek; boją się tak samo, jak inni ludzie. Na przykład lekarz pediatra, Mary Walsh, chodziła z guzem w piersi, wmawiając sobie, że to niegroźna cysta. Skończyło się na amputacji obu piersi i serii naświetlań. Być może im więcej człowiek wie, tym bardziej nie chce dopuścić do siebie prawdy. Arnie nie mógł za to winić żony.

Gdy Ruth usłyszała na dole odgłos odjeżdżającego zwirowym podjazdem samochodu Arnie'ego, podeszła do lodówki i wyjęła dzbanek z sokiem pomarańczowym, który wycisnęła dzisiaj rano. Wolałyby napić się kawy, ale kofeina była jedną z zakazanych w czasie ciąży używek. Obok papierosów, alkoholu i aspiryny, a nawet syropu na kaszel kawa zaliczała się do luksusów, na które Ruth nie zamierzała sobie pozwolić przed upływem kwietnia.

Spojrzała na zegarek. Stwierdziła, że do przybycia pani Colodny pozostało jeszcze kilka minut i z powrotem zajęła miejsce przy stole. Był wykonany z klonowego drzewa, podobnie jak większość znajdujących się w domu starych amerykańskich mebli. Wsłuchując się w odgłos ciężkich kropli deszczu, zaczęła leniwie wertować rachunki.

Miała nadzieję, że nowa praktyka zacznie jej przynosić dochody i umożliwi spłacenie części należności. Miejsce było bardzo dobre. Ruth wynajęła skromne pomieszczenie narogu Winslow i Madison, a potem zatrudniła pielęgniarkę i sekretarkę. Przez cały tydzień miała pełne ręce roboty. Zgłaszało się do niej mnóstwo pacjentek. Problem polegał na tym, jak je nakłonić do płacenia.

Pod rachunkami leżała kremowa koperta, a w niej propozycja dla Arnie'ego, żeby przystąpił do Łoży Caribou. Członkostwo w tym prestiżowym męskim klubie na wyspie Bainbridge byłoby prawdziwym dobrodziejstwem dla kariery męża – z pewnością by sobie tam zyskał wielu zamożnych klientów. Ale skąd mieli wziąć na wpisowe dwa tysiące dolarów?

Na schodach rozległ się znajomy tupot i chwilę potem do kuchni wpadły prosto w wyciągnięte ramiona matki trzy dziewczynki.

Rachel oprócz sukienki, tym razem włożonej prawidłowo, miała na sobie kalosze, gruby wełniany sweter oraz przeciwdeszczowy płaszcz. Bliźniaczki również były w wierzchnich okryciach. Staraly się naśladować we wszystkim Rachel – szczęściarę, która uzyskała właśnie godny pozazdroszczenia status uczennicy. Codziennie rano Naomi i Miriam odprawiały wyszukany rytuał „szykowania się do szkoły”. Rozprawiały o swojej wymyślonej nauczycielce, pannie Pennies, i razem ze starszą siostrą wychodziły na przystanek szkolnego autobusu. Ruth zwykła im nawet pakować do małych brązowych woreczków kanapki, które przynosiły z powrotem do domu, gdy tylko żółty autobus zniknął za zakrętem ulicy. Rozsiadały się przed telewizorem i oglądając „Ulicę Sezamkową”, zjadały drugie śniadanie. Potem zrzucały z siebie sukienki, za którymi wcale nie przepadały, i ubrane w dżinsy i podkoszulki, bawiły się do samego wieczora.

Opiekunka, pani Colodny, nazywała je „aniołkami”. Ale Ruth wiedziała swoje. Dziewczęta potrafiły wszystkich sterroryzować, żeby osiągnąć zamierzony cel.

W drzwiach pojawiła się Beth. Choć mieszkała już od trzech miesięcy w domu Rothów, wciąż była onieśmielona. Z nadzieją czekała na pochwałę, niepewna, czy należycie wywiązała się ze swoich obowiązków. „Zupełnie jak pies, który zbyt często dostawał lanie” – pomyślała Ruth, usiłując pomieścić na kolanach trzy córki.

Oboje z Arnie'm wiedzieli o dziewczynie bardzo niewiele. Miała piętnaście lat, uciekła z

domu, który znajdował się gdzieś na Środkowym Zachodzie, i była w ciąży. Ruth spotkała ją pewnego pochmurnego dnia, gdy żebrała na jednej z ulic Seattle. W podkrążonych, przestraszonych oczach dziewczyny, w jej chudych ramionach i pozlepianych w strąki blond włosach Ruth dostrzegła coś, co jej kazało przystanąć i uważniej przyjrzeć się młodej żebraczce. Seattle nie było miastem nie znanym uciekinierom – dzikim dzieciakom, które żyły w swoim własnym świecie. Ta dziewczyna jednak miała w sobie coś, co ją wyróżniało spośród innych. Cięża nie była jeszcze widoczna. Beth przyznała się do niej dopiero potem, gdy Ruth zabrała ją do domu i postawiła przed nią posiłek składający się z pieczeni w sosie własnym oraz z domowego, kukurydzianego chleba. Przez pewien czas Ruth i Arnie próbowali nakłonić ją do powrotu do domu. Starali się uzmysłwić Beth niepokój, jaki muszą przeżywać jej rodzice. Ale stanowczość, z jaką dziewczyna obstawała przy swoim odgrażając się, że ponownie ucieknie, ostatecznie przekonała Ruth, że Beth rzeczywiście wyrwała się z koszmaru.

Lokalne władze nie były w stanie pomóc: „Co roku do Seattle przybywają tysiące uciekinierów, pani Roth. Nie mamy ludzi, żeby ścigać tych w starszym wieku ani ich zamykać, jeśli się nie dopuścili przestępstwa. Odsyłamy ich do domów, ale oni znowu uciekają. Piętnastoletni zbiedzy są dla nas za starzy. Zajmujemy się jedenastolatkami oraz jeszcze od nich młodszymi”. W tej sytuacji Ruth zgodziła się, żeby Beth u nich została.

– Czy mam dzisiaj na obiad przyrządzić pieczeń, pani Shapiro?

– Tak, to dobry pomysł, Beth. Z młodymi ziemniakami, z marchewką i w zawiesistym sosie, takim, jaki lubi pan Roth.

Szczęśliwym zrzędzeniem losu Beth wniosła do domostwa Rothów cenną zaletę: była cudowną kucharką. Jej zdolności oszczędnego wydawania dolara, zamiany jałowego pożywienia w smakowitą i dobrze doprawioną potrawę oraz gotowania w ilościach wystarczających dla nakarmienia armii – świadczyły o tym, jak mógł wyglądać dawny dom Beth. Był z pewnością przeludniony i biedny. To nędza zmusiła dziewczynę do ucieczki.

– Dzisiaj wyszoruję też łazienki, pani Shapiro.

Ruth uśmiechnęła się łagodnie.

– Nie przemęczaj się, moja droga. Pamiętaj o dziecku. Za dwa miesiące wypada termin twojego porodu.

– Tak, proszę pani.

Gdy Beth kołysząc się w biodrach podeszła do zlewu i zaczęła go napełniać gorącymi mydlinami, Ruth pomyślała: „A co potem? Co zrobimy, gdy urodzi się dziecko?”

Ale ta sprawa nie była w tej chwili najważniejsza. Teraz inne nie narodzone dziecko spędzało Ruth sen z powiek.

Pani Colodny i szkolny autobus przybyli równocześnie. Na moment zapanowało zamieszanie. Wkrótce autobus odjechał błotnistą drogą, a po chwili bliźniaczki siedziały na poduszkach obok huczącego w kominku ognia, oglądały telewizję i jadły kanapki. Pani Colodny huśtała na kolanach Sarah, a Beth nakładała do misek jedzenie dla kotów i królików,

szycowała pokarm dla ryb oraz karmę dla ptaków. Ruth powoli wstała i skierowała się do sypialni.

– W porządku, doktor Shapiro. Proszę położyć się na plecach. I niech się pani odpręży...

Owinęli jej nogi prześcieradłem, żeby zasłonić kusą, niemal nieprzyzwoitą szpitalną koszulę. Ruth leżała w jaskrawym zimnym świetle. Czuła chłód cyrkulującego powietrza. Usilnie namawiali ją, żeby się odprężyła.

Ale jak mogła spokojnie leżeć, gdy jej ciało miało być właśnie poddane zabiegowi? Zamknęła oczy. Nie potrafiła uchronić się przed narastającym znajomym uczuciem przygnębienia, które dokuczało jej od wielu dni. Podczas jazdy samochodem, a także potem na promie, w drodze do Seattle, prowadziła walkę z dręczącymi ją demonami. Miały związek z powtarzającym się snem, który niedawno powrócił znowu.

Kiedy się jej przyśnił po raz ostatni? Nie mogła sobie przypomnieć. Choć w okresie dorastania był jak natrętna melodia, to nie nękał jej podczas lat spędzonych w Castillo. A teraz, gdy już sądziła, że minął bezpowrotnie, powrócił. Zaatakował ją z odrodzoną siłą oraz z dawną pasją i na resztę nocy spędził sen z powiek.

Przed pobraniem płynu płodowego trzeba było zrobić badanie ultrasonograficzne, żeby zlokalizować łożysko i ustalić położenie dziecka. Zostało wykonane za pomocą małej sondy o rozmiarach pudełka papierosów. Przytknięto ją do gołej, pokrytej żelem skóry Ruth i wodzone w tę i z powrotem po powierzchni brzucha. Na monitorze pojawił się obraz: zamazany i pokropkowany, jak w kiepskim odbiorniku telewizyjnym. Dla osób nie wtajemniczonych był zupełnie niezrozumiały.

Jednak wprawne i dobrze wyćwiczone oko Ruth wychwyciło natychmiast wszystkie wygięcia i płaszczyzny, które tworzyły jej piętnastotygodniowy płód; wizerunek pozbawionego jeszcze ciała i ludzkich cech zewnętrznych maleńkiego człowieka, nieznanego przybysza z kosmosu dryfującego pomiędzy gwiazdami w ciemnych przestworzach.

Musiała odwrócić wzrok. Ta mała, jeszcze nie w pełni uformowana istota zależała od niej i od innych ludzi, którzy dopiero mieli udzielić jej prawa do życia przez stwierdzenie, że jest czysta i wolna od skażenia, przekazanego przez chromosomy matki i ojca. „Nie miałam prawa dawać ci życia, jeśli wkrótce będę zmuszona je przerwać” – przemknęło Ruth przez myśl.

– Jak się czujesz, Ruth?

– Dziękuję, dobrze... – odparła, uśmiechając się blade.

Test przeprowadzał doktor Joe Selbie, specjalista w dziedzinie położnictwa i ginekologii, który został przeszkolony na uniwersytecie w Los Angeles w przeprowadzaniu badań prenatalnych. Poklepał Ruth uspokajająco po ramieniu.

– Zrobimy to szybko. Płód jest w odpowiedniej pozycji.

Z powrotem wbiła wzrok w sufit, w jasne arktyczne światła umieszczone w białych

kwadratach. Sala była zielonkawobiała. Błyszczało białe linoleum na podłodze i połyskiwały urządzenia z zimnej, nierdzewnej stali. Panowała tu charakterystyczna dla każdego szpitala bezosobowość. Stół, na którym leżała Ruth, równie dobrze mógł znajdować się na bloku operacyjnym, na oddziale medycyny nuklearnej albo w kostnicy.

Na odgłos podjeżdżającego wózka Ruth zamknęła oczy. Procedura nie była jej obca – sama niejednokrotnie posługiwała się długą igłą. Ale co innego było trzymać ją w rękach, a co innego znaleźć się nagle ze skierowanym w swoją stronę ostrzem. Pomimo usilnych starań Ruth nie była w stanie oderwać myśli od dolnej połowy ciała. Nie potrafiła odwrócić ról i traktować badania z lekarskim obiektywizmem.

Sonda jak małe zwierzę pełzła po jej nagim brzuchu.

– Wbijemy się tutaj – usłyszała wypowiedziane półgłosem słowa doktora Selbie, a potem na wąskim pasku skóry poczuła chłodny dotyk sterylnego tamponu.

– To xylocaina, Ruth – wyjaśnił lekarz. Po ukłuciu nastąpiło uczucie odrętwienia.

Ruth miała ochotę otworzyć oczy i spojrzeć na obraz dziecka na monitorze, żeby się upewnić, czy nic mu się nie stanie. Ale nie mogła się przełamać. Mocno zaciśnięte powieki nie poddawały się jej woli. „Czy dziecko jest świadome inwazji zimnego metalu w jego ciepłe i płynne środowisko?” – zastanawiała się. „A może się boi? Czy nie narodzone dzieci płaczą? Czy kiedyś znienawidzi mnie za to, że pozwoliłam na to wtargnięcie? Nie może być bezimienne w takiej chwili. Nazwę ją Leah. Nie płacz, Leah. Mama jest z tobą”.

– W porządku, Ruth, spróbujemy tutaj. Odpręż się. To nie będzie bolało.

Ruth poczuła tylko tępe ukłucie, nic więcej. Ale w wyobraźni widziała zanurzającą się coraz głębiej igłę, która przebija się przez skórę, ciało i mięśnie, przez otrzewną i ścianę macicy, a potem...

„Biedne maleństwo! Nieszczęsna bezbronna istoto! Jestem bezsilna. Nie potrafię zapobiec naruszeniu twojego spokoju. Och, Arnie. Tak bardzo się boję. I czuję się taka samotna. Strasznie żałuję, że nie pozwoliłam ci tutaj przyjść. Byłbyś teraz razem z nami. I dodałbyś mi otuchy” – mówiła w myślach.

„Tato...”

Ruth zaczęła płakać.

Rozdział 26

Ruth była zdumiona. Według wszelkich praw przyrody i nauki jej pacjentka powinna zająć w ciąży. Ruth odczuwała nie tylko zdziwienie, ale i frustrację. Wydawało się, że nieuchwytna odpowiedź znajduje się w zasięgu ręki. Ale tak nie było. W tym wypadku jej zasoby wiedzy i doświadczenia okazały się niewystarczające.

Siedziały w gabinecie Ruth na kanapie z białej wikliny, wyściełanej jasnozielonymi i żółtymi poduszkami. Przebijające się przez chmury listopadowe słońce oblało światłem tkaninę obić. W kącie, na przekór panującemu za oknem surowemu klimatowi północy, rosło drzewo kauczukowe, a tropikalna rybka połyskiwała purpurą i złotem w otaczającej ją toni akwamarynowego świata. Gabinet Ruth, urządzony według jej własnego projektu, promieniował życiem. Nawet zawieszony w poczekalni plakat głosił apoteozę życia: *Wojna jest niezdrowa zarówno dla dzieci, jak i dla innych żyjących stworzeń.*

– Sama nie wiem, co mam pani powiedzieć, Joan. Zrobiłam już wszystko, co tylko możliwe.

Joan Freeman, mężatka od dwóch lat, która rozpaczliwie pragnęła mieć pełną rodzinę, nerwowo wykręcała chustkę w dłoniach.

– Czy nie byłoby możliwe sztuczne zapłodnienie, pani doktor?

– Testy przeprowadzone po stosunku wykazują normalny wynik, Joan. Nie mogę zrobić nic więcej ponad to, co robi pani mąż.

I właśnie to było najbardziej irytujące. Gdy pani Freeman przyszła na pierwszą wizytę, Ruth wykonała rutynowe badania i wysłuchała historii pacjentki. Wszystko świadczyło o tym, że ma do czynienia ze zdrową, normalnie zbudowaną, młodą, dwudziestotrzyletnią kobietą, która nie przechodziła zapalenia przydatków ani operacji związanych z narządami rodnymi. Z powodu przekonań religijnych nie stosowała też przed małżeństwem środków antykoncepcyjnych. I nigdy nie była w ciąży. A obecnie nie zażywała żadnych leków. Miesiączkowała regularnie. Jajniki odpowiadały normalnym rozmiarom i miała prawidłowo zbudowaną macicę. Analiza krwi i test Rubina też nie wykazały nieprawidłowości. Współżycie z mężem sprzyjało zajściu w ciążę: co najmniej trzy razy w tygodniu odbywali stosunki, w trakcie których nie stosowali żadnych środków zapobiegawczych, a potem nie brali natrysków. Badanie plemników pana Freemana potwierdziło ich żywotność.

Dlaczego wobec tego pacjentka była nieplodna?

Upłynęło już pięć miesięcy od czasu jej pierwszej wizyty, a Ruth ani o krok nie zbliżyła się do rozwiązania zagadki. Wyczerpała już wszelkie standardowe środki, takie jak badanie temperatury, wkładanie poduszki pod biodra podczas stosunku i wykresy cykli płodności. Zastanawiała się, czy powinna zrobić laparoskopię i wdrzeć się w ciało pacjentki z instrumentem o długości trzydziestu centymetrów, żeby się przekonać, czy nie ma zrostów i ognisk endometriozy. W miarę możliwości Ruth wystrzegала się wszelkich chirurgicznych metod. Tylko w ostateczności uciekała się do środków mechanicznych i farmakologicznych. Ale

w tym wypadku nie mogła inaczej tej kobiecie pomóc.

– Skieruję panią do specjalisty od zapłodnienia. To jedyne, co mogę zaproponować.

– Namawia mnie pani, żebym poszła do kogoś innego?!

– Zrobiłam dla pani wszystko, co tylko mogłam, Joan. – Ruth rozłożyła bezradnie ręce. – Albo niech pani zrezygnuje przez jakiś czas z szukania lekarskiej porady. Kontynuujcie razem z mężem dotychczasowe próby. Tylko się bardziej odprężcie. Postarajcie się przywrócić spontaniczność waszemu intymnemu życiu... – odpowiedziała.

Na ten niekorzystny uboczny efekt leczenia niepłodności często narzekali pacjenci, twierdząc, że ich życie płciowe zostało odarte z tajemniczości i romantyzmu. Małżeństwa pragnące mieć dziecko tak bardzo koncentrowały się na „robieniu właściwej rzeczy” w „odpowiednim czasie”, że z ich stosunków seksualnych zupełnie zniknęła zmysłowość. Byli ze sobą wtedy, kiedy im nakazywał wykres temperatury. Uprawiali seks rano, gdy żadne z nich nie miało na to ochoty, tylko po to, żeby kobieta mogła pójść do swojego lekarza i przeprowadzić kolejny test. Narastająca presja sprzyjała sporadycznym na początku przypadkom impotencji, które z czasem zaczęły przeradzać się w stan chroniczny. Seks stał się aktem mechanicznym. A chęć osiągnięcia celu zredukowała go do zwykłej czynności wytwarzania produktu.

Ruth wstała z kanapy i podeszła do biurka, na którym piętrzył się stos papierów. Pomiędzy folderami, kartami zdrowia i ulotkami znalazła list polecający.

– Proszę. – Uśmiechnęła się zachęcająco. – Przyjmuje w Seattle. Nie powinna mieć pani problemu ze znalezieniem jego gabinetu...

– Jego?!

Kobieta spojrzała na nią z urazą. Ruth wzruszyła ramionami przeprasza jąco.

– Przykro mi, ale tylko jego mogę pani polecić. Z tego, co słyszałam, jest naprawdę świetnym specjalistą.

Pani Freeman utkwiała wzrok w swoich dłoniach.

– Będę musiała zaczynać wszystko od początku?

– Obawiam się, że tak. Prześlę mu oczywiście pani kartę zdrowia, ale z pewnością zechce powtórzyć wiele przeprowadzonych przeze mnie badań.

Po tych słowach zapanowała cisza. Bezruch sceny przywodził na myśl zatrzymaną klatkę filmową: ładna młoda kobieta w niebieskich dżinsach i w sportowej koszuli, przygnębiona i z pochyloną głową, oraz siedząca obok niej niewiele starsza, ale przewyższająca ją o całe wieki doświadczeniem, kobieta w kremowej jedwabnej bluzce i w tweedowej spódnicy. Nad niewielkim miasteczkiem Winslow grasował zimny północny wiatr znad Pacyfiku. Okrążył skromny budynek z lekarskim gabinetem i dzwoniąc okiennicami, próbował wedrzeć się do środka, zanim nie poleciał dalej, odgrażając się jodłom i kanadyjskim świerkom.

– Nie sędzę, żeby ten pomysł spodobał się mojemu mężowi – powiedziała Joan niepewnym głosem. – Szczerze mówiąc, mamy trudności z zapłaceniem pani rachunków, a co dopiero gdybyśmy musieli jeszcze ponosić koszty leczenia u nowego lekarza. – Podniosła na Ruth

błagalny wzrok. – Jeśli pani się zgodzi, wolałabym raczej nadal przychodzić tutaj.

„Ale ja już nie mogę nic zrobić ponadto, co zrobiłam!” – pomyślała Ruth, ale na głos powiedziała:

– Dobrze, skoro tak sobie pani życzy. Może zdołamy wymyślić coś jeszcze. – I dodała sama do siebie: „... ponieważ chcę spełnić pani życzenie, tak jak pragnę, żeby spełniło się moje. Chcę usłyszeć od Mary Farnsworth, że moje dziecko jest zdrowe”.

Od badania prenatalnego minęły już dwa tygodnie. W tym czasie osobowość Ruth uległa metamorfozie, co odbiło się również na jej pracy.

Przemiana zaczęła się nazajutrz po badaniu, gdy oboje z Arnie[^] i z dziewczynkami pojechali do Port Angeles do domu rodziców Ruth na obiad. Gdy stanęła przy zlewie, żeby pomóc młodszej siostrze pozmywać talerze, zdarzył się cud. Dziecko się poruszyło! To sensacyjne uczucie nie było jej obce. Trzepot, przypominający przemieszczanie się gazu w jelitach, przerwa i kolejny trzepot. Ruth doświadczyła tego przy czwórce poprzednich dzieci, ale tym razem wrażenie było zupełnie inne.

Wypuściła szklankę z ręki i wybuchnęła płaczem. Otoczył ją tłum zaniepokojonych kobiet: pani Shapiro, młoda żona Joshuy, żona Maxa i dziewczyna Davida. Podprowadziły ją do krzesła. Ale gdy zaczęły ją wypytywać, co się stało, nie potrafiła im odpowiedzieć. Sama nie wiedziała, co było powodem nagłego rozżalenia.

A potem podniosła wzrok i zobaczyła w drzwiach swojego ojca. Przez ułamek sekundy patrzyli sobie w oczy. W czasie tej ulotnej chwili została jej przekazana informacja. Ruth natychmiast przestała płakać. Wstała i zapewniła, że wszystko jest w porządku i z powrotem zajęła się zmywaniem naczyń. Wiedziała, że nigdy nie zapomni widoku ojca stojącego w drzwiach ani wyrazu jego twarzy, który mówił: „A to co znowu, Ruth? Nie potrafisz się opanować?”

Od tamtej pory Ruth czuła, że kielkują w niej dziwne nasiona – przerażające i złowieszcze: antypatia do samej siebie, gorycz zdrady i nienawiść do własnego judaszowego ciała. Co z tego, że była kobietą mocnego ducha, skoro zawodziło ją ciało? Nie z własnej winy wiele lat temu nie przekroczyła linii mety jako pierwsza. Przecież chciała! Czy to było bez znaczenia? Niewątpliwie dla Mike’a Shapiro tak. Dla niego liczyły się tylko wyczyny, trofea i osiągnięcia. Samo pragnienie nie wystarczało, żeby zdobywać medale.

Wraz z odkryciem irytującej frustracji z powodu niedoskonałości własnego ciała Ruth uświadomiła sobie, że wiele jej pacjentek podziela to uczucie. Było to przygnębienie po poronieniu, lęk z powodu raka piersi albo rozpacz po stracie dziecka, które zmarło wskutek nieznaney choroby zwanej syndromem nagłej śmierci wieku niemowlęcego. Wszystkie tragedie wywoływały zjadliwy ból, który narastał, omotując ofiarę siecią winy i samooskarżenia oraz siejąc zamieszanie i strach.

Ruth nie traciła czasu. Natychmiast zorganizowała w swoim gabinecie cotygodniowe spotkania, stwarzając pacjentkom okazję, by mogły porozmawiać o swoich problemach. Tak jak

teraz u Joan, Ruth dostrzegała przedtem u innych kobiet niechęć do samych siebie i pogardzanie własnym ciałem: u Heidi Smith, która nie potrafiła żyć z jedną piersią, u Sharon Lasnick, która nie mogła otrząsnąć się po trzecim poronieniu i u Betsy Chowder, która nie umiała się pogodzić z usunięciem macicy. W piątkowe wieczory rozgoryczone kobiety do późnych godzin wylewały z siebie całe swoje rozczarowanie i żal.

„Nie wzbudzam już pożądania w moim mężu”.

„Jestem bezużyteczna, skoro nie mogę urodzić dziecka”.

„Mój mąż nie chce ze mną współżyć”.

Ruth wzięła na siebie rolę doradcy. Była nie tylko lekarką usuwającą macicę, ale osobą, która zdaje sobie sprawę, że naturalną konsekwencją tego zabiegu jest uczucie zawodu i pustki. Jeszcze w ubiegłym tygodniu grupa liczyła zaledwie pięć kobiet, a już dzisiaj wieczorem miało ich być dwanaście.

– Joan, czy nie miałyby pani ochoty przyjść tutaj dzisiaj o siódmej wieczorem? – zaproponowała Ruth, odprowadzając pacjentkę do drzwi. – Spotykamy się w grupie kobiet i rozmawiamy o swoich problemach...

Gdy wróciła do biurka, z wewnętrznego telefonu dobiegł głos sekretarki:

– Doktor Shapiro? Właśnie przyszedł pani mąż. „Arnie? Tutaj?” – zdziwiła się.

– Poproś, żeby na mnie zaczekał. Za moment do niego wyjdę. Czy jeszcze jest ktoś do mnie, Andrea?

– Tylko pani Glass. Potem będzie już pani wolna.

– Wprowadź ją do sali zabiegowej i poproś Carol, żeby pobrała pacjentce mocz.

– Spojrzała na zegarek. Za godzinę miała się spotkać z doktor Farnsworth. Nie wiedziała, że Arnie wybiera się tam razem z nią.

Arnie sprawdził czas. Znowu się spóźniała. No cóż, uprzedzała go przed ślubem, że położnicy nie mają ściśle określonych godzin urzędowania.

„Muszę się uspokoić” – pomyślał, zajmując miejsce na krześle przystosowanym do zaokrąglonych kształtów. Sądził, że nadgodziny i telefony w środku nocy Ruth ma już za sobą. Pogodził się z nimi w trakcie robienia przez nią specjalizacji, gdyż widział światło w tunelu – prywatną praktykę, regularne godziny pracy i unormowane życie rodzinne. Tymczasem sprawy przybrały inny obrót. Ruth zamiast zwolnić tempo i sprawiedliwie dzielić czas pomiędzy pacjentów i rodzinę, spędzała coraz więcej godzin na realizowaniu nowych pomysłów.

Takich jak owe spotkania grupowe w piątkowe wieczory. I w dalszym ciągu nigdy nie było jej popołudniami w domu. Dlaczego angażowała się w coraz to inne sprawy?

– Nie spodziewałam się ciebie tutaj, Arnie – usłyszał jej głos.

Zerwał się na równe nogi.

– Postanowiłem być razem z tobą w chwili, gdy Mary Farnsworth będzie mówić, jaka jest sytuacja.

Wsunęła rękę w jego dłoń i lekko ją uściśnięła.

– Cieszę się – rzekła z uśmiechem.

A Arnie pomyślał: „To z powodu dziecka. Niepokój o dziecko sprawia, że stara się wypełnić sobie czas. Ale to minie... „

– Wiesz co? – powiedziała, gdy zmierzali do drzwi. – Będziemy mogli poznać płeć naszego dziecka na pięć miesięcy przed jego przyjściem na świat! – Ponownie ścisnęła Arnie’ego za rękę.
– Mam nadzieję, że tym razem urodzi się nam chłopiec.

Rozdział 27

Jason Butler wiedział, że nie żyje. Słyszał, że ktoś tak powiedział. Ale skoro nie żył, to dlaczego wciąż odczuwał ból? I dlaczego piękna blondynka nadal się nim zajmowała, jak gdyby tliły się w nim resztki życia?

Zanim stracił świadomość, znalazł odpowiedź: „Nie jestem jeszcze martwy. Ale umieram. Z powodu ostatniej fali, która mnie zmiotła z powierzchni” – zdołał sobie przypomnieć, a potem otoczyła go ciemność.

– Nie wyczuwam pulsu, pani doktor!

Natychmiast do młodego człowieka na wózku podbiegła grupa reanimacyjna. Mickey masowała chłopcu pierś, podczas gdy inni przygotowywali defibrylatory.

– Odsuńcie się – poleciła. Ciało na noszach podskoczyło. Wszyscy utkwili wzrok w kardioskopie. – Jeszcze raz! – Tym razem poskutkowało.

Na korytarzu szpitala Great Victoria stało dwóch roztrzęsionych i owiniętych w ręczniki nastolatków. Ekipa lekarzy w izbie przyjęć walczyła o życie ich przyjaciela. Długie włosy chłopców były pozlepiane w strąki od soli, a luźne spodenki do surfingu oblepiały im ciała. Młodzieńcy nie drżeli z zimna, ale z przerażenia. Nie byli pewni, czy zdołali wyciągnąć kolegę z wody na czas.

To był potworny wypadek. Osiemnastoletni Jason Butler, doświadczony zawodnik w surfingu, ścigał się z przyjaciółmi na dwunastometrowych falach w Makaha. Nikt nie wiedział, co się naprawdę wydarzyło. Koledzy widzieli, że swobodnie i z wprawą pokonywał fale, gdy niespodziewanie znalazł się pod wodą i został wciągnięty w głąb wzburzonego morza. Zanim zdołali do niego dotrzeć, został poważnie zraniony przez wirującą w wodzie deskę surfingową. Wyciągnęli go na brzeg. Gdy zobaczyli, co „Semigun” zrobiła z jego twarzą, sądzili już, że mają przed sobą zwłoki.

Ale ekipa reanimacyjna wciąż utrzymywała Jasona Butlera przy życiu.

Cztery godziny później Mickey opuściła blok operacyjny, a Jason Buttler został przewieziony na oddział intensywnej opieki medycznej. Oprócz Mickey zajmowało się chłopcem jeszcze dwóch innych chirurgów. Jedyne, co mogli dla niego zrobić, to ustabilizować czynności życiowe organizmu. Gdy Mickey drutowała potrzaskane kości twarzy i zszywała liczne skaleczenia, dwaj ortopedzi odjęli mu prawą nogę powyżej kolana. Młody człowiek nie odzyskał przytomności i wciąż znajdował się w stanie krytycznym, ale jego oznaki życiowe były wyraźne i lekarze zdołali powstrzymać ciężki krwotok.

Mickey została uprzedzona, że w sali dla odwiedzających czeka ojciec chłopca. Bez trudu odnalazła siedzącego samotnie mężczyznę, który patrzył przed siebie tępym wzrokiem.

– Pan Butler? – Wyciągnęła do niego rękę. – Nazywam się Long. Pański syn znajduje się pod

moją opieką.

Mężczyzna poderwał się z miejsca i uściśnął jej dłoń.

– Co z moim synem, pani doktor?

– Jego stan jest bardzo ciężki. Na razie nic więcej nie można powiedzieć.

– A więc żyje.

– Tak, żyje.

– Chwała Bogu! – Westchnął i z powrotem ciężko opadł na kanapę.

Mickey usiadła na stojącym opodal drewnianym krześle i opowiedziała o wszystkim, co do tej pory lekarze zrobili dla chłopca.

– Pański syn doznał rozległych obrażeń zuchwy i gardła, panie Butler. Tym zajęliśmy się na samym początku, żeby zapewnić mu swobodne oddychanie. Obawiam się jednak, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Zanim będziemy mogli przeprowadzić inne badania, muszą wrócić do normy podstawowe funkcje życiowe jego organizmu. Jason ma pękniętą czaszkę i prawdopodobnie wiele innych uszkodzeń, których na razie nie jesteśmy w stanie stwierdzić.

Mickey przyjrzała się uważnie siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie. Wiedziała, że nazywa się Harrison Butler i jest właścicielem plantacji ananasów „Butler” – drugim co do wielkości producentem tych owoców na Hawajach. Oceniała jego wiek na sześćdziesiąt lat. Uważała jednak, że świetnie wygląda jak na swoje lata. Miał atletyczną budowę i był bardzo przystojny.

– Dobrze się pan czuje? – zapytała łagodnym tonem. Skierował na nią swoje szare oczy.

– Kiedy będę mógł go zobaczyć?

– Musi pan trochę poczekać. Został zabrany na oddział intensywnej terapii, gdzie będzie znajdował się pod stałą obserwacją. Nadal nie odzyskał przytomności, panie Butler.

Mężczyzna skinął głową. Jego twarz znowu przybrała błędny wyraz, a oczy straciły błysk zainteresowania.

– Może napije się pan kawy? – zaproponowała Mickey.

– Nigdy nie pochylałem uprawiania surfingu – rzekł, myśląc na głos. – W zeszłym roku próbował lotni. Kategoriecznie się sprzeciwiłem. Ale surfing miał we krwi. Ślizgał się na desce od piątego roku życia. Przeczuwałem, że któregoś dnia tak to się skończy.

Mickey na chwilę przy nim została. Siedzieli w milczeniu. Wiedziała z doświadczenia, że towarzystwo drugiej osoby zwykle przynosi ulgę w takich wypadkach. Uważnie go obserwowała. Czasami rodzinie chorego trzeba było podawać środki uspokajające. Ale Harrison Butler nie przejawiał oznak załamania nerwowego. Siedział tylko nieruchomo z utkwionym przed siebie wzrokiem.

Mickey uznała, że jest eleganckim mężczyzną. Miał na sobie drogi i szykowny, szyty na miarę garnitur z francuskimi mankietami oraz jedwabny krawat w kolorze burgundzkiego wina. „Autentyczny patrycjusz” – pomyślała, patrząc na jego srebrne włosy i wysokie czoło. Dostrzegła w nim duże podobieństwo do aktora Michaela Rennie’ego.

W szpitalnych głośnikach usłyszała swoje nazwisko.

– Jason znajduje się bezpośrednio pod moją opieką, panie Butler. Jeśli będzie pan chciał się zapytać o jego stan zdrowia albo po prostu porozmawiać, proszę do mnie zadzwonić. W szpitalu zawsze wiedzą, gdzie mnie można znaleźć.

Podczas następnych dwóch tygodni Mickey zastawała Harrisona Butlera w jednym z dwóch miejsc: w małym pomieszczeniu dla odwiedzających na oddziale intensywnej opieki albo przy łóżku syna. Był zawsze uprzejmy, nigdy nie zachowywał się natarczywie i wysoko oceniał opiekę lekarską, jaką otoczono Jasona. Gdy chłopcu pękła tętnica brzuszna i Mickey musiała otworzyć mu brzuch, by powstrzymać krwawienie z pulsującego naczynia do chwili przybycia chirurga naczyniowego, Harrison Butler natychmiast opuścił salę intensywnej opieki i cierpliwie czekał przez sześć godzin, dopóki Mickey nie odszukała go i nie złożyła raportu o stanie zdrowia chłopca. Butler nikogo o nic nie obwiniał ani nie wyładowywał swojego rozgoryczenia na personelu szpitalnym, jak w podobnych przypadkach zwykli zachowywać się niektórzy sfrustrowani rodzice. Rozumiał, że wszyscy robią co tylko mogą, żeby pomóc Jasonowi.

Czasami przychodził z magnetofonem i dyktował handlowe listy, niekiedy omawiał przez telefon szczegóły kontraktów. Ale zawsze był sam. Nie towarzyszył mu nikt z krewnych ani z przyjaciół. Wczesnym rankiem albo późnym wieczorem siedział w poczekalni lub przy łóżku chłopca, zawsze opanowany, spokojny i nienagannie ubrany.

Człowiek, któremu są obce chwile utraty pewności siebie, myślała o nim Mickey; człowiek o niezachwianym poczuciu własnego miejsca we wszechświecie.

Pewnego dnia Harrison przysłał olbrzymi kosz z owocami dla pielęgniarek na oddziale intensywnej terapii, innym razem ofiarował kwiaty dziewięciu przebywającym na tym oddziale pacjentom. Zawsze wstawał na widok Mickey, podawał jej rękę i pytał o samopoczucie. Wszyscy lubili Harrisona Butlera. I wszyscy walczyli o życie jego syna.

– Dzień dobry, panie Butler – powitała go Mickey, wchodząc do sali odwiedzin.

– Jak się czuje Jason?

Wstawili mu właśnie protezę naczyniową. Otrzymał dwanaście jednostek krwi. Został ponownie przewieziony na oddział intensywnej opieki medycznej. Znajduje się w stanie krytycznym. Może pójdzie pan trochę odpocząć do domu? I tak nie będzie mógł się pan z nim zobaczyć w ciągu najbliższych kilku godzin.

Po Butlerze widać było zmęczenie. Chociaż jego strój nadal był nienaganny, na twarzy odbiło się czternaście dni czuwania.

– Nie zamierzam opuszczać szpitala, pani doktor. Chcę być blisko mojego syna.

– I tak w tej chwili nie może mu pan pomóc. Sądzę, że dobrze by panu zrobiło trochę snu. Ciekawa też jestem, kiedy ostatnio miał pan coś w ustach.

Westchnął i spojrzał na zegarek.

– Rzeczywiście, nie jadłem od śniadania.

– To kawał czasu.

– A kiedy pani ostatnio coś jadła, pani doktor? Uśmiechnęła się do niego.

– Lekarze nie stołują się o zwykłych porach, panie Butler. Przekąsiłam coś w biegu w szpitalnej stołówce.

– Proszę zwracać się do mnie Harrison. Ostatnio stała się pani dla mnie niemal członkiem rodziny. Czy mogę zaprosić lekarkę mojego syna na kolację?

Zastanawiała się przez chwilę. W jego spojrzeniu dostrzegła strapienie i lęk.

– Naprzeciwko szpitala znajduje się mała włoska restauracja. Zawsze można dostać w niej coś do zjedzenia, nawet o nietypowej porze. A obsługa przywykła do wiecznie spieszących się klientów. Proszę mi tylko dać chwilę czasu na przebranie się w cywilne ciuchy. Spotkamy się w holu na dole.

To była knajpka z rodzaju tych, gdzie na stołach nakrytych obrusami w kratę stoją świece wetknięte do butelek po winie i można zjeść proste, niedrogie dania. Do stałych bywalców lokalu zaliczali się pracownicy szpitala Great Victoria, a sygnał pagera i widok osoby pośpiesznie opuszczającej salę nie należał tu do rzadkości.

– Jestem wdzięczny, że zechciała mi pani towarzyszyć – powiedział Harrison, gdy złożyli zamówienie. – Przywykłem do spożywania posiłków w samotności, ale dzisiaj wieczorem... – Rozłożył bezradnie ręce.

Przylapała się na tym, że o nim myśli. Na oddziale intensywnej opieki i w poczekalni dla odwiedzających był tylko ojcem Jasona, jednym z wielu zaniepokojonych rodziców, z którymi miała często do czynienia. Lecz tutaj, w nieszpitalnym i romantycznie oświetlonym wnętrzu, zobaczyła go jako czarującego i bardzo atrakcyjnego mężczyznę.

– Mam na imię Mickey – oświadczyła z uśmiechem. – Też odnoszę ostatnio wrażenie, że należymy do tej samej rodziny.

Poważnie skinął głową.

– Tragedia wiąże ze sobą ludzi, prawda?

Mickey miała ochotę zadać mu mnóstwo pytań – gdzie jest matka Jasona? Czy chłopak nie ma siostr ani braci? – ale opanowała ciekawość. Ich wzajemne stosunki pomimo pozorów zażyłości były nadal służbowe.

– Nie potrafię wyrazić wdzięczności za wszystko, co zrobiłaś dla mojego chłopca – powiedział cicho Harrison. – Nie wiem, co... zrobiłbym bez Jasona. Mam tylko jego.

Mickey nie odezwała się. Teraz wiedziała, że Harrison prędzej czy później opowie jej o sobie. Musiała się tylko uzbroić w cierpliwość.

Siedemnaście lat temu pani Butler porzuciła męża oraz ich rocznego syna i ponownie wyszła za mąż. Harrison nie miał pojęcia, co się z nią obecnie dzieje. Nigdy nie napisała ani nie okazała najmniejszego zainteresowania chłopcem. Harrison mieszkał z Jasonem na zmianę w dwóch domach. Z jednego – o nazwie Oahu, w pobliżu Koko Head – korzystał, gdy miał interesy w Honolulu. Drugi, Pukula Hau, był starą rodzinną rezydencją na wyspie Lanai.

– Jason przyszedł na świat w Pukula Hau – powiedział cicho Harrison. – Ja też się tam

urodziłem. Mój ojciec wybudował ten dom w 1912 roku, a w 1913 przywiózł do niego swoją młodą żonę. W 1916 wyruszył na wojnę, z której nigdy nie powrócił. Urodziłem się w niecały rok potem. Wychowywała mnie moja matka, która jednocześnie zajmowała się uprawą ananasów. Dwadzieścia lat temu, po jej śmierci, odziedziczyłem kompanię i sądziłem, że kiedyś przekażę ją Jasonowi.

Mickey wiedziała, że Harrison jest milionerem. Nazwisko Butler widniało wszędzie na ulicach i budynkach; było niemal tak samo legendarne jak Dole. Jednakże Harrison od kilku lat przestał osobiście zajmować się prowadzeniem firmy. Został prywatnym inwestorem. Interesowały go różnorodne sfery działalności. Ostatnio inwestował w kinematografię. Już raz udzielił poparcia filmowi, który odniósł finansowy sukces. Harrison nadal zamierzał angażować się w produkcję filmów.

Po chwili porzucił temat własnych planów i poprosił Mickey, żeby mu opowiedziała o sobie.

– Jesteś kobietą, która wie, czego chce i łatwo nie rezygnuje z celu – orzekł, gdy usłyszał o ponad pięciu latach spędzonych w Great Victoria. – Przypuszczam, że decyzja o poświęceniu tak długiego okresu życia na specjalizację, i to kosztem wielu wyrzeczeń, musiała wymagać wielkiej odwagi.

Mówiąc o „wielu wyrzeczeniach”, które były ceną, jaką musiała zapłacić za osiągnięcie biegłości w dziedzinie chirurgii plastycznej, Harrison miał zapewne na myśli jej męża i rodzinę. Ale pomimo że specjalizacja drugiego stopnia dobiegała końca i rozkład jej szpitalnych zajęć nie był już tak napięty jak kiedyś, Mickey nadal nie miała ochoty trwonić energii na inne sprawy.

– Kiedy skończysz praktykę?

– W czerwcu przyszłego roku. Trudno mi oswoić się z myślą, że po czterech latach szkoły medycznej i sześciu w szpitalu Great Victoria nagle będę na swoim.

– Zamierzasz otworzyć prywatny gabinet?

– Mam nadzieję, że mi się to uda. Po nowym roku zacznę rozglądać się za lokalem.

Przez moment uważnie się jej przyglądał, obserwując, jak migotliwe światło świec połyskuje na jej klasycznych rysach twarzy. Wciąż nosiła tę samą fryzurę, jaką po raz pierwszy zrobiły jej ponad osiem lat temu Sondra i Ruth: gładko zaczesywała swoje platynowe włosy do tyłu i związywała je na karku w węzeł. „Wygląda jak baletnica” – pomyślał Harrison. „I to jak primabalerina”. Lekarka Jasona była uderzająco piękną kobietą. Nie do wiary, że dotychczas nie wyszła za mąż.

– Czy mogę cię jeszcze kiedyś zaprosić na kolację? – zapytał.

Mickey miała mu właśnie odpowiedzieć, gdy w torebce zadźwięczał pager. Przeprosiła Harrisona i wyszła na zaplecze restauracji, gdzie znajdowały się telefony.

Nie było jej przez kilka minut, w czasie których przyniesiono zamówione dania. Gdy wróciła, jedno spojrzenie wystarczyło Harrisonowi, żeby pojąć, z jakiego powodu oderwano ją od kolacji.

– Chodzi o Jasona, prawda? – zapytał bez ogródek.

- Ogromnie mi przykro. Skrzep krwi dotarł do płuc. To stało się nagle.
Skinął głową i podniósł się z miejsca.
– Czy wrócisz ze mną do szpitala?

Mickey kochała swoje mieszkanie. Z balkonu, na którym zwykła przesiadywać i wdychać zapach tropikalnej bryzy, roztaczał się widok na Diamond Head. Wnętrze zdobiły gustowne i wygodne sprzęty gromadzone od czterech lat, a dokładnie od dnia, w którym wyprowadziła się od Gregga Watermana: dywan z wigonii, chromowane, skórzane krzesła, rysunki TsengYuHo, indyjskie rzeźby oraz zasłony z polinezyjskiego batiku. Miała książki i płyty, mały kolorowy odbiornik telewizyjny, a co najważniejsze, niekłopotliwych sąsiadów. Mickey lubiła spokojne życie. Spędzała wolne chwile na czytaniu książek i słuchaniu muzyki klasycznej albo robiła przejażdżki po wyspie swoim małym samochodem. Miała wielu znajomych, ale stroniła od bujnego życia towarzyskiego. Jej najbliższymi przyjaciółmi byli Abramsowie. Toby prowadził już prywatną praktykę. Od czasu do czasu oboje z żoną próbowali wyswatać ją z jakimś dobrze zapowiadającym się na męża kawalerem.

Mickey nie brała im tego za złe. Ich wysiłki okazały się jak dotychczas bezskuteczne. Przedstawiani jej młodzi mężczyźni, zawsze profesjonaliści w swoich dziedzinach, byli inteligentnymi i sympatycznymi ludźmi, ale brakowało im wzbudzającej zainteresowanie iskry. Mickey przypuszczała, że prawdopodobnie już u nikogo jej nie dostrzeże.

Tego wietrznego marcowego poranka, który rozpoczynał wolny weekend, Mickey pakowała rzeczy. Wybierała się na wycieczkę po wyspie. Dopiero ostatnio zaczęła bliżej poznawać swoje tropikalne otoczenie. Zwiedzała wyspę Oahu jak turystka – uzbrojona w aparat fotograficzny, prowiant na piknik oraz olejek przeciwsłoneczny. Wciąż było tak wiele rzeczy godnych obejrzenia. Na dzisiaj Mickey zaplanowała odwiedziny w Centrum Kultury Polinezyjskiej na północno-wschodnim brzegu wyspy. Zamierzała też zatrzymać się po drodze, żeby sfotografować Blow Hole i Chinaman's Hat.

Jeszcze w ubiegłym roku wyprawy do Waimea Bay albo do Banzai Pipeline, gdzie siadywała na piasku i fotografowała swym nikonem młodych mężczyzn na deskach surfingowych, należały do jej ulubionych rozrywek. Ale to było przedtem, zanim Jason Butler został przywieziony na izbę przyjęć ubiegłej jesieni i zanim podjęła rozpaczliwą walkę o jego życie.

Ta śmierć była ciosem dla wszystkich – dla Mickey, dla innych lekarzy, którzy się nim opiekowali, dla pielęgniarek z oddziału intensywnej terapii. Mickey pamiętała wszystko dokładnie od pierwszego momentu w izbie przyjęć, gdy w panującym zamięcie Jason uniósł powieki i spojrzał na nią zamglonym od bólu wzrokiem. A potem stracił przytomność i w ciągu następnych czternastu dni już ani na chwilę jej nie odzyskał. Ojciec siedział wytrwale przy jego łóżku podczas owych dwóch tygodni, czekając z nadzieją na przebłysk życia u konającego syna; na sygnał, który by świadczył o tym, że dusza chłopca jeszcze nie opuściła zmasakrowanego

ciała. Ale Jason pozostał do końca nieprzytomny. Umarł nieświadomy otaczającej go w ostatnich chwilach miłości.

Zasuwając zamek błyskawiczny podręcznej torby, Mickey pomyślała o Harrisonie Butlerze. Ostatni raz widziała go przy łóżku syna, gdy wywołano ich z restauracji. Pielęgniarki odłączyły już wszystkie przewody oraz rurki i podciągnęły prześcieradło pod szyję chłopca. Miał zabandażowaną twarz i niewiele było go widać. Mógł być czymkolwiek synem. Wydawało się, że śpi. Mickey i siostry zostawiły Harrisona samego w pomieszczeniu. Zasłoniły kotarami szklane ściany i zamknęły za sobą drzwi. Butler przez długą chwilę siedział przy chłopcu, a gdy wyszedł, miał pobladłą i ściągniętą twarz, ale nie było na niej widać śladów łez. Podziękował wszystkim za podjęty wysiłek ratowania syna i opuścił szpital.

Od tamtej pory, to jest od czterech miesięcy, tylko raz Harrison Butler dał o sobie znać: gdy przekazał dar szpitalowi Great Victoria. Był nim tomograf komputerowy – nowe, rewelacyjne urządzenie do badania uszkodzeń mózgu. Został подарowany w imieniu Jasona Butlera.

Mickey zostawiła wiadomość w centrali, że będzie nieobecna przez dwa dni. A potem wzięła dwa listy, które zamierzała wrzucić po drodze do skrzynki. Jeden był zaadresowany do Ruth. Mickey gratulowała jej narodzin Leah, zdrowej córeczki, której życie w listopadzie zawisło na włosku. Na szczęście badanie płynu płodowego nie wykazało obecności genu TaySachsa, ciąża została donoszona i dziecko przyszło na świat w terminie. W drugiej kopercie znajdowała się kartka z życzeniami z okazji przypadającej za dwa tygodnie czwartej rocznicy ślubu Sondry i Derry'ego.

Zasuwając drzwi balkonowe, Mickey przystanąła na moment i spojrzała przed siebie. Widok zapierał dech w piersi. Wznoszące się majestatycznie zbocze Diamond Head na tle nieprawdopodobnie błękitnego nieba, a poniżej białe budowle, palmy i kwitnące ogrody. Tam, w dole, na jednej z ulic czekał na Mickey nowy gabinet. Korzystając z kredytu bankowego, zdążyła go już nawet wyposażyć. Zatrudniła też sekretarkę i pielęgniarkę. Za trzy miesiące miała tam rozpocząć pracę. Już niebawem codziennie rano zamiast kierować się do szpitala, tak jak zwykła to robić przez ostatnie sześć lat, będzie zmierzać w przeciwną stronę. Odbędzie krótki spacer w promieniach jasnego hawajskiego słońca, powiesi torebkę i sweter na wieszaku w swoim gabinecie i zacznie przyjmować własnych pacjentów.

Od tej chwili dzieliły ją już tylko trzy krótkie miesiące.

„Czyżbym się bała?” – zadawała sobie pytanie. „Trochę tak. Po to pracowałam przez całe życie, żeby otworzyć na jednej z tych ulic swój własny gabinet. A teraz, kiedy go w końcu mam, odczuwam lęk”.

Nadchodził dzień, na który oboje z Jonathanem nie chcieli poczekać, ponieważ był zbyt odległy. „Nie mogę tak długo żyć bez ciebie, Mickey” – powiedział jej sześć lat temu. „Wobec tego, jedź razem ze mną” – zaproponowała. Ale to było niemożliwe, plany wydawały się wtedy bezkresne, a sześcioletni okres nie do pokonania. A tymczasem, wbrew wcześniejszym obawom, era poświęceń dobiegała końca.

Zaledwie trzy miesiące dzieliły Mickey od całkowitej wolności – nieograniczonych możliwości wyboru miejsca do pracy i życia oraz mężczyzny, w którym się będzie mogła zakochać. Tylko że nikt na nią nie czekał.

Gdy się odwracała od okna, zadzwonił telefon. Zmarszczyła brwi, spoglądając w jego stronę. W szpitalu wiedzieli, że dzisiaj ma wolne. Podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Mickey? – usłyszała znajomy głos. – Mówi Harrison Butler. Chciałbym się z tobą zobaczyć.

– Harrison...

– Muszę z tobą porozmawiać, Mickey.

Wieczór był upalny i panowała duża wilgotność w powietrzu; podczas takiej pogody, zwanej wśród tubylców *kona*, do psychiatrów na wyspie Oahu zgłaszało się najwięcej pacjentów. Gdy oboje z Harrisonem odjeżdżali spod domu Mickey, usłyszeli przez radio ostrzeżenie o nadciągającej burzy, która miała dotrzeć o północy nad południową część wyspy.

Wybierali się na bal wydawany przez gubernatora na cześć Cary’ego i Barbary Grantów w byłej siedzibie królowej Liliuokalani, a obecnie rezydencji gubernatora Hawajów. Mickey siedziała w milczeniu przy boku Harrisona, gdy ich limuzyna sunęła powoli w procesji pojazdów i zbliżała się do bramy posiadłości. Imponujący dom położony wśród zielonych trawników i równych rzędów orzechowych drzew *pili* pochodził z ubiegłego stulecia. Wznosił się dumnie niczym symbol wytwornej i wspaniałej przeszłości. Mickey nie mogła powstrzymać ogarniającego ją uczucia szczęścia. Była zakochana w siedzącym obok niej mężczyźnie.

Spotykali się od sześciu miesięcy, od niespodziewanego telefonu Harrisona w marcu, kiedy to pilnie chciał z nią porozmawiać. Natychmiast zrezygnowała wtedy z planów zwiedzania wyspy i spędziła dzień na prywatnej plaży Harrisona. Spacerowali wzdłuż brzegu, a on opowiadał jej o Jasonie, o swoim bólu, o czterech miesiącach żałoby, o samotności i smutku. Mówił jej o tym, jak się ukrył w swoim domu na Lanai, nie odbierał telefonów ani się z nikim nie spotykał, próbując pogodzić się ze stratą syna. Wyznał, że potem, gdy wyszedł z domu i rozejrzał się wokół siebie, poczuł nieprzepatą potrzebę porozmawiania z nią. Wiedział, że go zrozumie. Była częścią tragicznych wydarzeń.

I rzeczywiście znalazł jej zrozumienie. Wysłuchała go, a potem mówiła sama. Tego dnia pokonali ogromną odległość, wałęsając się po bezludnej plaży w towarzystwie mew i przybrzeżnych fal. Oboje mieli okazję wyrzucić z siebie długo dławione uczucia – ból ojca, który stracił syna, i rozgoryczenie lekarki, która nie zdołała uratować pacjenta. O zachodzie słońca, gdy do końca rozładowali długo tłumione napięcie i nie pozostało już nic więcej do dodania, uświadomili sobie, że narodziła się pomiędzy nimi szczególna więź.

Ich związek był wygodny dla obu stron. Nie stawiali sobie żadnych wymagań ani warunków. Razem spędzali popołudnia, od czasu do czasu chodzili wieczorami na koncerty, a w niedziele jeździli na obiady nad Zatokę Waimea. W wypadku Mickey to nie była miłość od pierwszego

wejrzenia, ale rosnące zafascynowanie i szacunek podczas wymiany poglądów, ledwo zauważalne muśnięcie ręki pod wpływem nagłego impulsu, niespodziewane odsłonięcie duszy, nagle wymiana zwierzeń – powolne posuwanie się w kierunku nieuniknionego.

Harrison Butler był nie tylko przystojnym i pogodnym mężczyzną, ale też niezwykle sympatycznym, wielkodusznym, delikatnym i zawsze troskliwym człowiekiem. Mickey zupełnie nie odczuwała różnicy ich wieku, która ją na początku niepokoiła – Harrison miał przecież sześćdziesiąt lat, a ona trzydzieści. Energia i młody wygląd Harrisona niwelowały dzielące ich lata.

Charakter ich znajomości wciąż nie został sprecyzowany. Po sześciu miesiącach utrzymywania ze sobą kontaktu Mickey i Harrison byli tylko przyjaciółmi, a nie kochankami. Delikatnie muskali powierzchnię i wycofywali się w chwili, gdy bliższa zażyłość wydawała się nieunikniona. Czasami mijało wiele dni bez telefonu od niego. A potem znowu się odzywał i spędzali ze sobą cudowne chwile jak dobrzy przyjaciele. Niekiedy zachowywali się jak przyszli kochankowie. Harrison brał Mickey za rękę i przyglądał się jej w milczeniu. A potem, gdy wzrastająca tkliwość budziła w nich poczucie zagrożenia, a granica głębszego zaangażowania stawała się niepokojąco bliska, Harrison z powodu niezrozumiałej obawy wycofywał się, a w ich wzajemne stosunki na nowo wkradała się rezerwa. Nigdy nie padło pomiędzy nimi słowo „miłość” i jak dotąd ani razu się nie pocałowali.

Gdy Harrison zaprosił ją kiedyś do swojego domu na wyspie Lanai, okazałej kolonialnej rezydencji położonej wysoko w skałach, Mickey miała nadzieję, że kierował nim poważny zamysł. Ale jej życzenia z zupełnie nieoczekiwanych powodów się nie spełniły.

Owego dnia w lipcu, gdy poleciała z Harrisonem na Lanai jego prywatnym odrzutowcem, ponownie pojawił się w jej życiu Jonathan. Zupełnie się tego nie spodziewała. Przeżyła wstrząs, tym większy, że stało się to za sprawą Harrisona.

Gdy przybyła do rezydencji Pukula Hau, okazało się, że na wieczór zostało zaplanowane przyjęcie. Wkrótce stu gości w smokingach oraz w wieczorowych toaletach *holoku* sączyło szampana i skubało hawajskie przekąski, a sześćoosobowy zespół muzykantów grał pod gołym niebem wyspiarskie melodie. O północy podano pieczone prosię *kalua* obficie zakrapiane *luau*. Uzupełnieniem atrakcji były tańce *hula* przy ognisku. A potem, gdy uczestnicy przyjęcia zjedli łososia *lotni* i owinięte w kolokazję mięsa, gdy zniknął pudding *haupia* i zdażyły wystygnać kamienie wokół ogniska, Harrison wyjawiał niespodziankę wieczoru: prapremierę filmu „Najeźdźcy!”.

Zmęczeni i wstawieni goście zapełniali małą salę kinową we wschodnim skrzydle domu. Ciężko zapadali się w pluszowe fotele ustawione w rzędach przed ekranem. Harrison, dzięki finansowym powiązaniom z filmowymi studiami, słyszał z tego, że ma dostęp do najlepszych filmów przed ich oficjalną premierą. Wszyscy spodziewali się, że czeka ich prawdziwa uczta. Niektórzy odczuwali jednak skutki *luau* i obawiali się, że zaczną drzemać w chwili, gdy tylko zgasną światła.

Ale już w momencie rozpoczęcia się emisji filmu nikt nie musiał się martwić o to, że zaśnie.

Gdy tylko sala pogrążyła się ciemności, ekran eksplodował ogniem. Filmowe majstersztyki fajerwerków przewijały się jak w kalejdoskopie przed oczami widzów, którzy wreszcie zorientowali się, że skłębione piekło ma odzwierciedlać Wielki Wybuch.

„Och, to tylko *science fiction*” – mruknął ktoś w ciemności i był to jedyny komentarz w czasie następnych trzech godzin. Akcja filmu dotarła do momentu kulminacyjnego. Gwiazdy i planety eksplodowały, cofając widzów do początkowej sekwencji. Na sali rozbłysły światła, ale nikt się nie ruszył z miejsca.

Dopiero po chwili widzowie zaczęli się wiercić, a do Mickey dotarły strzępy komentarzy:

„... *Science fiction!* Sądziłem, że fikcja naukowa została już odłożona ad akta... „

„... Kim jest twórca filmu, niejaki Archer? Czy nie zajmował się dotychczas produkcją filmów dokumentalnych?... „

„... Jest ożeniony z francuską aktorką Vivienne. A teraz pojechał na rekonosans na Kahoolawe. Na poligonach wojskowych szuka plenerów do swojego nowego filmu, który jak słyszałem, ma być kontynuacją tego...”

W ów ciepły wrześnieowy wieczór, gdy limuzyna Harrisona zbliżała się do frontowych schodów rezydencji gubernatora, Mickey wróciła myślami do tamtej nocy, kiedy to Jonathan zawiózł ją do porzuconego filmowego studia w Calabasas. Znow przed oczami pojawiły się jej upiorne fasady opuszczonych domów i usłyszała echo skrzypiącego pod stopami żwiru, gdy szli przed siebie, podążając za migotliwym i bladym światłem latarki. Znow mówił do niej:

„Nie zamierzam do końca życia kręcić amatorskich filmów, Mickey. Chcę robić rzeczy wielkie. Pragnę dawać ludziom coś, co jest warte obejrzenia. I mam nadzieję, że mi w tym pomożesz”. A potem rozległ się niepożądany, natrętny sygnał pagera i Mickey zobaczyła, jak mały przedmiot w kształcie pudełka przelatuje nad jej głową.

Czy właśnie tam, w tym zrujnowanym i zapomnianym starym studiu filmowym, nakręcił swój znakomity film, tę fenomenalną operę kosmiczną, która od czasu przyjęcia u Harrisona Butlera zdążyła pobić wszelkie kasowe rekordy?

Teraz przeprowadza rekonosans na Kahoolawe.

Zdarzały się chwile, kiedy miała ochotę się z nim spotkać. Tłumaczyła to sobie, że kierują nią czysto przyjacielskie pobudki i wzgląd na dawne czasy. A potem impuls mijał i Mickey wracała na ziemię, z powrotem koncentrując się na otaczającej ją rzeczywistości: „Ożenił się z Vivienne. Oboje nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi”.

Widziała ostatnio jego zdjęcie na okładce tygodnika „Time”. Miał teraz nieco starszą twarz, elegancką, krótką fryzurę i nieznaną jej wyraz pewności siebie w oczach otoczonych delikatnymi zmarszczkami. „Twarz, która powinna się znaleźć po drugiej stronie kamery” – żartowała któraś z dziennikarek, sugerując, że jako aktor Jonathan Archer też stałby się z pewnością wielką atrakcją Hollywoodu.

Mickey była szczęśliwa, że mu się powiodło. Podobnie jak cieszyła się z własnych osiągnięć.

Udało się im obojgu. Zaledwie po trzech miesiącach prywatnej praktyki wiedziała już, że nie ma się czego obawiać. Podjęła właściwą decyzję. Warto było zdobyć się na poświęcenie. I słusznie postąpiła, że nie poszła pod zegarową wieżę. Ostatnio została wybrana do rady chirurgów plastycznych – w tym również specjalistów, którzy zajmowali się wykonywaniem rekonstrukcji. Miała własny gabinet, coraz większą liczbę pacjentów, była polecana przez innych lekarzy i zaczęła wyrabiać sobie nazwisko. A teraz siedziała obok człowieka, w którym zakochała się bez pamięci.

Gdyby Harrison odwzajemnił jej uczucie, niczego by jej nie brakowało do szczęścia.

Ludzie przyglądali się im, gdy wchodzili do gmachu rezydencji. Wysoki i prosto trzymający się Harrison Butler w modnie skrojonym smokingu wkroczył do jasno oświetlonego kandelabrami foyer niczym pan wielkiego rodu. Mickey smukła i również wysoka miała na sobie kreację w bieli i w błękitach. Wstępowali w bajecznie piękną tropikalną scenerię. Począwszy od foyer cała rezydencja była gustownie udekorowana pachnącymi kwiatami o dobrze zestawionych barwach. Od popularnej, kwitnącej przez cały rok plumerii i ogniście czerwonych afrykańskich tulipanów po delikatne białe bauhinie. Przejścia zdobiły girlandy z żółtej amandy. W kryształowych, kulistych wazonach ustawiono krwistoczerwone anturium i rzadko spotykane róże o barwie zachodzącego słońca. W powietrzu unosiła się przyprawiająca o zawrót głowy woń jaśminu i uroczyny czerwonego. A na szyjach przybywających gości zawieszano *leis*, uplecione z białych orchidei i lawendowych tropikalnych pnączy.

Z tarasu dobiegał pulsujący rytm muzyki, tancerze *hula* wykonywali zawiły taniec *Kaimana Hila*. Przykryte koronkowymi obrusami stoły uginały się pod stosami purpurowych mango, bananów, schłodzonych melonów, żółtych i purpurowych owoców passiflory i oczywiście ananasów, zebranych rano na plantacji w Oahu. Pod sufitem wirowały wentylatory z mosiądzu i drewna, wprawiając w ruch ciężkie powietrze. Ta deszczowa i wietrzna pora roku była nazywana przez tubylców *hooilo*. Goście zaproszeni na bal do gubernatora odczuwali jej uciążliwość.

Przybyło wiele osób, z którymi trzeba było porozmawiać, wymienić ukłony albo zawrzeć znajomość. Mickey i Harrison poruszali się w morzu ludzi, jak gdyby wiał im w plecy sprzyjający wiatr. Od czasu do czasu Harrison dotykał ramienia Mickey albo brał ją za łokieć. Jak zawsze był szarmancki i troskliwy. I jak zwykle dbał o jej kieliszek, o jej talerz i o wygodę. Przez moment odniosła wrażenie, że dostrzega w jego zachowaniu nieznaczną różnicę, ale natychmiast doszła do wniosku, że to tylko złudzenie.

Przepełniało ją uczucie szczęścia. Wieczory jak ten zdarzały się tylko w bajkach. Czy dawna, zeszpecona Mickey, która ukrywała twarz za zasłoną włosów, uwierzyłaby, że może ją spotkać coś podobnego? Była w swobodnym i radosnym nastroju. Śmiała się przez cały wieczór. Szampan był jak eliksir, a Harrison rzucił na nią czary. Chciałaby, żeby ten stan trwał wiecznie.

Tańczyli pod gołym niebem, płynąc w takt hawajskich melodii. Tworzyli piękną parę. Wyglądali, jak gdyby do nich należał świat. Wirując w mocnych ramionach Harrisona Mickey czuła, że ogarnia ją coraz trudniejsze do powstrzymania uczucie miłości. I pożądanie. Rozkoszny

ból, którego nie doświadczyła od wielu lat. Od czasu... Nie, nie zamierzała teraz myśleć o Jonathanie. W każdym razie nie w ten sposób. „Czy nadal go Kocham?” – zastanawiała się. Ale to nie jego kochała. Już nie jego. Wiedziała, że musi zamknąć ten rozdział swojej przeszłości. Nawet jeśli miał pozostać pielęgnowanym wspomnieniem – ponieważ Jonathan był jej pierwszym mężczyzną.

„Czy powinnam się kiedyś z nim spotkać?” Mickey zaraz odsunęła od siebie tę myśl. Była w towarzystwie Harrisona i przynajmniej dzisiaj wieczorem należała tylko do niego.

W połowie walca Harrison przerwał taniec. Starał się ukryć wewnętrzne poruszenie. Wziął Mickey za rękę i sprowadził ją z tarasu na wijącą się wśród drzew i kwiatów ścieżkę. Gdy znaleźli się sami, zostawiając za sobą odgłosy balu, odwrócił się i utkwiał w niej pełne namysłu spojrzenie.

Napięcie Mickey rosnęło. Przez cały wieczór tłumaczyła sobie, że rezerwa Harrisona i nietypowa w jego zachowaniu powściągliwość są tylko jej wymysłem. Teraz jednak, patrząc w jego pociemniałe i poważne ciemnoszare oczy zrozumiała, że to nie wynik jej imagacji – Harrison był dzisiaj naprawdę inny.

– Mickey – odezwał się w końcu, delikatnie kładąc ręce na jej ramionach. – Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć...

Zerwał się gorący i wilgotny wiatr. Zbierało się na burzę.

– Od pewnego czasu szukałem właściwego sposobu i odpowiednich słów, żeby ci o tym powiedzieć. Czekałem na stosowną chwilę. To nie jest dla mnie łatwe, Mickey. Chciałbym, żebyś mnie dobrze zrozumiała...

Wokół nich wiatr poruszał gałęziami i liśćmi. Na ziemię spadały ciężkie kwiaty. Mickey spojrzała wyczekująco na Harrisona.

– Kiedy osiemnaście lat temu opuściła mnie żona – powiedział cicho – odczułem to jako najdotkliwszą z dotychczasowych strat. Poślubiłem kobietę znacznie młodszą od siebie. Gdy wychodziła za mnie, miała dwadzieścia lat, a ja już byłem czterdziestolatkiem. Sądziłem, że jest szczęśliwa w Pukulu Hau. Myślałem, że cieszy ją nasze wspólne życie na wyspie. Nie wiedziałem, że czuje się tam uwięziona...

Nagle wiatr przybrał na sile, tłukąc liśćmi karłowatej palmy.

– Gdy urodził się Jason, stała się markotna i zniecierpliwiona. Miałem swoje obowiązki na plantacji. Wierzyłem, że troska o naszego syna nada sens jej życiu. Ale myliłem się. Gdy wróciłem pewnego dnia do domu, zastałem list. Nie chciała niczego ode mnie oprócz wolności. Uciekła z jakimś chłopcem z wyspy. Dopiero po dwóch latach wystąpiłem o rozwód. Zawsze miałem nadzieję, że wróci. – Ręce Harrisona mocniej zacisnęły się na ramionach Mickey. – Gdy Jason zaczął szósty rok, wynająłem prywatnego detektywa, żeby ją odnalazł. Okazało się, że ponownie wyszła za mąż i prowadzi w Stanach wędrowny tryb życia. Potem straciłem ją z oczu i zaniechałem dalszych poszukiwań. Ułożyliśmy sobie życie we dwóch z Jasonem...

Załamano mu się głos, a na jego przystojnej twarzy odmalował się ból. Mickey przycisnęła

dłonie do jego rąk.

– Gdy Jason umarł – mówił dalej – ponownie doświadczyłem dotkliwej straty. Tym razem byłem bliski załamania. Bałem się, że tego nie przeżyję. A gdy zdałem sobie sprawę ze swojego stanu, gdy uświadomiłem sobie, że się poddaję uczuciom rozpacz i bólu, pomyślałem o tobie, o twojej opiece nad moim synem i o czternastu dniach wspólnej troski o Jasona...

Porywy wiatru stały się jeszcze gwałtowniejsze. Zza drzew dobiegały odgłosy śmiechu, gdy goście i muzykanci opuszczali taras. Z daleka połyskiwały światła kandelabrow. Harrison mocniej ścisnął Mickey za ramię, jak gdyby chciał zapobiec porwaniu jej przez wiatr. Kilka kosmyków platynowych włosów wyślizgnęło się z węzła na karku i opadło jej na twarz.

– Nie zniósłbym kolejnej straty, Mickey. Muszę dowiedzieć się dzisiaj, w tej chwili, czy jest nadzieja na to, żeby mogło nas coś połączyć; czy zostaniesz ze mną i nigdy mnie nie opuścisz. Bo jeśli nie ma dla nas szansy, lepiej, żebyśmy się rozstali od razu, dopóki mam jeszcze na to siłę.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wiatr zerwał liść palmy, który z szumem spadł tuż obok nich na ziemię. Harrison opiekuńczo przygarnął do siebie Mickey. W dzikich podmuchach wiatru rozlegał się trzepot olbrzymich jak uszy słonia liści. Wir powietrza porywał kamienie, kwiaty i żwir. Od strony drzew dobiegł ich łoskot. Mickey stała nieruchomo. Czowała się bezpieczna w mocnym uścisku Harrisona. Wtuliła twarz w jego szyję. Wiatr próbował ich przewrócić, lecz on stał pewnie i nie poddawał się naporowi. Mickey przyłgnęła do Harrisona całym ciałem. Co za miłe uczucie móc chociaż raz pozwolić sobie na słabość, wiedząc, że ktoś inny jest silny i odważny za nich dwoje. Przez dziesięć lat samotnie zmagala się z przeciwnościami losu; walczyła i codziennie na nowo wykrzesywała z siebie siły. Ale odtąd miała już Harrisona, który był jej podporą i ostoją.

Stali w ogrodzie przez długą chwilę. Harrison trzymał ją mocno w objęciach, osłaniając od wiatru swoim mocnym ciałem. Wtuliła się w niego. Czowała, że jest bezpieczna, kochana i otoczona troską.

Zaczęły spadać pierwsze krople gorącego, tropikalnego deszczu. W jednej chwili nad gliniastą ziemią podniosła się mgła. W końcu Mickey spojrzała w górę i przycisnęła policzek do twarzy Harrisona.

– Zabierz mnie do domu, Harrison – szepnęła mu do ucha.

Zabawa trwała w pełni. Zespół muzyczny przeniósł się do wielkiej sali balowej. Pozamykano przed burzą wszystkie drzwi i okna. Mickey i Harrison przeciskali się przez rozbawiony tłum, trzymając się kurczowo za ręce jak gdyby w obawie, że łącząca ich od kilku chwil nić może zostać łatwo przerwana. Przed wejściem do rezydencji panowało zamieszanie. Kilko gości, chroniąc się przed deszczem pod pożyczonymi parasolami, zmierzało w kierunku swoich samochodów, podczas gdy inni, dopiero co przybyli, wbiegali pośpiesznie do środka, uciekając przez strugami wody.

Upłynęło kilka minut, zanim wezwano limuzynę Harrisona. Oboje niecierpliwili się.

Śpieszyło się im, żeby kontynuować to, co zaczęli. Pragnęli jak najszybciej dotrzeć do Koko Head, gdzie mogli być sami. Mickey płonęły policzki, a oczy błyszczały zielenią jak perydoty. Siła, z jaką Harrison władczo otoczył ją w pasie ramieniem, obiecywała intymne zbliżenie.

Mickey nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. A jednak to była prawda. Jej marzenie się spełniło. Niczego jej już nie brakowało do pełni szczęścia.

Gdy pospiesznie schodzili po schodach do limuzyny, Mickey chroniąc głowę przed wiatrem i deszczem, wtuliła twarz w ramię Harrisona. Zgrabnie wślizgując się do samochodu, nie zauważyła Jonathana Archera, który właśnie przybył na bal i wysiadał ze stojącego tuż za nimi pojazdu.

Część V

1980

Rozdział 28

Mickey oderwała się od pisania, napawając oczy roztaczającym się z werandy widokiem.

Listopad na Hawajach był niezrównany, ale listopad na wyspie Lanai, szczególnie od strony bujnego przylądka, gdzie znajdował się dom Pukula Hau wraz z otaczającymi go trzydziestoma akrami, był zupełnie wyjątkowy. Chyba pociągnięcia pędzla samego Boga pokolorowały niebo na intensywny błękit, a storczykom i anturium nadały jaskrawe, niemal oślepiające barwy, tworząc krajobraz zbyt piękny, by mógł istnieć naprawdę.

Gdy Harrison przywiózł tu Mickey po raz pierwszy dwa i pół roku temu, zaniemówiła na widok Pukula Hau. Dom przywodził na myśl doskonały biały klejnot osadzony w podstawie ze szmaragdów i jadeitów. Był dziełem sztuki z białymi kolumnami i oknami w szczycie dachu. Rezydencję otaczały sosny z Norfolk i indyjskie drzewa figowe, nadając jej wygląd nie poddający się porom roku. Dom został nazwany Pukula Hau, ponieważ siedemdziesiąt lat temu mieszkańcy Hawajów w ten sposób wymawiali jego pierwotną nazwę: Butler House.

Owego jesiennego poranka dwa lata temu Mickey pamiętając o swojej wrażliwej cerze i chroniąc ją przed słońcem, usiadła w cieniu uroczynu czerwonego na płaskowyżu w zboczu wzgórza. Roztaczał się stamtąd widok na arras srebrno-zielonych plantacji ananasów, na palmy, na kremowe, zwiewne puszek obłoków i niebiesko-szmaragdowy ocean. Wznoszące się za plecami Mickey wzgórze kończyło się urwistym i zielonym wierzchołkiem na dziewięciuset metrach wysokości. Był to stary Lanaihale, wygasły wulkan, z którego szczytu można było zobaczyć przy dobrej pogodzie siostrzane wyspy Lanai: Molokai, Maui, małą Kahoolawe, Oahu i Big Island.

Mickey siedziała teraz przy wiklinowym stole o karmelowej barwie i jadła śniadanie. Jak zwykle składało się z herbaty Earl Grey, ze świeżych plasterków ananasa i lekko posmarowanej masłem grzanki. Na szklanym blacie leżały porozkładane notatki o pacjentach. Mickey przygotowywała je dla doktora Keplera, który miał ją zastąpić w czasie nieobecności.

Czekała na samochód, żeby pojechać na lotnisko w Lanai. Już ponad dwa lata minęły od czasu, kiedy przeprowadziła się na tę wyspę i okazało się, że mieszkanie w odległości stu kilometrów od Honolulu wcale nie jest uciążliwe. Codziennie rano i wieczorem odbywała półgodzinny lot odrzutowcem Lear Harrisona, a gdy stan zdrowia któregoś z pacjentów wymagał jej obecności, zostawała na noc w domu Koko Head. Dzisiaj jednak z lotniska w Honolulu wybierała się w podróż liniami rejsowymi do Seattle. Do Ruth.

Nalała sobie herbaty do filiżanki i dodała łyżeczkę miodu.

Już za kilka godzin miała się spotkać z Ruth. Z wizytą u przyjaciółki wiązała wielkie nadzieje.

Dwa ubiegłe lata z Harrisonem upłynęły jej jak piękny sen: ich wspólne życie w tym domu, głęboka wzajemna miłość, coraz nowsze sukcesy filmowe Harrisona i pomyślnie rozwijająca się prywatna praktyka lekarska Mickey. Czy można było życzyć sobie czegoś więcej?

Mickey zrobiło się nagle ciężko na duszy. To uczucie prześladowało ją od roku. I wyglądało na to, że nigdy już jej nie opuści. Szczęśliwe i pogodne życie z Harrisonem przesłaniała tylko jedna chmura: brak dziecka.

Na początku nie zastanawiali się nad tym. Kochali się delikatnie, to znowu gwałtownie, z typową dla nowożeńców zachłannością. Nie myśleli o dziecku, delektując się spontanicznością swojej miłości i rozkoszą fizycznego zaspokojenia. Potem każdego miesiąca pojawiała się zwykła ciekawość. Przekomarzali się: „co by było, gdyby... „ oraz „czy nie byłoby miło... „. Stopniowo zaczęło narastać oczekiwanie i nadzieja. Co miesiąc rozczarowanie stawało się coraz dotkliwsze, a każdy temat poruszany wcześniej w radosnej atmosferze i będący żartobliwą spekulacją, stawał się przyczyną prawdziwego zaniepokojenia.

W końcu Mickey zebrała się na odwagę. „Czy z nami jest coś nie tak?” – zapytała. Harrison odetchnął z ulgą, że poruszyła temat, który budził w nim tyle obaw i ochoczo zaproponował, żeby to sprawdzili.

Od tamtej pory upłynęło, o ironio, dziewięć miesięcy, a specjaliści w Pearl City bezradnie rozkładali ręce. „Nie rozumiemy, na czym polega problem” – utrzymywali. „Oboje jesteście zdrowi i prawidłowo zbudowani. Nie powinna mieć pani żadnych kłopotów z zajściem w ciążę”.

I wtedy Mickey pomyślała o Ruth.

Od czasu gdy została poddana badaniu prenatalnemu trzy lata temu, Ruth zmieniła kierunek swojej praktyki lekarskiej. Przestała zajmować się ginekologią ogólną i położnictwem, a skoncentrowała się na problemie zwalczania niepłodności. Dlatego Mickey postanowiła udać się po pomoc do swojej starej przyjaciółki.

Spojrzała na zegarek. Niebawem powinna zacząć szykować się do drogi. Harrison obiecał wrócić wcześniej z plantacji i odwieźć ją na lotnisko.

Mickey odłożyła na bok notatki o pacjentach i wzięła do ręki wzór kartki z życzeniami z okazji Bożego Narodzenia. Miały być rozesłane do pracujących na plantacji robotników. Przedstawiały Świętego Mikołaja, który z workiem na plecach przypląwa na surfingowej desce. Właśnie tak wyobrażano go sobie na Hawajach. Pod spodem widniał napis: *Mele Kalikimaka*.

„Ciekaw jestem, jak hojny będzie Harrison w tym roku” – usłyszała, jak ich znajomi zastanawiali się na jednym z przyjęć. Chcąc wyrazić radość z powodu poślubienia doktor Mickey Long, Harrison Butler przez dwa ubiegłe lata dołączał do życzeń świątecznych trzykrotnie wyższą niż zwykle premię, narażając tym na braki i tak napięte już konto firmy. „Jeśli tak dalej pójdzie – przypadkiem dotarło do Mickey – to nowa żona Harrisona doprowadzi kompanię do ruiny”. Nie było to dalekie od prawdy. Z powodu światowej nadprodukcji kompania „Butler Pineapple” nie prosperowała tak dobrze jak niegdyś. Biorąc przykład z firmy „Dole”, Harrison zmniejszył powierzchnię uprawną ananasów i rozszerzał asortyment upraw.

– Proszę pani – dobiegł Mickey z tyłu dyskretny głos. To była Apikalia, Filipinka, która zajmowała się prowadzeniem domu. Jej matka dawno temu przybyła do Pukula Hau, wybrana ze zdjęcia na żonę przez jednego z robotników. – Pan Butler prosił, żeby zawiadomić panią, że już

wrócił.

– Dziękuję, Apikalio. Zaraz będę gotowa.

– Przepraszam za bałagan – usprawiedliwił się Arnie, idąc za Mickey i wnosząc do środka jej walizki. – Nie zdążyłem posprzątać przed wyjazdem na lotnisko. Raz w tygodniu przychodzi do nas sprzątaczką, ale porządek nigdy u nas nie trwa długo. Trudno utrzymać go w takim tłumie!

Mickey rozejrzała się po salonie farmy. Meble były skupione wokół kominka: dwie duże, przypadkowo dobrane kanapy, głęboki zielony fotel oraz pomarańczowy tapczan, na którym zauważyła dwa śpiące koty. Wszędzie były porozrzucane dziecięce książki i lalki. Arnie wprowadził ją do przestronnej i nie posprzątanej kuchni, gdzie walały się poprzewracane pudełka po produktach spożywczych, pod krzesłem leżał podarty niemowlęcy podkład a w otwartej kuchence mikrofalowej stała miska z potrawą, o której ktoś zapomniał.

– Zrobię kawę – zaproponował Arnie, uprzątając dla Mickey krzesło. – Wiem, że nie jesteś przyzwyczajona do takiego zimna!

Mickey roześmiała się.

– Nie będę zdejmować płaszcza, dopóki nie odtaję! Napełnił miarkę ziarnami kawy i wysypał je do młynka.

Kuchnia w jednej chwili wypełniła się odgłosem wirnika. Arnie szukał punktu, na którym mógłby zaczepić wzrok.

Mickey była dla niego niemal zupełnie obcą osobą. Tak dużo czasu upłynęło, gdy widział ją po raz ostatni. Nie mógł pojechać na jej wesele razem z Ruth, ale wiedział, że jest teraz bardzo zamożną osobą. Gdy siedziała przy zaśmieconym okruchami stole, zrobiło mu się wstyd z powodu panującego w domu bałaganu.

Zajął miejsce obok niej, czekając, aż się zaparzy kawa. Był skrepowany jej obecnością.

– Starsze dziewczynki są w szkole. A młodszymi zajmuje się na górze pani Colodny, ich opiekunka. – Nerwowo zakasłał. – Ruth jest ogromnie przykro, że nie mogła po ciebie wyjechać na lotnisko, ale musiała zostać w szpitalu, żeby odebrać nagły poród.

Mickey przyglądała się Arnie'emu. Zauważyła, że nerwowo skubie róg leżącego na stole podręcznika. Był schludnym, potulnym i nieśmiało uśmiechającym się mężczyzną o przerzedzonych włosach. Nosił grube szkła, brązowy garnitur i krawat tego samego koloru, a z kieszeni białej koszuli wystawał plastikowy futerał z mnóstwem długopisów i ołówków. Właściwie prawie go nie znała. Ostatnio widziała go w czasie studiów, gdy spotykał się z Ruth. A przyjaciółka rzadko wspominała o nim w listach, które dołączała do życzeń urodzinowych albo świątecznych. Mickey wiedziała tylko, że Arnie jest harcmistrzem, przyłączył się do ruchu Big Brothers i aktywnie udziela się w swoim męskim klubie.

– Cieszę się, że przyjechałaś, Mickey – powiedział cicho, rozlewając kawę do dwóch dużych kubków. – Ze względu na Ruth. Nie ma tutaj wielu przyjaciół. Jest wiecznie zagoniona...

Siedzieli w milczeniu. Ciszę przerwał dopiero po kilku minutach odgłos otwieranych

frontowych drzwi. Do środka wtargnął powiew rześkiego jesiennego powietrza, a razem z nim grupka rumianych dziewczynek, których wiotkie włosy wymknęły się spod wełnianych czapek. Miały czerwone z zimna kolana. Naniósły do domu na podeszwach butów złotych i pomarańczowych liści. Wrzuciły do szafy płaszcze i swetry, cisnęły książki na kredens, a na brudnej brązowej macie zostawiły porozrzucane buty.

Gwałtownie zatrzymały się w kuchennym wejściu, ustawiając się jak do zdjęcia, niższe z przodu, wyższe z tyłu: ośmioletnia Rachel, siedmioletnie Naomi i Miriam, oraz osiemnastoletnia Beth. Wszystkie patrzyły z zaciekawieniem na siedzącą przy kuchennym stole panią.

– Nie zachowujcie się jak źle wychowane panienki – zganiał je Arnie. – Przywitajcie się z waszą ciocią Mickey.

„Wielki Boże!” – przemknęło przez myśl trochę zaniepokojonej Mickey. „One mnie onieśmielają”.

– Dzień dobry, ciociu Mickey! – zawołały chórem bliźniaczki.

Niepewnie otworzyła ramiona i zdumiała się na widok instynktownej reakcji: dwa ciepłe ciała pachnące wełną i ołówkami natychmiast do niej przypadły i zwilżyły pocałunkami jej policzki.

– Naprawdę będziesz z nami mieszkać? – dopytywała się Rachel, podchodząc bliżej do Mickey, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

– Tak, przez jakiś czas.

– Będziemy korzystać ze wspólnej łazienki – wyjaśniła z dumą Beth. – W związku z tym umyłam półkę i szafkę na ręczniki.

Mickey śmiała się w chwili, gdy ponownie otworzyły się frontowe drzwi, a listopadowy, porywisty wiatr przywiał osobę, na którą czekała.

– Ruth – powiedziała, podrywając się z miejsca.

Przez zamknięte drzwi dobiegały dźwięki tłumionych pisków i skrzypienie sprężyn w łózkach. Od czasu do czasu rozlegał się okrzyk radości, gdy rzucona poduszka trafiła w cel.

– Niebawem się uspokoją – zapewniła Ruth. – Są strasznie podekscytowane. – Przeszła na drugą stronę sypialni i usiadła na krześle pod oknem. – Beth cię uwielbia. Jest teraz na etapie oglądania starych filmów w telewizji i przysięga, że dostrzega w tobie podobieństwo do Grace Kelly.

Mickey pokręciła głową, wyciągając z walizki ułożoną w schludne stosy satynową i koronkową bieliznę. Cóż to był za wieczór! W dominującym wszędzie hałasie i nieładzie panował swoisty porządek. Dziewczynki udało się zapędzić na górę z podręcznikami oraz nakłonić do zmiany odzieży szkolnej na długie spodnie i swetry, a następnie zebrać je przy kominku na mleko i ciastka. Potem wszyscy zajęli się wypełnianiem codziennych obowiązków: bliźniaczki przystąpiły do karmienia zwierząt, Rachel nakrywała do stołu, ozdabiając go dynią i kłosami zboża, a Beth obierała i kroїła warzywa. Ruth na górze przez godzinę prowadziła rozmowy telefoniczne z pacjentkami, a Arnie usiadł przed telewizorem w salonie, żeby obejrzeć

wiadomości. Natomiast Mickey została zmonopolizowana przez najmłodszych członków plemienia: Sarah, Leah i Figgy, córeczkę Beth.

Kolacja była prezentacją rozmowy wszystkich naraz, wyciągniętych ponad cudzymi talerzami rąk, krążącej wokół szklanki mleka oraz wierzgających małych nóg pod stołem. Potem naczynia zostały umyte i wytarte, podłoga zamieciona, młodsze dzieci wykąpane i posadzone przy kominku, zwierzęta wyprowadzone na spacer, a lekcje z płaczem odrobione. Mocowanie się z kanałami telewizyjnymi dobiegło końca, Ruth przystąpiła do dalszych rozmów telefonicznych, Arnie ukrył się za gazetą, czytając o wydarzeniach sportowych, a Mickey ponownie została napadnięta przez bandę małych, absorbujących dziewczynek.

Dopiero teraz, gdy rozpakowywała walizkę, dom zaczynał się powoli uspokajać. Ruth siedziała obok i wyglądała przez okno, Arnie czekał na dole na ostatnie wiadomości, a dziewczynki robiły wszystko, co tylko mogły, żeby nie zasnąć.

– Zaraz się uciszą – obiecywała Ruth. – Są potwornie zmordowane.

Mickey przekładała starannie złożone ubrania z walizki do opróżnionej komody i porównywała atmosferę panującą w tym domu do majestatycznej ciszy Pukula Hau. Rezydencja na Hawajach ze swoimi antykami, wypolerowanymi podłogami oraz bezszelestnie poruszającymi się służącymi przypominała muzeum.

Ruth obserwowała przyjaciółkę. Przypomniła sobie balsamiczne i ciepłe dni lutego sprzed dwóch lat.

Cóż to była za uroczystość; trzy szalone dni spędzone na Hawajach. Z okazji ślubu Mickey spotkały się po latach znowu w trójkę. Obie z Sondrą przyleciały do Honolulu pierwszą klasą na koszt Mickey, a prywatny odrzutowiec Butlerów zabrał je na wyspę Lanai. Gdy przejechały przez plantację ananasów, zobaczyły Mickey, która stała na białych schodach starej, pochodzącej z czasów kolonialnych, rezydencji. Ruth i Sondra spędziły trzy boskie dni ze swoją przyjaciółką, snując wspomnienia, śmiejąc się i płacząc, udzielając sobie nawzajem rad i nie przyjmując żadnych w zamian. Stały razem przy ołtarzu w altanie z tropikalnych kwiatów i palm, obie jako druhny w łososiowych sukienkach z szyfonu, które kupiła im Mickey. A potem gospodarze wydali przyjęcie pod gołym niebem. Było jak w bajce: setki gości, połyskiwanie złota, orkiestra i szampan pod gwiazdami tropiku. Mickey i Harrison tańczyli sami pierw'szy taniec, a gdy wirując, przenieśli się na dziedziniec, w górze pojawił się helikopter i obsypał nowożeńców deszczem białych orchidei.

– Zrobione! Ach, mam coś dla ciebie... – przypomniała sobie Mickey i odwracając się, sięgnęła po gruby list, który nadszedł pocztą lotniczą. – To od Sondry.

Ruth zerwała się na nogi.

– Wieki nie miałam od niej żadnej wiadomości!

Usiadły obok siebie na łóżku i pochyliły głowy nad zdjęciem. Sondra i Derry, uśmiechnięci, chełpili się małym zawiniątkiem w ramionach Sondry.

– Chryste! – mruknęła Ruth. – Spójrz tylko na męża Sondry. Co za przystojny mężczyzna!

Ale Mickey patrzyła na delikatne rysy maleńkiej buzi dwumiesięcznego Roddy'ego i na różową piąstkę, która wysunęła się spod pledu. *Nadaliśmy mu imię po Derrym, który w rzeczywistości nazywa się Roderick* – napisała Sondra na odwrocie fotografii. *Ale, żeby się nie myliło, postanowiliśmy zwracać się do chłopca Roddy!*

Kochana Mickey!

Wybacz, że tak długo nie pisałam. Mam tak wiele zajęć. Wierzę, że to zrozumiesz. Roddy jest teraz w bardzo absorbującym wieku, ale kocham każdą spędzoną z nim chwilę. Jedyne moje problem polega na tym, że nie mogę jeździć z Derrym do buszu. Ale gdy tylko chłopcem będzie się już mogła opiekować któraś z tutejszych kobiet, wyruszę na objazdy razem z moim mężem.

Teraz, gdy piszę ten list, jest noc. Niedawno położyłam Roddy'ego spać. Derry wyjechał do wioski Taka do nagłego wypadku. Tak więc zostałam sama. Teren misji jest pogrążony w ciszy. Dobiega mnie tylko niezwykle krzyk afrykańskiego ssaka, który przywodzi na myśl nakręconą i puszczoną w ruch zabawkę.

Nie mogę uwierzyć we własne szczęście. Czym sobie na nie zasłużyłam ?

To paradoksalne, że ludzie tacy jak ja i Derry – tułacze bez przeszłości i bez rodzinnych korzeni – czujemy się na zawsze przypisani do tej ziemi jak drzewa baobabu. Nigdy nie będziemy związani z jednym miejscem – naszym domem jest cała Kenia.

Proszę, przekaż ten list Ruth, Mickey. Jest pewnie przekonana, że o niej zapomniałam! Wiadomości od was sprawią mi ogromną radość. Jak się czujesz w zamężnym stanie? Ciekawa też jestem, jak się miewają dzieciaki Ruth?

Niech Bóg was błogosławi. Kwa heri.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, słuchając odgłosu zimnego północnozachodniego wiatru znad Pacyfiku, który dobiegał zza ciężkich kotar. Potem Mickey wstała i z powrotem zajęła się wypakowywaniem bagażu.

– Jak twoja praktyka? – zapytała Ruth, odwracając się. Przesunęła krzesło i oparła się o słupek baldachimu staromodnego łóżka.

– Dziękuję, dobrze. Czulałam się dziwnie na początku, po tylu latach spędzonych na uczelni i na stażu, a potem na praktyce specjalizacyjnej. Mam gabinet niedaleko szpitala Great Victoria. Zatrudniam dwie pielęgniarki i sekretarkę. Dużo pracuję. Nie narzekam na brak pacjentów. Ale to wszystko jest niczym w porównaniu z twoją wielką kliniką!

Ruth wstała i podeszła do kominka. W zamyśleniu zaczęła szturchać płonące polana. Jej wielka klinika... Kiedy sklep samoobsługowy obok gabinetu, który wynajmowała, zbankrutował, Ruth kupiła i przebudowała tę część domu. Jej prywatny szpital zajmował teraz cały narożnik bloku, pracowało w nim dwanaście osób, był w nim rentgen, laboratorium i imitujące domowe otoczenie izby porodowe. Ruth przypomniała sobie nagle dzień pierwszej i jedynej wizyty jej ojca w klinice. „Czy tak wąska specjalizacja nie ogranicza twoich możliwości?” – usłyszała jego

jedyny komentarz.

Rozległo się delikatne pukanie i w drzwiach pokazała się mała, zaspana twarzączka dwuipółletniej Leah, dziecka zesłanego przez Boga. Dziewczynka trzymała w rękach lalkę.

– Pomyślałam, mamusiu, że ciocia Mimmy będzie miała ochotę spać razem z Wobbwy.

Ruth podeszła do dziecka i przytuliła je.

– Bardzo miło, że o tym pomyślałaś, Leah. Jestem pewna, że ciocia będzie zachwycona, mogąc spać z Lobbly. – I odwracając się, szepnęła przez ramię do Mickey: – Pójdę położyć ją z powrotem do łóżka. Nie martw się, to się nie będzie powtarzać co wieczór.

Mickey roześmiała się, twierdząc, że nic nie szkodzi. I słysząc oddalające się kroki Ruth, pomyślała: „Naprawdę nie mam nic przeciwko temu, żeby dziecko wyrwało mnie w nocy ze snu...”

Ruth wróciła z lalką, miękkim owłosionym stworem o czterech rękach i dwóch ogonach. Pierwowzorem maskotki był jeden z bohaterów drugiej części filmu „Najeźdźcy!” Jonathana Archera.

– To prawdziwa ironia losu, że masz spać z tworem wyobraźni Jonathana – zauważyła Ruth, rzucając Lobbly na łóżko Mickey. – Myślisz o nim czasami?

– Teraz już nie. Ale kiedyś bardzo często go wspominałam. Ciekawa jestem, czy nadal gniewa się na mnie o to, że nie przyszłam pod zegarową wieżę.

– Założę się, że czasami się zastanawiasz, jak dzisiaj wyglądałoby twoje życie, gdybyś tam poszła. – Ruth ponownie zajęła miejsce przy oknie. – Moje dziewczęta oszalały na punkcie serii „Najeźdźcy!”. Nie mogą się doczekać trzeciej części, która ma wejść na ekrany w okresie świąt Bożego Narodzenia. „Gwiazdnych łupieżców!” oglądały już pięć razy. Znasz filmy Jonathana?

– Tylko „Najeźdźców!” i „Wietnam!”.

– Teraz, kiedy na swoim koncie ma już trzy Oscary, jego wyobrażenie o sobie pewnie...

– Czy mogłabyś mi pomóc, Ruth?

Lodowaty powiew listopadowej wichury musnął w przelocie okiennice za zasłonami, a rozżarzone polana w kominku buchnęły deszczem pomarańczowych iskier.

– Powiedz mi, co do tej pory zostało zrobione. Mickey westchnęła.

– W lutym odwiedziliśmy oboje z Harrisonem specjalistę w Pearl City. Oświadczył, że nie widzi przyczyn tego, że nie zachodzę w ciążę.

– Przywiozłaś karty informacyjne?

Mickey sięgnęła do skórzanego walizki o barwie burgundzkiego wina i zaczęła w niej szperać.

– Trudno w niej cokolwiek znaleźć, jak w książce telefonicznej Manhattanu!

– Co z Harrisonem?

– W porządku. Znajdziesz to w jego karcie. Przeprowadzili mu wszystkie możliwe badania. Najwyraźniej problem jest związany ze mną – głos Mickey stał się drżący – ale doktor Toland nie potrafił stwierdzić, na czym polega.

Ruth usiadła na łóżku obok Mickey. Mogła zadać jej tysiące pytań, ale już знаła wszystkie

odpowiedzi. Postawa Mickey, ruchy jej głowy i napięcie w głosie niezbitie dowodziły, że dołączyła do dobrze znanej Ruth wspólnoty kobiet.

– Czy braliście pod uwagę adopcję?

– Dziecko innej kobiety to nie to, co własne, Ruth. Sama pragnę tego doświadczyć. A poza tym chcę dać Harrisonowi syna, który zastąpi mu tego, którego stracił. Pomożesz mi?

Znów Ruth dostrzegła tak dobrze jej znane i prześladowające ją spojrzenie. Widywała je w oczach innych pacjentek, ale przede wszystkim w swoich własnych. Ostatnio stojąc przed lustrem, Ruth zauważała to samo nieme błaganie, ten sam zagubiony wyraz, w którym kryła się obawa, pragnienie i zażenowanie. „Czuję to samo, co ty, Mickey. Pragnę mieć jeszcze jedno dziecko” – pomyślała.

– To straszne, gdy trzeba żyć ze świadomością bezużyteczności własnego łona, a comiesięczne krwawienie jest traktowane jak śmierć w rodzinie. Okrutnie cierpię z tego powodu. Czasami nawet myślę, że potrzeba urodzenia dziecka kiedyś mnie zabije!

– Znam to dobrze, Mickey. W piątkowe wieczory spotykam się z grupą kobiet. Wyrzucają z siebie wszystkie lęki, troski i gniew z powodu utraty kobiecości, dlatego że zawiodło je ich własne ciało oraz że czują się niepotrzebne i mają wstręt do samych siebie...

– Tak, to jest to – przerwała jej Mickey.

Ruth ponownie podeszła do kominka i pogrzebała w żarze. Znowu odtwarzała w myślach rozmowę z mężem: „Ależ Ruhtie, chyba nie bierzesz poważnie pod uwagę możliwości urodzenia jeszcze jednego dziecka! – Oczywiście, że poważnie. Nawet nie wiesz, jak bardzo pragnę je mieć, Arnie. – A co z ryzykiem? To nieuczciwe stawianie sprawy. – Mamy pięcioro zdrowych dzieci, Arnie. Dlaczego szóste miałyby być inne? – Chyba postradałaś zmysły, Ruthie. Gra jest zbyt ryzykowna. To bardzo egoistyczne podejście do sprawy”. Wyprostowała się i odstawiła na miejsce pogrzebacza. „Dlaczego ostatnio tak bardzo się klóćmy, Arnie?”

– Ruth?

– Przepraszam, Mickey. Zamyśliłam się. Podczas weekendu przeczytam wasze karty zdrowia, a potem się zastanowię, jak mam się zająć tobą dalej. Możliwe, że twój lekarz coś jednak przeoczył.

Mickey uśmiechnęła i ciężko opadła na łóżko.

– Dzięki, Ruth.

– Tak jak ci już wiadomo, Mickey, jedyne związane z tym zabiegiem ryzyko polega na tym, że mogę wywołać poronienie, jeśli zaszłaś w ciążę i jeszcze o tym nie wiesz.

Mickey zastanawiała się przez chwilę, patrząc na czerwonożłote drzewa za oknem.

– Nie, to niemożliwe, żebym była w ciąży.

– W porządku – powiedziała Ruth, zamykając kartę i wstając zza biurka. – Polecę siostrze, żeby wszystko przygotowała do badania.

Zamierzała zrobić biopsję błony śluzowej macicy, która miała wykazać, czy prawidłowo przebiega u Mickey proces owulacji. Doktor Toland przeprowadził już ten sam test w Pearl City i nie stwierdził żadnych nieprawidłowości, ale Ruth chciała mieć pewność.

Statystycznie przyczyna niepłodności w czterdziestu procentach leżała po stronie mężczyzn, w trzydziestu po stronie kobiet, dwadzieścia procent wynikało z przyczyn stwierdzonych u obojga rodziców jednocześnie. Dziesięć procent natomiast spowodowane było tajemniczymi i niezbadanymi okolicznościami. Wyniki badań, które Mickey przywiozła ze sobą, sugerowały, że Harrison jest płodny. W jego spermie stwierdzono dużą liczbę plemników o zadowalającej ruchliwości, a jej morfologiczny obraz też nie wzbudzał zastrzeżeń. Testy przeprowadzone przez doktora Tolanda po stosunku wykluczyły obecność w śluzie szyjki macicy przeciwciał plemnikobójczych oraz istnienie jakiegokolwiek procesu powstrzymującego zapłodnienie. Oboje z Harrisonem nie stosowali także żadnych technik utrudniających zapłodnienie. Problem musiał wobec tego być związany z Mickey, chociaż doktor Toland nie zdołał go odkryć.

Gdy Ruth wyszła, Mickey rozejrzała się po gabinecie. Wygląd pokoju ją zaskoczył. Był tak niepodobny do wszystkich znanych jej gabinetów lekarskich. Wszystko tu odzwierciedlało osobowość Ruth: rośliny doniczkowe, zabawki, ręcznie wykonane poduszki oraz morze zdjęć. Prawdopodobnie można by tu było odnaleźć fotografię każdego przyjętego na świat przez Ruth dziecka. Ze ścian patrzyły podobizny rozpromienionych matek w szpitalnych łóżkach, zarumienione twarze mężów w zielonych ochronnych fartuchach oraz maleńkie zaślinione i wykrzywione buzie. Znalazły się tu też zdjęcia całej siódemki Ruth, nie wyłączając Beth i Figgy, robione w różnych okresach życia i w różnym stroju: od upačkanych w błocie džinsów, po sukienki z falbankami. Mickey zdziwiła się, że znalazła tylko jedno zdjęcie Arnie'ego – wisiało w prostej ramie i zostało wykonane polaroidem osiem lat temu, gdy trzymał na rękach nowo narodzoną Rachel.

Podczas tygodnia spędzonego w domu Rothów Mickey zauważyła coś, co ją zaniepokoiło, a z czego Ruth najwyraźniej zupełnie nie zdawała sobie sprawy.

Chodziło o Arnie'ego.

Arnie Roth żył w samym centrum sfeminizowanego świata, świata pudełek z tampaxami, staników zawieszonych na gałkach łazienkowych drzwi, lalek, lokówek i spinek do włosów. W tym otoczeniu, gdzie nawet psy i koty były płci żeńskiej, przebywał cichy i spokojny Arnie. Podejmując nieświadomy wysiłek przeciwstawienia się kobiecemu natłokowi, obudził w sobie fanatyczne i obce jego naturze zainteresowanie sportem. Rzucił się w wir zajęć, aktywnie działając w męskim klubie i w harcerstwie oraz przyłączając się do ruchu Big Brothers. A od wczoraj zaczęła go prześladować obsesja zakupu broni myśliwskiej.

Nie, Arnie Roth nie był sobą. Znalazł się w ślepym zaułku. Był człowiekiem odstawionym na boczny tor, odtraconym i niepotrzebnym. Czy Ruth nie zdawała sobie sprawy, jaką mu wyrządza krzywdę?

– Jesteśmy gotowi, Mickey. – Przyjaciółka stanęła w drzwiach. Biopsja endometrialna

polega na pobraniu małego wycinka ze ściany macicy. Wykonuje się ją zwykle w gabinecie lekarskim bez znieczulenia. Trwa kilka minut. Powoduje ból zbliżony do menstruacyjnych skurczy. Jest przeprowadzana z różnych powodów. Najczęściej po to, by się przekonać, czy pacjentka jajeczkuje.

Gdy Ruth wykonywała zabieg, Mickey zamknęła oczy i starała się odprężyć. Wiedziała, jaki będzie wynik badania laboratoryjnego. Była pewna, że proces owulacji przebiega u niej prawidłowo. Każdego miesiąca, około czternastego dnia cyklu, jeden z jej jajników uwalnia jajo, które przedostaje się przez jajowód do macicy, gdzie natknąwszy się na spermę, może zostać zapłodnione.

Mickey знаła wyniki wszystkich swoich testów: poziom jej hormonów był normalny i cykliczny, szyjka macicy miała prawidłową budowę i mogła odprowadzać spermę do macicy, która też była idealnie zbudowana i znajdowała się we właściwej pozycji. Oba testy, Rubina i HSG, wykazały, że jajowody są drożne, i wreszcie, przeprowadzone w warunkach szpitalnych badanie laparoskopowe wykluczyło obecność w brzuchu endometriozy oraz zrostów.

– W porządku, Mickey – powiedziała Ruth, okrywając przyjaciółce nogi papierowym prześcieradłem. – Gotowe. Teraz musimy już tylko poczekać na opinię patologa.

Rozdział 29

Jak już zapewne wiesz, Mickey, proces owulacji przebiega u ciebie prawidłowo. Jajeczkujez tego samego dnia w każdym miesiącu.

Siedziały w małej rybnej restauracji w pobliżu przystani promu i delektując się daniem z kraba oraz białym winem, cieszyły się pogodnym, bezchmurnym dniem.

– Co dalej? – zapytała Mickey.

– Początkowo myślałam o badaniu radiologicznym macicy i jajowodów, ale postanowiłam z niego zrezygnować. Doktor Toland sumiennie je wykonał i powtórzenie nie wykazałoby niczego nowego. Chciałabym przyjrzeć się jajowodom bezpośrednio przez laparoskop. Co o tym sądzisz?

Mickey wzruszyła ramionami. Po dziewięciu miesiącach testów przeprowadzanych przez doktora Tolanda zdążyła już oswoić się z myślą, że jej ciało jest przedmiotem poddawanych nakłuwaniu i nacinaniu, sondowaniu i wnikliwemu badaniu. Jej ciało, które odmawiało wydania na świat dziecka.

– Ty jesteś lekarzem i decyzja należy do ciebie.

Ruth wyciągnęła rękę ponad stolikiem i dotknęła dłoni przyjaciółki.

– Nie poddawaj się przygnębieniu, Mickey.

– Wszystko w porządku, Ruth. Jestem tylko trochę zmęczona.

– Przykro mi z tego powodu. Wciąż powtarzam dziewczynkom, żeby cię zostawiły w spokoju. Musisz im wybaczyć. Twoja wizyta w naszym domu jest dla nich wielkim wydarzeniem.

Ale to nie uwaga siedmiu dziewczynek męczyła Mickey. Nie mogła wyjawiać przyjaciółce, że na jej przygnębienie wpływa przytłaczająca płodność Ruth, z której dowodami stykała się na każdym kroku.

– Kiedy zrobimy laparoskopię? – zapytała.

– Najpierw muszę porozmawiać z Joe Selbie'm, kiedy to wykona, a potem będę musiała dopasować termin zabiegu do planu własnych zajęć oraz operacji przewidzianych na oddziale ginekologiczno-położniczym.

Niepisany zwyczaj w zawodzie lekarza nie zezwalał chirurgom operować krewnych ani bliskich znajomych.

– A co potem?

– Wszystko zależy od tego, co stwierdzi Joe Selbie. Co sądzisz o tabletkach na wzrost płodności?

– Wolałabym ich nie zażywać.

Wcześniej z podobną propozycją wystąpił doktor Toland. Ale oboje z Harrisonem postanowili nie podejmować tej próby, chociaż spośród wszystkich obecnie stosowanych leków na pobudzenie płodności jedynie bromocryptyna miała szkodliwe skutki uboczne.

Ruth sięgnęła po karafkę z winem i ponownie napełniła kieliszki. Picie wina w południe było

rzadkim luksusem, ale dzisiejszy dzień zaliczał się do nietypowych. Żadna z pacjentek nie rodziła ani nie czekała na poród leżąc w klinice. Nikt nie miał wyznaczonego terminu wizyty w gabinecie. Dzień był wyłącznie zarezerwowany dla Mickey.

– A co sądzisz o ponowieniu próby sztucznego zapłodnienia?

Mickey westchnęła.

– No cóż, wobec tego zaczekajmy na wynik laparoskopii. Może doktor Toland coś jednak przeoczył.

Obie umilkły i utkwili wzrok w roztaczającym się z okna widoku na zatokę. Obserwując zbliżający się prom „Walla Walla”, którym przyplłynęły z wyspy Bainbridge, Mickey powróciła myślami do tematu, który ją niepokoił niemal od chwili przyjazdu – do kryzysu małżeńskiego Rothów.

Ich wspólne życie okazało się inne, niż sobie wyobrażała. Już po dwóch dniach obecności w ich domu dostrzegła oznaki i symptomy świadczące o istnieniu przeciwstawnych prądów. Najdziwniejsze było jednak to, że Ruth najwyraźniej z niczego nie zdawała sobie sprawy.

Mickey przypomniała sobie rozmowę, jaką przeprowadziła z Arnie’em trzy dni temu, gdy pomagała mu zmywać naczynia. Ruth była wtedy w szpitalu.

– Co myślisz o mnie i o Ruth, Mickey? – zagadnął niespodziewanie Arnie.

Spojrzała na niego, a jej ręce znieruchomiały na kamionkowym garnku.

– Nie rozumiem, co masz na myśli, Arnie.

Wrzucił ręcznik do zlewu, odwrócił się i stanął przed nią z założonymi rękami.

– Czy uważasz, że jesteśmy szczęśliwym małżeństwem?

– Nie mam pojęcia. A nie jesteście?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Pewnie wyda ci się to głupie, ale brakuje mi punktu odniesienia. Nie wiem, jak wyglądają inne małżeństwa po dziewięciu latach wspólnego życia.

Mickey przyglądała mu się w milczeniu. „A skąd ja mam to wiedzieć?” – pomyślała. „Jestem mężatką dopiero od dwóch lat. Gdybym poszła tamtego wieczoru pod zegarową wieżę, miałabym pewnie dzisiaj dziewięcioletni staż małżeński jako żona Jonathana Archera. Ale wybrałam inne rozwiązanie i nigdy się nie dowiem, jak wyglądałoby nasze życie”.

– Jest na mnie wściekła, bo nie chcę się zgodzić na następne dziecko. Nie rozumiem, skąd się u niej wzięła ta obsesja na punkcie rodzenia dzieci, Mickey. Przecież mamy już pięcioro. Nie powinniśmy wyzywać losu. Przyznam ci się – zniżył głos – że myślałem już nawet o rozwodzie. Nie zastanawiałem się nad nim poważnie, ale wziąłem taką ewentualność pod uwagę – na zasadzie „co by było, gdyby...”. Nie jestem jednak pewien, czy tędy droga. Sam nie wiem, czego chcę. Zależy mi na dziewczynkach, na naszym domu, na Ruth i na wspólnym życiu, ale wolałbym, żeby inaczej wyglądało niż teraz.

– Czy rozmawialiście o tym ze sobą?

– Kłóciliśmy się. Nie wiem, dlaczego, Mickey, ale . ja już się dla niej nie liczę. Czuję się

niepotrzebny. Ruth nie jest tą samą dziewczyną, którą poślubiłem.

Mickey musiała ugryźć się w język, żeby go nie zapytać: „Kiedy zdjąłeś różowe okulary, Arnie?” Ruth wcale się nie zmieniła. Zawsze była taka jak teraz – wiecznie zagoniona.

– Angażuje się w tak wiele spraw – żalił się dalej. – Sądziłem, że gdy zrobi specjalizację, będziemy prowadzić życie jak normalni ludzie. Ale gdy tylko rozpoczęła własną praktykę, natychmiast rzuciła się w wir innych zajęć. Realizuje coraz to nowe projekty; w każdy piątek spotyka się z grupą kobiet, prowadzi szkołę rodzenia i jest do dyspozycji pacjentek przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Każdą wolną chwilę wypełnia pracą, której wcale nie musi wykonywać. Zachowuje się tak, jak gdyby nie chciała mieć czasu na myślenie. Sam nie wiem, co o tym sądzić, Mickey...

Mickey też nie wiedziała. Przeraziła się, stwierdzając, że wspólne życie Arnie’ego i Ruth jest po tylu latach parodią małżeństwa. Byli niemal obcymi sobie ludźmi, zajmującymi to samo mieszkanie, ale żyjącymi w dwóch różnych światach. Mieli wspólne dzieci. Ale wydawało się, że oprócz córek nic więcej ich ze sobą nie łączy. Ruth była niezwykle zajęta. Mickey odkryła, że plan dnia przyjaciółki jest napięty do granic wytrzymałości. Bieganina od jednej pracy do drugiej całkowicie wypełniała jej życie, w którym mąż odgrywał jedynie epizodyczną rolę. A Arnie fascynował się meczami piłkarskimi, oddawał się w wolnych chwilach polowaniom oraz innym męskim rozrywkom, na przykład rąbaniu drewna do kominka. Przygotowywanie polan było jego hobby. W ubiegłym tygodniu, podczas przerwy w transmisji z meczu, włożył kurtkę, nauszniki oraz wojskowe buty i udał się do drewni za domem, gdzie atakował siekierą duże pniaki. Przy rąbaniu drzewa spędzał każde sobotnie popołudnie.

Mickey nie wiedziała, co ma na to wszystko odpowiedzieć. Ruth była taka sama, jak w dniu kiedy spotkały się po raz pierwszy – ambitna i zdeterminowana. I jak zwykle prowadziła wyścig z czasem. Ale po co?

Odwróciła się, żeby spojrzeć na przyjaciółkę. Ruth miała teraz bardziej obfite kształty, a w jej ciemnobrązowych włosach pojawiło się kilka srebrnych nitok. Ale to wciąż była ta sama Ruth. Mickey jadąc do Seattle spodziewała się, że pozna niektórych jej przyjaciół, ale jak dotąd nikt ze znajomych nie został jej przedstawiony i o nikim nawet nie wspomniano. Mickey przyszło na myśl, że być może Ruth jest zbyt zajęta, żeby zawierać przyjaźnie.

– Czy u ciebie wszystko w porządku, Ruth? – zapytała, sącząc wino. – Nie miałyśmy okazji, żeby szczerze ze sobą porozmawiać.

Ruth sprawiała wrażenie, że wróciła myślami skądś z daleka.

– W najlepszym porządku, dziękuję. Dlaczego pytasz?

– Jesteś taka zapracowana. Nie mogę pojąć, jak sobie dajesz radę. Skąd bierzesz na to wszystko czas?

– Nigdy go nie marnuję – odparła Ruth.

Odpowiedź ta przypominała Mickey zdarzenie sprzed lat, gdy Sondra weszła za Ruth do jej pokoju w akademiku, w Tesoro Hall. „Wypożyczyłaś już podręczniki? Kiedy zdażyłaś to

zrobić?” – zdziwiła się. „Nigdy nie marnuję czasu” – oświadczyła wtedy Ruth.

„Na co przeznaczasz czas, Ruth? Czego brakuje w twoim życiu, że musisz je wypełniać tak wieloma różnorodnymi zajęciami?” – zastanawiała się Mickey. „A co ma oznaczać ta scena z wczorajszego wieczoru?”

Siedzieli w trójkę z Arnie’em w salonie przy kawie, a dziewczynki zeszły na dół powiedzieć im dobranoc. Otoczyły gromadą je obie, a ośmioletnia Rachel podeszła do ojca i usiadła mu na kolanach. Ruth spojrzała gniewnie w ich stronę. „Tylko spójrz, jak ona go uwielbia” – mruknęła do siedzącej obok Mickey. „Nie rozumiem, dlaczego małe dziewczynki są w stosunku do ojców takimi uległymi masochistkami. Arnie mógłby nią pomiatać, a ona przyczołgałaby się do niego na czworakach!”

Mickey spojrzała na nią zdumiona. „Przecież Arnie jest dobrym ojcem” – powiedziała. „Oczywiście, że jest” – usłyszała w odpowiedzi. „Ale i tak pewnego dnia nie ominie jej rozczarowanie. Tylko że wtedy będzie już za późno”.

Nie miała okazji poprosić Ruth o wyjaśnienie, a teraz siedząc naprzeciwko niej w zalanej słońcem i zatłoczonej restauracji nie była pewna, czy pora jest odpowiednia na poruszanie tego tematu. Pamiętała, że przyjaciółka miała jakieś problemy w okresie studiów ze swoim ojcem. Musiała się sama utrzymywać, podczas gdy jej bracia otrzymywali od ojca finansowe wsparcie.

Ruth nadgryzła podłużną bułkę, a potem zmieniła zamiar i odłożyła ją na pusty talerz.

– Czy już ci mówiłam, Mickey, że bardzo bym chciała mieć jeszcze jedno dziecko? Ostatnie. Póki nie jestem za stara, żeby je urodzić.

– Sądzisz, że to byłoby rozsądne?

– Mówisz zupełnie jak Arnie. Jest śmiertelnie wystraszony. Wiesz, czym mnie zastrzelił w zeszłym tygodniu? Oświadczył, że podda się zabiegowi wycięcia nasieniowodów, jeśli przestanę zażywać pigułki. Czy to uczciwe postawienie sprawy?

– Naprawdę zamierza to zrobić?

– Nie, ponieważ nadal stosuję środki antykoncepcyjne. Ale ze złości wszystko się we mnie gotuje. Za każdym razem gdy patrzę na małą Leah, myślę sobie: „Co by było, gdybyśmy wiedzieli o wadzie TaySachsa, gdy chodziłam w ciąży z Sarah. Arnie kategorycznie by się sprzeciwił planowaniu następnego dziecka i Leah nigdy by nie przyszła na świat.

Ruth ponownie sięgnęła po bułkę. Tym razem zaczęła ją jeść z apetytem, łapczywie odgryzając i przeżuując kęsy.

– Wycięcie nasieniowodów! Jeszcze jeden przejaw męskiej tyranii; inny rodzaj pasa cnoty. Okradając żonę z kontroli nad własną płodnością, mężczyzna może być spokojny o jej wierność. Osobiście znałam dwie kobiety, które utrzymywały stosunki pozamałżeńskie. Musiały z nich zrezygnować w chwili gdy mężowie poddali się zabiegowi podwiązania nasieniowodów, gdyż automatycznie zaprzestały stosować pigułki i pianki. A nie mogły ryzykować zajścia w ciążę, gdyż nie było sposobu, żeby wmówić mężom ojcostwo.

Mickey zdążyła jedynie otworzyć usta, chcąc skomentować tę uwagę, gdy usłyszała czyjeś

słowa:

– Ruth! Jaka miła niespodzianka. Co u ciebie słyszeć? Obydwie podniosły wzrok. Przy ich stoliku stała kobieta około pięćdziesiątki. Była ubrana w skromne spodnium, a siwiejące włosy miała zaczesane w kok. Ruth uśmiechnęła się do niej przyjaźnie.

– Witaj, Lorno. Proszę, usiądź z nami. Chciałabym, żebyś poznała moją przyjaciółkę Mickey.

Lorna Smith była wydawcą jednej z gazet w Seattle i po raz pierwszy zetknęła się z Ruth jako jej pacjentka. Teraz jednak spotykały się również na gruncie towarzyskim, okazała się bowiem znajomą współnika Arnie'ego.

– A więc poznałyście się z Ruth w szkole medycznej – stwierdziła Lorna, gdy już zamówiła drinka. – To musiały być interesujące czasy, gdy kobiety nie miały równouprawnienia.

Mickey nie mogła opanować uśmiechu, przypominając sobie niektórych studentów z roku oraz pana Moreno z katedry anatomii.

– Mogę ci, Mickey, zadać głupie pytanie? Dlaczego nazywają was chirurgami „plastycznymi”? Czy używacie do operacji plastyku?

– Nie, nie dlatego. Nazwa pochodzi od greckiego słowa plastikos, które oznacza nadawanie kształtu, formowanie.

– A zatem nauczyłam się dzisiaj czegoś nowego – stwierdziła Lorna, kiwając głową w kierunku Ruth. – Teraz z czystym sumieniem mogę się odprężyć.

Kelnerka przyniosła dla Lorny „Krwawą Mary” oraz kawę dla Ruth.

– Brakowało nam ciebie na przyjęciu u Campbellów w ubiegłym miesiącu – powiedziała Lorna, gdy spróbowała drinka.

Jim Campbell był współnikiem Arnie'ego i doradcą finansowym męża Lorny.

– Wezwano mnie do szpitala. Czy dużo straciłam?

– Niewiele. Muszę cię jednak ostrzec, moja droga, że Wisteria Campbell robi podchody do twojego męża.

– Co takiego? Chyba sobie żartujesz!

– Wcale nie. Ta pajęczyna najwyraźniej chce, aby wpadł w jej sieć!

– Arnie? Daj spokój. Nie jest typem mężczyzny, za którym uganiają się kobiety.

Gdy Ruth chichotała, Mickey i Lorna wymieniły spojrzenia.

– Dobrze się złożyło, że cię spotkałam, Ruth – powiedziała poważniejszym już tonem Lorna.

– Zamierzałam właśnie do ciebie zatelefonować. Chciałabym porozmawiać z tobą o interesach.

– Moich czy twoich?

– Nas obu. Czy czytujesz czasami rubrykę doktora Chapmana?

– Masz na myśli „Zapytaj doktora Paula”? Rzadko. Jego odpowiedzi są często chybione. Udziela tych samych porad, co dwadzieścia lat temu.

– Teraz też to widzę. Jest stary. Pracuje dla gazety chyba od czasów Kolumba. Cieszył się względami dawnego kierownictwa. Ostatnio w „Clarion” zaszły jednak duże zmiany i uznaliśmy,

że potrzebujemy kogoś nowego i młodego; kogoś, kto jest na bieżąco z osiągnięciami współczesnej medycyny.

– Czy mam ci kogoś zarekomendować?

– Ponieważ większość otrzymywanych przez nas listów pochodzi od kobiet, chcemy zastąpić doktora Paula lekarzem kobietą. Zmienimy tytuł rubryki na: „Zapytaj doktor Ruth”.

– Co takiego? Masz na myśli mnie?!

– Odpowiadasz codziennie na tysiące pytań w swoim gabinecie, Ruth. Prawdopodobnie dotyczą tych samych problemów, z jakimi spotyka się doktor Chapman. Ogólna ignorancja jest zjawiskiem zatrwającym.

– Nie musisz mi tego mówić!

Doktor Chapman otrzymuje wiele pytań, dotyczących kontrowersyjnych terapii hormonalnych, a także listy od kobiet uprawiających lekkoatletykę, które chcą wiedzieć, jaki wpływ na ich ciało ma sport wyczynowy. Inni pragną zapoznać się z najnowszymi lekami oraz osiągnięciami w dziedzinie chirurgii. Co na to powiesz, Ruth? Rubryka ukazuje się tylko raz w tygodniu. Otrzymasz własne biurko i asystenta do pomocy. Płaca jest niewielka, ale praca może ci przynieść wiele satysfakcji.

Uwagi Mickey nie uszedł nagły błysk zainteresowania w oczach Ruth, jej wyraźne podniecenie i gotowość podjęcia kolejnego wyzwania. „Wprost pali się ze zniecierpliwienia, żeby się tym zająć” – pomyślała.

W tym samym czasie Ruth wspomniała swego ojca: „Kolumna w gazecie poświęcona problematyce medycznej. Tym razem nie będzie mógł mi zarzucić, że się ograniczam do wąskiej sfery działania!”

Sala operacyjna wciąż była udekorowana z okazji Dnia Dziękczynienia. Na chromowanych szafkach wisiały przyklejone okolicznościowe kartki, a kurki z tlenem zdobiły indyki z karbowanej bibuły. Nie zapomniano tu nawet o najmniej ważnym święcie, jeśli stwarzało okazję do przełamania zielonej monotonii.

Mickey odpowiedziała uśmiechem pielęgniarce, której ogromne błękitne oczy patrzyły na nią przyjaźnie znad maski.

– Gdy podam pani doktor pentothal, proszę liczyć od stu do jednego – powiedziała uruchamiając kroplówkę podłączoną do ręki Mickey. – Jeśli zdoła pani doliczyć do osiemdziesięciu, wygrywa pani wycieczkę na Hawaje.

– Mieszkam na Hawajach – oświadczyła lekko oszołomiona Mickey.

– Wobec tego niech będzie biegun północny. – Pielęgniarka obróciła się na krześle. – Gotowe, doktor Shapiro.

Ruth stała w tyle sali przy stoliku i przeglądała przygotowane przez instrumentariuszkę narzędzia do laparoskopii. Podeszła do przyjaciółki i wzięła ją za rękę.

– Miłych snów – powiedziała przez papierową maskę. Mickey podjęła wysiłek uściśnięcia dłoni Ruth, ale ciężkie powieki opadły jej na oczy i czując głęboko w gardle smak czosnku, który

świadczył o obecności pentothalu w organizmie, zaczęła odliczać:

– Sto, dziewięćdziesiąt dziewięć, dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt siedem... siedem... siedem...

Anestezjolog pomachał ręką przed rzesami Mickey i skinął głową w stronę Ruth.

– Nikt jeszcze nie zdążył doliczyć do dziewięćdziesięciu pięciu – mruknął.

Joe Selbie pracował w asyście pielęgniarki. Porozkładali sterylne chusty i wprowadzili do pochwy Mickey instrumenty: haczyk chirurgiczny do manipulowania we wnętrzu macicy i kaniulę do wstrzykiwania barwnika. Lekarz podszedł z boku do pacjentki i zrobił małe nacięcie koło pępka, żeby wprowadzić trójgraniec, a w okolicy łona wbił igłę do insuflacji. Pierwszy etap zabiegu polegał na wdmuchaniu dwutlenku węgla, żeby podnieść ścianę brzucha i oddzielić ją od zawartości miednicy. Gdy przystąpiono do wpompowywania gazu i brzuch Mickey powoli zaczął nabrzmiwać, Ruth trzymając się jak najbliżej sterylnej pola, odmawiała w duchu modlitwę.

Proces insuflacji został zakończony. Joe Selbie wprowadził do miednicy Mickey fiberoskop, pochylił się nad sterylnymi chustami i przytknął oko do wzornika. Na sali panowała całkowita cisza. Gdy lekarz dokonywał uważnej inspekcji ukrytego w głębi ciała świata, instrumentariuszka czekała w pogotowiu, żeby podać mu potrzebne narzędzie, anestezjolog kontrolował pracę serca za pomocą przytwierdzonej do piersi Mickey przyssawki, jedna z sióstr rozłożyła serwetę na podłodze na zakrwawione tampony, a Ruth wstrzymała oddech i stała ze wzrokiem utkwionym w posmarowanej jodyną skórze, jak gdyby chciała ją przeniknąć wzrokiem i zobaczyć to samo, co Joe Selbie.

– Nie widzę nieprawidłowości – mruknął lekarz przesuwając sterylną końcówką fiberoskopu.

– Nie ma zrostów, zniekształceń ani blizn. Budowę anatomiczną twojej przyjaciółki można by pokazywać w podręcznikach, Ruth.

Ruth ze zmartwienia przygryzła dolną wargę. Do dobiegającej z głośnika na ścianie melodii dołączył szum cyrkulującego powietrza.

– W porządku, Doris, teraz podaj niebieski barwnik.

Pielęgniarka przyniosła dużą plastikową strzykawkę wypełnioną sinawym płynem i stanęła pomiędzy uniesionymi nogami Mickey. Podłączyła cylinder do końcówki metalowej kaniuli i na znak doktora Selbie'ego zaczęła powoli wciskać tłok.

Ruth czuła wzrastające napięcie, patrząc na pochylone plecy kolegi. Z okiem przytkniętym do wzornika obserwował, jak barwnik rozprzestrzenia się we wnętrzu macicy i w jajowodach, a potem wydostając się przez strzępki, ulega rozpadowi i zostaje wchłonięty przez ciało.

Joe Selbie lekko potrząsnął głową.

– Wszystko w porządku, Ruth. Nie ma blokady. Są drożne. – Wyprostował się. – Obawiam się, że jajowody są prawidłowo zbudowane i czyste – powiedział niemal przepraszającym tonem.

Ruth na moment ogarnęła wściekłość – pod wpływem zawodu, napięcia i rozbudzonych nadziei. Ale uczucie złości prędko minęło i podeszła do stołu, żeby zobaczyć to osobiście.

Joe Selbie przytrzymał jej fiberoskop, a pochylona Ruth objęła się w pasie, żeby nie dotknąć połami fartucha sterylnej chusty. Siostra ponownie wcisnęła tłok i chwilę później Ruth zobaczyła niebieską falę wypływającą z jajowodów Mickey.

– Do diabła – mruknęła.

Odsunęła się od stołu, a doktor Selbie wziął skalpel, zrobił drugie nacięcie na łonie Mickey i wprowadził w głąb jej brzucha drugi trójgraniec.

– Spróbuję z drugiej strony – powiedział, biorąc do ręki jeden z długich przewodów laparoskopu.

Stojąc z dala od stołu, Ruth widziała, jak wsunął laparoskop w nowe nacięcie i ponownie pochylił się nad wziernikiem.

– Dodaj barwnika, Doris – usłyszała jego słowa.

Cały świat zamarł w pełnej napięcia ciszy, gdy barwnik sączył się przez niewielkie strzępki – delikatne „palce” stworzone przez naturę po to, by wychwytywały nowo uwolnione jajo. Joe skoncentrował się na badaniu lewego jajowodu. Rozwinał bardziej przewód laparoskopu, żeby mieć lepszy obraz i poprosił pielęgniarkę o więcej barwnika. Podobnie jak po prawej stronie niebieski płyn przepływał przez jajowód i rozlewał się po białym jajniku pod strzępkami. Ale...

Nie było przepływu!

Joe podrzucił do góry głową i zamrugał powiekami.

– Jeszcze raz, Doris – zwrócił się do siostry i ponownie pochylił się nad szkłem wziernika.

Nie było wątpliwości. Barwnik nie przedostawał się do jajnika.

– Chodź, Ruth, i spójrz na to!

Z okiem przytkniętym do laparoskopu, który przytrzymywał jej Joe Selbie, zauważyła nieznaczną przerwę w sączeniu się płynu pomiędzy jajowodem a jajnikiem. Luka była tak nieznaczną, że bez poruszenia jajowodu nie mogła zostać zauważona.

Ruth podniosła wzrok.

– Co o tym sądzisz? Blizna?

– Albo niewielkie wrodzone zniekształcenie.

Ruth poczuła przeszywający jej ciało dreszcz podniecenia. Była szansa!

Mickey podpisała przed zabiegiem zgodę na operację, w wypadku gdyby coś znaleźli. Zespół przy stole zabiegowym nie marnował czasu. Instrumenty do badania laparoskopowego zostały zabrane, chusty ściągnięte, a dwie pielęgniarki zaczęły przygotowywać pacjentkę do otwarcia brzucha. Ułożyły ją w pozycji poziomej, a anestezjolog zdjął jej z twarzy maskę i zaintubował. Jedna z pielęgniarek wyjęła z opakowań narzędzia chirurgiczne oraz nici. Osiem minut później doktor Selbie zrobił nacięcie do „bikini”, a Ruth czekała z tamponem w ręce przygotowana do kauteryzowania.

Znaleźli drobne zniekształcenie na końcu jajowodu, zbyt małe, by można je było dostrzec gołym okiem, ale na tyle duże w porównaniu z jajem o mikroskopijnych rozmiarach, by mogło stanowić powód bezpłodności.

W normalnym cyklu owulacyjnym wydostające się z jajnika jajo przez krótki czas dryfuje w otaczającej je płynnej przestrzeni. Pobudzone działaniem hormonów strzępki na końcu jajowodu rozpoczynają taniec, serię skurczów wytwarzających prąd, który przyciąga jajo w kierunku drgających palców. Trafiając do kielicha „trąbki” jajowodu, jajo jest delikatnie przesuwane wzdłuż wąskiego przewodu, gdzie albo zostaje zapłodnione przez spermę, albo ulega rozkładowi i organizm kobiety wydziela je na zewnątrz w procesie menstruacji. Doktor Selbie i Ruth stwierdzili za pomocą umieszczonego nad brzuchem Mickey mikroskopu, że strzępki jej lewego jajowodu są splątane. Przyczyną była albo niewielka infekcja w młodości, o której mogła nawet nie wiedzieć, albo wrodzona wada. Zamiast sięgać i przyciągać do siebie jajo, stanowiły uniemożliwiającą mu dostęp przeszkodę. Niewielki otwór w jajowodzie poniżej strzępków powodował przepływ barwnika, który pojawił się w teście Rubina oraz w HSG, sugerując prawidłowe funkcjonowanie jajowodu.

Uczucie ulgi przyprawiło Ruth o zawrót głowy. Gdy doktor Selbie pracował w milczeniu pod mikroskopem, uwalniając strzępki najdelikatniejszym z instrumentów i zaszywając otwór w ścianie jajowodu nićmi do szycia oka, Ruth nie mogła zapanować nad ogarniającym ją podnieceniem.

– Przypuszczam, Mickey, że prawdopodobnie jajeczkujeś wyłącznie po lewej stronie. Spotkałam się z takim przypadkiem u niektórych kobiet.

Wybrały się na spacer, żeby pooddychać orzeźwiającym grudniowym powietrzem. Farma Ruth była położona w miejscu porośniętym zimozielonymi roślinami, skarłowaciałymi drzewami oraz wysokimi zielonymi trawami pomiędzy skrawkami twardej, zamrożonej ziemi. Gdy szły, w policzki szczypał je mroźny wiatr.

– Wszystkie testy wykazały, że jesteś prawidłowo zbudowana i że jajeczkujeś, tylko, jak się okazało, po niewłaściwej stronie. I dlatego jajo nie mogło przedostać się do jajowodu.

Mickey obserwowała małe obłoczki pary, które wydobywały się z ust Ruth, gdy przyjaciółka mówiła. Niespotykany widok na Hawajach! Ostatnio zauważała takie rzeczy. Słyszała o fenomenie nadwrażliwości w wypadku chorych przywróconych cudem do życia. Ludzie, którzy umarli i zostali wskrzeszeni, odznaczali się podwyższonymi zdolnościami percepcyjnymi. „Umarłam i ożyłam” – pomyślała. Zwracała teraz uwagę na wszystko: na szorstką w dotyku tkaninę swojego płaszcza, szemrzący odgłos starego dopływu na końcu posiadłości Rothów i zapach cynamonu w cieście z dyni, które Beth wyjęła niedawno z pieca. Nazajutrz Mickey wracała na Hawaje. Doktor Selbie zabezpieczył zeszyty jajowód przed powstawaniem blizn i powtórzeniem się niedrożności, pozostawiając w „zwiężeniu” niewielką silikonową nić, dzięki której jajowód mógł się prawidłowo zrosnąć i wzmocnić. Za miesiąc czekała Mickey ponowna wizyta w tutejszym szpitalu w celu usunięcia szwu, a potem nie było już powodu, o czym zapewnił ją Selbie, dla którego nie miałyby natychmiast zająć w ciążę.

Ale Mickey nie wyzbyła się sceptycyzmu. Nie chciała dopuścić, by na nowo zawładnęły nią dawne nadzieje i marzenia. Roztropność sugerowała, by trzymać emocje na uwięzi. O niczym jeszcze nie powiedziała Harrisonowi. Pragnęła powiadomić go o nowinach osobiście.

– Oczywiście rozumiesz – tłumaczyła Ruth – że nie możemy dać żadnych gwarancji.

Dotarły do strumienia u podnóża posiadłości i przycupnęły na otoczaku usłanym igłami sosny. Przeciskające się pomiędzy gałęziami promienie zimowego słońca pocętkowały im twarze.

– Nie ma żadnej pewności, Mickey. Musisz o tym wiedzieć. Ale zrobiliśmy, co tylko w naszej mocy i sądzę, że możesz mieć nadzieję. – Sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyciągnęła małe zawiniątko. – Chcę ci to podarować, Mickey.

Na jej dłoni spoczywało zwykłe, małe pudełko przewiązane sznurkiem. Mickey wzięła je do ręki i otworzyła. Wewnątrz leżał otulony w bibułę niebieskozielony kamień – turkus o wielkości srebrnej dolarówki.

– Jest bardzo stary, Mickey. Ma kilkaset lat. W ubiegłym roku ofiarowała mi go pacjentka, która miała zatrucie ciążowe i omal nie straciła dziecka. Ten kamień przynosi podobno swojemu właścicielowi wielkie szczęście, ale można z niego skorzystać tylko raz. „Zużyty” blednie.

Mickey uważnie przyjrzała się minerałowi o barwie jaja drozda. Dostrzegła dziwną żyłkę poniżej środka, której kształt na pierwszy rzut oka przywodził na myśl kobietę z wyciągniętymi ramionami. Po wnikliwym badaniu Mickey doszła jednak do wniosku, że bardziej przypomina dwa oplatające pień drzewa węże. Kamień był osadzony w złotym metalu. Na odwrocie oprawy widniał zatarty napis w obcym języku, którego nie można było odczytać.

– Przysięgam, Mickey. Miał bladoniebieski kolor w chwili, gdy pacjentka mi go podarowała. A teraz ma intensywną barwę.

– A więc nie wykorzystałaś swojej szansy, Ruth.

– Mnie już niczego nie brakuje do szczęścia, Mickey. Bardziej przyda się tobie. – Ruth zamknęła turkus w dłoni przyjaciółki. – Chcę, żebyś miała przy sobie kamień tej nocy, gdy będziesz znowu razem z Harrisonem.

Obie uśmiechnęły się do siebie, a po policzkach spłynęły im łzy.

Część VI

1985-1986

Rozdział 30

Oondra sięgnęła do starego sterylizatora po gorące jajko i rzuciła nim o ścianę. Było ugotowane na twardo. Oznaczało to, że instrumenty są sterylne. Wsunęła na ręce mocno zużyte gumowe rękawice i podjechała wózkiem z parującymi narzędziami do stołu operacyjnego.

Był cudowny czerwcowy dzień. Przez otwarte na oścież okna sali operacyjnej wpadały delikatne i pachnące poddmuchy powietrza, co w „prawdziwym” szpitalu zostałyby uznane za niedopuszczalne! Pod sufitem leniwie poruszał się wentylator, odpędzając muchy znad stołu operacyjnego.

Sondra pracowała sama. Zamierzała oczyścić zakażoną ranę na ręce starca z plemienia Taita.

Dawni przyjaciele by jej teraz nie poznali. Miała na sobie tropikalny strój chirurgiczny, który składał się z krótkich spodni i bluzki bez rękawów. Jej opalona skóra przybrała ciemnobrązowy odcień spotykany u wielu tubylców, a ciemne, długie włosy były zwinięte na czubku głowy i owinięte w barwną afrykańską chustę. Sondra zwróciła się w języku suahili do mężczyzny, który leżał na operacyjnym stole:

– Wszystko będzie dobrze, *mzee*, trochę soku ducha snu spowoduje, że twoja ręka na chwilę zaśnie.

Minutę później Sondra spojrzała w górę, słysząc warkot cenny, który rozległ się nad pasem startowym i spłoszył zwierzęta. Uśmiechnęła się. „Dopilnuję, żeby uciął pan sobie drzemkę dzisiaj po południu, doktorze Farrar, nawet gdybym miała na siłę przywiązać pana do łóżka!” – pomyślała.

Biedny Derry. Wciąż latał tam i z powrotem. Woził leki do oddalonych i cierpiących z powodu suszy placówek oraz pomagał oddziałom rządowym przy oczyszczaniu terenów malarycznych. Nie miał ani minuty wolnego czasu dla siebie. „Będę miał mnóstwo czasu, żeby odpocząć na Seszelach” – zapewniał ją bez końca. Na Seszelach – wyspach Oceanu Indyjskiego – zamierzali spędzić pierwsze wspólne, prawdziwe wakacje.

Słyszała kiedyś, że w małżeństwie przychodzi taki moment, gdy mężowie i żony stają się znuzeni sobą nawzajem, miesiąc miodowy się kończy, a ich wzajemne stosunki cechuje co najwyżej wygodna dla obu stron tolerancja. Ta reguła nie znalazła potwierdzenia w przypadku jej związku z Derrym. Po jedenastu latach wspólnego życia jego widok tak samo ją podniecał, jak na początku.

Wybiegła przywitać się z nim na pokryty pyłem pas startowy. Derry, pomimo że niósł pocztową torbę i worki z cukrem, wziął ją w ramiona i pocałował.

Szli ramię w ramię w stronę misyjnego osiedla, a Sondra spostrzegła, że Derry utyka bardziej niż zwykle.

– Co nowego, pani doktor Farrar? – zapytał, przyciskając ją do siebie.

– Nic takiego, panie doktorze Farrar. – Z trudem się opanowała, żeby natychmiast nie zakomunikować mu cudownej nowiny. Postanowiła jednak poczekać z wyjawieniem sekretu,

dopóki Derry nie zmyje z siebie czerwonego pyłu, a ciepła kąpiel nie uśmierzy jego bólu w kościach.

– Tatuś! Tatuś!

Z budynku szkolnego wybiegł w podskokach mały chłopiec – zdumiewająca replika Derry’ego. Z wyjątkiem bursztynowych oczu, które odziedziczył po matce, pięcioletni Roddy był tak bardzo podobny do ojca, że nikt patrząc na niego nie miał wątpliwości, jak będzie wyglądał jako dorosły człowiek.

Derry chwycił syna w objęcia i podrzucił go w górę. Sondra przycisnęła rękę do brzucha: wkrótce drugie dziecko miało zagarnąć część jego miłości.

– Chodź do mnie, Roddy – uwolniła męża od piszczącego chłopca. – Tatuś musi odpocząć.

Roddy podskakując, pobiegł przodem i tylko błyskały brudne kolana spod krótkich nogawek spodni khaki.

– Njangu mówi, że będziemy mieć dzisiaj herbatę z dżemem. Ukradł go staremu, niezdolnemu Gupta Singhowi! – zawołał.

Sondra zmierzyła chłopca karcącym wzrokiem, ale już go nie było. Popędził co sił w nogach, żeby oznajmić wszystkim przybycie ojca.

– Wolalabym, żeby Njangu zwracał uwagę na to, co mówi przy dzieciach – powiedziała z naganą w głosie.

Derry wzruszył ramionami. Niewiele można było w tej sprawie poradzić.

Uprzedzenie do Hindusów wśród społeczności afrykańskiej było faktem głęboko zakorzenionym w życiu Kenii. Njangu uważał Gupta Singha, właściciela placówki handlowej, z którą misja prowadziła interesy, za swojego zacieklego wroga. Stary Hinduś postanowił zostać w Kenii, gdy tysiące jego rodaków uciekło do Indii po zdobyciu władzy przez Jomo Kenyattę. „Rozmnażają się jak króliki” – zwykli często powiadać o nich starzy Kikujowie. „I chodzą w cuchnących oraz poplamionych łachmanach!”

Sondra była ostatnio coraz bardziej zaniepokojona. Roddy przyswajał sobie od Njangu niezdrowe idee i uczył się barbarzyńskich zwyczajów od tutejszych dzieci. Gdy wyraziła swoje obawy, zastanawiając się, czy słusznie postąpili decydując się tutaj wychowywać syna, Derry skwitował jej wątpliwości stwierdzeniem: „No cóż, nie spotkała mnie wielka krzywda z tego powodu, że się wychowałem w Afryce”.

Miała nadzieję, że czas spędzony na Seszelach wpłynie korzystnie na syna. A potem mała siostra lub brat zaszczepli w chłopcu poczucie odpowiedzialności.

Zastanawiała się, kiedy najlepiej wyjawić nowinę Derry’emu. Postanowiła, że zrobi to dzisiaj wieczorem po kolacji.

Chłopiec żył w świecie, w którym tuż za domem wałęsały się żyrafy, słonie i lwy. Nic dziwnego, że najbardziej fascynowały go zwykłe gryzonie. Obaj z Zebediahem, synem Kamante, podkradali się właśnie do szczura uzbrojeni w kije i we własną wyobraźnię.

Chociaż chłopców dzielił tylko miesiąc różnicy, Roddy skwapliwie wykorzystywał wiekową

przewagę. Był starszy i do niego należało ustalenie planu polowania, gdy podkradali się do gryzonia za kościołem, wśród zagonu truskawek Elsie Sanders. Chłopcy byli sobie bliscy jak bracia. I tak jak kiedyś ich ojcowie, nigdy się ze sobą nie rozstawali, dzieląc wspólnie młodzieńcze przygody i spędzając razem każdą wolną chwilę. A starszy wiekiem i odrobinę wyższy Roddy zawsze w tej parze przewodził.

– Idź tamtędy, Zeb – szepnął do przyjaciela, wskazując patykiem kierunek. – Schował się pod krzakiem. Pójdiesz go przepłoszyć, a ja się tutaj na niego zaczaję.

Zeb zrobił to, co mu polecono. Czuł się potrzebny i ważny. Był przecież zastępcą Roddy'ego.

Dorośli zebrali się w świetlicy, żeby posłuchać wiadomości, jakie Derry przywiózł z Nairobi. Popijając herbatę, czytali długo oczekiwaną korespondencję. Podczas pobytu w stolicy Derry wstąpił do biura turystycznego i wykupił bilety na wycieczkę, na którą mieli się udać w trójkę w przyszłym tygodniu. Wręczył plan podróży wielebnemu Sandersowi.

– Wrócimy za dwa tygodnie. Zostawiamy szpital w odpowiedzialnych rękach. Doktor Bartlett posiada wystarczające kwalifikacje, żeby się zająć wszystkim podczas naszej nieobecności...

Gorące powietrze rozdarł przeraźliwy krzyk. Zebrani odwrócili głowy w stronę okien. Derry jako pierwszy był na nogach. Gdy wszyscy biegli do drzwi, leniwą atmosferę popołudnia zakłóciły kolejne piskliwe, przepełnione grozą krzyki dziecka.

Roddy potykając się, biegł w stronę świetlicy i wymachiwał rękami.

– Dopadł Zęba! – płakał. – Dopadł Zęba!

Derry się nie zatrzymał. Minał chłopca i popędził we wskazanym przez niego kierunku. Sondra upadła na kolana i położyła ręce na drobnych ramionach syna.

– O co chodzi, Roddy? Co się stało?

Twarcz Roddy'ego przybrała kredowobiały odcień, a oczy przypominały dwa czarne spodki.

– Potwór! Dopadł Zęba! Zabił go!

Kamante słysząc to puścił się biegiem. Jego młoda żona stała oszołomiona w drzwiach chałupy.

Gdy Derry wyłonił się z za kościoła z łkającym Zebediahem w ramionach, zdążył się już zebrać tłum.

Sondra podbiegła do męża.

– Co się stało?

– Zaatakował go szczur.

Przyjrzała się uważnie małej okrągłej czarnej buzi i dostrzegła kilka niewielkich ukąszeń, z których spływały małe strugi krwi.

– Wszystko będzie dobrze, Zeb – powtarzała biegnąc obok Derry'ego, który niósł chłopca do szpitala. – Wszystko będzie dobrze. Tylko się trochę przestraszyłeś, nic więcej.

Gdy chłopiec znalazł się na stole, Sondra przystąpiła do oczyszczania ran. Drżały jej ręce. I

choć nie padło ani jedno słowo, wiedziała, czego się jej mąż obawia: wściekliczny.

Zanim Derry zdążył wyjąć zestaw medycznych narzędzi i napełnić strzykawkę, Kamante już był przy chłopcu i trzymając w dłoniach małą rękę syna, łagodnie do niego przemawiał w języku suahili.

Derry dokonał w myślach szybkiej kalkulacji: pół miligrama surowicy przeciwko wścieklicznie na kilogram ciała. Najpierw nakłucie miejsc wokół ran, a potem pierwsza dawka rozpoczynająca rutynowe leczenie szczepionką z mózgu zakażonych królików. W przypadku licznych ukąszeń głowy i twarzy, zwłaszcza u dzieci, czas miał decydujące znaczenie.

Gdy Derry zrobił to, co do niego należało, a pielęgniarka zajęła się Zebediahem i zaczęła bandażować mu głowę, wziął Sondrę pod ramię i wyprowadził ją z sali.

– Nie mamy dostatecznej ilości szczepionki – powiedział cicho. – Zatelefonuję do Voi i dowiem się, czy mogą nam pomóc.

Patrzyła, gdy odchodził, przykuta do miejsca. Dopiero po chwili odwróciła się i spojrzała przez otwarte drzwi na chłopca. Zebediah trochę się uspokoił. Nic go nie bolało, tylko był potwornie przestraszony. Prawdopodobnie chłopcy zapędzili szczura w ciasny kąt i zwierzę czując się zagrożone, zaatakowało. Dzieciaka czekała seria dwudziestu trzech zastrzyków, gdyż nie można było wykluczyć ryzyka zarażenia wściekliczną.

Sondra wyszła z izby przyjęć. Roddy z miną winowajcy stał pod drzewem figowca i bezmyślnie kopał nogą w ziemi. Wystarczył jeden rzut oka na jego zawstydzoną twarz, żeby Sondra zorientowała się, kto był inicjatorem zabawy.

Przykucnęła przed nim i otarła mu z buzi łzy.

– Zeb wyzdrowieje, Roddy. Nie martw się. Niech to będzie dla was nauką na przyszłość, dobrze?

– Tak, mamusiu.

– Obiecuj, że nie będziecie już nigdy biegać za dzikimi zwierzętami. Mamy psa, który może wam towarzyszyć w zabawach.

– Tak, mamusiu.

Sondra przytuliła do siebie chłopca i wyprostowała się.

– A teraz pójdziemy odwiedzić Zebediaha. Obiecujemy, że zostawimy dla niego trochę dżemu. A potem pomyślimy o jakimś ładnym prezencie, który przywieziemy mu z Seszeli.

Po tych słowach pięciolatek się rozpogodził. Wziął matkę za rękę i zasypał ją przyrzeczeniami, że już będzie grzecznym chłopcem.

Sondra weszła do świetlicy w chwili, gdy Derry skończył rozmawiać przez radio.

– Nic z tego – oznajmił znużony. – Nie mają surowicy.

– Połącz się z Nairobi i poproś, żeby nam przysłali potrzebną dawkę.

– Mam lepszy pomysł! Sam po nią polecę.

– Przecież mogą ją przysłać!

– Będę miał pewność, że zostanie dostarczona na czas.

Sondra niechętnie skinęła głową. Często zdarzały się kłopoty z dostawą medykamentów. Niejednokrotnie przysyłano im niewłaściwe leki, przetrzymywano je na słońcu albo przychodziły o wiele dni za późno. Na twarzy Derry'ego wyraźnie malowała się troska. Chodziło przecież o życie syna jego najbliższego przyjaciela, o dziecko, które traktował niemal na równi ze swoim.

– Będziemy mogli już jutro rano rozpocząć serię. Wyruszam natychmiast.

– Pojedź z jednym z naszych kierowców.

– Przyjechałbym zbyt późno do Nairobi. Nigdzie bym już nie zastał żywej duszy. Polecę samolotem.

– Derry, powinieneś trochę odpocząć. Uśmiechnął się i poklepał ją po ręce.

– To nie potrwa długo. Zdam wrócić na kolację.

Pomimo pośpiechu Derry starannie sprawdził maszynę i uzupełnił paliwo w zbiorniku. Gdy był gotowy, żeby wyruszyć w drogę, Sondra przyszła do niego na pas startowy.

– Co z chłopcem? – zapytał, wkładając kurtkę, którą mu przyniosła.

– Śpi. Dałam mu środek uspokajający. Mam nadzieję, że szczepionka nie jest potrzebna.

Mocno przytulił ją do siebie.

– Nie pozwól, żeby wystygła mi kolacja.

– Martwię się o ciebie, Derry. Za dużo pracujesz.

– Pomyśl o wypoczynku, jaki mnie czeka niebawem na Seszelach!

Cofnęła się i osłoniła ręką oczy. Śmigło zostało wprawione w ruch, a samolot zaczął pomału toczyć się przed siebie. Derry podjechał na koniec pasa, kołując pomachał Sondrze i otworzył przepustnicę.

Wśród ogłuszającego huku maszyna podskakiwała i klekotała w wirującym kurzu. Sondra machała obiema rękami, patrząc, jak cessa nabiera szybkości i zaczyna wzbijać się w górę. Przy prędkości ponad stu kilometrów na godzinę Derry odciągnął dźwignę startera. Sondra jako pierwsza zauważyła cień – czarny garb zwierzęcia, które zerwało się na cztery łapy, wyrwane z głębokiego snu przez zbliżający się samolot. Widziała, jak hiena wpada pod lewe koło, a maszyna natrafiając na przeszkodę, traci równowagę i niebezpiecznie przechyla się na jedną stronę, lewe skrzydło obniża się i dotyka ziemi, a samolot wykonując w powietrzu fikolka, roztrzaskuje się o ziemię i w jednej chwili staje w płomieniach.

Sondra zamarła w niemym przerażeniu, a potem rzuciła się w stronę płonącej maszyny.

– Derry! DERRY!

Rozdział 31

Trnie przyłapał się na tym, że znowu się rozgląda. Wcale nie miał zamiaru tego robić. Nie potrafił się jednak powstrzymać i tak jak zwykle szukał wzrokiem młodej kobiety, która od kilku tygodni uważnie mu się przyglądała.

Wszystko zaczęło się niewinnie. To normalne, że podróżując codziennie rano tym samym promem, rozpoznaje się tych samych ludzi, macha się im na powitanie, wymienia uwagi o pogodzie, chociaż nigdy nie ma okazji, żeby poznać ich nazwiska. Owa nieznajoma nie wyróżniała się niczym niezwykłym. Od jakichś sześciu miesięcy korzystała z promu „Walla Walla” kursującego do Seattle, tak jak wszyscy schodziła co rano po trapie na jego pokład, zajmowała miejsce w kabinie dla palących i spędzała trzydziestominutową podróż przez Sound z nosem utkwionym w gazecie „Post Intelligencer”. Na początku Arnie w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Podobnie jak inni pasażerowie rozmyślał nad planem czekającego go dnia. Zastanawiał się, z którym z klientów musi się zobaczyć albo co ma postanowić w związku z wynikami rewizji ksiąg podatkowych Staną Fergusona. Aż pewnego dnia uświadomił sobie, że ona mu się przygląda. No cóż, możliwe, że on sam to sprowokował, bezmyślnie na nią patrząc. Mogło to być jedno z tych nic nie znaczących spojrzeń, jakie wymienia się z kimś zupełnie obcym. Ktoś patrzy na drugiego tępym wzrokiem bez żadnego powodu, aż w końcu spojrzenie zostaje przechwycone, a wkrótce już obie strony zerkają ukradkiem na siebie, żeby się przekonać, czy zainteresowanie jest obopólne.

Taka właśnie sytuacja miała miejsce kilka tygodni temu.

Od tamtej pory dwa razy dziennie Arnie i owa kobieta prowadzili ze sobą grę.

Nieznajoma coraz bardziej intrygowała Arnie’ego. Kim była? Czym zajmowała się w Seattle? Przypuszczał, że jest sekretarką albo że pracuje w biurze, gdyż jej wygląd, chociaż zawsze schludny, odbiegał od głęboko przemyślanego sposobu ubierania się „kobiet sukcesu”. Mieszkała na wyspie Bainbridge czy też dojeżdżała z Suquamish? A może z Kitsap? Jej aparycja pozwalała przypuszczać, że może pochodzić z tamtejszego rezerwatu, gdzie żyła większość Indian, których Arnie spotykał na promie.

Była piękna. Jej niewinna, egzotyczna i idealnie krągła twarz o barwie miedzi przypominała księżyc. Miała długie, czarne włosy. Arnie oceniał jej wiek na dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat. Była niska, drobna i skromna, choć nie bojaźliwa, jak na początku sądził. Spojrzenie jej olbrzymich, wilgotnych oczu okolonych czarnymi, gęstymi rzęsami sugerowało, że w głębi duszy jest kobietą odważną i zuchwałą.

Owego niepowtarzalnego dnia na Północno-Zachodnim Wybrzeżu, gdy różowo-łososiowe słońce wzeszło nad zamglonym Seattle, które zarysowywało się na drugim brzegu Soundu, Arnie wysiadając ze swojej furgonetki przyłapał się na tym, że znowu się za nią rozgląda. Woda o głębokim błękitcie indygowym, odległy horyzont – niewyraźna szara linia z migotającymi światłami – oraz rześkie powietrze wczesnego poranka obiecywały nowe możliwości.

Arnie spojrział na zegarek. Zaczynał mieć obsesję na punkcie czasu i dobrze o tym wiedział. Świadomość upływających lat, to jedna sprawa, a nieustanne rozmyślanie o przemijających godzinach i dniach, to druga. Każda pierwsza refleksja w chwili przebudzenia dotyczyła poczucia przeciekających przez palce minut i wywoływała żal, że przesypia się jedną trzecią życia! Arnie zdawał sobie sprawę, że ma problem. Kiedy to się zaczęło? Zdmuchując świece podczas ostatnich – czterdziestych ósmych – urodzin, zobaczył w niebieskawym dymie dużą liczbę pięćdziesiąt, która już za dwa lata miała się pojawić na torcie.

Nie umiał pogodzić się z faktem, że wkrótce będzie pięćdziesięcioletnim mężczyzną. Co się stało z jego młodością? Próbował oswoić się z myślą, że jest człowiekiem w średnim wieku. Patrząc wstecz, widział swoje nie wyróżniające się niczym szczególным dzieciństwo w Tarzana, gdzie jako cichy chłopiec dorastał w samym centrum przeciętności. Spokojnie i bezbarwnie minął mu wiek młodzieńczy oraz okres dojrzewania – bez pryszczy i bez zmas nocnych. A po latach spędzonych w liceum przyszła kolej na potwornie nudną szkołę księgowości, która chłopakowi o przeciętnych zdolnościach dawała szansę wystukiwania na kalkulatorze swojej szarej, codziennej egzystencji. I nagle pojawiła się Ruth Shapiro. Wkroczyła w jego życie i całkowicie je odmieniła.

Spotykając się z Ruth i sypiając z nią, Arnie doświadczył przez moment uczucia podniecenia i poznał krótkotrwały smak niekonwencjonalności. Ruth nie tylko miała ambicje, żeby zostać lekarzem, ale była również osobą niesłychanie otwartą i zwariowanie liberalną, tak że Arnie przez chwilę sądził, iż dzięki niej jego szary i monotonny byt odmieni się na dobre. Ale tak się nie stało. Zamieniając spokojną egzystencję kawalera na hipotekę i pieluszki wytyczył swojemu życiu bardzo wyraźnie określony kurs.

Jej niebieskie volvo stało tam, gdzie zwykle. Pobudzony do życia Arnie zatrzasnął drzwi, zamknął swój samochód i z aktówką w dłoni skierował się w stronę terminalu promu.

Zebrała się już tam pokaźna grupa pasażerów płynących z Bainbridge do Seattle, którzy mieli zostać za chwilę sprowadzeni na pokład statku. Wysuwając się na czoło tłumu, Arnie wyczuwał za sobą obecność nieznanego. Wyobrażał sobie jej owiniętą szalikiem głowę i ładną twarz skrywającą wyraz powitania. Z trudem się opanował, żeby się nie odwrócić i nie odszukać jej wzrokiem.

Na promie rozległ się przeciągły sygnał. Pojedynczy i krótki oznaczał, że statek odbija od brzegu, a przeciągły, że odpłynął i każdy, kto został na nabrzeżu, nie zdąży go już złapać. Tym razem Arnie postanowił zostać na zewnątrz. Nie zamierzał dzisiaj przebywać w kabinie w towarzystwie podróżnych w białych kołnierzykach i w obwisłych skarpetkach. W ten bezchmurny mroźny poranek, gdy „Walla Walla” cięła powierzchnię wody gładką jak szklana tafla, Arnie pragnął podziwiać mijaną scenę. Odczuwał potrzebę wnikliwego przyjrzenia się górcom, które ostro zarysowywały się na linii horyzontu – szczytom Olympics i Cascades świeżo przyprószonym śniegiem po wczorajszej burzy.

Statkiem rzucało i huśtało, jak gdyby nie płynął po idealnie spokojnej toni, ale pod prąd

wzburzoną falą. Pewnie znowu nastąpiła awaria silników. Arnie zadygotał z zimna, ale mimo to został na zewnątrz. Ona siedziała w środku. Jego widok na pewno przyciągnąłby spojrzenie jej ogromnych oczu, tak jak światło wabi parę trzepoczących skrzydłami ciem.

Wrócił myślami do Ruth. Prawdę mówiąc, ostatnio często o niej myślał. Być może z powodu nieznajomej, której obraz nie dawał mu spokoju. Ilekroć próbował rozwiązać zagadkę młodej kobiety, natychmiast wyobraźnia podsuwała mu temat żony. Pod wpływem nagłego impulsu Arnie obejrzał się, a gdy stwierdził, że kobieta patrzy na niego przez mokrą od słonej wody szybę, z powrotem odwrócił głowę.

„Ach, Ruthie, Ruthie, dokąd zmierzamy? Czy taki wyznaczaliśmy sobie cel trzynaście lat temu? Czy zawierając małżeństwo, zdecydowaliśmy się na jednostajne i nieciekawe życie?” – pytał sam siebie w myślach. Nie winił za to Ruth. Oboje mieli wpływ na kształtowanie własnej egzystencji. Zresztą problem nie tylko polegał na tym, że ich codzienne życie było bezbarwne i monotonne, ale że niczego nie dało się w nim zaplanować. Zbyt często byli wrywani z kin, restauracji i z przyjęć, a Arnie wracając po pracy do domu, nigdy nie wiedział, czy zastanie żonę, czy też sam będzie musiał zająć się dziećmi. Przez jakiś czas, gdy miał już dosyć brakujących guzików u koszul, przypalonych kolacji i zakłóconych wieczorów, próbował z tym walczyć. Ale wkrótce przekonał się, że to się na nic nie zda. Zrozumiał, że i tak niczego nie zmieni. I w końcu dla świętego spokoju pogodził się z rzeczywistością.

Dotyczyło to również kwestii pożycia intymnego. Od siedmiu lat, to jest od czasu urodzenia się Leah, gdy postanowili, że już nie będą mieć więcej dzieci (choć porozumienie w tej sprawie było chwiejne i dyskusyjne), życie seksualne Arnie’ego i Ruth ulegało stopniowemu zanikowi, a obecnie prawie zupełnie przestało istnieć. Do zbliżenia pomiędzy nimi dochodziło przez przypadek, wtedy gdy jedno z nich było w szczególnym nastroju. Arnie podejrzewał, że tak właśnie wygląda pożycie seksualne większości starych małżeństw.

Powoli obrócił głowę i obejrzał się przez ramię. Nieznajoma czytała gazetę i paliła papierosa. Wszyscy Indianie byli nałogowymi palaczami. Gdy podniosła wzrok, prędko umknął spojrzeniem w drugą stronę. „Jest mężatka? Ma chłopaka? A może wielu chłopaków?”

Zwykły kryzys średniego wieku, to proste, Arnie Roth. Kiedy mężczyzna zaczyna liczyć włosy na głowie, zapina pasek pod brzuchem i dostrzega piękne kobiety na pasażerskim promie...

„Dokąd co wieczór jeździ? Codziennie wsiada do swojego volvo i jako pierwsza odjeżdża z parkingu...”

Dziewczęta dorastały w zastraszającym tempie. Już wkrótce na dobre opuszczą dom i po raz pierwszy w ich wspólnym życiu Ruth i Arnie zostaną ze sobą sami.

„O Boże, czyżbym się tego obawiał?!?”

Powiew wiatru na zmarzniętej twarzy przekonał Arnie’ego, że powinien wejść do środka. Pchnął drzwi. Otoczyło go ciężkie od dymu powietrze. Zmusił się, żeby nie spojrzeć w jej stronę.

Zajął miejsce i skierował myśli na właściwy tor. Pod koniec tygodnia wypadały urodziny Ruth, a on wciąż nie miał dla niej prezentu. Postanowił wykorzystać dzisiejszą przerwę obiadową

na dokonanie zakupu. Miał zamiar nabyć coś szczególnego. Na targu Pike Street. Przecież Ruth niebawem skończy czterdziestkę. Czy kobiety też przeżywają kryzys wieku średniego? A może zamiast tego muszą borykać się z problemami menopauzy? Tylko że kobieta w okresie przekwitania nie ma wpływu na swoją sytuację, natomiast czterdziestoosmioletni mężczyzna oglądający się za młodymi Indiankami na promie robi z siebie głupca.

Boazeria na suficie zaklekotała, gdy statek, zataczając łuk, przybił do Przylądka Eagle. Po długim, ogłuszającym sygnale nastąpiły dwa krótkie, oznajmiające przybycie promu. Wszyscy powstawali z miejsc i zaczęli rozprostowywać kości. Arnie spojrział w górę. Ich oczy musnęły się w przelocie.

Oboje prędko odwrócili wzrok.

– Problem jest wyłącznie związany z pani mężem, pani Livingstone, i polega na zbyt niskiej liczbie plemników w jego spermie.

Kobieta siedząca w wiklinowym fotelu naprzeciwko Ruth zaczęła nerwowo wykręcać palce u rąk.

– To mu się nie spodoba... pani doktor. Jest bardzo... dumnym mężczyzną.

Ruth pochyliła głowę nad kartą zdrowia pacjentki, żeby ukryć gniewne spojrzenie. Ach, ci mężczyźni. Ochoczo obwiniali żony za brak dzieci, chociaż w czterdziestu procentach przyczyna leżała po ich stronie. Patrzyli na kobiety wilkiem, współczuli im albo głaskali protekcyjnie po głowach, ale na każdą wzmiankę o własnej nieplodności podnosili wrzawę.

– Ma pani drożne jajowody, regularnie pani jajeczkuje, środowisko dróg rodnych nie jest zbyt kwaśne, a śluz nie zawiera przeciwciał na spermę męża. Prawdę mówiąc, należy pani do kobiet łatwo zachodzących w ciążę. Jeśli pani sobie życzy, wyjaśnię to pani mężowi.

Kobieta pobladła. Już samo podjęcie decyzji o zwróceniu się z tym problemem do doktor Shapiro nie należało do łatwych, a pobranie próbki spermy od Franka okazało się jeszcze trudniejsze. „Dlaczego moja potencja jest kwestionowana? To ty nie możesz zająć w ciążę!” Jak mu miała teraz powiedzieć, że...

– Niech pani to przemyśli, pani Livingstone – rzekła Ruth zamykając kartę. – Mogę polecić pani mężowi specjalistę płci męskiej, jeśli pani uważa, że tak byłoby lepiej...

– Czy to jest uleczalne? Można coś zrobić dla Franka? Ruth złożyła ręce i oparła je o blat biurka.

– Niewiele, pani Livingstone. Stosunkowo niedawno dokonano odkrycia, że przyczyna nieplodności w znacznym procencie ma związek z zaburzeniami u mężczyzny. I dlatego nie zostały opracowane jeszcze metody przeciwdziałania temu, tak jak w przypadku kobiet. Pani mąż może mieć niedobór hormonów, który się leczy dostępnymi już na rynku środkami farmakologicznymi na wzrost liczby plemników w spermie. Inną przyczyną mogą być żyłki powrózka nasiennego, które wpływają na niską liczebność plemników i mniejszą ich ruchliwość. W większości przypadków zabieg chirurgiczny okazuje się skuteczny...

Piętnaście minut później, po wizycie ostatniej pacjentki, Ruth została sama w gabinecie z

piętrzącym się stosem papierkowej roboty. Wczoraj wieczorem siedziała do późna nad plikiem najświeższej korespondencji, zaadresowanej „Zapytaj doktor Ruth”, i wybrała cztery, najbardziej reprezentatywne pytania. Odrzuciła listy wulgarne, pisane w żartach, oraz te, w których czytelnicy poruszali problemy nie związane z tematyką jej rubryki (szukając na przykład porady w sprawach sercowych). Z pozostałych wybrała zagadnienia najczęściej interesujące czytelników, tworząc z nich „jeden list z kilkoma problemami”.

W poniedziałkowym numerze zamierzała naświetlić sprawę niebezpieczeństwa związanego z używaniem niektórych produktów higieny osobistej, takich jak mydła, szampony i dezodoranty. Nie wymieniając nazw firm, zamierzała uczulić czytelników, by przy ich zakupie zwracali uwagę na składniki wymienione na etykietkach. Pod presją terminów Ruth często całą kolumnę poświęcała omówieniu jednego tematu. W ten sposób łatwiej można było dokonać analizy problemu i o wiele prędzej napisać artykuł. Szczególnie w ostatnim czasie uciekała się do tej metody, ponieważ robota piętrzyła się szybciej, niż potrafiła się z nią uporać.

Wiedziała, że to, czego nie zdoła zrobić zaraz, będzie musiała wykonać nazajutrz wieczorem. Dzisiaj spotykała się ze swoją grupą. Ale jutro wypadały jej urodziny i obawiała się, że będzie miała dla siebie niewiele czasu. Może w niedzielę, jeśli Arnie zabierze z domu dziewczętą na kilka godzin...

Kiedy zadzwonił telefon, Ruth zmarszczyła brwi. Uprzedziła sekretarkę, żeby z wyjątkiem nagłych wypadków nikt jej nie przeszkadzał. Podniosła słuchawkę.

– Słucham?

– Przepraszam, pani doktor, ale na linii czeka pani siostra. Zmarszczka na czole Ruth się pogłębiła. W całym okresie jej ośmioletniej praktyki jeszcze się nie zdarzyło, żeby siostra zatelefonowała do gabinetu. Nacisnęła guzik w aparacie telefonicznym i usłyszała po drugiej stronie ciche łkanie.

– Co się stało, Judy?

– Chodzi o tatę. Miał atak serca. Godzinę temu. Ruth zeszywniała.

– Do którego szpitala go zawieźli? Czy jest ktoś z mamą?

– Umieścili go na oddziale intensywnej opieki kardiologicznej w klinice. Mama i Samuel też tam są. Tata jak dotąd nie odzyskał przytomności, Ruth.

– Uspokójcie mamę. Niech Samuel się nią zaopiekuje. Zaraz tam będę.

Arnie lubił targ ‘Pikę Street. Ilekroć tu przychodził, co nie zdarzało się często, odwiedzał małe sklepy i wstępował na kanapkę z mięsem jagnięcia do kawiarni „Ateńczyk”, gdzie zawsze przeciskał się do małego stolika przy oknie z widokiem na Sound. I chociaż dzisiaj na kawiarnię nie było czasu, to bez pośpiechu przemierzał zatłoczone chodniki i dziedzińce, na których ludowi artyści sprzedawali świece, pikowane kołdry i wyroby sztuki rytowniczej. Targ kojarzył się Arnie’emu z Farmer^ Market w Los Angeles, tyle tylko że ten był większy i czuło się w nim

portową atmosferę, gdyż jego obszar niemal graniczył z wodą.

Co miał, na Boga, kupić żonie na urodziny? Wiedział, że nie znosi przedmiotów dekoracyjnych, takich jak sztuczne rośliny czy porcelanowe figurki. Każda rzecz musiała mieć cechy użytkowe, w przeciwnym razie nie było dla niej miejsca w domu Ruth. Co prawda to nie stanowiło wielkiego problemu, gdyż większość wyrobów ludowego rzemiosła służyła pewnym praktycznym celom, na przykład spódnice z malowanych ręcznie tkanin czy wieszadła ze sznurka na kwiaty. A jednak podczas trzydziestominutowego spaceru po sklepach Arnie'emu wszystko wydawało się banalne. Chciał kupić coś niepospolitego; prezent praktyczny, który by był równocześnie unikatem.

Miał już zamiar zrezygnować z dalszych poszukiwań i wrócić do biura, gdy natknął się na galerię sztuki. Jego uwagę zwrócił olejny obraz na wystawie – ekspresyjny portret starego wodza indiańskiego, małe arcydzieło światłocienia i nastroju. Nie był to oczywiście przedmiot użytkowy, ale Arnie pochylił się jednak i mrużąc oczy, odczytał cenę. Tysiąc dwieście dolarów. Cofnął się, przyglądając się innym towarom na wystawie. Był tam jeszcze jeden olejny obraz, wyrzeźbiony w drzewie orzeł, wieloryby z piaskowca, ozdóbki z kości słoniowej i ręcznie tkane indiańskie koce. Arnie nie miał pojęcia, jaki Ruth ma stosunek do amerykańskiej sztuki ludowej. Postanowił wejść do środka i rozejrzeć się.

Natychmiast się zorientował, że salon należy do miejsc poza jego finansowym zasięgiem. Znajdowało się w nim niewiele przedmiotów, a wszystkie były dyskretnie i ze smakiem wyeksponowane. Rzut oka na kilka nalepek cenowych potwierdził jego obawy. Galeria była dla niego za droga.

Zamierzał skierować się do wyjścia, gdy z zaplecza sklepu dobiegł głos:

– Czym mogę służyć?

Arnie przystanął i odwrócił głowę. „Będę uprzejmy. Obejrzę kilka przedmiotów, a potem powiem ekspedientce, że muszę się zastanowić”.

Zamari. To była nieznajoma z promu!

Jeśli zaskoczył ją widok Arnie'ego, to nie dała tego po sobie poznać. Prawdę mówiąc, zachowywała się tak, jak gdyby widziała go po raz pierwszy w życiu.

– Czy szuka pan jakiegoś szczególnego wyrobu?

„O Boże, co za piękny głos. A sposób, w jaki się porusza!” Płynnie prześlizgnęła się po grubym dywanie i zatrzymała metr od niego. Miał okazję uważnie się przyjrzeć każdemu najdrobniejszemu i urocemu detalowi jej twarzy. „Jak nazywają się perfumy, których używa?”

– Tak – wymamrotał. Musiał odchrząknąć. – Zamierzam kupić upominek. Szukam prezentu.

– Rozumiem. – Założyła ręce. – Czy ta osoba jest kolekcjonerem?

– Nie. Chodzi o kogoś, kto niebawem obchodzi urodziny... – Arnie nie mógł się zdobyć na to, żeby wymówić słowo „żona”.

Nieznacznie się odwróciła i wskazała szczupłą, brązową dłonią na wyeksponowane towary.

– Większość przedmiotów w naszej galerii została wykonana przez tutejszych artystów.

Niektórzy z nich są znani, a ich prace cieszą się uznaniem na całym świecie. Mogę też panu zaoferować kilka starych dzieł sztuki. Jeśli lubi pan na przykład drewniane rzeźby Kwakiutłów, to mamy kilka ładnych prac Willie'ego Seaweeda. – Powoli podeszła do wystawionych na sprzedaż wyrobów, wskazując to na jakiś obraz, to znów na lalkę zrobioną przez Kaczinów, plemię zamieszkujące Birmę. – Być może zainteresowany jest pan dziełem jakiegoś wybranego szczepu, a nie określonego artysty. A może preferuje pan prace pochodzące z konkretnego regionu? Nie ograniczamy się tylko do sprzedaży sztuki Indian z Północno-Zachodniego Wybrzeża. Mamy też piękne wyroby Indian z Arizony, Nowego Meksyku i amerykańskich prerii.

Odwróciła się do Arnie'ego przodem. Czuł, że pali go twarz od kołnierzyka po linię włosów. Nie słyszał ani jednego jej słowa. Zafascynowany patrzył na jej długie czarne włosy, które falowały w rytm jej kroków jak jedwabna kurtyna.

– No cóż... – Roześmiał się nerwowo. – Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale poszukuję jakiegoś praktycznego prezentu; takiego, który nie tylko by ładnie wyglądał, ale również czemuś służył.

W jej zachowaniu nic nie wskazywało na to, że jego sugestie wydała się jej niedorzeczna.

– Mamy bardzo ładne koce z plemienia Nawahów, a także ręcznie plecione koszyki. – Zrobiła kilka kroków w prawo i położyła szczupłą dłoń na okazałym wyrobie garncarskim, który stał elegancko wyeksponowany na białym, wysokim postumencie.

– O, jakie to piękne – stwierdził Arnie, zbliżając się do donicy. – Czy ten wyrób pochodzi z naszego rejonu?

– Garncarstwo nie należy do tradycyjnych zajęć tutejszych plemion. Dlatego wykonujemy naczynia gliniane w stylu Indian z Nowego Meksyku oraz z Arizony i rzeźbimy na nich motywy z Północno-Zachodniego Wybrzeża. Ten, na przykład, to „Ptakpiorun wykradający słońce”.

Arnie zaczął się nieznacznie odprężyć.

– Obawiam się, że mój brak wiedzy na temat Indian jest zatrwazający. – Roześmiał się lekko.

Ona też się uśmiechnęła.

– Legenda głosi, że gdy słońce było własnością boga nieba, trzymał je w zamknięciu i udostępniał światło dzienne tylko wtedy, kiedy miał na to ochotę. Ptakpiorun wykradł mu je i podarował ludzkości. Według podania miał rogi i krótki zakrzywiony dziób.

Arnie nie mógł oderwać wzroku od donicy. Była piękna. W czerwono-brązowej glinie został wyryty zawiły motyw. Czarno-turkusowa farba na rdzawym tle przyciągała wzrok. Naczynie było olbrzymich rozmiarów – mogło w nim rosnąć jedno z drzewek benzoesowych Ruth.

Arnie zastanawiał się, czy popełni wielki nietakt, pytając o cenę, gdy dziewczyna, jak gdyby czytając w jego myślach, delikatnie podniosła i podała mu do rąk donicę.

– Sygnaturę znajdzie pan pod spodem.

Arnie przechylił naczynie i zobaczył wyryty w glinie podpis. *Angeline, 1984*. Obok znajdowała się nalepka z ceną, która opiewała na pięćset dolarów.

– Szukam właśnie czegoś w tym rodzaju – bąknął, oddając donicę.

Z powrotem postawiła ją na postumencie.

– To naczynie zostało ręcznie wytoczone na kole. W dzisiejszych czasach bardzo niewielu arystów posługuje się tą tradycyjną garncarską metodą i wypala ceramikę w piecu. Jeśli interesują pana wyroby z gliny, mam tu kilka prac Josepha Lonewolfa...

– Ależ nie. Donica jest doskonała. Muszę się tylko zastanowić.

„Boże, co ja wygaduję?” – przemknęła mu myśl. „Nie mogę sobie w żadnym wypadku pozwolić na ten zakup, a ona na pewno pobiera prowizję od sprzedaży. Robię jej nadzieję na duży zysk, a tymczasem wcale nie mam zamiaru... „

– Może ta donica jest dla pana za duża. – Spojrzała pytająco. – Mamy kilka mniejszych prac tej samej artystki, z mniej zawiłymi wzorami.

Arnie błyskawicznie obmyślał tysiące sposobów, jak by spokojnie i zwyczajnie zaprosić ją na kolację. „... Nie, głupcze, lepiej na kawę. Tak, na kawę – moglibyśmy usiąść gdzieś nad wodą, posłuchać krzyku mew i porozmawiać... „

Nagle na zapleczu zadzwonił telefon.

– Przepraszam pana na chwilę.

Arnie obserwował ją, gdy się oddalała. Czuł narastający ucisk w gardle. Doskonale wiedział, co teraz powinien zrobić. Gdy go już nie widziała, odwrócił się i wyszedł z galerii.

Ruth spoglądała chłodno na leżącego w łóżku mężczyznę, jak na obcego człowieka. Matka, załamana, siedziała przy chorym na krześle i głośno szlochała.

– Skarżył się na swoje samopoczucie ubiegłej nocy, a ja go nie słuchałam. Boże, ukarż mnie za to! Sądziłam, że twój ojciec tak jak zwykle narzeka na moją kuchnię. Aż tu nagle dzisiaj rano, szykując się do pracy, upadł na podłogę! Byliście sami w domu!

Na korytarzu, za elektronicznie otwieranymi drzwiami, które oddzielały oddział intensywnej opieki kardiologicznej od reszty świata, zebrał się tłum członków rodziny Shapiro. Na salę wpuszczano jednocześnie tylko dwóch odwiedzających, a ponieważ matka Ruth nie chciała zrezygnować z czuwania przy łóżku męża, pozostali krewni musieli wchodzić na zmianę.

Przewody i monitory nie przerażały Ruth tak jak innych. Tym, co ją najbardziej zatrzymało, był stan własnej psychiki – straszne, rozprzestrzeniające się i ostre jak nóż uczucie. Przyprawiło ją o zawrót głowy. Podłoga zaczęła się jej usuwać spod nóg. Przytrzymała się zimnej, metalowej poręczy łóżka. Spojrzała na niebieskawe powieki, które zakrywały nieruchome oczy, na obwisłą skórę brody oraz na delikatnie unoszącą się i opadającą pierś. Ojciec sprawiał wrażenie, że śni o piaszczystych wyspach. „Nie możesz teraz umrzeć” – rozpaczliwie błagała go w myślach. „Jeszcze nie skończyliśmy ostatniej rundy”.

Gdy odwróciła się, chcąc odejść, pani Shapiro chwyciła ją za rękę.

– Dokąd idziesz, Ruth? Nie możesz tak zostawić ojca. Przecież jesteś lekarzem.

– Jeśli zostaniemy tu obie, to inni nie będą mogli przyjść go zobaczyć, mamo.

– Wobec tego przyślij tu Judy. Chcę, żeby tu natychmiast przyszła.

– Inni też mają go prawo zobaczyć, mamó. Na wszelki wypadek.

– Na wszelki wypadek! Jaki wypadek masz na myśli?

– Mów ciszej, mamó.

– Udała się mojemu mężowi córka, nie ma co. Spójrz tylko na siebie, ani jednej łzy.

Ruth zauważyła, że siostra oderwała od monitora pełen dezaprobaty wzrok.

– Jesteśmy na oddziale intensywnej opieki kardiologicznej, mamó. Musimy zachowywać się cicho. Później będę wylewać łzy.

– Później? Kiedy później? Wtedy, gdy, nie daj Boże, ojciec umrze?

– Jeśli będziesz się tak nadal zachowywała, mamó, będę zmuszona zaaplikować ci środek uspokajający.

– Tak, tak. Ty wcale nie masz serca. – Pani Shapiro zanurzyła twarz w chusteczce. – Wiecznie obrażałaś się na ojca. Tylko jeden Bóg wie, o co.

– Mamó...

– Podejmując studia medyczne, złamałaś mu serce, Ruth. Tak bardzo pragnął, żebyś wyszła za męża. Dobrze o tym wiesz. Złamałaś mu serce, a teraz tak samo postępujesz ze swoją matką. Ruth, złamałaś serca obojgu rodzicom.

Ruth spojrzała na twarz śpiącego mężczyzny. „Przez całe życie łamałam mu serce? A zatem w końcu mi się to udało”.

– Przyślę Judy. – I nagle pod wpływem nagłego impulsu odwróciła się w stronę łóżka, przechyliła się nad oparciem i niemal dotknęła ustami ciepłego ucha. – Zaczekaj... – szepnęła.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić do domu późniejszym promem, żeby uniknąć spotkania z nią, ale i tak niczego by w ten sposób nie osiągnął. Czy miał już do końca życia wcześniej jeździć do pracy i później wracać do domu tylko dlatego, że zachował się jak osioł wobec dziewczyny, której nawet nie znał? Jedyne, co mógł zrobić, to udawać, że nic się ni' stało. „A może – pomyślał Arnie, schodząc po trapie na pokład – ona wcale nie spostrzegła, jaki ze mnie gbur? I uważa mnie za miłego człowieka, który przyznał się do własnej niewiedzy? Przecież kobiety to lubią. Który mężczyzna odważy się mówić o swoich słabościach?”

O szóstej po południu wciąż było widno. Niebawem miało nastąpić zrównanie dnia z nocą. Nadciągała mroźna zima. Jeszcze trzy miesiące temu słońce wschodziło o czwartej trzydzieści rano, a zachodziło o dziesiątej wieczorem, a teraz dwa krańce nocy powoli zacieśniały się, wypierając dzień. Arnie myślał z niechęcią, że wkrótce w obie strony będzie podróżował po ciemku. Stał na wietrze w samym środku panoramy gór udrapowanych śniegiem, ciemnoniebieskiej wody i błękitnego nieba. Korzystał z promu od czternastu lat. Dlaczego dopiero teraz dostrzegał piękno stworzonego przez Boga świata?

Wcale nie zamierzał się rozglądać. A jednak to zrobił. Tylko że tym razem dziewczyna nie odwzajemniła jego spojrzenia. Siedziała w kabinie dla palących, w samym środku grupy Indian, i rysowała coś w rozłożonym na kolanach szkicowniku. Wpatrywał się w nią bez końca. Bez

skutku próbował zmusić ją w myślach, żeby podniosła wzrok. Był rozczarowany.

Wszystko zniszczył, błakając się po jej sklepie i zdradzając się ze swoją typową dla białych Amerykanów nieznajomością tematu, który dla niej był najwyraźniej ważny. I w ten oto sposób zakończyła się jego miłosna przygoda.

Po trzydziestu pełnych udreki minutach rozległy się na promie sygnały: jeden długi i dwa krótkie. Z głośników dobiegł głos: „Uwaga! Przybijamy do Winslow, na wyspie Bainbridge”.

Arnie przyłączył się do innych zmęczonych i głodnych wyspiarzy, którzy zmierzali w stronę rufy i prowadzącego do parkingu trapu. Miał nadzieję, że odjedzie jako jeden z pierwszych.

Siedział już przypięty pasami za kierownicą i zamierzał ruszyć, gdy znowu ją zobaczył. Poczul się jak przykuty do miejsca. Obserwował ją wśród tłumu. Podeszła do swojego samochodu, wrzuciła do środka torbę i usadowiła się za kierownicą. Jeśli go widziała, to nie dawała tego po sobie poznać.

„No cóż...” – pomyślał zrezygnowany Arnie, poddając się tak samo, jak zwykł postępować wobec Ruth. „Siedzenie w samochodzie na nic się nie zda. Pora wrócić do rzeczywistości”.

Nagle zauważył, że dziewczyna ma kłopoty z uruchomieniem pojazdu.

Wysiadła z samochodu i zajrzała pod maskę. Arnie wiedziony nagłym impulsem postanowił działać.

– Czy mogę być w czymś pomocny? – zapytał, zbliżając się do nieznajomej z promu i natychmiast pożałował swojego pochopnego kroku. Nie miał przecież zielonego pojęcia o budowie silnika.

Wyprostowała się, wycierając ręce w stary ręcznik i uśmiechnęła się przepaszająco.

– Niestety, z moim samochodem ciągle powtarza się to samo.

Arnie obrzucił motor męskim spojrzeniem, jak gdyby wiedział, co robi.

– A więc pani wie, co się stało?

– Obawiam się, że tak. A to oznacza, że trzeba będzie wziąć pojazd na hol.

Arnie cofnął się, gdy zatrząskiwała maskę.

– Przypuszczam, że w tamtym barze jest telefon. – Wskazał na knajpkę „U braci Hall”, w której zatrzymywało się w piątce wielu podróżnych regularnie korzystających z promu.

– Będę musiała zwrócić się o pomoc do mojego brata, ale w ciągu najbliższych dwóch godzin nie zastanę go jeszcze na stacji benzynowej – oświadczyła, odrzucając z ramion długie, czarne włosy. Skrzywiła się, patrząc na samochód. – Do tego czasu zrobi się już ciemno. Chyba go tutaj zostawię i wrócę po niego jutro razem z bratem. – Podniosła wzrok, a jej oczy przywiodły Arnie’emu na myśl żółte topazy.

Omiał nie przegapił okazji.

– Czy mogę panią podwieźć?

– Jeśli nie będzie musiał pan bardzo nadkładać drogi.

– Ależ skąd! – zapewnił wylewnie. – Gdzie pani mieszka? W Kitsap?

Na jej ustach pojawił się słaby uśmiech.

– Nie, mieszkam tutaj. Na wyspie Bainbridge.

Arnie zaczerwienił się. Miał ochotę zapaść się pod ziemię.

– Ach tak, oczywiście. Nie miałem zamiaru... Roześmiała się i podeszła do samochodu od strony kierowcy.

– Nic nie szkodzi. Większość z nas nadal żyje w rezerwacie.

Wzięła torebkę, sweter i upewniwszy się, że volvo jest dobrze zamknięte, wróciła razem z Arnie'm do jego furgonetki.

– Och, ma pan dzieci – zauważyła, wsiadając do samochodu. Obrzucił groźnym wzrokiem poniewierając się na tylnym siedzeniu zabawki. „Powiedz jej, że to samochód przyjaciela, a ty jesteś chłopakiem do wzięcia i playboyem”.

– Tak, mam pięcioro dzieci.

– Uwielbiam liczne rodziny – oświadczyła, zapinając pasy. Arnie zmusił się, żeby patrzeć prosto przed siebie. Sposób, w jaki pas opinał jej piersi, przechodząc przez sam środek biustu...

– Ja też pochodzę z dużej rodziny – wyjawiała, gdy silnik sapiąc, obudził się do życia. – Wielu jej członków wciąż żyje w rezerwacie. Najstarszy z moich braci jest właścicielem dużej stacji benzynowej, a dwaj młodsi zajmują się rybołówstwem. Siostry chodzą jeszcze do liceum w Kitsap.

Arnie, wyprowadzając furgonetkę z parkingu, gorączkowo szukał w myślach uprzejmych słów, takich, których by mu nie poczytała za wścibstwo – jakiegoś dowcipnego sformułowania, które nie zostałyby odebrane jako grubiaństwo. Czy wypadało zapytać Indiankę, z jakiego pochodzi plemienia?

– Bardzo się zdziwiłem, spotykając dzisiaj panią w galerii – zaczął niepewnie. – Czy jest pani jej właścicielką?

– Nie. Należy do kilku osób. Wszyscy artyści wspierają finansowo jej utrzymanie. A niektórzy z nas pracują w niej w pełnym wymiarze godzin.

– Niektórzy z nas? Czyżby pani też była artystką?

– Raczej rzemieślniczką. Zajmuję się wyrobem ceramiki, którą dzisiaj pan oglądał.

Arnie zaczął gorączkowo szukać w myślach imienia, które figurowało na spodzie donicy.

– To pani jest Angelinę?

– Słynna Angelinę – odparła ze śmiechem.

– Piękne imię.

– Zostałam tak nazwana dla uczczenia córki wodza Seattle, księżniczki Angelinę.

„Czyżby nazwa miasta Seattle pochodziła od Indian?” Dlaczego o tym nie wiedział, przecież mieszkał tutaj od trzynastu lat? Zacisnął usta i ze znajomością rzeczy skinął głową. Wiedział już, że może ją zrazić swoją ignorancją.

W milczeniu pokonali krótki dystans. Oboje utkwili wzrok w przedniej szybie. Naparstnice przekwitły, ale ich zielone wysokie łodygi wciąż znaczyły pobocza drogi. Na łąkach pozostało już niewiele kwiatów. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się tylko zadziwiająco zielone dywany. Arnie

wiedział, że niebawem ulegną z dnia na dzień cudownej metamorfozie i przybiorą czerwonożłą barwę.

– Mieszkam przy High School Road – odezwała się w końcu Angelinę, a Arnie wyczuł w jej głosie skrępowanie. A może mu się tylko wydawało i łudził się, że tak samo silnie oddziałuje na nią, jak ona na niego?

„High School Road”. Arnie’emu zamarło serce. „Wkrótce tam dotrzemy. I co dalej? Teraz, kiedy to się zaczęło, powinienem coś zrobić, żeby trwało dalej. Ale co się właściwie zaczęło? I co ma trwać dalej?”

– Gdzie wyrabia pani naczynia?

„To bardzo uprzejme pytanie, Arnie” – dogadywał sobie w myślach. „Naprawdę bardzo uprzejme”.

– U siebie w mieszkaniu. Zamiast kuchennego stołu mam obrotowe garncarskie koło. Panuje u mnie wieczny nieporządek, ale daje mi to wygodną wymówkę, żeby nie przyjmować gości! Na zapleczu galerii znajduje się piec do wypalania, z którego wszyscy korzystamy.

Arnie bez trudu wyobraził sobie skromne mieszkanie ozdobione indiańskimi przedmiotami, zakurzoną glinianym pyłem kuchnię i Angelinę przy garncarskim kole, w zakrywającym jej drobne ciało roboczym fartuchu. Widział ją, jak siedzi, utkwivszy swoje piwne i głębokie oczy w powstającym pod dotykiem szczupłych palców wyrobie. „Wymówka, żeby nie przyjmować gości”. Arnie pomyślał o długich, samotnych wieczorach...

– A czym pan się zajmuje?

– Jestem księgowym. I mam na imię Arnie. – Oderwał rękę od kierownicy i wyciągnął w jej stronę. Poczul chłodny i delikatny dotyk jej dłoni.

– Miło mi cię poznać Księgowy Arnie – powiedziała Angelinę. Przez minutę, podczas której ich dłonie były złączone, oboje milczeli.

– Mieszkam w tym domu – oznajmiła po chwili, wyswobadzając rękę.

Arnie zahamował. Angelinę mieszkała w dużym bloku czynszowym, na jaki mogli sobie pozwolić ludzie o niskich dochodach. Oboje nie wiedzieli, co ze sobą począć. Przez moment nie odzywali się do siebie. Angelinę nie spieszyła się z wysiadaniem.

– Dziękuję za podwiezienie – powiedziała w końcu.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Nieznacznie uniósł się z miejsca, na ile pozwalały mu pasy (czy ich odpięcie uznałaby za formę narzucania się?). – Mam nadzieję, że brat zdoła naprawić twoje auto.

– Och, z pewnością. Awarie silnika w moim samochodzie zdarzają się tak regularnie, że na ich podstawie można by opracować kalendarz.

– Przecież volvo to solidna firma.

– Tak, ale to auto przejechało już zbyt wiele kilometrów. Ma na liczniku ponad dwieście czterdzieści tysięcy.

– Nie żartuj. – Arnie nigdy przedtem nie zauważył, jak przytulne jest wnętrze jego

furgonetki. Oliwkowa uroda siedzącej tuż obok Angelinę i wypełniający niewielką przestrzeń słaby zapach jej perfum poruszyły w nim dawno zapomniane i niecodzienne uczucia. – Dobrze, gdy się ma brata w branży motoryzacyjnej, prawda?

– Tak, to wielka wygoda.

Minęła kolejna minuta ciszy. Arnie zaczął się coraz bardziej niepokoić. Angelinę zaraz wysiadzie, nie będzie miała innego wyjścia.

– Naprawdę podobała mi się ta donica.

– Tak?

– I miałem szczerą ochotę ją kupić, tylko że...

– Jest za droga. Arnie poczerwieniał.

Angelinę roześmiała się. Robiła to często, zauważył.

– Wszystko w galerii jest drogie! Na nic nie byłoby mnie tam stać! Ale jak inaczej ustalić cenę, która by odzwierciedlała doświadczenie artysty oraz długie godziny jego pracy?

– Ależ ja nie kwestionuję wartości przedmiotów...

– Wiem, że to mnóstwo pieniędzy. – Angelinę odpięła pasy. Wbrew zdrowemu rozsądkowi Arnie pragnął, żeby ta chwila trwała wiecznie. Miał ochotę siedzieć w furgonetcie z wałającymi się na tylnym siedzeniu zabawkami, przed niskoczynszowym domem i rozmawiać bez końca z Angelinę.

– Powiedziałaś, że można kupić w galerii również mniejsze wyroby?

„Bardzo sprytnie, Arnie Roth. Wymówka, żeby wrócić. A potem może nawet zaprosić ją na obiad... „

Przez sekundę patrzyła na niego swoimi nieprawdopodobnymi oczami, a potem w jej policzkach pojawiły się dołki i twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

– Obawiam się, że te przedmioty również nie należą do najtańszych. W galerii musimy ustalać nieco zawyżone ceny, żeby pokryć poniesione przy produkcji koszty, czynsz za wynajem lokalu i zapewnić artystom zysk. Mam w domu kilka bardzo ładnych i o wiele tańszych wyrobów ceramicznych. Możesz w każdej chwili przyjść i je obejrzeć.

Arnie zaniemówił. Czy się nie przesłyszał? Naprawdę go do siebie zapraszała?

– Często sprzedaję swoje prace w domu – wyjaśniała Angelinę. – To jedyny sposób, żeby je upłynnić. Z tego żyję. Jeśli znajdę czterech nabywców w ciągu roku na moją ceramikę w galerii, to uważam, że mam wielkie szczęście.

Arnie z wielkim hukiem został sprowadzony na ziemię. I do rzeczywistości. „Mężczyzna w średnim wieku może napytać sobie wielkiej biedy, źle odczytując intencje młodej kobiety” – pomyślał z goryczą.

– Chętnie bym obejrzał to, co masz do zaoferowania, ale spieszę się do domu – oświadczył, patrząc na zegarek.

Angelinę pogrzebała w torebce i wyjęła wizytówkę z powyginanymi rogami.

– Proszę. Zatrzymaj ją. Być może kiedyś znajdziesz trochę czasu.

Arnie wziął kartonik do ręki. *Angelinę. Amerykańska Sztuka Ludowa*. I numer telefonu. „Bardzo profesjonalnie i służbowo”. Westchnął. „Nie ma większego głupca nad pozbawionego rozumu czterdziestoosmiolatka”.

– Prawdę mówiąc, prezent jest mi potrzebny na jutro. Na jutrzejsze przyjęcie... – Dokonał w myślach pospiesznej analizy. Dzisiaj Ruth miała się spotkać ze swoją grupą. Wychodziła na cały wieczór. To była ostatnia szansa, żeby kupić jej podarunek. – Będziesz później w domu? – zapytał, wsuwając wizytówkę do portfela.

– Nigdzie się dzisiaj nie wybieram. Możesz do mnie wpaść o każdej porze. Mieszkam pod trzydziestym.

– Niewykluczone, że skorzystam z zaproszenia. Ponownie się uśmiechnęła.

„Już nie tak promiennie ani z taką pewnością siebie jak przedtem” – pomyślał Arnie. „Jak gdyby ona również... „

– Dziękuję raz jeszcze za podwiezienie, Arnie – powiedziała miękko, sięgając do klamki.

– Robi się ciemno. Powinienem odprowadzić cię do drzwi.

– To zbyt techniczne. Wszyscy lokatorzy są moimi przyjaciółmi. Dobranoc. Albo do zobaczenia potem.

Od lat Arnie nie czuł się tak cholernie głupio. I cóż najlepszego wymyślił? Zrobił z siebie durnia przed dziewczyną, której prawie nie znał i która by mogła być jego córką! Prawdopodobnie setnie się ubawiła z niskiego i łysiejącego Anglosasa, rumieniącego się i tracącego na jej widok grunt pod nogami. Chętnie by go nakłoniła do zakupu nawet dziesięciu doniczek, żeby pokryć miesięczny czynsz za mieszkanie, a potem mogłaby się z niego pośmiać razem ze swoimi przyjaciółmi artystami!

Podjechał pod dom, wyłączył silnik i zapatrzył się przez przednią szybę na zwisającą z wysokiego drzewa oponę. Nie, Angelinę nie należała do tego typu kobiet. Był dla niej niemiły, żeby ratować siebie; chcąc uchronić się przed popełnieniem największej gafy w życiu.

Nie, nie wolno mu było jechać do niej dzisiaj wieczorem.

Otworzył frontowe drzwi i zawołał w głąb domu, ale nie otrzymał odpowiedzi. „Gdzie się wszyscy podziali?” – zdziwił się.

Znużony zdjął marynarkę i rozluźnił krawat, a potem przerzucił korespondencję, którą podniósł z podłogi.

Tak, niesprawiedliwie ocenił Angelinę. Walczyła o byt i miała nadzieję, że sprzeda swoje artystyczne wyroby ceramiczne. Mieszkała w domu, gdzie jedynym wymogiem stawianym lokatorom było ubóstwo. To nie z jej winy dał się ponieść wodzom fantazji jak sztubak. Czy miała być stratna tylko dlatego, że on czuł się zażenowany? A poza tym naprawdę musiał coś kupić dla Ruth.

Pojedzie do niej potem, gdy zrobi dziewczętom kolację.

– Hej! – zawołał, kierując się do kuchni. – Czy nikogo nie ma w domu?

Być może weźmie nawet ze sobą jedną z córek. Rachel lubi ceramikę. To ją zainteresuje.

„Dzięki niej będę miał gwarancję, że się jeszcze bardziej nie zbłąźnię”.

Wszedł do zimnej i ciemnej kuchni.

A jeśli Angelinę ma na myśli to samo, co Arnie, a on przyprowadzi ze sobą trzynastoletnią córkę...

Próbował uporządkować myśli. Dochodziła siódma. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby o tej porze wrócił do pustego domu. Nie oświetlonego i bez włączonego telewizora. Gdzie były dziewczęta?

„Angelinę. Może przyjdę później sam...”

Usiłował sobie przypomnieć, czy Ruth uprzedzała go, że córki wybierają się dokądś po szkole. Czyżby o tym zapomniał? Ale na podwórzu awanturowały się wygłodzone zwierzęta. Ruth zawsze przygotowywała im jedzenie.

„Do której godziny będzie mu wypadało odwiedzić Angelinę?

„Gdzie się wszyscy podziali?”

Gdy zadzwonił telefon, Arnie w pierwszej chwili pomyślał, że to Angelinę. Ale to było niemożliwe. Przecież nie znała ani jego numeru, ani nazwiska.

Telefonowała Ruth.

– Arnie, przed chwilą umarł tatuś. Jestem w szpitalu z mamą... Nie, nie przyjeżdżaj. To zbyteczne. Hannah wzięła do siebie dziewczęta. Mort odebrał je ze szkoły. Przenocują u niej... – załamał się jej głos. – Muszę jeszcze przez jakiś czas tu zostać, żeby załatwić formalności. A potem zawiozę mamę do domu. Jest w szoku, Arnie. O Boże...

Odłożył słuchawkę i podszedł do oszklonych drzwi werandy. Zobaczył w szybie odbicie nierozsądnego mężczyzny, który stracił włosy, figurę i zmysły. Człowieka, który uległ na krótką chwilę złudzeniu, a potem zobaczył, jak jego marzenie rozpada się z trzaskiem na tysiące kawałków, niczym roztlukujące się na podłodze gliniane naczynie.

Rozdział 32

Z amerykańskim retraktorem w jednej ręce i z lampką fiberoskopu w drugiej Mickey podniosła skórę sutka i zbadała ścianę klatki piersiowej pod spodem.

– Sądzę, że jest sucha – mruknęła do pielęgniarki, która stała po drugiej stronie stołu operacyjnego. – Przepluczmy ją.

Używając dużej strzykawki, wypełniła nowo uformowaną kieszeń piersi roztworem z antybiotykiem, opróżniła ją za pomocą gumowej rury odsysającej, a potem wytarła wnętrze piersi wilgotnym tamponem umieszczonym na końcu kleszczy. Gaza pozostała czysta.

– W porządku – powiedziała, odkładając narzędzie na namagnesowaną matę rozłożoną na brzuchu pacjentki. – Nie krwawi. Poproszę o protezę.

Była to miękka poduszka silikonowego żelu, przypominająca olbrzymią, przezroczystą pigułkę. Upewniwszy się po raz ostatni, że proteza ma odpowiednie rozmiary i jest taka sama, jak wszyta po drugiej stronie, Mickey opłukała ją w naczyniu z bacytracyną i zaczęła delikatnie wsuwać do jamy pod skórą piersi. Gdy wszczepiany materiał wypełnił pustą przestrzeń łagodnie podnosząc sutek, Mickey zwróciła się do drugiej z obecnych przy zabiegu pielęgniarek.

– Sprawdź ciśnienie krwi pacjentki, Mildred. Czy biustonosz Jobsta jest już gotowy?

– Tak, pani doktor.

Mickey była zadowolona z przebiegu operacji. Dobrze, że nie było żadnych komplikacji. Jeszcze dziś mieli wyjechać z Harrisonem na weekend, który planowali od dawna i na który tak bardzo czekała. Boże Narodzenie w Palm Springs!

Po założeniu wewnętrznego szwu Mickey zaszyła schowany silikon prawie niewidoczną nicią u podstawy piersi i zmyła krew z klatki piersiowej.

– Carolyn! – zawołała głośno. – Carolyn, obudź się, operacja skończona!

Młoda kobieta przekreśliła głowę z jednego boku na drugi i zatrzepotała rzęsami.

– Kiedy zaczniecie, pani doktor... – wymamrotała z trudem.

– Już po wszystkim, Carolyn.

– Chce pani powiedzieć... – Jej pierś unosiła się i opadała, gdy pacjentka głęboko oddychając, odzyskiwała świadomość. – Czy to znaczy... że już mam biust?

Mickey roześmiała się.

– Tak, Carolyn, masz biust.

– Piękna robota, doktor Long – zauważyła pielęgniarka, gdy pacjentka została odwieziona do separatu kooperacyjnej. – Dziewczyna będzie prawdziwą seksbombą!

Carolyn West była ostatnią z operowanych dzisiaj osób i po południu Mickey musiała już tylko zbadać kilku pacjentów. Większość zabiegów przeprowadzała w swoim gabinecie. Jednak poważniejsze operacje, takie jak powiększanie biustu czy zmniejszanie bioder, a także w wypadku, gdy pacjent sobie tego życzył, Mickey wykonywała w szpitalu St. John's, który był usytuowany przy Wilshire Boulevard.

Już od trzech lat pracowała w tym gabinecie, to jest od czasu, gdy oboje z Harrisonem przeprowadzili się z Hawajów do Południowej Kalifornii.

Ten krok oznaczał dla obojga nowy początek. Dla Harrisona wiązał się z decyzją sprzedania firmy „Butler Pineapple” i skoncentrowania działalności na przemyśle filmowym, a dla Mickey był ponownym rozpoczęciem kariery – w Santa Monica nie musiała już konkurować z lekarzami, którzy ją wyszkolili. Nowe miejsce pomagało im zapomnieć o nie spełnionym marzeniu. Po dwóch latach daremnych starań spłodzenia potomka Harrison i Mickey uznali okazałe salony i hole Pukula Hau za zbyt przestronne. Przeprowadzka była zarówno ucieczką od przeszłości, jak i rzuceniem się w przyszłość. I od trzech lat żadne z nich nie wracało do wspomnień.

W małej łazience przy gabinecie Mickey ściągnęła z siebie chirurgiczną odzież, wskoczyła w spodnie i w sweter, a potem spojrzała na zegarek. Za trzy i pół godziny mieli wyruszyć z Harrisonem do Palm Springs.

Przystanąła przed lustrem, badając swoje odbicie. W zimnym i oślepiającym świetle przyjrzała się uważnie prawemu policzkowi. Dostrzegła słabe kontury i nieznaczne odbarwienia – upiorne widmo wypędzone wprawną ręką Chrisa Novacka. Ile to lat minęło od tamtego czasu? Szesnaście!

„Miałam wtedy dwadzieścia jeden lat...”

Mickey spotkała przypadkiem Chrisa Novacka trzy lata temu na seminarium z chirurgii plastycznej w hotelu Beverly Wilshire, zaraz potem gdy oboje z Harrisonem przeprowadzili się do Południowej Kalifornii. Przerzedziły mu się włosy i znacznie przybrał na wadze, ale najbardziej dramatyczna była zmiana w jego oczach, które straciły dawny blask. Widok Chrisa Novacka odgrywającego podrzędną imitację samego siebie sprzed lat w równej mierze ogłuszył, co zasmucił Mickey. Co się stało z iskrą w jego spojrzeniu? Gdzie się podział dawny zapał? Po pionierskich próbach usuwania malinowych plam Chris zajął się rekonstruowaniem rozszczepionych podniebień, ale gdzieś po drodze stracił zainteresowanie osiągnięciami współczesnej medycyny. Coś w nim wygasło. Jak nieposkromiony wirus weszła mu w krew przeciętność. Zadowolił się spokojną praktyką w Valley, naprawiając nosy za pieniądze instytucji ubezpieczeniowych.

„Chris, co się z tobą stało?”

Pukanie do drzwi oznajmiło przybycie pierwszego pacjenta.

– Skierowałam pana Randolpha do sali numer jeden, a panią Witherspoon do sali numer dwa – dobiegł zza drzwi głos sekretarki.

– Dziękuję, Dorothy. Już do nich idę.

Mickey wstąpiła do gabinetu po pióro i po recepty. Zauważyła nowy stos korespondencji, którą sekretarka zostawiła na jej biurku. Postanowiła przejrzeć ją później, gdy już przyjmie wszystkich pacjentów.

To było to, czego potrzebowała i co zalecał jej lekarz – prędkość pocisku na autostradzie Indio, trawiący ciemność strumień przednich świateł mercedesa i zostający w tyle purpurowy

ślad. W chwilach jak ta Mickey żałowała, że nie mają kabrioletu: mogłaby rozpuścić włosy, odchylić do tyłu głowę i rzucić wyzwanie gwiazdom. Zamiast tego nacisnęła guzik i uchyliła szybę, wpuszczając do środka pachnące, wieczorne powietrze pustyni, włączyła odtwarzacz, przewinęła taśmę i nieznacznie obniżyła siedzenie. A gdy otoczyły ją melancholijne dźwięki muzyki Beethovena, zamknęła oczy, całkowicie się jej oddając.

Dlaczego list wprowadził ją w ów szczególny nastrój? Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Powinna się teraz cieszyć, tak jak tego oczekiwała i tak jak to sobie zaplanowała. A jednak nie była szczęśliwa. Zrobiło się jej smutno. Na ten weekend na pustyni szykowali się oboje z Harrisonem od miesięcy – najlepszy apartament w hotelu „Erawan Gardens”, kolacja w „Fideglio”, romantyczna przjażdżka helikopterem na szczyt San Jacinto i wielkie przyjęcie bożonarodzeniowe w „Racquet Club”. Z dała od pacjentów i telefonów. Tylko we dwoje z Harrisonem, za którego sprawą po siedmiu latach małżeństwa jej życie wciąż było fascynujące. Dzisiaj po południu podniecenie Mickey wzrastało w miarę przyjmowania kolejnych pacjentów, dyktowania poleceń i porządkowania kart, które przekazywała w odpowiedzialne ręce doktora Toma Schreibera, swojego partnera.

Tuż przed wyjściem szybko przetrzuciła plik korespondencji. Były to głównie listy z podziękowaniami od pacjentów, zaproszenia na przyjęcia i nowości medyczne. Na końcu natknęła się na tanią niebieską kopertę lotniczą ze znaczkami z Kenii. „To od Sondry” – pomyślała w pierwszej chwili. „Oprócz kartki na Boże Narodzenie i listu sprzed roku nie miałam od niej żadnych wiadomości”.

Ale ta lotnicza przesyłka nie pochodziła od Sondry. Zaadresowana była obcym pismem, a na odwrocie widniało nazwisko pastora Sandersa.

Mickey przez długą chwilę stała nieruchomo pełna złych przeczuć. Patrzyła na list w dłoni, jak gdyby wyczuwała opuszkami palców, że zawiera niepożądane wiadomości. Przez moment zastanawiała się, czy nie zaczekać z otwieraniem go do powrotu, ale listy lotnicze są jak dzwoniące telefony – nie sposób je zignorować. Rozerwała kopertę i wyjęła z niej nie jeden, lecz dwa listy. Pierwszy, podpisany przez wielbnego Sandersa, ograniczał się do kilku linijek:

Droga doktor Long!

Ponieważ pani Farrar nie może pisać samodzielnie, załączam pismo, które mi podyktowała. Nie mamy w misji telefonu, dlatego gdyby chciała się pani z nami skontaktować, proszę zadzwonić do szpitala w Voi, na Voi7, skąd przekażą nam informacje od pani drogą radiową.

Następnie Mickey otworzyła drugi list, dłuższy od poprzedniego, z przyklejonym na dole zdjęciem...

– Kochanie? – wyrwał Mickey z zadumy głos Harrisona. Poczula na ręce uspokajający, znajomy dotyk jego dłoni. – Daję milion dolarów, żeby poznać twoje myśli.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się do męża. Życie w Południowej Kalifornii wyszło mu na

dobrze. W wieku sześćdziesięciu ośmiu lat był przystojniejszy, mocniejszy i bardziej żywotny niż przedtem. Podjęli słuszną decyzję, przyjeżdżając tutaj. Na początku Mickey protestowała przeciwko przeprowadzce, która była brana pod uwagę głównie z jej powodu. Dobrze zrobiła, ustępując. Harrison z zapałem zajął się prowadzeniem nowych interesów, a Mickey praktyką lekarską. Mieli wielu nowych przyjaciół i nie było czasu ani potrzeby, żeby rozwodzić się nad starym problemem. Dali za wygraną i roztropnie zostawili niespełnione marzenie o dziecku na Lanai.

– Czy rozmyślasz o czymś miłym? – zapytał łagodnym tonem, delikatnie ściskając jej rękę.

– Myślałam o Sondrze. Wybacz mi, Harrisonie – powiedziała nakrywając dłonią jego rękę. – Wiem, że obiecałam zostawić w domu wszystkie medyczne sprawy, ale sytuacja jest szczególna.

Ze zrozumieniem skinął głową. Widział zdjęcie, które przysłała Sondra.

– Co postanowiłaś zrobić? – zapytał.

– Przypuszczam, że w niedzielę wieczorem spotkam Sama Penroda na przyjęciu bożonarodzeniowym. Ma najlepszą rękę wśród chirurgów plastycznych w kraju. Zamierzam go poprosić, żeby się zajął Sondrą.

– To znaczy, że nie zaopiekujesz się nią sama?

– Nie powinnam. Obrażenia są rozległe. Moje umiejętności mogą okazać się w tym wypadku niewystarczające.

W liście od Sondry przeczytała:

Zwracam się z prośbą do ciebie, Mickey, ponieważ tylko do ciebie mam całkowite zaufanie. Gdybyś z jakiegoś powodu nie mogła mi pomóc, pojedę do Arizony. Moi rodzice na razie o niczym nie wiedzą. Wolalam poczekać, aż to się skończy. Chciałam zaoszczędzić im koszmaru, który stał się udziałem mojego syna.

Wewnątrz listu znajdowało się zdjęcie: na białym tle dwie potwornie pokiereszowane i powykręcane kończyny, które były kiedyś dłońmi. Odrażające ręce, które mogły się przyśnić w koszmarnym śnie.

Na grzbiecie lewej dłoni znajduje się gruba blizna, powodująca jej przykurcz. Zniszczeniu uległo ścięgno prostownika w drugim i w trzecim palcu. Zostały też uszkodzone ścięgna we wszystkich palcach prawej ręki. Przedłużone unieruchomienie w nadmiernym wyproście po próbie przeszczepu spowodowało skrócenie równoległych rozciągnięć dłoniowych. Obie ręce są w tej chwili całkowicie niesprawne.

Sondra wyjaśniała w liście, że sześć miesięcy temu podczas pożaru spaliła sobie dłonie. Po udzieleniu pierwszej pomocy w szpitalu w Voi została przewieziona do największego szpitala w Nairobi, gdzie opanowano infekcję i zrobiono przeszczep. Sądząc ze zdjęcia, operacja nie

przyniosła oczekiwanych rezultatów.

Mickey odwróciła się od Harrisona. Skierowała wzrok w stronę czarnej i pogrążonej w ciszy otchłani pustyni, którą przemierzali. Zapatrzyła się na palmy, które wyraźnie odcinały się na tle granatowego jak atrament nieba i na postrzępione jak asteroidy wierzchołki gór na odległym krańcu równiny. Gdy druga część utworu Beethovena dotarła do *allegretto crescendo*, Mickey zamknęła oczy i myślami powróciła do treści listu.

Mam wystarczająco dużo pieniędzy na podróż do Kalifornii i z powrotem. Pastor pomoże mi wsiąść do samolotu, a w czasie podróży zajmie się mną stewardesa. Będzie mi jednak potrzebna pomoc po wylądowaniu. Nie wiem, czy mogę narażać cię na taki kłopot. Roddy zostanie tutaj, pod opieką pracowników misji.

List był lakoniczny – zawierał same suche zdania. Prawdopodobnie odzwierciedlał posępny nastrój Sondry w chwili, gdy go dyktowała, a także jej szczerą i determinację.

Zrobili dla mnie w Nairobi wszystko, co tylko mogli. Nie mam do nich żalu. Nie ponawiałabym dalszych prób, gdyby nie fakt, że jestem ciężarem dla innych. Nie mogę się sama uczesać ani utrzymać filiżanki w dłoni. Nie mogę dotknąć twarzy mojego syna. W Nairobi orzekli, że sprawa jest beznadziejna. Zdaniem tamtejszych lekarzy moje ręce są nie do uratowania. Dlatego jeśli zdołasz choć trochę mi pomóc, będę ci za to wdzięczna do końca życia.

Sondra. Kiedy Mickey widziała ją po raz ostatni? Na weselu, siedem lat temu, gdy ściągnęła ją razem z Ruth na Lanai, żeby asystowały jej w ślubnej ceremonii jako drużny. Jakież to krótkie spotkanie było radosne, gdy wspominały dawne czasy i na moment znowu stały się nieodłączną trójką przyjaciółek, tak jak niegdyś w Castillo. Wtedy gdy Sondra i Ruth nakłoniły ją, żeby pozwoliła Chrisowi Novackowi przeprowadzić eksperymentalny zabieg na swojej twarzy i w środku nocy wylały do toalety jej puder w płynie!

Co się stało z ich przyjaźnią? Jak mogły do tego dopuścić, żeby upływający czas i wydarzenia wbijały się pomiędzy nie jak klin i powoli zaczynały je rozdzielać? Co spowodowało, że regularne w pierwszych latach po rozstaniu listy i rozmowy telefoniczne stawały się coraz bardziej sporadyczne, aż w końcu pozostały im już tylko cenne wspomnienia?

List od Sondry uchylił wieko starego kufra i ukazał Mickey jego zleżałą i porzuconą zawartość – pierwszą prawdziwą i bezinteresowną przyjaźń; początek długiej drogi, która doprowadziła ją do siedzącego obok mężczyzny. List przypominał jej o dawno zapomnianych i niemal zaprzepaszczonych wartościach.

„Ale jeszcze nie wszystko stracone” – pomyślała w chwili, gdy Siódma Symfonia zabrzmiała żywym *presto*. „Podczas ostatnich trzech lat byłam zbyt zajęta, zbyt egoistycznie pochłonięta własnym życiem. Zapomniałam... „

– Zamierzam natychmiast jej odpisać – oznajmiła Harrisonowi, gdy ich mercedes wjechał w Indian Wells. – Zaproponuję, żeby zatrzymała się u nas, dopóki nie ulokujemy jej w którejś z klinik. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

– Przecież dobrze wiesz, że nie.

– Napiszę również do Ruth. Nie pamiętam, kiedy miałam ostatnio od niej jakąś wiadomość. Może mi się uda nakłonić ją, żeby wzięła kilka dni wolnego i przyjechała do nas z wizytą. Jestem pewna, że bardzo by to ucieszyło Sondrę.

Mickey zrobiło się lżej na duchu. Uśmiechnęła się. Nagle przypomniała sobie o Derrym. Zmarszczyła brwi. Uświadomiła sobie, że Sondra nie wspomniała o nim w liście. Wybierał się w podróż razem z nią czy też zamierzał zostać w misji?

To było jedno z tych wzbudających ogólną sensację wydarzeń, gdy gwiazdy w tłumie przyćmiewają liczebnością te na sklepieniu niebieskim. Mickey poznała wiele sław głównie dzięki Harrisonowi, który po sprzedaży „Butler Pineapple” firmie „Dole” zainwestował pieniądze oraz własną pomysłowość w nowoczesny przemysł kinematograficzny i tym samym znalazł się w kręgu elity świata filmowego. Z niektórymi gwiazdorami Mickey zawarła znajomość samodzielnie, poprawiając im twarze i likwidując zmarszczki. Jedną z jej pacjentek była na przykład znana rockowa piosenkarka, która obecnie zaliczała się do najlepiej zarabiających osób w Las Vegas. Dzięki wprawnemu usunięciu dolnego żebra i sprytnemu podwinieciu skóry zawdzięczała Mickey swoją słynną wąską talię. Wiele twarzy o jędrnej skórze nad dekoltami kreacji „Galanos” również było dziełem Mickey. O jej wprawnej ręce świadczył też wyczelowany nos żony pewnego amerykańskiego senatora.

Galowy wieczór był wydarzeniem, któremu wszystkie jutrzejsze gazety miały poświęcić sporo miejsca i nie sposób było w nim nie uczestniczyć. Do „Racquet Club” ciągnęły tłumy gości, którzy chcieli być widziani, którzy musieli się pokazać i którzy dostrzegali korzyści, jakie mogła im przynieść pozytywna reklama. Tym bardziej że nie było to zwyczajne przyjęcie z okazji Bożego Narodzenia, ale impreza charytatywna poświęcona pamięci Rity Hayworth i wspierająca fundusz walki z chorobą Alzheimera.

Firma „Cloud” dostarczyła żywność, cztery zespoły muzyczne grały na zmianę, gospodarzami części artystycznej byli Jack Lemmon i Gregory Peck, a dwunastometrowa choinka ugięła się pod setkami śnieżnobiałych kopert z datkami. Po tradycyjnej kolacji z pieczoną kaczką i śliwkowym puddingiem, w czasie której goście byli zabawiani przez komików, rozpoczęły się tańce. Tłum się wymieszał, żeby przy rozmowach i muzyce bawić się do białego rana.

Mickey wypatrzyła Sama Penroda po drugiej stronie basenu. Prowadził przyjacielską pogawędkę z jednym z Gaborów. Zostawiła Harrisona w towarzystwie sędziego sądu najwyższego, z którym siedzieli przy stole podczas kolacji, i zaczęła przeciskać się przez tłum.

Po drodze dobiegały ją strzępy rozmów:

– ... zastanawiam się nad operacją pośladek.

– Ależ kochanie, to istna tortura! Przez dwa tygodnie będziesz wyprostowana jak deska. Nie będzie ci wolno usiąść ani się schylić. Wszystko będziesz musiała robić w pozycji stojącej...

– ... w końcu ustaliliśmy górną granicę na wysokości pięciu milionów. Ostrzegłem go jednak, że jeśli przekroczy budżet bodaj o jednego centa...

– ... od trzech miesięcy przetrzymuje scenariusz i nie odpowiada na moje telefony. Jeśli ten drań myśli o wykorzystaniu go bez mojej zgody, to przysięgam...

– ... wszystkie trzy w takich samych sukniach! Szkoda, że tego nie widziałaś! Ona miała na sobie wersję tuniki ze spodniami, niemniej jednak był to ten sam wysadzany kamieniami biały materiał od Fabrica i...

– ... Czy to prawda, że na jednego mieszkańca w Palm Springs przypada więcej chirurgów plastycznych niż gdziekolwiek na świecie?

Mickey dotarła do Sama Penroda w chwili, gdy odwracał się z pustym kieliszkiem w dłoni.

– Witaj, Sam – powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Mickey! – Doktor Samuel Penrod był chirurgiem ortopeda, który specjalizował się w naprawianiu kończyn osobistościom z pierwszych stron gazet: gwiazdom sportu, zwycięzcom olimpiad, politykom oraz aktorom i aktorkom, z których nikt nie chciał narażać swojej kariery z powodu artretyzmu, zapalenia ścięgna, drżenia rąk czy porażenia nerwu. Penrod prowadził elegancką klinikę na pustyni, jedną z najlepszych w kraju, i w ciągu ubiegłych trzech lat dwukrotnie oświadczał się Mickey. – Wyglądasz jak zwykle wspaniale – stwierdził, biorąc ją za rękę.

– Co słyhać u ciebie, Sam? Jak ruch w interesie?

– Dziękuję, coraz większy. Dopóki piłkarze chcą strzelać gole, a aktorki poruszać się posuwicie zamiast chodzić, nie zabraknie mi roboty. A co u ciebie? Nadal zajmujesz się przywracaniem młodości?

– Tak jak zwykle. – Mickey roześmiała się.

– Czy miałaś okazję zbadać damę, którą skierowałem do ciebie w ubiegłym tygodniu, niejaką panią Palmer?

Mickey dyskretnie wyswobodziła rękę z jego uścisku.

– Tak, ale nie zdecydowała się na operację. Nie mogłam jej zagwarantować, że po zabiegu nie zostanie zdradziecka blizna.

– Pani Palmer zawsze była bardzo tęga. Znam ją od lat. W każdą środę grywam w golfa z jej mężem. Ostatnio poznała w klubie ekspedienta ze sklepu z ręcznikami i postanowiła stać się znowu nastolatką. Ostrzegalem ją przed gwałtowną utratą wagi, ale mnie nie posłuchała. Nic dziwnego, że ma teraz kłopot z ramionami.

Mickey skinęła głową. Często widywała kobiety z problemem obwisłych ramion i zwiotczałego ciała pod pachami na skutek wieku albo niewłaściwej diety. Chirurgiczny zabieg

naciągnięcia skóry pozostawiał w tym miejscu szpecące blizny.

– Ale do diabła z tym – rzekł Sam, ponownie biorąc Mickey za rękę. – Nie rozmawiajmy dzisiaj o interesach. Przypuszczam, że przyszedłeś na przyjęcie w towarzystwie swojego anioła stróża?

– Jeśli masz na myśli Harrisona, to tak, jest tutaj razem ze mną. Jak widzę, nic się nie zmieniłeś, Sam. Ale ja właśnie mam zamiar porozmawiać z tobą o sprawach zawodowych.

Z udanym rozczarowaniem Sam Penrod teatralnie wypuścił jej rękę i przyjął profesjonalną pozę. Ze sceny dobiegały dźwięki muzyki z filmu „W osiemdziesiąt dni dookoła świata” – tematem muzycznym dzisiejszego wieczoru była muzyka filmowa.

– O co chodzi, Mickey.

Zdjęła torebkę z satyny na srebrnym łańcuchu, którą miała zawieszoną na gołym ramieniu, otworzyła ją i wyjęła list od Sondry.

– Tu znajdziesz wyjaśnienie.

– Chryste, ty rzeczywiście postanowiłaś rozmawiać dzisiaj ze mną o interesach. – Dramatycznie westchnął, położył rękę na jej plecach i zaprowadził do wolnego stolika, stojącego w kręgu migotliwego światła pochodni. Gdy usiedli, przeczytał list.

Zanim go oddał Mickey, ze zmarszczonymi brwiami przez dłuższą chwilę przyglądał się fotografii.

– Co za pech. Prawdopodobnie wiele dałoby się uratować przy prawidłowym unieruchomieniu i odpowiednim rozszerzeniu nadgarstków. Przyjaciółka nie udzieliła dostatecznych informacji na temat stopnia uszkodzenia nerwu pośrodkowego i łokciowego. Nie wiemy też, jak rozległym zniszczeniom uległa zewnętrzna strona dłoni ani tego, czy przykurcz spowodowało miejscowe niedokrwienie włókien, czy też przyczyna jest bardziej złożona?

– Uznała pewnie, że wyjaśnienia mogą poczekać do chwili jej przyjazdu. Co o tym sądzisz?

– Dlaczego sama się tym nie zajmiesz, Mickey? Zdumiona, zamrugła powiekami.

– Ja?

– Oczywiście. Przecież już nieraz przeprowadzałaś operacje rąk.

Mickey złożyła list i schowała go razem ze zdjęciem do torebki.

– Dlaczego nie chcesz spróbować? Jesteś znakomitym chirurgiem.

Mickey roześmiała się i z powrotem zawiesiła torebkę na ramieniu.

– To miło, Sam, że tak sądzisz, ale znam granice własnych możliwości.

Orkiestra przypominała właśnie gościom temat muzyczny z filmu „Ojciec chrzestny”.

– Zatańczysz?

– Czy mogę zawiadomić moją przyjaciółkę, że się nią zajmiesz?

– Pod warunkiem, że ze mną zatańczysz. Mickey wstała i pokręciła głową.

– Ciągłe ten sam, niepoprawny Sam. A więc mogę jej powiedzieć, że to zrobisz?

– Zgoda. Wiesz, że niczego nie mógłbym ci odmówić, Mickey. Kiedy ona przyjedzie?

– Pewnie natychmiast, gdy ją tylko zawiadomię. Mam ją odebrać z lotniska. Może przez

kilka pierwszych dni zatrzyma się u mnie w domu.

Sam również wstał z miejsca i drapieżnym wzrokiem śledził tańczący tłum, wypatrując wśród ludzkiej ciżby młodziutkich gwiazdek filmowych.

– Daj mi znać, to zarezerwuję dla niej miejsce.

– Dzięki, Sam – powiedziała cicho, dotykając jego ramienia. – Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

– Tak – odparł z drwiną. – Zawsze możesz przyjść z problemem do starego, poczciwego Sama. – I odszedł w kierunku dziewczyny w wyciętej na plecach sukni z cekinów.

Mickey odetchnęła z ulgą. Będzie mogła zaraz napisać do Sondry i przekazać jej pomyślnę wieści. Ruszyła w stronę Harrisona, ale po kilku krokach stanęła jak wryta.

Tuż obok Jonathan Archer prowadził ożywioną rozmowę z jakimiś ludźmi.

Mickey nie mogła oderwać od niego wzroku. Dzisiejszy dzień bez wątplenia upływał pod znakiem podróży w czasie: najpierw w związku z Sondrą, a teraz z Jonathanem.

Widziała jego profil. Wyglądał szczupło i zgrabnie w czarnym smokingu. Mówił z dużą pewnością siebie, a jego swobodna gestykulacja świadczyła o całkowitym opanowaniu i świadomości własnego geniuszu. Starszy prawie o czternaście lat Jonathan był roztropniejszy, spokojniejszy i bardziej dojrzały. Miał czterdzieści trzy lata, wiele międzynarodowych nagród, imperium kina u swoich stóp i wielkie nazwisko. „A także trzy byłe żony” – pomyślała Mickey, powoli zмирzając w jego stronę.

Jednym z rozmówców Jonathana był prawnik z Beverly Hills, z którym Harrison prowadził interesy. Zauważył Mickey i przerwał monolog Jonathana.

– Witamy, pani Butler! – zawołał.

Mickey przeszedł niespodziewany dreszcz, gdy Jonathan odwrócił się w jej stronę i uśmiechnął.

– Dobry wieczór, Mickey – powiedział.

Jego głos przywołał dawne marzenia i zapomniane obrazy z przeszłości. Niepokój Mickey wzrastał. „Pomimo że go zawiodłam, wita mnie serdecznie” – pomyślała.

– Dzień dobry, Jonathanie.

– Widziałem cię, gdy siedziałaś w towarzystwie Sama Penroda. Postanowiłem wam jednak nie przeszkadzać.

Co naprawdę mówiły jego błękitne jak morze oczy? Jaka wiadomość, której nie potrafiła odczytać, kryła się w jego wciąż chłopcim uśmiechu? Mickey rozluźniła się. Niczego tam nie było: ani niechęci, ani urazy, ani żalu. Miała przed sobą tego samego wyrozumiałego Jonathana z dawnych lat. Był teraz tylko trochę starszy i bardziej obyty w świecie, miał zdrowszą cerę i podobnie jak Aleksander Macedoński ubolewał nad brakiem nowych łądów do podbicia.

Rozmówcy Jonathana wychwytyjąc czytelne sygnały, przeprosili i odeszli, zostawiając ich samych. Orkiestra grała, a oni stali naprzeciwko siebie i uśmiechali się.

– Co u ciebie, Jonathanie? – zapytała Mickey, rozkoszując się łatwością, z jaką potrafiła z

nim rozmawiać.

– Nie mogę narzekać. Dopiąłem celu.

– Wiem. Czytuję „Time”.

– Och... – Skrzywił się. – To pewnie się też dowiedziałaś o wszystkich plugawych skandalach. Mickey roześmiała się.

– Trzy rozwody nie świadczą o twojej całkowitej niewinności.

– A co u ciebie? Kim jest pan Butler?

– Jestem żoną tamtego oto mężczyzny. – Mickey wskazała głową w kierunku Harrisona, który stał nie opodal i energicznym skinieniem głowy potwierdzał, że zgadza się z opinią Geralda Forda.

– Sądziłem, że jego żona ma na imię Betty.

– Myślisz o jego byłej żonie.

– Zapytaj go, czy nie zechciałby partycypować w moim nowym filmie. Podoba mi się ten człowiek.

– Mnie też.

– Osiągnęłaś cel, Mickey?

– Tak.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Stali tuż obok siebie w samym centrum zgiełku. Rozmawiali cicho, nie zwracając uwagi na otaczający ich tłum.

– Oczyszczasz świat ze szpetoty jak święty Patryk?

– Lubię myśleć o tym, że pomagam ludziom, Jonathanie. W niektórych wypadkach mój trud jest daremny, ale w niektórych dzięki chirurgii plastycznej rozwiązywane są poważne problemy psychologiczne. Sama wiem o tym najlepiej.

– Jesteś szczęśliwa?

– Tak, jestem, Jonathanie.

Uśmiechnął się jeszcze bardziej promiennie.

– Mam zamiar zostać przez kilka dni w Los Angeles. Czy mogę cię zaprosić w najbliższym czasie na obiad?

Poczuła wznoszące napięcie. Niepotrzebnie, nie miała się czego obawiać.

– Z największą przyjemnością, Jonathanie. Chętnie usłyszę, co robiłeś przez te wszystkie lata. Od czasu... – Ugryzła się w język.

– Od czasu zegarowej wieży? – Roześmiał się swobodnie. – Tak, wiele jest do opowiadania. Ale co ważniejsze, mam dla ciebie prezent, Mickey. Coś bardzo wyjątkowego, co chciałbym ci podarować na osobności.

Rozdział 33

Pochodziła z plemienia Suquamishów, była smakoszem darów morza, za swoją ulubioną porę roku uważała jesień i nigdy nie wyjechała nawet poza południową granicę stanu Waszyngton.

Arnie pomału i pieczołowicie zbierał strzępy informacji o życiu Angelinę – jak opadłe liście, które się przygniata w albumie. Na obraz całości składały się drobne, skwapliwie gromadzone fakty, takie jak gatunek papierosów, które pali, spostrzeżenie, że czasami zabiera ze sobą książkę Farley Mowat, czy wiadomość zasłyszana podczas jednej z niewinnych rozmów na promie, że jej siostra wybiera się do szkoły pielęgniarstwa.

Od tamtego wrześniowego dnia, gdy niewiele brakowało, a poszedłby do jej mieszkania, żeby kupić wyrób ceramiczny, Arnie zaczął się wycofywać jak zółw, któremu instynkt samozachowawczy podpowiada, kiedy nie wolno wychylać głowy. Był już tak bliski, żeby tam jednak pójść! Co się u licha z nim działo? „Tak zostało zapisane w gwiazdach, tatusiu” – powiedziałyby wszystkowiedząca i przemądrzała trzynastoletnia Rachel. „A może to tylko kryzys wieku średniego”. Rachel, podobnie jak i pozostałe dziewczęta, przejęła od Ruth sposób wystawiania się i wypowiadała się jak na swój wiek o wiele za mądrze i zbyt dorośle.

Arnie’emu i Angelinę wszedł w nawyk bezpieczny zwyczaj obojętnego pozdrawiania się z daleka. Czasami pospiesznie zamieniali ze sobą kilka zdań. Jednak w ciągu następnych pięciu miesięcy ich znajomość nie posunęła się ani o krok dalej. Arnie nie mógł się zdobyć na to, żeby zaprosić ją gdzieś na kawę albo żeby ponownie przyjść do galerii, nie mówiąc już o wmieszczeniu się w tłum Indian i o zajęciu miejsca obok niej na promie. Irytował go fakt, że każdego popołudnia jej volvo niezawodnie z cichym pomrukiem silnika opuszcza parking.

Łudził się jedynie, że nie nosi uczuć wypisanych na czole. Chciał sprawiać wrażenie człowieka opanowanego i obojętnego, gdyż ona z pewnością nie zwracała na niego większej uwagi poza zdawkowym „Dzień dobry, Arnie” albo „Ładny mamy dzień, nieprawdaż?” Co gorsza, gra się skończyła. A może tak było lepiej? Nie mógł się zdecydować, która wersja bardziej mu odpowiada. Od czasu gdy niespodziewanie wszedł do jej galerii, jąkał się na temat ceramiki i podwiózł ją do domu furgonetką zarzuconą zabawkami... mistyczny nastrój prysł. Angelinę zobaczyła go takim, jakim naprawdę był, i cała tajemniczość zniknęła.

Powinien być zadowolony. Nie było powodu, aby żałować, że do niczego pomiędzy nimi nie doszło. W każdym razie nie teraz, kiedy miał nowe kłopoty w domu.

Ociągał się, udając, że jest pochłonięty lekturą wieczornej prasy i nie widzi tłumu ludzi schodzących na pokład promu. Nie stosował tego fortelu codziennie – jego zamysł byłby zbyt oczywisty. Od czasu do czasu zostawiał nawet Angelinę w tyle i wysuwał się na czoło grupy zmęczonych i głodnych wyspiarzy, żeby przedostać się na prom jako jeden z pierwszych. Robił to z bólem serca, ponieważ Angelinę bez względu na porę dnia i pogodę była ostatnią pasażerką wchodzącą na statek. I teraz, zwlekając z zejściem na pokład, Arnie chciał stworzyć okazję do

zbliżenia z nią, i to w taki sposób, by się nie domyśliła, że robi to celowo.

Z nosem utkwionym w gazecie „Clarion” ukradkiem rozglądał się na boki. Zadanie nie było łatwe. Przez pięć miesięcy doskonalił tę umiejętność. Kiedyś nawet o mało nie przegapił promu, a innym razem poklepał po ramieniu zupełnie obcą kobietę. Odczuwał przenikliwy chłód. W ten arktyczny lutowy wieczór o fiołkowo-różowej, purpurowej i śliwkowej barwie Arnie zmarzył od wewnątrz. Chętnie by zajął miejsce w stosunkowo ciepłej kabinie i ogrzał się od ciał pięćdziesięciu współpasażerów, ale nie mógł tego zrobić. Angelinę przez dwa ubiegłe dni nie pokazywała się na promie. Arnie tak bardzo się tym przejął, że zupełnie nie był zdolny do pracy w biurze. Ale dzisiaj rano Angelinę przysła. Arnie zapomniał się tak dalece, że zaczął energicznie machać jej na powitanie. Ona przeszła go wzrokiem na wskroś. I teraz musiał się upewnić, czy nawiązana pomiędzy nimi wątła nić zażyłości wciąż jeszcze istnieje, czy też rozwiła się w nicość.

– Dobry wieczór, Arnie. Nie wchodzisz na pokład? Podniósł głowę znad gazety.

– Słucham? – zapytał. Na moment zaparło mu dech. A gdy zobaczył jej oczy i dołki w policzkach, poczuł, jak po zmarzniętych kościach rozlewa się ciepło. – Wielki Boże! – zawołał, wkładając złożoną gazetę pod pachę. – Nie zauważyłem, że prom już odchodzi!

Gdy na statku rozległ się sygnał, Arnie zdał sobie sprawę, że oboje z Angeliną weszli na jego pokład jako ostatni. Niewiele brakowało, a zostaliby na nabrzeżu. A wtedy by nie było innego wyjścia, jak wrócić do poczekalni na kawę i poczekać na następny prom, który odchodził za czterdzieści minut. Należało się nad tym pomysłem zastanowić i pewnego chłodnego wieczoru wcielić go w życie.

Angelinę tak jak zwykle weszła do kabiny dla palących, a Arnie usiadł w pustym rzędzie i zaczął ganić się w myślach, dając upust swojemu ponuremu nastrojowi: „Masz czterdzieści osiem lat, żonę i pięcioro dzieci. Panuj nad sobą i zacznij się zachowywać jak dorosły człowiek!”

Obiecał sobie, że naprawdę przeczyta gazetę i nie będzie myślał o Angelinę. Otworzył „Clarion” na tej samej stronie, co przed chwilą, gdy gazeta służyła mu za wybieg. Jak na ironię losu trafił na rubrykę Ruth. Ten dział korespondencji z czytelnikami stał się ostatnio tak popularny, że zaczął ukazywać się codziennie, a nie jak dotychczas tylko raz w tygodniu, i zajmował już pół kolumny.

Arnica nie zawsze zaglądał do tej rubryki. Była adresowana przede wszystkim do kobiet. Ale ilekroć się zdarzało, że przeczytał porady Ruth, nie opuszczało go dziwne przekonanie, że w ostatnim czasie jest to jedyny sposób kontaktowania się z własną żoną.

Droga doktor Ruth!

*W jaki sposób przeprowadzane są testy ciążowe i w jakim stopniu można na nich polegać?
Mieszkanka Tumwater.*

Droga mieszkanko Tumwater! W moczu ciężarnej kobiety występuje ludzka gonadotropina kosmówkowa. Gdy kilka kropli takiego moczu wpuści się do próbki z przeciwciałami na

gonadotropinę, zajdzie reakcja, w wyniku której na dzień próbki powstanie brązowy osad. Test jest w dziewięćdziesięciu siedmiu procentach pewny. Ale uwaga: może się też zdarzyć, że da negatywną odpowiedź w przypadku, gdy kobieta jest w ciąży. Dlatego zaleca się, żeby stosować go nie wcześniej jak w dziewiątym dniu od chwili zatrzymania się miesiączki, ponieważ dopiero wtedy w moczu kobiety pojawia się gonadotropina kosmówkowa. We wcześniejszym okresie istnieje dwudziestopięcioprocentowe ryzyko wystąpienia błędu. Poziom gonadotropiny podnosi się wraz z rozwojem ciąży. Dlatego im później przeprowadza się ten test, tym pewniejsze są jego wyniki. Jednak we wszystkich przypadkach, gdy istnieje prawdopodobieństwo ciąży, kobieta powinna udać się do lekarza. Omawiany test nie może zastąpić właściwej opieki medycznej.

Arnie oceniał wiek Angelinę na dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat. Dlaczego do tej pory nie wyszła za mąż i nie urodziła dzieci? Czyż do tradycji plemiennych nie należy wczesne zamążpójście i zakładanie dużych rodzin?

Droga doktor Ruth!

Od sześciu miesięcy uprawiam jogging i od tego czasu zaczęłam krwawić pomiędzy miesiączkami mniej więcej w okresie owulacji. Czy to może mieć ze sobą jakiś związek? A jeśli tak, to czy uprawiając sport, narażam się na wewnętrzne zaburzenia? Mieszkanka Bremerton.

Droga mieszkanko Bremerton! W związku ze wzrostem liczebności kobiet zajmujących się sportem powstały nowe problemy, których dotychczas w zasadzie nie rozpatrywano. „Ginekologia a sport” jest zupełnie nową dziedziną badań i niektóre zjawiska...

Myśli Arniego znowu poszybowały w innym kierunku. Co Angelinę robi w wolne weekendy? Nie była typem sportsmenki. Nie mógł wyobrazić jej sobie, jak uprawia aerobic albo oddaje się innym wyciskającym pot wysiłkom. Czy ślęczy dzień i noc nad swoim garncarskim kołem? A może ma chłopaka, który w soboty i w niedziele pomaga jej wypełnić czas?

Upuścił gazetę na kolana. To się na nic nie zda. Bez względu na to, co robił, nie mógł przestać o niej myśleć.

Utkwił wzrok w zdjęciu Ruth na górze kolumny. „Droga doktor Ruth! Czy pani wie, że pani mąż ma obsesję na punkcie pewnej młodej Indianki? Mieszkaniec Wyspy Bainbridge?”

W jakim miejscu się obecnie znajdowali? Czy wciąż byli mężem i żoną? Trudno powiedzieć. Nadal spali obok siebie na tym samym dużym łóżku, ich szczoteczki do zębów wisały w łazience jedna przy drugiej, mieli wspólne dzieci podobne do nich obojga i wypełniali jeden formularz podatkowy. Ale poza tym...

Kiedy przestali się ze sobą kochać? Całkowicie, nawet bez przypadkowych, niedbałych i sporadycznych zbliżeń, jakie zdarzały się w okresie kilku ostatnich lat. Kiedy nastąpił definitywny koniec ich pożycia seksualnego? „Od chwili gdy stoczyliśmy ze sobą wielką batalię dwa lata temu. Kiedy postawiłem na swoim i oświadczyłem, że w żadnym wypadku nie zgadzam

się na kolejne dziecko”. Czy tylko tym był seks dla Ruth? Środkiem, który nagle stał się bezużyteczny? Czyżby zaspokojenie dawał jej nie tyle sam akt, ile powstający w jego trakcie produkt?

Podniósł głowę i spojrzał na czarną zatokę ze sznurem odległych miejskich świateł. „Dzisiaj wieczorem może padać śnieg, jest dosyć zimno”.

Arnie i Ruth żyli w dwóch odrębnych światach. On harował przez pięć dni tygodnia, a ona ratowała ludzkie życie, odbierała porody i udzielała porad w rubryce, która stała się niemal medyczną biblią Półwyspu Olympic. Podczas weekendów Ruth była zajęta pisaniem artykułów, spieszyła się do szpitala albo musiała udzielić nagłej pomocy jednej ze swoich prywatnych pacjentek. Arnie w tym czasie piłował kłocę drzewa, wyprowadzał dziewczęta na spacer i myślał o Angelinę.

Jego przyziemne i uporządkowane życie było niemal wygodne. Łatwość, z jaką dało się przewidzieć przebieg każdego dnia, miała przyjemne właściwości odurzające. Dlatego Arnie zaniechał walki. Nie zależało mu na zmianie dotychczasowej egzystencji. Myśl o rozwodzie przemknęła mu przez głowę niczym pospiesznie odlatujący na południe ptak. Jak mógłby zostawić dziewczynki? I dokąd miałyby pójść? A poza tym wciąż na swój sposób kochał Ruth. Życie w świecie fikcji dodawało mu sił. Jego egzystencja była niemal przyjemna w swojej nudzie. Tylko że ostatnio w tę wygodną szarzyznę wdarł się niebezpieczny nieład, który bardzo Arnie’ego zaniepokoił.

Ruth się zmieniała.

Odwrócił lekko głowę i niby obserwując ślad statku na wodzie, przeszukał wzrokiem kabinę. Ale nie znalazł Angelinę.

Co, na Boga, działo się z Ruth? Zmiana w niej nie nastąpiła nagle, to był proces powolny i stopniowy. Co spowodowało te gwałtowne gesty, podkrążone oczy, pełne popielniczki z wypalonymi do połowy papierosami i na koniec jej zaskakujące oświadczenie, że zamierza korzystać z porad psychoterapeutki?

Dzisiaj wieczorem wypadła właśnie jej trzygodzinna sesja z doktor Margaret Cummings, podczas której zapewne chodziła boso w tę i z powrotem po dywanie, paliła jak smok i wylewała z siebie wszystkie żale. Według oceny Arnie’ego problemy Ruth zaczęły się tuż po śmierci jej ojca.

Nie wiadomo dlaczego również wiadomość od Mickey poruszyła ją tak bardzo. Od czasu wizyty przyjaciółki przed pięcioma laty ich kontakt ograniczał się do życzeń z okazji Bożego Narodzenia. Aż tu nagle nadszedł długi list od Mickey i... rozzłościł Ruth! Tkwiła w tym zagadka nie do rozwiązania. Arnie przeczytał ten list. Mickey pytała w nim tylko, czy Ruth nie znalazłaby kilku wolnych dni, żeby przyjechać do Los Angeles i pomóc jej wesprzeć na duchu Sondrę. Prośba z niezrozumiałych powodów wywołała u Ruth atak wściekłości. „Czy ona myśli, że nie wiem, co robić z wolnym czasem? Niech ją sama podtrzymuje na duchu! A gdzie były obie, gdy ja potrzebowałam ich wsparcia?” – wykrzykiwała. Arnie nie miał najmniejszego pojęcia, o czym

Ruth mówi ani dlaczego jest taka zła. Ale jak zwykle postanowił o nic nie pytać i milczał.

„Droga doktor Ruth! Dlaczego już nie rozmawia pani ze swoim mężem? Mieszkaniec Wyspy Bainbridge”.

Arnie?

Podskoczył, wyrwany z zadumy. Obok stała Angelinę i uśmiechała się do niego.

– Bardzo mi głupio, że zawracam ci głowę, ale jesteś jedyną osobą, którą znam na promie. Czy mógłbyś mi wyświadczyć przysługę?

„O co chodzi? Mam zdjąć ci gwiazdkę z nieba, żebyś mogła ją nosić w swoim diademie? Nie ma sprawy. Uporam się z tym migiem”.

– Oczywiście. W czym mogę ci pomóc?

– Znowu popsuł mi się samochód. Brat zaholował go do garażu, ale nie zdążył go jeszcze naprawić. Czy ponowne podrzucenie mnie do domu nie sprawiłoby ci wielkiego kłopotu?

To było zupełnie nieprawdopodobne. Nie dalej jak dzisiaj widział w wyobraźni Angelinę na przednim siedzeniu swojej furgonetki, jak flirtuje z jowialnym Arnie’em. I oto była tu naprawdę i mówiła to samo, co w jego marzeniach. Tylko że Arnie miał język zawiązany w supeł i nie potrafił błysnąć humorem. Skupił się na prowadzeniu samochodu, podczas gdy ona dorzucała kolejne strzępy informacji, wzbogacając zbiór skrzętnie gromadzonych przez niego faktów.

– Brat namawia mnie na kupno nowego auta, ale mnie na to nie stać. Sprzedaż w galerii nie przynosi wielkich dochodów.

Zmuszona jestem rekompensować sobie braki zysków w weekendy. Zabieram gliniane naczynia na targ Pikę Street i sprzedaję je turystom.

Arnie z trudem panował nad sobą. Szkoda, że wcześniej o tym nie wiedział! Ileż to razy dziewczęta błagały go, żeby zabrał je w niedzielę na targ!

– Muszę cię kiedyś odszukać. Nadal zamierzam kupić jeden z twoich wyrobów.

Angelinę miała na sobie pikowaną kurtkę w jasno-wrzosowym kolorze, która ładnie kontrastowała z jej prostymi, czarnymi włosami. Drobne ręce ukryła w grubych rękawicach, a stroju dopełniały niebieskie dzinsy i sportowe buty. Wyglądała jak nastolatka w wieku zbliżonym do Rachel.

Przez chwilę jechali w milczeniu, rozkoszując się panującym w samochodzie ciepłem. W końcu Angelinę spojrzała na Arnie’ego.

– Wiesz, bardzo mi przypominasz aktora Bena Kingsleya. Arnie zarumienił się i roześmiał.

– Założę się, że wszyscy ci to mówią.

– Nie. – Oderwał wzrok od drogi i spojrzał na nią wymownie. A po chwili znowu uważnie wpatrywał się w przednią szybę. – Ty jesteś pierwsza, Angelinę – powiedział miękko.

Kompleks bloków mieszkalnych wyłonił się o wiele za szybko i Arnie przeklął w myślach zbyt prędko upływający czas oraz zbyt krótkie odległości. Tak jak poprzednio Angelinę nie spieszyła się z wyjściem. Ociągała się, jak gdyby próbowała stworzyć im obojgu dogodną sytuację. Niezależnie od jej zabiegów Arnie zdecydował się na najbardziej szalony i ryzykowny

w swoim życiu krok.

– Tym razem nie będę zwracał uwagi na twoje protesty – powiedział cicho. – Jest ciemno, a ja czuję się za ciebie odpowiedzialny. Odprowadzę cię do drzwi.

– Zgoda – przystała bez sprzeciwów.

Przy wysiadaniu musieli uważać na rower o trzech kółkach. Przeszli przez podwórze, które kiedyś było porośnięte trawą, a teraz znajdował się tam tylko zamarznięty pył, i dotarli do schodów ozdobionych napisami z farby w rozpylaczu. Dobiały ich odgłosy rodzinnej sprzeczki i telewizyjnego odbiornika. Wkrótce stanęli przed drzwiami do mieszkania Angelinę. Arnie znów przeklął zawrotną prędkość, z jaką mijały cenne minuty.

– Może chciałbyś obejrzeć moją ceramikę? Obiecuję, że nie będę zbyt natarczywie nakłaniać cię do jej kupna – zaproponowała Angelinę, wkładając klucz do zamka, w chwili gdy już miał zamiar się pożegnać.

I oto nagle przekroczył próg jej domu, w którym podczas ubiegłych pięciu miesięcy spędzał w marzeniach połowę swojego życia. W pewnym sensie mieszkanie wyglądało dokładnie tak, jak je sobie wyobrażał, ale z drugiej strony, było całkiem inne.

Na jednej ze ścian wisiał plakat ze smutnookim wodzem Josephem, a na innej oprawione w ramy malowane ręcznie płótno ze znajomym motywem „Ptaka-Pioruna wykradającego słońce”. Spozrzegł też kilka glinianych naczyń oraz zawieszoną nad drzwiami i ozdobioną piórami fajkę pokoju, która sprawiała wrażenie bardzo starej. Ale nic więcej w domu Angelinę nie świadczyło o jej indiańskim pochodzeniu. Z wyjątkiem dużej statuetki Matki Boskiej na telewizorze i zawieszzonego w kuchni obrazu Jezusa Najświętszego Serca mogło to być mieszkanie jakiegokolwiek młodej kobiety, która nie dysponując dużymi funduszami, potrafiła je dobrze urządzić dzięki dużemu wyczuciu koloru i światła.

Angelinę zamknęła wejściowe drzwi, pozapalała wszystkie lampy i zaprowadziła Arnie’ego do wydzielonej w kuchni części jadalnej. Po drodze zrzuciła z siebie kurtkę. Pod spodem miała gruby, zrobiony na drutach sweter i mały, złoty krzyżyk, który wisiał na piersi na delikatnym łańcuszku.

– Tutaj jest mój warsztat pracy – oświadczyła. Tak jak go uprzedzała, wszędzie panował bałagan: porozkładane na podłodze gazety, nie rozpakowane torby z namoczoną gliną, nie wypalone naczynia, wystająca ze skrzynek słoma, koło garncarskie i porozrzucane na stole rzeźbiarskie dłuta.

Angelinę podniosła małą, okrągłą misę z wrytym na niej wzorem geometrycznym i delikatnie umieściła ją w zimnych dłoniach Arnie’ego.

– Tego typu wyroby sprzedają na targu Pike Street.

Bez końca obracał naczynie w rękach, dotykając miejsc, których i ona dotykała, jak gdyby chciał odzyskać jej energię tkwiącą w przedmiocie, który stworzyła i z którym tak blisko była związana. „Kupię tę misę, Angelinę” – pomyślał. „Kupię po jednej dla każdej z moich dziewczynek, jedną na każdą rocznicę ślubu z Ruth i po jednej dla każdego członka rodziny

Shapiro, który mieszka w stanie Waszyngton. Kupię całą partię twoich wyrobów, Angelinę”.

– Napijesz się kawy?

Podniósł głowę. Patrzyła na niego onieśmielona, a w jej głosie brzmiała niepewność.

– Poproszę – usłyszał własną odpowiedź. – Z największą przyjemnością.

W tym momencie umysł Arnie’ego zaczął gorączkowo pracować. „Która może być teraz godzina? Gdzie o tej porze są dziewczęta? I co robi Ruth? W porządku. Wybiera się dzisiaj na sesję do swojej psychoterapeutki, doktor Cummings, a więc do dzieci przyjdzie pani Colodny, tak jak zwykle gdy Ruth nie wraca prosto z gabinetu do domu. Pani Colodny zaopiekuje się dziewczętami i je nakarmi. Na wszelki wypadek warto o tym wiedzieć. Na wszelki wypadek... „

Kuchnia była bardzo mała. Arnie zdjął płaszcz oraz szalik i niezdarnie przystanął na końcu linoleum. Gdy Angelinę wyciągnęła ekspres do kawy i wyjęła z lodówki puszkę z kawą „Hills Brothers”, Arnie boleśnie uświadomił sobie nieuchronną bliskość tej kobiety, zaledwie kilkunastocentymetrową odległość – wąską przestrzeń, w której będą mieszać się ich oddechy.

Usiłował zebrać myśli i coś powiedzieć, ale jego uwagę całkowicie przykuły ruchy jej szczupłych dłoni – delikatnych rąk artystki – gdy wybierała miarką kawę, co jakiś czas przerywając czynność i odrzucając z ramion czarne włosy. Miał nieprzepatą ochotę, żeby ją w tym wyręczyć i zanurzyć palce w jedwabistych puklach...

– Ojej! – zawołała z uroczym grymasem na twarzy. – Zabrakło mi kawy. – Potrząsnęła puszką, usiłując wysypać ostatnie ziarna.

Arnie poczuł skurcz w żołądku. „Nie ma kawy, a więc nie ma powodu, żeby zwlekać z wyjściem. Zaraz włożę płaszcz i ruszę do drzwi...”

Angelinę sięgnęła za lodówkę po mały, składany taboret.

– Jestem pewna, że musi gdzieś być jeszcze jedna puszka... – stwierdziła, rozkładając stołek i ustawiając go przed kredensem.

– Pozwól, że ja to zrobię...

Ale ona już wdrapała się na górę.

Arnie napawał oczy widokiem jej szczupłego ciała, gdy sięgała na górną półkę, przytrzymując się kredensu tylko jedną ręką.

– Ostrożnie... – powiedział, robiąc krok w jej stronę.

– Zawsze na tym staję – odparła ze śmiechem. – Mocno się trzymam. – I w tym momencie stołek wyslizgnął się jej spod nóg. Gdy spadała, Arnie odruchowo wyciągnął ręce. Znalazła się w jego ramionach. Śmiejąc się, próbowała odzyskać równowagę.

Nagle zamarła w bezruchu. Stali w maleńkiej kuchni: Arnie wciąż obejmował ją ramionami, a ona wtulała głowę w jego pierś. Gdzieś tykał niewidoczny zegar, głośno pracował agregat lodówki, a sąsiad z piętra zatrzasnął drzwi i ciężko stapał po schodach.

Arnie przytulił policzek do głowy Angelinę i zaciągnął się słodkim zapachem jedwabistych włosów. Poczul jej ręce na swojej szyi. A po chwili się całowali. Wszystko stało się tak nagle, że Arnie nie miał czasu, żeby się zastanowić, czy to dzieje się naprawdę, czy też w jego wyobraźni.

Pocałunek był gwałtowny od samego początku, jak gdyby cała zgromadzona w nich miłość, pragnienie i tęsknota znalazły upust, niczym szampan po wyciągnięciu korka. Arnie nagle zdał sobie sprawę z upływającego czasu – było go tak niewiele! Myślał o tych wszystkich rzeczach, które chciał jej powiedzieć, ale mógł nie zdążyć!

W chwilach gdy ich usta odrywały się od siebie, wyrzucali w potokach słów długo powstrzymywane myśli i uczucia. Ich ciała odkrywały wzajemne kontury oraz wygodne i podniecające miejsca.

– Marzyłam o tym, Arnie...

– Och, Angelinę, nie sądziłem, że ty...

– Zawsze się obawiałam, że się ośmieszam przed tobą, Arnie...

– Nie mogę w to uwierzyć...

Była taka mała i lekka, że wziął ją na rękę jak lalkę. Trzymała go mocno za szyję i całowali się, gdy niósł ją w stronę tapczanu stojącego po drugiej stronie salonu.

I w końcu Arnie Roth na dobre stracił poczucie upływającego czasu.

Rozdział 34

Lekarze nie płaczą. Po to hartowano ich w twardej szkole życia, jaką była akademia Castillo, żeby w obliczu tragedii wykazali opanowanie i nie załamywali się jak zwykli ludzie. Jednakże w ten dżdżysty kwietniowy wieczór, gdy antyczny zegar na kominku wystukiwał godziny kończącego się dnia, Mickey stwierdziła, że jest bliska depresji.

Sondra zdając sobie sprawę z wrażenia, jakie wywiera na przyjaciółce, ograniczyła do minimum swoje ruchy. Nie chciała zwracać uwagi na ogromne szczypcy na końcu obu rąk, przywodzące na myśl kleszcze homara. Zawsze nosiła bandaż, pomimo że rany już dawno całkowicie się zagoiły. „Ludzie akceptują widok zabandażowanych rąk, choćby opatrunki były bardzo duże, ale zdeformowane ciało wzbudza w nich odrazę” – wyjaśniła przyjaciółce jeszcze na lotnisku.

Wszyscy pracownicy British Airways starali się przyjść jej z pomocą, a podczas odprawy paszportowo-celnej na dworcu lotniczym w Los Angeles okazano jej szczególne względy. Harrison i Mickey odebrali jej jedyną walizkę, a potem sprawnie przeprowadzili do wyjścia i do czekającej limuzyny. Harrison zachowywał się w stosunku do niej z wyszukaną grzecnością. Uścisnął ją serdecznie na powitanie i okazywał szacunek należny co najmniej koronowanej głowie. A teraz taktownie odszedł do swojego gabinetu, zostawiając je obie w salonie.

Dom był urządony według gustu Mickey – na wpuł drewniana elżbietańska posiadłość w Beverly Hills, piękna i przestronna, wypełniona antykami oraz rękodzielami pochodzącymi ze Wschodu oraz z Polinezji, które Butlerowie przywieźli ze sobą z Pukula Hau. Zamiast używać delikatnych filiżanek z porcelany, Mickey i Sondra piły herbatę w dużych kubkach, gdyż zdolność Sondry posługiwania się zabandażowanymi i niezdarnymi dłońmi ograniczała się do manewru szczypiec.

– Potrafię jeść samodzielnie, ale nie lubię, gdy ktoś na to patrzy. Robię na stole potworny nieporządek – wyjaśniła, wciskając kubek pomiędzy dwie bezkształtne, owinięte bandażem dłonie i podnosząc go do ust. – Ale ubieranie się i mycie zabiera mi strasznie dużo czasu. Jestem bezradna jak dziecko. Właśnie dlatego zdecydowałam się na operację – żeby być dla ludzi mniejszym ciężarem. – Odstawiła naczynie na stół. – Szczerze mówiąc, powinnam się cieszyć, że mam choć ograniczone możliwości posługiwania się dłońmi. W Nairobi chcieli mi je amputować, ale się nie zgodziłam.

Mickey z trudem dławiała łzy. Tragedia Sondry, która równocześnie straciła męża, nie narodzone dziecko i ręce, była zbyt wielka, żeby można ją było przyjąć ze spokojem.

– Robię to dla Roddy’ego. Wrzaskiem zareagował po raz pierwszy na widok moich dłoni. Wystraszył się i nie pozwolił, żebym go dotknęła. Myślę, że czuje się odpowiedzialny za to nieszczęście. Tuż przed katastrofą z dziecinniej głupoty przysporzył nam kłopotu. Przez niego został pogryziony przez szczura mały chłopiec i Derry musiał niezwłocznie lecieć do Nairobi po surowicę. Roddy zdaje sobie sprawę, że pośrednio z jego powodu doszło do tragedii.

Mickey zwróciła głowę w stronę ciężkich kotar, które zasłaniały szyby w oknach. Wydawało się jej, że przez trzask ognia w kominku dobiega ją z ogrodu odgłos pierwszych kropli kwietniowego deszczu.

– Na początku chciałam umrzeć – powiedziała cicho Sondra. – Nie odzywałam się do nikogo przez kilka tygodni. Niewiele pamiętam z tamtego okresu. Samolot stanął w ogniu, a ja do niego podbiegłam. Sądziłam, że zdołam wyciągnąć Derry’ego. Siła eksplozji odrzuciła mnie do tyłu. To prawdziwy cud, że nie spaliłam sobie również twarzy. Wszyscy są tego zdania. Moje dłonie przypominały dwa kotlety zbyt długo trzymane na rożnie. Były czarne, a skóra odpadała płatami, odsłaniając różowe ciało pod spodem...

Przez cały czas gdy mówiła z miękkim angielskim akcentem nabytym w misji, wzrok miała utkwiony w żółtym dywanie.

– Największym problemem było zakażenie. W Nairobi odwalili kawał dobrej roboty. Nie pozwolili mi umrzeć, chociaż ich o to błagałam. A potem, kiedy zaczęłam przychodzić do siebie, pomyślałam o moim małym chłopcu oraz o tym, że ze względu na Derry’ego muszę żyć dla naszego syna. Przestało mi zależeć na śmierci, w chwili gdy przeszczep się nie przyjął i chcieli mi amputować dłonie.

Sondra pochyliła się do przodu, sięgając po kubek, ale się rozmyśliła i z powrotem usiadła wyprostowana. Mickey z trudem powstrzymała odruch, żeby nie podnieść kubka i nie podsunąć go Sondrze do ust. W tej tragicznej i niezręcznej sytuacji gorączkowo szukała w myślach odpowiednich słów. Przecież Sondra była jej przyjaciółką z najdawniejszych czasów, pierwszą osobą, która zaakceptowała ją bez zastrzeżeń. To ona już w dniu inauguracji w Tesoro Hall oferowała Mickey własne ubrania. A jednak, w pewien przekorny sposób, Sondra stała się dla niej zupełnie obcą osobą i ją onieśmiała. Mickey nie przychodziło do głowy nic, co by mogła powiedzieć przyjaciółce.

– Sam Penrod jest jednym z najlepszych lekarzy w kraju – wydusiła z siebie w końcu.

Sondra spojrzała na nią.

– Ale ty również tam będziesz, prawda?

– Oczywiście. Będę cię codziennie odwiedzać.

– Mam na myśli twoją obecność podczas operacji.

– Najpierw zobaczmy, co o tym powie Sam. Sondra skinęła głową.

– Jest naprawdę dobry – pośpiesznie dodała Mickey. – Widziałam rezultaty niektórych jego zabiegów.

Sondra ponownie skinęła głową.

Mickey spojrzała na nieruchome bursztynowe oczy. Przeszedł ją dreszcz niepokoju. W jakim stopniu Sondra panowała nad sobą? Na pozór wydawała się spokojna i pogodzona z rzeczywistością. Ale od tragedii upłynęło zaledwie dziewięć miesięcy; to zbyt krótki okres, żeby nauczyć się żyć z własnym nieszczęściem. A jeśli jej postawa stanowiła tylko cienką powłokę, a psychicznie była słaba i znajdowała się na granicy całkowitego załamania? Czego oczekiwała od

Sama Penroda? Na jaki liczyła cud? A co będzie, jeśli mu się nie uda?!

Po raz pierwszy Mickey zmusiła się, żeby bezpośrednio spojrzeć na ręce Sondry. Leżały na kolanach przyjaciółki jak pakunki z nieszczęściem. Owinięte od łokci w dół coraz grubszymi warstwami gazy przypominały dwie duże nie zapalone pochodnie. Mickey poczuła wzrastający niepokój. Co znajdowało się pod bandażami? Jaki koszmarny widok ukrywała przed nią Sondra?

– Co zamierzasz robić potem? – zapytała nagle Mickey.

– Wrócisz na misję? – Tak – padła zdecydowana odpowiedź. – Tam jest moje miejsce. I Roddy. Oraz to, co stworzył Derry. Dlatego nie zawiadomiłam o niczym moich rodziców. Pewnie by nalegali, żebym do nich wróciła, do Phoenix. Ale ja bym nie zniosła, gdyby ktoś traktował mnie jak inwalidę. Chcę kontynuować pracę, Mickey. – Pochyliła się do przodu i powiedziała dobitnie: – Pragnę wrócić do praktyki medycznej.

Dudnienie wiosennego deszczu za oknem stawało się coraz bardziej uporczywe. W kominku pękło z trzaskiem rozżarzone polano, strzelając iskrami w głąb komina.

Sondra przesunęła się na brzeg krzesła i spojrzała rozpalonym wzrokiem.

– Derry był całym moim życiem, Mickey – wyznała żarliwie.

– Tylko na nim mi zależało i tylko dla niego żyłam. W nim znalazłam kres własnych poszukiwań. Dzięki niemu czułam się tak, jak gdybym odzyskała swój dom. Na mój ból nie ma antidotum. Opłakuję Derry'ego każdą cząstką ciała. Przyznaję, że były takie ponure i straszne dni, kiedy chciałam porzucić ten świat i połączyć się z moim mężem. Ale teraz już wiem, co mam dalej robić. Muszę kontynuować jego pracę i wytrwać w tym, co on zaczął. Muszę żyć ze względu na Derry'ego, a także dla naszego syna.

Umilkła na moment, a potem pochyliła się do przodu, wyciągnęła zabandażowaną rękę i położyła ją na kolanach przyjaciółki.

– Chcę, żebyś sama wykonała zabieg i przywróciła sprawność moim rękóm.

– Nie potrafię – szepnęła Mickey.

– Dlaczego nie? Pamiętam, że na Hawajach wykonywałaś sporo operacji rąk.

– Ale od tamtej pory prawie zupełnie się tym nie zajmowałam. – Zdjęła z kolan rękę Sondry i podniosła się. Podeszła do kominka, na którym stał w cynowej oprawie portret Jasona Butlera. Wzięła pogrzebacz i poruszyła płonące polano, a potem odstawiła go na miejsce i odwróciła się twarzą do przyjaciółki. – Uplęło wiele czasu. Od dawna nie przeprowadzałam tak skomplikowanych operacji, jak rekonstrukcja rąk. Odeszłam od tego. Wykonuję wiele zabiegów twarzy i biustu. Niestety, wbrew temu, co sobie obiecywałam, moja praktyka ogranicza się teraz wyłącznie do kosmetyki.

Sondra obrzuciła przyjaciółkę długim, pełnym namysłu spojrzeniem.

– Tak, rozumiem. Wszyscy zmieniamy się, prawda? – Westchnęła. – No cóż. Zgoda. Niech się tym zajmie Sam Penrod. A teraz rzucisz na nie okiem? – Sondra uniosła w górę zabandażowane ręce.

Mickey podeszła do stolika z wiśniowego drzewa, który stał w kącie po drugiej stronie

salonu. Wyjęła z małej szuflady parę zaokrąglonych na końcach nożyczek, wróciła, przysunęła sobie mały taboret i spokojnie wzięła w dłonie jedną z kończyn Sondry. Nożyczki drżały jej w ręce, gdy przecinała gazę. Nie chciała na to patrzeć. Nie miała najmniejszej ochoty tego oglądać, chociaż była lekarką, która spędziła ostatnie trzynaście lat, zajmując się komplikacjami krnąbrnego ludzkiego ciała i znała groteskowe kształty, jakie potrafiło przybierać. Jako chirurg plastyczny widywała różne stadia okaleczeń, ale zdawała sobie sprawę, że nic, z czym spotkała się w przeszłości, nawet w przybliżeniu nie da się porównać do rąk Sondry.

– Wiesz, gdzie znajduje się knajpka „Barnacle”? – zapytał Jonathan przez telefon.

Tak, Mickey znała to miejsce. Od czasu gdy Venice zostało odnowione i zmodernizowane, a pijalnie wina i domy towarowe zastąpione eleganckimi prywatnymi zabudowaniami, wpływowa klasa „odkryła” ten odcinek plaży i promenadę pomiędzy Santa Monica a Marina Del Rey. Powstał tu teren wypoczynkowy z wydzielonymi ścieżkami dla rowerów i dla amatorów jazdy na wrotkach, z punktami sprzedaży precli oraz z eleganckimi, małymi restauracjami, gdzie serwowano po horrendalnych cenach wystygłe dania. „Barnacle” było usytuowane w pobliżu przystani.

Upłynęły cztery miesiące, zanim zdołali się umówić – nie z powodu niechęci którejs z stron, ale ze zwykłej niemożności dopasowania planów. Kiedy Jonathan miał czas, Mickey była zajęta, i na odwrót. Przypominało to dawne czasy, gdy zsynchronizowanie rozkładu dnia stanowiło poważną przeszkodę w ich wzajemnych stosunkach. I podczas ostatniej telefonicznej rozmowy oboje śmiali się z tego powodu.

Mickey miała nadzieję, że dzisiaj będzie im równie wesoło, a wspólny obiad stworzy jedynie okazję do miłej pogawędki dwojga starych przyjaciół. Łudziła się, że odrabiając wieloletnie zaległości, będą wyciągać z pamięci tylko same dobre wspomnienia.

Jonathan przyszedł pierwszy. Siedział przy jednym z okrągłych stolików w ogródku przed restauracją. Ilekroć Mickey przyjeżdżała tu z Harrisonem, zwykle musieli czekać na ławce, niejednokrotnie nawet godzinę, zanim zostało wywołane ich nazwisko. Zabijali wtedy czas, obserwując ludzi. Restauracja „Barnacle” zawsze była zatłoczona w weekendy, głównie przez stałych bywalców, którzy zajeżdżali pod nią samochodami marki Porsche i Ferrari. Teraz sprawiała wrażenie zupełnie wyludnionej, podobnie jak plaża i promenada, a Jonathan był jej jedynym gościem.

– Cześć. Spóźniłam się? – zapytała, podchodząc do balustrady z kutego żelaza.

Poderwał się z miejsca.

– Nie, to ja przyszedłem przed czasem.

Wyglądał dzisiaj młodziej niż na przyjęciu podczas świąt Bożego Narodzenia. Miał na sobie dżinsy i niebieską batystową koszulę – ubiór, który wywołał u Mickey wspomnienia sprzed czternastu laty ze szpitala St. Catherine’s, gdy Jonathan zwykł targać ze sobą przewieszoną przez ramię kamerę.

– Mickey – powiedział miękko, sięgając po jej rękę.

Gdy usiadła przy stoliku, zauważyła małą paczkę leżącą na obrusie w kratę. Była pięknie zapakowana w złotą folię i ozdobiona srebrną kokardą. Jonathan uprzedzał Mickey, że ma dla niej prezent, ale jakoś nie przyszło jej do głowy, że mówił o przedmiocie materialnym. Po namyśle doszła do wniosku, że nie wie dokładnie, czego się właściwie spodziewała.

– Zamówiłem karafkę chablis – powiedział, zajmując miejsce naprzeciwko niej. – Mam nadzieję, że odpowiada ci mój wybór.

– Zakończyłam już pracę na dzisiaj, jeśli to chcesz wiedzieć. We wtorki tylko operuję i popołudniami nie przyjmuję pacjentów w gabinecie.

– A więc masz wolny czas – zauważył cicho, wpatrując się w jej twarz swoimi błękitnymi oczami.

Mickey z ulgą przyjęła pojawienie się kelnerki z winem, które dawało jej sposobność, żeby czymś zająć ręce.

– Czy już na stałe wróciłeś do Los Angeles?

– Nie. W przyszłym miesiącu znowu wyjeżdżam do Paryża, gdzie jest realizowany mój najnowszy film.

Trochę się odprężyła. Musiała przyznać, że nie bez obaw szła na obiad z Jonathanem – spała niespokojnie poprzedniej nocy, budzona złymi przeczuciami. Fakt, że się z nim umówiła, na pozór mógł się wydawać zupełnie normalny – starzy dobrzy znajomi, którzy spotykają się po latach. Ale gdzieś w głębi czuła dziwny niepokój. Ona i Jonathan byli kiedyś dla siebie czymś więcej niż tylko przyjaciółmi. A ponadto rozstali się w nie najlepszych okolicznościach. Po głowie kołatały jej tysiące pytań: „Czego on ode mnie chce? Dlaczego postanowił się spotkać teraz, po tylu latach? I co to za podarunek, o którym wspominał? Czyżbym się bała ponownie z nim zobaczyć? Lękam się Jonathana czy samej siebie?”

– W ciągu tych lat niejednokrotnie zastanawiałem się nad tym, czyby cię nie odwiedzić – wyznał, obracając powoli w palcach nóżkę kieliszka. – Byłem nawet kiedyś na Hawajach, gdy szukałem plenerów dla „Gwiazdnych łupieżców!” Przyszło mi wtedy do głowy, żeby pójść do szpitala Great Victoria i się z tobą przywitać. – Uśmiechnął się, a w kącikach jego błękitnych oczu pojawiły się delikatne zmarszczki. – Doszedłem jednak do wniosku, że to by nie był najlepszy pomysł.

Mickey zwróciła twarz w stronę morza. Jak by wyglądało to spotkanie? Co by z niego wynikło? W tym okresie rozpaczliwie za nim tęskniła. Było to na długo przedtem, zanim w jej życie wkroczył Harrison Butler i wyzwolił ją z uczucia wewnętrznej pustki.

– Czy jesteś szczęśliwa, Mickey?

– Tak, bardzo. A ty?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się w zadumie.

– Czym właściwie jest szczęście? Osiągnąłem to, co zamierzałem. Zbudowałem filmowe imperium, o którym marzyłem.

Wypowiedź Jonathana obudziła w niej dziwny smutek.

– Czy ktoś do nas podejdzie? – zapytała lekkim tonem. Natychmiast zjawiała się kelnerka, jak gdyby podsłuchiwała ich rozmowę, położyła na stole dwie karty i zniknęła.

– Jednego jestem ciekaw, Mickey – powiedział Jonathan, gdy przerzucił wzrokiem menu i odłożył je na bok. – Czy uważasz, że opłacało się spędzić tyle lat w szpitalu Great Victoria? Czy warto było zdobywać się na tak wielkie wyrzeczenia?

Spojrzała na niego. Próbowała wytropić ślad goryczy w jego tonie i w jego oczach. Czyżby to pytanie miało jakiś związek z nim oraz z ich wspólnym życiem, które poświęciła dla zaspokojenia własnych ambicji? Nie, nie było w nim ani żalu, ani złości. Jonathan wydawał się dziwnie wyciszony, niemal zrezygnowany.

– Dlaczego opuściliście z mężem Hawaje?

– Z wielu powodów. Gdy zrobiłam specjalizację w szpitalu Great Victoria, stwierdziłam, że bez względu na to, gdzie otworzę prywatną praktykę, będę konkurować z ludźmi, którzy mnie wyszkolili. Wydało mi się to wobec nich nieuczciwe. Harrison uważał, że będzie dla mnie korzystniej, jeśli się przeniosę gdzie indziej. Poza tym plantacja przestała przynosić oczekiwane zyski i Harrison postanowił się jej pozbyć. A ponieważ większość jego inwestycji związana była z Południową Kalifornią, uznaliśmy, że nasze miejsce jest właśnie tutaj.

– A zatem otworzyłaś praktykę dla eleganckiej klienteli – stwierdził Jonathan, przywołując kelnerkę.

– Tak – przyznała Mickey, decydując się na naleśnik z darami morza.

– Wyglądasz na zatroskaną – zauważył, gdy kelnerka odeszła. – Czyżby krępowało cię to, że jemy wspólnie obiad?

Zaprzeczyła ruchem głowy i uśmiechnęła się.

– Nie, tylko myślałam o mojej przyjaciółce. Poznałeś ją kiedyś. Studiowałyśmy razem medycynę... – I Mickey opowiedziała mu o tragedii, jaką przeżyła Sondra. – Zabieram ją jutro do Palm Springs. Sam Penrod zamierza podjąć próbę zrekonstruowania jej rąk.

– Jest dobrym fachowcem – przyznał Jonathan. – Jeden z moich „łupieżców” został ranny na planie i miejscowi eksperci orzekli, że już nigdy nie będzie chodził. Sam nie tylko wyleczył mu nogę, ale dzięki niemu aktor mógł wrócić na plan i znowu staczać boje z łajdakami. – Umilkł na chwilę i spojrzał na Mickey. – Założę się, że nie widziałaś żadnego z moich filmów – powiedział cicho.

Mickey roześmiała się.

– Kiedyś nawet spałam z Lobbly, ale nie wiem, czy to się liczy.

– Był taki czas, kiedy sypiałaś z jego twórcą.

Znaleźli się na niebezpiecznym gruncie. Jonathan zrobił pierwszy krok, ale Mickey nie zamierzała pójść w jego ślady. Już nie teraz.

Spojrzał na zapakowane pudełko na środku stołu, zmarszczył brwi, bawił się przez chwilę srebrną kokardą, a potem skierował wzrok na Mickey.

– Czy kiedyś żałowałaś, że nie zostaliśmy razem, Mickey? Przez moment się zastanawiała.

– Były takie chwile podczas praktyki w szpitalu Great Victoria. Często zdarzały się noce, kiedy czułam się bardzo samotna i wiele o tobie myślałam. Tak, kiedyś miałam wątpliwości, czy postąpiliśmy słusznie.

– Ale teraz już ich nie masz?

– Nie, od czasu kiedy poznałam Harrisona. A ty, Jonathanie? Czy kiedyś tego żałowałaś?

– Tak, nawet bardzo, Mickey... – Umilkł. Wnikliwie przyglądał się jej twarzy i coś rozważał w myślach.

– Właśnie z tego powodu postanowiłem spotkać się z tobą na osobności. Pragnę ci wyjaśnić wszystko do końca, żeby nie było żadnych niedomówień. Domyślam się, że byłaś na mnie wściekła przez te wszystkie lata i doskonale to rozumiem. Ale chciałbym, żebyś puściła wszystko w niepamięć.

Mickey przechyliła głowę na bok, nie rozumiejąc, o czym mówi.

– Wiem, że późno zdecydowałem się na przeprosiny. Ale je przyjmij, gdyż są szczere. Wybacz mi, Mickey, że nie przyszedłem wtedy pod zegarową wieżę.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Co powiedziałaś?

– Jest mi przykro, że kazałem ci czekać na próżno pod zegarową wieżę. Naprawdę chciałem tam przyjść. Ale napadli mnie dziennikarze i nie mogłem się wyrwać z domu. A gdy udało mi się w końcu dotrzeć do telefonu, była dziewiąta wieczorem i nikt u ciebie nie podnosił słuchawki. Godzinami usiłowałem się z tobą skontaktować. Musiałaś być na mnie bardzo zła.

Mickey patrzyła na niego w osłupieniu, cofając się myślami do tamtego wieczoru. Widziała siebie, jak siedzi samotnie w mieszkaniu, odlicza uderzenia zegara i płacze z głową wciśniętą w kanapę, wyobrażając sobie Jonathana, który spaceruje w tę i z powrotem w ów chłodny wieczór i zastanawia się, dlaczego ona nie przychodzi. A potem pobiegła do Gilhooleya, gdzie Sondra i Ruth świętowały zakończenie studiów razem z innymi absolwentami, którzy zostali przyjęci na staż tam, gdzie się ubiegali. Po całonocnej zabawie w Tesoro Hall wyłączyły telefon, żeby się mogły nazajutrz wyspać. A gdy Jonathan zdołał się w końcu do niej dodzwonić, nie chciała z nim rozmawiać ani niczego mu wyjaśniać. Nie zamierzała przechodzić przez wszystko od początku. Pragnęła definitywnie zerwać ich związek. Przez czternaście lat miała przed oczami obraz Jonathana, który czeka na nią samotnie pod zegarową wieżę.

Mickey przysłała na dzisiejsze spotkanie uzbrojona w cały arsenał środków obronnych na wypadek, gdyby odwoływał się do dawnych uczuć i próbował ją nakłonić, żeby do niego wróciła. Brała pod uwagę wszystkie możliwe ewentualności: to, że ma ochotę na romans, że wyleje z siebie dawną złość za to, iż od niego odeszła, i że się będzie chełpił, jak wielkie stało się od momentu ich rozłąki jego życie. Wydawało się jej, że jest przygotowana na wszystko. A jednak nie była.

– Jesteś na mnie zła, Mickey? – zapytał cicho. – Jeśli tak, nie mam o to do ciebie pretensji. To ja nalegałem, żebyś przysłała pod wieżę. I ja zmieniłem w ostatniej chwili reguły gry. To stało

się za prędko. Nominacja do Oscara. Ogromne zainteresowanie prasy. Nagle z wytwórni filmowych zaczęły napływać propozycje. W telewizji zapowiedziano specjalną emisję filmu „Centrum medyczne!” A potem doszedłem do wniosku, że wszystko pomiędzy nami skończone.

Mickey nie spuszczała z niego wzroku. „Tak łatwo ze mnie zrezygnowałeś?”

– Strasznie mi przykro, Mickey, naprawdę. – Wyciągnął ponad stołem rękę i położył ją na jej dłoni.

Nie zareagowała. Spojrzała na opakowane w folię pudełko. „Co tam wobec tego może być? Balsam na uciszenie wyrzutów sumienia?” Ale gdy spojrzała w dół na opaloną rękę, która zakrywała jej dłoń, złość minęła jej równie prędko, jak się pojawiła. „Czy powinnam powiedzieć mu prawdę? Czy powinnam się przyznać, że ja też kazałam mu czekać na próżno? I że oboje zdecydowaliśmy się realizować własne marzenia? Nie, lepiej niech zostanie tak jak jest”.

– Nie mam do ciebie żalu – powiedziała szczerze łagodnym tonem. Nie było już w niej ani złości, ani zainteresowania tym, jak się mogło ułożyć im życie. Co się stało, to się nie odstanie. Oboje mieli teraz szansę, z której powinni skorzystać wiele lat temu, żeby stać się prawdziwymi przyjaciółmi. Mickey przepełniło uczucie spokoju.

– To dla ciebie – powiedział w końcu Jonathan, popychając w jej stronę złote pudełko.

Wzięła je do ręki i zaczęła rozwiązywać wstążkę.

– Nie – powstrzymał ją. – Nie rób tego przy mnie. Zaczekaj z tym, gdy będziesz sama.

– A co to jest?

– Coś, co ci byłem winien i co należy do ciebie. – Spojrzała na niego zdumiona. – Zrozumiesz, gdy zobaczysz – uciął krótko.

A potem przyniesiono im naleśniki. Zjedli obiad, gawędząc jak starzy przyjaciele, którzy nadrabiają stracony czas.

Sondra była na piętrze, odpoczywając przed jutrzejszą podróżą do kliniki Sama Penroda, a Harrison przebywał w San Francisco, gdzie podpisywał umowę kupna nieruchomości. Mickey siedziała zwinięta w kłębek na kanapie w salonie, trzymała w ręce kieliszek białego wina i patrzyła na złote pudełko, które leżało na stoliku do kawy.

Upłynęło kilka godzin od chwili, gdy zostawiła Jonathana w „Barnacle”. Pocałowali się po przyjacielsku, żegnając się prawdopodobnie po raz ostatni, chociaż żadne z nich nie powiedziało tego na głos. Po początkowych trudnościach w nawiązaniu kontaktu oboje stwierdzili, że są naprawdę dobrymi przyjaciółmi i nie dzielą ich żadne nieporozumienia. Ale odkryli równocześnie, że nic już ich ze sobą nie łączy. Przeszłość przestała być tym, czym była.

A teraz Mickey siedziała sama z tajemniczym pudełkiem, które miało jej „wszystko wyjaśnić”.

Potrząsnęła nim zaintrygowana jak dziecko prezentem z okazji Bożego Narodzenia. Pakunek był lekki, prostokątny i przy poruszeniu lekko grzechotał. W środku znajdował się pewnie

naszyjnik, gdyż opakowanie wskazywało na upominek od jubilera. Ale przecież naszyjnik niczego nie wyjaśniał. I dlaczego Jonathan miałby być jej go „winien”. W końcu podniosła pudełko, delikatnie zdjęła folię i zajrzała do środka.

Wewnątrz znajdowała się kasetka wideo.

Obracała ją w dłoniach. Nie było nalepki ani słowa wyjaśnienia.

Zaciekawiona wzięła kasetę wraz z kieliszkiem wina i przeszła do gabinetu, gdzie na szafce z orzecha włoskiego stał telewizor i magnetowid. „Założę się, że nie widziałas żadnego z moich filmów” – powiedział Jonathan w „Barnacle”. Czy właśnie miała przed sobą jeden z nich? Który? Najnowszy z serii „Najeżdźcy!”? A może odcinek serialu, którego emisja zaczynała się latem? W takim wypadku Jonathan подарował jej rzeczywiście cenny prezent, ponieważ jak dotychczas żaden z jego znanych filmów nie ukazał się na kasecie wideo.

„Zaraz się przekonam” – pomyślała Mickey, coraz bardziej zaintrygowana. Ponownie napełniła kieliszek, wrzuciła do niego kostkę lodu, usadowiła się wygodnie na kanapie, zgasiła światło i wzięła do ręki pilota.

Nacisnęła guzik. Magnetowid zaczął trzeszczeć i furkotać. Mickey w napięciu wpatrywała się w śnieżący ekran. Przez minutę panowała na nim szara pustka, ale za moment obraz eksplodował światłem i życiem.

Dziecko pośpiesznie wydobyte z matki i ciemna krew na tle białych prześcieradeł.

Mickey przymrużyła oczy.

Kamera cofnęła się, przedstawiając zespół w izbie przyjęć przy pracy: próby cucenia nieprzytomnej matki, której pocięte ubranie zostało wcześniej zdarte z ciała i leżało porozrzucone na ziemi, pobudzenie kłapsem do życia niemowlęcia, bezład białych fartuchów i widok mdlejącego młodego policjanta. Wszystko rozgrywało się w nienaturalnej próżni ciszy, bez żadnego dźwięku, który odzwierciedlałby dramatyczną i przerażającą chwilę powstawania życia. Ale zaraz potem nastąpił wstrząsający wybuch zgiełku – kakofonia głosów, syren i tupotu biegnących stóp. Na początku odgłosy były jednoczesne i niezrozumiałe, ale stopniowo stawały się coraz bardziej rozproszone. Po chwili można już było rozróżnić wydawane polecenia i huk gwałtownie zatrzaskiwanych drzwi. W końcu wszystko się uspokoiło i z początkowego chaosu wyłonił się klarowny obraz, podobnie jak w pierwszej scenie wielkiego wybuchu z filmu „Najeżdźcy!” Z ekranu dobiegł czyjś zmęczony głos:

– Będą żyć oboje.

I pojawił się napis: CENTRUM MEDYCZNE!

Mickey patrzyła jak zahipnotyzowana. Oto miała przed oczami szpital St. Catherine's, z którym tak blisko czuła się związana. Twarze, które już dawno zatarły się w pamięci, ożyły na nowo i były znów wyraźne. Doktor Mandell prowadził korytarzem zdezorientowaną grupę „studentów w roli lekarzy”, zespół psychiatrów starał się uspokoić i zapanować nad pacjentem w ataku szału, płakał jakiś mały chłopiec, a doktor Reems, ordynator kardiologii, odpalał papierosa od niedopałka poprzedniego. Skalpel przecinał gładką skórę, grupa stażystów rzuciła piłkę na

trawę, a potem kamera przez dłuższą chwilę zatrzymała się na pustym korytarzu z zakrytym prześcieradłem ciałem na noszach. Szpital St. Catherine's przedstawiał swoją własną historię – bez narracji i bez scenariusza, od momentu narodzin, po chwilę śmierci – opowieść, która została sfilmowana przez jednego człowieka, laureata trzech Oscarów.

Mickey zwilgotniały oczy. Na ekranie pojawiła się Ruth w zielonym uniformie ginekologa. Ze złością spoglądała w kamerę. Wyglądała szczuplej niż obecnie i poruszała się żwawiej, jak kobieta, która się wiecznie dokądś spieszy i nigdy nie marnuje czasu. A oto była i Sondra, egzotyczna piękność, która często spoglądała przez ramię ścigana przez własne wizje. I w końcu Mickey zobaczyła samą siebie, kobietę młodszą i zuchwalszą, która nosiła się dumnie, jak gdyby swoją postawą chciała rzucić wyzwanie światu.

Obserwowała siebie, jak biegnie korytarzem obok przywiezionej ofiary wypadku. Widziała powiewające poły białego fartucha i własną napiętą z przejęcia twarz. A chwilę potem na ekranie pojawiło się nietypowe ujęcie pielęgniarki siedzącej okrakiem na łóżku umierającego pacjenta; obraz białego kitla zadartego na tęgich udach i odsłonięte podwiązki. I znowu krótkie ujęcie Mickey, gdy z posępną miną podnosi do góry strzykawkę.

„Nie ma scenariusza, nie ma wątku, nie ma aktorów” – powiedział Jonathan czternaście lat temu. I miał rację. Zamiast aktorki była prawdziwa Mickey Long, studentka czwartego roku medycyny, młoda, uparta i śmiało podążająca za swoją wizją, nieugięty obrońca cierpiących. Jej determinacja wydawała się teraz niemal żenująca.

Film otworzył śluzę dla innych wspomnień: oto dwunastoletnia Mickey powłócząc nogami wchodzi do kolejnego gabinetu lekarskiego i ma ochotę z niego uciec, gdy lekarz dotyka jej twarzy; Mickey bliska płaczu, ponieważ spóźniła się na zajęcia z Moreno w prosektorium z powodu wyprawy do damskiej toalety, gdzie musiała nałożyć sobie puder w płynie na twarz; Mickey, która podbija szturmem szpital Great Victoria, wyklócając się z Greggiem i przycierając rogowi Masonowi; Mickey latająca potrzaskaną twarz młodego Jasona Butlera – Mickey, która podejmuje każde wyzwanie losu i nie daje się zastraszyć żadnym jego przeciwnościami.

W jednej chwili zobaczyła całe swoje życie, które cechowała determinacja i duch walki.

„Kiedy przestałam podejmować ryzyko?”

Otarła z policzka łzę. Jonathan rzeczywiście podarował jej wspaniały prezent. Zwrócił ją jej samej taką, jaka kiedyś była i otworzył przed nią szansę powrotu do dawnych ideałów.

Film się skończył. Mickey zapaliła światło i podniosła się z kanapy. A gdy się odwróciła, zobaczyła stojącą w drzwiach Sondrę. Bursztynowe oczy przyjaciółki były w niej nieruchomo utkwione.

– Wydawało mi się, że słyszę jakieś odgłosy – wyjaśniła Sondra.

– Ile zdążyłaś zobaczyć?

– Wystarczająco dużo. Mickey uśmiechnęła się.

– Usiądź. Puszczę kasetę od początku. A potem zatelefonuję do Sama Penroda. Obawiam się, że stracił pacjentkę.

Sondra odwzajemniła jej uśmiech.

Rozdział 35

Droga doktor Ruth!

Dokuczały mi bóle głowy. Lekarz skierował mnie do szpitala na badanie tomograficzne mózgu. Okazało się, że mam „przemieszczenie szyszynki”. Co to oznacza? Czy operacja jest konieczna? Mieszkaniec Seattle.

Ruth odłożyła list na bok, skrzywiła się, westchnęła i sięgnęła po następny.

Droga doktor Ruth! Jesteśmy małżeństwem od sześciu lat i rozpaczliwie pragniemy mieć dziecko, ale mój mąż jest nieplodny. Wystąpiliśmy o adopcję, ale okres oczekiwania wynosi co najmniej cztery lata. Nasz lekarz powiedział nam o możliwości sztucznego zapłodnienia spermą z banku dawców, ale gdy poradziliśmy się w tej sprawie księdza, stwierdził, że sztuczne zapłodnienie jest w oczach Boga cudzołóstwem. Co mamy robić? Mieszkanka Port Townsend.

Ruth odrzuciła również i ten list, a potem zmierzyła groźnym spojrzeniem olbrzymią stertę piętrzącej się na biurku korespondencji, która została dostarczona z wydawnictwa gazety dzisiaj rano, podwajając wczorajszy stos. A do tego miała jeszcze dojść jutrzejsza poczta. Wiedziała, że Lorna Smith nie będzie zadowolona.

Ruth próbowała. Uczciwie starała się przekazywać w swojej rubryce najświeższe informacje, dbać o jej poziom i prowadzić ją tak, żeby była interesująca. A tymczasem wydawała się jej nudna. Łypała wrogim wzrokiem na plik listów, jak gdyby były stworem, który wypełznął spod podłogi.

Odsunęła do tyłu krzesło, wstała zza biurka i podeszła do okna. Wrzesień. Początek pory umierania. Czy to było w porządku, że ludzie nie mogli zrzucić starej skóry i odradzać się na wiosnę? Czyż nie byli ważniejsi od drzew i od węży?

Nie znosiła siebie dzisiaj rano. Prawdę mówiąc, nie cierpiała siebie od kilku, a nawet od setek poranków, podczas których nie potrafiła położyć kresu własnym myślom i nie umiała znaleźć lekarstwa na zatruwającą jej krew gorycz.

Pięć lat temu pisanie do rubryki sprawiało jej radość, a nawet cztery, trzy, dwa lata temu. „Jeszcze w ubiegłym roku z przyjemnością odpowiadałam na pytania czytelników, dawkując im moją medyczną mądrość jak pigułki i mając świadomość, że ludzie liczą na szybkie uzdrowienie. Ale do kogo ma napisać doktor Ruth? Kto może zaoferować jej nie cierpiące zwłoki rozwiązanie?”

Spojrzała na zegarek. Powinna zacząć szykować się do Seattle. Psychoterapeutka, doktor Margaret Cummings, zwróciła się do niej z prośbą, żeby przelożyła termin wizyty i przyjechała do Seattle dzisiaj po południu. W związku z tym Ruth musiała zmienić plan dnia. Są takie sprawy, na które zawsze trzeba znaleźć czas.

Czy Ruth pomagały wizyty u Margaret Cummings? Nie była pewna. Od lutego, to jest od siedmiu miesięcy, jeździła do niej raz w tygodniu. Po tak długiej kuracji poprawa powinna być

bardziej widoczna. Ale Ruth nie potrafiłaby już się obejść bez terapii. Przyzwyczała się do wieczornych sesji w bezpiecznej przystani, jaką był gabinet Margaret, z cichą obecnością psychoterapeutki, która akceptowała ją bez zastrzeżeń i odnosiła się do niej z ogromną wyrozumiałością. Ruth mogła miotać się po pokoju, wypalać paczkę papierosów i prać wszystkie swoje brudy, jakie tylko przychodziły jej na myśl. Poza tym wierzyła, że pewnego dnia nastąpi przełom i zostanie wyleczona.

Odwróciła się od okna i znowu spojrzała na biurko. Oraz na doniczkę. Na cholerną doniczkę.

Pewnie już dawno nastąpiłby oczekiwany moment zwrotny i Ruth zdołałaby dotrzeć do przyczyny swojej depresji, gdyby w jej życiu nie pojawiła się nowa komplikacja związana z Arnie'm. Pierwsza donica została подарowana matce Ruth na urodziny. Następna była prezentem wysłanym do Tarzana dla jego rodziców z okazji rocznicy ślubu. Kolejną otrzymała Rachel na swoje czternaste urodziny. A ostatnia miała upiększyć gabinet. Jak gdyby nękające Ruth koszmarne sny, bezsenność i irytujący brak opanowania nie były wystarczającymi problemami. Teraz musiała się jeszcze martwić o Arnie'ego. Oraz o jego donice.

„Nie pójdę do galerii. Nie poniżę się do tego stopnia”.

Taka była bowiem pierwsza reakcja Ruth – chciała natychmiast odszukać galerię. Już wcześniej zaintrygowała ją rozmnażająca się po domu indiańska ceramika, ale Ruth kładła to na karb trudnego okresu, w jakim obecnie znajdował się Arnie. Z podobną pobłażliwością traktowała wykłady, na które uczęszczał w piątkowe wieczory. Nie była im przeciwna, jeśli tylko dawały mu zadowolenie. Ale pewnego razu, kiedy spotkanie piątkowej grupy z jakichś powodów zostało odwołane i wcześniej niż zwykle wracała do domu drogą na skrót, zauważyła furgonetkę ładującą podobną do ich własnej, która stała zaparkowana przed jednym z czynszowych bloków. A gdy stwierdziła, że to rzeczywiście jest ich samochód, pomyślała: „Czy to nie dzisiaj Arnie ma wykłady na uczelni?” Kilka tygodni później znowu zobaczyła samochód w tym samym miejscu. I od tamtej pory zaczęła nabierać podejrzeń.

Nigdy by nie skojarzyła indiańskiej ceramiki z blokiem czynszowym, gdyby Arnie nie zostawił wizytówki w jednej ze swoich koszul. Ruth natknęła się na nią, gdy robiła pranie. Wizytówka miała ośle rogi i widniał na niej napis: *Angelinę. Amerykańska Sztuka Ludowa*. Ruth postanowiła bliżej przyjrzeć się ceramicznym wyrobom, ale natychmiast gorzko pożałowała swojego kroku. Jej obawy zostały potwierdzone – wszystkie przedmioty były dziełem Angelinę.

Czy miało to jakiś związek z furgonetką zaparkowaną przed blokiem? Wciąż nie była pewna. Jeden z wyrobów nadszedł w pudełku z nazwą galerii na wieku. W pierwszym odruchu Ruth chciała odszukać sklep o podanej nazwie, ale powstrzymała ją przed tym własna duma. Doktor Ruth Shapiro nie mogła się poniżyć do szpiegowania. Nie zamierzała nurzać się w bagno nieuzasadnionych podejrzeń. Arnie i romans? Mało prawdopodobne. Najlepiej postąpiłaby pytając go wprost, kto mieszka w czynszowym budynku. I na pewno by usłyszała jakąś niewinną odpowiedź. Dowiedziałyby się na przykład, że Arnie odwiedza kolegę z grupy, żeby omówić wieczorne zajęcia. Jaki był temat wykładów, na które uczęszczał? Ruth nie mogła sobie

przypomnieć.

Postępował wobec niej nieuczciwie, komplikując jej wszystko w przełomowym momencie. Teraz, kiedy musiała się uporać z własnymi problemami. Gdy chciała posegregować i przeanalizować wszystkie elementy swojego życia – zastanowić się, co zostawić, a co z niego wyrzucić, jak przy porządkowaniu od lat nie sprzątej szafy. Z pomocą Margaret Cummings pewnie by jej się to udało, ale nie w sytuacji, gdy traciła oparcie w Arnie'm.

Wzrok Ruth spoczął na liście, na którym nie figurowało hasło „Zapytaj doktor Ruth”. To Mickey nadesłała kolejny raport o przebiegu rekonwalescencji Sondry.

Uszkodzenia ścięgien prostownika uzupełniłam przeszczepem ścięgna z czwartego palca u stopy do palca wskazującego. Odtworzyłam również połączenie ścięgien pomiędzy palcem dużym a serdecznym przez przeszczep najbliższego ścięgna z koniuszka palca dużego. Unieruchomiłam rękę w rozwarciu na trzy tygodnie. Po upływie tego okresu łupki zostaną zdjęte i, daj Boże, ręką Sondry zostanie przywrócona sprawność.

Pomimo rozgoryczenia, jakie Ruth odczuwała w stosunku do wszystkich – do męża, dzieci, starych przyjaciół, a nawet do ptaków na niebie – musiała przyznać, że Mickey porwała się na nie lada zadanie. Nie mogła się również oprzeć uczuciu współczucia dla Sondry, którą los tak dotkliwie doświadczył. Ruth wyobrażała sobie kolejne operacje, przez które musiała przejść – ręce przyszyte do brzucha w celu zrobienia przeszczepu skóry, wielotygodniowe unieruchomienie, ciało do połowy owinięte bandażami – niezliczone szwy, zastrzyki, nacięcia oraz zszycia. I wyczekiwanie w niepewności.

Jednocześnie Ruth zazdrościła przyjaciółkom. Sondra i Mickey wykonywały ściśle określoną pracę. Obie miały te same i wyraźnie sprecyzowane cele. Ściśle ze sobą współpracowały. Stanowiły jedność, jak ręce Sondry przyszyte do brzucha. Nawzajem podtrzymywały się na duchu i dzieliły te same obawy. Takiej bliskości z drugą osobą Ruth nie doświadczyła od dawna. Od jak dawna?

„Od czasu, gdy pełniłyśmy dyżury przy zmywaniu naczyń w naszym mieszkaniu na Avenida Oriente” – odpowiedziała sobie. „Zawsze gdy człowiek ma czterdziestkę na karku, zaczyna z rozrzewnieniem wspominać okres studiów” – pomyślała. Wolą, żeby list od Mickey w ogóle nie nadszedł. Nie musiałyby zazdrościć swoim bliskim koleżankom ani porównywać ich życia do swojego – ona nie miała szansy na zwycięstwo.

Wkrótce okres kuracji Sondry dobiegnie końca. List pochodził sprzed dwóch tygodni. Za kilka dni łupki zostaną zdjęte i obie jej przyjaciółki otrzymają swoje odpowiedzi, które przesądzą o ich dalszym życiu.

– Właśnie o to chodzi – powiedziała Ruth, wstając z krzesła i od nowa rozpoczynając spacer po pokoju. – Nie wiem, z jakiego powodu jestem zła. Ani na kogo się gniewam. To właśnie jest

najbardziej denerwujące. Złość tkwi we mnie przez cały czas, zapuściła we mnie swoje korzenie, przywarła mackami do moich pleców i nie mogę się z niej otrząsnąć. Nie daje mi ani chwili wytchnienia. Budzę się i zasypiam wściekła na cały świat. I nie mam gdzie skierować swojej irytacji.

Doktor Margaret Cummings obserwowała krążącą po gabinecie pacjentkę, która zaciągnęła się dymem i rozgniotła do połowy wypalonego papierosa na dużej, szklanej popielnicy stojącej na kredensie. Potem wróciła do swojego krzesła, sięgnęła po torebkę, wyjęła kolejnego papierosa, zapaliła go i od nowa zaczęła krążyć, przez cały czas wyrzucając z siebie serie krótkich zdań. Jej krępe ciało było jednym kłębkim nerwów. Gdy Ruth przyszła tutaj po raz pierwszy siedem miesięcy temu, Margaret Cummings zobaczyła w niej kobietę, która z trudem pohamowuje niewytłumaczalną złość. Ta sama kobieta wydeptywała teraz ścieżkę w wełnianym chodniku na podłodze, a drzemiące w głębi niej siły były dla nich obu tak samo okryte tajemnicą jak w lutym. Ani na jotę nie zbliżyły się do rozwiązania zagadki, która tkwiła w samej Ruth, o czym obie były przekonane.

– ... I to, że tracę nad sobą panowanie – mówiła dalej Ruth. Na moment przystanąła przed litografią Dalego i obrzuciła ją ponurym spojrzeniem. – Jak wiesz, Margaret, są dwa rodzaje wściekłości. Jeden dodaje sił, pomaga dopiąć celu i pozwala na przykład skończyć studia medyczne. Drugi natomiast wpływa na człowieka demobilizująco i robi z niego pożałowania godną kreaturę. Czy możesz to sobie wyobrazić? Ruth Shapiro niezdolna do działania!

Odwróciła się od obrazu, zdecydowanym krokiem podeszła do kredensu, unicestwiła kolejnego papierosa i wróciła do swojego krzesła.

Gabinet Margaret miał przytulną, sprzyjającą wynurzeniom atmosferę. Z wygodnymi meblami, z półkami na książki i z roślinami w doniczkach wyglądał jak zwykły pokój. Nie było w nim biurka. Pacjent odnosił wrażenie, że to ciocia Mattie zaprosiła go na herbatę, a on uznał to za dobrą okazję, żeby wyrzucić z siebie wszystkie żale, gdyż ciocia Mattie jest dobrym słuchaczem i na pewno dochowa tajemnicy.

Ruth opadła ciężko na krzesło. Spojrzała na swoją rozmówczynię, która siedziała na kanapie i rzeczywiście wyglądała jak ciocia Mattie. Margaret Cummings była tak samo skromna, jak jej gabinet. Miała siwe włosy, nosiła prostą spódnicę, sweter, sportowe buty na niskich obcasach i zegarek „Timex” z dużym cyferblatem. Nikomu niewtajemniczonemu nie przyszłoby do głowy, że ma do czynienia z najlepszym i najbardziej obleganym psychologiem w mieście.

- Nie wiem, co mam robić, Margaret. Psychoterapeutka poruszyła się na kanapie.
- Porozmawiajmy o twoim mężu. Co do niego obecnie czujesz?
- Do Arnie’ego? Do człowieka, który niby jest moim mężem?
- Czy masz o coś do niego żal?
- Powinnam mieć. Sądzę, że mnie zdradza.
- A zatem jesteś na niego zła? Ruth przewróciła oczami.
- Wcale nie jestem tego pewna. Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Na tym właśnie

polega mój problem. W moim obecnym życiu nie ma zrozumiałych definicji – przypomina zdanie bez orzeczenia. Wiem, co powinnam czuć, ale w rzeczywistości jestem na Arnie'ego bardziej zła o to, że nie potrafił ukryć przede mną swojego romansu, niż za sam zaistniały fakt.

Ruth wodziła palcem w tę i z powrotem po obszyciu na oparciu krzesła.

– Czuję, że tracę panowanie nad wszystkim. Nie dotrzymuję terminów w gazecie, nie jestem w stanie przyjąć wszystkich pacjentek, nawet dzieci się ostatnio ode mnie oddaliły. Patrzę na nie jak na pięcioro małych i obcych mi ludzi. W tym miesiącu Rachel skończyła czternaście lat. Pewnego dnia wróciła z agrafką w uchu. Poczułam się tak, jak gdybym dostała obuchem w głowę. Przecież nie dalej jak wczoraj była jeszcze małym dzieckiem. A ja zaledwie tydzień temu siedziałam z kalendarzem w ręce i obliczałam najdogodniejszy termin jej przyjścia na świat.

Ruth potarła się po czole.

– Fakty z mojego życia nakładają się na siebie, Margaret. Tracę poczucie czasu. Ostatnio zaczęłam wiele myśleć o przeszłości i o okresie studiów. O Boże! Jakże to były wspaniałe dni! – Spojrzała na psychoterapeutkę i uśmiechnęła się. – Wtedy można było do woli uprawiać dobry seks.

– A jak teraz wygląda twoje życie seksualne z mężem?

– W ogóle nie istnieje. Arnie jest zupełnie pozbawiony wyobraźni. Kobieta, z którą się spotyka, musi być bardzo mało wymagająca.

– Nie sądzisz, że powinnaś przejąć inicjatywę? Może byłby otwarty na nowe sugestie i eksperymenty?

Ruth wzruszyła ramionami.

– Po co? To bezcelowe.

– Czy zapytałaś go wprost o romans?

– Jeszcze nie. Sama nie wiem, jak się powinnam w tej sytuacji zachować. Mam teraz tyle spraw na głowie. Muszę panować nad tyloma rzeczami. Czasami nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wokół mnie powstał mur.

– Czy w tej chwili masz podobne odczucia? Ruth rozejrzała się po gabinecie.

– Tak – odpowiedziała, a potem pochyliła głowę i utkwiała wzrok w lamówce z tłoczonego weluru, jak gdyby była jedyną istotną w tym momencie rzeczą. Zdawała sobie sprawę z tego, co robi. Świadomie omijała temat, stosowała uniki jak w szermierce i rzucała z głębi serca płynące oświadczenia, ponieważ tego właśnie Margaret Cummings od niej oczekiwała. Wiedziała jednak, że długo nie zdoła uchylać się od wyznania prawdy, gdyż psychoterapeutka przejrzy ją na wylot. – Koszmarny sen znowu powrócił – oświadczyła w końcu cichym głosem.

– Ten sam, który nie dawał ci spokoju, gdy byłaś nastolatką?

– Przyśnił mi się po raz pierwszy, gdy miałam dziesięć lat. Był związany z moim udziałem w wyścigu, który tak rozśmieszył ojca. Majaki senne prześladowały mnie przez wszystkie lata wieku dorastania. Byłam wtedy gruba i ojciec czuwał nade mną, żebym przestrzegала diety. A ilekroć skrytykował mnie za łakomstwo, sen zawsze powracał. – Ruth zrolowała lamówkę pod

palcami, a potem zaczęła ją skubać. – W czasie studiów sądziłam już, że skończyło się to na dobre. Ale przyśnił mi się znowu dziewięć lat temu, gdy przeszłam badanie prenatalne. Powtórzył się ponownie w moje urodziny w ubiegłym tygodniu, a mówiąc dokładnie w moje czterdzieste urodziny.

– Czy data urodzin nie pokrywa się z rocznicą śmierci twojego ojca?

Ruth podniosła wzrok.

– Tak. W pierwszą rocznicę jego śmierci przyśnił mi się dokładnie ten sam sen, co przedtem. Nie zmienił się nawet w najdrobniejszym szczególe...

Odchyliła do tyłu głowę, położyła ją na oparciu krzesła i spojrzała w sufit.

– Za każdym razem jest krótki i tak naprawdę to nic się w nim nie dzieje. Ale stale odczuwam lęk. A kiedy się budzę, serce łomocze mi w piersi jak szalone...

Zamilkła na chwilę.

– Zawsze otacza mnie w tym śnie ogromna, czarna przestrzeń. Nie wiem, czy to jest pokój, czy jaskinia, czy oceaniczna głębia. Niczego nie widzę, gdyż jestem ślepa – za każdym razem świećcie w to wierzę. Pewnie sądzisz, że powinnam się kiedyś otrząsnąć i powiedzieć sobie: „Chwileczkę, przecież już mi się to śniło. To tylko głupie majaki”. Ale nie potrafię. Nieodmiennie daję się nabierać. I zawsze odczuwam paniczny strach przed Próżnią. Nie mam ciała. Jestem istotą, która dryfuje w zatrważającym i nieprzyjaznym niebycie. Zaczynam wpadać w panikę. Usiłuję przypomnieć sobie, kim jestem. Ale nie mogę myśleć. Nie umiem logicznie rozumować. Jestem nie ukształtowaną formą – początkiem albo końcem jakiegoś istnienia. Nie wiem, z jakiej przyczyny mój strach potęguje się coraz bardziej. Ogarnia mnie paniczny lęk przed tym, co nastąpi, w co się rozwinę, albo boję się, że czeka mnie tylko wieczność, jeśli już wszystko mam za sobą...

Zacisnęła kurczowo ręce wokół poręczy krzesła, wbijając palce w obicie.

– Nie wyobrażasz sobie koszmaru otaczającej mnie przestrzeni – okropnej świadomości, że równocześnie jestem i mnie nie ma; najprawdziwszego, mroźnego krew w żyłach strachu...

Podniosła wzrok na doktor Cummings.

– To wszystko. W tym momencie sen zawsze się urywa. Margaret przyglądała się badawczo Ruth swoimi spokojnymi oczami o barwie orzecha włoskiego.

– Co twoim zdaniem to może symbolizować?

– Nie wiem. Domyślam się tylko. Oznacza pewnie, że myślę o sobie jako o istocie nie uformowanej – takiej, która jeszcze się nie urodziła albo już umarła. Jednego jestem pewna – że się boję zasnąć z obawy przed dryfowaniem w tym potwornym okropieństwie.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Ruth wpatrywała się w oparcie fotela, a Margaret czekała cierpliwie, czy pacjentka nie ma czegoś więcej do dodania. W końcu na znak, że godzina dobiegła końca, doktor Cummings przesunęła się na krawędź kanapy.

– Chciałabym, żebyś prowadziła dziennik snów, Ruth. Za każdym razem gdy tylko sen na nowo ci się przyśni, zapisuj go.

I to natychmiast. Dopóki masz go świeżo w pamięci. Nie odkładaj tego na potem. Nawet wtedy, gdy twoim zdaniem nie różnił się niczym szczególnym od poprzedniego. Staraj się po przebudzeniu odtworzyć każde najdrobniejsze doznanie.

– Czy to zajęcie nie będzie zbyt nużące? Margaret uśmiechnęła się.

– Każda niewielka odmiana, każdy nowy i pozornie nawet najmniej istotny szczegół może służyć nam za wskazówkę.

Ruth spojrzała na zegarek. Było wczesne popołudnie. Nie umówiła się na dzisiaj z żadnymi pacjentkami. Na biurku piętrzył się obmierzły stos korespondencji, ale listy mogły zaczekać. Odwróciła się w stronę okna i zmrużyła oczy. W świetle wpadających przez szyby i zalewających dywan słonecznych promieni roiły się pyłki kurzu. Wymarzona pogoda na spacer.

– Nie przyjdę w przyszłym tygodniu, Margaret – uprzedziła, gdy psychoterapeutka odprowadzała ją do drzwi. – Zostałam zaproszona na kilka dni do Los Angeles. Może gdy na jakiś czas wyjadę i znajdę się w nowym otoczeniu, wśród grona starych przyjaciół, spojrzę na życie z właściwej perspektywy.

– Sądzę, że to dobry pomysł. Ruth uśmiechnęła się krzywo.

– Dam ci znać, gdy w myśl freudowskiej teorii doznam nagłego olśnienia.

Wiele czasu upłynęło od chwili, gdy Ruth po raz ostatni odwiedziła targ Pike Street. Nigdy nie była tutaj sama. Zawsze towarzyszyły jej dziewczęta, które domagały się lodów, oraz Arnie, który zwykł wrzucać monetę do futerału ulicznego grajka. Nigdy przedtem nie przyszła tutaj z własnej potrzeby. A teraz była dziwnie ożywiona i czuła się zaskakująco swobodnie.

Nogi zaniósły ją do galerii.

Stała przez długą chwilę i wpatrywała się w taflę szklanej witryny. Przechodnie sądzili pewnie, że się przygląda wyeksponowanym na wystawie towarom – wysokim totemom, pikom z orlimi piórami albo dużemu olejnemu płótnu, które przedstawiało wigwam nad spokojną rzeką. Tymczasem Ruth pragnęła przeniknąć wzrokiem mroczne wnętrze sklepu. Nie chciała wchodzić do środka. Zastanawiała się: „Czy owa Angeline, która potrafi wyrabiać naczynia z taką prędkością i wprawą, jest tam teraz? Jak Arnie tutaj trafił? Co było pierwsze: dziewczyna czy galeria?”

Słońce świeciło z nieodpowiedniej strony i Ruth zdołała jedynie dostrzec własne smutne odbicie – niską osobę o krótkich włosach, z malującym się brakiem zdecydowania na twarzy; kobietę, która wyglądała na swoje czterdzieści lat.

„Czy powinnam wejść do środka? A jeśli tak, to w jakim celu?” I natychmiast sama sobie w myślach odpowiedziała: „Dlatego, że każda kobieta chce zobaczyć, jak wygląda jej rywalka, i stwierdzić, co ma takiego w sobie, czego jej samej brakuje”.

Nawet przekraczając próg sklepu, Ruth miała pretensje do Arnie’ego. To z jego powodu upadła tak nisko, żeby przyjść tutaj w charakterze klientki. Dobrze wiedziała, że potem będzie jej

okropnie wstyd. I choć to może wydawać się śmieszne, to przeczuwała, że i za to obciąży winą męża.

Wystawione przedmioty były piękne. Prawdę mówiąc, niektóre z nich Ruth chętnie by widziała w swoim domu. Na przykład rdzawo-brązowy, ręcznie malowany materiał w owalnej ramie albo indiańskie maski o wielkich oczach i z wyszczerbionymi zębami, albo zawieszona na obręczy orle pióra. Wyglądały imponująco. Fantastycznie by się prezentowały nad obramowaniem kominka. Dlaczego Arnie nie kupił ich zamiast donic?

– „Dlatego, że donice zrobiła Angelinę! Zaraz, zaraz... Jeszcze nie wiesz tego na pewno, Ruth. Niewykluczone, że wszystko jest tylko twoim wymysłem”.

Stała przed sztychem indiańskiej kobiety z puciołowatym dzieckiem na plecach.

„Arnie prawdopodobnie spotyka się z kimś po wykładach w celu wspólnej nauki. A może ten ktoś interesuje się sportem i przy piwie rozmawia na ten temat z Arnie’em? A jeśli to zwykły zbieg okoliczności, że donice zostały wykonane przez tę samą kobietę? Może Arnie po prostu lubuje się w tym stylu? Zrób w tył zwrot i natychmiast stąd wyjdź, Ruth, zanim się ośmieszysz”.

– Czym mogę służyć?

Ruth odwróciła się gwałtownie. Przed nią stała młoda, ładna, uśmiechnięta kobieta.

– Szukam czegoś dla mojego męża – powiedziała prędko. – Na prezent. Wspominał kiedyś o tej galerii. Mamy już w domu kilka waszych wyrobów. Wobec tego pomyślałam...

– Bardzo proszę. Czy ma pani na myśli jakąś szczególną dziedzinę sztuki?

– Intereuje mnie ceramika. Dzbanki i duże donice. Z mitologicznymi motywami.

– Dysponujemy kilku bardzo ładnymi egzemplarzami. – Kobieta odwróciła się i przeszła na drugą stronę galerii. Zatrzymała się przed dużą donicą, która stała na wysokim postumencie. – To wyjątkowo ładny wyrób. Został wykonany w stylu Indian południowoamerykańskich, ale motywy dekoracyjne są charakterystyczne dla plemion zamieszkujących Północno-Wschodnie Wybrzeże.

Ruth powoli zbliżała się do ceramiki, nie dowierzając własnym oczom. Miała w swoim salonie miniaturę identycznego przedmiotu.

– Mój mąż szczególnie sobie ceni prace artystki o imieniu Angelinę.

Młoda kobieta uniosła wiotką brązową dłoń i położyła ją delikatnie na donicy.

– To właśnie ona wykonała ten wyrób.

Ruth przesunęła wolno wzrokiem po glinianym naczyniu, niechętnie przyznając, że jest piękne. Ta Angelinę, kimkolwiek była, miała prawdziwy talent.

– Czy nie zna pani przypadkiem Angelinę? – zagadnęła bezceremonialnie. – Pytam ze zwykłej ciekawości. Chciałabym wiedzieć, czy pochodzi z tego regionu.

Dziewczyna uśmiechnęła się i lekko zarumieniła.

– To ja jestem Angelinę – powiedziała miękko.

Ruth miała wrażenie, że raził ją grom z jasnego nieba. Stała w osłupieniu i patrzyła na dziewczynę szeroko otwartymi oczami. „A więc to jest Angelinę! Ta Indianka?” Słyszając własne

słowa, zdumiała się, że jest w stanie podtrzymać rozmowę:

– A zatem pewnie pani zna mojego męża. Nazywam się... – chwila wahania była prawie niezauważalna, gdy Ruth po raz pierwszy od czasu zawarcia małżeństwa użyła nazwiska męża – ... Roth. Arnie Roth jest moim mężem.

Uśmiech zniknął, a miedziana cera nieznacznie przybladła.

– Zna pani mojego męża? – zapytała Ruth, widząc odpowiedź wypisaną na pięknej twarzy Angelinę.

– Tak, znam Arnie’ego – odparła dziewczyna z godnością. – Zagląda tutaj czasami.

„Arnie’ego! Arnie’ego! Nazywa go po imieniu! Nie stać jej nawet na tyle przyzwoitości, żeby dla zachowania pozorów mówić o nim jako o panu Roth!”

– W ciągu ostatnich kilku miesięcy mój mąż stał się prawdziwym ekspertem w dziedzinie sztuki indiańskiej – stwierdziła Ruth, ze wstrętem myśląc o własnym tonie. Jednocześnie zastanawiała się, jakie to uczucie, gdy się wydrapie komuś oczy. – W każdy piątkowy wieczór uczęszcza nawet na wykłady, żeby lepiej zgłębić kulturę tutejszych plemion.

Angelinę nie odezwała się. Patrzyła tylko na Ruth nieodgadnionym wzrokiem.

I wtedy Ruth zauważyła coś, czego Angelinę nie mogła widzieć. Pogłębiającą się ciemność w galerii. Ruth miała wrażenie, że pogasły wszystkie lampy, że wszędzie przelewa się czarna mgła. Przyćmiła elektryczne światło ponad głową i blask sączących się przez witrynę słonecznych promieni. Spieniony mrok rozprzestrzenił się – cień śmierci, a może osamotnienia – widmo dryfowania w zatrważającej Próżni! Ruth zrozumiała. Zrozumiała!

To była kwintesencja jej życia. Wizja niepowodzenia.

Spojrzała w kierunku donicy, ale nie była w stanie jej dostrzec przez pochłaniającą wszystko ciemność.

– Nie, chyba jednak nie o to mi chodzi – wydobyła z siebie słowa.

W panicznej ucieczce rzuciła się w stronę drzwi. Na zewnątrz otoczyły ją promienie pociemniałego słońca.

Rozdział 36

A co zrobiłaś potem? – zapytała Mickey.

– Wybiegłam z galerii i dotarłam do ławki w samą porę, żeby wcisnąć głowę pomiędzy kolana – odparła Ruth. – O mało nie zemdlałam.

Siedziały na plaży, obserwując przewalające się fale. Mickey miała na głowie kapelusz przeciwsłoneczny z szerokim rondem, wiatr mierzwił krótkie włosy Ruth, a nie opodał spacerowała samotnie po brzegu Sondra. Co jakiś czas przystawała z twarzą zwróconą w stronę oceanu i przechylała na bok głowę, jak gdyby polecała swoje prośby morskiej bryzie.

Ruth skierowała wzrok na Sondrę, a po chwili znowu spojrzała na Mickey.

– Włóczyłam się godzinami bez celu – mówiła dalej. – Musiałam wyglądać upiornie. Jedyne, co pamiętam, to, że ludzie patrzyli na mnie ze zdumieniem, a ja myślałam: „Tak się czuje załamany człowiek”. – Zmrużyła oczy, wpatrując się w przestrzeń ponad wzburzonymi i goniącymi się falami. – Dopiero około jedenastej wieczorem nogi zanosły mnie do przystani promu. Gdy wróciłam do domu, dziewczęta były już w łóżkach. Arnie jeszcze nie spał. Oglądał wieczorne wiadomości. Nie odezwał się do mnie ani słowem, ani nie spojrzał w moją stronę. Wtedy uświadomiłam sobie, że od dłuższego czasu tak właśnie wygląda nasze życie. Dotychczas tego nie dostrzegałam.

Jak na wrzesień powietrze było wyjątkowo rześkie i czyste. Barwy stały się bardziej intensywne niż zwykle: błękit falującego Pacyfiku, żółty piasek, a na skałach w górze kolory drzew otaczających szkołę medyczną. Ruth zaczerpnęła palcami rozgrzanego piasku i obserwowała, jak się przesiewa na wietrze. Czowała pustkę, jak gdyby ktoś wyciął jej całe wnętrze i pozostawił dziurę. Ponownie spojrzała w stronę brzegu na pochylającą się pod naporem wiatru postać. To Sondra wpadła na pomysł, żeby przyjechać do Castillo. A teraz spacerowała boso na granicy załamywania się fal. Jej długie, czarne włosy były rozpuszczone, a ogromne oczy śledziły odległy horyzont.

Nie wyglądała na swoje czterdzieści lat i była jeszcze piękniejsza niż dawniej. W każdym razie Ruth tak właśnie uważała. Trudy misyjnego życia nie wycisnęły na niej swojego piętna. Wciąż miała szczupłą figurę i pomimo krępujących swobodę ruchów łupek chodziła z ogromnym wdziękiem. Jej ręce były uwięzione w metalowych rękawach wymoszczonych gumową pianką, a druty i elastyczne bandaże utrzymywały palce w odpowiedniej pozycji. Mickey nazywała oprzyrządowanie rodzajem „aktywnych szyn”. W czasie gdy rozwijały się przeszczepy Sondry, przystosowując się do nowych warunków, jej palce były lekko rozpostarte i miały zapewnione równomierne napięcie mięśni, które nieustannie pracowały pod elastycznym bandażem. Pomimo pozornego unieruchomienia nowe ścięgna były przez cały czas gimnastykowane.

Rozmiar okaleczeń Sondry zaszokował Ruth, gdy zobaczyła je wczoraj rano po przyjeździe do domu Mickey. Listy nie oddawały w pełni przerażającego obrazu. Ruth nie była przygotowana na widok tak potwornych obrażeń i rozległych przeszczepów – pasków bladej

skóry z brzucha i z bioder, mikroskopijnych śladów setek szwów oraz zaskakująco chudych, niczym kości ptaka, rąk z palcami wygiętymi w szpony. Ruth doskonale zdawała sobie sprawę, czego Mickey dokonała w ciągu ubiegłych pięciu miesięcy oraz przez co musiała przejść Sondra.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła Mickey w kwietniu, były zdjęcia rąk Sondry. Długo i wnikliwie przyglądała się im, jak jubiler, który wyobraża sobie każde załamanie i cięcie, zanim podejmie się zadania oszlifowania diamentu. Sporządzała notatki i rozważała wszystkie możliwe metody. Do późna w nocy ślęczała nad książkami, zapoznając się na nowo z zawiłą budową ludzkiej ręki. Zamierzała uruchomić usztywnione mięśnie i ścięgna, usunąć zbliznowacenia, a następnie zastąpić je przeszczepami z innych części ciała przyjaciółki.

Należyście przygotowana opracowała szczegółowy plan terapii. Operacja miała zostać przeprowadzona w szpitalu St. John's. Mickey przewidywała, że Sondra pozostanie tam w pierwszym okresie leczenia, a potem wróci do domu, gdzie będzie przebywać razem z nią i z Harrisonem pod opieką prywatnej pielęgniarki. Zdawała sobie sprawę, że przez cały czas kuracji, to jest przez pięć miesięcy, Sondra nie będzie mogła posługiwać się dłońmi.

Pierwszy zabieg na początku kwietnia nie dotyczył jednak rąk. Miał na celu wyhodowanie płata brzuszego. Lewa ręka Sondry doznała bardzo głębokich obrażeń i zwykły przeszczep skóry był niewystarczający. Należało uzupełnić leżącą głębiej tkankę podskórną, a to wymagało zdjęcia grubej warstwy skóry z powierzchni, gdzie występowała w nadmiarze. Taki „płat” musiał być połączony w okresie odtwarzania tkanki na ręce z miejscem, z którego pochodził, dlatego na pobranie przeszczepu Mickey wybrała brzuch.

Pierwszym etapem było wyhodowanie płatu. Mickey wykonała zabieg w miejscowym znieczuleniu. Zrobiła dwa równoległe nacięcia na brzuchu Sondry, delikatnie uniosła skórę wraz z tkanką podskórną, jak gdyby przerzucała kładkę ponad powierzchnią ciała, oddzieliła ją od znajdującej się pod spodem powięzi i z powrotem przyszyła w to samo miejsce, zapewniając płatowi należyte ukrwienie. Przez kolejne trzy tygodnie uważnie go obserwowała. Musiała mieć pewność, że oddzielone warstwy skóry są zdrowe i dobrze się rozwijają.

Gdy zdecydowała, że płat jest zdolny do życia i ma dobrą cyrkulację krwi, przystąpiła do wieloetapowego procesu odłączania go od brzucha. Najpierw należało oddzielić tylko jeden jego koniec. Miejsca przyrośnięte do podłoża są zwane szypułami. Pierwszą z nich Mickey zwęziła dwoma nacięciami. Płat przypominał teraz żerdź ogrodu. Początkowo zacisnęła kleszczami niewielką część szypuły, rozszerzając stopniowo w ciągu kolejnych dni zacisk klemu i odcinając dopływ krwi bez uszkodzania komórek samego płatu, który co jakiś czas nastrzykiwała procainą, żeby uśmierzyć ból powodowany miażdżeniem tkanek. W końcu, gdy szypuła całkowicie została odłączona, a płat skóry był nadal zdrowy, różowy i nie opuchnięty, Mickey uznała, że można zrobić przeszczep.

W czerwcu ostrożnie usunęła grzbiet blizny z lewej ręki Sondry. Wykonała zabieg w całkowitym znieczuleniu. Wycięła zniekształconą tkankę, oczyściła chropowatą i płaską jak naleśnik powierzchnię, a gdy się upewniła, że krwawienie zostało zatamowane, przyszyła jeden

koniec płatu do świeżo otwartej rany. Dzięki drugiej, wciąż przyrośniętej do brzucha, szypule tkanki miały zapewniony odpowiedni dopływ krwi. Rozpoczął się graniczący z cudem proces przyjmowania się skóry w nowym miejscu. Mickey zrobiła Sondrze gorset z gipsu wokół klatki piersiowej i prawego ramienia, na całą długość lewej ręki.

Tydzień później założyła kłem na część przyrośniętej do brzucha szypuły i powtórzyła proces codziennego, coraz szerszego zaciskania tkanki. W miarę odłączania płatu od podłoża Mickey uważnie go obserwowała. Nastąpił przełomowy moment, który miał znaczenie decydujące o powodzeniu całego przedsięwzięcia.

Przeszczep dobrze się rozwijał. Ręka Sondry została odłączona od brzucha, a miejsce pobrania tkanki zamknięte.

W przypadku drugiej ręki Mickey zastosowała inną metodę. Podczas gdy palce lewej dłoni Sondry były maksymalnie odwiedzone do tyłu, prawa dłoń została zwinięta w trąbkę niczym skorupa ślimaka. Proces przywracania jej sprawności wymagał przeprowadzenia serii operacji w celu wycięcia zbliznowaceń oraz uwolnienia uszkodzonych ścięgien i nerwów. Za pomocą instrumentu przypominającego wyglądem ciesielski hebel Mickey zrobiła zwykłą transplantację skóry, którą pobrała z bioder Sondry. Przyszyla przeszczep do brzydkiej powierzchni ręki. Unieruchomiła palce w naturalnej, zwiniętej pozycji, żeby zapobiec ponownemu ściąganiu się tkanki i powstawaniu nowych zbliznowaceń.

Gdy przeszczep w lewej dłoni całkowicie się zagoił, Mickey przystąpiła do ostatniej i decydującej fazy jej odbudowy – do przeszczepu ścięgien. Pobrała je z palców u nóg i przeniosła na palce u rąk. Zabieg został wykonany pod koniec sierpnia. Ręce Sondry ponownie zostały unieruchomione na trzy tygodnie, a dziś po południu wypadał termin zdjęcia szyn.

– Czy Arnie o tym wie? – zapytała Mickey, wrywając Ruth z zamyślenia.

– O tym, że poszłam do galerii? Nie mam pojęcia. Na pewno ona mu powiedziała. Ale z niczym się nie zdradził, gdy odwoził mnie na lotnisko.

– Jak zareagował na wiadomość, że się tutaj wybierasz? Ruth wzruszyła ramionami.

– Nie okazał nawet najmniejszego zdziwienia. Zapewnił mnie tylko, że zaopiekuje się dziewczętami i że mogę być o nie spokojna.

– Nie był zaskoczony, gdy ni stąd, ni zowąd oświadczyłaś mu, że nazajutrz lecisz do Los Angeles?

– Jeśli nawet był zdumiony, to nie dał tego po sobie poznać.

– Uprzedziłaś go, jak długo masz zamiar tutaj zostać?

– Nie. Powiedziałam mu tylko, że „wybieram się z wizytą”. A on o nic nie pytał.

Mickey odwróciła głowę w stronę wzburzonego oceanu. W górze szybowały mewy unoszone prądami powietrza i swoim krzykiem zakłócały panującą ciszę. Mickey zrobiło się smutno. Wczoraj rano, gdy Ruth zajechała taksówką pod jej dom, przeżywały w trójkę cudowne chwile pełne łez, śmiechu i wspomnień. Mówiły wszystkie naraz. Poruszały jednocześnie stare i nowe tematy oraz wygłaszały sprzeczne opinie o własnym wyglądzie. Mickey widziała się

ostatnio z Ruth sześć lat temu, gdy pojechała do niej do Seattle, z Sondrą natomiast spotkały się obie dwa lata wcześniej, na ślubie Mickey. A od czasu ukończenia uczelni medycznej minęło już czternaście lat.

Kilka pierwszych wspólnie spędzonych godzin z przyjaciółkami upłynęło w podniosłym nastroju, przepojonym słodkim uczuciem nostalgii. Dopiero po pewnym czasie Mickey zorientowała się, że z Ruth jest coś nie tak. Oznaki były aż nadto czytelne: gwałtowne ruchy, zaciśnięte usta i wyczuwalne zdenerwowanie w głosie. Ruth zachowywała się tak samo, jak w chwilach, gdy się uczyła do egzaminów końcowych albo gdy czekała na wyniki sesji. Coś przed nimi ukrywała, nieudolnie odgrywając jakąś rolę. Była nieobecna duchem i prawdopodobnie myślami przebywała w Seattle.

Ubiegłej nocy Mickey słyszała przez ścianę, jak Ruth płacze przez sen. Rano miała wymizerowaną twarz i podpuchnięte oczy. Pewnie niewiele spała.

Gdy przyszły przed chwilą na plażę i usiadły na piasku, Mickey zapytała przyjaciółkę, jaki ma problem. I Ruth opowiedziała jej o wszystkim: o śmierci ojca, o prześladowającym ją koszmarnym śnie oraz o romansie Arnie'ego z Angelinę.

– Pamiętasz, że chciałam mieć jeszcze jedno, ostatnie dziecko, Mickey? – mruknęła, odwracając twarz w stronę morza. – Arnie się nie zgodził. Groził, że się podda zabiegowi usunięcia nasieniowodów. Dobrze się stało, że poprzestaliśmy na pięciu córkach. Następne dziecko miałoby teraz zaledwie pięć lat. Już by mi nie starczyło sił, żeby je wychować. Córki ostatnio oddaliły się ode mnie. Prawie wcale ich nie znam. Są niezależne. Rachel spotyka się z jakimś stukniętym punkiem. Codziennie wraca do domu nad ranem. Bliźniaczki przynoszą uwagi od nauczycieli z powodu niewłaściwego zachowania i mają coraz gorsze stopnie. A na Leah właściwie nikt nie ma wpływu i w szkole też nieustannie powtarzają się z nią kłopoty. Moje życie rozpada się na kawałki. Przystaję nad nim panować, Mickey. Problemy zaczęły się od rubryki w gazecie. Zaczęłam zwlekać z odpowiedziami na listy czytelników, aż w końcu utonęłam w powodzi korespondencji. Obowiązek opieki nad pacjentkami stał się nagle dla mnie ciężarem, którego nie jestem w stanie udźwignąć. Wpadłam w panikę, ponieważ straciłam umiejętność wygospodarowywania czasu. Jak to możliwe, że przedtem wszystko udawało mi się zrobić w porę? Wspominam ze zdumieniem ten okres mojego życia. Już samo ubranie się rano i dotarcie do pracy na czas stanowi teraz dla mnie nie lada problem. A gdy przychodzę i widzę piętrzącą się robotę, to sobie myślę: „Nie dam rady temu podołać”.

Ruth miała wrażenie, że wokół żołądka owija się jej zimna, metalowa sprężyna i z każdym uderzeniem fal coraz bardziej się zaciska. Po co właściwie tutaj przyszła? Przecież od dawna z tym miejscem nie miała nic wspólnego. Wydawało się jej, że plaża, wznosząca się na szczycie skał szkoła medyczna, a nawet krzyżące mewy szydzą z niej i przypominają o tym, kim mogła zostać. Gdy Sondra zaproponowała im dziś rano, żeby odwiedziły stare miasteczko akademickie, Ruth uznała to za dobry pomysł. Ale teraz żałowała, że się zgodziła tu przyjechać. Powinna jak najdalej trzymać się od tego miejsca. Nawet tutaj, na brzegu oceanu, czuła się schwyтана w

zasadzkę.

– O Boże, Mickey – westchnęła, obejmując ramionami kolana i przyciskając je mocno do piersi – sama nie wiem, co mam ze sobą począć.

Sondra zawróciła w ich stronę. Podeszła do przyjaciółek, w chwili gdy Ruth kontynuowała swoje wynurzenia.

– Zawsze byłam dobra w określaniu objawów życiowych organizmu. Gdy w ramach programu SWRL nauczyliśmy się używania słuchawek, wykryłam szmer w sercu Staną Katza. Pamiętasz, jaka była wtedy reakcja Mandella? Skłął mnie za to, że ukryłam przed nim fakt mojej rzekomej wieloletniej praktyki. Wygląda na to, że potrafię rozpoznawać objawy choroby, ale zupełnie nie zauważam symptomów świadczących o dolegliwościach pojawiających się w moim własnym życiu, takich jak nieudane małżeństwo, unieszczęśliwiony mąż i rozwodrzone córki. A najgorsze jest to, że nie mam pojęcia, co mam dalej robić!

Znad oceanu zerwał się wiatr, a jego wilgotny powiew przyniósł ze sobą obiecujący szept przybrzeżnej fali i zapach dalekich, nieznanych przestworzy. Sondra, dla której pojęcie bezradności było czymś zupełnie obcym, odwróciła wzrok od ponurej miny Ruth. Wystawiła twarz w stronę podmuchu morskiej bryzy, a gdy zamknęła oczy, zobaczyła brzeg po drugiej stronie bezkresnego oceanu – intensywnie zieloną barwę wody, skąpane w blasku słońca zabudowania oraz ludzi o skórze brązowej jak mahoń. To był jej brzeg, który ją do siebie przywoływał tam samo, jak w dawnych czasach, jeszcze zanim wyjechała do Kenii, nim ukończyła szkołę medyczną i odkryła dokumenty o adopcji. Ów dziwny, niemal mistyczny głos poruszał jej serce już wtedy, gdy była małą dziewczynką. Sondra zawsze wiedziała, co ma ze sobą robić.

I teraz też nie miała wątpliwości. Od momentu gdy ucałowała syna i wyszeptwała kilka słów przy niewielkim kopcu ziemi na misyjnym cmentarzu, upłynęło sześć miesięcy. Nadszedł czas, żeby wracać do domu.

Proces kuracji dobiegał końca, ale przedtem trzeba było załatwić jeszcze jedną sprawę. I to dzisiaj, ponieważ przypuszczała, że już nigdy razem tutaj nie przyjadą. Spojrzała na Ruth, która mocno zaciskała dłonie, jak gdyby chciała coś w nich zatrzymać.

– Przespacerujmy się po szkole – zaproponowała.

Ruth i Mickey pomogły Sondrze wejść z powrotem na szczyt. Szlak był stromy i kamienisty. Podczas wspinaczki musiały się często podpierać rękami.

– Uf – westchnęła Ruth, gdy dotarli na miejsce. – Czy już nigdy nie pozbędę się swojej tuszy?

Mickey roześmiała się, otrzepując z kurzu rękę.

– Nigdy nie byłaś typem sportsmenki, Ruth!

– To prawda – przyznała przygaszona nagle przyjaciółka. Podążyły znajomą wybrukowaną uliczką i dziwiły się, że mijane ogrody wyglądają tak jak kiedyś. Ale nie było już ich dawnego czynszowego bloku, a Avenida Oriente stała się skupiskiem eleganckich rezydencji z

automatycznie otwieranymi bramami. Zmienił się też i rozrósł szpital St. Catherine's. Przybyło budynków i nowych parkingów, a w wejściu do kliniki panował ożywiony ruch śpieszących się dokądś młodych ludzi w białych kitlach. Zniknęła knajpka „U Gilhooleya”, podobnie jak i kino „Magiczna Latarnia” – gdzie Ruth spotykała się ze studentem czwartego roku, którego imię wyleciało jej z pamięci. Za to na swoim miejscu wznosił się gmach Encinitas Hall, w którym Mickey poznała Chrisa Novacka. Mineły akademik Tesoro Hall. Wprowadzała się tam właśnie grupa kilku przybyłych przed czasem studentów. Przechodząc obok murów Mariposa Hall i mieszczącego się wewnątrz nich prosektorium, przyjaciółki zastanawiały się, czy Moreno nadal prowadzi ćwiczenia z anatomii. W końcu dotarły do budynku Manzanitas Hall i stanęły przed nim w milczeniu.

To tutaj osiemnaście lat temu wszystko się zaczęło.

Gmach był otwarty. Wewnątrz panowała cisza i chłód. Odgłosy ich stóp odbijały się echem po wypolerowanych posadzkach. Powoli przemierzały korytarz. Nie mogły się nadziwić, że wszystko wygląda tak samo jak dawniej. Wydawało się im, że nie dalej jak wczoraj były tu po raz ostatni. Ruth ogarnął niepokój. Nie znosiła tego miejsca, wyczuwała kryjące się w nim zagrożenie. Mury zdawały się zacieśniać, jak gdyby chciały schwytać ją w pułapkę.

Doszły do auli.

– Jeśli drzwi nie są zamknięte, wejdźmy do środka – zaproponowała Sondra.

Sala była skąpana w łagodnym blasku bocznych światła. Osiem wznoszących się coraz wyżej rzędów otaczało półkolem pustą katedrę w dole.

– W przyszłym tygodniu odbędzie się tu uroczyste rozpoczęcie roku akademickiego – stwierdziła Mickey. – Widziałam na zewnątrz ogłoszenia. Za tydzień o tej samej porze zapełni tę salę grupa takich jak my niegdyś, wystraszonych i pełnych nadziei, świeżo upieczonych studentów medycyny. – Powoli przeszła wzdłuż najwyższego rzędu. Aula wydawała się jej kiedyś większa. Zatrzymała się dokładnie za tym samym fotelem, który zajmowała owego pierwszego dnia osiemnaście lat temu.

– Jaka szkoda, że nie wiedziałam wtedy tego wszystkiego, co wiem teraz...

Ruth stanęła obok niej.

– Czy inaczej pokierowałabyś swoim życiem?

– Nie zmieniłabym ani jednej sekundy z minionych osiemnastu lat – oświadczyła cicho Mickey, a Ruth poczuła ukłucie zazdrości.

Sondra ruszyła w stronę przejścia pomiędzy fotelami.

– Spójrzcie tylko! – zawołała, wskazując unieruchomioną dłonią. – Coś nowego! – W każdym rzędzie wisiało na ścianie zbiorowe zdjęcie kolejnego rocznika absolwentów.

– Założę się, że gdzieś tutaj musi też być nasze – powiedziała, schodząc powoli po stopniach i uważnie przyglądając się każdej fotografii.

Ruth i Mickey przez chwilę milczały.

– Przypominasz sobie mowę powitalną dziekana Hoskinsa? – odezwała się w końcu Ruth. –

Wywarła na nas takie wrażenie, że miałyśmy ochotę bezzwłocznie zająć się uzdrawianiem świata, pamiętasz? – Zaśmiała się krótko, a jej zabarwiony goryczą śmiech odbił się echem w olbrzymiej auli. – W ubiegłym tygodniu podczas szpitalnej wizyty weszłam na salę do mojej pacjentki, w chwili gdy oglądała teleturniej. Jedno z pytań brzmiało: „Czy znasz imiona czterech bogów, którzy są wymienieni w przysiędze Hipokratesa?” Uczestnik kwizu znalazł się w opałach, a pacjentka podniosła na mnie wzrok. „Pani na pewno zna odpowiedź, prawda pani doktor?” Ale ja nie mogłam sobie przypomnieć. Czy możesz to sobie wyobrazić, Mickey?

Mickey lekko zmarszczyła czoło.

– Czy jednym z nich nie był Apollin?

Ruth spojrzała w dół na katedrę i wyobraziła sobie za pulpitem dziekana Hoskinsa. To było miłe wspomnienie. Jedno z tych, do których się chętnie wraca i które sprawia, że uścisk w żołądku staje się mniejszy.

– Wspaniałe czasy, nie sądzisz? Pamiętasz kawał, jaki nam zrobił Mandell na zakończenie kursu SWRL?

– Co za kawał? – Mickey nie odrywała wzroku od Sondry, która schodziła po schodach pomiędzy rzędami i przyglądała się zdjęciom kolejnych roczników.

– Nie mów mi tylko, że zapomniałaś! – zawołała zbyt głośno Ruth. Jej głos zawisł pod sklepieniem auli. – Mówię o teście z oftalmoskopem. Musisz to pamiętać, Mickey. Ręka ci się trzęsła tak okropnie, że o mało nie wybiłaś oka pacjentowi!

Mickey zaprzeczyła ruchem głowy. Bardzo dobrze pamiętała tamte czasy, ale wołała do nich nie wracać. Własna twarz była wtedy dla niej prawdziwym utrapieniem i konieczność bliskiego kontaktu z pacjentem, tak jak w wypadku badania oka, zawsze ją napawała strachem. A jak złośliwie zachował się wtedy Mandell, sugerując, żeby czesała się w sposób „mniej utrudniający pracę”.

Ruth mówiła dalej podniesionym głosem, jak gdyby chciała zagłuszyć własne myśli:

– Zgromadził nas wokół łóżka owego starca, oświadczył, że pacjent ma tarczę zastoinową nerwu wzrokowego i kazał każdemu z nas zbadać oftalmoskopem jego prawe oko. Zapamiętałam to tak dobrze, ponieważ wykonywałam badanie jako ostatnia. Wszyscy przede mną zajrzeli mężczyźnie do oka i stwierdzili zgodnie, że z tyłu gałki ocznej widzą wyraźnie tarczę zastoinową. A kiedy przyszła kolej na mnie, wpatrywałam się i wpatrywałam, ale nie byłam w stanie niczego dostrzec! Pamiętam własne przerażenie. Nie mogłam sobie pozwolić na zawalenie kursu SWRL. To by się odbiło negatywnie na mojej lokacie w ogólnej klasyfikacji. Dlatego oświadczyłam tak jak inni, że zauważyłam wadę. I wtedy Mandell nas wyśmiał. Okazało się, że oglądaliśmy szklane oko!

Mickey odwróciła się i spojrzała na Ruth. Znajome oznaki poruszenia u przyjaciółki były coraz wyraźniejsze – nieświadome podrzucanie głową, urywane słowa i drżące ręce. Mickey zaniepokoiła się nie na żarty. Wzrastające napięcie u Ruth oraz potęgujące się z każdą minutą rozgoryczenie stawało się już prawie namacalne.

– Cudowne dni – mówiła dalej. – Lepsze dni. Zwykle i nieskomplikowane. Naszym jedynym problemem były wtedy oceny. A czas tak prędko mijał. Pamiętam, że gdy po raz pierwszy siedziałam tutaj i słuchałam przemówienia dziekana Hoskinsa, myślałam: „Mój Boże, cztery lata! Jakież to szmat czasu!” A przecież upłynęły jak okamgnienie. Co się z nimi stało? – Spojrzała niepewnie na Mickey.

– O! Jesteśmy tutaj! – zawołała Sondra, stojąc na stopniu trzeciego rzędu. Odwróciła się gwałtownie w stronę przyjaciółek, odruchowo wskazując usztywnioną ręką na zdjęcie. Nagle straciła równowagę i przewróciła się do tyłu na schody.

Mickey pomknęła w jej stronę jak strzała. Ruth przybiegła tuż za nią. Sondra z trudem podnosiła się z ziemi. Krzywiła się z bólu i przeklinała własną głupotę.

Mickey i Ruth pomogły jej zająć miejsce w fotelu na końcu rzędu.

– Czasami zapominam o moich rękach i próbuję posługiwać się nimi, jak gdyby były sprawne – usprawiedliwiała się z grymasem na twarzy. – Nie spadłam ze schodów od czasów dzieciństwa!

Mickey uklękła, żeby obejrzeć rękę Sondry, a Ruth cofnęła się i przyglądała się przyjaciółkom z dziwnym wyrazem twarzy.

– Czy tutaj cię boli? – zapytała Mickey.

– Ojej! W tym miejscu szyna wbiła mi się w ciało. Mickey próbowała pomóc Sondrze, ale ta ponownie krzyknęła z bólu.

– Łupek musiał pęknąć w czasie upadku, gdy uderzyłaś ręką o fotel. Jest złamany. Pewnie się przesunął.

Sondra znowu jęknęła, ale zaraz, ku zaskoczeniu Mickey, roześmiała się.

– Całe szczęście, że dopiero ostatniego dnia splatałam ci figła. Chyba już możesz mi zdjąć tę szynę, Mickey. To naprawdę boli.

– Dobrze. I tak zamierzałam to zrobić dzisiaj po południu. Mickey ostrożnie uwolniła rękę Sondry z metalowych oków – »

wów, a potem delikatnie zbadała miejsce świeżego urazu, w którym zaczął powstawać siniak. Ruth przez cały czas milczała.

Stała z tyłu za przyjaciółkami sztywno wyprostowana i miała zaciśnięte usta.

Kontakt skóry z chłodnym powietrzem sprawił Sondrze przyjemność. Ogarnęła ją dziwna lekkość.

– Jak się czujesz? – zapytała Mickey.

– Jak gdybym została wypuszczona z pojedynczej celi na wolność. Te urządzenia przyprawiały mnie o klaustrofobię!

Mickey spojrzała na odwróconą wewnętrzną stronę dłoń Sondry, która leżała nieruchomo na jej kolanach. Palce były lekko zgięte. „Piękna ręka, pomimo cienkich linii szwów i bladych placków przeszczepionej skóry” – pomyślała. Czowała się z nią blisko związana. Przecież sama ją odtworzyła i dzięki jej zabiegom dłoń Sondry znowu stała się miłą dla oka. Była nie tylko

ukoronowaniem pięciu miesięcy pracy, ale i osiemnastu lat nauki medycyny. Nagle Mickey przepełniło uczucie radości i dumy z własnego osiągnięcia. Czyż nie taki właśnie obrała w życiu cel? Żeby tylko...

– Nie boli cię? – zapytała. – Może spróbujesz nią poruszyć? Sondra spojrzała na bezwładną rękę, którą lekarze chcieli jej kiedyś amputować, i na nowo ogarnął ją strach. Wiedziała od siedmiu miesięcy, że ten moment musi nastąpić. Ale teraz odczuwała lęk.

– Potrafisz poruszyć palcami? – zapytała łagodnie Mickey.

– Nie wiem. Tak wiele upłynęło czasu od chwili, kiedy posługiwałam się nimi po raz ostatni. Nie jestem pewna, czy pamiętam, jak to się robi – powiedziała Sondra drżącym głosem i roześmiała się.

– Cóż, do diabła, się z tobą dzieje! – wrzasnęła Ruth. Sondra i Mickey spojrzały na nią zdumione. Twarz Ruth okropnie pobladła, a pociemniałe oczy były szeroko otwarte. Ręce trzymała sztywno opuszczone wzdłuż ciała. Zaciśnięte w pięści dłonie się trzęsły.

– Jak możesz się śmiać! – krzyknęła. – Jak możesz sobie z tego żartować! Mój Boże, zachowujesz się tak, jak gdyby to wszystko było dla ciebie niczym! Nie rozumiem cię, Sondro. Jak zdołałaś się pogodzić ze swoim koszmarnym losem!

– Ruth – upomniała ją szeptem oszołomiona Mickey.

W oczach Ruth pełnych bólu i poruszenia pojawiły się łzy.

– Straciłaś męża, Sondro! Zapomniałaś? Odszedł od ciebie na zawsze i już nigdy nie wróci! – mówiła roztrzęsionym głosem. – Jak możesz tak lekko mówić o swojej sytuacji! – Ruth podniosła ręce do twarzy i zaczęła głośno płakać.

Mickey, która jeszcze nigdy nie widziała, żeby Ruth uroniła choć jedną łzę, przez chwilę patrzyła na nią zdziwiona, a potem podniosła się z klęczek i wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć ramienia przyjaciółki. Ale Ruth cofnęła się, a jej zapłakana twarz wykrzywiła się z wściekłości.

– Jesteś tak samo niespełna rozumu, jak i ona! Jak to możliwe, że potrafiłaś się tak łatwo poddać? Przecież nie spełniło się twoje marzenie i nie doczekałaś się upragnionego dziecka! A pomimo to umiałaś się pogodzić z losem! Życie jest cholernie przewrotne!

Gdy się odwróciła, żeby wbiec po schodach na górę, Mickey chwyciła ją mocno za rękę i przytrzymała. Przez chwilę toczyły ze sobą niemą walkę, a potem niespodziewanie Ruth skapitulowała. Nagle opadła z sił. Z jej twarzy zniknęła złość, ustępując miejsca wyrazowi zawodu. Po chwili łkała w ramionach Mickey.

Stały tak przez jakiś czas, gdy Ruth dawała upust zatruwającym ją uczuciom rozdrażnienia, goryczy i przygnębienia, które stopniowo w niej narastały, aż wreszcie przebrały miarę i musiała je z siebie wylać.

– Nie chcę go stracić – szlochała w objęciach Mickey. – Kocham Arnie'ego, ale nie wiem, jak mam go zatrzymać.

Mickey posadziła Ruth na schodach i tuląc ją do siebie, zajęła miejsce obok niej.

– Porozmawiaj z nim, Ruth. Jeszcze go nie straciłaś. Arnie jest porządnym człowiekiem. Na

pewno cię wysłucha.

Ruth poszperała w torebce w poszukiwaniu chusteczki, głośno wytarła nos i pokręciła głową.

– Tak bardzo się boję. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak przerażona. Mam wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod nóg i dryfuję w przestworzach. – Mówiła teraz przyciszonym i nieco odprężonym głosem. – Nie gniewajcie się na mnie za mój wybuch – powiedziała łagodnie. – Wcale tak nie myślałam. Strasznie mi głupio.

– Nie ma o czym mówić – ucięła Mickey.

– Nie wiem, jak ty to robisz, Sondro. Skąd czerpiesz siłę, żeby stawić czoło rzeczywistości?

– Ruth podniosła brwi w górę ponad opuchniętymi od płaczu oczami. – Przecież możesz nigdy nie odzyskać sprawności w rękach. Co zrobisz, jeśli się okaże, że to wszystko było na próżno?

Sondra przyglądała się jej przez chwilę, a potem speszona opuściła wzrok na swoje nieruchome dłonie.

– Będą sprawne.

– Skąd masz tę pewność?

– Ponieważ... w mojej ręce jest życie. Czuję to!

– Życie? Do jakich czynności będą zdolne twoje dłonie? Pozostaną niezdarne i nieskoordynowane. Dobrze jeśli w ogóle zdołasz wykonywać nimi podstawowe czynności. Czy naprawdę sądzisz, że potrafisz pracować? Jak takimi palcami zamierzasz zszywać rany i badać puls?

Sondra utkwiała w Ruth poważne i nieruchome spojrzenie.

– Od nowa nauczę się nimi posługiwać, jeśli będzie trzeba.

– Od nowa? Po tylu latach masz ochotę wszystko zaczynać od początku?! – Ruth z trudem podniosła się z miejsca. Przez chwilę rozglądała się wokół niezdecydowana. Nie była w stanie postawić kroku. Oparła się o ścianę, nie wiedząc, że stoi pod własnym zdjęciem sprzed lat – podobizną uśmiechniętej i zuchwałej dziewczyny, która patrzy w przyszłość ufnym wzrokiem. – Jak to możliwe, że stać cię na tak ogromne zaangażowanie? Skąd, na Boga, masz odwagę budzić się codziennie rano, skoro nie wiesz, czy nie będziesz do końca życia kaleką zdaną na łaskę innych? Powiedz mi, Sondro, w jaki sposób zdołałaś pogodzić się z tym, co cię spotkało? Przecież twój mąż zginął w tak strasznych okolicznościach na twoich oczach. Straciłaś nie narodzone dziecko. A teraz masz te, te... – Ruth zabrakło słów. Machnęła tylko w kierunku kolan Sondry.

– Pojednałam się sama z sobą, Ruth – odparła cicho Sondra.

– Oplakiwałam Derry'ego i nadal to robię. A na początku chciałam nawet umrzeć i codziennie się bałam, że nie starczy mi odwagi na przeżycie kolejnego dnia. Zrozumiałam jednak, że muszę żyć – dla naszego syna i z powodu pracy, którą rozpoczęliśmy razem z Derrym. Gdybym się teraz poddała, odebrałabym sens jego życiu i śmierci.

Oczy Ruth ponownie wypełniły się łzami. Odwróciła głowę, skupiając wzrok na katedrze, z której dziekan Hoskins wpoił jej kiedyś poczucie dobrze rozumianego celu w życiu.

– Żałuję, że nie pogodziłam się z moim tatą – powiedziała mocnym głosem. Drżała jej broda.
– Nie wiem, czy zdajecie sobie z tego sprawę, że całe moje życie budowałam patrząc na niego. Był moim punktem odniesienia. Bez niego nic nie znaczę. Żyłam tylko po to, żeby go zadowolić i uzyskać jego aprobatę. Wraz z jego śmiercią przepadł główny powód mojej egzystencji. I taka jest wymowa dręczących mnie snów. Gdy zabrakło ojca, stałam się nieokreślona. – Odwróciła głowę w stronę Mickey i Sondry. – Zawsze wiedziałam, że nigdy nie potrafię sprostać jego wymogom, ale równocześnie zdawałam sobie sprawę, że nic nie powstrzyma mnie przed zabieganiem o jego uznanie. Chęć przypodobania mu się stanowiła bodziec, który popychał mnie do działania. Byłam przewrotna. Całe moje życie z Arnie’em stanowiło jedynie fasadę. Nigdy się głębiej nad tym nie zastanawiałam. A teraz... – Podniosła rękę do ust.

– Nie chcę stracić Arnie’ego!

Mickey zerwała się na nogi i zaprowadziła przyjaciółkę do fotela. Ruth znowu zaczęła płakać w chusteczkę.

– Przepraszam was, ale nie mogę się uspokoić!

– Nawet nie próbuj – rzekła Mickey. – Porządnie się wypłacz. Pozbądź się zatruwających twój organizm zarasków. To nieodzowne dla prawidłowego procesu gojenia się ran.

Ruth płakała jeszcze przez chwilę, a potem wytarła oczy.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, jak się zabrać za ratowanie mojego małżeństwa. Nie jestem nawet pewna, czy znajdę na to siły. – Po raz ostatni otarła twarz, wyprostowała ramiona i zrobiła głęboki wdech. – Przedemną daleka droga. Mam tak wiele do odbudowania. Będę musiała wrócić do linii startu i na nowo ustalić reguły wyścigu.

Umilkła, kierując wzrok na Sondrę, która w wielkim skupieniu przyglądała się swojej nowej, leżącej na kolanach ręce. „Skąd ona czerpie odwagę, żeby prowadzić tę ryzykowną grę?” – zastanawiała się Ruth. „Przecież może okazać się, że jej dłonie pozostaną niesprawne i że tylko zmarnowała czas?”

Mickey świadoma ciszy, która nagle zapanowała w auli, również spojrzała na Sondrę. Nieruchome, bursztynowe oczy przyjaciółki zdawały się przekazywać polecenie mięśniom, nerwom i skórze. Sondra najwyraźniej próbowała podnieść rękę, jak gdyby była czarodziejką.

Mickey zamierzała już coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. Uznała, że nie powinna zakłócać tej delikatnej chwili. I tak kiedyś musiał nadejść ów decydujący moment. Ruth, zniewolona widokiem intensywnego skupienia na twarzy Sondry oraz jej znieruchomiałej i sztywnej pozy, w milczeniu obserwowała rękę przyjaciółki.

Wszystko zaczęło się od niewielkiego poruszenia, drżenia tak nieznacznego jak dygotanie roślin oceanicznych pod wpływem morskiego prądu. A potem niespodziewanie mały palec wyprostował się i zgiął, dotykając dłoni. Następnie palec serdeczny powoli rozwinął się na całą swoją długość, a po nim duży i wskazujący, i wreszcie kciuk. Na koniec wszystkie palce zwinęły się z powrotem w dłoni jak zamykające się przed nadejściem nocy płatki kwiatu. I znowu jeden po drugim wyprostowały się i rozszerzyły, przywodząc na myśl promienie słońca. Sondra

podniosła wzrok na przyjaciółki i uśmiechnęła się.

Mickey siedziała nieruchomo przez moment, a potem aż krzyknęła, sięgając po cudownie uzdrowioną rękę.

– Jest sprawna! – zawołała. – Sondro, twoja ręka jest sprawna!

Sondra zaczęła się śmiać, a Mickey jej zawtórowała. Tylko Ruth wciąż nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia. Sondra powtórzyła wyczyn, pracowicie otwierając i zamykając wątlą dłoń. Jej śmiech stawał się coraz donośniejszy i mieszał się ze śmiechem Mickey pod wysokim sklepieniem auli.

Jeszcze raz i jeszcze raz, wciąż zginała palce od nowa. Śmiech wyciskał jej z oczu łzy, które spływały po policzkach i spadały na nową i delikatną jak u niemowlęcia dłoń. Nagle przed oczami stanął jej obraz wiejskiego otoczenia misji Uhuru. Mała chata, którą dzieliła z Derrym, okrągła i uśmiechnięta buzia syna, a w oddali, jak za mgłą, twarz innego chłopca o imieniu Ouko. Był już mężczyzną i w zeszłym roku dumnie wkroczył na teren misji, niosąc włócznię – atrybut wieku męskiego. Afryka czekała na Sondrę. I Sondra musiała do niej jak najprędzej wracać!

Mickey miała inną wizję. W niezdarnych palcach Sondry dostrzegła niezliczone ręce swoich przyszłych pacjentów – ofiar wypadków, chorób oraz wad wrodzonych; ludzi, którzy będą przychodzić do niej bez wielkiej nadziei, a którym ona przywróci sprawność. Jeśli jej ciało nie mogło wydać na świat nowego życia, to Mickey będzie je przywracać innym dzięki własnym umiejętnościom i biegłości w sztuce medycznej.

Ruth podniosła się z miejsca i odeszła kilka kroków. Z dala przyglądała się z zazdrością przyjaciółkom. Ta chwila należała tylko do nich. To był moment ich zwycięstwa, w którym ona nie miała swojego udziału. To odwaga i determinacja jej przyjaciółek dokonały cudu. Ruth zazdrościła im ich jedności.

Ale podniecenie niespodziewanie udzieliło się i jej. Miała wrażenie, że ktoś zdjął jej z ramion olbrzymi ciężar. Czuła, jak w głębi niej wyłania się coś nowego i kielkuje niczym silny, mały przebiśnieg. Odkrycie tak dobrze znanych uczuć przyprawiło ją o rozkoszny zawrót głowy.

Myślała, że już w niej wygasły. Sądziła, że na dobre odeszły wraz ze śmiercią ojca. A tymczasem okazało się, że wciąż w niej są: duch walki, zdecydowanie i zawadiacka natura. Ruth zawsze uważała, że jej siła pochodzi z zewnątrz. Nie sądziła, że stać ją na odwagę i stanowczość. Cechy te objawiły się powoli z każdym wygięciem palca Sondry. Poraziły Ruth oślepiającym blaskiem nowego odkrycia. Musiała oprzeć się o ścianę. „Będę o niego walczyć” – pomyślała nagle. „Zamierzam zatrzymać przy sobie Arnie’ego, nawet jeśli to miałyby oznaczać powrót do samego początku, do pierwszych kroków. Muszę zrekompensować jemu i dziewczętom, a także sobie samej, czternaście straconych lat”.

Znowu poczuła się blisko związana z Mickey i Sondrą. Nie uważała już, że dzielą swój prywatny sukces. Moment zwycięstwa był wspólnym udziałem całej trójki.

Teraz nie było już czasu do stracenia – należało jak najprędzej przywrócić pełną sprawność rękom, rozpocząć nową praktykę medyczną, wrócić do ludzi, którym pomoc była rozpaczliwie

potrzebna, pojechać do rodziny w stanie Waszyngton, której rozpadowi przy odrobinie szczęścia można było jeszcze zapobiec.

Zanim opuściły gmach Manzanitas Hall, Mickey zatrzymała się przy oszklonych drzwiach i zdjęła z ramienia torebkę.

– Chciałabym ci coś podarować – zwróciła się do Sondry.

I podała jej małe białe pudełko z jasnoniebieskim, połyskującym obiecująco turkusem w środku, który otrzymała sześć lat temu od Ruth.

– To na szczęście – powiedziała, kładąc pudełko Sondrze na dłoni i zaciskając na nim jej wątle palce. – Od nas obu. Żadna z nas nie skorzystała z przychylności losu, którą kamień miał zjednać. Należy ci się podwójna doza fartu.

Na zewnątrz za oszklonymi drzwiami panował słoneczny wrześniey dzień. Ruth pchnęła wyjściowe skrzydło. Do środka wtargnął nagły powiew. Przyniósł ze sobą woń kwiatów, zapach świeżej trawy i morskiej wody.

– Czy wiecie, co zwykli mówić Kikujowie? – zapytała Sondrą, wahając się przed postawieniem pierwszego kroku. – *Gutiri muthenya ukeaga ta ungi*. Co znaczy, że nie ma dwóch takich samych świtów. Mam przeczucie, że jutro wstanie dla nas szczególny dzień.

„Gdy spotkałyśmy się w trójkę po raz pierwszy, rozpoczynałyśmy w życiu nowy etap. Wkrótce znowu się rozstaniemy, prawdopodobnie tym razem na zawsze, a pomimo to nie mogę się oprzeć wrażeniu, że zaczynamy wszystko od początku” – pomyślała Ruth.

– Bardzo proszę – powiedziała na głos, przytrzymując Mickey i Sondrze drzwi. W trójkę opuściły gmach, wychodząc w blask słonecznego światła.